BRIAN LUMLEY

Nekroskop III

Źródło

Przełożyła: Elżbieta Białonoga

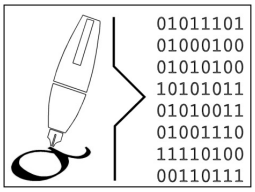

Tytuł oryginalny:

Necroscope III. The Source

Data wydania oryginalnego: 1989

Data wydania polskiego: 1991

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Simonow

Punkt obserwacyjny znajdował się na wschodnim grzbiecie Przełęczy Perchorsk w środkowej części Uralu. Mężczyzna obserwował przez lornetkę zakrzywioną, srebrzystoszarą powierzchnię rozciągającą się w dole wąwozu. Przy świetle księżyca łatwo można było pomylić ją z lodem, ale Simonow wiedział, że nie jest to ani lodowiec, ani zamarznięta rzeka. Płaszczyznę pokrywała warstwa metalu. Na całej długości, w miejscu, gdzie jej łagodnie wygięte brzegi stykały się za skalistymi ścianami, miała ona „zaledwie" sześć cali grubości. Jednakże w centrum, grubość tafli dochodziła do dwudziestu czterech cali. Taką przynajmniej zarejestrowały czujniki amerykańskiego satelity szpiegowskiego. W każdym razie był to największy zbudowany przez człowieka zbiornik ołowiu na świecie.

„Wygląda to jak ogromna, zakopana w ziemi butla z szyjką zalaną ołowiem" — pomyślał Simonow. „Tak, zupełnie jak zaczarowana butla — i na dodatek korek został już wyciągnięty, a Wielki Dżin uleciał". Simonow przybył tu, żeby wyjaśnić tajemnicę tej bardzo podejrzanej ucieczki. Westchnął cicho i odpędził fantastyczne wizje, wytwory swej bujnej wyobraźni. Natężył wzrok i całą uwagę skoncentrował na tym, co działo się na dole.

Dnem wąwozu płynął kiedyś strumień, który w czasie groźnych, sezonowych powodzi zamieniał się w prawdziwą rzekę. Zbudowano na nim tamę i teraz w jego górnym biegu znajdował się wypełniony po brzegi sztuczny zbiornik. Powierzchnię zbiornika stanowiła ołowiana płyta. Woda płynęła kanałami pod skorupą ołowiu i pojawiała się w czterech wielkich otworach w niższej ścianie zapory. Spadała do innego basenu, znajdującego się poniżej, i dalej z ogromną siłą kierowała się swym starym korytem.

Pod ołowianym polem spoczywały cztery wielkie turbiny, omywane przez ciekną-cą z jeziora wodę. Nie wykorzystywano ich już od dwóch lat, to znaczy od czasu, kiedy Rosjanie testowali przy ich pomocy swa nową broń. Była to pierwsza i jak dotąd ostat-

nia próba tego rodzaju.

Pomimo wszelkich technologicznych działań podjętych przez ZSRR dla zakamuflowania tego przedsięwzięcia obiekt został dostrzeżony przez amerykańskie satelity. Nigdy nie opublikowano, co naprawdę zarejestrowały, musiało to jednak być na tyle ważne, że zdecydowano się wprowadzić w życie amerykańską SDI, czyli koncepcję „gwiezdnych wojen". W bardzo wąskich, ściśle tajnych kręgach obrony Zachodu toczono pełne niepokoju dyskusje o miotaczach cząstek elementarnych, laserach nuklearnych i plazmowych, a nawet o czymś, co nazywano „Magma Motor", i co teoretycznie mogło wykorzystywać energię małej czarnej dziury, która zdaniem grupy naukowców znajdowała się w jądrze kuli ziemskiej.

Wszystkie te rozważania nie wychodziły jednak poza sferę domysłów.

Z samej Rosji nie wydostały się żadne przecieki informacyjne dotyczące tej sprawy. Z pewnością nawet Centrum Badań Kosmicznych Bajkonur w czasach programu sputnika nie znajdowało się pod tak ścisłą ochroną, jaką od kilku miesięcy objęty był Ural w rejonie Perchorska.

Simonow starannie przetarł szkła lornetki, a kiedy chmury rozsunęły się i księżycowe światło rozproszyło ciemności, jeszcze mocniej przywarł do zmarzniętej ziemi. Nawet w lecie było w tym rejonie zimno, a od początku jesieni do późnej wiosny panowało lodowate piekło. Teraz była późna jesień. Simonow miał nadzieję, że może uda się uniknąć mroźnych, zimowych męczarni, choć wiedział, że będzie potrzebował dużo szczęścia. Nawet cholernie dużo.

Metaliczna skorupa zalśniła srebrzystym blaskiem. Specjalne soczewki lornetki automatycznie dostosowały się do odbioru zmienionego obrazu. Simonow skierował szkła na główną przełęcz, a właściwie tam, gdzie znajdowała się, zanim pięć lat temu zaczęto realizować Projekt Perchorsk. Tutaj, na wschodnim grzbiecie wzgórz, część zbocza osunęła się na skutek niszczącej siły przepływającej tędy rzeki Soswy. Po stronie zachodniej zaś część skał wysadzono.

W latach czterdziestych, przed powstaniem Projektu, z przełęczy korzystali głównie drwale i chłopi. Przewożono nią też sprzęt rolniczy i wszelkiego rodzaju towary z dalekiej Syberii. Od tamtych czasów wąska droga, którą odbywał się cały ten transport, nie zmieniła się. Wraz z powstaniem na wschodzie linii kolejowej z Zapadno do Serinskaja i rozbudową kolei na trasie Workuta — Uchta na północy wysoko położone przejście straciło swe znaczenie komunikacyjne. Korzystali z niego jedynie okoliczni mieszkańcy, a także wszyscy, którzy odgrywali jakąś rolę w tym wielkim zamierzeniu. Ci pierwsi zostali tam po prostu przesiedleni.

Wszystko to wydarzyło się cztery i pół roku temu. Potem w niewiarygodnym tempie

przeobrażono samą przełęcz. Poszerzono ją i rozbudowano oraz zaopatrzono w dwupasmowy system dróg (z najlepszego żelbetu). Oczywiście, nie była to publiczna trasa szybkiego ruchu, która łączyłaby okoliczne, bardzo rozproszone osiedla. W rzeczywistości przejazd tą trasą na drugą stronę wzgórz był surowo wzbroniony.

Realizacja Projektu Perchorsk zajęła w sumie trzy lata. W tym czasie radziecka służba bezpieczeństwa pozwalała na przeciek informacji o „remoncie i rozbudowie jednego z ważniejszych przejść przez Ural". Taka była bowiem oficjalna wersja dotycząca prowadzonych tam przygotowań. Jej rozgłaszanie miało utrudniać Stanom Zjednoczonym właściwe odczytanie zdjęć satelitarnych. Na poparcie informacji o niewinnym przeznaczeniu Projektu Perchorsk poprowadzono nawet przez przełęcz dwa rurociągi, ropy i gazu ziemnego, między miastem Uchla, a polem wydobywczym Ob.

Nie wszystko jednak dało się utajnić. Rosjanie nie byli w stanie ukryć konstrukcji zapór, ruchu ciężkiego sprzętu i ogromnej masy ołowiu, przykrywającej doskonałe źródło mocy, jakim był płynący dnem wąwozu potok. Ponadto, i być może było to najważniejsze, stał się widoczny wzrastający ruch wojsk w tym rejonie, co nadawało całej sprawie charakteru militarnego. Prowadzono przy tym wszystkim zbyt dużo prac ziemnych, wydobywano tysiące ton skał, eksplodowano ładunki o ogromnej sile. Wywożono gruz całymi kolumnami wywrotek lub zrzucano po prostu ze stromych urwisk w przepaści. Położono też wielkie ilości instalacji związanych ze skomplikowanymi urządzeniami elektronicznymi.

Większość z tych poczynań dostrzeżono z kosmosu, co wywołało wprost nieznośną irytację w szeregach zachodniego wywiadu i służb bezpieczeństwa. I tym razem, tak jak zwykle, Sowieci ze wszystkich sił utrudniali konkurencji życie. Prace prowadzono w wąwozie o bardzo stromych zboczach i na głębokości dziewięciuset metrów, co oznaczało, że dla uzyskania w miarę dokładnych informacji satelita musiał być umiejscowiony niemal pionowo ponad miejscem akcji.

Na Zachodzie spekulacje na ten temat nie ustawały. Przedstawiono wiele alternatywnych rozwiązań tej zagadki. Sądzono, że może Rosjanie próbowali ukryć przed nimi nową inwestycję wydobywczą. Mogli przecież odkryć na Uralu nowe złoża wysokogatunkowej rudy uranu.

Według innej teorii, Sowieci konstruowali we wnętrzu masywu górskiego jakieś eksperymentalne urządzenie atomowe. Możliwe też było, że przygotowywali się do przetestowania czegoś już gotowego, a całkowicie nowego i zupełnie różniącego się od pozostałych osiągnięć w danej dziedzinie. Kiedy dwa lata temu test został przeprowadzony, okazało się, że autorzy i zwolennicy ostatniej z tych teorii mieli rację.

Po raz kolejny Michaił Simonow został przywołany do rzeczywistości. Tym razem wyrwał go z rozmyślań odległy warkot silników. Księżyc skrył się właśnie za chmurami i strumienie przednich świateł ciężarówek ostro przecięły panujące ciemności. Auta

pojawiły się w ostrym kącie zachodniego siodła wąwozu, rysującego się na tle nieba. Wielkie, kanciaste wozy znajdowały się jakieś pięćset stóp poniżej stanowiska Simonowa, w poziomie zaś — w odległości około mili. Simonow jeszcze bardziej wcisnął się między okrąglaki, z których zbudował swoje prymitywne legowisko. Reakcja ta była ściśle kontrolowana, choć automatyczna. Nie miała nic wspólnego z paniką. Pieniądze przeznaczone na jego przeszkolenie z pewnością nie poszły na marne. Konwój przejechał przełęcz i skierował się w dół po stromym zboczu odcinającym się od czoła wąwozu. Na tle surowych skał, oświetlona silnymi lampami, wypolerowana droga olśniewała, oszołamiała swoim blaskiem.

Simonow wsłuchiwał się w łagodne mruczenie silników. Przyglądał się przy tym uważnie dobrze zorganizowanej, sprawnie przebiegającej ceremonii przyjęcia konwoju.

Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mini aparat fotograficzny. Przymocował go do dolnej części obudowy lornetki. Następnie wcisnął guzik aparatu i znów mógł zająć się wyłącznie obserwacją. Wszystko, co widział, było teraz automatycznie rejestrowane na kliszy. W ciągu czterech i pół minuty — czterdzieści pięć malutkich, doskonale czytelnych obrazków, co sześć sekund klatka. Nie spodziewał się ujrzeć w tym czasie czegoś, co miałoby jakieś szczególne znaczenie. Znał już zawartość ciężarówek i zdjęcia miały tylko udowodnić innym, tam, na Zachodzie, że przełęcz stanowiła rzeczywiście punkt docelowy, miejsce przeznaczenia, do którego docierały długie procesje ogromnych pojazdów. Konwój tworzyły cztery ciężarówki: jedna — zawierająca wszystko, co potrzebne do zmontowania zelektryfikowanego ogrodzenia na dziesięć stóp wysokości, dwie — wiozące części do trzech bliźniaczych przeciwpancernych dział Katuszewa, o średnicy 230mm, czwarta i ostatnia — z ładunkiem baterii prądnic napędzanych silnikami wysokoprężnymi.

Nie ładunek konwoju stanowił więc zagadkę, na którą szukał tutaj odpowiedzi. Zastanawiał się, dlaczego Rosjanie zamierzali utrzymać Projekt Perchorsk w tajemnicy, i przed kim jej strzegli. Przed kim albo... przed czym?

Aparat wyłączył się z lekkim, ledwo słyszalnym trzaskiem. Agent obawiał się, że ze względu na poziom napromieniowania nie będzie mógł tu pozostać dłużej niż przez następne dziesięć, najwyżej piętnaście minut. Myślami błądził jednak gdzie indziej — był w Londynie. Przypomniał mu się obraz, który jacyś Amerykanie pokazywali mu rok i dziesięć miesięcy temu. Zobaczył wówczas prawdziwy, choć krótki film. Simonow odprężył się. Wiedział, że to, czego od niego oczekiwano, robił na tyle dobrze, iż mógł sobie pozwolić na mały psychiczny odpoczynek. A poza tym, często zupełnie bezwiednie wracał myślami do tamtej projekcji. Film przedstawiał coś, co wydarzyło się siedem tygodni po tak zwanym „incydencie perchorskim" (lub krótko — IP)

Dla wielu było to piekielną pigułką do przełknięcia. Cała historia przedstawiała się

następująco.

Wszystko zaczęło się wczesnym rankiem pewnego słonecznego dnia w połowie października. Wydarzenia we wschodniej części USA, wzdłuż dawnej kanadyjskiej linii obrony, następowały jedno po drugim, jak w kalejdoskopie.

Najpierw para satelitów szpiegowskich skierowanych na obszar Morza Barentsa i Morza Karskiego, a także inne, z rejonu Archangielska (od Uralu do Igarki), nadały raporty o zarejestrowaniu niezidentyfikowanego obiektu latającego. Informacje te zostały przesłane ponad biegunem północnym i odebrane w Kanadzie oraz w amerykańskich bazach lotniczych w Maine i New Hampshire. Poinformowano Waszyngton. Bazy zdalnie sterowanych pocisków na Grenlandii i Foxe Peninsula na Wyspie Baffina postawiono w stan podwyższonej gotowości.

Zaczęli zgłaszać się inni odbiorcy tych samych sygnałów. Wielka Brytania okazała umiarkowane zainteresowanie i poprosiła o nadsyłanie danych na bieżąco. Dania zareagowała nerwowo (ze względu na Grenlandię). Irlandia zignorowała całe wydarzenie, Francja zaś nie potwierdziła przyjęcia jakichkolwiek komunikatów na jego temat.

Teraz sprawa zaczęła nabierać większego tempa. Kamery satelitów zgubiły „intruza". Mianem tym określano wszelkie obiekty powietrzne na linii wschód — zachód w poprzek Morza Arktycznego, których przelot nie został uprzednio zasygnalizowany.

W tym samym czasie jego obserwacją zajęła się obrona przeciwlotnicza. Obiekt przecinał właśnie pomocne koło podbiegunowe i nieco chwiejnym kursem podążał w kierunku Wyspy Świętej Elżbiety. Co więcej, Rosjanie wysłali dwa przechwytujące samoloty myśliwskie typu MIG, które wystartowały z bazy wojsk lotniczych w Kirowsku na południe od Murmańska.

Norwegia i Szwecja podzielały nerwowość Duńczyków. Amerykanie przejawiali czujne zainteresowanie, lecz nie był to jeszcze niepokój. Obserwowany obiekt poruszał się zbyt wolno, żeby mógł stanowić prawdziwe zagrożenie. Ze swej strony zlecili śledzenie jego ruchów samolotowi wczesnego ostrzegania AWACS, zdjętemu w tym celu z rutynowego kursu. Ponadto dwa myśliwce opuściły pas startowy pod Fort Fairfieid koło Maine.

Minęły cztery godziny, odkąd po raz pierwszy dostrzeżono... UFO nad Nową Ziemią. Obiekt pokonał już dystans ponad dziewięciuset mil. Minął od zachodniej strony Wyspę Franciszka Józefa i zmierzał, jak się zdawało, prosto w kierunku Wyspy Ellesmere'a. Radzieckie migi zrównały się z nim, jednakże samo odnotowanie tego faktu nie oddaje powstałej sytuacji. Samoloty znalazły się co prawda w tym samym punkcie geograficznym, ale osiągnąwszy swój maksymalny pułap, leciały dwie mile poniżej UFO. Nie trzeba dodawać, że w takim położeniu migi i UFO dokładnie się „widziały".

Nie jest wiadome, co się potem naprawdę wydarzyło, bo baza w Kirowsku zarządziła ciszę radiową, ale na podstawie późniejszych faktów można pokusić się o wielce praw-

dopodobną relację z potyczki.

Obiekt obniża pułap lotu, zmniejsza swą prędkość i atakuje. Migi otwierają ogień w jego kierunku, ale w parę sekund później pozostaje po nich jedynie chmura konfetti. Ich szczątki giną w śniegu. Zajście ma miejsce w odległości sześciuset mil od bieguna północnego, bardzo blisko Wyspy Ellesmere'a... Teraz „intruz" naprawdę staje się „nieproszonym gościem". Jego prędkość wzrasta do około trzystu pięćdziesięciu mil na godzinę, a kurs jest prosty jak strzała. Załoga samolotu z AWACS melduje, że utraciła myśliwce z pola widzenia. Próba nawiązania kontaktu z Moskwą przez „gorącą linię" nie wychodzi poza typowe uniki sowieckiej strony: „Jakie migi? Jaki intruz?" Stany Zjednoczone zdradzają rozdrażnienie: „Ten statek wyszedł z waszej przestrzeni i wszedł na nasze terytorium powietrzne. Nie ma do tego żadnego prawa. Jeśli utrzyma swój kurs, zostanie przechwycony i zmuszony do lądowania. W przypadku, gdy nie podda się temu poleceniu lub zareaguje na nie w sposób gwałtowny, istnieje prawdopodobieństwo, że zajdzie konieczność jego zestrzelenia."

I nieoczekiwanie: „Zgoda! Cokolwiek widzicie na waszych ekranach — nie mamy z tym nic wspólnego. Zrobicie to, co uważacie za stosowne!"

Nadchodzą dużo bardziej szczegółowe meldunki z norweskiej stacji nasłuchowej Hammerfest. Według niej obiekt pochodzi z rejonu Uralu niedaleko Labytnangi, mniej więcej na kole podbiegunowym północnym. Błąd tego wskazania ocenia się na sto mil w jedną lub drugą stronę. Gdyby poszerzyć skalę tolerancji do trzystu mil uzyskałoby się lokalizację bardziej trafną. Przełęcz Perchorsk leżała właśnie w takiej odległości od punktu, który uznano za wyjściowy. Co gorsza, w kierunku przeciwnym do Labytnangi mieściła się w tym zasięgu Workuta, a w niej najbardziej wysunięte na północ radzieckie stanowisko zdalnie sterowanych pocisków.

Amerykanie, wychodząc ze stanu niegroźnej irytacji, osiągają stadium prawdziwej wściekłości. Zastanawiają się, co zamierzają Czerwoni. Czy wypuścili jakiś eksperymentalny, zdalnie sterowany pocisk i utracili nad nim kontrolę? A jeśli tak, to czy zaopatrzyli go w głowicę bojową?

Stan gotowości zostaje podwyższony o dwa stopnie. Przy użyciu „gorącej linii" Moskwa zostaje wzięta w krzyżowy ogień pytań. Sowieci, aczkolwiek nerwowo, cały czas zaprzeczają, jakoby wiedzieli coś więcej na temat „intruza".

Ciągle napływają coraz bardziej konkretne dane. Obiekt znajduje się teraz w polu widzenia radarów naziemnych, satelity i systemu AWACS. Z przekazów satelitarnych wynika, że może to być gęsta chmura ptaków. Tylko jakie ptaki latają z prędkością trzystu mil na godzinę i na wysokości pięciu mil?

Oczywiście, kolizja z ptakami mogła wyeliminować migi, ale... Najbardziej doskonałe radary ze stanowisk usytuowanych na linii obrony pokazują, że jest to samolot albo... platforma kosmiczna, która wypadła z orbity.

Kolejną zagadką okazuje się wykrycie nieprawdopodobnie niskiej zawartości metalu w obiekcie. Prawdę mówiąc, nie znaleziono go tam wcale. Żaden wywiad nie trafił nigdzie na ślad statku powietrznego (nie mówiąc już o stacji kosmicznej) o długości ponad dwustu stóp, wykonanego z brezentu. AWACS melduje, że obiekt porusza się skokowo, gwałtownymi szarpnięciami do przodu, jak jakaś olbrzymia, podniebna ośmiornica.

Mija około godziny, odkąd amerykańskie myśliwce przechwytujące wzbiły się w powietrze. Lecąc z prędkością blisko dwóch machów, przecinają Zatokę Hudsona po linii łączącej Wyspy Belchier i punkt leżący około dwustu mil na północ od Churchill. Bez trudu prześcigają samolot z AWACS i pozostawiają o kilka minut lotu za sobą. Po drodze dowiadują się, że cel znajduje się w prostej linii przed nimi i że obniżył pozycję do wysokości dziewięciu tysięcy stóp.

I teraz one, dokładnie tak jak przedtem migi, biorą „intruza" na celowniki.

Na tym kończyła się narracja — scenariusz, który CIA przedstawiło Simonowi przed projekcją filmu zarejestrowanego przez system AWACS. W chwili, kiedy padały ostatnie słowa oficera, puszczono w ruch projektor. Cały film był bardzo dramatyczny. Tak przy tym przekonywający, że...

„Biorą intruza na celowniki" — myślał teraz Simonow. Wspomnienie tych słów wywołało tak gorzki smak w jego ustach, że omal nie splunął. To była właśnie nazwa gry, w której sam w tej chwili uczestniczył. W wywiadzie, służbach bezpieczeństwa, szpiegostwie, znane było jej koronne hasło: „Bierz intruza, na celownik". Wszystkie strony grały w nią wyśmienicie, choć niektóre odrobinę lepiej od pozostałych. Tutaj i teraz — on, Michaił Simonow, był intruzem. Jak na razie grał z powodzeniem — nie został jeszcze zlokalizowany.

Nagle, kiedy ponownie skoncentrował się wyłącznie na tym, co działo się w wąwozie, wyczuł raczej, niż usłyszał coś obcego w swoim otoczeniu. Za jego plecami, a jednocześnie poniżej zajmowanego stanowiska rozległ się lekki stuk potrąconego kamyka. Po chwili przeszedł w cichy łoskot, jakby jeden toczący się odłamek pociągnął za sobą mniejsze, osuwając się po zboczu góry.

Ostatnim etapem wspinaczki Simonowa była stroma, tarasowo wyrzeźbiona grań skalna, po której musiał się prawie czołgać, i która usiana była luźnymi odłamkami, pokryta kamiennym rumowiskiem. Sądził, że pozostawił za sobą jakiś kamyk balansujący na ostrej krawędzi i silniejszy podmuch wiatru strącił go teraz w dół. Agent przekonywał sam siebie, że tylko to mogło stanowić źródło hałasu, ale...

Prześladowało go ostatnio dziwne uczucie. Jakieś podejrzenia, że ktoś lub coś zaczyna zagrażać jego bezpieczeństwu. Przypuszczał przy tym, że każdy szpieg musi po prostu nauczyć się żyć z takimi obawami. Przeczucia te musiały brać się z tego, że jak do tej pory wszystko szło zbyt dobrze i mimowolnie zaczął wmawiać sobie, że gdzieś kry-

je się podstęp.

Nie oglądając się i nie zmieniając pozycji, Simonow rozsunął zamek kurtki i wyciągnął mały, groźnie wyglądający automat z tłumikiem. Sprawdził magazynek i przeładował broń. Wszystko to robił z wyuczoną swobodą tylko jedną ręką. Nie przestawał przy tym fotografować ciężarówek w dole wąwozu.

Automatyczny aparat wyłączył się po raz kolejny. Agent wymontował go z lornetki i schował. Ostrożnie uniósł broń, lekko obrócił twarz i podźwignął się na kolana. Spojrzał przez okienko utworzone z ustawionych podłużnych kamieni. Niczego jednak nie dostrzegł, bowiem za nim opadały strome urwiska z licznymi występami, pokryte osuwającym się, pobłyskującym śniegiem. Dołem, ukryta w mroku, biegła droga. Jeszcze niżej rósł las. Zbocza opadały tam już dużo łagodniej. W świetle gwiazd i wyglądającego od czasu do czasu spoza chmur księżyca wszystko było nieruchome i czarno — białe. Tylko lekkie podmuchy wiatru wzbijały z kamieni i skalnych występów małe obłoki śnieżnego pyłu.

Simonow cały czas odnosił wrażenie, że nie jest sam. Wrażenie to narastało w nim stopniowo za każdym razem, kiedy odwiedzał tę tajemniczą przełęcz. To miejsce byłoby według niego idealnym siedliskiem czy schronieniem dla stworów nie z tego świata...

Powrócił do poprzedniej pozycji i podniósł lornetkę do oczu. W dole wąwozu, gdzie stroma droga biegła równolegle do starej ścieżki, u stóp wznoszących się wysoko bliźniaczych ścian tamy, zajaśniała smuga światła — zaczęto właśnie rozsuwać olbrzymie ołowiane wrota, wiodące do ukrytej w urwisku pieczary. Ostatnia ciężarówka skręciła z drogi na lewo i wjechała na dużą platformę. Kilku mężczyzn w żółtych kombinezonach kierowało ruchem samochodów. Wprowadzili je do wnętrza groty, poza zasięg wzroku agenta, a potem sami za nimi podążyli. Inna grupa pośpieszyła na drogę i pozbierała naprowadzające znaki odblaskowe. Zanim wróciła, olbrzymie drzwi już zostały zatrzaśnięte. Pozostawiono jednak otwartą niewielką bramkę i przez chwilę wnętrze groty rozświetlało ciemność prostokątem światła. Po chwili wyłączono również wielkie reflektory, rozjaśniające przełęcz w czasie przyjmowania konwoju.

W górskim jarze zapanowała prawie idealna ciemność. Jedynie gwiazdy odbijały się w strumieniach wody i wielkim ołowianym jeziorze.

Z początku wywiadowi chodziło właśnie o ten ołów, tam, na dole. I to promieniowanie, trochę większe niż dopuszczalna radioaktywność. Agent przypomniał sobie sfilmowaną przez AWACS „rzecz", która stoczyła bitwę z amerykańskimi myśliwcami. Nie mógł opanować przeszywających jego ciało dreszczy.

Po chwili Simonow schował lornetkę do skórzanego futerału i wsunął pod kurtkę. Jeszcze przez moment leżał nieruchomo i patrzył w ledwo widoczną przepaść. Wyobraźnia natrętnie podsuwała mu obrazy wydarzeń utrwalonych na taśmie filmowej. W pokazie uczestniczył prawie dwa lata temu w Londynie. Koszmarne obrazy, które

wówczas ujrzał, dręczyły go do tej pory. Często pojawiały się w jego snach. Zastanawiał się, czy to możliwe, że ta... „rzecz", cokolwiek to było, pochodziło właśnie z tego miejsca. Monstrualny mutant. Gigantyczny, odrażający, wojowniczy klon, wytwór niewiarygodnego eksperymentu genetycznego. Broń biologiczna, wychodząca daleko poza dotychczasowe doświadczenia i osiągnięcia w tej dziedzinie. Był tu po to, żeby znaleźć odpowiedź na te pytania. W najgorszym zaś wypadku miał za zadanie ostatecznie udowodnić, że „obiekt" zrodził się, czy też został wyprodukowany właśnie tutaj. To rozlewające się, pulsujące, wijące...

Śnieg cicho zachrzęścił pod czyimiś stopami. Simonow poderwał się. Ponad niską stertą kamieni ujrzał blask oczu. Rzucił się w lewo i zanurkował w śnieg. Za skalnym odłamem ukrywał się mężczyzna ubrany w zlewający się z barwą śniegu biały, maskujący kombinezon. Simonow wycelował i wypalił. Pierwsza kula ugodziła nieznajomego w ramię i podrzuciła do góry. Druga utkwiła w klatce piersiowej, odrzucając całe ciało w tył. Głuche strzały wytłumionej broni rozległy się nad urwiskiem. Nie zdążył jednak nawet odetchnąć po tym, co się stało, kiedy...

Z lewej strony usłyszał głośne, chrapliwe sapnięcie i metal zalśnił srebrem w powodzi księżycowego blasku. W odległości osiemnastu stóp od niego biała postać poruszyła się gwałtownie.

— Ty draniu! — wycharczał po rosyjsku jakiś głos.

W tej samej chwili czyjaś żelazna dłoń chwyciła Simonowa za włosy. Jednocześnie alpinistyczny czekan zatoczył łuk i jego kolec uderzył w przegub uzbrojonej ręki agenta, niemal przygważdżając ja do skalnego podłoża.

Agent zobaczył nad sobą ciemną twarz, rząd białych, wyszczerzonych zębów wśród bujnej brody i futrzany kołnierz. Zebrał wszystkie siły i wyprowadził w tamtym kierunku cios zgiętym łokciem. Rozległ się chrzęst łamanych kości i zębów, a z ust Rosjanina wydostał się krótki, bolesny krzyk. Nie zwolnił jednak uchwytu i po raz drugi zamachnął się czekanem. Simonow próbował unieść swój automat. Rosjanin przetoczył się przez niego i pochlapał go krwią. Złapał agenta za gardło i zamierzał po raz trzeci zaatakować czekanem.

— Karl! — powstrzymał go jakiś głos, dobiegający zza innej sterty otoczaków. — Chcemy go mieć żywego!

— Na ile żywego? — syknął Karl i splunął krwią. Odrzucił broń, ale nie zrezygnował z odwetu. Wyprowadził pięścią cios prosto w czoło szpiega, niemal je miażdżąc. Z mroku nocy wysunęła się postać trzeciego z Rosjan i przyklękła przy nieprzytomnym Simonowie. Mężczyzna zbadał jego puls.

— Wszystko w porządku, Karl? Jeśli tak, zobacz, co z Borysem. Boję się, że ten facet wpakował w niego kilka kul!

— Boisz się? Ja byłem bliżej i mogę cię zapewnić, że to zrobił! — warknął Karl. Deli-

katnie dotknął swojej twarzy drżącymi palcami. Podszedł do miejsca, gdzie leżało rozciągnięte ciało Borysa.

— Nie żyje? — cicho zapytał mężczyzna.

— Jak befsztyk na talerzu — wychrypiał Karl. — Jest tak martwy, jak powinien być ten tutaj. — Oskarżającym gestem wskazał Simonowa. — Zabił Borysa i zmasakrował mi twarz. Powinieneś pozwolić mi skręcić mu kark.

— Prawie to zrobiłeś, Karl — stwierdził drugi Rosjanin z pewnym niezadowoleniem. Potem podniósł się z kolan. Był tu dowódcą. Wysoki, szczupły mężczyzna — smukłej budowy ciała nie kryła nawet obszerna kurtka. Miał bladą cerę, wąskie usta i sardoniczny wyraz twarzy. Jego głębokie oczy błyszczały jak dwa ciemne klejnoty. Nazywał się Czyngiz Khuw, posiadał stopień majora, ale w jego specjalnym wydziale KGB unikano noszenia mundurów i ujawniania tytułów i stopni wojskowych. Anonimowość zwiększa w ich fachu skuteczność działania i gwarantuje dłuższe życie.

— On jest przecież naszym wrogiem, tak czy nie?

— Och tak, Karl. Ale jest tylko jednym z wielu naszych wrogów. Wiem, że zasłużył na to, żebyś go porządnie ścisnął za gardło i kto wie, może będziesz miał jeszcze okazję odegrać się. Najpierw jednak muszę wycisnąć, co się da, z jego głowy — odrzekł Khuw.

— Potrzebuję pomocy lekarskiej. — Karl delikatnie przycisnął śnieg do swej rozbitej twarzy.

— Tak jak i on. — Khuw wskazał Simonowa. — I tak jak biedny Borys.

Po chwili skierował się do swej skalnej kryjówki po przenośne radio. Wyciągnął antenę i zaczął mówić do mikrofonu.

— Zero, tu Khuw! Sprowadźcie tu natychmiast helikopter sanitarny. Jesteśmy kilometr od Projektu, idąc w górę rzeki, na szczycie wschodniej grani. Zobaczycie światło mojej latarki... Odbiór.

— Zero, zrozumiałem towarzyszu, wyłączam się. — Odpowiedź była błyskawiczna, choć głos cichy i zagłuszany radiowymi trzaskami.

Khuw wydobył dużą, ciężką latarkę. Włączył ją, postawił na ziemi, kierując światło do góry i unieruchomił, obsypując u podstawy ubitym śniegiem. Potem rozpiął kurtkę Simonowa i zaczął przetrząsać jego kieszenie. Nie znalazł nic szczególnego: zapasowe magazynki do automatu, rosyjskie papierosy, lekko pogięta fotografia szczupłej dziewczyny, ołówek i mała kartka papieru, pół tuzina luźnych zapałek, radziecki dowód osobisty i lekko wygięty pasek gumy, gruby na pół cala i długi na dwa cale. Khuw przez dłuższą chwilę przyglądał się kawałkowi gumy. Był na niej jakby...

— Odcisk zębów! — powiedział Khuw pewnym siebie głosem.

— Co takiego? — wymamrotał w odpowiedzi Karl. Podszedł teraz do Khuwa, żeby przyjrzeć się przedmiotowi. Mówił przez poplamioną krwią garść śniegu, którym łagodził ból ran na nosie i ustach. — Powiedziałeś: odcisk zębów?

— Nakładka maskująca — wyjaśnił Khuw. — Wkładał to nocą, żeby nie zdradził go błysk zębów.

Obaj mężczyźni przyklęknęli przy Simonowie. Nieprzytomny agent jęknął i lekko się poruszył. Karl szeroko otworzył mu usta.

— W górnej kieszeni mam małą latarkę — powiedział. Khuw wyjął latarkę i oświetlił nią wnętrze ust Simonowa.

— Z lewej strony u dołu, w drugim zębie od tyłu — tam to schował.

Była tam na pozór plomba, ale po dokładniejszym jej zbadaniu okazało się, że dziura w zębie kryła mikroskopijny pojemnik. Usunięta część emalii ukazywała metalowe podłoże.

— Cyjanek? — Karl wyraził swe zaciekawienie.

— Nie, znają już dużo lepsze środki niż te z dawnych czasów — odparł Khuw. — Natychmiastowe w działaniu, całkowicie bezbolesne. Lepiej usuńmy to, zanim się obudzi. Kto wie, może zechce być bohaterem!?

— Obróć jego głowę. Lewą stroną w dół — wychrypiał Karl. Wsunął krótką lufę automatu do ust Simonowa.

— Nie zamierzam cierpieć bardziej od niego! — warknął Karl. — Myślę, że Borys życzyłby sobie, żebym zrobił użytek z jego broni.

— Poczekaj! — Khuw niemal krzyknął. — Chcesz mu to wystrzelić? Zmasakrujesz mu twarz, a szok mógłby go zabić!

— Uczyniłbym to z przyjemnością — odpowiedział Karl — ale nie to chciałem zrobić. — Chwycił mocniej automat. Khuw odwrócił głowę. Ta część pracy należała do takich jak Karl. Khuw lubił uświadamiać sobie, że stoi ponad niską, zwierzęcą brutalnością. Spoglądał na zarys przeciwległej grani. Zacisnął zęby w odruchu pewnego współczucia, kiedy usłyszał odgłos ciężkiego uderzenia metalu.

— Koniec! — powiedział Karl z satysfakcją. — Zrobione!

Wybił Simonowi dwa zęby — ten z pojemnikiem i sąsiedni. Później brudnym, zagiętym w hak palcem usunął je z zakrwawionych ust agenta.

— Sprawa załatwiona — powtórzył. — I nawet nie ruszyłem pojemnika. Sam zobacz! — Kapsuła pozostała nie uszkodzona.

— Dobra robota — powiedział Khuw, lekko wzruszając ramionami. — Włóż mu trochę śniegu w usta, ale nie za dużo! — Podniósł głowę i spojrzał w mrok. — Nareszcie, już są! — dodał.

Sztuczne, przyćmione światło ukazało się w wąwozie niczym fałszywy świt. Raptownie jednak rozbłysło, kiedy śmigłowiec wyleciał zza skalnej grani. Wraz ze światłem doszedł ich uszu monotonny warkot silnika.

Jazz Simmons spadał... spadał... spadał. Znajdował się przed chwilą na szczycie góry. To była bardzo wysoka góra i wydawało mu się, że dużo czasu upłynie, zanim znaj-

dzie się u jej stóp. Czuł się jak doświadczony skoczek, który do ostatniej chwili zwleka z otwarciem spadochronu. Prawdopodobnie uderzył twarzą o jakiś występ, ponieważ poczuł smak krwi w ustach.

Mdłości i wymioty obudziły go z sennych koszmarów i przywiodły do upiornej rzeczywistości. Spadał naprawdę. „Dobry Boże! Rzucili mnie w przepaść!" — pomyślał przerażony.

A jednak był to lot. Przynajmniej ta część snu okazała się prawdziwa. Po paru sekundach jego umysł zaczął pracować normalnie. Poczuł ciasny ucisk więzów i silne podmuchy powietrza, niczym powiew gigantycznego wentylatora. Spojrzał w górę. Ponad nim leciał helikopter penetrujący dno jaru.

Bezpośrednio nad głową Simmonsa, na drugiej linie, wolno kołysało się ciało martwego mężczyzny. Jego ramiona i nogi bezwładnie zwisały; martwe oczy były otwarte i za każdym razem, kiedy się okręcał wokół własnej osi, jego źrenice na moment spotykały się ze wzrokiem Jazza. Agent dostrzegł purpurowe plamy na kurtce mężczyzny. Domyślił się, że to człowiek, którego zastrzelił.

Powrót nudności, kolejny szok, brak poczucia równowagi, nieustanny hałas i wirujące powietrze — wszystko to sprawiło, że po raz drugi stracił przytomność. Ostatnią rzeczą, o której zdążył pomyśleć, był potworny ból szczęki i smak krwi w ustach. W chwilę później śmigłowiec opuścił obu mężczyzn na płaski szczyt górnej tamy. Ludzie w żółtych kombinezonach odebrali ciągle skrępowanego agenta. Z drugiego haka zdjęli ciało Borysa Dudki, bohaterskiego syna Matki Rosji.

Nie obchodzili się z Jazzem Simmonsem zbyt ostrożnie, ale ten nie był niczego świadom. Nie wiedział nawet, że za chwilę ma się znaleźć w samym sercu przedsięwzięcia zwanego Projektem Perchorsk, co byłoby spełnieniem marzeń każdego szefa wywiadu na Zachodzie.

Problem wydostania się stamtąd pozostawał całkiem inną sprawą...

ROZDZIAŁ DRUGI

Przesłuchanie

Nieskończenie długie przesłuchanie, jakiemu poddano Jazza Simonsa vel Michaiła Simonowa po jego powrocie, przeprowadzono w sposób niezwykle łagodny. Nie miało to nic wspólnego z zimną, beznamiętną inwigilacją, czego wcześniej się obawiał. Potraktowano go wyjątkowo wyrozumiale. Był przecież bliski śmierci, kiedy przyjaciele szmuglowali go poza granice ZSRR. Minęło od tego czasu już kilka tygodni — tak mu przynajmniej powiedziano — ale nawet teraz nie czuł się zupełnie dobrze. Rutynowe badania stawały się czasami irytujące. Szczególnie wtedy, gdy przesłuchujący go oficer uparcie nazywał go Mike, choć wiedział, że reaguje tylko na imiona: Michael, Jazz i Michaił. Miało to jednak niewielkie znaczenie. Cieszył się przede wszystkim z tego, że jest wolny i że w ogóle żyje.

Niewiele pamiętał z czasów, kiedy był więźniem. Służba bezpieczeństwa podejrzewała, że klinicznie „wyczyszczono mu pamięć", nie tracono jednak czasu na głębszą penetrację jego umysłu pod tym kątem. Interesowało ich zwłaszcza to, czego zdołał się dowiedzieć. Sądzono nawet, że być może Czerwoni rozważali możliwość wykorzystania Jazza dla swoich celów. Może chcieli przystosować go do pracy na dwie strony. Potem jednak nagle zmienili zdanie i zrezygnowali z jego ewentualnych usług. Naszpikowali go więc narkotykami i wrzucili zmaltretowane ciało do strumienia.

Został znaleziony w dole rzeki, w odległości pięciu mil od Projektu. Bezwładnie unosił się na wodzie, powoli dryfując w stronę pobliskich wodospadów. Z pewnością, gdyby zginął, jego śmierć nie byłaby niczym szczególnym czy nadzwyczajnym.

Samotny drwal, amator pieszych wędrówek, niejaki Michaił Simonow, wpada do rzeki, traci siły w zimnej wodzie i tonie. Wypadek, jakich wiele. Nie pierwszy tego rodzaju, i na pewno nie ostatni. Zachód mógłby co prawda mieć własne, nieco inne opinie na ten temat... gdyby w ogóle się o tym dowiedział.

Simmons jednak szczęśliwie uszedł z życiem. Kiedy nie wrócił na czas do obozowiska, drwale, u których mieszkał, rozpoczęli poszukiwania. Potem otoczyli go troskliwą

opieką i przekazali w ręce agentów zajmujących się przerzutami przez zieloną granicę. Szlaki przemytu ludzi były pewne i sprawdzone. Simmons poddawał się temu wszystkiemu w maksymalnie bierny sposób — odzyskiwał bowiem przytomność jedynie na krótkie chwile.

Czekał go długi okres rekonwalescencji. Szereg dni bez kłopotów. Bez kłopotów, ale i bez najmniejszego komfortu. Budził go co rano narastający ból. Ból rozsadzający żyły, wszechobecny, którego źródła nie potrafił zlokalizować w żadnym konkretnym organie ani nawet części ciała. Od pasa w dół został unieruchomiony, jak podejrzewał, w pewnego rodzaju rusztowaniu.

Lewa ręka była zagipsowana i zabandażowana. Również głowę miał dokładnie owiniętą opatrunkiem. Obudzić się — znaczyło dla niego przejść z ciemności nierzeczywistego świata marzeń i snów w równie niesamowity świat szarych, ruchomych cieni. Ledwo rozpoznawał przez bandaże światło dzienne.

Kiedy go znaleziono, cała jego twarz była poraniona i potłuczona, lekarzom udało się jednak uratować oczy. Teraz należało pozwolić im odpocząć, tak jak i reszcie zmaltretowanego ciała. Simmons nigdy nie należał do osób próżnych i dlatego ani razu nie zapytał o swój wygląd. Nie miał zamiaru przejmować się swym zewnętrznym obrazem.

Nocami prześladowały go sny, których nigdy nie pamiętał po przebudzeniu. Wiedział tylko, że były niepokojące, pełne lęków i niezrozumiałych oskarżeń. Pozbawione konkretów, męczyły go nawet w krótkich chwilach między przebudzeniem a momentem, kiedy ból stawał się nie do zniesienia. W ramie łóżka znajdował się guzik, który mógł przycisnąć, żeby „oni" przynajmniej wiedzieli, że już nie śpi. „Oni" — to znaczy lekarz i oficer przesłuchujący — dwa czarne anioły w jego prywatnym piekle cierpienia.

Kiedy stawali przy łóżku, byli dla Jazza dwoma cieniami na tle śnieżnych warstw bandaży. Lekarz pochylał się nad nim, badał puls i mamrotał coś zmartwionym tonem albo tylko cmokał. Nic poza tym. Potem oficer przesłuchujący mówił: „Teraz spokojnie, Mike, spokojnie!" i następowało ukłucie igłą. Simmons nie tracił po tym zastrzyku przytomności. Środek łagodził tylko ból i ułatwiał mu mówienie. Agent rozmawiał z oficerem nie tylko z poczucia obowiązku, ale robił to przede wszystkim z wdzięczności.

Poinformowano go o stanie jego zdrowia. Pozostało jeszcze do przeprowadzenia kilka operacji chirurgicznych i parę niegroźnych zabiegów, ale najgorsze miał już za sobą. Uśmierzacz bólu, który otrzymywał dożylnie, był silnym narkotykiem. Organizm zaczął się już do niego przyzwyczajać i teraz lekarze zostali zmuszeni powoli wyprowadzić pacjenta z początków nałogu. Od pewnego czasu aplikowano mu zmniejszone dawki tego środka, a wkrótce miał zażywać wyłącznie pigułki. Tymczasem jednak przesłuchania kontynuowano. Oficer chciał wydobyć z niego każdą najdrobniejszą informację. W dodatku pragnął upewnić się, że wszystko, co usłyszy będzie prawdą. Obawiał się, że Rosja-

nie mogli przecież celowo zakodować w nim jakieś nie mające nic wspólnego z rzeczywistością bzdury. Stosowana dziś technika medyczna pozwala penetrować ludzką pamięć, zmieniać percepcję i wpływać na osobowość.

Oficer posługiwał się cały czas tak przestarzałym językiem, że Jazz nie mógł się temu nadziwić. Tak więc, żeby upewnić się co do wiarygodności Simmonsa polecił mu cofnąć się pamięcią w odległe czasy — zanim jeszcze został zwerbowany przez służby wywiadowcze. Dokładniej mówiąc, musiał zacząć od momentu daleko wyprzedzającego jego narodziny...

Z łatwością przyszło agentowi przybranie konspiracyjnego nazwiska — Simonow, jako że było to nazwisko jego ojca. W połowie lat pięćdziesiątych Siergiej Simonow zdecydował się pozostać na stałe w Kanadzie. Przyjechał z ZSRR jako trener drużyny juniorów radzieckich łyżwiarzy figurowych. Wykonywał swoją pracę sumiennie, z wielką dyscypliną i opanowaniem. Natomiast w życiu prywatnym często podejmował pochopne i nie przemyślane decyzje. Ta o osiedleniu się na Zachodzie była jedną z nich. Potem, patrząc z perspektywy czasu, często jej żałował.

Otrzymał kilka ofert pracy w Stanach, jednak pociągała go wciąż całkowita niezależność. W Nowym Jorku spotkał Elizabeth Fallon — brytyjską dziennikarkę. Pobrali się wkrótce i wyjechali do Londynu. Kilkanaście miesięcy później przyszedł na świat Michael J. Simmons.

Dwudziestego dziewiątego października 1962 roku, dzień lub dwa po powrocie Nikity Chruszczowa z Kuby, Siergiej wszedł do Ambasady Związku Radzieckiego w Londynie i... nie powrócił. Przez cały czas pobytu na emigracji otrzymywał listy od rodziców. Mieszkali na niewielkim osiedlu na obrzeżach Moskwy i od jakiegoś czasu nie układało się między nimi najlepiej. Rozpad ich małżeństwa zaniepokoił Siergieja, więc postanowił pojechać do domu, żeby zobaczyć, co można zrobić dla uratowania rodziny. Decyzja o powrocie okazała się nierozważna i tragiczna.

Kiedy Elizabeth Simmons dowiedziała się o tym, powiedziała tylko: „Dobrze mu tak. Mam nadzieję, że wyślą go tam, gdzie będzie lodu pod dostatkiem!" Jak się potem okazało, jej przypuszczenia sprawdziły się. Jesienią 1964 roku, na tydzień przed dziewiątymi urodzinami Jazza, otrzymała krótką wiadomość, że Siergiej Simonow został zastrzelony podczas próby ucieczki z karnego obozu pracy koło miejscowości Tura na Syberii. Elizabeth płakała, wspominając dawne dobre czasy, jednak szybko pogodziła się z losem. Natomiast Jazz...

Jazz bardzo kochał swego ojca. Uwielbiał tego przystojnego mężczyznę o śniadej cerze, który mówił do niego na przemian dwoma językami, we wczesnym dzieciństwie nauczył jazdy na nartach i łyżwach i tak barwnie opowiadał o swej wielkiej ojczyźnie. Zakorzenił w nim niezaspokojone zainteresowanie starym krajem — Rosją.

Siergiej gorzko mówił o niesprawiedliwościach panującego tam systemu. Wykracza-

ło to wtedy poza pełną ufności wyobraźnię kilkuletniego chłopca. Teraz, po dwóch latach, te najbardziej ponure obrazy z ojcowskich opowieści powróciły do dziewięcioletniego Jazza i nareszcie zrozumiał całą prawdę, której do tej pory nie mógł pojąć niedojrzałym umysłem. Ojciec, w którego powrót głęboko wierzył, odszedł na zawsze. I to ukochana przez niego Rosja zabiła go bez żadnego powodu. To tragiczne wydarzenie spowodowało, że Jazz sprecyzował swe zainteresowania. Wiązały się ściśle z oprawcami Siergieja.

Przed ukończeniem piątego roku życia Jazz rozpoczął naukę w renomowanej szkole prywatnej. Korzystał z systematycznej pomocy i cennych wskazówek ojca w nauce języka rosyjskiego.

Wstąpił na uniwersytet i w siedemnastym roku życia znalazł się na pierwszym miejscu listy najlepszych rusycystów uczelni. Zanim ukończył dwadzieścia lat, osiągnął drugą pozycję w konkursie najlepszych matematyków. Matematyka zawsze stanowiła dziedzinę, ku której skłaniał się jego jasny, błyskotliwy umysł. Nie był jednak zainteresowany karierą naukową, podjął więc pracę w przemyśle jako tłumacz. Poza tym każdą chwilę wolnego czasu poświęcał sportom zimowym. Uprawiał je wszędzie, gdzie pozwalał na to klimat i zawsze, gdy pozwalała mu na to sytuacja materialna. Od czasu do czasu nawiązywał bliższą znajomość z różnymi kobietami, nie zaangażował się jednak w trwały związek z żadną z nich.

Kiedy miał dwadzieścia trzy lata, będąc na wakacjach w górach Harz, spotkał majora armii brytyjskiej, uczestnika kursu „Wojna w warunkach zimowych". Jego nowy znajomy służył w Korpusie Wywiadu. Spotkanie okazało się punktem zwrotnym w życiu Jazza. W rok później znalazł się w Berlinie — już jako niższy oficer w szeregach tego samego korpusu. Przez cały czas Simmons był obserwowany przez tajne służby, które dostrzegły, że stanowił doskonały materiał na agenta do pracy w terenie. Oceniły, że nadszedł czas, kiedy powinien zacząć uczyć się pod ich opieką. Najpierw zorganizowano więc jego demobilizację i zaplanowano następnych sześć lat jego życia. Ku wielkiej satysfakcji J. Simmonsa, jego czas całkowicie wypełniły treningi, ćwiczenia i jeszcze raz treningi. Uczono go, jak przetrwać w najtrudniejszych warunkach: uczono samoobrony, sposobów ucieczek i omijania pułapek, pracy w warunkach zimowych, jak śledzić i jak pozbyć się „opiekuna", obchodzenia się z bronią i walki wręcz. Jedyną rzeczą, której nie mogło zapewnić mu żadne przeszkolenie, było doświadczenie...

Misję Jazza trzymano w ścisłej tajemnicy. Planowano ją, odkąd pojawił się problem Projektu Perchorsk i „służby lokalne" od początku postawione były w stan pełnej gotowości. Jazz poleciał do Moskwy drugą klasą jako Henry Parsons — zwykły turysta. W ciągu godziny od wylądowania nawiązał kontakt z radzieckimi łącznikami. Jeden z nich przejął jego dokumenty i wykorzystał bilet powrotny do Londynu. Jazz, teraz Mi-

chaił Simonow — pozostał w ZSRR.

W latach pięćdziesiątych Chruszczow „rozwiązał" problem mniejszości żydowskiej na Ukrainie i przesiedlił ich spod Kijowa na wschodnie połacie Uralu. Prawdopodobnie miał nadzieję, że tamtejsze zimno przyczyni się do zmniejszenia ich liczebności. Głównym zajęciem przesiedleńców miał być wyrąb lasów i myślistwo. Całą sprawę powierzono ścisłemu nadzorowi i kontroli „starej gwardii" miejscowego aparatu. Stanowili ją wysocy urzędnicy wschodnio-syberyjskich zakładów wydobycia ropy i gazu ziemnego.

Wbrew wszelkim prognozom ukraińscy dysydenci wykazali się olbrzymim hartem ducha. Zajęli przydzielone im baraki, wykorzystali zastane urządzenia i narzędzia i w niedługim czasie stworzyli dobrze prosperujące osiedle. Ich sukces, idący w parze z gwałtownym rozwojem o wiele ważniejszego w tym rejonie przemysłu wydobywczego, przyczynił się do osłabienia ścisłej kontroli nad ich żydowską społecznością. Wytrwała, ciężka praca przesiedleńców dała przykład, jak produktywny może okazać się niemal dziewiczy teren, gdy zostanie odpowiednio zagospodarowany. Ile drewna i skór można wprowadzić na rynek przy pomocy niewielu, ale pełnych zapału rąk. Ile nowych miejsc pracy uzyskać, wykorzystując naturalne zasoby przyrody.

Taktyka Chruszczowa zaowocowała rzeszą dobrych, sumiennych obywateli państwa radzieckiego, w miejsce bezczynnej gromady politycznych pariasów. Wystarczyło jedynie pozwolić grupie ludzi na pełną niezależność. Nie pokrywało się to jednak z osiągnięciami wodza w innych dziedzinach. Być może za mało było właśnie tej niezależności.

W każdym razie częstotliwość kontroli w osiedlu malała wprost proporcjonalnie do stopnia powodzenia tego przedsięwzięcia. W rzeczywistości, przesiedleni Żydzi pragnęli jedynie spokoju, który pozwoliłby im zachować tradycje i odwieczny styl życia. Prędzej zmieniłby się klimat niż elementy ich odrębności. Żyjąc w swoich leśnych wioskach u podnóża gór, byli z grubsza zadowoleni ze swej sytuacji. Przynajmniej ich nie prześladowano. Ich życie było ciężkie, ale w miarę dostatnie. Mieli dosyć drewna na budowę domów i na opał zimą, wystarczająco dużo żywności, rosły nawet ich oszczędności w rublach — dochód z nielegalnego handlu skórami. W okolicznych strumieniach znaleźli ślady złota, które wypłukiwali ze zmiennym powodzeniem.

Nawet ciągłe zimno działało na ich korzyść — do minimum ograniczyło zewnętrzną interwencję i powstrzymywało intruzów od przypatrywania się ich sprawom z bliska. Wśród przesiedleńców część stanowili Rumuni, posiadający silne więzy rodzinne ze starą ojczyzną. Ich polityczne przekonania nie znajdowały zrozumienia w oczach rządzących Rosją. Pewne też było, że dopóki powszechne będą przejawy ucisku, ograniczona wolność człowieka i nie będą oni mieli prawa do emigracji, ani nawet do pracy zgodnej ze swoją wolą, dopóty ich poglądy będą zasadniczo sprzeczne z obowiązu-

jącym kursem.

Żydzi i Ukraińcy myśleli tak samo jak Rumuni. Wszyscy oni, być może, zaakceptowaliby swą radziecką przynależność — gdyby dano im możliwość swobodnego wyboru. Uważali się bowiem za obywateli świata, o których losie nie może decydować nikt poza nimi samymi. W atmosferze takich właśnie poglądów i aspiracji wychowywali również swoje dzieci.

Podczas gdy zdecydowaną większość rodzin stanowili prości chłopi, biernie identyfikujący się z powyższą ideologią, w nowych obozach i siołach pojawiały się grupy zagorzałych antykomunistów, burzycieli, a nawet aktywnych przedstawicieli „piątej kolumny". Utrzymywali oni ścisły kontakt z podobnymi ugrupowaniami w Rumunii, a te z kolei miały dobrze zorganizowaną łączność z Zachodem.

Michaił Simonow był według dokumentów sprawiającym kłopoty mieszkańcem dużego miasta, który wbrew jednoznacznym sugestiom nie chciał zostać członkiem Komsomołu. Za karę zesłano go na Ural. Miał zamieszkać z rodziną Kiriescu we wsi Jelizinka i podjąć pracę jako robotnik niewykwalifikowany. Tylko głowa rodu, stary Kazimir Kiriescu, i jego starszy syn Jurij znali prawdziwy cel przyjazdu Jazza. Kryjąc jego poczynania, zapewniali mu maksymalną swobodę poruszania się i dawali jak najwięcej wolnego czasu. Oficjalnie ciągle polował albo łowił ryby, ale stary Kazimir i Jurij wiedzieli, że znalazł się tu po to, żeby szpiegować. Znali również jego zadanie: miał odkryć sekrety eksperymentalnej bazy wojskowej w sercu wąwozu Perchorsk.

— Mało tego, że ryzykujesz swoim życiem, ale w dodatku marnujesz czas. — Dowiedział się Jazz od starego człowieka jednej z pierwszych nocy po przybyciu na Ural. Dobrze zapamiętał tę noc, kiedy to Anna Kiriescu poszła z córką Tassi na jakieś kobiece spotkanie do wioski, a młodszy brat Jurija, Kaspar, udał się na spoczynek. Była to dobra okazja do przeprowadzenia pierwszej poważnej rozmowy z gospodarzami.

— Nie musisz tam chodzić, żeby się dowiedzieć, co się tam dzieje — mówił Kazimir. — Możemy z Jurijem powiedzieć ci wszystko, o czym wie każdy mieszkaniec tej okolicy, jeśli tylko ma głowę na karku.

— Broń! — włączył się do rozmowy jego potężnie zbudowany syn, potrząsając kudłatą głową. — Broń, jakiej nikt jeszcze nie widział ani nie może sobie wyobrazić. Dająca Sowietom władzę nad całym światem! Skonstruowali ją tutaj, w dole przełęczy, i przetestowali — ale coś im się nie udało.

Stary Kazimir potwierdził prawdziwość słów syna energicznym splunięciem w ogień, na swój sposób podkreślając wagę wypowiedzianej kwestii. Teraz on zaczął mówić, patrząc w płomienie buzujące w kamiennym kominku.

— Było to jakieś dwa lata temu, ale już na kilka tygodni przedtem wiedzieliśmy, że szykuje się coś ważnego. Słyszeliśmy pracujące maszyny, rozumiesz? Zasilały je jakieś naprawdę duże silniki.

— Zgadza się — podjął opowieść Jurij. — Duże turbiny, schowane pod tamą. Pamiętam, jak je instalowali ponad cztery lata temu, zanim przykryli wszystko ołowianą skorupą. Zakazali nawet polować i łowić ryby na terenie dawnej przełęczy, ale ja i tak tam chodziłem. A dlaczego by nie? Kiedy zbudowali tamę, ryby ledwo mieściły się w sztucznym jeziorze.

— Co z turbinami? Na początku byłem na tyle głupi, żeby myśleć, że może mają zamiar dać nam elektryczność! Do tej pory jej nie mamy... Ale w takim razie, do czego potrzebowali tak wielkiej mocy, co? — Jurij, jakby zastanawiając się, zaczął się drapać po nosie.

— W każdym razie — kontynuował ojciec — bywają noce, że jest tu tak spokojnie, iż nawet głos szczekającego psa roznosi się w promieniu kilku mil. Tak samo było z tymi turbinami, kiedy po raz pierwszy je uruchomili. Pomimo tego, że znajdowały się w samym dole jaru, aż tutaj, w naszej wiosce, słyszeliśmy, jak huczały. Jeśli chodzi o to, na co zużywali całą tę moc, sprawa jest prosta: potrzebowali jej na wykopy i drążenie podziemnych tuneli, na elektryczne wiertła i piły do cięcia skał i na oświetlenie całego terenu, na którym pracowali. No i oczywiście dla własnej wygody — na ogrzewanie, podczas gdy my tutaj, w Jelizince, cały czas ogrzewamy się, paląc drewno. Musieli przy tym wydobyć z wąwozu tysiące ton skały i Bóg jeden wie — proszę mi wybaczyć — jak skomplikowany labirynt wyryli we wnętrzu góry!

— Tam właśnie zbudowali swoją broń, wewnątrz góry! — odezwał się Jurij. — W końcu nadszedł czas na jej wypróbowanie. Razem z ojcem zakładaliśmy tego dnia sidła i wracaliśmy do domu późnym wieczorem. Pamiętam dokładnie. Noc była wtedy podobna do dzisiejszej — jasna i spokojna. W najciemniejszych zakątkach lasu, ponad wierzchołkami drzew, jaśniała srebrzysta łuna, zupełnie jak zorza polarna na dalekiej północy... Monotonny szum turbin był wtedy silniejszy niż kiedykolwiek przedtem, aż w uszach pulsowało. Oczywiście, odgłos ten dochodził z dość daleka, bo przecież Projekt leży około dziesięciu kilometrów stąd. My z ojcem znajdowaliśmy się wtedy mniej więcej w połowie tej odległości, cztery albo pięć kilometrów od źródła hałasu. Chcę tylko, żebyś zrozumiał, jak wielką moc wyprodukowali, wykorzystując rzekę.

— Zatrzymaliśmy się — podjął wątek Kazimir — na Szczycie Grigorija i wpatrywaliśmy się w niebo. Smuga światła widniała nad przełęczą Perchorsk. Uwierz mi! Byłem jednym z pierwszych, którzy osiedlili się na tym terenie; można powiedzieć, że jedną z pierwszych ofiar planu Chruszczowa i przez wszystkie przeżyte tu lata nie widziałem nic podobnego. Tego na pewno nie wywołało żadne naturalne zjawisko, o nie... To była maszyna, broń! Potem — potrząsnął głową, jak gdyby zabrakło mu słów — to co wydarzyło się potem, było niesamowite!

W tym samym momencie podniósł się podekscytowany Jurij i jeszcze raz zastąpił ojca.

— Słychać było — zaczął opowieść — że turbiny pracują na maksymalnych obrotach. Nagle rozległo się jakby... westchnienie! Strumień Światła — nie, tuba światła, jak gigantyczny, błyszczący cylinder — wystrzeliła z głębi jaru. Rozświetliła szczyty gór i skierowała się prosto w niebo. Jak szybko? Prędkość światła to za mało, żeby pokusić się o jakieś porównanie. Tak się przynajmniej wydawało. Błysk światła, którego w zasadzie się nie zobaczyło, ale który na sekundy zapłonął przed oczami — bardziej w wyobraźni niż naprawdę. A w następnej chwili było już po wszystkim. Znikło jak rakieta wystrzelona w kosmos. Albo jak światło z wnętrza Ziemi. Laser? Gigantyczny reflektor? Nie, nic z tych rzeczy.

Jazz mimowolnie się uśmiechnął, ale nie stary Kazimir.

— Jurij ma rację! — stwierdził. — Była jasna noc, kiedy to się wszystko działo, ale potem, nie wiadomo skąd, nadeszły chmury i spadł ciepły deszcz. Jeszcze później zerwał się gorący wiatr od strony gór, jak oddech jakiejś bestii. A rankiem tysiące ptaków nadleciały ze szczytów gór i wyżej położonych przełęczy tylko po to, żeby umrzeć! Tysiące! Tak samo było ze zwierzętami! Żadne źródło światła, nieważne jak silne, nie mogłoby dokonać takiego spustoszenia. A to jeszcze nie wszystko, bo zaraz po eksperymencie rozniósł się swąd spalenizny. Wiesz, jakby spłonęła instalacja elektryczna. Ozon czy coś takiego? A potem usłyszałem syreny.

— Syreny? — zainteresował się Jazz. — Z Projektu?

— No pewnie! — odpowiedział Kazimir. — Ich syreny alarmowe! Zdarzył się wypadek. Słychać było jakieś hałasy. A w ciągu następnych dwóch czy trzech tygodni... helikoptery latające tam i z powrotem, karetki pogotowia na nowej drodze, jacyś ludzie w kombinezonach ochronnych, odkażający zbocza przełęczy... Co się stało? To, że broń wymknęła się spod kontroli i wystrzeliła w niebo — w porządku — ale oprócz tego skierowała swój ogień na grotę, w której powstała! Przez następny tydzień lub dwa wynosili stamtąd trupy. Od tamtej pory nie podjęli następnej próby.

— Co teraz? — ostatnie słowo miało należeć do Jurija, który wzruszył swymi szerokimi ramionami. — Od czasu do czasu puszczają w ruch turbiny; chyba po to, żeby utrzymywać je na bieżąco w dobrym stanie. Ale nie przeprowadzali już potem żadnych eksperymentów. Może ta pierwsza próba nauczyła ich czegoś. Widocznie zorientowali się, że nie potrafią zapanować nad własnym wytworem. Według mnie, już z tym skończyli. Ale skoro tak, dlaczego cały czas tutaj są? Nie potrafię wytłumaczyć sobie, dlaczego wszystkiego nie zdemontowali i nie oczyścili terenu?

— To jest właśnie jedna z tajemnic, którą mam tu wyjaśnić — odezwał się Jazz. — Najtęższe umysły Zachodu łamią sobie głowy nad rozwiązaniem zagadki Projektu Perchorsk. I im więcej o nim wiem, tym głębiej wierzę, że mają ku temu powody.

Pewnego wieczoru, kiedy jak zwykle podali Jazzowi jakieś pigułki, nie połknął ich.

Udał, że to robi, magazynując je w ustach. Musiał starać się nie wpuścić ich do przełyku przy popijaniu wodą. Był to częściowo akt buntu przeciwko rosnącemu w nim poczuciu psychicznej niewoli, ale coś jeszcze przesądziło o użyciu tego podstępu. Potrzebował czasu do namysłu. Ciągle albo spał, albo brał tabletki, po których miał zasnąć. Kiedy zaś nie spał, oszołomiony był zastrzykami uśmierzającymi ból, które umożliwiały dalsze przesłuchiwania. Nigdy jednak nie miał okazji po prostu leżeć i myśleć.

Kiedy usłyszał, że wszyscy wyszli z pokoju, i został w nim sam, lekko obrócił głowę i wypluł pigułki. Pozostawiły mu w ustach gorzki smak. Gdyby ból się nasilił, zawsze mógł nacisnąć guzik, który miał w zasięgu sprawnej ręki. Ale nie nadszedł ani ból, ani sen i nareszcie Jazz zaczął analizować swoje położenie. Musiał przywyknąć do zapomnianego stanu, kiedy panował nad pracą własnego umysłu. Starał się uporządkować myśli. Zaczął sobie zadawać pytania, które nurtowały go już wcześniej, ale nigdy nie miał dość czasu, żeby poszukać na nie odpowiedzi. Zastanawiał się, gdzie, u licha, są jego przyjaciele. Poza Rosją przebywał już całe dwa tygodnie, a jedynymi ludźmi, których w tym czasie widział (a raczej, którzy go widzieli), był lekarz, przesłuchujący oficer i pielęgniarka. W dodatku ta ostatnia w ogóle się do niego nie odzywała. A przecież miał w wywiadzie prawdziwych przyjaciół. Na pewno dowiedzieliby się, że wrócił. Próbował domyślić się, dlaczego nie mieliby go odwiedzić — czy to z powodu jego wyglądu, czy naprawdę wyglądał aż tak źle.

— Nie wydaje mi się, żebym mógł wyglądać przerażająco — szepnął do siebie Jazz.

Poruszył prawym ramieniem i zacisnął pięść. Rana w nadgarstku zabliźniła się i nowa skóra pokryła jej wyloty po obu stronach. Na szczęście ostrze czekana prześlizgnęło się między mięśniami, co pozwoliło uniknąć przebicia arterii. Ręka była trochę sztywna i nie wyćwiczona. Czuł w niej lekki ból, jednak potrafił go znieść.

Obawiał się o swój wzrok. Nie wiedział, czy jego pokój jest oświetlony, czy pogrążony w ciemnościach. Przesłona z bandaży była gruba i gęsta. Powiedzieli, że będzie widział. Zastanawiał się, co takiego stało się z jego oczami. Twierdzenie, że wzrok ma ocalony, mogło mieć wiele znaczeń.

Nagle, po raz pierwszy odkąd się tu znalazł, wpadł w prawdziwą panikę. Sądził, że mogą przed nim coś ukrywać, żeby go nie zniechęcić i nie rozproszyć jego uwagi.

Nowy tok myślenia prowadził go w niepokojącym kierunku. Im więcej możliwości rozważał, tym szybciej je eliminował i tym groźniej to dla niego wyglądało. Fragmenty mozaiki, z których istnienia nie zdawał sobie do tej pory sprawy, łatwo znajdowały swoje miejsca w łamigłówce, jaką widział teraz oczami wyobraźni. A był to obraz błazna, marionetki, podpisany jego własnym nazwiskiem: Michael J. Simmons — głupiec.

Podniósł prawą rękę i zaczął dłubać w bandażu owijającym jego głowę. Był przy tym bardzo ostrożny: chciał zrobić w nim tylko szparę, nic więcej. Pragnął widzieć.

Wierzył, że mu się to uda, jednak nie był tego pewien do końca. „Śnieg" cały czas

przesłaniał mu obraz, lecz kiedy mrużył oczy, wydawało mu się, że widzi słabe światło. Przypomniało mu się, że kiedy był dzieckiem, zwykł leżeć w łóżku z przymkniętymi oczami, symulując zwolniony, regularny oddech śpiącego. Patrzył, jak matka wchodziła do pokoju i przez chwilę stała, obserwując go.

Jazz odszukał dzwonek i nacisnął go. Domyślał się, co prawda, że tym razem wiadome będzie, że nie śpi, ale zadanie polegało na tym samym. Miał zamiar obserwować siostrę, kiedy wejdzie do izolatki. Ona natomiast nie będzie miała o tym pojęcia.

Usłyszał przytłumiony odgłos miękkich, powolnych kroków. Wcisnął głowę między poduszki i czekał w półmroku. Wokół niego cicho szumiały wentylatory klimatyzacji. W powietrzu unosił się zapach środków odkażających. Prześcieradła wydawały się nieco szorstkie w miejscach, gdzie dotykał ich odsłoniętymi częściami ciała. „Nie wygląda mi to na pokój szpitalny. Szpitalne pomieszczenia są dość szczególne, ale to tutaj jest cholernie nierzeczywiste i sztuczne..." — pomyślał z niepokojem Jazz.

Drzwi otworzyły się i światło zalało salę. Jazz naprężył mięśnie. Na szczęście miał przymknięte oczy i to uratowało go przed nagłym oślepieniem. Niczym nie osłonięta żarówka wisiała pod sufitem, tuż nad jego głową. Sufit z ciemnoszarego kamienia był poszarpany i nienaturalnie pofałdowany. Pokój szpitalny, w którym leżał Jazz, został wykuty w litej skale.

Agent, zbyt porażony odkryciem, żeby się poruszyć, leżał sztywno. Pielęgniarka podeszła do łóżka. Powstrzymując złość i opanowując pierwszy szok, poczuł nagłą potrzebę ruchu. Wolno poruszył głową, żeby spojrzeć na kobietę. Popatrzyła na niego z przestrachem i pochyliła się nad nim. Była niska i gruba, miała proste, krótko obcięte włosy, przypominające fryzury średniowiecznych rycerzy. Nosiła fartuch i wykrochmalony czepek pielęgniarki. Ale nie pielęgniarki angielskiej, lecz rosyjskiej. Najgorsze przeczucia Jazza potwierdziły się.

Poczuł na nadgarstku dotyk jej palców i od razu cofnął rękę. Zaskoczyło ją to. Zrobiła krok do tyłu. Obcasem jednego z czarnych butów stanęła na czymś twardym. Czymś, co zachrzęściło pod naciskiem jej stopy. Przez chwilę stała nieruchomo. Spojrzała na podłogę, zmarszczyła brwi. Również ona przymrużyła oczy, kiedy próbowała przebić wzrokiem warstwę bandaży na twarzy Jazza. Możliwe, że ujrzała stalowy błysk jego szarych oczu, w każdym razie podniosła do ust rękę w geście zaskoczenia.

Później uklękła i pozbierała resztki rozgniecionych tabletek. Kiedy podniosła się z kolan, jej twarz wykrzywiła się w niepohamowanym przerażeniu i złości. Odwróciła się szybko i skierowała w stronę drzwi.

— Towarzyszko! — krzyknął Jazz.

Mimo woli zatrzymała się. Obejrzała się i zacisnęła usta. Nie kryła nienawiści dla szpiega. Wypadła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi. W pośpiechu nie zgasiła światła. „Mam jakieś dwie minuty, zanim zrobi się tu gorąco" — pomyślał Jazz. „Lepiej będzie,

jak je dobrze wykorzystam".

Spojrzał w lewą stronę i dostrzegł głębokie naczynie z jakaś jasnożółtą substancją, stojące na stoliku. Z dużym wysiłkiem uniósł się, głęboko wciągnął powietrze. Poczuł intensywny zapach środka antyseptycznego. Przekonał się, jak śmiesznie łatwo można spreparować szpitalny klimat: tłumiąca kroki, gumowa wykładzina na podłodze, odkażacz dla uzyskania woni sterylnej czystości i, ciągły nawiew jałowego powietrza o stałej temperaturze. Ściany pokoju (celi) wyłożone zostały arkuszami blachy falistej. W szczelinach dostrzegł płyty laminatu, zapewne dźwiękochłonnej izolacji pomieszczenia. Jazz przypuszczał, że być może, jest to szpital mający obsługiwać personel Projektu, wykorzystywany w czasie okresowych kontroli tego terenu. Na Zachodzie panowało przekonanie, że na tym obszarze znajduje się reaktor atomowy. W każdym razie Jazz zauważył na jednej ze ścian czujnik poziomu napromieniowania. Wskazówka zastygła na zielonym polu skali.

Nieregularny sufit znajdował się na wysokości około dziewięciu stóp. Wyglądał solidnie. Jazz nie dostrzegł na nim nawet najmniejszej rysy czy pęknięcia. Strop podtrzymywały masywne stalowe podpory. Simmons niemal czuł ciężar piętrzących się nad sklepieniem skał. Nie miał już wątpliwości co do tego, gdzie się znalazł. Uwięziono go w głębi górskiego masywu Uralu.

Rozległy się pośpieszne kroki i otworzyły się drzwi. Jazz podniósł głowę tak wysoko, na ile pozwalały mu opatrunki. Spojrzał na wchodzących: trzech mężczyzn i grubą pielęgniarkę. Jeden z nich ubrany był w biały fartuch i trzymał strzykawkę w dłoni.

— Mike, chłopcze! — Mężczyzna miał na sobie zwykłe cywilne ubranie. Gestem zatrzymał pozostałych i na razie tylko on podszedł do łóżka. — Co też ta siostra opowiada? Co? Nie wziąłeś pigułek? A dlaczego? Nie mogłeś ich przełknąć? — Ten miły głos należał do oficera przesłuchującego,

Jazz poruszył się nerwowo.

— Zgadza się, stary — powiedział. — Mam ich po dziurki w nosie. — Podniósł prawą rękę i zaczął szarpać bandaże zasłaniające mu oczy. Zerknął na całą czwórkę — stali sparaliżowani, zastygli jak owady zatopione w bursztynie. Pierwszy zareagował lekarz. Burknął coś po rosyjsku i zrobił krok naprzód. W wyciągniętej ręce zaczął lekko naciskać tłoczek strzykawki. Drugi z mężczyzn, ubrany po cywilnemu, stanowczym ruchem powstrzymał jego jednoznaczne zamiary.

— Nie — po rosyjsku odezwał się do lekarza Czyngiz Khuw. — Nie rozumiecie, że on już wie? Jeśli jest już rozbudzony i w pełni świadomy swej sytuacji, niech tak zostanie. A poza tym chcę z nim porozmawiać. Należy teraz do mnie.

— Nie — krzyknął Jazz, patrząc mu prosto w oczy. — Nareszcie należę wyłącznie do siebie! Jeśli naprawdę chcesz ze mną porozmawiać, lepiej pozwól mu mnie naszprycować. Tylko w ten sposób cokolwiek ze mnie wydobędziesz.

Khuw uśmiechnął się i stanąwszy tuż przy krawędzi łóżka, spojrzał z góry na Jazza.

— Och powiedział pan już dostatecznie dużo, panie Simmons — rzekł bez cienia złośliwości. — Zapewniam pana, że to nam wystarczy. Tym razem nie zamierzam zadawać panu pytań! Teraz ja mam zamiar opowiedzieć panu pewną historię, a może nawet pokazać parę rzeczy. To wszystko.

— Czyżby? — zapytał Jazz.

— Och tak, naprawdę. Chcę, żeby usłyszał pan to, co go najbardziej interesuje, wszystko o Projekcie Perchorsk. Wszystko, co próbowaliśmy zrobić, a co osiągnęliśmy. Jest pan zadowolony?

— Nawet bardzo — odparł Jazz. — Ale, co takiego zamierzacie mi pokazać? Miejsce, gdzie stworzyliście wasze krwiożercze potwory?

Oczy Khuwa zwęziły się, ale po chwili znów się uśmiechnął.

— Coś w tym rodzaju — potwierdził. — Ale od samego początku powinieneś przyjąć do wiadomości jedną rzecz, my ich nie stwarzamy.

— Ależ tak, preparujecie je. — Tym razem Jazz skinął głową. — To jedno, czego jesteśmy absolutnie pewni. Tutaj jest ich źródło. To tutaj się narodziły, czy też zostały wyhodowane.

Wyraz twarzy Khuwa nie zmienił się.

— Jesteście w błędzie. Ale nie można oczekiwać niczego innego, ponieważ znacie tylko część prawdy. Rzeczywiście to wyszło stąd, ale nie tutaj się narodziło. Nie, zrodziło się to w zupełnie innym świecie.

Khuw usiadł na łóżku Jazza i uważnie na niego spojrzał.

— Czy przetrwam i tym razem? — zapytał przekornie.

— Niewykluczone. — Teraz uśmiech Khuwa był szczery. — Ale najpierw musimy postawić pana na nogi, żeby mógł się pan rozejrzeć. A potem...

Jazz patrzył z wyczekiwaniem.

— Potem zobaczymy, czy rzeczywiście jest pan szczęściarzem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Projekt Perchorsk

Kompleks badawczy znajdujący się na dnie przełęczy Perchorsk był naprawdę olbrzymi. Kiedy Czyngiz Khuw oprowadzał Michaela J. Simmonsa po wszystkich pomieszczeniach, nie ukrywał prawdziwej dumy z niewątpliwych osiągnięć radzieckich inżynierów. Doceniał też umiejętności wywiadowcze Jazza, więc zabezpieczył się przed jego ewentualną destrukcyjną działalnością. Odziano agenta w obcisły kaftan bezpieczeństwa, który całkowicie eliminował swobodę ruchu od pasa w górę. Co więcej, nie odstępował ich ani krok niejaki Karl Wiotski, zapewne goryl majora KGB.

— Całą winę możesz przypisać tylko niedoskonałości techniki — powiedział Khuw. — Wy, Amerykanie, z waszą miniaturyzacją, satelitami szpiegowskimi i skomplikowanym, bliskim doskonałości systemem radarowym... Podejrzewam, że moglibyście podsłuchać każdą rozmowę telefoniczną w dowolnym punkcie świata, mam rację? Ale to są tylko niektóre z metod pozyskiwania kluczowych informacji. Sztuka szpiegowania — Khuw rzucił Jazzowi pozbawione wrogości spojrzenie — przybiera wiele różnych postaci i kryje w sobie niewiarygodne, ktoś mógłby nawet powiedzieć, przerażające tajemnice. Mam na myśli obie strony — tak samo na Zachodzie, jak i na Wschodzie. Najwyższa technika to jedno, a zjawiska nadprzyrodzone — drugie!

— Nadprzyrodzone? — Jazz spojrzał zdziwiony. — Projekt Perchorsk wygląda na solidną robotę. A poza tym obawiam się, że nie będę w stanie uwierzyć w duchy.

— Wiem, wiem. Sprawdziliśmy to, nie pamiętasz? — Khuw uśmiechnął się.

Jazz patrzył na niego osłupiały, a potem zmarszczył czoło. Kiedy zaczął o tym myśleć, coś sobie przypomniał. To był fragment przesłuchania, na który wtedy nie zwrócił szczególnej uwagi. Szczerze mówiąc, podejrzewał, że oficer zażartował sobie z niego. Zapytano go pewnego razu, co sądzi na temat INTESP albo Wydziału E, które wykorzystywały w zadaniach szpiegowskich nadzwyczajnie czułą percepcję zmysłów.

Nie miał w tym przedmiocie najmniejszego rozeznania, ale prawdopodobnie trudno byłoby mu uwierzyć w skuteczność tej metody, nawet wtedy, gdyby miał o tym ja-

kieś pojecie.

— Gdyby telepatia była wiarygodna — powiedział do Khuwa — nie potrzebowaliby mnie tu wysyłać, czyż nie tak? I nigdy nie istniałyby już żadne sekrety!

— Tak, tak, zgadza się — odpowiedział Khuw po chwili milczenia. — Kiedyś myślałem dokładnie w ten sam sposób i jak słusznie zauważyłeś — zatoczył łuk ręką — to wszystko jest wystarczająco mocne.

„Tym wszystkim" była w tym momencie sala gimnastyczna, w której Jazz dochodził ostatnio do sprawności fizycznej, głęboko osłabiony dwutygodniowym leżeniem w łóżku. Wciąż jeszcze dokuczała mu świadomość, że tak łatwo wydobyli z niego wszystkie informacje.

Zatrzymali się i Karl Wiotski mógł ściągnąć swój pulower, aby przez kilka minut poćwiczyć podnoszenie ciężarów. Jazz nie miał wątpliwości, że na każde pytanie, jakie zada Khuwowi, uzyska szczerą, wyczerpującą odpowiedź. Oficer KGB był w tym szacunku dla swojego rozmówcy rozbrajający. Nie miał bowiem nic do stracenia. Wiedział, że Jazz nigdy nie opuści tego miejsca. Na to się przynajmniej zanosiło.

— Zaskakujesz mnie — powiedział. — Mówiłeś tak, jakby amerykańskie osiągnięcia utrudniały wam pracę. Tymczasem uważano, że jestem w siedemdziesięciu pięciu procentach odporny na „złamanie", a wy bez kłopotu wyciągnęliście ze mnie wszystko. Bez gróźb, bez tortur — a jednak ani przez chwilę nie byłem panem siebie! Jak dokonaliście tego, u diabła!

Khuw spojrzał na niego, a potem przez jakiś czas obserwował Wiotskiego. Karl podnosił kilkudziesięciokilogramowe ciężary z dziecinną łatwością. Był olbrzymem. Miał prawie dwa metry wzrostu i ważył ponad dziewięćdziesiąt kilogramów. Wydawało się, że nie ma szyi. Klatka piersiowa rysowała się potężnie ponad wąską talią. Jego uda były krągłe i ciasno wypełniały opięte na nich niebieskie spodnie. Poczuł na sobie wzrok Jazza, obrócił się i naprężył muskuły, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

— Może chciałbyś ze mną poćwiczyć, Brytyjczyku? — z hałasem upuścił sztangę na podłogę. — A może spotkamy się na ringu z gołymi pięściami?

— Powiedz tylko słowo Iwan — odrzekł niskim głosem Jazz, uśmiechając się półgębkiem. — Cały czas jestem ci coś winien za te dwa zęby, nie pamiętasz?!

Zęby Wiotskiego znów błysnęły w kudłatej brodzie, ale tym razem uśmiech był szczery.

— Nie próbuj szczęścia z Karlem, przyjacielu — odezwał się Khuw. — Ma w rękach ze sto kilogramów i dziesięć lat doświadczenia. A w dodatku znany jest z pewnych złych zwyczajów. To prawda, że tam, w górach, wybił ci zęby, ale i tak możesz się uważać za szczęściarza. Chciał skręcić ci kark. Zrobiłby to bez większego wysiłku i z dużą ochotą. W innym przypadku mógłbym mu nawet na to pozwolić. Tym razem jednak byłaby to zbyt duża strata.

Przeszli przez salę gimnastyczną i znaleźli się w pomieszczeniu, którego centralną część zajmował mały basen pływacki. Nie był on, w przeciwieństwie do większości basenów, wyłożony terakotą, lecz po prostu wykuty w skale. Kilkanaście osób zażywało właśnie kąpieli w podgrzanej wodzie. Dwie kobiety odbijały między sobą plastykową piłkę. Jakiś chudy, łysiejący mężczyzna próbował skakać z trampoliny, ale nie prezentował zbyt zgrabnego stylu.

— Jeśli chodzi o twoje przesłuchanie — powiedział Khuw, wzruszając ramionami — no cóż, istnieją różne technologie. Zachód ma swoją miniaturyzację i elektronikę, a my mamy naszych...

— Bułgarskich chemików? — wpadł mu w słowo Jazz. Wykafelkowana ścieżka wokół basenu była mokra. Agent poślizgnął się nagle i stracił równowagę. Wiotski błyskawicznie chwycił go za ramiona z ogromną siłą i utrzymał w pozycji pionowej. Jazz zaklął pod nosem.

— Zdajesz sobie sprawę, jak niewygodnie spaceruje się w czymś takim?

— To prosta, ale niezbędna ostrożność — odparł Khuw. — Przykro mi. Większość personelu nie jest uzbrojona. Są naukowcami, a nie żołnierzami. Bezpieczeństwa Projektu bronią oczywiście żołnierze, ale ich baraki znajdują się gdzie indziej. Niedaleko stąd. Co prawda, jest tu garstka wojskowych, ale to są specjaliści. Tak więc, gdybyśmy stracili ciebie z oczu, mógłbyś narobić dużo szkody.

Przeszli przez kolejne drzwi. Za nimi znajdował się lekko zakrzywiony korytarz. Jazz domyślił się, że jest to tak zwana „obwodnica". Miała ściany wyłożone blachą i gumową podłogę. Tunel obiegał cały środkowy poziom kompleksu. Wszystkie znajdujące się w nim drzwi prowadziły do wnętrza tego zamkniętego obwodu, to znaczy do najważniejszej części Projektu. Wciąż jeszcze kilka z nich kryło przed Jazzem swoje tajemnice. Pokazano mu już część mieszkalną, szpital, pokoje rekreacyjne, jadalnię i niektóre laboratoria. Nie widział jeszcze tylko samej maszyny, jeśli w ogóle znajdowała się tu bestia, której szukał. Ale dzisiaj Khuw obiecał mu, że odkryje przed nim serce tego miejsca.

Khuw prowadził. Jazz podążał za nim, a Wiotski zamykał pochód. Mijali ich ludzie ubrani w fartuchy laboratoryjne lub kombinezony. Jedni trzymali w rękach tylko notesy, inni nosili części maszyn i instrumentów, jeszcze inni jakieś przyrządy pomiarowe. Atmosfera wnętrz przypominała ruch w wysoko wyspecjalizowanym przedsiębiorstwie w dowolnym punkcie świata.

— Pytałeś mnie o przesłuchanie — odezwał się Khuw. — No cóż, masz rację, jeśli chodzi o naszych bułgarskich przyjaciół. Rzeczywiście, w pewnych dziedzinach są niezastąpieni. Domyślasz się, że nie mówię o ich doskonałych winach. Pigułki miały wywołać ból — powodowały skurcz mięśni i wzmagały wrażliwość. Zastrzyki zawierały w połowie narkotyk, a w połowie środek uspokajający. Efektem ich działania było to, że stawałeś się bardzo podatny na sugestię. Niewiele było rzeczy, których nie zrobiłbyś,

gdybyśmy ciebie o to wtedy poprosili. Wierz mi, wykonałbyś każde nasze polecenie! Twój oficer przesłuchujący nie tylko doskonale zna angielski. Jest też najwyższej klasy psychologiem. O nic nie musisz siebie obwiniać! Naprawdę nie miałeś wyboru. Byłeś przekonany, że znajdujesz się w domu i wypełniasz tylko swój obowiązek.

Jazz lekko chrząknął w odpowiedzi. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Była to maska, którą przybrał od czasu, kiedy odkrył oszustwo.

— Oczywiście — kontynuował Khuw — wasi brytyjscy naukowcy są równie błyskotliwymi chemikami na swój sposób. Na przykład ta kapsułka w twoich ustach: tutaj, w Projekcie, nie bylibyśmy w stanie rozszyfrować składu zawartej w niej substancji. Możesz być zaskoczony, ale nie jesteśmy tu wyposażeni w wysokiej klasy urządzenia analityczne — nie jest to aparatura, której potrzebował Projekt. Potrafiliśmy jednak stwierdzić, że jej budowa chemiczna jest niezwykle skomplikowana. Dlatego też, substancja ta została przekazana moskiewskim instytutom badawczym. Kto wie, może i my będziemy mieli z niej jakiś pożytek?

Przez cały czas trwania rozmowy Khuw ukradkiem obserwował Jazza. Robił to bardzo często w ciągu ostatnich kilku tygodni. Widział przed sobą trzydziestoletniego mężczyznę, na którego barki szefowie zachodnich tajnych służb złożyli ciężar niezwykłej odpowiedzialności. Musieli więc bardzo wierzyć w jego możliwości. A jednak pomimo wszystkich treningów Simmonsa, pomimo jego psychicznej i fizycznej sprawności, okazał się on nie dość doświadczonym wywiadowcą.

Anglik miał około metr osiemdziesiąt wzrostu, może dwa centymetry mniej niż sam Khuw. W czasie, kiedy mieszkał w wiosce jako drwal, wyrosła mu ruda broda, która pasowała do jego bujnych włosów. Kiedy ją zgolono, odkryła ostro zarysowaną szczękę i lekko zapadnięte policzki. Pomimo młodego wieku czoło Simmonsa przecinały głębokie bruzdy, a jego brwi były zawsze lekko zmarszczone. Nawet biorąc poprawkę na sytuację, w jakiej się znajdował, nie wyglądał na szczęśliwego człowieka. Można było wręcz pomyśleć, że ma się do czynienia z człowiekiem, który nigdy nie czuł się naprawdę szczęśliwy. Miał zielone oczy, spojrzenie uważne i przenikliwe. Jego zęby były silne, białe i w bardzo dobrym stanie. Na mocnej szyi nosił błyszczący krzyżyk na srebrnym łańcuszku. Dłonie miał twarde, o długich, wąskich palcach. Wydawało się, że jego ramiona są odrobinę za długie, co dawało jego postaci pozór pewnej niezgrabności. Ale Khuw wiedział, iż jest to tylko złudzenie. Simmons był bardzo zręczny i wysportowany, a jego umysł pracował bez zarzutu.

Dotarli do części obwodnicy, której Jazz nigdy przedtem nie odwiedzał. Personel Projektu nie był tutaj aż tak widoczny. Kiedy skręcili w następne załamanie korytarza, przed nimi ukazały się drzwi całkowicie blokujące przejście. Już parę metrów przed nimi sufit i ściany pokrywała czarna sadza jak po pożarze. Naokoło widniały wielkie, smoliste smugi. Bliżej wrót skała sklepienia prawdopodobnie stopiła się jak wosk i za-

stygła na chłodniejszych ścianach. Gumowe płytki pokrywające podłogę zwęgliły się. Widniały pod nimi metalowe, dawniej ułożone na styk płyty, powyrywane teraz ze swoich miejsc.

Jazz odniósł paradoksalne wrażenie, że do półki na zewnętrznej ścianie korytarza przymocowano miotacze ognia, stanowiące wyposażenie Armii Radzieckiej i użyto ich, kierując płomienie w stronę drzwi. Postanowił rozwikłać ten tajemniczy problem.

— „Incydent perchorski" — powiedział, obserwując reakcję Khuwa.

— Zgadza się. — Wyraz twarzy Rosjanina nie zmienił się. Spojrzał Jazzowi prosto w oczy. — Teraz zamierzam uwolnić cię z twojego kaftana. Powód? Na dole, w niższych poziomach będziesz potrzebował więcej swobody ruchów. Nie chcę, żebyś gdzieś spadł i pokaleczył się. Ale uważaj! Przy każdej próbie zbędnego gestu, Karl ma ścisłe polecenie natychmiast cię unieszkodliwić. I nie musi być przy tym zbyt delikatny. Powinieneś też wiedzieć, że jeśli zboczysz z wyznaczonego szlaku, możesz łatwo znaleźć się na obszarze o wysokiej radioaktywności. Moglibyśmy, co prawda, odkazić i zneutralizować cały ten teren, ale nie mamy powodu, żeby ponosić zbędne koszty. Nie zamierzamy bowiem wykorzystywać tego miejsca w przyszłości. Tak więc bez względu na to, ile czasu upłynie, zanim wydostaniemy cię z jakiegoś kąta — i tak zrujnujesz swoje zdrowie. Zrozumiałeś?

Jazz skinął głową.

— Naprawdę myślisz, że mógłbym próbować ucieczki? Dokąd, na miłość boską!?

— Już wcześniej ci powiedziałem — przypomniał Khuw, podczas gdy Wiotski rozplątywał liczne węzły w kaftanie agenta — że nie obchodzi nas, czy będziesz chciał stąd uciec, ale chcielibyśmy zaoszczędzić sobie szkód, jakie mógłbyś przy tej okazji wyrządzić. Mógłby to być nawet sabotaż na dużą skalę. A to pociągnęłoby za sobą zbyt niebezpieczne konsekwencje. Nie tylko dla nas, ale i dla całego świata!

Po raz pierwszy Jazz zmienił się na twarzy. Jego usta skrzywiły się w ironicznym uśmiechu.

— Jesteśmy trochę melodramatyczni, co, towarzyszu? Myślę, że oglądałeś zbyt wiele odcinków Jamesa Bonda!

— Tak myślisz? — powiedział Khuw. Jego lekko skośne oczy były teraz zwężone i jeszcze bardziej błyszczące. — Naprawdę tak myślisz?

Wyjął z kieszeni klucz i odwrócił się w stronę metalowych drzwi. Blokowało je urządzenie spotykane w sejfach bankowych, z ciężkim stalowym kołem do ręcznego odsunięcia zasuwy. W chwili, kiedy Khuw zamierzał właśnie umieścić w zamku swój klucz, koło poruszyło się o ćwierć obrotu i drzwi zaczęły się odsuwać. Khuw cofnął się. Ktoś zamierzał przejść z przeciwnej strony. Drzwi wreszcie otworzyły się całkowicie. Pokazała się w nich grupa techników i dwóch mężczyzn w eleganckich, cywilnych garniturach. Jeden z nich, roześmiany, jowialny grubas z plakietką na klapie marynarki: Bardzo

Ważna Osoba. Drugi, z ponurą twarzą, niski i szczupły. Na policzku miał okropną bliznę, głowę zaś wygoloną do połowy.

Jazz już go kiedyś spotkał. Wiedział, że jest to Wiktor Łuchow, dyrektor Projektu Perchorsk. Poza niewielkimi obrażeniami głowy wyszedł cało z obu „incydentów perchorskich".

Khuw wymienił z obydwoma mężczyznami zdawkowe pozdrowienia i poczekał, aż minie go reszta grupy. Następnie Jazz wraz ze swoją eskortą przeszedł przez drzwi, a major zamknął je za sobą na klucz.

Uszkodzenia korytarza okazały się bardzo powierzchowne. Jazz patrzył i próbował znaleźć jakąś regułę w panującym tu chaosie. Wszędzie można było zauważyć ślady po straszliwym ogniu. Stalowe podpory sczerniały i miejscami stopiły się. Metalowe podstawy pod nimi zastąpiono drewnianymi podkładkami. Powierzchnia zewnętrznej kamiennej ściany — praktycznie lita skała — była czarna, ponura i szorstka. Wyglądała jak lawa, która spływając, zastygła w drodze. Metalowe krzesło, a może był to stolik, żar poskręcał w dziwaczną figurę. Kompozycja ta wystawała z dużego bąbla, na ścianie czernił się otwór. Był to wylot wbitej w nią wielkiej rury, a właściwie cylindra. Miał około dwunastu stóp średnicy i biegł do wnętrza skały pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Z cylindra wyciekał potężny sopel lawy.

Jazz zajrzał w ciemną gardziel. Chciał zrozumieć, w jaki sposób cylinder został wbity, czy też wwiercony w twardy kamień. Wyciągnął rękę i dotknął krawędzi otworu wokół wylotu rury. Skała była w tym miejscu gładka jak szkło — nie taka, jak wylewająca się niżej ziarnista lawa. Czuł, że Khuw go obserwuje, więc spojrzał na niego pytająco.

— Słyszałem, że kiedyś miało to kwadratowy przekrój o boku niniejszym niż dwa metry — powiedział Khuw. — A także, że było wyłożone od wewnątrz idealnie czystymi lustrami ze szkła o bardzo wysokiej gęstości na podkładzie nieprzepuszczalnej ceramiki. Dawały one prawie stuprocentowe odbicie. Tyle zostało z tego, co określiłeś jako „incydent perchorski". Można powiedzieć — oto, czym kończy się próba przepchnięcia kuli przez zbyt mały otwór w kształcie kwadratu, nieprawdaż? Oczywiście, nie było mnie tutaj, kiedy to się stało. Widzisz Michael — wybacz poufałość — mój zawód związany jest z tą dziedziną wywiadu, w którą ty absolutnie nie wierzysz. Mam na myśli Wydział E; wspomniałem o nim niedawno.

Jazz milczał. Rozglądał się, próbując zakodować w pamięci wszystko, co tu widział i słyszał. Nie wiedział jeszcze, na co mogłoby mu się to przydać, ale przynajmniej ćwiczył umysł.

— Tak Michael, Wydział E — podjął Khuw. — Wy też macie podobny i dlatego tak bardzo nas interesowało, czy jesteś członkiem tej organizacji. Gdybyś był — wzruszył ramionami — musielibyśmy pozbyć się ciebie.

Jazz uniósł swym zwyczajem brwi.

— No tak — ciągnął Khuw od niechcenia. — Nie mogliśmy przecież pozwolić tobie na telepatyczne przesłanie informacji o tym miejscu. Byłoby bardzo niebezpieczne, gdyby świat się o nim dowiedział. Mogłoby to doprowadzić nawet do trzeciej wojny światowej!

— Bardzo melodramatyczne — wymamrotał Jazz.

Khuw spojrzał na niego.

— W końcu zrozumiesz — powiedział. Ale najpierw usiądź gdzieś wygodnie, a ja opowiem ci wszystko, czego miałeś się tu dowiedzieć. Widzisz, prawdę mówiąc, chcę, żebyś dokładnie zrozumiał to, co usłyszysz. Później dowiesz się, dlaczego.

Khuw oparł się o skalną ścianę, a Jazz przysiadł na wystającym z lawy fragmencie stalowego biurka. Wiotski nadal stał, uważnie ich obserwując. Słychać było tylko głos Khuwa i łagodny szum instalacji klimatyzacyjnej. Poza tym panowała tam cisza.

— Za to, co tu widzisz, należałoby winić przede wszystkim amerykański scenariusz „gwiezdnych wojen" — zaczął. — Oczywiście, termin ten nie istnieje tak długo, jak idea, z której wyrasta. Wiedzieliśmy o niej od początku z tradycyjnych źródeł wywiadowczych. Jeśli chodzi o Projekt Perchorsk, był on tylko czystą teorią, zanim Stany zaczęły wprowadzać w życie swój plan obrony kosmicznej. A dalej, historia stara jak świat: nasz system obrony musiał być jeszcze lepszy. Jeśli „gwiezdne wojny" oznaczałyby zniszczenie w dziewięćdziesięciu pięciu procentach naszego potencjału nuklearnego, musieliśmy skutecznie zabezpieczyć się przed uderzeniem z Zachodu. Perchorsk miał być na tym polu pierwszym krokiem, przygotowaniem gruntu. Gdyby Projekt się powiódł, podobne instalacje miały zostać rozlokowane na obszarze całej Rosji. Przygraniczne republiki mogłyby, co prawda, ulec zagładzie, ale serce kraju pozostałoby nienaruszone! Wszystko jasne do tej pory?

Jazz przechylił głowę na bok.

— Chcesz mi powiedzieć, że to — powiódł wokół siebie oczami — nie miało być nowym rodzajem broni?

— Dokładnie — przytaknął Khuw. — Miało to być przeciwieństwem broni: tarczą. Przeciwatomowym parasolem nad centralną częścią Związku Radzieckiego. Och! Widzę, że to cię zainteresowało. Nareszcie się ożywiłeś! Mam mówić dalej?

— No jasne! — odrzekł Jazz krótko.

— Nie pytaj mnie o szczegóły techniczne — Khuw powrócił do swej opowieści. — Jestem, no cóż, policjantem, a nie fizykiem! Mózgiem był Franz Ajwaz, prowadzący prace poza Perchorskiem i jego asystent Wiktor Łuchow. Ajwaz, jak może już wiesz, miał swój udział w badaniach nad strumieniem cząstek elementarnych. Prowadził pionierskie prace na polu techniki laserowej. Jego autorytet był niepodważalny, a jego teoria — przynajmniej na papierze — spełniała wszystkie warunki skutecznej obrony w wojnie atomowej. Pozwalała całkowicie zneutralizować ładunek nuklearny każdego zdal-

nie sterowanego pocisku. Oto dlaczego narodził się Projekt Perchorsk. Niestety, dwa lata temu zdarzyła się tragedia. Ajwaz zginał wraz ze swoją ideą. Łuchow pozostał, zbierając informacje i składając wszystko, co można było odratować. A oto, co się wydarzyło.

Przypuszczano, że proces nuklearny będzie wyglądać następująco: na dole, na niższych poziomach, miało być wytwarzane promieniowanie. Tam też znajdowało się najwięcej sprzętu i przyrządów. Wiązka energii przyśpieszona do granic możliwości, pobudzona uderzeniami atomowymi, miała być wypuszczona przez ten cylinder i emitowana w wąwóz jak gigantyczny laser. Kiedy cylinder wynurzyłby się na dnie wąwozu, lustra miały spowodować rozbicie wiązki na kształt skrzydeł wentylatora, który wirując, wzbiłby się w niebo aż w przestrzeń kosmiczną. Tak miał wyglądać test. Nic więcej.

Niestety nastąpiła awaria silników kierujących ruchem luster. Zablokowały się w najgorszej z możliwych pozycji i w najmniej sprzyjającym momencie. Inna sprawa, że naukowcy znajdowali się tutaj pod ogromną presją. Pracowali pośpiesznie i w nie najlepszych warunkach. Nie zamontowano jeszcze wielu urządzeń zabezpieczających. Wiesz, co się dzieje, kiedy zatkasz lufę pistoletu i naciśniesz spust? Ale nie muszę tego chyba tłumaczyć takiemu specowi od strzelania!

W każdym razie, zdarzyło się tu właśnie coś takiego. Energia, wystarczająca do pokonania w kosmosie drogi od Afganistanu do Ziemi Franciszka Józefa, została uwięziona, zablokowana wewnątrz cylindra i skierowana z powrotem do własnego źródła. Nastąpiło zderzenie niesamowitych sił — niemal już materialne promieniowanie w zetknięciu z niewiarygodnie wysoką temperaturą wywołało błyskawiczną reakcję. To jest, oczywiście, moje amatorskie wytłumaczenie trudnych kwestii technicznych. Musiałbyś porozmawiać z Łuchowem, jeśli chcesz poznać szczegóły, ale mogę cię zapewnić, że nie będziesz w stanie go zrozumieć. Tak więc... to był „incydent perchorski" — „IP", jak go nazywacie na Zachodzie. Bałagan, jaki tutaj widzisz, jest niczym w porównaniu ze skalą dewastacji niższych poziomów. Pójdziemy tam za chwilę. Jeśli chodzi o ludzi... Pośpiech kosztował nas bardzo dużo, Michael, piekielnie dużo. A jednak nie tak wiele w porównaniu z tym, ile być może przyjdzie nam jeszcze zapłacić...

Echo tych zagadkowych słów nie przebrzmiało, kiedy Khuw energicznie wyprostował się.

— Zejdźmy głębiej — powiedział szybko — od razu! Dwa poziomy niżej, być może, odczujesz ogrom katastrofy!

Znów utworzyli zamykany przez Wiotskiego pochód. Zeszli po szerokich schodach, ułożonych z drewnianych bali, do świata czystej fantazji.

Jazz jedną ręka lekko trzymał się poręczy i spoglądał na rysujący się przed nim obraz. Oświetlenie ledwo rozpraszało mrok, ale to, co ujrzał, sprawiało nieprzyjemne, wręcz przerażające wrażenie.

Minęli plątaninę kawałków stopionego plastyku, nadpalonych kamieni i błyszczącego metalu. Po obu stronach korytarza. Jazz zauważył zadziwiająco regularne tuneliki o średnicy około dwóch, trzech stóp. Wyglądało to jak podziurawione przez robaki drewno, z tą różnicą, że tuneliki zostały wydrążone w twardej, litej skale. Agentowi przyszło do głowy, że jakaś nadludzka siła próbowała zrobić tu ze wszystkiego jednolitą masę. Albo przynajmniej przekształcić wszystko w inny rodzaj materii. Zupełnie tak, jak gdyby wrzucono różne rzeczy do jednego kotła, a potem zamieszano powstałą miksturę. Wyglądało to jak różnobarwna plastelina, ukształtowana w rękach dziecka.

— Będzie jeszcze gorzej — powiedział cicho Khuw, prowadząc ciągle w dół. — Te dziwne tunele nie zostały wycięte w skale. One zostały wyżarte przez energię tryskającą na boki w czasie tej fatalnej „nawrotki".

Dotarli do gładkiej, pionowej ściany. Wyglądała jak świeżo powstałe urwisko. Skręcili w prawo pod kątem prostym i dalej szli w dół. Zamiast drewnianych schodów mieli teraz pod stopami łagodne pochyloną drewnianą rampę. Pod belkami widać było chaotyczne, nieregularne wybrzuszenia i mieszaninę najprzeróżniejszych przedmiotów. Przez tę dziwną materię biegły takie same, wywiercone przez energię tunele.

— Wyżarte? — Jazz powrócił do usłyszanego wcześniej słowa. — Powiedziałeś, że te otwory zostały wyżarte — ale w jaki sposób?

— Może lepiej byłoby powiedzieć „przekształcone"? — Khuw spojrzał na niego. — Być może, to słowo wyraźnie obrazuje problem. Skała rzeczywiście została tu zamieniona w energię. Jeśli jednak będziesz bardziej cierpliwy, zobaczysz doskonalszy przykład. Dochodzimy do miejsca, gdzie trzymaliśmy naszą pigułkę. Ona także została przekształcona.

— Pigułkę? — Umysł Jazza nie mógł przez chwilę nadążyć za słowami Khuwa.

— Pigułkę atomową, rzecz jasna, która była głównym źródłem mocy Projektu — wyjaśnił Rosjanin. — Powracający strumień „połknął" ją, a potem — jak się wydaje — „połknął" sam siebie!

Jazz miałby o co pytać dalej po takim stwierdzeniu, ale tymczasem na skalnej ścianie odsłonił się wielki otwór. Nikt nie musiał mówić agentowi, że ten stromo opadający na lewo tunel stanowił dalszą część cylindra, którego wylot oglądał na wyższym poziomie. Wewnątrz cylindra poprowadzono znów schody. Przed sobą w dole dostrzegł biały dysk jasnego światła. Było ono oślepiające — nawet tak oddalone — w zderzeniu z mrokiem wiodącego tutaj korytarza. Jazz musiał osłonić oczy. Zobaczył młodego radzieckiego żołnierza opartego o pochylą ścianę. Ten, gdy tylko ich zauważył, stanął na baczność i zasalutował.

— Spocznij — powiedział Khuw. — Potrzebujemy okularów.

Żołnierz oparł karabin o ścianę i sięgnął do torby, którą miał przewieszoną przez ramię. Wyciągnął stamtąd trzy pary okularów z ciemnego celofanu w tekturowych ram-

kach. W takich samych Jazz oglądał kiedyś film trójwymiarowy.

— Do osłony przed światłem — niepotrzebnie wyjaśnił Khuw. — Może oślepić ciebie, zanim zdążysz do niego przywyknąć.

Pierwszy włożył okulary. Jazz zrobił to samo i podążył za nim po stromych schodach. Z tyłu rozległ się stukot karabinu, potrąconego widocznie przez żołnierza.

— Idiota! Oferma! Chcesz żeby cię spotkało coś złego? — rozległ się opryskliwy, groźny głos Wiotskiego.

— Nie, towarzyszu oficerze! — wyjąkał żołnierz. — Przepraszam, towarzyszu oficerze. Ześlizgnął się.

— Do cholery, i masz za co przepraszać! — ciągnął bezlitośnie Karl. — I nie tylko za karabin. Po co ty tu właściwie, u diabła, stoisz? Jesteś wartownikiem i masz za zadanie pilnować wstępu do tego miejsca! Znasz nas? Wiesz kim jesteśmy?

— Och, tak, towarzyszu oficerze! — zaczął mówić żołnierz drżącym głosem. — Mężczyzna na czele, to towarzysz major Khuw, wy również jesteście oficerem KGB. A trzeci mężczyzna jest... jest... waszym przyjacielem, towarzyszu oficerze!

— Błazen! — syknął Wiotski. — On nie jest żadnym moim przyjacielem. Ani twoim. Ani niczyim w całym tym cholernym miejscu!

— Towarzyszu oficerze, ja...

— Trzymaj karabin przed sobą — warknął Wiotski. — Wyprostuj ramiona, palec na spust. Co ty, u diabła...? Ramiona wyprostowane, powiedziałem! Tak trzymaj i licz do dwustu, powoli! Potem wróć do pozycji baczność! I jeśli jeszcze raz zobaczę, że leniuchujesz, rzucę cię na pożarcie temu białemu piekłu tam na dole. Zrozumiano!

— Tak jest, towarzyszu oficerze!

— Służbista z tego naszego Karla — mruknął Jazz. Khuw obejrzał się i potrząsnął głową.

— Niezupełnie. Dyscyplina nie jest jego mocną stroną. Ale sadyzm — tak. Nie znoszę tego, ale ma to swoje zalety...

Na końcu cylindra znajdowała się otoczona poręczami platforma. Stanowiła punkt, od którego schody biegły dalej w lewo. Zatrzymali się. Czekając na Wiotskiego, przyglądali się fantastycznemu widokowi. Byli w ogromnej grocie, która w żaden sposób nie przypominała naturalnej jaskini. Jazz spostrzegł od razu, że w skale wydrążony został kształt idealnie kulisty. Gigantyczny bąbel pod podstawą góry. Bańka o średnicy co najmniej dwustu stóp. Czarna, wygięta w łuk skała była idealnie gładka, z wyjątkiem ginących w ścianach tunelików wyżłobionych nawet w kopulastym sklepieniu. Platformę zamontowano dokładnie ponad środkiem kuli. W samym centrum groty znajdowało się źródło panującego tu blasku i ono właśnie sprawiało najbardziej niesamowite wrażenie...

Była to świetlista kula o średnicy około trzydziestu stóp „zawieszona" w połowie od-

ległości między skrajnymi punktami sferycznego wnętrza. Lśniące zjawisko uniesione w bezruchu w pęcherzu otaczającego go ze wszystkich stron powietrza.

Blask tak bardzo oślepiał, że pomimo okularów Jazz musiał zmrużyć oczy. Dopiero wtedy zobaczył, co jeszcze znajduje się w kamiennej jaskini. W połowie wysokości wokół płomienia biegła wzdłuż ścian pajęcza sieć stalowego rusztowania. Wspierało ono drewniany pomost obiegający błyszczącą kulę. Ten widok skojarzył się Jazzowi z pierścieniami wokół Saturna. W pewnym miejscu wąska ścieżka wiodła promieniście do wnętrza groty aż do samego źródła światła.

Na zewnątrz zaś, przyparte do zakrzywionych ścian, znajdowały się trzy stanowiska dział Katuszewa. Podstawy pod nimi umocniono dodatkowymi podporami. Wycelowane prosto w świetliste centrum, posiadały pełną obsługę w stanie gotowości bojowej. Twarze żołnierzy były białe jakby nie z tego świata, przysłonięte do połowy goglami. Z hełmów sterczały anteny. Pomiędzy działami a kulą wznosiło się wysokie na dziesięć stóp, zelektryfikowane ogrodzenie.

Ruch wśród żołnierzy był minimalny, a w powietrzu unosiła się gęsta atmosfera strachu i przerażenia.

Jazz chwycił się drewnianej poręczy i zarejestrował ten obraz głęboko w pamięci.

— Co to takiego, na Boga? — zawołał. Odwrócił się i spojrzał na Khuwa. — Widziałem transport z tą bronią tej nocy, kiedy mnie złapaliście. To ogrodzenie także. Myślałem, że to wszystko ma posłużyć do obrony Projektu przed atakiem z zewnątrz. Ale od wewnątrz? Chryste, to nie ma żadnego sensu! Co to jest? I dlaczego ci wszyscy ludzie tak panicznie się tego boją?

Nagle bez żadnych wskazówek, odpowiedź sama przyszła mu do głowy. Na pewno niepełna, ale wystarczająco dokładna. W jednej chwili wszystko stało się oczywiste. W szczególności powietrzne monstrum, z którym amerykańskie myśliwce stoczyły bitwę i które — pokonane — zapadło się pod ziemię w postaci płomiennej kuli na zachodnim wybrzeżu Zatoki Hudsona.

Wiotski cicho stanął za plecami Jazza i Khuwa. Swą ciężką rękę położył na ramieniu agenta.

— Pytasz, co to takiego, Angliku? To rodzaj bramy. I wcale nie boimy się tego aż tak bardzo.

Jazz zauważył jednak, że Wiotski mówił zmienionym, przejętym trwogą głosem.

— Karl ma rację — dodał Khuw. — Nie, nie boimy się tej Bramy jako takiej, ale każdy przy zdrowych zmysłach obawiałby się czegoś, co od czasu do czasu przez nią przechodzi!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Brama do...

Zaczęli schodzić po drewnianych stopniach. Zatrzymali się w odległości dziesięciu stóp od przejścia, na ścieżce prowadzącej do świecącego zimnym blaskiem serca.

— Co o tym sądzisz? — Khuw spytał Jazza. — Mógł mieć na myśli wyłącznie to nieruchome, nie wydające żadnego dźwięku, a jednak groźne zjawisko. Znajdowali się najwyżej siedem kroków od niego.

— Powiedziałeś, że tu właśnie trzymaliście swoją atomową pigułkę — odparł Simmons. — Gdzie, w powietrzu? No dobra, żartuję, rzecz jasna. Czy to znaczy, że po „nawrotce" wszystko w promieniu sześćdziesięciu stóp od centrum tego..., wyparowało albo zdematerializowało się?

— Takie byłoby i moje niefachowe wyjaśnienie tej zagadki — powiedział Khuw — ale niezbyt trafne. Jak już podkreślałem, przekształcenie jest słowem najbliższym prawdy. Według Wiktora Łuchowa energia uwięzionego strumienia dostała się w pole oddziaływania energii ukrytej w pigułce. Możesz to przyrównać do przyciągania gwoździa przez magnes. W ostatecznej fuzji nie było żadnego wybuchu. Prawdopodobnie była to implozja, a nie eksplozja. W efekcie, cała materia wypełniająca to wnętrze, urządzenia, sprzęty i sama pigułka wraz ze swoją zawartością — wszystko we wnętrzu tej kuli — uległy przemianie. Również ludzie. Siedemnastu fizyków nuklearnych i techników zginęło na miejscu, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

Jazz był pod wrażeniem tej historii.

— A promieniowanie? Musiało nastąpić wyzwolenie potężnej...

— W porównaniu z tym, co mogło się wydarzyć, ucieczka promieni radioaktywnych była naprawdę niewielka. Niektóre z tych kanalików wykazywały pewną aktywność. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to zaczopować je. Niektóre z pomieszczeń na wyższych poziomach też były niebezpieczne, więc zostały zapieczętowane. Nie zamierzamy zresztą nigdy ich wykorzystywać. Problem stanowiła za to masa zalegająca w korytarzu. Plastyk, metal i kamienie, stopione w nierozerwalną całość, nie były jedynymi składnikami

tej melasy. Domyślasz się, co mam na myśli...

— W jaki sposób uprzątnęliście te... resztki? To musiał być koszmarny widok. — Jazz skrzywił się.

— I cały czas jest — powiedział Khuw. — Dlatego światło jest tam przytłumione. Użyliśmy kwasu. To było jedyne wyjście. Pozostały po nich tylko muldy. Pompeje muszą wyglądać podobnie, tylko że tam kształty ludzkie są rozpoznawalne, nie zaś wydłużone, skręcone albo... wywrócone od środka.

Jazz zamyślił się i zrezygnował z wypytywania o szczegóły.

— Musimy tak tu sterczeć? — powiedział w końcu zniecierpliwiony Wiotski. — Niepotrzebnie wystawiamy się tu na cel.

Jazz czuł głęboką niechęć do tego mężczyzny. Graniczyła ona wręcz z nienawiścią. Nienawidził go od chwili, kiedy go poznał, dokuczał mu przy każdej okazji. Teraz też uśmiechnął się szyderczo.

— Myślisz, że ich palce mogą się niechcący ześlizgnąć? — Wskazał głową na najbliższe stanowisko ogniowe. — A może oni też czują do ciebie jakąś urazę, co?

— Brytyjczyku — syknął Wiotski, robiąc krok w jego stronę. — Najchętniej przerzuciłbym cię przez ten płotek i patrzył, jak giniesz, podobny do ćmy w płomieniu świecy. Uważaj, żebyś kiedyś nie znalazł się zbyt blisko ognia!

— Uspokój się, Karl! — odezwał się Khuw. — On po prostu chce ci jakoś dorównać, to wszystko. — Potem zwrócił się do Jazza. — Karl wiedział, co mówi. Kiedy coś dziwnego zaczyna dziać się z kulą, żołnierze mają bezwzględny obowiązek natychmiast zniszczyć, albo raczej próbować zniszczyć wszystko, co się z niej wynurzy. Gdyby teraz wydarzyło się coś takiego, otworzyliby ogień, pomimo tego, że znajdujemy się w polu ostrzału. — Khuw lekko zadrżał. — Chodźmy stąd. To głupota kusić w ten sposób los. Coś takiego zdarzyło się już do tej pory pięć razy i nie ma żadnej gwarancji, że już się to nigdy nie powtórzy.

— Macie to nagrane na filmie? Jeśli regularnie... — Jazz zapytał, kiedy podeszli do schodów.

— Nieregularnie — poprawił go Khuw. — Nie można powiedzieć, że pięć razy w ciągu dwóch lat to dużo, ale wiem, o co ci chodzi. Och, tak, Michael. Szybko się czegoś nauczyliśmy. Po pierwszych dwóch przypadkach zamontowaliśmy tu kamery. Teraz też są przymocowane do dział. Włączają się automatycznie za każdym naciśnięciem spustu broni. Zarejestrują wszystko, co zobaczą ludzie. Jeśli chodzi o zdarzenie, które wasza strona nazwala „kometą" — nikt nie był wtedy przygotowany na coś takiego. Za drugim razem, to co wyszło, okazało się mniejsze, ale wciąż nie byliśmy gotowi na jego przyjęcie. Dopiero potem umieściliśmy tu na stałe kamery.

— Mam jakąkolwiek szansę zobaczyć to, o czym mówimy? — Jazz miał bardzo małą nadzieję, że kiedyś się stąd wydostanie. Ale przynajmniej próbował maksymalnie wyko-

rzystać swój pobyt w tym miejscu.

— Oczywiście — powiedział Khuw bez wahania. — Ale może wolisz zobaczyć coś o wiele bardziej interesującego od zwyczajnego filmu? — W jego głosie Simmons wyczuł ton, który nakazywał ostrożność. Niemniej postanowił zaryzykować.

— No cóż, nie musisz mnie zachęcać — odparł.

Za plecami usłyszał ponury, sardoniczny chichot Wiotskiego. Zaczął się zastanawiać, czy jego decyzja nie była zbyt pochopna...

Wrócili tymi samymi mrocznymi korytarzami do obwodnicy. Potem poszli do ściśle strzeżonej części Projektu, w której znajdowały się najważniejsze laboratoria. Minęli śluzę bezpieczeństwa i stanęli w końcu przed stalowymi drzwiami opatrzonymi wyraźnym napisem:

UWAGA!

WSTĘP DLA OPIEKUNA

I OSÓB UPOWAŻNIONYCH

WYŁĄCZNIE

„I znów ten melodramat?" — pomyślał Jazz. Khuw i Wiotski zachowywali jednak milczenie, więc stwierdził, że lepiej się do tego dostosować. Zastanawiał się jednocześnie, czym opiekuje się osoba wymieniona w ostrzeżeniu.

Khuw wyjął plastykową kartę identyfikacyjną i wsunął ją w szparę widoczną w drzwiach. Karta została przyjęta, sprawdzona i odesłana z powrotem. Samoczynnie otwierane drzwi rozsunęły się z cichym szumem. Zanim otworzyły się do końca, Khuw dał znak Wiotskiemu i ten przygasił w przedsionku światło. Jazz zwrócił uwagę na twarz Karla — bladą, ściągniętą i pokrytą kroplami potu. Nie budziło wątpliwości, że ten wielki Rosjanin jest twardy i okrutny, a jednak było coś, przed czym i on czuł respekt. Jazz miał za chwilę przekonać się, co to takiego.

Khuw wydawał się opanowany jak zwykle. Pozwolił Jazzowi jako pierwszemu przejść przez drzwi. Agent wchodził do środka z mieszanymi uczuciami. Wiotski szedł tuż za jego plecami. Na końcu wszedł Khuw i zamknął drzwi. W pomieszczeniu panowała prawie całkowita ciemność. Rozpraszało ją tylko czerwone światło kilku żarówek pod sufitem. Dzięki niemu można było zobaczyć ustawiony przy ścianie prostopadłościenny szklany zbiornik — wielkie akwarium.

— Jesteś gotów, Michael? — W ciemności rozległ się cichy głos Khuwa.

— Jak najbardziej — odparł Jazz. Wiedział doskonale, że nie przyszli tu oglądać złotych rybek.

Usłyszał ostry trzask i rozbłysło światło. Coś poruszało się w akwarium.

Wiotski wydał dźwięk, jak gdyby zachłysnął się powietrzem. Widział to już przedtem, wiedział, co to takiego, a jednak tamto doświadczenie nie powstrzymało instynktownej reakcji. Jazz doskonale go tym razem rozumiał.

Ów stwór skręcał się i przelewał; patrzył przez grube szkło oczami, które mogły być oczami diabła. Miał wielkość dużego psa, ale nie był niczym konkretnym. Jakby przybysz z najbardziej koszmarnych snów. Nieustannie ruszał się, co uniemożliwiało dokładniejszą obserwację. Najgorsze zaś było to, że on sam nie zdawał sobie chyba sprawy z tego, czym jest.

Stwór na chwilę przywarł do szyby zbiornika i wtedy mógł uchodzić za olbrzymią pijawkę. Jego spód był pofałdowany i wyglądał jak wielka, wydłużona przyssawka. Jego ramiona, ogon i głowa mogłyby należeć do gigantycznego szczura. Tak wyglądał przez kilka sekund. Potem zaś — głowa i ramiona zaczęły się przekształcać i po błyskawicznej metamorfozie stały się niemal ludzkie. Potworne oblicze przycisnęło się teraz do szyby i beznamiętnie, ale jakoś żałośnie patrzyło na pokój. Nagle skrzywiło się — pojawił się na nim odpychający wyraz niby uśmiechu, niby pogardy i jego ludzkie szczęki rozwarły się... nieludzko szeroko. W tej paszczy ukazały się dwa rzędy zębów, jakich nie powstydziłaby się pirania.

Jazz gwałtownie cofnął się i potrącił Wiotskiego. Rosjanin wyciągnął ramiona i przytrzymał agenta. Tymczasem z kończyn hybrydy wysunęły się ostre pazury, którymi zaczęła skrobać szybę. Oblicze przekształciło się ponownie, tym razem w czarną, skórzaną maskę z zadartym ryjem i wielkimi, owłosionymi uszami jak u nietoperza. Pomiędzy kończynami pojawiła się błona i utworzyła skrzydła. Stwór odbił się od dna i podskoczył, uderzając w szklane przykrycie naczynia. Łagodnie opadł na piaszczyste dno.

Po chwili rzecz wydłużyła się, uformowała w szpadel i zakopała w piachu.

— Boże wszechmogący! — powiedział słabym głosem Jazz. Zamknął usta i popatrzył na obu Rosjan. — Chcecie mi powiedzieć, że ta potworność wydostała się z kuli światła, tak?

Khuw, którego twarz w ostrym świetle wydawała się teraz bledsza niż zwykle, przytaknął.

— Tak, przez Bramę — dodał.

— Ale jak, u licha, udało się wam to złapać? — powiedział oszołomiony Jazz.

— Jak pewnie zdążyłeś zauważyć — odpowiedział major — to nie lubi jasnego oświetlenia. Może dowolnie zmieniać swój kształt, ale wydaje się, że jego procesy umysłowe stoją na bardzo niskim poziomie. Jeśli on w ogóle myśli. Bardzo możliwe, że posiada tylko prymitywny zwierzęcy instynkt. Podejrzewamy, że potwór po prostu zaatakował Bramę od wewnątrz. Tam, w środku, musiała być wtedy noc, więc wziął zewnętrzne światło za swojego przeciwnika — a może — łatwą zdobycz. A kiedy wypadł na naszą stronę, został porażony jasnością. Na szczęście dla znajdujących się tam ludzi, potwór wślizgnął się w ucieczce przed światłem do jednego z kanalików. Ktoś był na tyle przytomny, że przesłonił wylot kanalika metalowym taboretem. Kiedy stwór próbował wydostać się na zewnątrz, wpadł w pułapkę.

— Od jak dawna... — Jazz miał ogromne kłopoty ze skoncentrowaniem się na tym, co chce powiedzieć. Nie mógł oderwać oczu od naczynia. — Od jak dawna to macie?

— Od osiemnastu miesięcy — odparł Khuw. — To był trzeci tego rodzaju wypadek.

— Ale powiedz mi, czym to się żywi? — Simmons sam nie wiedział, dlaczego o to pyta. Być może na wspomnienie przerażających zębów i tego, co Khuw mówił o zdobyczy.

Oczy majora zwęziły się. Otworzył drzwi i pokazał, żeby Jazz i Wiotski wyszli. Wrócili na obwodnicę i szli w milczeniu w kierunku kwatery Khuwa.

— Może to nie potrzebuje żadnego pożywienia? — odezwał się agent po chwili. Khuw nadal milczał, ale Wiotski wyręczył go w odpowiedzi.

— O tak, potrzebuje! Pożera ludzi i wszystko, co ma czerwone, soczyste wnętrzności! Opiekun karmi go krwią i ochłapami, które dostarcza mu przez tubę prowadzącą do akwarium. Wie dokładnie, ile pożywienia powinien mu podawać. Okazało się, że im więcej potwór jadł, tym stawał się większy i silniejszy. Jeśli był zaś niedożywiony, kurczył się i słabł. Kiedy już będzie wiadomo, jak można bezpiecznie się z tym obchodzić, będą próbowali odkryć, co pozwala temu zachowywać się w tak niesamowity sposób.

— Będą próbowali, kto?

— Specjaliści z Moskwy — powiedział Wiotski, wzruszając ramionami. — Ludzie z...

— Karl! — Khuw przerwał mu w połowie słowa. — Po prostu specjaliści — powiedział. — Może dzięki temu odkryją też coś na temat świata, z którego stwór pochodzi.

— A co z tymi miotaczami ognia, tam na dole? — Jazz przypomniał sobie, co go jeszcze zainteresowało w czasie ich wycieczki.

— Nie wiesz? — parsknął Wiotski. — Czyżbyś był aż tak głupi, Brytyjczyku?

— Gęsty ogień je zabija — powiedział Khuw. — Jak do tej pory to jedyna skuteczna broń w walce z nimi.

— Zaczynam rozumieć ich potencjał — powiedział Simmons sucho. — Nie musisz mi mówić, że ci specjaliści pochodzą z Instytutu Badań nad Bronią Chemiczną i Biologiczną, mam rację? — Fragmenty informacji zaczęty układać się w jego głowie w skomplikowaną całość.

Khuw nie odpowiedział. Na jego ustach błąkał się dziwny uśmiech. Simmons przytaknął sam sobie. Wyraz jego twarzy był mieszaniną sarkazmu i wzburzenia.

— A jak to się ma do broni biologicznej, co? — zapytał, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Jazz orientował się doskonale, że stąpa po kruchym lodzie. Chciał zbyt szybko zostawić za sobą drzwi, których Khuw jeszcze przed nim nie otworzył.

— Pamiętaj, że nie jesteś tu w roli krytyka. Jesteś szpiegiem, mordercą i potencjalnym sabotażystą. I zapamiętaj sobie, że nie wiesz jeszcze wszystkiego. My sami nie wie-

my wszystkiego! Broń? W jaki sposób? Gdybym ja miał zadecydować — poleciałbym zamknąć to miejsce na cztery spusty i pozostawić Bramę w spokoju. Jeśli to w ogóle jest wykonalne. Tego samego pragnie Wiktor Łuchow. Ale Projekt powstał ze środków i na polecenie Departamentu Obrony. Nie tylko nie kontrolujemy tej sytuacji, ale sami jesteśmy kontrolowani — mówił major. — Musisz się teraz zdecydować: możemy zostać przyjaciółmi albo zakończyć twoje przesłuchanie o wiele mniej sympatycznie. Wybór należy do ciebie.

Z jakiegoś powodu Jazzowi nie spodobał się sposób, w jaki Khuw wypowiedział to zdanie. Nie bardzo odpowiadało ono atmosferze ostatnich dni. Zastanawiał się, dlaczego są dla niego tacy uprzejmi i jaką korzyść wyciągną z tego dla siebie. Nie znalazł odpowiedzi na te wątpliwości, więc postanowił odłożyć to na później.

— W porządku, zgadzam się. Obaj robimy to, co musimy. Powiedz mi tylko jeszcze jedną rzecz i nie będę ci więcej przerywał. Khuw wprowadził Jazza i Wiotskiego do bawialni.

— Dobrze. Co to takiego?

— Chodzi o tego intruza z innego świata. — Jazz lekko pocierał nos. — Powiedziałeś, że ma opiekuna. Kogoś, kto się tym zajmuje, kto go karmi i obserwuje. Trudno wyobrazić sobie takiego człowieka. Musi mieć nerwy ze stali!

— Co? — Wiotski głośno parsknął śmiechem. — Myślisz, że to ochotnik? To naukowiec, mały człowieczek w grubych okularach. Całkowicie poświęcił się nauce, a także butelce...

— Alkoholik? — Jazz uniósł brwi.

— Obawiam się — powiedział po pewnym wahaniu Khuw — że nim zostanie...

Trzy godziny później Jazz leżał w swoim pokoju na metalowym wojskowym łóżku. Przed chwilą zjadł wieczorny posiłek — kanapki z wędliną i ciepła kawa były codziennie dostarczane do jego pokoju o tej porze. Minęła dziewiętnasta trzydzieści. Odpoczywał teraz i odtwarzał w pamięci fakty przekazane mu przez Khuwa. Rosjanin mówił przez półtorej godziny, prawie non stop. Simmons ani razu mu nie przerwał. Zresztą nie musiał, gdyż to co mówił major, było logiczne, przejrzyste i nie wymagało dodatkowych wyjaśnień. Poza tym opowieść okazała się tak fascynująca, że pochłonęła go bez reszty.

Stwór, który wyszedł ze świetlistej kuli był... tym, co sfilmowały kamery systemu AWACS i co zostało zestrzelone przez Amerykanów w potyczce nad Zatoką Hudsona. Teraz już wiadomo, że nie było to nic innego, tylko pokrewna istota stwora w szklanym akwarium. Ale kiedy nowych przybysz przecisnął się wtedy przez Bramę...

— Widziałeś, Michael, na filmie, jak to wyglądało w powietrzu. Ale to wydarzyło się już po tych wszystkich spustoszeniach tutaj, w wąwozie. Tu, na ziemi, było o wiele, wiele groźniej! Są ludzie, którzy przeżyli i którym można wierzyć. Najpierw jednak wyjaśnię

ci zasadę działania Bramy. Powłoka kuli jest zaprzeczeniem fizyki w naszym rozumieniu tej nauki. Wiktor Łuchow nazywa ją „horyzontem wydarzeń". Przedmioty mogą być na niej widoczne po tym, jak już się pokazały oraz zanim znalazły się na zewnątrz. Na kuli widoczne były najpierw jakby wyobrażenia odbite od siatkówki oka. Potem urzeczywistniały się i przebijały na zewnątrz.

Za pierwszym razem wszyscy widzieli nadejście rzeczy, ale nie wiedzieli, na co patrzą! Ujrzeli stopniowe ciemnienie górnej części sfery. Ciemna plama stawała się kształtem, a kształt rodzajem zamglonego trójwymiarowego obrazu. Na koniec zjawisko przekształciło się w upiorne straszydło. Miało głowę nietoperza. Najpierw wyglądało jak hologram, tyle tylko, że zaczęło powoli, bardzo powoli się zmieniać. Wszystko odbywało się jakby w zwolnionym tempie, fascynując widzów.

Teraz pomyśl! Mieli przecież broń. Tak się złożyło, że była tam grupa żołnierzy. Bez szczególnej przyczyny. Ot, przypadek. Ale kto by strzelał do czegoś takiego? Potem może tak, ale w czasie, kiedy powstawało? Posłuchaj — czy strzelałbyś w trójwymiarowy film na ekranie? A to było właśnie coś takiego. Obserwował to wszystko także Wiktor Łuchow. Myślisz, że pozwoliłby strzelać? W żadnym razie! Sam nie znał jeszcze właściwości sfery. A to mogło być jego... usprawiedliwienie! Nie zapomnij, że po odejściu Franza Ajwaza on ponosił całą odpowiedzialność za „incydent perchorski". A tu nagle, nie wiadomo skąd — ten fenomen!

W ciągu godziny obraz stawał się coraz wyraźniejszy. Jego kontury wyostrzyły się do dokładności obrazu telewizyjnego. Ludzie pochwycili kamery i zaczęli go filmować. Zresztą, do końca nie wierzyli, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Nagle — wydarzyło się to, co niemożliwe. Istota przeszła przez powłokę kuli. Monstrum przestało być nierealnym zjawiskiem. Kilka razy wciągnęło powietrze, a w następnej minucie znalazło się ponad ludźmi.

Raz przekroczona Brama została otwarta na dobre! Gigantyczny nietoperz zaczął węszyć i wyczuł swoje ofiary! Wtedy zmienił się! Twarz i cała głowa, które zdążyły wydostać się na zewnątrz, należały teraz do wielkiego wilka. Widziałeś transformację stwora w naczyniu? Wtedy było tak samo. Za wilczą głową wysunęły się ramiona, które — tak jak i reszta ciała — znów przypominały nietoperza. Olbrzymie skrzydła rozwinęły się i osiągnęły rozpiętość przekraczającą średnicę kuli.

Panika? Zapanował wprost nieopisany popłoch. Co gorsza, monstrum nie wyszło ze świata w ciszy, lecz z niesamowitym wrzaskiem. Jego głos ranił uszy! Zaczęło zabijać, zanim jeszcze całkowicie wydostało się na zewnątrz kuli. Ciągle też zmieniało swą postać, było ich co najmniej kilkanaście, a każda tak samo mordercza!

Porwało kable. Ach, tak, było prawie ślepe. I to okazało się dla nas zbawieniem, w przeciwnym razie szkody mogły być znacznie większe, choć trudno to sobie wyobrazić. Reagowało tylko na światło i nie mogło go znieść. Ale kiedy większość żarówek po-

gasła, jego wzrok jakby się wyostrzył. Uspokoiło się i z większym rozmysłem wyszukiwało swoje ofiary.

Żołnierze o mocniejszych nerwach zaczęli teraz strzelać. Trudno powiedzieć, czy ich kule raniły monstrum, ale na pewno zmasowany atak wystraszył je. Skierowało się w najciemniejsze miejsce — był nim, oczywiście, czarny wylot cylindra. Już wtedy przybrało postać, jaką oglądałeś na filmie. Przez cały czas wyciekał z niego jakiś śluz, paszczą, oczami i... wszystkimi wypustkami, jakie pojawiły się na jego obrzydliwym ciele. A niektóre z jego nowych kończyn odłączyły się i żyły nadal, jak wielkie robaki. To wyglądało odrażająco.

W końcu znalazło się w wąwozie, a wewnątrz góry pozostawiło pobojowisko, jęki rannych i konających. Projekt Perchorsk po raz drugi zmienił się w ruinę. Wypuścił też gdzieś w świat potwora, który tego dokonał. Na domiar złego, nikt nie miał najmniejszego pojęcia, jak go unieszkodliwić.

My, Rosjanie, ponosimy pewną winę: często nie potrafimy przewidywać i nie jesteśmy przyzwyczajeni do porażek. Kiedy coś się dzieje nie po naszej myśli, stajemy się bezradni jak dzieci i z opuszczonymi rękami czekamy, aż mama powie nam, co dalej robić. Także na szerszą skalę. Tak było na przykład w tym głupim zdarzeniu z koreańskim samolotem.

W każdym razie zaalarmowaliśmy wojsko, a oni z kolei połączyli się z Moskwą. A wiesz, jak zareagowała tamta strona? „Co takiego? Coś wyleciało z Perchorska? Jakie coś? O czym wy mówicie?" Ostatecznie wysłali migi z Kirowska, a resztę już znasz. Tak naprawdę, znałeś tę część sprawy lepiej niż ja! Ale przynajmniej już wiem, dlaczego myśliwce radzieckie przegrały, a amerykańskie wyszły z potyczki zwycięsko. Tu dochodzimy znowu do miotaczy ognia.

Amerykańskie maszyny wyposażone były w eksperymentalne „Ogniste Diabły" — zdalnie kierowane pociski typu powietrze-powietrze, które nie tylko rozrywają się, ale rozsiewają przy tym płomienie. Są lżejsze niż te z napalmem i o dziesięć procent bardziej efektywne. To właśnie ogień powstrzymał potwora nad Zatoką Hudsona. Ogień — i słońce! Zanim potwór natknął się na amerykańskie myśliwce, leciał w gęstej warstwie chmur, a światło słoneczne nie było jeszcze zbyt intensywne. Ale kiedy słońce wzeszło wysoko, monstrum, chowając się przed jego promieniami, zeszło niżej w poszukiwaniu cienia i chłodu. Tak, zdecydowanie warunki zewnętrzne przyszły Amerykanom z pomocą. Bestia była już na wpół wykończona, a „Ogniste Diabły" dokończyły dzieła zniszczenia. Tak unicestwiono Przybysza Pierwszego.

Teraz z innej beczki: Przybysz Drugi. Wyszedł tą samą drogą, ale tym razem był tak mały w porównaniu z poprzednim monstrum, że przeszedł prawie niezauważony. Na szczęście zobaczył go jeden z żołnierzy i natychmiast wystrzelił w jego kierunku. To go powstrzymało. Wydostał się jednak i został ostrożnie pochwycony. Okazało się, że to

wilk. Stare, niedołężne, prawie ślepe zwierzę. W dodatku półżywe. Odratowano go, nakarmiono i otoczono opieką. Specjaliści przebadali na wszelkie możliwe sposoby jego organizm. Nie wiedzieli, czy jest tym, na co wygląda. Ale to był wilk. W każdym calu brat stworzeń, na które wciąż poluje się w lasach wielu krajów. Zwierzę dało się oswoić. Zdechło dziewięć miesięcy temu.

Naukowcy pomyśleli wówczas, że może ten zamknięty dla nas świat nie różni się aż tak bardzo od naszego. Albo, że Brama prowadzi do wielu światów. Wiktor Łuchow twierdzi, że ten fenomen fizyki leży gdzieś pomiędzy czarną a białą dziurą. Czarne dziury w głębi kosmosu produkują nowe światy i nawet światło nie potrafi wyzwolić się spod ich grawitacyjnego oddziaływania, podczas gdy białe dziury są punktami narodzin całych galaktyk. Wszystkie one są wrotami innego wymiaru czasu i przestrzeni, podobnie jak nasza świetlna kula. I dlatego Wiktor Łuchow nazywa ją także „szarą dziurą", takimi wrotami w obie strony!

W tym momencie Khuw uniósł rękę w ostrzegawczym geście.

— Nie przerywaj mi teraz, Michael. Idzie nam całkiem dobrze. Pytania będziesz mógł zadawać później. — Kiedy ujrzał, że Jazz się odprężył, zaczął mówić dalej:

— Osobiście nie jestem zbyt zainteresowany tymi „dziurawymi" teoriami. Na własny użytek nazywam je „monstrualnym zagrożeniem". Ale to tak na marginesie...

— Widziałeś Przybysza Trzeciego i już ci o nim opowiadałem. Przybysz Czwarty: nietoperz, rząd Chiroptera, rodzaj Desmodus. Zabawne, ale — o ile Vampyrum jest wampirem tylko z nazwy — Desmodus i Diphylla są prawdziwymi krwiopijcami. Ten miał skrzydła o rozpiętości siedemdziesięciu centymetrów. Powiedziano mi, że to dużo jak na ten rodzaj, ale na pewno nie był to gigant. Oczywiście, zawczasu zaobserwowano jego zbliżanie się i w momencie, kiedy się wynurzył, został zestrzelony. Wampiry tego gatunku występują na południu Ameryki Środkowej. Możliwe, że nasza „szara dziura" jest bramą nie tylko do innych światów, ale także do innych części naszego świata.

W każdym razie, przebywam tutaj już od tamtej właśnie pory i resztę relacji otrzymasz z pierwszej ręki. Och, mogę ci zresztą pokazać film z ostatniego wydarzenia, ale nie zobaczysz na nim nic ponad to, co ci opisałem. Ale Przybysz Piąty... to coś całkiem nowego.

Jazz zauważył, że twarz Wiotskiego stała się blada. On również był świadkiem ostatniej dziwnej wizyty.

— Skończ z tym szybko. — Głośno przełknął ostatni łyk drinka i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. — Powiedz mu to albo pokaż film, bylebyś tylko szybko się z tym rozprawił.

— Karl nie lubi, kiedy się o tym mówi — niepotrzebnie skomentował Khuw. Miał przy tym na twarzy zimny, ponury uśmieszek. — Zresztą ja też tego nie lubię. Nie ma to jednak żadnego znaczenia. Fakty pozostaną faktami. Chodźmy, obejrzysz film.

W sąsiednim pokoju major urządził coś w rodzaju studia. Znajdowały się tam półki z książkami, małe biurko, metalowe krzesła, nowoczesny projektor i niewielki ekran. Wiotski pozostał w bawialni i nalał sobie kolejnego drinka. Jazz wiedział jednak, że jedyna droga na zewnątrz kwatery prowadzi tamtędy.

Od razu zorientował się, że pokaz nie był spontaniczną decyzją Khuwa. Major KGB musiał tylko przygasić światło i włączyć projektor. Jazz nie spodziewał się w najśmielszych oczekiwaniach, że kiedykolwiek zobaczy tak potworne obrazy.

Film był kolorowy, posiadał ścieżkę dźwiękową i został profesjonalnie zmontowany. Z boku ekranu pojawił się czarny, zamazany kontur uzbrojonego strażnika. W centralnej części obrazu widniała wielka, świetlista kula albo, jak inaczej ją nazywano — Brama. Wyłaniał się z niej jakiś kształt. Jego dolna część znajdowała się zaledwie kilka cali powyżej ścieżki łączącej „pierścienie Saturna" z zewnętrznym pomostem. Przypominało to zamgloną sylwetkę... człowieka.

Zrobiono zbliżenie. Jego ruchy były tak powolne, że każdy krok trwał długie sekundy. Jazz zaczął się zastanawiać, ile czasu zajmie mu pokonanie powłoki.

— Widzisz, jak obraz się wyostrza? — odezwał się major. — Wyraźny znak, że zaraz będzie po naszej stronie. Na twoim miejscu nie czekałbym jednak na to. Przyjrzyj mu się teraz!

Kamera posłusznie skupiła się na twarzy przybysza.

Miał pochyłe czoło i wygoloną głowę z wyjątkiem kosmyka czarnych włosów, rysującego się ciemnym pasem na bladej, trochę szarej skórze. Włosy, zaczesane do tyłu i zaplecione w węzeł, opadały na plecy. Jego małe, położone blisko siebie oczy — przerażały. Patrzył nimi spod ciemnych, gęstych brwi, zrośniętych u nasady szerokiego i płaskiego nosa. Miał duże uszy, ściśle przylegające do głowy i zapadnięte policzki. Usta wyróżniały się czerwienią, mięsiste, krzywiły się w odpychającym, szyderczym uśmiechu. Podbródek wystawał spiczasty — wrażenie to potęgowała mała, czarna bródka.

Jednak najbardziej uderzające w jego twarzy były małe, błyszczące oczy. Jazz przyjrzał im się ponownie: czerwone jak krew, hipnotyzowały swoim blaskiem.

Jakby czytając w myślach agenta, kamera pokazała znów całą postać mężczyzny. Nosił on jedynie wąską przepaskę wokół bioder, sandały na stopach i duży, złoty krążek w prawym uchu. Na prawym nadgarstku błyszczała gruba bransoleta, ciężka od ostrzy, haków i szpikulców — niezwykle okrutna i mordercza broń.

Mężczyzna lekko pochylił się, napiął wyraźnie zarysowane muskuły, przebił się przez powłokę i stanął na ścieżce — wtedy wszystko nabrało szybszego tempa.

Anglik wrócił do rzeczywistości. Zacisnął dłoń na krawędzi łóżka i podniósł się do pozycji siedzącej. Opuścił stopy na podłogę i oparł się plecami o chłodną metalową ścianę. Czuł przez nią pulsujące życie kompleksu badawczego i ciągle zagrożenie, wieczną niepewność jutra.

Gdzieś na dole, w kulistej, nienaturalnej grocie znajdowali się teraz ludzie, uzbrojeni żołnierze. Niektórzy z nich widzieli na własne oczy, co może w każdej chwili przejść przez Bramę, której strzegli. Nic dziwnego, że Projekt Perchorsk przesiąknięty był strachem. Jazz zadrżał i ponuro zachichotał. Zaraził się gorączką Projektu, która wywoływała właśnie takie dreszcze, przechodzące przez skórę aż do rdzenia kręgosłupa. Widział, że wszyscy naokoło od czasu do czasu drżą w taki sposób i zmusił się do odtworzenia w pamięci dalszego ciągu filmu...

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wampiry

Przybysz opuścił kulę i wszedł na drewniany mostek. Od tej chwili wypadki potoczyły się szybko. Mężczyzna przymknął czerwone oczy, oślepione nagłą jasnością. Wydał z siebie przeraźliwy odgłos bólu. Jazzowi wydawało się, że prawie zrozumiał wykrzyczane słowa. A raczej, że zrozumiałby, gdyby miał na to więcej czasu. Obcy przykucnął w obronnym odruchu.

— Brać go żywcem! Nie strzelać! Oddam pod sąd pierwszego, który pociągnie za spust. Pojmijcie go! — przebił się głos Khuwa. Przed kamerę wbiegły postacie w żołnierskich mundurach. Potrąciły operatora i obraz zadrżał lekko. Żołnierze zajmowali teraz prawie cały ekran. Zabroniono im strzelać i nie bardzo wiedzieli, co zrobić z bronią. Jazz potrafił ich zrozumieć. Powiedziano im, że kula kryje potworną groźbę zagłady, ale przybył tylko samotny mężczyzna. Strażnicy byli przekonani, że z pewnością mogą sobie z nim poradzić. Ludzki obraz zjawy stwarzał im złudzenie przewagi. Z drugiej zaś strony wiedzieli dobrze, jakiego spustoszenia potrafią dokonać „goście" z tamtego świata. Przybysz spostrzegł, że nadchodzą i wyprostował się. Jego czerwone oczy stopniowo oswajały się ze światłem. Stojąc czekał na żołnierzy. „Ten facet ma co najmniej dwa metry wzrostu i założę się, że wie, jak zadbać o własne bezpieczeństwo!" — pomyślał z niepokojem Jazz.

Kładka miała około dziesięciu stóp szerokości. Dwóch pierwszych żołnierzy stanęło po obu bokach mężczyzny. Krzycząc, żeby podniósł ręce do góry, jeden z nich chciał trącić obcego lufą karabinu. Ten zareagował z zaskakującą szybkością: odbił broń lewą ręką, a prawą, uzbrojoną w bransoletkę, wyprowadził morderczy cios prosto w głowę strażnika. Lewa strona czaszki Rosjanina pękła pod uderzeniem metalu jak lód pod zbyt dużym naciskiem. Kolce i haczyki zaczepiły się mocno o pogruchotane kości; przybysz podniósł jeszcze bezwładne ciało i mocno nim potrząsnął. Po chwili zepchnął swą ofiarę ze ścieżki. Ciało strażnika znikło z pola widzenia. Drugi żołnierz zawahał się i obejrzał. Jego pobladła twarz zdradzała wyraźne niezdecydowanie. Koledzy stali za nim go-

towi do ataku na intruza. Ośmielony ich liczebnością, żołnierz podbiegł nagle w stronę przybysza i machnął kolbą karabinu prosto w jego twarz. Mężczyzna warknął jak wilk i łatwo uchylił się przed ciosem. Jego prawa ręka zatoczyła łuk i straszna bransoleta rozdarła gardło nacierającego śmiałka. Żołnierz osunął się na kolana, a intruz dopełnił swego dzieła, wbijając ostre kolce w sam środek jego głowy. Rozległ się trzask miażdżonej czaszki. Nagle przybysz poślizgnął się. Strażnicy otoczyli go, zaczęli bezlitośnie okładać kolbami karabinów i kopać. Słychać było przenikliwy krzyk nienawiści i wściekłości leżącego oraz niesamowity wrzask tłoczących się wokół niego żołnierzy.

— Przytrzymajcie go, ale nie zabijajcie! Chcę go mieć żywego, słyszycie!? Żywego! — wołał major.

Chwilę później Khuw znalazł się w zasięgu kamery. Wbiegł na kładkę i szaleńczo machał rękami.

— Nie zróbcie z niego miazgi! Chcę go... w całości? — Dwa ostatnie wyrazy wypowiedział tonem pełnym zaskoczenia i niedowierzania. Oglądając film, Jazz mógł zrozumieć bez trudności zmianę w głosie majora. Na jego miejscu z pewnością byłby tak samo zdezorientowany. Intruz rzeczywiście leżał cały czas na ścieżce, ale tylko dlatego, że poślizgnął się w kałuży krwi. Nacierających na niego pięciu czy sześciu żołnierzy nie potrafiło go powstrzymać. Ani przez moment nie mogli mu dorównać. Jeden po drugim odskakiwali, trzymając się za rozorane gardło lub poharataną twarz. Dwóch z nich obcy przerzucił przez poręcze kładki i ich ciała z głuchym łomotem upadły na samo dno jaskini. Innego prawie od niechcenia kopnął z taką siłą, że nieszczęśnik wyleciał wysoko w powietrze, poza zasięg kamery. Przybysz, nie zraniony nawet, w końcu wstał i okazało się, że jest jedynym, który wyszedł cało z bójki. Od razu dostrzegł Khuwa.

— Miotacze ognia, na stanowisko! — Głos majora zabrzmiał chrapliwie. — Do mnie — szybko!

Obcy usłyszał rozkaz. Przechylił głowę na bok i patrząc na majora, zwęził swe czerwone oczy. Mógł wziąć słowa Khuwa za wyzwanie. Odpowiedział na nie we własnym języku — ostrymi, gwałtownymi wyrazami, które Jazzowi znów wydały się prawie zrozumiale. Zdanie — prawdopodobnie było to pytanie — kończyło się słowem: „Wampirie". Intruz zrobił dwa kroki do przodu i powtórzył je. W jego głosie zabrzmiała groźba i poczucie wyższości. Khuw ostrożnie przyklęknął i odszukał, nie patrząc na podłogę, automat porzucony przez któregoś z żołnierzy. Wycelował w stojącego przed nim mężczyznę i ręką przywołał załogę miotaczy.

— Pośpieszcie się! — wycharczał.

Przybysz ruszył przed siebie i wydawało się, że ludzka siła nie będzie w stanie go powstrzymać — wyraz jego twarzy i sposób, w jaki trzymał swą uzbrojoną dłoń, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co do jego zamiarów. Rozległ się tupot pośpiesznych kroków i ciemne sylwetki strażników ukazały się po obu stronach ekranu. Khuw nie

czekał na nich. Jego własny zakaz użycia broni nie miał już żadnego uzasadnienia. Pochwycił karabin obiema drżącymi dłońmi i dwukrotnie pociągnął za spust. Pierwsza kula ugodziła przybysza w prawe ramię — tuż pod obojczykiem. Ciemna plama ukazała się w tym miejscu, a jego ciało zostało siłą uderzenia odrzucone do tyłu i upadło na deski. Drugi strzał był zupełnie chybiony. Obcy podniósł się do pozycji siedzącej, dotknął lewą ręką rany i zdumiony przyglądał się purpurowym śladom krwi. Wydawało się, że nie odczuwa żadnego bólu. Ale, kiedy obraz rozszarpanego ramienia dotarł do jego świadomości, wydał z siebie zwierzęce wycie. Dźwięk ten nie miał nic wspólnego z ludzkim głosem, choćby najbardziej prymitywnym. Przybysz nawet teraz, osłabiony, przykucnął, jak gdyby sprężając się do skoku. Przyszła kolej na miotacz ognia. Nie była to w tym wypadku podręczna wersja tej broni, która z powodzeniem mieściłaby się na plecach jednego żołnierza. W jej skład wchodził duży zbiornik toczony na kółkach przez jedną osobę i potężny emiter, który obsługiwany był przez drugiego z załogi. Trzeci żołnierz trzymał azbestową tarczę, osłaniającą całą trójkę przed płomieniami odbijanymi od przeszkody. Intruz znalazł jeszcze dość siły, żeby zamachnąć się i wbić w tarczę kolce swej bransolety. Przecenił jednak swoje możliwości i nie zdołał wyrwać osłony z rąk żołnierza.

— Pokażcie mu ogień! Ale tylko pokażcie, nie spalcie go! — krzyczał Khuw.

Płomień ognia wystrzelił i dosięgnął nagiego mężczyzny. Z jego ust wydobył się ryk wściekłości i przerażenia — gwałtownie szarpnął się do tyłu. Ogień znikł równie błyskawicznie, jak się pokazał, ale łatwopalny środek chemiczny kontynuował niszczycielskie działanie. Spopielił brodę, brwi i wzniecił płomień na kosmyku czarnych włosów na głowie przybysza. Na jego skórze zaczęły tworzyć się wypełnione płynem pęcherze. Lewą ręką uderzał w tlące się na ciele miejsca. W końcu chwycił tarczę i cisnął nią w żołnierzy. Nagle odwrócił się i chwiejnym krokiem skierował z powrotem w stronę świetlistej kuli.

— Zatrzymajcie go! — zawołał Khuw. — Strzelajcie w nogi! Nie pozwólcie mu wrócić!

Sam otworzył ogień i intruz zatoczył się, kiedy kule zaczęły dosięgać jego ud i łydek. Prawie dotarł do celu, gdy dobrze wymierzony pocisk ugodził go od tyłu w prawe kolano i ściął z nóg. Znajdował się jednak na tyle blisko powłoki, że „rzutem na taśmę" spróbował dostać się do wnętrza sfery. Odrzuciła go. Wydawało się, że powierzchnia kuli zamieniła się w betonową ścianę. Jazz od razu zorientował się, że Brama jest pułapką. Jak żarłoczne kwiaty, które barwą i zapachem zwabiają do wnętrza i już nie wypuszczają swych ofiar. Raz przeszedłszy przez Bramę, stwory z innych światów nie mogły do nich powrócić. Jazz zainteresował się: czy to samo przydarzyłoby się komuś, kto próbowałby wejść w kulę z tej strony. Oczywiście nie pojawił się dotąd nikt taki, kto na własnej skórze chciałby się o tym przekonać.

— Teraz musi spokornieć! — Głos Khuwa brzmiał triumfująco. Kiedy strzelanina ustała, wycofał się poza stanowiska miotaczy i obserwował uważnie żałosne szczątki potęgi obcego. Mężczyzna usiadł i wyciągnął rękę w stronę powłoki. Napotkał na opór. Podniósł się więc na kolana i odwrócił twarzą do swych prześladowców. W szeroko otwartych, czerwonych oczach malowała się nienawiść. Syknął na swych wrogów i z pogardą splunął na ścieżkę. Pomimo rosnących, żółtych bąbli na skórze, ograniczonej sprawności i beznadziejnego położenia — nie poddawał się.

Khuw wystąpił naprzód i wskazał na śmiercionośną bransoletę.

— Zdejmij to! — Jego gesty były łatwe do zrozumienia. — Pozbądź się tego!

Mężczyzna spojrzał na swą broń, ale nie wykonał polecenia. Khuw przeładował karabin.

— Ściągnij tę cholerną zabawkę, i to zaraz! — Ale przybysz tylko uśmiechnął się. Popatrzył na automat, potem na tubę miotacza w sposób jeszcze bardziej obelżywy. Na jego twarzy nie można było znaleźć ani śladu strachu.

— Wampiry!!! — zawył tym samym tonem. Dopiero, gdy zamarło echo po tym okrzyku, znów spojrzał na stojących cały czas w jednym miejscu żołnierzy. W jego spojrzeniu można było czytać: „Skończcie z tym. Jesteście niczym. I niczego nie wiecie!"

— Bransoleta! — po raz kolejny krzyknął Khuw. Dla wzmocnienia rozkazu wystrzelił w powietrze, a potem wycelował prosto w serce intruza. W następnej sekundzie oniemiał z przerażenia i omal nie upuścił broni. Mężczyzna zdołał stanąć na nogi, chociaż lekko się kołysał, próbując utrzymać równowagę. Nagle jego szczęki rozsunęły się niewiarygodnie szybko. W ustach wił się szkarłatny, rozdwojony język. Wokół wszystko stało nieruchome i pogrążone w absolutnym milczeniu. Metamorfoza została zauważona i zaskoczyła nacierających żołnierzy. Mięsiste wargi mężczyzny podwinęły się do góry i zrolowały, aż pękły z hałasem i trysnęły krwią. Odsłoniły w ten sposób purpurowe dziąsła i pokrwawione, spiczaste zęby. Ta część twarzy przypominała w tym momencie groźną paszczę wilka. Dalsza przemiana okazała się jeszcze bardziej wstrząsająca. Płaski nos poszerzył się i podwinął na końcach, formując zadarty pysk nietoperza. Czarne owale nozdrzy ziały nieskończoną głębią. Z uszu, dawniej przywierających do głowy, zaczęły wyrastać kępy sztywnych włosów, które wkrótce utworzyły ruchliwe, wielkie, dodatkowe konchy. One również przypominały uszy nietoperza. Wyglądały tylko o wiele bardziej demonicznie. Transformacja dokonywała się. Oczy, do tej chwili małe i głębokie, powiększyły się jak napęczniałe pijawki, aż w końcu zaczęła bulgotać w nich krew. A zęby... zęby dopełniały wrażenie koszmaru. Błyszczały długie, poskręcane i zaostrzone na końcach. Rosnąc bez przerwy, raniły dziąsła i dosłownie pływały w purpurowej cieczy. Reszta ciała zachowała ludzki kształt. Nogi i ramiona nabrały tylko metalicznego połysku. W kontraście z tą normalnością łeb hybrydy budził tym większe przerażenie. Cała postać drżała konwulsyjnie. Nareszcie wszystko się skończy-

ło. Świadom tego, co robi, przybysz wyciągnął ręce i zrobił niepewny krok do przodu. Z jego gardła po raz ostatni wydobyło się słowo: „Wampiry!" Khuw naprawdę był przekonany, że miał przed sobą człowieka i nawet nie zdążył otrząsnąć się z szoku po swej pomyłce. Jego nerwy, ciało, głos zaczęły go zawodzić, ale zdał sobie sprawę, że następstwa słabości mogą okazać się katastrofą. W ostatniej chwili wycofał się poza zasięg ewentualnego uderzenia intruza.

— Spalcie go... to! Boże, niech smaży się w piekle! — wychrypiał. Żołnierze czekali na rozkaz. Nikt nie musiał ich zachęcać do naciśnięcia spustu. Z azbestowego węża wystrzelił żółty płomień i ogień ogarnął całą sylwetkę potwora. Przez długie sekundy nie przerywano ataku, a on po prostu stał. W końcu jednak osłabł, zgiął się w pół i przysiadł.

— Stop! — krzyknął Khuw, trzymając przy twarzy chusteczkę. Strumień chemikaliów unosił się jeszcze przez moment. Stwór wciąż płonął. Ogień wznosił się na wysokość kilku stóp powyżej jego zwęglonej prawie głowy. Słup żaru zaczął opadać z sykiem i trzaskiem, a na jego tle widoczna była już tylko bezkształtna, soczysta masa, gotująca się i pokryta bąblami. Jazz mógł tylko wyobrazić sobie, jaki smród musiał wtedy panować w całej grocie.

— Jeszcze raz — zawołał Khuw. Załoga wykonała polecenie bez ociągania się. Tym razem przybysz już nie poruszył się. Skończył się film i pusta szpula przez chwilę hałaśliwie kręciła się w aparacie. Jazz i Khuw ciągle siedzieli bez ruchu i patrzyli na biały, jasny ekran. Pierwszy wstał major KGB, wyłączył projektor i zapalił światło. A potem... nadszedł czas na następnego drinka. Nigdy dotąd łyk alkoholu nie sprawił Jazzowi większej przyjemności...

Michael J. Simmons siedział na łóżku i rozmyślał o tym, co zobaczył i usłyszał. Życie w kompleksie stopniowo zamierało. Na zewnątrz panowała noc, więc i tutaj nadszedł czas na spoczynek. Nie wszyscy jednak już spali. Na przykład strażnicy pilnujący Bramy — nie mogli sobie na to pozwolić. Również stwór uwięziony w szklanym akwarium czuwał, całkowicie rozbudzony. Sen nie ogarnął też jego opiekuna, Wasyla Agurskiego. Siedział teraz z głową wspartą na nieproporcjonalnie dużych dłoniach, wpatrując się w Przybysza Trzeciego przez grubą szybę naczynia. Agurski był drobnym mężczyzną: miał najwyżej sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Wątły, z opadającymi ramionami i stosunkowo wielką głową. Jego oczy powiększone za grubymi szkłami okularów spoglądały poczciwie. Wąskie usta i duże, odstające uszy upodabniały go do mało zabawnego gnoma. Czerwone oświetlenie pokoju było przygaszone, żeby niepodobny do niczego stwór nie wystraszył się i nie zakopał w swej piaszczystej kryjówce. Znał Agurskiego i czuł się bezpiecznie w jego obecności. Mężczyzna ułożył się wygodnie na metalowym foteliku i patrzył na akwarium. Stamtąd zaś obserwowały go czujne oczy po-

tworka. Przybrał on teraz postać ogromnej pijawki i gryzonia. Leniwie grzebał w piachu lewą, tylną łapą, ale jego jedyne oko spoglądało uważnie i z rezerwą. Stwór czekał na jedzenie. Agurski — niezdolny do snu, pomimo że wlał w siebie już pół butelki wódki — zszedł, żeby go nakarmić. Zauważył niedawno przedziwną zasadę. Nastroje i stany podopiecznego miały niesamowity wpływ na jego własne odczucia. Udzielało mu się zmęczenie i podniecenie, uczucie głodu i sytości tamtego. Tak samo było i dzisiaj, pomimo że jadł regularnie przez cały dzień — czuł głód. Resztki dań dla personelu, krwawe szczątki zabitych bestii, włochata skóra i kości, wnętrzności i niejadalne dla człowieka kawałki martwych zwierząt — wszystko to wędrowało przez specjalną tubę do akwarium, ku pełnemu zadowoleniu dziwoląga. Gdyby mu pozwolono, pożerałby dużo więcej tych przysmaków, niż zwykł dostawać.

— Czym ty, do diabła, jesteś? — Agurski zadał to pytanie po raz setny, odkąd trzymał pieczę nad kreaturą. Najbardziej przygnębiał go fakt, że on właśnie powinien znaleźć odpowiedź na to pytanie. Był specjalistą w dziedzinie zoologii oraz psychologii i sprowadzono go tu tylko po to, żeby wyjaśnił tajemnicę szokujących właściwości stwora. Tymczasem nie potrafił stwierdzić do tej pory nic poza tym, że właściwości te są naprawdę niezwykle. Po miesiącu jego pracy przybyli naukowcy posiadający najbardziej wiarygodne kwalifikacje, żeby sprawdzić postępy. Oskarżono Wasyla o zbytnią opieszałość. Obejrzeli dziwaczną bestię, porobili jakieś notatki, pokręcili głowami i wyjechali pokonani. A on pozostał, zmagając się z łamigłówką, która nie miała nawet jednoznacznej formy. Był ze stworem w bardziej zażytych stosunkach niż ktokolwiek, a jednak nie mógł powiedzieć, że go poznał. Krew przybysza miała podobny skład do tej, jaka płynęła w żyłach większości ziemskich ssaków, ale tylko podobny. Różniła się na tyle, że nie można było wątpić, iż pochodzi nie z tego świata. W porównaniu z człowiekiem, małpą, psem czy delfinem inteligencja bestii stała na bardzo niskim poziomie. Niemniej jednak jej zachowanie dowodziło czasem, że chyba potrafi myśleć. Jej oczy posiadały hipnotyzujące właściwości. Agurski musiał odwracać od nich swój wzrok, ponieważ czuł, że jeśli dłużej się w nie wpatruje, umysł zaczyna mu gasnąć w półśnie. Czasami zdarzało się, że zasypiał w ten sposób i tylko groza sennych koszmarów budziła go z letargu. Potwór uczył się, ale z ogromnym trudem. Wiedział na przykład, że kiedy opiekun pokazuje mu białą kartkę, zbliża się pora posiłku. Czarna kartka oznaczała groźbę poddania go wstrząsowi elektrycznemu. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że biała i czarna kartka pokazane razem znaczą: „Nie dotykaj jedzenia, zanim nie zabiorę czarnej kartki". W tej ostatniej sytuacji wpadał zawsze w prawdziwą furię. Nie znosił, kiedy przeszkadzano mu natychmiast pochłonąć pokarm. Tych kilku rzeczy zdołał Agurski nauczyć stwora, ale odnosił nieprzyjemne wrażenie, że tamten w tym czasie poznał go dużo lepiej, niż sam pozwolił się poznać. Jedno wszak wiedział na pewno, stwór był zdolny do nienawiści i wiedział też, kogo nienawidzi.

— Czas na posiłek — powiedział do stwora. — Mam zamiar wpompować ci jakieś wstrętne, zjełczałe ochłapy. I wiem dobrze, że przyssiesz się do tego świństwa jak do ciepłego mleka matki albo jak niedźwiedź do miodu — ty cholerny potworze!

Agurski przypuszczał, że dwa żywe białe szczury zostałyby przyjęte z większym entuzjazmem, ale miał już dosyć widoku, który potem powracał do niego w najbardziej koszmarnych snach. Bowiem nic nie zdawało się sprawiać stworowi większej rozkoszy, niż zatopienie zębów w pulsujące, wypełnione świeżą krwią żyły. Innymi słowy: potwór był wampirem.

Agurski wstał i zaczął przygotowywać posiłek. Przypomniał sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy nakarmił bestię żywym szczurem. Najpierw musiał ją unieszkodliwić, to znaczy uśpić. Podał krew naszpikowaną ogromną dawką środka uspokajającego. Stwór, oszołomiony, zakopał się w piasku, najgłębiej jak potrafił, i rzeczywiście usnął. Pod ciężką, szklaną pokrywę wpuszczono do środka gryzonia. Po trzech godzinach stwór obudził się i wygrzebał z dna. Szczur nie miał żadnych szans. Oczywiście, walczył z całych sił, ale jego los był przesądzony. Wampir przygwoździł go do podłoża, wbił się w rozciągniętą szyję i wysączył z niej ciepłą jeszcze krew. Uformował w tym celu dwie cienkie tuby, których ostre krawędzie z łatwością przebiły się przez skórę i ścianki naczyń zwierzęcia. Wszystko to trwało nie dłużej niż minutę. Agurski nigdy przedtem nie zauważył, żeby potwór był równie zadowolony z zaserwowanego mu dania. Nie poprzestał on zresztą na szkarłatnej cieczy. Kiedy już wyssał ją do ostatniej kropli, pożarł całą resztę: skórę, kości, ogon — wszystko. Z podobnych obserwacji, Agurski wyciągnął kilka, pozbawionych na razie dowodów, wniosków. Przybysz Pierwszy był w również wampirem, jeśli nie w dokładnym tego słowa znaczeniu, to na pewno stworem mięsożernym. Widziano przecież, jak pożarł w całości kilku ludzi, zanim wydostał się z groty. Potem pojawił się wilk, znów zwierzę mięsożerne. Czwartym był nietoperz, ale z gatunku prawdziwych wampirów. A Przybysz Piąty sam przedstawił się jako wampir. Agurski zastanawiał się, czy po drugiej stronie Bramy można znaleźć kogoś o mniej krwiożerczych skłonnościach niż te, które objawili dotychczasowi goście z tamtego świata. Jednego był pewien: on sam nie miał najmniejszej ochoty na wycieczkę w tamte rejony. Z innych rozważań wyciągnął kolejną konkluzję: trzy z pięciu bestii mogły zmieniać swoją postać. Nie były związane z formą, w jakiej przybyły. Intruz w akwarium, po zjedzeniu szczura potrafił teraz przyjąć niedoskonały kształt tego gryzonia. Wasyl zastanawiał się, czy potwór potrafiłby przekształcić się w człowieka. A odwracając pytanie: czy wojownik Wampir mógłby przeobrazić się w wilka albo nietoperza, czy też była to całkiem inna istota ukryta pod ludzką postacią. Tego rodzaju chorobliwe rozmyślania zawsze kończyły się u Agurskiego mocnym drinkiem. Tym razem również zaczął żałować, że nie wziął z sobą butelki. Marzył o tym, żeby szybciej skończyć robotę, wrócić do kwatery i napić się do poduszki. Przy drzwiach stał wózek z pojemnikiem, w którym za-

wsze przywożono pokarm dla stwora. Pojemnik został zaopatrzony w elektryczną pompę. Agurski przyciągnął wózek bliżej szklanego naczynia, podłączył wąż wychodzący z kontenera do wylotu tuby w tylnej ściance akwarium i wcisnął wtyczkę w gniazdo elektryczne. Usunął przegrodę przesłaniającą wylot tuby i uruchomił urządzenie. Silnik pompy pracował cicho. Zoolog miał świadomość, że podczas wszystkich czynności bestia uważnie go obserwuje. Dziwne, ale nawet nie ruszyła się w stronę napływającego pokarmu. Ciemnoczerwone ochłapy w strumieniu lekko zakrzepłej krwi regularnymi porcjami upadały na piaszczyste dno naczynia. Utworzyły już sporą stertę na końcu rury, a stwór ani drgnął. Agurski zmarszczył brwi. Bestia potrafiła za jednym razem pochłonąć mięso równe połowie wagi jego własnego ciała i w dodatku nie była karmiona od czterech dni. Przypuszczał, że może jest chora albo z wymianą powietrza coś jest nie tak. Wrócił na swoje krzesło i usiadł w poprzedniej pozycji. Stwór patrzył na niego parą prawie ludzkich w tej chwili oczu. Jego twarz straciła większość zwierzęcych cech i nabrała niemal ludzkich rysów. Workowate ciało pijawki wydłużyło się i zaczęło tracić ciemny kolor. Wyrosły nogi, ramiona i... piersi.

— Co? — wysyczał zoolog przez zaciśnięte zęby. — Co...?

Miał teraz przed oczami zbliżone do ludzkiego ciało. Przynajmniej w ogólnym zarysie. Posiadało kobiece kształty, bujną dziewczęcą fryzurę, ułożoną z włosów matowych, sztucznych, podobnych do tych jakie mają plastykowe lalki. Piersi rysowały się zaledwie, brakowało na nich sutków. Również wymiary postaci były zbyt małe. Z każdą sekundą na twarzy Agurskiego malowała się coraz wyraźniejsza odraza. Bestia próbowała przybrać kobiece kształty, ale to, w co się przepoczwarzyła, przerażało i budziło grozę. Jej ręce nabrały linii dziewczęcych dłoni, ale paznokcie zbyt wąskich palców miały purpurową barwę i wyrosły o wiele za długie. Co gorsza, jej stopy były również dłońmi. Potem stwór uśmiechnął się do Agurskiego idiotycznym, głupkowatym grymasem i naukowiec przypomniał sobie, z kim kojarzą mu się te rysy. To była twarz i uśmiech, a nawet włosy tej kretynki — Klary Orłowej, podstarzałej seksbomby, która uważała siebie za wybitnego teoretyka fizyki i przyjeżdżała tu czasem podziwiać Przybysza Trzeciego. Ujrzał jej dłonie z jaskrawo pomalowanymi paznokciami i wypukłości biustu. Orłowa nigdy nie dopinała sukni, kusząc pracujący tu personel i żołnierzy. Stwór nie wiedział o istnieniu sutków i nigdy nie widział stóp. Przyjął zatem, że wszystkie kończyny wyglądają tak samo. Zoolog wysnuł więc tezę, że poziom inteligencji stwora jest znacznie wyższy niż ten, który uważał za udowodniony. Określił jego zachowanie jako bezmyślne naśladownictwo, przypominające papuzie przedrzeźnianie. Nowa postać stwora przypominała w dużej mierze „oryginał". Odcień skóry był mniej więcej właściwy, ale usta zbyt mocno wygięte w łuk. Rażąco wyglądał mało zmieniony nos z przepastnymi, ruchliwymi nozdrzami. Agurski domyślał się, że w naturalnym środowisku potwora (gdziekolwiek ono było) bardzo ważną rolę odgrywał zmysł powonienia i zmia-

na kształtu tego organu drastycznie osłabiałaby percepcję. Nagle Agurski poczuł ogarniającą go furię. „Czyżby to... to mięsożerne draństwo chciało mnie... uwieść?" — pomyślał z przerażeniem.

— Do diabła z tobą, ty potworze! Zgadłem, rozszyfrowałem ciebie — krzyknął, zrywając się na równe nogi. — Zauważyłeś różnicę między nami, a przynajmniej wyczułeś. I chciałeś to wykorzystać! Myślałeś, że będę dla ciebie milszy i bardziej uległy, że się w tobie zakocham? Na Boga! Trafiłeś na niewłaściwego człowieka!

Stwór zaczął się przeciągać jak kot. Leżał na plecach i wypinał w kierunku Agurskiego swój wybrakowany biust. Nie miał pępka, ale poniżej miejsca, w którym powinien się on znajdować, widoczna była odrażająca wersja kobiecego łona. Te seksualne zachęty sprawiły, że twarz naukowca pobladła z wściekłości. Stwór go uwodził naprawdę. Z kieszeni fartucha Agurski wyszarpnął czarną kartkę i pokazał mu ją.

— Zobacz, ty obrzydliwe monstrum! A może zatańczysz z wujkiem prądem? Nie lubisz tego, co?

Ale bestia wiedziała, że to blef. Rozejrzała się po pokoju i nie znalazła elektrycznej skrzyneczki, którą ją straszył. Nie mógł więc spełnić groźby. Gulgocąca, bezładna masa ciągle jeszcze była pompowana do wnętrza naczynia, a potwór nie spojrzał nawet w stronę krwawych resztek. Zaczęły płynąć po dnie akwarium leniwym strumieniem i w końcu dotknęły jego skóry. Gwałtownie na to zareagował. W niewykonalny dla człowieka sposób wykręcił szyję i popatrzył na krwawa miazgę. Kiedy oblicze bestii z powrotem zwróciło się w stronę Agurskiego, ten zobaczył, że jej oczy przybrały barwę krwi, na którą przed chwilą były skierowane. Przerażające, groteskowe ludzkie rysy przechodziły kolejną metamorfozę. Usta powiększyły się i przesłoniły prawie całą twarz. Kiedy się otworzyły, ukazały nie kończące się rzędy ostrych, zakrzywionych zębów, które znikały gdzieś w czeluściach szkarłatnego gardła. Między nimi wił się rozdwojony na końcu język gada, oblizujący co chwilę ociekające śluzem, potworne wargi.

— Tak już lepiej! — krzyknął Agurski z odcieniem triumfu w głosie. — Twój plan nie powiódł się i zobaczymy teraz, czym naprawdę jesteś.

Zetknięcie z czerwoną masą pobudziło głód potwora. Odrzucił przybraną maskę i nie był w stanie kontynuować oszukańczej gry. A jednak... w dalszym ciągu ignorował zalewające go wprost „przysmaki". Zdarzyło się to po raz pierwszy. Nagle ciało bestii zaczęło przemieniać się. Ludzka bladość skóry przybrała szary, kamienny odcień, a kłęby włosów wypadały z bezkształtnej teraz głowy. Kończyny z powrotem zapadły się w tułów, który drżał w silnych, regularnych konwulsjach. Agurski zesztywniał z przerażenia. Miał teraz przed sobą wielkie, pulsujące łożysko z... głową. Diabelskie oczy ciągle na niego patrzyły. Rozdwojony język zwinął się i sięgnął daleko do wnętrza gardzieli. Potwór zakrztusił się i w końcu odkaszlnął własnymi wnętrznościami. Na końcu rozszczepionego języka balansowała mała, perlista kulka wielkości winogrona. Agurski zerwał

się, podszedł do naczynia, przykucnął i wbił wzrok w nieznany mu przedmiot. Stwierdził, że to żyje. Obracało się z zadziwiającą energią wokół pionowej osi.

— Co u licha... — zaczął szeptać, ale w tym samym momencie stwór szarpnął głową i rzucił kulką prosto w twarz naukowca. Agurski odruchowo gwałtownie się cofnął, chociaż wiedział, że od niebezpieczeństwa z tamtej strony dzieli go gruba, wzmocniona szyba. Na niej też wylądował tajemniczy przedmiot i zatrzymał się na kilka sekund. Potem zsunął się po szklanej ściance i usadowił w krwistym śluzie pokarmu. Uformował się idealnie sferyczny kształt i potoczył z biegiem czerwonej wstęgi, powstałej na dnie naczynia, prosto w kierunku jej źródła. Później wykonał ruch zadziwiający: odbił się od dna jak piłeczka pingpongowa, doskoczył do gęstego, wylewającego się z tuby purpurowego sopla i wspiął się po nim. W następnej chwili zniknął w czarnej głębi otworu, który łączył się z rurą prowadzącą do pustego teraz zbiornika. Najprzeróżniejsze domysły kłębiły się w umyśle naukowca. Przed chwilą skojarzył przecież stwora z obrazem łożyska. Być może to porównanie miało jakiś sens. Wydawało się, że bestia przeszła coś w rodzaju kataplazji, redukcji komórek i tkanek do bardziej prymitywnej, niemal embrionalnej formy. Łożysko, embrion — protoplazma. Agurski zamknął wylot tuby, odkręcił wąż pompy i podniósł ciężką przykrywę kontenera. Na jego dole, w samym środku, wśród odrażających resztek, wirowała perlista kulka. Zoolog nie mógł oderwać od niej oczu. W przypływie roztargnienia, fascynacji i zwykłej ciekawości zapomniał, z czym ma do czynienia. Pochylił się i delikatnie pochwycił kulkę w dwa palce prawej ręki. W tej samej sekundzie zdał sobie sprawę z szaleństwa swego odruchu, ale było już za późno. Przedmiot, który pochwycił, nabrał barwy ciemnoczerwonej i wyślizgując się z jego palców, wpadł za mankiet laboratoryjnego fartucha. Agurski krzyknął i odskoczył od pojemnika. Czuł, jak wilgotna kulka wspina się po jego ramieniu, dochodzi do barku. Poczuł ją na szyi i szaleńczo podskakując, zaczął uderzać w to miejsce dłońmi. Po chwili przemieściła się na wysokość karku. Wampirze jajo jak rtęć przeniknęło przez jego skórę i wbiło się w kręgosłup. Niesamowity ból momentalnie przeszył ciało i umysł naukowca. Niezdolny do zapanowania nad własnymi reakcjami, zaczął rozpaczliwie miotać się po całym pokoju, aż w końcu upadł na kolana. Podniósł się nadludzkim wysiłkiem. Ostre szpile tkwiły w jego mózgu. Wydawało mu się, że ktoś poraził kwasem końcówki jego najbardziej wrażliwych nerwów. Cały świat nabierał w jego oczach czerwonej barwy. Nagle ujrzał swój jedyny ratunek, czarny guzik alarmu za pomarańczowo oprawionym szkłem na jednej ze ścian. Ostatkiem sił zatoczył się w jego kierunku i uderzył w kruchą szybkę...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Harry Keogh: nekroskop

Harry siedział nad rzeką i prowadził wewnętrzny dialog ze swoją matką. Miał nadzieję, że nie jest obserwowany, ale i tak nie miało to żadnego znaczenia. Nikt nie mógł mieć nic przeciwko temu, że szalony pustelnik mówi coś sam do siebie. Harry podejrzewał zresztą, iż większość z okolicznych mieszkańców uważała go za ekscentrycznego, ale nieszkodliwego wariata. Nie dbał o to, będąc na ich miejscu, miałby na swój temat podobne zdanie. Czasem im zazdrościł szarej, nieskomplikowanej codzienności, przydomowych ogródków. Jego położenie bardzo różniło się od zwykłej ludzkiej egzystencji i trudno je było uznać za normalne. Był nekroskopem. I to, o ile wiedział, jedynym nekroskopem na świecie. Miał jednak syna, być może, posiadającego podobne zdolności, ale Harry Junior zaginął bez wieści. Spojrzał w wodę na rysujące się odbicie swojej twarzy. Miała odpychający, cyniczny wyraz. Jego oblicze, ciało, cała postać należała kiedyś do szefa brytyjskiego INTESP — Aleca Kyle'a. Harry'emu wciąż wydawało się, że rozpoznaje swoje rysy, zdominowane kształtem osoby, w której ciele zadomowił się jego umysł. Minęło osiem lat, zanim przyzwyczaił się do tej maski. Przez osiem lat stawał co rano przed lustrem i zapytywał siebie: „Chryste! Kto to taki?"

— Harry. — Usłyszał wewnątrz siebie niespokojny głos matki. — Wiesz, że nie powinieneś się tym zamartwiać! Ten etap życia masz już za sobą. Otrzymałeś zadanie i wykonałeś je bardzo dobrze. Bez względu na to, co się stało, jesteś cały czas sobą.

— Zająłem ciało innego człowieka — odpowiedział zrozpaczony.

— Alec nie żył, Harry — odparła niewyraźnie. — Był bardziej niż martwy. Nic nie zostało z jego umysłu — nie miał nawet duszy. A po za tym nie miałeś wyboru.

Pod wpływem słów matki Harry wrócił myślami w tamte czasy sprzed ośmiu długich lat. Alec Kyle wypełniał wtedy w Rumunii specjalną misję. Miał zniszczyć wampira grasującego w tym rejonie. Tibor Ferenczy został zabity, ale jego część wciąż „zaśmiecała" Ziemię. Kyle po wykonaniu zadania miał wracać do Anglii, wpadł jednak w ręce Sowietów. W tajemnicy przerzucono go do Rosji, gdzie zajęli się nim fachowcy z radziec-

kiego Wydziału E. Poddano go szczególnie okrutnemu zabiegowi „wyczyszczenia" mózgu. Przy pomocy elektronicznych drenów wypompowano z niego całą wiedzę. Wszystkie zakodowane w nim wiadomości. Nie pozostawiono absolutnie nic. Wyciągnięto całą zawartość jego mózgu, a resztę wyrzucono. Kiedy Rosjanie skończyli z Kyle'em, jego ciało wciąż żyło. Ale, gdyby przestano je sztucznie karmić i wypełniać świeżym powietrzem jego płuca — i ono stałoby się martwe, tak jak martwy był jego umysł. Wszystko to odpowiadało założeniom perfidnego planu: musiał umrzeć na zawsze, a jego zwłoki miały być podrzucone gdzieś w Berlinie Zachodnim. Z całą pewnością nie znalazłby się ekspert, który ustaliłby przyczynę śmierci Aleca. Takie były założenia. Tymczasem... gdy Alec Kyle pozostał tylko łupiną bez zawartości, ciałem bez duszy, Harry Keogh istniał jako czysty umysł. Bezpostaciowy obywatel kontinuum Möbiusa, który znalazł Kyle'a i zamieszkał w jego skórze. Sprawiła to właściwa naturze niechęć do próżni, czy to w pojęciu fizycznym, czy też metafizycznym. W normalnym świecie nie ma miejsca dla istot niematerialnych. Odtąd umysł Harry'ego i ciało Aleca stanowiły jedno. Harry próbował oswoić się z nowym wyrazem twarzy i twardym wzrokiem przyjrzał się swojemu odbiciu. Jego, a może Aleca, włosy miały złocisto-brązowy kolor i naturalne fale. W ciągu ostatnich ośmiu lat straciły wiele ze swojego dawnego połysku i zauważyć można było dużo siwych kosmyków. Pojawiły się one bardzo szybko po połączeniu, zanim Harry ukończył trzydziesty rok życia. Jego oczy podobnie miodowo-brązowe, bardzo duże, patrzyły inteligentnie i bystro. Miał silne, zdrowe, odrobinę nierówne zęby i bardzo zmysłowe usta, które potrafiły być okrutne i bezwzględne. Twarz najczęściej wyrażała zadumę. Harry setki razy poszukiwał na niej piegów, ale ich nie znalazł. Zabawne, ale tego najbardziej brakowało mu w nowym wcieleniu. Ciało Harry'ego było dobrze umięśnione, z początku nawet z lekką nadwagą. Nie raziło to zresztą przy jego wysokim wzroście. I nie przeszkadzało Alecowi, który miał pracę na ogół siedzącą. Miało jednak znaczenie dla Harry'ego — doprowadził więc je do dobrej kondycji. Blisko czterdziestoletnie ciało stało się silne i sprawne. Co prawda, Harry wolałby mieć swój wiek i być dziesięć lat młodszy.

— Jesteś wciąż tylko sobą, Harry — powiedziała znów matka. — Co cię martwi, synu? Czy to ciągle Brenda i mały Harry?

— Nie ma sensu zaprzeczać — odpowiedział szorstko. Lekko zirytowany wzruszył ramionami. — Nigdy go nie spotkałaś, prawda? Wiesz, że on również mógłby z tobą rozmawiać. Nie mogę tego zrozumieć! Stracić kogoś bliskiego czy dwoje bliskich to jedna sprawa, ale być opuszczonym, nie wiedząc dlaczego, to jest całkiem inny problem. Mógł mi powiedzieć, dokąd ją zabiera, mógł wyjaśnić przyczyny, dla których to zrobił. Pomimo wszystko to nie była moja wina, że Brenda tak się zmieniła. A może moja? Znów wzruszył ramionami. — Nic już nie wiem...

Jego matka nieraz już tego słuchała. Wiedziała o czym mówi, instynktownie rozu-

miała prawdziwe znaczenie jego niewyraźnych słów, czytała z tonu jego głosu. Nie potrzebował, lecz zwykle rozmawiał z nią na głos. Posiadał zdolności człowieka, który potrafi komunikować się ze zmarłymi.

Matka nie żyła od wielu lat. Jej ciało spoczywało w mule, kamieniach na dnie rzeki. Dwadzieścia lat temu zamordował ją ojczym Harry'ego. On również zginał w rzecznej topieli, dosięgła go zemsta pasierba, ale od dawna nie odzywał się do nikogo.

— Postaraj się spojrzeć na to z ich punktu widzenia — rozsądnie poradziła matka. — Brenda i tak zniosła wiele, jak na dziewczynę z małej wioski. Może po prostu chciała uciec od tego wszystkiego? Przynajmniej na jakiś czas.

— Na osiem lat? — głos Keogha lekko się załamywał.

— Ale w czasie tego odpoczynku — jego matka miała najlepsze intencje — stwierdziła, że jest teraz szczęśliwsza. On też to zauważył, więc nie wrócili. Cokolwiek by mówić, ty też zawsze miałeś na uwadze przede wszystkim ich szczęście, nieprawdaż, Harry? I sam musisz przy znać, że nie byłeś mężczyzną, którego poślubiła. To znaczy nie do końca. Chciałam powiedzieć, że...

— W porządku, mamo — przerwał jej wyrozumiale. — Wiem, co masz na myśli. I na pewno jest w tym trochę racji. — Wiedział jednak, że nie była dobrą dyplomatką.

Osiem lat temu w kontinuum Möbiusa Harry przypadkiem wpadł na trop spisku, którego sieć rozciągnięta została na cały ziemski świat. Wampir Tibor Ferenczy spowodował stopniową metamorfozę nie narodzonego jeszcze dziecka. Fizycznie i psychicznie zniszczył jego matkę i sam podjął się opieki nad jej wyrodnym synem. Julian Bodescu wyrósł na młodzieńca opętanego przez Zło, które w końcu całkowicie zapanowało nad ludzką stroną jego natury i działaniem jego zaczęły kierować wyłącznie wampirze instynkty. Zadanie brytyjskiej komórki INTESP było podwójne: po pierwsze, należało wyszukać i zniszczyć wszystko, co poddało się wpływom wampirów (szczególnie Tibora), żeby tak zwana „sprawa Bodescu" nie mogła się nigdy powtórzyć; po drugie zaś, trzeba było zmieść z powierzchni ziemi samego Juliana Bodescu, przez którego Tibor próbował znów zapanować nad światem. Bodescu jednak odgadł ich zamiary. Orientował się doskonale, że INTESP ma na celu przede wszystkim zabicie go, i obrócił przeciwko tej specjalnej sekcji całą swą wampirzą moc, zimną, wyrafinowaną i bezwzględną. Głównym wrogiem okazał się w tych zmaganiach bezpostaciowy Harry Keogh, którego duch uwięziony został wówczas w ciele niemowlęcia — jego syna. Zabić Harry'ego Juniora znaczyło pozbyć się samego Harry'ego i pokonać członków INTESP. Gdyby plan Bodescu powiódł się, mógłby on bez żadnych już przeszkód stworzyć całą armię swoich zwolenników i plaga wampiryzmu ogarnęłaby cały świat. Nie było w tym krzty przesady, bo o ile Bodescu stał się jednym z wampirów, jednak nie przejął ich samodyscypliny. Wampiry bowiem są przywiązane do swego terytorium, mają poczucie dumy,

są ostrożnymi samotnikami i zazwyczaj poddają się przeznaczeniu. Co więcej, zazdrośnie strzegą tajemnicy swej mocy, swego pochodzenia i historii. Są też świadome i pełne uznania dla ludzkich zdolności i osiągnięć. Gdyby tylko pozwolić ludziom uwierzyć, że nie są one bajkowymi stworami z mitów i legend, z pewnością rozpoczęłoby się wielkie polowanie, które trwałoby tak długo, aż wampiry rzeczywiście, stałyby się tylko wyobrażeniem. Niestety, Julian Bodescu był samoukiem. Nie podlegał żadnym kanonom, zasadom obowiązującym wampiry. Był szaleńcem. Brenda mieszkała wówczas ze swym synem, Harrym Juniorem w Hartlepool na północno-wschodnim wybrzeżu Anglii. Rozpoczęła się akcja. Bodescu wyszedł zwycięsko z pierwszego starcia. Krwawo rozprawił się z przeciwnikami, którzy próbowali zastawić na niego pułapkę w Devon. Opuścił swoje dotychczasowe mieszkanie i wyruszył na północ. Odziedziczone właściwości pozwoliły mu zajrzeć w umysły zabitych wrogów i odczytać wszystkie ukryte w nich informacje. Dlatego też postanowił za wszelką cenę zgładzić obydwu Keoghów — ojca i syna. Spodziewał się znaleźć w nich sekret nekroskopów, odkryć naturę i możliwości kontinuum Möbiusa. Nie udało się grupie agentów Wydziału E pochwycić go w zastawioną pułapkę, ale za to dokonali w starym domu wstrząsającego odkrycia. Julian terroryzował swego wuja, ciotkę i kuzynkę, i żywił się ich krwią. Jego wielki czarny pies okazał się czymś więcej niż zwykłym zwierzęciem. Cały dom wraz z mieszkańcami zamieniono w gigantyczną płonącą pochodnię. Budynek, na którego poddaszu mieszkała Brenda, znajdował się pod ścisłą ochroną specjalnej grupy INTESP. Również policja została powiadomiona, że kobieta z dzieckiem, zajmująca lokal na najwyższym piętrze, jest poszukiwana przez „zbiegłego maniaka" i że grozi im niebezpieczeństwo. Ale nawet oddziały specjalne nie powstrzymały wampira. Wtargnął do budynku. Wydawało się, że jest już zwycięzcą, ale... O ile sam Harry Keogh był bezradny w tej sytuacji, o tyle z jego maleńkim synem sprawa miała się wręcz przeciwnie. Odziedziczył po ojcu wszystkie nadzwyczajne talenty, a posiadał jeszcze własny — znacznie przewyższający ojcowski. Nie tylko potrafił rozmawiać ze zmarłymi, ale również umiał sprawić, by powstali ze swych cmentarnych legowisk po drugiej stronie ulicy. Więził w sobie umysł ojca tylko po to, by przejąć całą jego wiedzę. Brenda, która dzielnie stanęła w obronie niemowlęcia, została brutalnie odepchnięta przez Juliana Bodescu. Straciła przytomność. Harry wspomniał to wydarzenie ze wszystkimi szczegółami, jakby miało miejsce zaledwie wczoraj. Dwóch Keoghów patrzyło jedną parą oczu na Juliana, którego okrucieństwo i zbrodnia wypisane były na twarzy. „Koniec! — pomyślał Harry. — Widocznie tak musi być!"

— „Nie — odpowiedział mu jakiś nieznajomy głos. — Nie. Nie musi! Dzięki tobie nauczyłem się wszystkiego. Nie potrzebuje już ciebie w ten sposób. Ale wciąż jesteś mi potrzebny jako ojciec. Teraz idź, musisz się uratować!"

Tylko jedna osoba mogła mówić do niego w ten sposób. Harry Junior zrobił to po

raz pierwszy. Potem Harry poczuł, jak więzy krępujące umysł opadają. Znów stał się wolny. Mógł bezpiecznie powrócić do kontinuum Möbiusa. Mógł, ale nie potrafił. Bodescu rozwarł swą wampirzą paszczę. W przepastnej gardzieli wił się rozdwojony język węża, a zęby zalśniły jak wypolerowane sztylety.

— Idź! — dziecko ponagliło ojca.

— Jesteś moim synem! — krzyknął Harry. — Nie mogę tak po prostu sobie pójść! Nie mogę zostawić ciebie na jego pastwę!

— Nie mam zamiaru tu pozostać.

Szponiaste ręce bestii szybko zbliżały się do dziecięcego beciku. Jej oczy płonęły żądzą mordu. Mały Harry zaczął wykręcać główkę w jedną i drugą stronę, szukając drzwi Möbiusa. Całym wysiłkiem niedojrzałych jeszcze mięśni rozkołysał się, przetoczył przez otwarte niewidzialne wrota i zniknął.

Ręce i paszcza wampira pochwyciły... powietrze.

To był koniec Juliana Bodescu. Syn Harry'ego przywołał zmarłych z pobliskiego cmentarza. Pokochali to dziecko, które często z nimi przyjacielsko rozmawiało, nawet na długo przed narodzinami. Również kochali jego ojca. Gdyby którykolwiek z Keoghów znalazł się w kłopotach, zmarli nie potrzebowaliby zachęty, żeby rozruszać zesztywniałe kości i pośpieszyć im z pomocą. Pochwycili wampira, odcięli upiorną głowę i szczątki ciała spalili na popiół. Harry, znów wolny, stał się mistrzem kontinuum Möbiusa. Wkrótce Keogh odkrył, że jego syn nie tylko sam siebie wybawił z opresji, ale zabrał z sobą nieprzytomną matkę. Wykorzystał metafizyczne możliwości przestrzeni Möbiusa i przeniósł się w najbardziej bezpieczne miejsce na Ziemi — do siedziby INTESP w Londynie. Harry Senior zmuszony był zająć „skorupę" po Alecu Kyle'u. Przy tej okazji zniszczył radzieckie centrum badań. Wydział E w Zamku Bronnicy. Po takich doświadczeniach z pewnością należał mu się urlop. Czas na wypoczynek, zebranie sił i uporządkowanie skomplikowanych spraw rodzinnych. Kierownictwo INTESP jakby nie dostrzegło takiej potrzeby. Upojone ostatnimi sukcesami chciało, żeby wszystkie fakty zostały opisane, naniesione na mapy i przeanalizowane dla pełniejszego ich zrozumienia. Nekroskop był jedynym człowiekiem, który się we wszystkim doskonale orientował. W ciągu miesiąca spełnił te wymagania, obejmując nawet funkcję dyrektora INTESP. W tym samym jednak czasie stało się jasne, że z Brendą jest coś nie w porządku. Zresztą po takich przeżyciach łatwo było przewidzieć jej nerwowe załamanie. Niedawno została matką i nie zdążyła nawet dojść do siebie po trudnym, zagrażającym jej życiu porodzie. Nawet lekarze wątpili, czy go zniesie. Trzeba dodać, że od miesięcy niepokoiła się, nie mogła bowiem pojąć wyjątkowych zdolności męża. Dowiedziała się, że jest nekroskopem, a w dodatku okazało się, że jej syn posiada w sobie jeszcze potężniejszą moc. Potem nowe oblicze jej męża, powrót w zupełnie obcym ciele. W końcu ta koszmarna noc, kiedy stała twarzą w twarz z monstrum, które nie cofnęłoby się przed

niczym, żeby zgładzić jej maleńkie dziecko. Trudno wyobrazić sobie stres, w jakim żyła przez cały ten czas. A była tylko prostą wiejską dziewczyną. Nie znosiła też Londynu, a nie mogła wrócić do Hartlepool. Jej stare mieszkanie zostało nawiedzone przez ducha zabitego tam wampira. Stopniowo jej kontakt z realnym światem bardzo się rozluźnił. Coraz częściej stawała się pacjentką specjalistycznych klinik psychiatrycznych. Aż pewnego ranka ona i jej dziecko...

— Odeszli — powiedział na głos Harry. — Nie było ich nigdzie. Zastanawiam się, dlaczego mnie nawet nie ostrzegli, nie uprzedzili. Po prostu zabrał... i koniec. Wiesz, że nigdy ze mną nie rozmawiał? Nie odezwał się do mnie ani razu po tym wydarzeniu z Bodescu! A wiem, że potrafiłby. Widziałem to w jego dziecięcych oczach. Ale nigdy tego nie zrobił. — Wzruszył ramionami. — Może on też mnie obwiniał. Razem mnie za wszystko winili. Czy ktoś mógłby, z drugiej strony, powiedzieć, że nie mieli racji? Gdybym nie był tym, kim jestem...

— Tak? — rozzłościła się jego matka. Nie znosiła, kiedy Harry oskarżał siebie w ten sposób. — Gdybyś nie był tym, kim jesteś, to Borys Dragosani dalej żyłby w Rosji. Julian Bodescu po całym świecie rozsiewałby Bóg jeden wie jakie, zło. A zmarli? Cały czas leżeliby zapomniani i samotni. Chociaż ich myśli są nadal żywe. Wszystko to zmieniłeś. Nie ma od tego odwrotu.

Musiał przyznać, że miała rację. Podniósł kamyk i wrzucił go do rzeki. Jego odbicie zafalowało na wodnych kręgach.

— Wciąż jednak — powiedział — chciałbym wiedzieć, dokąd poszli. Chciałbym się upewnić, że z nimi wszystko w porządku. Jesteś pewna, mamo, że nic o nich nie słyszałaś?

— Od zmarłych? Nie ma wśród nas nikogo, kto nie pomógłby, gdyby potrafił. Uwierz mi, gdyby Brenda i mały Harry umarli, pierwszy dowiedziałbyś się o tym. Gdziekolwiek są, żyją na pewno. Możesz mi wierzyć.

— Tylko ja mógłbym ich odnaleźć. A nie trafiłem nawet na ich ślad! Kiedy zniknęli, zwróciłem się do ludzi z INTESP. Nie znaleźli ich. Podsunęli mi jednak myśl, że może Brenda i dziecko nie żyją. INTESP posiada teraz ludzi, którzy potrafią odszukać każdego. Odbierają fale emitowane przez mózg z drugiego krańca świata, a jednak i oni nie natrafili na ich ślady. A przecież moc umysłu małego Harry'ego znacznie przewyższa moc mojego. Tymczasem twoi ludzie (miał na myśli zmarłych) twierdzą zdecydowanie, że oni żyją. Wiem, że nie okłamywalibyście mnie w ten sposób. Pytam więc: jeśli nie ma ich wśród nieżywych i nie ma ich na ziemi — gdzie ja sam mógłbym ich znaleźć — to gdzie, u diabła, się podziali? Nie daje mi to spokoju.

— Wiem, synu, wiem — wyszeptała.

— Jeśli nawet specjaliści od postrzegania pozazmysłowego są bezradni — ciągnął, jakby jej nie usłyszał — jaką ja mogę mieć nadzieję?

Matka Harry'ego nie raz już tego wysłuchiwała. Prawie pięć lat poświęciła na poszukiwania, przez następne trzy opracowywała hipotezy i sposoby odnalezienia jego bliskich. Bez rezultatu. Starała się wspierać każdy jego krok, ale jak do tej pory błądził w gąszczu rozczarowań i zawodów.

— Teraz wracam do domu. Myślę, że przydałby mi się długi wypoczynek. Czasem chciałbym móc przestać w ogóle myśleć — powiedział, otrzepując spodnie z wilgotnej ziemi. — To prawda — wyszeptał — nie ma już gdzie szukać i nie ma po co żyć. Nic nie ma żadnego sensu...

Ruszył przed siebie ze spuszczoną głową, gdy nagle ktoś silnie przytrzymał go za ramiona. Z początku Harry nie poznał stojącego przed nim mężczyzny.

— Darcy Clarke? — Harry zawołał po chwili. — Nie byłoby ciebie tutaj, gdybyś czegoś ode mnie nie potrzebował. Sądziłem, że sprawa jest oczywista — skończyłem z INTESP raz na zawsze.

Clarke przyglądał się uważnie jego twarzy. Twarzy, którą znał doskonale jeszcze z czasów, kiedy należała do kogoś innego. W jej rysach widział teraz jakby więcej silnej woli, charakteru. Oczywiście, Alec Kyle nie był człowiekiem o słabej osobowości, ale Harry stopniowo wzbogacił jego oblicze o nowe wartości.

— Harry — odezwał się Clarke — czy dobrze usłyszałem, jak powiedziałeś, że nic nie ma już sensu? Naprawdę tak uważasz?

— Od jak dawna mnie szpiegujesz? — Harry spojrzał na niego ostro.

— Stałem tu, pod ścianą — odparł. — Nie szpiegowałem cię, ale... nie chciałem ci przeszkadzać, to wszystko. — Wskazał na rzekę. — To tutaj spoczywa twoja matka?

Harry poczuł się teraz bezpieczny. Obejrzał się i przytaknął. Nie miał się czego obawiać ze strony tego człowieka.

— Tak. To z nią właśnie rozmawiałem.

Clarke odruchowo rozejrzał się wokół.

— Rozmawiałeś z...? — Potem znów spojrzał na spokojną wodę i rozluźnił się. — Oczywiście, omal nie zapomniałem.

— Czyżby? — zaczepnie odezwał się Harry. — Chcesz powiedzieć, że nie ma to nic wspólnego ze sprawą, w jakiej tu przyjechałeś? W porządku, chodźmy do mnie. Możemy porozmawiać po drodze — dodał po chwili.

Szli obok siebie, Clarke ukradkiem obserwował nekroskopa. Rozkojarzenie, duchową nieobecność dawnego Harry'ego odzwierciedlał jego wygląd. Miał na sobie rozpiętą pod szyją koszulę, szary, powyciągany sweter, szare spodnie i zniszczone buty. Było widać, że nie dbał o siebie zupełnie.

— Umrzesz z zimna — powiedział Clarke z troską w głosie. Zmusił się do uśmiechu. — Nikt ci nie powiedział? Niedługo będzie listopad...

Maszerowali wzdłuż rzeki w stronę wielkiego wiktoriańskiego domu, ledwo widocz-

nego za kamiennym murem wokół ogrodu. Dom ten należał kiedyś do matki Harry'ego, potem do jego ojczyma, a teraz, naturalnie, był jego własnością.

— Pora roku nie jest dla mnie najważniejsza — odparł w końcu. — Kiedy czuję, że robi się zimno, ubieram się cieplej.

— Ale nie ma to większego znaczenia — stwierdził Clarke. — Wszystko straciło sens dla ciebie. To znaczy, że jeszcze ich nie znalazłeś! Przykro mi, Harry.

Darcy Clarke został wybrany na stanowisko szefa INTESP po rezygnacji Harry'ego. Posiadał niezwykłe zdolności. Nie mógł ulec żadnemu wypadkowi. Nawet gdyby chodził po polu minowym, nie stałaby mu się najmniejsza krzywda. Jego natura zapewniała mu absolutne bezpieczeństwo, jak i to, że nic i nikt nie był w stanie nim zawładnąć. Oczywiście, tak jak każdy człowiek, Darcy Clarke, kiedyś musi umrzeć z powodu podeszłego wieku. Wygląd zewnętrzny Clarke'a nie zdradzał żadnych specjalnych właściwości czy talentów. „On jest prawdopodobnie najdoskonalszym przykładem pospolitości na świecie" — pomyślał Harry. Średniego wzrostu, szatyn, lekko przygarbiony, z małym brzuszkiem, ale nie otyły, przeciętny w każdym calu.

— Zgadza się — po dłuższej chwili odpowiedział Harry. — Nie znalazłem ich. Czy dlatego tu przyjechałeś, Darcy? Chcesz mi wskazać jakiś nowy kierunek?

— Coś w tym rodzaju — przytaknął Clarke. — Przynajmniej mam taką nadzieję.

Minęli furtkę w ogrodzeniu, za którym znajdował się ponury, zapuszczony ogród. Krzaki pozarastały wszystkie ścieżki, tak że dwaj mężczyźni ledwo mieścili się jeden obok drugiego. Z trudem przedarli się przez gąszcz na utwardzony taras, na który wychodziły szklane drzwi pracowni Harry'ego. Pokój wyglądał na zaniedbany, brudny i duszny.

— Wejdź z własnej woli, Darcy — powiedział Harry. Clarke rzucił mu ostre spojrzenie, ale wiedział, że nic mu nie grozi.

— Żartowałem. — Nekroskop blado się uśmiechnął. — Gust, tak jak poglądy, zmienia się w zależności od punktu widzenia.

Clarke wszedł do środka.

— Nie wydaje ci się — odezwał się Keogh, podążając za nim i dokładnie zamykając za sobą drzwi, że ten dom pasuje do mnie?

Wskazał Clarke'owi wiklinowy fotel, a sam usiadł za ciężką dębową ławą, poczerniałą ze starości. Mężczyzna rozejrzał się po pokoju. Ponurość wnętrza była nienaturalna. Zaprojektowano w nim wiele okien, ale Harry pozaciągał na nich wszystkie story, i światło dostawało się tu jedynie przez szklane drzwi.

— Trochę tu pogrzebowo, nie sądzisz? — Clarke nie mógł powstrzymać się od komentarza.

Harry zgodził się z tym, potakując głową.

— To był pokój mojego ojczyma — powiedział. — Szukszina — drania i morder-

cy! Wiesz, że próbował i mnie zabić? Był obserwatorem, ale różnił się od pozostałych swym fachem. Nie tylko węszył za tymi z nadzwyczajną percepcją, on ich nienawidził! Wolałby nawet ich nie odnajdywać. Kiedy tylko wyczuł któregoś z nich, skóra zaczynała go parzyć, wpadał w prawdziwą furię. Jego szaleństwo doprowadziło go do zamordowania mojej matki.

— Wiem o tobie wszystko. Jeśli tak cię to dręczy, dlaczego wciąż tu mieszkasz i rozmyślasz o rzece, o ojcu...

— Tak, jest w rzece. Tam, gdzie próbował mnie utopić! Ale starzec nie obchodzi mnie ani trochę. Tam pozostała również moja matka, nie pamiętasz? Mam niewielu wrogów między zmarłymi, reszta to moi przyjaciele. Dobrzy przyjaciele. Nie stawiają żadnych wymagań. — Harry umilkł na chwilę, zaczerpnął powietrza.

— W każdym razie — mówił dalej — właśnie dzięki Szukszinowi wstąpiłem do INTESP. Gdyby nie on, prawdopodobnie nie rozmawialibyśmy z sobą teraz. Mógłbym gdzieś tam, wysoko, pisać historie o zmarłych.

Darcy czuł się niezręcznie, słuchając tych przygnębiających wynurzeń.

— Nie piszesz już? — zapytał.

— Nie, nie piszę. Niczym się właściwie nie zajmuję.

— Nie kocham jej. — Nekroskop nieoczekiwanie zmienił temat.

— Słucham?

— Brendy. — Harry wzruszył ramionami. — Być może, kocham tego małego chłopaczka, ale nie jego matkę. Widzisz, pamiętam dokładnie, jak to było, kiedy naprawdę jej pragnąłem — oczywiście, myślę to samo — ale moje ciało jest zbudowane inaczej. To nie mogło dłużej trwać, Brenda i ja. Nie, to mnie męczy. Wykańcza mnie świadomość, że gdzieś cały czas żyją, a ja nie mogę do nich dotrzeć. Szczególnie do niego. Przez pewien czas byłem częścią tego małego faceta! To ja nauczyłem go wiele z tego, co teraz potrafi. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że gdyby nie odeszli i tak nie bylibyśmy z Brendą razem już od dawna. Nawet, gdyby zupełnie wyzdrowiała. I czasem sobie myślę, że może jednak dobrze się stało, że odeszli, nie tylko przez wzgląd na nią, ale przede wszystkim dla jego dobra.

Wszystko to wypłynęło z Harry'ego nieprzerwanym potokiem słów. Clarke był z siebie zadowolony, być może runął mur odgradzający Harry'ego od świata żywych.

— Nawet nie wiedząc, gdzie teraz jest, myślisz, że tak jest dla niego lepiej? Nie rozumiem cię — powiedział szef INTESP.

— Jakie życie czekałoby go w służbie specjalnej? Jak myślisz, co by teraz robił Harry Keogh Junior, nekroskop i badacz przestrzeni Möbiusa!

— Naprawdę w to wierzysz? — zapytał Clarke spokojnym głosem.

— Co ty sobie o nas myślisz? Robiłby to, na co miałby ochotę — odparł. — To nie Związek Radziecki, Harry. Nikt nie zmuszałby go do niczego. Czy ty czułeś się kiedy-

kolwiek przez nas zniewolony? Groziliśmy ci, szantażowaliśmy? Nie ulega wątpliwości że byłeś najcenniejszym nabytkiem naszej organizacji, ale kiedy osiem lat temu powiedziałeś: dosyć... czy próbowaliśmy zatrzymać cię? Prosiliśmy cię żebyś został, to wszystko. Nikt nie wywierał żadnej presji.

— Ale wzrastałby u waszego boku. — Harry przemyślał już dawno ten problem. — Byłby naznaczony, napiętnowany. Może zorientował się, co go czeka i po prostu zawczasu wybrał wolność, co?

Clarke otrząsnął się z tych do niczego nie prowadzących spekulacji. Zrealizował już część swojego planu: sprowokował Harry'ego Keogha do zwierzenia się z nurtujących go trosk. Teraz musiał naprowadzić rozmowę na inny, równie ważny temat.

— Harry — powiedział z zastanowieniem. — Przestaliśmy szukać Brendy i dziecka sześć lat temu. Gdybyśmy nie czuli się zobowiązani w stosunku do ciebie, zrobilibyśmy to jeszcze wcześniej. Naprawdę wierzyliśmy, że nie żyją, w przeciwnym bowiem razie znaleźlibyśmy ich prędzej czy później. Ale za długo to trwało. Dziś sytuacja zupełnie się zmieniła...

Słowa Clarke'a powoli dotarły do Harry'ego. Krew napłynęła mu do głowy. Ciężko przechylił się przez ławę.

— Znaleźliście... jakiś ślad? — zapytał, szeroko otwierając usta. Clarke uspokajająco podniósł ręce i lekko wzruszył ramionami.

— Być może, natknęliśmy się na związaną z tym sprawę — powiedział — ale nie mogę cię o tym zapewnić! Widzisz, sami nie potrafimy tego sprawdzić! Tylko ty możesz to zrobić.

Oczy Harry'ego zwęziły się. Wstał, wyszedł zza ławy i zaczął nerwowo chodzić po pracowni. W końcu stanął przed Clarke'em.

— Opowiedz mi o tym, ale niczego nie obiecuję — wyszeptał.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W przestrzeni Möbiusa

Darcy Clarke dotarł w opowieści do chwili, kiedy to nad Zatoką Hudsona została zestrzelona „kometa". Nie wyjaśnił jednak prawdziwej natury tego obiektu.

— No tak, wszystko to bardzo interesujące — przerwał mu Harry — ale nie usłyszałem dotąd nic, co mogłoby dotyczyć Brendy i małego Harry'ego.

— Nie denerwuj się — odparł Clarke. — To nie jest sprawa, którą można by przedstawić tylko częściowo albo w najbardziej interesujących ciebie bezpośrednio fragmentach. Jeśli zdecydujesz się nam pomóc i tak musisz poznać całość. To wszystko jest bardzo skomplikowane, ale zaraz zrozumiesz, dlaczego fatygowałem ciebie.

— W porządku. — Harry skinął głową. — Ale chodźmy teraz do kuchni. Napijesz się kawy? Obawiam się, że znajdę tylko neskę, nie mam cierpliwości do zabawy z prawdziwą.

— Z przyjemnością — powiedział Clarke. — I nie martw się tą neską. Wszystko jest lepsze od tego świństwa z automatów u nas w Centrali!

Szedł za Harrym ciemnymi korytarzami domostwa i uśmiechał się pod nosem. Pomimo całego zniecierpliwienia nekroskopa wiedział, że ta historia wciągnęła go.

W kuchni poczekał, aż Harry przygotuje kawę i usiedli za dużym drewnianym stołem.

— Tak jak mówiłem, była potyczka nad Zatoką Hudsona — Clarke podjął opowieść.

— Poczekaj — znów wtrącił Harry. — Wiem, że chciałbyś przedstawić mi wszystko na swój własny sposób. Czegoś mi tu jednak brakuje. Na przykład: co sprawiło, że zwróciliście uwagę na Perchorsk?

— Właściwie był to przypadek — odpowiedział Clarke. — Ciągle jesteśmy „cichym partnerem", jeśli chodzi o służby bezpieczeństwa kraju i w zasadzie nam to odpowiada. Oczywiście wiąże się to z pewnymi problemami finansowymi i z zaopatrzeniem w sprzęt, ale dajemy sobie jakoś z tym radę.

Od wydarzenia z Bodescu przez jakiś czas panował spokój. Najczęściej korzystała z naszych usług policja. Odnajdywaliśmy skradzione złoto, dzieła sztuki i nielegalne składy broni. Cały czas jesteśmy jednak niedoceniani. Co prawda, sami niewiele mówimy o naszych możliwościach, ale i nam się o wielu sprawach, niestety, nie mówi. Nawet tym, którzy o nas wiedzą, trudno sobie wyobrazić współpracę skomputeryzowanej techniki ze zjawiskami ponadnaturalnymi. Tym bardziej, że nie jesteśmy tak niezawodni jak telefon.

— Czyżby? — zapytał Harry.

— Sprawy komplikują się, jeśli druga strona wie, że jesteśmy akurat na linii.

— No to jak w końcu wyglądał ten przypadek z Perchorskiem?

— Dowiedzieliśmy się o nim tylko tyle, że nasi „towarzysze" w Perchorsku bardzo tego nie chcieli. Pamiętasz Kena Layarda?

— Tego obserwatora? Jasne, że tak — odpowiedział Harry.

— To było bardzo proste. Ken rozpracował wzrost aktywności oddziałów wojskowych na Uralu i... natrafił na wyraźny opór. Radzieccy fachowcy z Wydziału E otoczyli ten obszar metafizyczną mgłą.

Na twarzy Harry'ego zaznaczył się wyraźny wzrost zainteresowania, w jego oczach zabłysło coś w rodzaju podziwu. „To znaczy, że „przyjaciele" z Rosji podźwignęli się z klęski po rozprawie z centrum w Zamku Bronnicy" — pomyślał.

— Sowiecki Wydział E znów w tym biznesie? — chciał się upewnić.

— Oczywiście — powiedział Clarke. — Och, wiemy o nich już od dłuższego czasu. Ale po tym, co im zrobiłeś, nie wrócili do dawnej formy. Znaczą jeszcze mniej u siebie, niż my u nas! Mają teraz dwa ośrodki: jeden w Moskwie, w sąsiedztwie laboratoriów biologicznych, a drugi w miejscowości Mogocha w pobliżu granicy z Chinami. Ten ostatni głównie po to, by kontrolować „żółte zagrożenie".

— Ten w Perchorsku również — przypomniał mu Harry.

— Niewielka komórka — odparł Clarke — wyłącznie do ochrony tego obszaru przed naszą penetracją! Tak to w każdym razie widzimy. Tylko dlaczego zajmuje to tak wysoką pozycję na ich liście miejsc szczególnie ważnych dla służb bezpieczeństwa. Po wypadku z „kometą" postanowiliśmy się temu przyjrzeć.

Dowiedzieliśmy się, że służby tajne zamierzają wysłać tam jednego ze swoich agentów — niejakiego Michaela J. Simmonsa. Zdecydowaliśmy się, hm, skorzystać z tej okazji. Nie chcieliśmy przy tym, żeby on sam cokolwiek o tym wiedział! — Clarke wydawał się być zaskoczony wyrazem zdumienia na twarzy Harry'ego. — Wyobrażasz sobie, że nawiązalibyśmy z nim obustronny kontakt w sytuacji, gdy wokół Perchorska roztaczała się gęsta sieć zastawiona przez radzieckich esperów? Wpadliśmy w nią w mgnieniu oka. W dodatku, ponieważ Simmons nie był niczego świadomy, zdecydowaliśmy nie zawiadamiać o niczym także jego zwierzchników. Mówiąc krótko, nie można zdradzić nicze-

go, czego się nie wie, rozumiesz?

— Nie, oczywiście, że nie można! — Harry parsknął śmiechem.

— I tak by nam nie uwierzyli. — Clarke wzruszył ramionami. — Są bardzo przyzwyczajeni do swoich metod zbierania informacji. Pożyczyliśmy sobie coś, co Simmons zawsze przy sobie nosi i po krótkim czasie zwróciliśmy mu to. Był to złoty krzyżyk, z którym na ogół się nie rozstaje. Tym razem był przekonany, że przez roztargnienie położył go w innym miejscu. Sami pomogliśmy mu znaleźć ową zgubę. Przez kilka godzin zajmował się nim nasz nowy nabytek, David Chung.

— Chińczyk? — Brwi Harry'ego znów uniosły się w zdumieniu.

— Z pochodzenia. Jednak urodził się i wychował w Londynie. Jest obserwatorem i łącznikiem, cholernie dobrym w tym, co robi. Dostał więc krzyżyk Simmonsa i nawiązał z nim „więź sympatii". Od tej pory w każdej chwili mógł się dowiedzieć, gdzie ten się znajduje, a nawet był w stanie widzieć za jego pośrednictwem. Wiesz, na zasadzie kryształowej kuli. I to działało, w każdym razie do pewnej chwili.

— Tak? — Harry po raz kolejny ożywił się. Nigdy nie cenił zbytnio ponadzmysłowej percepcji. Była to nawet jedna z przyczyn jego odejścia z INTESP. W głębi duszy uważał, że ten, kto w ten sposób wykorzystuje swój nadzwyczajny talent, robi to z wrodzonego, chorobliwego wścibstwa. Z drugiej strony wiedział, że lepiej pracować przy jego użyciu dla dobra całego społeczeństwa niż przeciwko niemu. Zmarli nie traktowali go jak zaglądającego przez dziurkę od klucza ciekawskiego — byli jego przyjaciółmi i ufali mu.

— Potem — kontynuował Clarke — przekonaliśmy szefów Simmonsa, że nie powinien on mieć przy sobie kapsułki „D".

— Czego? — Zmarszczył nos Harry. — To brzmi jak nazwa środka antykoncepcyjnego!

— Ach, wybacz! — powiedział Clarke. — Nie było cię z nami na tyle długo, że pewne rzeczy będą zupełną nowością. Kapsułka „D" pozwala szybko zapomnieć o wszystkich kłopotach. Można się przecież znaleźć w sytuacji, że wolałoby się nie żyć. W czasie tortur, mając świadomość, że jedna nieostrożna odpowiedź może narazić na niebezpieczeństwo wielu przyjaciół. Misja Simmonsa niosła w sobie takie zagrożenie. A jak wiesz, sporo naszych wypełnia swoje zadania w Rosji. Simmons miał się z nimi skontaktować. W każdym razie, kapsułę umieszcza się w zębie. Wystarczy lekko nacisnąć, mocniej zgryźć, żeby uwolnić jej zawartość, a wtedy... — Clarke zorientował się, że zbytnio odbiega od meritum. — Jak już powiedziałem, przekonaliśmy jego szefów, żeby kapsuła „D" była fałszywa. Miałaby zawierać jakąś złożoną, ale nieszkodliwą substancję. W najgorszym przypadku mógł po jej zażyciu stracić przytomność.

— To, po co w ogóle miał ją zabrać? — Harry nie bardzo rozumiał Clarke'a.

— Nie wiedziałby, że jest bezużyteczna. Miała mu tylko przypominać, że musi na sie-

bie uważać.

— Boże, wasza pomysłowość nie zna granic! — Keogh był wyraźnie zgorszony.

— Nie usłyszałeś jeszcze najgorszego. Powiedzieliśmy im, że nasi przepowiadacze gwarantują powodzenie całej akcji, ale...

— Tak? — Oczy Harry'ego zwęziły się gwałtownie.

— No cóż. Tak naprawdę nie dawaliśmy Simmonsowi żadnych szans. Wiedzieliśmy, że zostanie schwytany!

Harry zerwał się ze swego miejsca i z całej siły uderzył pięścią w stół.

— W takim razie do draństwo, że pozwoliliście im go wysłać! — krzyknął. — Miał wpaść i sypać innych, którzy mu pomagali, żeby ratować własną skórę? Co się stało z INTESP w ciągu ośmiu lat? Jestem pewien, że sir Keenan Cormley nigdy by nie pozwolił na coś takiego!

— Och, pozwoliłby, Harry — powiedział Darcy. — W tym przypadku nie miałby nic przeciwko temu. To wszystko nie jest aż tak brudne, jak ci się na razie wydaje. Zrozum, Chung jest tak dobry, że w momencie, kiedy Simmonsa rzeczywiście złapali, od razu o tym wiedzieliśmy. Zawiadomiliśmy służby tajne, żeby mogli ostrzec wszystkich, którzy się z nim kontaktowali. Zdążyli oni z powodzeniem zatrzeć za sobą wszystkie ślady.

— Rozumiem. Wpadliście w dół, który sami wykopaliście. I teraz ja mam was z niego wyciągnąć. Jeśli tak, niech reszta tego, co masz mi do powiedzenia, będzie znacznie przyjemniejsza, bo... cały ten bałagan zaczyna grać mi na nerwach! W porządku, podsumujmy. Wiedzieliście, że Simmons zostanie złapany, a mimo to zaopatrzyliście go w fałszywą kapsułkę „D" i wyprawiliście go w tę beznadziejną misję. Poza tym...

— Poczekaj — przerwał mu Clarke. — Ciągle nie rozumiesz. Jego misja polegała na tym, że miał zostać schwytany!

— To niczego nie tłumaczy — powiedział Keogh po krótkim namyśle. — Zgaduję, że poprzez niego Chung miał zorientować się w tajemnicach Projektu Perchorsk. Ale... nie wpadliście na to, że Sowieci was rozszyfrują?

— Chyba masz rację — zgodził się Clarke. — Gdyby Chung wykorzystał swój talent, z pewnością by to odkryli. W rzeczywistości jesteśmy przekonani, że tak się stało. Tylko mieliśmy nadzieję, iż uda nam się do tej pory poznać tajemnicę Projektu, a przede wszystkim dowiedzieć się, co Sowieci tam produkują, a właściwie — hodują!

— Hodują? — zapytał Harry znacznie spokojniejszym tonem. — Co, u diabła, próbujesz mi wmówić, Darcy?

— Ta rzecz zestrzelona nad Zatoką Hudsona — wolno i wyraźnie odpowiedział mu Clarke — pochodziła z piekła, Harry. Zgadujesz, co mam na myśli?

— Lepiej sam mi to powiedz — odparł Keogh zachrypniętym głosem.

— Dobrze. — Clarke wstał i oparł się o stół. — Pamiętasz Juliana Bodescu? Wyobraź

sobie coś znacznie potworniejszego i potężniejszego. Amerykanie zestrzelili owego najobrzydliwszego i najbardziej krwiożerczego wampira, jaki może przyśnić się w koszmarnych snach. W dodatku pochodził z Perchorska! Chyba już rozumiesz, dlaczego tak cię potrzebujemy.

— Jeśli to żart, to o wiele za mało, żeby...

— To nie są żarty, Harry — przerwał mu Clarke. — W Centrali mamy film nakręcony przez AWACS, zanim myśliwce pokonały potwora. Jeśli to nie był wampir albo coś w tym rodzaju, to wybrałem zły zawód. Ale ci, którzy przeżyli potyczkę z Bodescu w jego domu, są pewni tego, co mówią: rzecz utrwalona na filmie w każdym calu przypominała potwora znalezionego w Devon. A to oznacza tylko jedno.

— Myślicie, że Rosjanie eksperymentują w ten sposób z nową bronią biologiczną? — Nekroskop wyraźnie wątpił w wiarygodność tych podejrzeń.

— Czy nie dokładnie to samo miał w umyśle ten lunatyk, Gerenko, zanim... się z nim rozprawiłeś? — Clarke był uparty.

— To nie ja zabiłem Gerenkę. Zrobił to za mnie Ferenczy.

Harry opuścił głowę, splótł za sobą ręce i wolno skierował się z powrotem w stronę studia. Clarke podążył za nim, starając się ukryć swą niecierpliwość. Czas płynął, a on potrzebował natychmiastowej pomocy nekroskopa.

Było wczesne popołudnie i promienie jesiennego słońca wpadały do wnętrza pokoju, bezlitośnie ujawniając grubą warstwę kurzu na wszystkich sprzętach. Wydawało się, że Harry zauważył go po raz pierwszy. Przejechał palcem po zakurzonej półce.

— Tak naprawdę nie ma więc żadnej sprawy związanej z Brendą i moim synem. Chciałeś tylko, żebym cię wysłuchał do końca? — powiedział Keogh, patrząc w oczy Clarke'owi.

— Harry, jesteś jedynym człowiekiem na świecie, którego nigdy bym nie okłamał! Dlatego, że znienawidziłbyś mnie za to. Naprawdę jesteś nam potrzebny. Widzisz, pamiętam dokładnie co powiedziałeś, kiedy osiem lat temu od nas odszedłeś: „Nie ma ich wśród zmarłych i nie ma ich nigdzie na świecie — więc gdzie są?" Uważaj teraz — wydaje się, że mamy do czynienia z taką samą zagadką.

— Ktoś zniknął? W ten sam sposób? — Harry zmarszczył podejrzliwie brwi. — Masz na myśli Simmonsa?

— Dokładnie tak. Jazz Simmons zniknął. W ten sam sposób. Złapali go niecały miesiąc temu i zabrali do Perchorska. Kontakt z nim był bardzo trudny, prawie niemożliwy. David Chung twierdzi, że było tak, ponieważ: po pierwsze Projekt leży w wąwozie i niełatwo mu było się przebić przez skalne masywy; po drugie, przykrywa go gruba warstwa ołowiu; po trzecie, radzieccy emitorzy kontrafal blokowali jego wysiłki. Czasami Chung potrafił tam zajrzeć, ale uzyskane przez niego obrazy nie są przekonywające.

— Mów dalej — powiedział Harry zachęcającym tonem.

— No cóż, to nie takie proste. Musisz pamiętać, że nawet Chung nie potrafił tego wyjaśnić, a ja tylko za nim powtarzam. Zobaczył coś w szklanym naczyniu. Twierdzi, że nie może tego dokładnie opisać, bo to ciągle się zmieniało. Nie, o nic mnie nie pytaj. — Szybko podniósł ręce w obronnym geście. — Osobiście nie mam na ten temat zdania. Poza tym Chung wyczuł tam jakiś strach, jakby cały kompleks ogarnięty był paraliżującym przerażeniem. Wszyscy panicznie się czegoś bali. Tak było jeszcze nie dalej niż trzy dni temu. Potem zaś...

— Tak?

— Kontakt się urwał. Dosłownie nic z niego nie zostało. Krzyżyk Simmonsa, a przypuszczalnie i sam Simmons, po prostu zniknął.

— Może nie żyje?

— Nie, myślę, że twoja sprawa jest podobna. Chung twierdzi, że krzyżyk wciąż istnieje. Nie został w żaden sposób zniszczony i Simmons prawdopodobnie cały czas go nosi. Ale nie ma pojęcia, co się z nim stało. Zaczyna wątpić w swój talent. To go złości. Czuje się dokładnie tak, jak ty przed kilku laty. Sam obwinia się o nieudolność.

— Potrafię go zrozumieć! — Harry skinął głową.

— A David Chung wie, gdzie krzyżyka nie ma na pewno — powiedział Clarke. — Nie ma go na Ziemi!

Na twarzy Harry'ego pojawił się wyraz pełnej koncentracji. Odwrócił się plecami do Clarke'a i wyjrzał przez okno.

— Oczywiście — powiedział — mogę w krótkim czasie dowiedzieć się, czy Simmons żyje, czy też nie. Mogę się zwrócić o pomoc do zmarłych. Zapytam po prostu, czy Anglik, Michael Jazz Simmons przyłączył się do nich ostatnio. Nie dlatego, żebym nie wierzył w możliwości Chunga, ale wolałbym być absolutnie pewien, że się nie myli.

— No to zapytaj swoich przyjaciół — odrzekł Clarke.

Harry spojrzał na niego i dziwnie się uśmiechnął. Jego oczy błyszczały szczególną jasnością.

— Już to zrobiłem. Odezwą się, jeśli będą znali odpowiedź.

Trwało to pół godziny. Harry siedział w tym czasie głęboko zamyślony, a Clarke spacerował nerwowo po pokoju. Światło słoneczne powoli bladło, a zegar monotonnie tykał w ciemnym rogu.

— Nie ma go wśród zmarłych! — Słowa Harry'ego zabrzmiały jak westchnienie.

Clarke milczał. Wstrzymał oddech i skupił się, żeby podsłuchać rozmowę Harry'ego z głosami zza grobów, ale w pokoju panowała absolutna cisza. Mimo to, nie miał żadnych wątpliwości, że ta wiadomość naprawdę nadeszła. Czekał.

— Cóż — powiedział po chwili Harry — wygląda na to, że znowu mnie zatrudniłeś.

— Znowu? — zapytał Clarke.

— No, tak! Ostatni raz po to samo przyjechał sir Keenan Cormley. Może powinieneś potraktować to jako ostrzeżenie!

Darcy wiedział, co Harry miał na myśli. Cormley został „wypatroszony" przez rosyjskiego nekromantę — Borysa Dragosaniego.

— Nie — Clarke zdecydowanie zaprzeczył. — To mi naprawdę nie grozi. Mój talent samoochrony albo moje tchórzostwo, jak wolisz, sprawia, że gdy znajduję się w pobliżu niebezpieczeństwa, nogi same niosą mnie tam, gdzie jest bezpiecznie! W każdym razie podejmuję ryzyko.

— Na pewno? — Coś kryło się za tym pytaniem.

— O czym mówisz?

— Zostawiłem u was swoje drobiazgi — powiedział Harry. — Ubrania, przybory do golenia. Są tam jeszcze?

— Niczego nie ruszano w twoim pokoju. Cały czas wierzyliśmy, że wrócisz.

— W takim razie jestem gotów do drogi. — Zamknął dokładnie drzwi na taras.

— Mam dwa bilety na pociąg z Edynburga do Londynu. Tutaj przyjechałem taksówką, musimy więc... — powiedział Clarke. Harry nie ruszał się i uśmiechał się dwuznacznie.

— Coś nie tak? — zapytał Clarke.

— Powiedziałeś, że zaryzykujesz — przypomniał mu Harry.

— Tak, ale... o jakim ryzyku teraz rozmawiamy?

— Już od dłuższego czasu nie podróżowałem samochodem, statkiem czy pociągiem. To strata czasu. Najmniejszą odległość między dwoma punktami wyznacza równanie Möbiusa!

— Zaraz, poczekaj, Harry, ja... — Clarke wytrzeszczył oczy.

— Przybywając tutaj, wiedziałeś, że po wysłuchaniu twojej historii nie będę w stanie ci odmówić. Ty i twoje służby specjalne nie macie się czego bać. Odtąd kłopoty będzie miał już tylko Harry Keogh. Wiem, że nie raz i nie dwa pożałuję swojej decyzji. To ja podejmuję to ryzyko. Ale ufam tobie, swojemu szczęściu i talentom. A ty? Gdzie twoja wiara, Darcy?

— Chcesz zabrać mnie do Londynu... twoim sposobem?

— Tak, wstęgą Möbiusa.

— To tak jak zmuszać przestraszone dziecko do zrobienia ósemki. Przekupywanie go czymś, czego nie może sobie odmówić.

Clarke skrzywił się. Przestrzeń Möbiusa fascynowała go, ale i przerażała.

— Wiesz, do tej pory nie miałem do czynienia z tego rodzaju sztuczkami. Czy to bezpieczne? — zapytał z niepokojem.

— Gdyby nie było, twój talent powiedziałby ci o tym. Jak na człowieka, który tak potrafi się przed wszystkim sam ochronić, masz bardzo mało wiary w siebie.

— Tak, to paradoks — przyznał Clarke. — Prawda jest taka, że ciągle wyłączam prąd w całym domu zanim zmienię żarówkę! Dobra, wygrałeś. Ale... znasz drogę do Centrali. Jesteś pewien, że jeszcze to potrafisz? Widzisz...

— To jak z jazdą na rowerze. — Harry wyszczerzył zęby. — Albo z pływaniem. Raz się nauczysz i na całe życie zapamiętasz. Miałem najlepszego nauczyciela — samego Möbiusa — a i tak opanowanie tej sztuki zajęto mi mnóstwo czasu. Wytłumaczę ci więc w skrócie: drzwi Möbiusa znajdują się wszędzie, trzeba je tylko wywołać. Ja znam równania, które są do tego potrzebne. Zatańczymy? — powiedział Harry.

— Słucham? — Clarke rozejrzał się, jakby w poszukiwaniu drogi ratunku.

— Weź moją rękę. Tak, dobrze. Teraz obejmij mnie w pasie. Widzisz, jakie to proste?

Rozpoczęli walca. Clarke drobił małymi kroczkami. Harry pozwolił mu prowadzić, a sam wyczarowywał w wyobraźni symbole Möbiusa.

— Raz, dwa — trzy, raz, dwa — trzy... — wywołał drzwi. — Czy pan często tu bywa? — Wydawało się, że po raz pierwszy od dawna Harry był bardzo bliski dobrego humoru. Clarke postanowił podtrzymać ten nastrój.

— Tylko wtedy, gdy mam z kim — zaczął odpowiadać, kiedy nagle tanecznym krokiem przestąpili niezauważalne wrota.

Za metafizycznymi drzwiami Möbiusa panowała ciemność. Pierwotna Ciemność, z której wywodził się Wszechświat. To była sfera absolutnej nicości. Żadna równoległa egzystencja, bo tam nic nie istniało. Z tego miejsca mogło paść sakramentalne: „Niech stanie się Światłość!". Z tej metafizycznej pustki mógł dopiero powstać Kosmos. Przestrzeń Möbiusa była doskonałą próżnią.

Clarke poczuł się wytrącony z równowagi. Ogarnęły go nieznane dotąd emocje, zawsze towarzyszące nowym doświadczeniom. Czuł się inaczej niż Harry za pierwszym razem. Nekroskop rozumiał zasadę, której się poddaje, potrafił ją sobie wyobrazić. Clarke został tu wyrzucony, jak kiepski pływak na głęboką wodę.

Nie było tam ani powietrza, ani czasu. Nie musieli więc oddychać. A ponieważ czas nie istniał, nie istniały również odległości. To znaczy, że nie można tam było odnaleźć dwóch podstawowych wymiarów Wszechświata. Clarke wiedział, że ręka Harry'ego była jedynym ogniwem łączącym go ze Świadomością, Istnieniem i Człowieczeństwem. Nie mógł zobaczyć Keogha, bo nie pojawiło się światło, ale czuł uścisk jego ręki. Jego nadzwyczajne właściwości pozwoliły mu jednak chociaż w części zrozumieć naturę tego miejsca. Wiedział, że było realne, bo Harry korzystał z niego i on sam się w nim teraz znajdował. Nie musiał się bać, ponieważ jego talent nie wyczuł zagrożenia. Przestrzeń mogła istnieć wszędzie i nigdzie, być rdzeniem lub obrzeżami, wnętrzem i zewnętrzem. Można było stąd dotrzeć dokądkolwiek, jeśli się znało drogę, albo donikąd.

Zgubić się, znaczy pozostać tu na zawsze. Tylko ktoś taki, jak Harry Keogh mógł się poruszać swobodnie. Było to jednak zadziwiające, ponieważ był on przecież tylko czło-

wiekiem.

Clarke znów pomyślał o Bogu, który mocą swojej woli stworzył z próżni świat. „Harry, nie powinniśmy wkraczać tutaj. To nie nasza przestrzeń..." — pomyślał.

Jego nie wypowiedziane słowa zabrzmiały jak gong, ogłuszająco, hałaśliwie.

— Uspokój się. Tutaj nie trzeba krzyczeć — odezwał się Harry wewnętrznym głosem.

— Jesteśmy tu intruzami — upierał się Clarke. — Harry! Zaczynam naprawdę się bać! Na miłość boską, nie zostawiaj mnie tutaj!

— Oczywiście, że nie. — Usłyszał spokojną odpowiedź. — Nie musisz się niczego obawiać. Doskonale rozumiem cię. Nie czujesz magii tego miejsca? Nie ogarnia cię żadne wzruszenie?

Clarke uspokajał się. Jego mięśnie rozluźniły się i poczuł niewysłowioną ulgę. Uwierzył nawet w oddziaływujące na niego niematerialne siły.

— Czuję... że coś mnie wciąga — powiedział.

— Nie wciąga, a pcha — poprawił go Harry. — Przestrzeń Möbiusa nie chce nas tutaj. Jesteśmy jak pył w jej metafizycznym oku. Sama by nas stąd wypchnęła, gdybyśmy byli tutaj zbyt długo. Skończyłoby się to dla nas tragicznie, ponieważ znajdują się tu drzwi, które oznaczają śmierć. Przestrzeń mogłaby nas wchłonąć, podporządkować sobie! Dawno temu odkryłem, że albo ty panujesz nad kontinuum Möbiusa, albo ono opanowuje ciebie!

Wyjaśnienia Harry'ego nie poprawiły samopoczucia Clarke'a.

— Jak długo już tu jesteśmy, do licha? I jak długo tu zostaniemy?

— Minutę lub milę — odparł Harry. — To odpowiedź na oba twoje pytania! Rok świetlny lub sekundę. Przykro mi, ale to nie potrwa już długo. Tradycyjne pojęcia tracą tu swe znaczenie. Kontinuum, to DNA dla przestrzeni i czasu. Miałem kilka lat, żeby się nad tym zastanowić, a znalazłem wyjaśnienie jedynie niewielkiej części napotkanych tu problemów. Chciałbym ci teraz coś pokazać.

— Czekaj! — powiedział Clarke. — Czy telepatia ma z tym coś wspólnego?

— Niezupełnie — odparł Harry. — Nawet najlepsi telepaci nie dorastają do tego poziomu. W kontinuum Möbiusa myśli mają swą masę i ciężar. Dlatego są tu fizycznymi przedmiotami w niematerialnym otoczeniu. Możesz to przyrównać do małego meteorytu, który przebija powłokę statku kosmicznego! Formułujesz tu myśl — a ona wędruje we Wszechświecie. Tak samo tutaj: nasze myśli pozostaną tu nawet po naszym odejściu. Być może niektórzy telepaci potrafią przebić się tutaj swoimi umysłami i wyłapywać takie pozostałości, ale robią to nieświadomie. Nie rozumieją do końca istoty tego zagadnienia. Zastanawiam się, co w takim razie z prognostykami? Jasnowidzący przecież nie mogliby tu niczego „zobaczyć".

— Czy ty potrafisz odczytywać przyszłość? — zapytał Clarke.

— Coś w tym rodzaju — odpowiedział Harry. — Tak naprawdę mogę tam po prostu pójść! Kiedy byłem bezpostaciowy, kilka razy odwiedziłem przeszłość i przyszłość, ciągle mogę tam podróżować, dopóki należę do kontinuum Möbiusa. I tam właśnie chciałem zaprowadzić ciebie.

— Harry, nie wiem, czy jestem na to przygotowany.

— Nie wejdziemy tam. Tylko zajrzymy, to wszystko. — Nekroskop uspokoił go i zanim Clarke zdążył coś dodać, otworzył drzwi czasu przyszłego.

Clarke stał w ich progu sparaliżowany strachem i niepewnością. Ujrzał plątaninę milionów — nie, miliardów linii jasnego, błękitnego światła. Wypadały gdzieś spoza niego w czarną, bezdenną otchłań. Jak deszcz meteorów, oszałamiający w swym blasku. W dodatku ich ślady nie ginęły, lecz trwale odbijały się na ciemnym tle. Odbijały się w czasie. Zza pleców Harry'ego wystrzelał podobny strumień. Wychodził z tego, co już minęło i rysował nieodwracalne piętno przyszłych wydarzeń.

— Co to takiego? — Pytanie Clarke'a zabrzmiało jak szept, nawet w metafizycznych uszach przestrzeni Möbiusa. Harry również był poruszony przedziwnym obrazem.

— Nici istnienia Człowieczeństwa — odparł. — To właśnie ludzkość, a te dwa włoski — twój i mój — to tylko najmniejsze z jego cząstek. Mój należał kiedyś do Aleca Kyle'a i prawie został zerwany. Teraz jednak stał się nie kończącą się linią życia.

Clarke poczuł nagle, że już na pewno nie musi się niczego obawiać.

— Możesz przekroczyć ten próg i, jak po nitce do kłębka, wędrować do samego końca swego życia. Ja tak zrobiłem, ale zawróciłem w połowie drogi. Jest coś, czego wolę jeszcze nie wiedzieć. Chce wierzyć, że w ogóle nie ma kresu, że Człowiek może iść swym przeznaczeniem zawsze, jeśli tylko ma taką wolę.

Harry zamknął te drzwi i otworzył inne. Tym razem nie musiał już nic mówić. Te z kolei prowadziły w przeszłość, do samego początku życia na Ziemi. Rozświetlały ją takie same niebieskie smugi, ale tym razem słabły i kurczyły się. W chwilę później Darcy Clarke i Harry Keogh stanęli przed kolejnymi drzwiami przestrzeni Möbiusa.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez bramę

Czwarte, ostatnie drzwi prowadzące z nicości magicznego kontinuum Möbiusa otwarty się.

— Harry? — wyszeptał Darcy, czując, że wciąż drży po niesamowitej podróży. — Harry? — powtórzył. — I teraz znów usłyszał swój głos, a nie tylko jego echo w myślach. Zobaczył też, że stoją razem w biurze INTESP w Londynie.

Prawdziwa, fizyczna rzeczywistość przygniotła nie przygotowanego na nią Clarke'a. Niespodziewanie zaczął znów odbierać wrażenia naturalnymi, ludzkimi zmysłami. Przekonał się, że najbardziej zatęsknił do dźwięków i odgłosów normalnego świata. Większość personelu biura skończyła już pracę. Pozostała tylko garstka pracowników, oficer dyżurny i, rzecz jasna, służby wartownicze. Czujniki bezpieczeństwa odezwały się, jak tylko Clarke'a i Harry pojawili się na górnym piętrze budynku, wkrótce ich pisk stał się nie do zniesienia. Ekran na ścianie sąsiadującej z biurkiem Clarke'a rozświetlił się jaskrawym napisem:

PAN DARCY CLARKE JEST CHWILOWO NIEOBECNY. TEN OBSZAR JEST ZASTRZEŻONY. PRZEDSTAW SIĘ NATURALNYM GŁOSEM ALBO OPUŚĆ TO MIEJSCE NATYCHMIAST. JEŚLI TEGO NIE ZROBISZ...

Clarke zdążył częściowo powrócić do równowagi.

— Darcy Clarke — powiedział. — Wróciłem. — Na wypadek, gdyby automat nie rozpoznał jego trzęsącego się głosu, szybko podszedł do klawiatury na swoim biurku i wcisnął odpowiedni guzik. Na ekranie ukazała się informacja:

NIE ZAPOMNIJ MNIE WŁĄCZYĆ, ZANIM WYJDZIESZ.

Po chwili obraz pociemniał i alarm wyłączył się.

Clarke opadł na fotel. Wcisnął guzik i odebrał dzwoniący na biurku aparat.

— Jest tam kto, czy to błąd komputera...? — rozległ się pełen napięcia głos oficera dyżurnego.

— Lepiej uwierz, że tam ktoś wszedł! — ostrzegał któryś z agentów.

Clarke wcisnął inny guzik.

— Tu Clarke. Wróciłem i przywiozłem z sobą Harry'ego Keogha. A raczej — on mnie przywiózł! Bez sensacji, proszę. Chcę widzieć oficera dyżurnego, i to wszystko na razie. — Spojrzał na Harry'ego. — Wybacz, ale nie możesz tu pozostać nie zauważony.

Harry uśmiechnął się wyrozumiale, ale coś dziwnego kryło się w jego spojrzeniu.

— Chciałbym się dowiedzieć, kiedy dokładnie David Chung spostrzegł zniknięcie Jazza Simmonsa.

— Za sześć godzin miną dokładnie trzy doby. Dlaczego pytasz?

— Od czegoś muszę zacząć. Jaki był jego ostatni londyński adres?

Clarke podał informację, a po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna. Oficer dyżurny trzymał w ręku odbezpieczoną broń. Za jego plecami tłoczyły się zdumione, ciekawskie twarze personelu. Clarke zatrzasnął im drzwi przed nosem.

— Fred — zwrócił się do oficera — nie sądzę, żebyś poznał kiedyś Harry'ego Keogha. Harry, to jest Fred Madison... — Chciał mówić dalej, ale zauważył wyraz zdumienia na twarzy wojskowego.

— Fred? — zapytał, a potem obaj rozejrzeli się po pokoju. Poza nimi dwoma nie było w nim nikogo!

Clarke wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł spocone czoło.

— Wszystko w porządku — powstrzymał Madisona przed wzywaniem pomocy. — Jeśli zaś chodzi o Harry'ego — znów rozejrzał się i potrząsnął głową.

— Darcy? — zaniepokoił się oficer.

— Być może, poznasz go innym razem. Nigdy nie lubił zbytnio tego miejsca.

Cztery dni wcześniej w Projekcie Perchorsk.

Czyngiz Khuw, Karl Wiotski i Wiktor Łuchow stali przy szpitalnym łóżku Wasyla Agurskiego. Agurski leżał na oddziale od czterech dni. Po rozpoznaniu pewnych objawów lekarze starali się go wyciągnąć z nałogu alkoholowego. Szło im to niespodziewanie łatwo. Odkąd bowiem zwolniono naukowca z obowiązku opieki nad stworem w szklanym naczyniu Jego skłonność do miejscowej wódki i taniej śliwowicy wyraźnie się zmniejszyła. Tylko raz, pierwszego dnia po wypadku, poprosił o drinka. Ale od tamtej chwili nie wspomniał nawet o alkoholu i jak na nałogowego alkoholika, czuł się bez niego wyjątkowo dobrze.

— Widzę, że z tobą coraz lepiej, Wasyl? — Łuchow przysiadł na brzegu łóżka.

— Tak dobrze, jak to tylko możliwe — odparł pacjent. — Zdaje się, iż zasłabłem. To było tylko przemęczenie.

— Przemęczenie? — Wiotski zdawał się niedowierzać. — Po czym? Każda uczciwa

praca charakteryzuje się tym, że przynosi efekty, towarzyszu! — Jego brodata twarz pochyliła się nad chorym oskarżająco.

— Uspokój się, Karl — powiedział Khuw. — Wiesz, że ta praca wymaga szczególnej odporności. Chciałbyś być opiekunem? Szczerze wątpię! Towarzysz Agurski padł ofiarą nie fizycznego, ale nerwowego załamania. Spowodował je ciągły kontakt ze stworem.

Łuchow, na którym spoczywała odpowiedzialność za wszystko, co się działo w kompleksie, spojrzał nachmurzony na Wiotskiego. Był tu najwyższym autorytetem.

— Ma pan absolutną rację, majorze. Każdy, kto nie docenia ciężaru obowiązków Agurskiego, powinien je przejąć na jakiś czas. Czy to znaczy, że mamy tu ochotnika? Czy pana człowiek uważa, że będzie w tym lepszy?

Major KGB i dyrektor Projektu zgodnie spojrzeli na Wiotskiego. Khuw uśmiechnął się, ale twarz Łuchowa nie wyrażała ani cienia rozbawienia. Wręcz przeciwnie. Wszystko wskazywało na jego najwyższe rozdrażnienie.

— Co ty na to? — powiedział Khuw bezlitośnie. — Może się pomyliłem? Ty naprawdę chcesz podjąć się nowej pracy, Karl?

— Ja... — wyjąkał. — Ja nie chciałem...

— Nie, nie! — sam Agurski wybawił Wiotskiego z zakłopotania. — Nie ma mowy o tym, żeby ktoś mnie zastąpił. Nie pozwoliłbym, żeby brak kompetencji zepsuł to, co dotąd osiągnąłem. Nie neguję waszych umiejętności, towarzyszu — zerknął na Karla spod oka — ale... Kiedy pokonam już swoje słabości, praca pójdzie mi jak z płatka. Dajcie mi tyle czasu, ile miałem do tej pory, a wyciągnę z tej kreatury wszystkie sekrety, jakie przed nami skrywa. Obiecuję!

— Uspokój się, Wasyl! — Łuchow położył rękę na ramieniu mówiącego.

Pomimo zapewnień lekarzy, że wszystko wróciło do normy, było oczywiste, że nerwy Agurskiego wciąż odmawiają mu posłuszeństwa.

— Moja praca jest bardzo ważna! — upierał się naukowiec. — Musimy wiedzieć, co znajduje się za Bramą. Tylko stwór może nam to wyjawić i dlatego powinienem znowu się nim zająć.

— Jeden dzień niczego nie zmieni. — Łuchow wstał. — Nie możesz też ciągnąć tego wszystkiego sam. Ktoś musi ci pomagać. Jestem pewien — jednocześnie spojrzał na Wiotskiego — że niejeden z nas nie zniósłby tego przez tak długi czas...

— Dobrze, jeden dzień. — Agurski opadł na poduszki. — Ale jutro już muszę tam wrócić. Uwierzcie mi, łączy mnie ze stworem bardzo szczególna więź i nie mogę pozwolić na jej zerwanie.

— Odpoczywaj teraz — powiedział Łuchow. — Przyjdź do mnie, kiedy wstaniesz na dobre. Będę na ciebie czekał.

W końcu Agurski został sam. Mógł przestać udawać. Uśmiechnął się do siebie z triumfem, jednak w następnej chwili jego twarz wykrzywiła się w grymasie strachu

i cierpienia. Co prawda, udało mu się ich wszystkich oszukać, ale siebie — nie potrafił.

Lekarze przebadali go dokładnie i nie znaleźli nic niepokojącego. Lekki stres i fizyczne zmęczenie — orzekli. A jednak Agurski doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dolega mu coś znacznie gorszego. Nosił w sobie coś, co pochodziło od stwora z laboratorium i co zagnieździło się w nim teraz głęboko. Naukowca nurtowało kilka zasadniczych pytań: jak długo to pozostanie niezauważone, ile miał czasu, żeby odwrócić proces zmian, zachodzących w jego ciele.

Jak dotąd był jedyną osobą, którą dręczyły te niewiadome. Postanowił zacząć obserwować siebie. Chciał wiedzieć pierwszy, czy dzieje się z nim coś dziwnego. Obawiał się, że gdyby tamci zorientowali się, co kryje jego ciało, gdyby tylko coś podejrzewali...

Agurski zaczął nieopanowanie drżeć i mocno zacisnął zęby w nagłym przypływie przerażenia. Oczami wyobraźni zobaczył palące się postacie przybyszów z drugiej strony Bramy. Wszystko, co stamtąd pochodziło, było bezwzględnie niszczone. Bał się, że z nim na pewno zrobiliby to samo...

Po opuszczeniu oddziału, trzej mężczyźni rozdzielili się. Łuchow poszedł do swojego biura, a Khuw i Wiotski skierowali się do miejsca, w którym mieli spotkać się z miejscowymi esperami. Wybiegł im na spotkanie gruby, tłusty mężczyzna. Nazywał się Paweł Sawinkow. Zanim przybył do Perchorska, pracował w kilku ambasadach w Moskwie. Jednak wyraźna skłonność do młodych, przystojnych pracowników tej samej płci sprawiła, że jego praca na terenie zagranicznych placówek stała się poważnym ryzykiem dla zwierzchników Wydziału E. Sawinkow cały czas starał się przekonać Khuwa, że istnieją miejsca poza Projektem, gdzie jego talenty byłyby o wiele bardziej przydatne. Specjalizował się w telepatii i rzeczywiście miał sporo osiągnięć w tej dziedzinie.

— Ach, towarzysze — właśnie miałem zameldować... — Sawinkow przerwał, żeby oprzeć się o ścianę i złapać oddech.

— Co się stało. Paweł? — zapytał Khuw.

— Miałem służbę i pilnowałem Simmonsa. Dziesięć minut temu próbowali się do niego przebić! Wykluczone, żebym się pomylił. Silna telepatyczna sonda została skierowana wprost na niego. Wyczułem to i oczywiście nie dopuściłem jej do Anglika. Jak tylko zorientowałem się, że zrezygnowali, pobiegłem was szukać. Nie obawiajcie się, posadziłem dwóch na moje miejsce, gdyby się znowu odezwali. Aha! Po drodze dali mi wiadomość, którą miałem przekazać ci osobiście.

Podał majorowi teleks z Centrum Komunikacji. Khuw spojrzał na kartkę i zmarszczył brwi. Jeszcze raz dokładnie przeczytał cały tekst.

— Cholera — powiedział miękko, ale w jego ustach znaczyło to dużo więcej niż eksplozja wściekłości. — Chodź, Karl. Musimy od razu porozmawiać z Simmonsem i przyśpieszyć trochę realizację naszego planu. Niewątpliwie zmartwi cię wiadomość, że tej nocy nie będziesz miał okazji dokuczyć naszemu gościowi.

Wiotski musiał prawie truchtem doganiać, sadzącego wielkimi krokami, Khuwa. Szli prosto w kierunku celi Simmonsa. Major KGB mamrotał coś do siebie, tak że Karl ledwo mógł dosłyszeć, o czym mówił.

— To nie zdarzyło się po raz pierwszy. Większość prób miała do tej pory charakter wywiadowczy. Co rusz jakieś grupki zachodnich podglądaczy i nasłuchiwaczy starały się zorientować, co się tu dzieje. Nie mieli szans, bo nie znali dokładnie namiaru, a położenie w wąwozie i warstwa ołowiu bardzo ich osłabiały. Ale jeśli udało im się zapuścić tutaj swoje „oko", sprawa staje się poważniejsza!

— Simmons przecież nie wykazuje żadnych talentów. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości — wtrącił Karl.

— To prawda — odparł Khuw — ale wierzę, że znaleźli sposób, żeby go wykorzystać. W zasadzie teleks — poklepał się po kieszeni — to potwierdza. To mogli być tylko Anglicy. Są w tym najlepsi! Zawsze byli niebezpieczni, mogliśmy się o tym przekonać na własnej skórze w Zamku Bronnicy.

— Wciąż nie rozumiem — stwierdził Karl. — Simmons nie starał się dostać tutaj. Nawet, kiedy go usidliliśmy, nie był potulny jak baranek.

— Znów masz rację — przytaknął krótko Khuw. — Złapaliśmy go i musieliśmy siłą tu zaciągnąć, ale uwierz mi, że nie możemy tego szpiega dłużej trzymać. Dzisiejszej nocy musi odejść!

Dotarli do celi Jazza. Pilnował jej uzbrojony wartownik, który na widok oficerów wyprężył się i stanął na baczność. W sąsiednim pomieszczeniu siedzieli przy stole esperzy, pogrążeni we własnych myślach. Khuw podszedł do nich.

— Wy dwaj — przypuszczam, że Sawinkow poinformował was o tym, co się wydarzyło? Sytuacja wymaga szczególnej ostrożności. Chcę, żebyście odtąd pracowali razem z Sawinkowem. To nie potrwa długo, zaledwie kilka godzin, ale ten rozkaz obowiązuje do odwołania. Wykonać! — Wrócił do Wiotskiego i weszli do kwatery agenta.

Jazz leżał na łóżku z rękoma pod głową. Teraz podniósł się leniwie, potarł oczy i szeroko ziewnął.

— Goście — powiedział sarkastycznym tonem. — Proszę, proszę! A już myślałem, że o mnie zapomnieliście. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?

— No cóż, musimy porozmawiać między innymi o twojej kapsułce „D", Michael. — Khuw uśmiechnął się lodowato. Jazz dotknął palcem lewego policzka.

— Przykro mi, ale obawiam się, że to wy ją macie. I sąsiedni ząb również. Dzięki Bogu, wszystko goi się pomyślnie.

Wiotski zareagował agresywnie na te jawne kpiny.

— Mogę to łatwo zmienić. Mogę tak cię przemaglować, że nic ci się już nie zagoi!

— Karl, robisz się nudny. — Khuw powstrzymał go zniecierpliwiony. — A poza tym wiesz, że dla dobra naszego eksperymentu, pan Simmons powinien być w pełni spraw-

ny fizycznie. — Spojrzał znacząco na więźnia.

— Eksperymentu? — Jazz próbował się uśmiechnąć, ale wyszedł z tego niezgrabny grymas. — Co za eksperyment? I co z tą moją kapsułką „D"?

— O tym najpierw — odpowiedział Khuw. — Nasi ludzie w Moskwie przeanalizowali jej zawartość: to był bardzo złożony, ale nieszkodliwy narkotyk! Spałbyś po nim kilka godzin i nic poza tym. — Uważnie obserwował reakcje mężczyzny.

Jazz okazywał wyraźne niedowierzanie i zdziwienie.

— To śmieszne — odrzekł w końcu. — Nie należę do tych, którzy by ją wykorzystali przy lada okazji, ale jestem pewien, że zawiera środek śmiertelnie trujący. — Jego oczy zwęziły się. — Co towarzysze? To zbyt głupi sposób na przeciągnięcie mnie na waszą stronę!

— Mylisz się, nie mielibyśmy już z ciebie żadnego pożytku. — Khuw znów się uśmiechnął. — Odkąd poznałeś wszystkie nasze tajemnice. Nie chcesz chyba powiedzieć, że nami gardzisz. W niczym nie ustępujemy wywiadowi angielskiemu. I to właśnie twoi nie obeszli się z tobą zbyt uczciwie, nie sądzisz?

— Powiedzcie wreszcie, po co tu naprawdę jesteście. — Jazz przestał odgrywać komedię.

— Ależ częściowo już to zrobiłem — odrzekł Czyngiz. — Chciałem, żebyś wiedział, że twoja wpadka została zaplanowana przez wasz wywiad! Woleli też być pewni, że nie zrobisz sobie krzywdy, zanim zdążą wykorzystać twoją osobę.

— To co mówisz, wydaje się brzmieć logicznie, chociaż jestem przekonany, że nie ma w tym odrobiny prawdy. — Simmons wyglądał na przejętego.

— Twoje niezdecydowanie jest zrozumiale i dowodzi, że brałeś w tym wszystkim udział zupełnie nieświadomie. Kapsuła miała opóźnić nasze działania. Domyślam się, że organizatorem całej akcji był brytyjski odpowiednik naszego Wydziału E. Potrzebowali jak najwięcej czasu, aby dotrzeć tu za twoim pośrednictwem. Ale nie zdążyli i już nie będą mieli takiej okazji.

— Talenty ESP? (extra sensory perception — pozazmysłowe postrzeganie). Już wam powiedziałem, że nie mam z tym nic wspólnego. Nawet nie wierzę w te sztuczki! — zaprotestował Jazz.

Khuw usiadł na krześle przy jego łóżku.

— To porozmawiajmy o czymś, w co wierzysz. — Jego głos był niepokojąco cichy. — Wierzysz w dzielącą nas od innych światów Bramę, prawda?

— Zgadza się. Mogłem ją odczuć wszystkimi zmysłami. I co z tego?

— Poczujesz ją jeszcze bardziej. Dzisiejszej nocy przez nią przejdziesz!

— Co takiego!? — Michael przeraził się.

— Od początku taki miałem plan, chciałem tylko, żebyś doszedł do pełni sił. Powinieneś wyruszyć za trzy, cztery dni, ale musimy przyśpieszyć twoją misję. Możesz w to

wierzyć lub nie, ale twoi ludzie zamierzali użyć ciebie do przekazywania bezpośrednich informacji. Na razie im się to nie udało, ale musimy być pewni, że już nigdy nam w ten sposób nie zagrożą.

Jazz zerwał się na równe nogi i chciał się na niego rzucić! Wiotski stanął mu jednak na drodze i zaczął prowokować.

— Chodź, chodź Brytyjczyku, spróbuj ze mną!

— To będzie morderstwo! — wysyczał agent.

— Nie — zaprzeczył Khuw. — Jestem patriotą. Całkowicie poświęciłem się bezpieczeństwu ojczyzny. To ty jesteś mordercą, Michael! Zapomniałeś, co się stało z Borysem Dudko? Zabiłeś go!

— Zrobiłem to w obronie własnej! — krzyknął Jazz.

— On nie chciał do ciebie strzelać — potrząsnął głową Khuw. — Ale nawet gdyby otrzymał taki rozkaz, miał do tego pełne prawo. A może nie? Agent obcego wywiadu w trakcie szpiegowania, na terytorium kraju przeciwnego obozu — wróg! Cały czas mamy prawo do dysponowania twoim życiem.

— To wbrew wszelkim konwencjom! — Jazz wiedział, że brak mu argumentów, ale nie miał nic do stracenia.

— Tak naprawdę, to nie będzie morderstwo — odparł Khuw nie zrażony.

— Nie będzie? — Simmons opadł z powrotem na łóżko. — Możecie to nazywać eksperymentem, ale to pewna śmierć. Chryste! Widzieliście przecież, co wychodzi z tamtej strony! Jaką szansę ma jeden człowiek w towarzystwie takich potworów?

— Niewielką — odparł Khuw. — Ale lepsza taka niż żadna. A poza tym... niekoniecznie jeden człowiek.

— Ktoś idzie ze mną? — Jazz spojrzał na niego podejrzliwie.

Khuw roześmiał się.

— Niestety nie. Za to troje innych — już poszło.

— Nic mi o tym nie mówiłeś. — Michael potrząsnął głową.

— Pierwszym z nich był skazany na śmierć morderca i złodziej. Dano mu do wyboru: egzekucja, czy Brama? Sam wybrał. Wyposażyliśmy go tak, jak i ciebie wyposażymy i poszedł. Miał nadajnik, ale nigdy go nie użył. A może Brama okazała się barierą nie do przebycia dla naszych fal radiowych? W każdym razie, nie odebraliśmy żadnych sygnałów stamtąd. Dostał też żywność, broń i podręczne przybory — wszystko najlepszej jakości. Po dwóch tygodniach skreśliliśmy go. Nie znaczy to, że uważamy go za zmarłego. Nie mamy żadnych dowodów na to, że zginął. Nie wiemy też jednak, czy żyje. Potem wysłaliśmy tam espera. Tak! Co więcej, był jednym z naszych najbardziej uzdolnionych pracowników. Nazywał się, a może nazywa się — Ernst Kopeler. Potrafił bardzo trafnie przewidzieć przyszłość. Niestety! Nie mógł pogodzić się z naszym stylem życia. Chciał wolności, chociaż miał wszystko, o czym mógł zamarzyć. Głupiec! Dwa razy próbował

nas zdradzić. Nie mogliśmy pozwolić sobie na dalsze ryzyko...

— Kim był ten trzeci? Kolejnym zdrajcą? — zainteresował się Jazz.

— Być może, nim była — przytaknął Khuw — ale nie jesteśmy tego do końca pewni.

— Była? — Jazz myślał, że się przesłyszał. — Chcesz mi wmówić, że posłaliście tam kobietę?

— Dokładnie tak — odparł Khuw. — W dodatku bardzo piękną kobietę. Wielka szkoda. Nazywała się Zek Föener. Zek to skrót od Zekintha. Jej ojciec pochodził ze wschodnich Niemiec, matka była Greczynką. W pewnym okresie była najbardziej uzdolnionym ze wszystkich superpercepcjonistów, których zatrudnialiśmy, ale... coś się z nią stało. Stwierdziła nagle, że straciła swój talent. Sześć miesięcy spędziła w specjalnym instytucie, następne dwa lata w obozie pracy i nie zmieniła zdania, choć jej koledzy są przekonani, że wciąż dysponuje ogromnymi możliwościami. Zaczęła się domagać prawa emigracji do Grecji. Stwarzała też wiele innych kłopotów. Tak więc...

— Pozbyliście się jej — przerwał Simmons z pogardą.

— Powiedzieliśmy jej, żeby przeszła przez Bramę i telepatycznie przekazała nam, jak tam, z drugiej strony, wygląda. Obiecaliśmy, że potem ją stamtąd wyciągniemy i spełnimy jej prośby.

— Nie mieliście pojęcia przecież, jak to zrobić! — Jazz patrzył na Khuwa zimno.

— Ale ona o tym nie wiedziała.

— Znów nie mówimy o morderstwie, oczywiście! No cóż, jeśli byliście w stanie zrobić coś takiego własnym ludziom, nie mogę oczekiwać żadnych ulg. Nie jesteście ludźmi, jesteście... gównem!

Wiotski warknął ostrzegawczo i ruszył ku niemu z wyciągniętymi ramiona. Khuw położył swą rękę na napiętym karku.

— Moja cierpliwość też już się kończy, Karl. Jakie to ma jednak znaczenie? Uwierz mi, nie cierpię pana Simmonsa, ale pragnę, żeby przeszedł przez Bramę o własnych siłach — zawołał.

Podeszli do drzwi i Karl zapukał w nie umówionym kodem.

— Prawie zapomniałem! Pokaż Michaelowi twoje obrazki, Karl. Jeśli jesteśmy gównem, zachowujmy się, jak na gówno przystało! — dodał major Khuw, wychodząc z celi. Wiotski wyciągnął z kieszeni małą, szarą kopertę, perfidnie się przy tym uśmiechając.

— Pamiętasz swych przyjaciół z obozu drwali? Rodzinę Kiriescu? Jak tylko ciebie złapaliśmy, twoi znajomi z Zachodu próbowali ich ostrzec, ale dokąd, u licha, mieliby uciec? Od dawna zresztą mieliśmy ich na oku. Anna Kiriescu została zesłana do obozu pracy na Syberii, a mały Kaspar zamieszkał w sierocińcu. Jurij podjął z nami walkę, i musieliśmy go zastrzelić. Pozostało jeszcze dwoje.

— Kazimir i Tassi, co z nimi? — Jazz wyprężył się niespokojnie.

— Mamy ich, oczywiście. Jest mnóstwo rzeczy, które muszą nam opowiedzieć. O ich kontaktach w Rosji i w Rumunii. A ponieważ są prostymi wieśniakami, nasze metody wyciągania z nich informacji nie muszą być tak wyszukane, jak w twoim przypadku. Możemy pozwolić sobie na pewną... bezpośredniość. Rozumiesz?

Jazz ostrożnie zrobił krok w jego stronę. Wiedział, że jeśli podejdzie jeszcze bliżej, nic nie powstrzyma go od zaatakowania olbrzyma. Wiotski cmoknął obelżywie i prowokacyjnie.

— Torturowaliście ich? — zapytał Michael drżącym głosem. Karl rzucił kopertę prosto na łóżko agenta.

— Są różne tortury — powiedział z widocznym zadowoleniem. — Na przykład te fotografie będą prawdziwą torturą dla ciebie. Lubiliście się z Tassi, zgadłem?

Jazz poczuł, że krew uderza mu do głowy. Spoglądał to na kopertę, to na Wiotskiego.

— Co, u diabła... — wycharczał.

— Widzisz — zachichotał Karl — major wie, jak lubię ci dokuczać i tylko dlatego pozwolił mi na małą sesję zdjęciową z twoją dziewczyną. Powinny ci się podobać. Bardzo fachowo zrobione.

Jazz nie wytrzymał tego dłużej i rzucił się w jego kierunku. Wiotski cofnął się i zamknął mu drzwi przed samym nosem. Agent pozostał w celi sam. Pragnął wypruć z Rosjanina wszystkie wnętrzności gołymi rękami.

Jazz podszedł do kozetki i podniósł kopertę. Na pierwszym zdjęciu Tassi siedziała na łące w otoczeniu stokrotek. Sama mu je kiedyś dała. Na drugim zaś... była naga. Był na nim też Wiotski. Jazz nie oglądał pozostałych. Podarł wszystkie i odrzucił daleko od siebie. Potem opadł na łóżko i wyobrażał sobie, co zrobi z Rosjaninem, kiedy w końcu dostanie go w swoje niczym nie skrępowane ręce. Wiotski stał przez chwilę za drzwiami i uważnie nasłuchiwał. „Ten człowiek ma w żyłach wodę zamiast krwi." — pomyślał. Mocno zastukał w drzwi.

— Michael, Khuw obiecał mi, że jak ciebie tu nie będzie, znów się będę mógł z nią zabawić. Życie ma swoje dobre strony, co? — zawołał.

W ciągu następnych pięciu czy sześciu godzin, przez pokój Jazza przewinęło się kilkanaście osób. Przynosili z sobą sprzęt, w jaki mieli go wyposażyć, i dokładnie demonstrowali zastosowanie. Mógł oglądać wszystko, dotykać, a nawet rozbierać na części i skwapliwie korzystał z tej możliwości. Jednakże podręczny miotacz ognia pozbawiony był na razie zbiornika z palnym środkiem, a zamiast prawdziwej broni dostał do rąk niegroźną zabawkę. Miał na niej uczyć się sprawnej wymiany magazynków. Ćwiczebne magazynki były stare i zardzewiałe, ale prawdziwe. Młody żołnierz, który przyniósł atrapę automatu szybkostrzelnego, był zaskoczony zręcznością Jazza.

— Za co tu jesteś? — zapytał zdziwiony żołnierz.

— Pytasz, dlaczego jestem więźniem? Superpercepcjonista — powiedział Jazz. Nie widział powodu, żeby wdawać się w szczegóły.

— Zbuntuję się — powiedział wojak — jeżeli zaraz nie położę się spać! Mieliśmy alarm ostatniej nocy i od tej pory jestem na służbie. — Zmarszczył brwi. — Powiedziałeś Superpercepcjonista?

— Szpieg — potwierdził Jazz. Wrzucił magazynki do blaszanego pudełka i dokładnie zamknął wieko. Potem otarł ręce o spodnie i wstał. — Wystarczy. Jestem w tym teraz całkiem niezły — powiedział.

— To niewiele znaczy, umieć ładować magazynek, kiedy się nie ma broni!

— Masz rację. Zamierzasz mi może jakąś przynieść?

— Bunt to jedno, a szaleństwo — drugie! Nie ze mną takie numery, kolego. Później ją dostaniesz. — Żołnierz roześmiał się głośno.

To „później" nastąpiło o drugiej nad ranem. Zwykle tok życia w kompleksie odpowiadał rytmowi dnia i nocy zewnętrznego świata, ale tym razem stało się inaczej.

W samym centrum Projektu Michael Simmons stał na platformie „pierścieni Saturna" i pozwalał zakładać sobie na plecy ciężki plecak. Jego wyposażenie ciągle nie było kompletne: nie dostał jeszcze paliwa do miotacza ognia i małego karabinu maszynowego. Oba te przedmioty trzymał w rękach Wiotski, który miał go eskortować na ostatnim etapie drogi do świetlistej sfery. Kiedy już miał w plecaku całą resztę wybranego przez siebie sprzętu, z kręgu otaczających go ludzi wysunął się naprzód Khuw.

— No cóż, Michael. Gdybym wiedział, że je przyjmiesz — złożyłbym ci teraz najlepsze życzenia na drogę — powiedział.

— Tak? — Jazz zmierzył go wzrokiem. — Osobiście życzę ci: idź do diabła!

— Bardzo dobrze, bądź twardy! Kto wie, może tylko dzięki temu przetrwasz? A jeśli znajdziesz drogę, żeby tu wrócić, skorzystaj z niej. Wiesz, że w końcu będziemy zmuszeni wysłać tam naszą armię. Będziemy czekali na ciebie i na wiadomość o tym, jak tam jest. Garść informacji o nieznanym polu działania bardzo by się nam przydała! — Skinął na Wiotskiego.

— Idziemy, Brytyjczyku. — Rosjanin ponaglił Jazza kolbą karabinu. Agent ruszył w stronę kuli. Jeszcze raz obejrzał się i wzruszył ramionami. Ciemne okulary osłaniały mu oczy, ale i tak bijący z Bramy blask oślepił go aż do bólu. Wszedł na ścieżkę prowadzącą już prosto do jego „przeznaczenia". Poczuł pod stopami nierówności belek, na których zginął wampir. Po chwili stanął tuż przed świetlistą powłoką.

Jazz wyciągnął ramię i dotknął białego światła. Nie czuł żadnego oporu pod palcami. Ale kiedy chciał cofnąć rękę, wydawało się, że była do czegoś przyklejona. Niewidzialna siła wprost wciągała go w głąb. Z pewnym wysiłkiem udało mu się uwolnić ramię.

— Zaczekaj — powiedział idący za nim Wiotski. — Nie jesteś przypadkiem zbyt chętny do tej wycieczki, Brytyjczyku? Mam coś dla ciebie. — Przymocował do plecaka

aluminiowy, podłużny pojemnik.

— Odwróć się — rozkazał.

Jazz stanął twarzą do niego. Wiotski ucieszył się.

— Jesteś bardzo blady, Brytyjczyku! Czyżbyś się czegoś obawiał?

— Odrobinę — odparł Jazz szczerze, ale na jego twarzy nie malował się strach, tylko pełne skupienie.

Wiotski przyglądał mu się przez chwilę.

— Nie wiem, czy jesteś bohaterem, czy głupcem! W każdym razie, to też twoje. — Wyjął z automatu magazynek i podał go agentowi. Ten był w tym momencie maksymalnie skoncentrowany, a jego ruchy bardzo opanowane. „Coś tu nie gra!" — pomyślał Wiotski. Przestał się uśmiechać i cofnął się o jeden krok. Anglik błyskawicznie wsunął rękę do kieszeni kombinezonu i wyciągnął zardzewiały ale pełen magazynek. W mgnieniu oka załadował i odbezpieczył broń.

— Stój — warknął na Wiotskiego.

Rosjanin przeraził się. Jazz zbliżył się do niego ostrożnie i zdecydowanie przytknął lufę karabinu do jego gardła. Teraz on mógł pozwolić sobie na złośliwość.

— Zabawne, Iwanie! Jesteś jakiś blady. Czy coś cię martwi?!

— Nie strzelać! — dobiegł ich głos Khuwa, skierowany do przygotowanych na otwarcie ognia żołnierzy. Major szybko podbiegł i stanął w odległości dziesięciu stóp od dwóch mężczyzn na kładce.

— Co zamierzasz? — zapytał nerwowo Jazza.

— Czy to niejasne? — Jazz wyraźnie bawił się tą sytuacją. — „Iwan Groźny" idzie ze mną. — Mocno chwycił Rosjanina, brutalnie wcisnął lufę pod jego podbródek i pociągnął w stronę bramy.

— Nie! — Wiotski był blady jak śmierć, ale nie odważył się walczyć. Wiedział, że Anglik nie ma nic do stracenia.

— Ależ tak, pójdziesz — Michael poczuł za plecami przyciągające działanie powłoki. Khuw zbliżył się do nich i agent postanowił nagle zrealizować swój pierwotny plan.

— Pan także, majorze — powiedział — albo zastrzelę was obu!

Khuw padł na deski pomostu.

— Ognia, ognia! — krzyknął.

Jazz przetoczył się w głąb kuli, pociągając za sobą potykającego się z przerażenia Wiotskiego.

Utonęli w świetle. Upadli na śnieżnobiałe, twarde podłoże — niewidzialne na tle gęstej, mlecznej atmosfery. Ciągle słyszeli nad głowami świst kuł, ale wkrótce zapadła cisza. Zamiast hałasu strzelaniny dotarł do nich nienaturalnie zwolniony, przez to o kilka tonów niższy głos Khuwa.

— Wstrzymać ogień!

Simmons podniósł się i spojrzał za siebie. Poprzez cienką warstwę gęstej mgły wszelki ruch po drugiej stronie przypominał film puszczony w zwolnionym tempie. Przekonał się więc, że ten efekt jest dwustronny, mając w pamięci obrazy utrwalone na taśmach.

— Wstawaj, Iwan! — jego głos zabrzmiał zupełnie normalnie. — Nie zostaniemy tu chyba.

Wiotski rozejrzał się naokoło i powoli, ostrożnie wstał.

— Odwal się! — krzyknął.

Nagle bez namysłu rzucił się w kierunku Khuwa. Bezskutecznie. Stąd nie było powrotu tą samą drogą. Uderzył w niewidzialną barierę i osunął się na kolana. Kiedy ta okrutna prawda dotarta do jego świadomości, zaczął histerycznie wołać o pomoc.

— Weź się w garść. Iwan! Albo zostań tutaj, wrzeszcz sobie, ile chcesz i zdechnij.

— Zdechnij? — Wiotski powtórzył z przerażeniem.

— Z głodu, wycieńczenia... — Jazz stanął plecami do zamglonego obrazu wnętrza groty i ruszył prosto przed siebie.

— Ale dlaczego? Dlaczego ja? Do czego przydam ci się tutaj? — Rosjanin wycharczał.

— Do niczego — odkrzyknął Jazz — ale Tassi będzie uradowana twoim odejściem na zawsze...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Za bramą

Majora KGB, Czyngiza Khuwa, dzieliło od jego podwładnego, Karla Wiotskiego, nie więcej niż kilka kroków i ledwo widzialną powłoką. A jednak znajdowali się w dwóch różnych światach. Khuw mógł nawet podejść i podać rękę Karlowi, ale nie odważył się tego zrobić. Nie potrafiłby bowiem w ten sposób wyprowadzić towarzysza na zewnątrz, za to Wiotski bez trudu mógł pociągnąć go za sobą do środka kuli. Słyszeli siebie, aczkolwiek każda kwestia z przeciwnej strony rozciągała się w czasie w nieskończoność.

— Karl — krzyknął Khuw. — Nie możesz tu już powrócić, ale nie wolno ci zachowywać się jak zagubione dziecko. Oczywiście, nie umrzesz z głodu — możemy cię cały czas karmić. Simmons niepotrzebnie cię straszył tym. Ale w końcu rzeczywiście zginąłbyś, Karl! Kiedy? To zależy od tego, czy pojawi się Przybysz Szósty. Rozumiesz, co mam na myśli?

Khuw nie mógł doczekać się odpowiedzi Wiotskiego. Dosyć długo trwało, zanim tamten skinął głową i podniósł się z kolan. Ta jedna czynność zajęła mu dobrych kilka minut. W tym czasie sylwetka Jazza znikała w oddali. Po chwili twarz Wiotskiego zaczęła wykrzywiać się groteskowo i do uszu Khuwa doleciały pojedyncze, głuche dźwięki.

— Co proponujesz? — Usłyszał.

— To proste. Wyposażymy cię tak samo jak Simmonsa. Przynajmniej będziecie mieli równe szansę.

— Tak samo mamy szansę. To chyba chciałeś powiedzieć. — Nadeszła sarkastyczna odpowiedź.

— Nie przekonasz się o tym, dopóki nie spróbujesz — odrzekł major. Później zwrócił się do jednego z oficerów i wydał kilka krótkich rozkazów.

— Posłuchaj, Karl Czy jest coś, co potrzebujesz, a czego Simmons nie posiada?

— Motocykl — odpowiedział Wiotski.

Khuw osłupiał. Nie mieli przecież pojęcia, po jakim terenie Karl będzie się poruszał. Podzielił się z nim tymi wątpliwościami, ale Wiotski nie zrezygnował.

— Jeśli się okaże bezużyteczny, wyrzucę go w cholerę! Na miłość boską, czy to naprawdę zbyt wiele? Gdybym potrafił latać, poprosiłbym o helikopter!

Khuw bezzwłocznie wydał dodatkowe instrukcje. Na małym wózku przywieziono pierwszą partię wyposażenia i przetoczono przez powłokę. Zamówienia Wiotskiego nie miały końca. Rozładowywał wózek tak szybko, jak tylko potrafił, a uzyskiwał w ten sposób ślimacze tempo w oczach obserwatorów na zewnątrz kuli. Paradoks polegał na tym, że dla niego właśnie tamci poruszali się jak muchy w smole.

W końcu sprowadzono także motocykl. Był to potężny, wojskowy model, z bakiem o pojemności pozwalającej przejechać około dwustu pięćdziesięciu mil. Przepchnięto go przez Bramę na wózku. Wiotski nieskończenie wolno zaczął przygotowywać maszynę do drogi, uruchamiać ją, aż nareszcie usadowił się na swym pojeździe i powoli, powoli... zaczął znikać w białej mgle.

Khuw długo stał i wpatrywał się w kulę. W końcu zawrócił i podążył w kierunku „pierścieni Saturna". Zatrzymał się dopiero na platformie u wylotu wielkiego cylindra. Czekał tam na niego Wiktor Łuchow.

— Dyrektorze Łuchow, widzę, że odciął się pan od naszego eksperymentu. Pańska nieobecność została powszechnie zauważona — wbrew agresywnej treści, słowa te Khuw wypowiedział raczej spokojnym tonem.

— I pozostanę tylko obserwatorem tej... akcji! — odparł Łuchow. — To pan reprezentuje tutaj KGB, majorze. Ja jestem tylko naukowcem. Pan nazywa to eksperymentem, a ja — egzekucją! Dwiema egzekucjami, jak się zdaje. Przybyłem na czas, żeby zobaczyć, jak kapral Wiotski padł ofiarą pańskiego, nie przemyślanego do końca, planu. Wiem, że to brutal, ale teraz szkoda mi go jako człowieka. Jak pan zamierza wytłumaczyć się z tego swym moskiewskim przełożonym?!

Khuw pobladł, ale jego głos pozostał spokojny.

— To wyłącznie moja sprawa, dyrektorze. Ma pan rację, to ja jestem oficerem KGB. Radziłbym jednak na przyszłość zwracać uwagę na sposób, w jaki się pan do mnie zwraca, przypominając mi o tym. Mam zadania nie mniej odpowiedzialne od pańskich i nie sądzę, żeby zasługiwały na pogardę. Czy mam uwierzyć, że jako naukowiec, nie jest pan zainteresowany okazją penetracji wnętrza Bramy?

— Swoje zadania wykonuje pan lepiej, niż ja bym to zrobił, bo ja nigdy bym się ich nie podjął! — prawie wykrzyknął Łuchow. — Niektórzy ludzie nigdy się niczego nie nauczą. Człowieku, zapomniałeś o procesach w Norymberdze? Nie wiesz, że ludzie powinni być sądzeni, zanim... — Wyraz twarzy Khuwa powstrzymał go od dokończenia zdania.

— Porównujesz mnie do nazistów? — Twarz majora stała się śmiertelnie blada.

— Ten człowiek był jednym z nas! — Łuchow drżącą ręką wskazał na błyszczącą sferę.

— Tak. Ale był też sadystą, psychopatą i nie podporządkowującym się żadnym regułom szaleńcem! Nie zastanowiło cię nigdy, dlaczego go nie strofuję? Wiesz, dla kogo pracował, zanim oddano go pod moje rozkazy? Był gorylem samego Jurija Andropowa, którego śmierć nie została do końca wyjaśniona! Wiadomo jednak, że nie zgadzali się z sobą i Andropow miał zamiar go zdegradować. Ale nie zdążył. O, tak! Możesz być pewien, że Karl Wiotski nie ma czystego sumienia. Teraz powiem ci, dlaczego przysłano go właśnie tutaj.

— Nie sądzę... żeby to było konieczne — wyjąkał Łuchow i chwycił się mocno poręczy. — Myślę, że już wiem.

— I tak ci powiem — wyszeptał major. — Po dzisiejszej nocy. Karl Wiotski stałby się naszym następnym ochotnikiem! Nie żałuj go więc, dyrektorze — miał przed sobą jedynie miesiąc normalnego życia!

Łuchow nie spuszczał oczu z Khuwa, kiedy ten zaczął wspinać się po ginących w ciemnościach schodach cylindra.

— A on nic o tym nie wiedział? — zapytał.

— Oczywiście, że nie — odparł Khuw, nie oglądając się nawet. — Czy pan, na moim miejscu, powiedziałby mu prawdę?

Jazz szedł bez pośpiechu naprzód dużymi krokami. Nie miał pojęcia, jak długą drogę ma przed sobą. Nad horyzontem świeciło słońce, którego promienie nie dawały ciepła. Nie czuł zimna ani gorąca. Spocił się z wysiłku. Temperatura nie stwarzała więc żadnego problemu. Najgorsza była samotność i poczucie wyobcowania. Nie napotkał do tej pory niczego prócz białej pustki.

Już dwa razy zaspokajał pragnienie. Za każdym razem, kiedy przystawał, dręczyła go jedna myśl: czy ten bezkres nicości w ogóle dokądś prowadzi?

Przypomniał sobie jednak istoty, które stąd wyszły — wilka, nietoperza...

Zatrzymał się, żeby wyrzucić zardzewiały magazynek i załadować broń nowym, wyjętym z plecaka. Kiedy zaciągał paski swej torby, spojrzał przed siebie i zorientował się, że nie wie, z której strony przymaszerował do tego miejsca. Popatrzył na zapięty na ręce kompas. Wskazówka kręciła się w kółko.

Wokół Simmonsa rozciągała się czysta biel; białe podłoże i takież niebo nie oddzielały się nawet od siebie. Panowało tu takie samo jak ziemskie przyciąganie grawitacyjne i tylko dzięki temu mógł poruszać się i przemieszczać.

Znów spojrzał przez ramię. Zastanowił się skąd nadszedł i czy posuwa się we właściwym kierunku, czy w ogóle istnieje jakaś właściwa droga w tym zapomnianym przez Boga miejscu.

Spróbował ruszyć przed siebie, ale napotkał opór. Niewidzialna przeszkoda odepchnęła go z taką samą siłą, z jaką chciał ją pokonać. Skierował się na prawo i do tyłu.

Opór był słabszy, ale wciąż trudny do pokonania. W końcu została mu tylko jedna droga. Nie zauważył, że szedł do tej pory w kierunku najmniejszego oporu, prowadzony ściśle określonym szlakiem. Podporządkował się tej zasadzie bez sprzeciwu. Kroczył teraz szybciej.

Przystanął na chwilę, żeby ugasić pragnienie. „Co to u licha...? Ależ tak! Biel nie jest tak jednorodna" — pomyślał. W oddali zamajaczyły... góry. Zarys skał. Odsłoniło się niebo i... gwiazdy.

Jazz ruszył naprzód z większym zapałem, ale i pewnym niepokojem w sercu. Obraz stawał się coraz wyraźniejszy. To, co wziął za gwiazdy, okazało się promieniami słońca, przenikającymi przez góry w jego kierunku.

Nagle usłyszał jakiś hałas. Początkowo wiązał go z rysującym się przed nim krajobrazem, ale za chwile stwierdził, że dochodzi on spoza jego pleców. Bez trudu rozpoznał ten dźwięk. Motocykl. Szybko odwrócił się i starał się przebić wzrokiem gęstą mgłę. Ujrzał nadjeżdżającego Wiotskiego z automatem przewieszonym przez prawe ramię. Rosjanin też go widział i na jego twarzy ukazał się wyraz niepohamowanej nienawiści. Prowadził teraz motor tylko lewą ręką, a prawą objął uchwyt karabinu. Położył palec na spuście i przyspieszył.

— Brytyjczyku! — warknął do siebie. — Nadeszła twoja ostatnia godzina. Żegnaj!

Jazz stał przez chwilę porażony tą niespodzianką.

— OK, Iwan — zamruczał pod nosem. — Zobaczymy, czy jesteś taki sprytny, za jakiego się uważasz.

Wiotski zbliżał się z maksymalną prędkością. Motocykl zaczął pod nim drżeć. Jechał w miarę płynnie, ale i tak było niezmiernie trudno celować z dużą dokładnością. Wierzył, że główną przewagę daje mu element zaskoczenia, ale nie docenił Jazza. Agent przykucnął, maksymalnie zmniejszając swoją sylwetkę. Karl zaczął strzelać krótkimi seriami. Nie od strzału miał jednak zginąć Jazz według jego planu. Miała go czekać śmierć pod kołami rozpędzonego motoru. Wiotski liczył na to, że przeciwnik zerwie się, nie wytrzyma nerwowo, i biegnąc przed siebie, stanie się łatwym celem. Anglik jednak nie zmieniał pozycji i wciąż... czekał. Rozwścieczony Wiotski poderwał maszynę i kiedy miał dotknąć kołami skulonej postaci, ta przetoczyła się na bok. Wiotski próbował raptownie skręcić. Stracił panowanie nad kierownicą i ryczący pojazd wywrócił się.

Upadek wyglądał na bardzo groźny. Jednakże Wiotski wyszedł z niego prawie bez szwanku. „Ziemia" tutaj musiała znacznie różnić się od twardej skorupy zewnętrznego świata. Miał kilka zadrapań i rozdarty kombinezon na jednym z łokci, ale to było wszystko. Wciąż oszołomiony, podniósł się i z niedowierzaniem spojrzał na zbliżającego się Jazza.

— Witaj, Iwan! Widzę, że z łatwością mnie znalazłeś — zawołał Anglik.

Wiotski objął swą broń. Przekonał się, że nie jest uszkodzona i wycelował w stronę

nadchodzącego mężczyzny. „Z czego ten drań się tak cieszy? Z wypadku? Uważa, że to było zabawne? A teraz nie zamierza się bronić, głupiec!" — pomyślał. Jazz rzeczywiście szedł swobodnie jak na spacerze, z automatem na ramieniu.

— Uważaj się za trupa, Brytyjczyku! — powiedział Wiotski. Z namaszczeniem opuścił nieco lufę karabinu. Celował teraz prosto w brzuch agenta. Bez wahania nacisnął spust... Rozległy się trzy głuche strzały i zanim jeszcze Karl zdążył cofnąć palec, broń mocno uderzyła go w klatkę piersiową, odrzucając całe jego ciało do tyłu. Wiotski miał wrażenie, że klatka zapadła mu się głęboko. Możliwe też, że pękły mu jakieś żebra.

Rosjanin leżał skulony i jęczał z bólu. Najwyraźniej nie zrozumiał, co się stało. Między nim, a Jazzem widniały na białym tle podłoża trzy kule. Karabin wystrzelił je na odległość równą długości lufy i ani cala dalej. Potem upadły pod wpływem własnego ciężaru. Opór, jaki napotkały, spowodował silny odrzut broni w przeciwnym do ich ruchu kierunku.

Wiotski nie rezygnował. Wyciągnął rękę po automat i... nie starczyło mu siły, żeby pokonać niewidzialną barierę. W tym samym kierunku zresztą przed chwilą strzelał i stamtąd nadchodził Jazz.

— Jedynie światło i dźwięk rozchodzą się tu we wszystkich kierunkach — odezwał się Simmons. — Dlatego słyszymy i widzimy się nawzajem. Ale w takiej sytuacji, jaką teraz mamy — żaden przedmiot stały nie może pokonać ani cala drogi w moim kierunku. Gdybyśmy zamienili się miejscami — z pewnością byłbym już martwy! Nie mogłeś mi więc niczym zagrozić Iwanie. Gdybyś nie był tak zaślepiony nienawiścią, sam byś na to wpadł prędzej czy później.

Wiotski pomyślał chwilę, zanim przytaknął zrezygnowany. W końcu usiadł z trudem.

— Strzelaj! Na co czekasz? — zawołał.

Jazz spojrzał na niego i skrzywił się z obrzydzeniem.

— Boże, cóż z ciebie za bezmóżdże! Nie dotarło do twojej wyobraźni, że być może, jesteśmy jedynymi ludzkimi istotami w tej krainie? Ty i ja? Nie, żebym marzył o męskim towarzystwie do końca mych dni, ale nie mam zamiaru wyciąć tylko dla zabawy połowy ludzkiej populacji!

Wiotski miał duże trudności z rozszyfrowaniem słów Jazza.

— O czym ty mówisz? — zapytał zniechęcony.

— Chcę przez to powiedzieć, że daruję ci życie. Gdyby taka sytuacja wydarzyła się wczoraj w mojej celi nie byłbym taki wspaniałomyślny. To pewne. Ale niech mnie licho, jeśli potrafię cię zabić z zimną krwią tu i teraz. — Agent wsiadł na motor i bez trudu go uruchomił.

— Chcesz mnie tu zostawić? Bez broni? — zaniepokoił się Rosjanin. — To już lepiej, żebyś mnie wykończył na miejscu!

— Znajdziesz ją, kiedy przejdziesz przez Bramę — odparł Jazz. — Ale pamiętaj: nasze następne spotkanie nie zakończy się tak bezkrwawo. Nie wiem, jak wielki jest ten świat, wydaje się jednak, że wystarczy na nim miejsca dla nas obu. I nie musimy być bliskimi sąsiadami! Sam zdecydujesz, towarzyszu. Mam nadzieję, że widzimy się po raz ostatni.

Wolno przejechał obok Wiotskiego. Potem przyśpieszył i obejrzał się. Rosjanin nie ruszył się. Jazz nie potrafił odgadnąć, co wyraża jego twarz. Anglik odetchnął głęboko, ale gdzieś w głębi duszy kołatała się myśl, że tym razem popełnił poważny błąd...

Jazz jechał trzy, może cztery minuty kiedy nagle okazało się, że i z drugiej strony śnieżnobiała droga kończy się świetlistą sferą. Jazz boleśnie odczuł pierwszy kontakt z nowym światem, tu bowiem, kula leżała na dnie krateru o średnicy około siedemdziesięciu stóp. Krawędzie krateru wystawały na około trzy stopy. Jazz nie zdążył zahamować. Został wraz z motocyklem wyrzucony w powietrze, zdołał się jednak jakoś uwolnić w locie od maszyny i ciężko upadł na twardą ziemię. Leżał przez moment nieruchomo, później wsiadł i rozejrzał się wokół siebie.

Teren był podziurawiony głębokimi naturalnymi studniami. Ich ściany, idealnie gładkie, wznosiły się prawie pionowo.

Agent spojrzał na sferę, ale oślepiony jej jasnością musiał odwrócić wzrok. Wstał i sprawdził, czy nic mu się nie stało. Znalazł tylko kilka siniaków i zadrapań. Podszedł do motocykla, który bardziej ucierpiał w kolizji. Przednie widły mocno się wygięły i uwięziły koło, zupełnie blokując jego ruch.

Jazz przypomniał sobie o Wiotskim. Rosjanin znajdował się najwyżej dwie mile za nim. Nawet z pełnym ekwipunkiem — nie więcej niż czterdzieści minut marszu. Agent nie miał zamiaru czekać tu na niego.

Wyjął swoje przenośne radio, zwykłe walkie-talkie.

— Towarzyszu draniu, majorze Khuw! Tu Simmons — szybko mówił do mikrofonu — Przeszedłem Bramę i nie mam ochoty powiedzieć ci ani słowa o tym, jak jest po drugiej stronie! Jak mnie słyszysz?

Nie otrzymał odpowiedzi. Nic poza lekkimi, odległymi piskami i trzaskami. Tak naprawdę. Jazz nie spodziewał się po tej próbie zbyt wiele. Inni przecież też z pewnością starali się nawiązać kontakt i nic, nikomu się to nie udało.

— Halo, tu Simmons — powtórzył. — Czy ktoś mnie słyszy? — Nikt nie odezwał się. Radio straciło dla niego jakąkolwiek wartość. — Zabawka! — syknął, a potem wrzucił aparat do jednej z najbliższych dziur. Westchnął i rozejrzał się uważnie.

To, co zobaczył, było niesamowite. Krajobraz na pół znajomy, a jednak całkiem obcy. Dziwny i przerażający.

Jazz rozpoznał skały, drzewa, a nawet przełęcz dzielącą wyraźnie długie pasmo wzgórz. Wielkość masywu przytłaczała i przyciągała. Agent nieświadomie oddalił się od Bramy o dobre sto jardów. Zatrzymał się. Musiał osłonić oczy przed blaskiem odbi-

jającym się od skalnych ścian. Odwracały one światło emitowane przez Bramę. Wystarczyło tylko usunąć drzewa, a widok stałby się iście księżycowy.

Jazz spojrzał na kompas. Zorientował się, że gigantyczne górskie pasmo biegnie na wschód i zachód. W obu kierunkach nie było widać jego końca. Jedynie poszczególne szczyty zmieniały w oddali swoją barwę: z szarych przechodziły w purpurę, indygo i aksamitny granat, ginąc wreszcie za widnokręgiem.

W siodle przełęczy dostrzegł skrawek zachodzącego, a może wschodzącego słońca. Nie był jednak pewien, czy tak może nazwać czerwoną tarczę emitującą bardzo łagodne promienie.

Na zachodzie dostrzegł tylko skały i drzewa, ciemniejące w niebieskich odcieniach, aż do głębokiej czerni. Na północy, powyżej kuli, panowała ciemność, rozświetlona nieznanymi konstelacjami migocących gwiazd. Powiało stamtąd zimnem.

Spojrzał na wschód. Nie znalazł tam nic, co przypominałoby świat, z którego przybył. Wrażenie całkowitej obcości sprawiały przede wszystkim niezwykle wysokie kamienne wieże. Wyrastały jak monolityczne, fantastyczne drapacze chmur, tylko że niemożliwością było wyobrazić sobie, by mogły powstać z pracy rąk. Ani ludzkich, ani jakichkolwiek innych... Ich potęga przerażała.

Jazz bez dalszego namysłu skierował się prosto ku przełęczy. Niewiadoma, jaką miał znaleźć po drugiej stronie masywu wydawała się mniej niepokojąca niż to, co do tej pory mógł objąć wzrokiem. Poszedł więc na południe. Tam właśnie widniało słońce. Unosiło się wciąż na tej samej wysokości. Popatrzył w niebo. Zastanawiał się jaka to pora dnia. Słońce wciąż stało nieruchome. Pomyślał, że być może, po tej stronie gór wiecznie panuje zmrok, a po tamtej — ranek.

Simmons westchnął i dał sobie spokój z tymi bezcelowymi, nie do rozstrzygnięcia pytaniami. Przełęcz leżała nieco powyżej podstawy gór i Jazz musiał się na nią wspiąć. Wymagało to pewnego wysiłku i kazało skoncentrować się wyłącznie na marszu. Kroczył po zwykłej trawie i mijał pospolite sosny. To miejsce mogło kojarzyć mu się z tymi, które znał. A właściwie mogłoby, gdyby potrafił zapomnieć o śmiercionośnych istotach, pochodzących z tego świata. Ich wspomnienie kładło ponury cień obcości na swojskich z pozoru kształtach.

Po prawie pół godzinie ciągłego marszu oparł się dla odpoczynku o wielki głaz. Stanął twarzą w stronę kuli. Brama leżała w odległości około dwóch mil. Wyglądała jak świetliste jajo zagrzebane do połowy w gnieździe krateru. Idealną czystość błyszczącej powierzchni zakłóciła nagle mikroskopijna, czarna kropka. Jazz nie miał wątpliwości. „Tak! to Wiotski, zdrów i cały" — pomyślał.

Nie minęło kilka sekund, a od skalnych ścian odbiło się echo pojedynczego wystrzału. Najlepszy dowód na to, że Rosjanin odnalazł broń pozostawioną przez Jazza u wyjścia z Bramy. Musiał też ogłosić całemu światu, do którego przybył: „To ja. Karl Wiotski!

Jestem tutaj i niech nikt lepiej ze mną nie zadziera! I nie pozwolę robić z siebie głupca!" A może zwracał się tylko do Jazza? Może to miało zabrzmieć jak: „Simmons, nie skończyłem jeszcze z tobą! Lepiej obejrzyj się za siebie!"

Na dole przy kuli Karl zdążył już odłożyć swą broń. Podszedł do motocykla. Zauważył odkręcone siodełko i jego twarz skrzywiła się w złośliwym grymasie. W jego plecaku znajdował się mały pojemnik z narzędziami. W pośpiechu nie schował go do motoru, tylko wrzucił do torby. Wyciągnął go teraz z westchnieniem ulgi.

Wyszukał odpowiedni klucz i uwolnił koło z powykrzywianych widełek. Ich wyprostowanie było tylko kwestią siły. Postawił motocykl i zaczął przygotowywać się do jego uruchomienia, gdy nagle... „Co to takiego, u diabła?" — pomyślał Wiotski, chwytając za karabin. Odbezpieczył go i dziko się rozejrzał. Nic. Cisza. Dałby głowę, że przed chwilą coś usłyszał. Ostrożnie zwrócił się w stronę pojazdu. Nagle doszedł go kolejny dźwięk. Nadstawił uszu i teraz był pewien, że słyszy jakiś przytłumiony, cichy głos. Wołanie o pomoc. Ludzki głos dochodził najwyraźniej z jednej z dziur.

W dodatku rozpoznał, do kogo należy. To Zek Föener. W jej wołaniu brzmiała rozpacz i nadzieja. Pochylił się nad otworem.

Ściany tej dziury były idealnie gładkie. Tworzyły wydłużony cylinder, który w pewnym momencie, mocno się zakrzywiał. Na załamaniu tym leżało... radio. Zupełnie takie samo, jakie Wiotski miał w kieszeni. „Anglik pewnie je zgubił po drodze" — pomyślał Rosjanin. Za każdym razem, kiedy głos się odzywał, na radiu rozświetlał się mały, czerwony guzik.

— Halo? — Wiotski usłyszał słaby głos. — Halo? Proszę, odezwij się! Jest tam ktoś? Słyszałam, jak mówiłeś, ale... spałam! Myślałam, że to sen! Proszę — jeśli ktoś tam jest — czekam na odpowiedź! Kim jesteś? Gdzie jesteś? Halo? Halo?

— Zek Föener! — Westchnął lubieżnie Wiotski. Wiedział, że w tej chwili to zupełnie inna kobieta. Nie ta napuszona lala, która tak pogardliwie traktowała jego zaloty w Perchorsku. Teraz rozpaczliwie sama szukała towarzystwa. Jakiegokolwiek towarzystwa.

Wiotski wyjął własny aparat. Na dwóch kanałach, na zmianę nadawał tę samą wiadomość.

— Zek Föener, tu Karl Wiotski. Jestem pewien, że mnie pamiętasz. Znaleźliśmy sposób na zneutralizowanie jednostronnego działania Bramy. Wysłano mnie, żebym odnalazł i sprowadził wszystkich, którzy ocaleli z eksperymentów. Odszukaj mnie, a wkrótce stąd wyjdziesz. Słyszysz mnie?

Kiedy skończył mówić, czerwona lampka na jego radiu zaczęła migotać, ale na zewnątrz nie wychodził żaden dźwięk. Pokręcił gałką. Nic. Ciągle cisza. Spojrzał na głośnik. Był mocno wgnieciony. „To na pewno stało się wtedy, kiedy spadłem z motocykla" — pomyślał.

— Cholera! — syknął przez zaciśnięte zęby.

Pochylił się, wcisnął głowę i jedno ramię głęboko do wnętrza dziury. Radio Simmonsa miało antenę rozciągniętą na całą długość. Wiotski złapał ją zbyt mocno i... wyłamał. Radio z głośnym łoskotem znikło w głębi otworu.

— Do diabła! — Rosjanin niezgrabnie wygramolił się do góry. Podniósł własny aparat.

— Zek! Wiem, że prawdopodobnie mnie odebrałaś, ale nie słyszę twojej odpowiedzi. Jeśli dotarła do ciebie moja wiadomość, wiesz, że jestem teraz twoją jedyną nadzieją. Stoję przy kuli, ale nie pozostanę tu długo. Zacznij mnie szukać! Zrozumiałaś?

Czerwone światełko znowu zamigotało. Nie był pewien, czy ma oznaczać radość, czy wyzwiska. Złośliwie, nerwowo wyszczerzył zęby. Wiedział, że w końcu będzie musiała go odnaleźć. Co prawda, nie wspomniał jej o Jazzie, ale ona nie miała o niczym pojęcia.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zek

Po dwóch godzinach od przekroczenia Bramy i energicznym marszu przez przełęcz. Jazz zdecydował się na pierwszy dłuższy odpoczynek. Wystająca skała z płaskim wierzchołkiem dała mu wygodne siedzisko. Mógł z niego kontrolować wzrokiem spory obszar wokół siebie. W jednym z pakunków znalazł suchary i twardą czekoladę. Jadł bez pośpiechu. Zastanawiał się przy tym nad swoim położeniem.

Wiadomo tylko, że nie było godne pozazdroszczenia: samotny, w obcym świecie, z zapasem żywności na tydzień i broni, wystarczającym na rozpoczęcie III wojny światowej.

Nie domyślał się nawet, gdzie ukrywają się jakiekolwiek żywe istoty — mieszkańcy tego surowego lądu. Miał nadzieję, że niektórzy z nich wyglądają inaczej niż ci, których zdążył poznać na filmie i u Agurskiego w laboratorium. Mimo wszystko marzył, by spotkać kogokolwiek.

Jakby w odpowiedzi na jego rozważania po górach rozeszło się przeciągłe wilcze wycie. Nie mógł się mylić, tylko te zwierzęta wydają z siebie tak przejmujący głos. Jazz przypomniał sobie o Przybyszu Drugim. Tamten wilk był stary, słaby i ślepy. To wycie zaś, ogłaszało światu siłę i hardość. Zostało pochwycone przez echo i zwielokrotnione.

Jednocześnie na zachodzie Jazz ujrzał skrawek jasno świecącego półksiężyca.

Agent skończył posiłek i szybko się spakował. Zszedł z gościnnej skałki. Dopóki kierował się ku słońcu, dopóty widział przed sobą góry wyłącznie w zarysie. Czarne, ostre kontury skał i szczytów. Kiedy jednak pojawił się księżyc, płaski obraz nagle ożył w silnych kontrastach światła i cienia. Jego oczy przyzwyczaiły się też do półcienia i potrafiły z ciemności wyłuskać więcej szczegółów rysującego się przed nim krajobrazu. Dotąd zauważył jedynie zadrzewione szczyty i pokrywające je srebrzyste czapy śniegu. Nie miał zresztą zbyt dużo czasu na turystyczne obserwacje. Jego uwagę przyciągał przede wszystkim szlak, którym podążał. Musiał bardzo uważać na tym kamienistym terenie. Dopiero teraz dotarło do niego, że naprawdę szedł wyznaczonym szlakiem. Uzmysłowił

sobie, że ktoś musiał z tej drogi korzystać.

Przełęcz była w tym miejscu znacznie węższa niż u podstawy. Rozpoczynając wspinaczkę, ocenił odległość między ścianami sąsiednich szczytów na blisko półtorej mili. Tam, gdzie odpoczywał, zmniejszyła się do około dwustu jardów. Jazz wiedział, że do najwyższego punktu przełęczy pozostało mu nie więcej, niż ćwierć mili. Dopiero wtedy miało się okazać, co kryje się na południu tej dziwnej krainy. Nagle przystanął zaskoczony. Z płaskich, czarnych konturów wyrosło w jego oczach wielkie, skalne zamczysko. Było wtopione w ścianę wschodniego szczytu przełęczy jak kamienny strażnik, strzegący przejścia przez góry. Przypominało prawdziwą fortecę; z murami obronnymi, potężnymi basztami i krenelażami. Najwyższe partie budowli spoczywały na olbrzymich podporach. Liczne poziomy połączone były kamiennymi, stromymi schodami wydrążonymi w skale. Czarne otwory okien ponuro spoglądały na samotnego śmiałka.

Owe dzieło architektury powstało na wysokości około pięćdziesięciu stóp od podstawy gór. Jazz zauważył wąskie stopnie biegnące zygzakami do dużego otworu naturalnej jaskini. Z niej musiało prowadzić właściwe wejście do budowli. Zastanawiał się, czyje oczy go teraz obserwują. Czuł na sobie czyjeś spojrzenie, choć zamczysko niczym nie zdradzało obecności swych mieszkańców.

Simmons wolno ruszył przed siebie. Odruchowo przyśpieszał, gdy musiał przecinać smugi księżycowego światła. Dotarł do najniżej położonej części fortyfikacji. Jakieś dwanaście stóp ponad jego głową, wyrastały ze ściany kamienne smoki. Przystanął zaskoczony przed wielkimi drewnianymi wrotami. Nie widział ich do tej pory. Na nich również ujrzał sylwetkę smoka, która wydała mu się dziwnie znajoma. Miał głowę i skrzydła nietoperza, i oczywiście — ciało wilka. Dzieliła go w połowie czarna smuga. Jazz przyjrzał się uważnie uchylonym drzwiom, ale zignorował to wyraźne zaproszenie do wnętrza i tym bardziej ochoczo pomaszerował w stronę słońca. Po chwili mógł swobodniej oddychać. Minął ponure zamczysko i nareszcie znalazł się na szczycie przełęczy. Poczuł ciepło słonecznych promieni. Dopiero teraz odważył się odwrócić. Gigantyczna budowla znów wtopiła się w szarość otaczających ją skał. Jazz pokręcił głową w zachwycie.

Głęboko wciągnął w płuca powietrze i długo je wypuszczał. Po tym odprężającym ćwiczeniu energicznie postawił pierwszy krok naprzód. W zacienionym miejscu coś się poruszyło.

— No cóż, Karlu Wiotski, wybór należy do ciebie. Mów albo zginiesz. Natychmiast! — usłyszał zimny kobiecy głos.

Simmons przez cały czas trzymał palec na spuście automatu. Zanim padło pierwsze słowo, wypowiedziane zresztą po rosyjsku, agent błyskawicznie odwrócił się i... Kobieta byłaby teraz martwa, gdyby tylko broń była odbezpieczona.

— O, pani — powiedział miłym głosem — Zek Föener? Nie nazywam się Karl Wiot-

ski. Gdyby tak było, pani dusza wędrowałaby już do nieba!

Z ciemności spoglądały na niego błyszczące oczy. Nie wyglądały jednak na ludzkie. Były trójkątne i żółte, zbyt nisko nad ziemią. Z cienia wynurzył się wielki, szary, wygłodniały wilk. Długi czerwony jęzor zwisał między ostrymi, mocnymi kłami. Teraz Jazz szybko odbezpieczył karabin. Rozległ się przy tym charakterystyczny szczęk metalu.

— Nie rób tego! — powstrzymała go dziewczyna. — To mój przyjaciel. Jak dotąd jedyny.

Wreszcie ją zobaczył. Wyszła z mroku i stanęła przy zwierzęciu. Trzymała w rękach taką samą broń, w jaką zaopatrzono Jazza.

— Jeszcze raz mówię, że nie nazywam się Karl Wiotski. — Jazz spojrzał na automat drżący w jej dłoniach. — Do diabła, i tak byś pewnie chybiła!

— Słyszałam cię przez radio — powiedziała w końcu. — Przed Wiotskim. Poznaję twój głos.

— Co proszę? — Jazz nie od razu zrozumiał. — Ach, tak! To byłem ja. Chciałem połączyć się z Khuwem, ale wątpię, czy odebrał mój sygnał. To on wysłał mnie tutaj. Ciebie również. Tylko, że przede mną niczego nie taił. Nazywam się Michael Jazz Simmons. Jestem agentem z Wielkiej Brytanii. Bez względu na to, co o tym sądzisz, zdaje się, że jedziemy na tym samym wózku. Mów mi Jazz. Pod tym imieniem znają mnie przyjaciele... Czy mogłabyś przestać we mnie celować?

Kobieta nie wytrzymała. Z głośnym szlochem padła mu w ramiona. Czuł, że broni się przed swą słabością, ale przegrała tę wewnętrzną walkę. Jej karabin hałaśliwie uderzył o skalne podłoże.

— Anglik? — szlochała ze wzruszenia. — Możesz być Japończykiem, Murzynem, czy innym Arabem! Jakie to ma znaczenie? A jeśli chodzi o broń... już dawno skończyła mi się amunicja. Gdyby została mi choćby jedna kula — prawdopodobnie zastrzeliłabym się wiele dni temu. Ja... ja...

— Spokojnie — powiedział Jazz. — Spokojnie!

— Słoneczni idą za mną — wyszeptała. — Chcą mnie oddać wampirom, a Wiotski mówił, że zna drogę powrotną, więc...

— On, co? — Jazz ciągle trzymał ją blisko siebie. — Rozmawiałaś z Wiotskim! — Dostrzegł antenę, wystającą z jej kieszeni i przestał się dziwić. — Okłamał cię. Zapomnij o tym! Użył tego jako przynęty.

— O Boże! — Mocno wbiła się palcami w jego ramiona. Przycisnął ją jeszcze mocniej. Poczuł jej zapach. Nawet w niekorzystnym świetle wyglądała ładnie. I bardzo kobieco.

— Zek — powiedział. — Powinniśmy znaleźć jakieś bezpieczne schronienie. Musimy porozmawiać, wymienić informacje. Zgoda? Myślę, że pomożesz mi zaoszczędzić

mnóstwo czasu i wysiłku.

— Jest taka grota, w której zwykle sypiam — odparła nieco uspokojona. — To jakieś osiem mil stąd. Byłam tam, kiedy usłyszałam twój głos. Myślałam, że śnię. Gdy się ocknęłam, było już za późno. Poszłam więc w stronę Bramy. Co dziesięć minut nawoływałam cię przez radio. I w pewnej chwili odpowiedział mi Wiotski...

— Uspokój się — pośpiesznie przerwał jej Jazz. — Już wszystko w porządku, o ile to możliwe w naszej sytuacji. Opowiesz mi wszystko po drodze do twojej kryjówki, dobrze?

Schylił się, żeby podnieść jej karabin. Wilk przyczaił się i ostrzegawczo warknął.

Zek uspokajająco położyła swoją dłoń na jego łbie.

— Już dobrze, wilku. To przyjaciel.

— Wilk? — Jazz cierpko się uśmiechnął. — Oryginalny pomysł!

— Dostałam go od Lardisa — powiedziała. — Lardis jest przywódcą Wędrowców. Słonecznych, oczywiście. Wilk jest moją ochroną osobistą. Szybko się zaprzyjaźniliśmy, ale ciągle jest dzikim zwierzęciem. Musisz i ty myśleć o nim jak o swoim przyjacielu. Naprawdę myśl w ten sposób, a nie będziesz miał z nim żadnych kłopotów.

Odwróciła się i zaczęła schodzić w dół, w kierunku zamglonej słonecznej kuli, wciąż nieruchomo zawieszonej nad siodłem południowej strony przełęczy.

— To prawda czy twoja fantazja? — zapytał Jazz. — Ta historia z wilkiem?

— To prawda — odparła krótko. Potem jeszcze raz zatrzymała się i chwyciła jego ramię. — Jesteś pewien, że nie ma drogi powrotnej przez sferę? — Jej głos był błagalny.

— Jestem — odrzekł starając się, żeby nie zabrzmiało to zbyt szorstko. — Wiotski to kłamca. Myślisz, że w przeciwnym razie byłby tu jeszcze? Kiedy mnie wysłali, siłą wciągnąłem go za sobą. Tylko dlatego też się tu znalazł! Ale powiedz mi, dlaczego mimo wszystko szłaś w stronę Bramy?

— Przybyłam przez sferę i Brama to jedyna droga tutaj, jaką znam. Wiele razy wyobrażałam sobie, że bieguny się odwróciły i działanie kuli jest przeciwne. Przyszłam więc, żeby to sprawdzić. Przy dziennym świetle, oczywiście. Gdyby mi się od razu nie udało, nie wróciłabym już również do Krainy Słońca.

— Te bieguny... to fachowa teoria czy fikcja? — Simmons zapytał zaciekawiony.

— Niestety, to tylko moja wyobraźnia.

Przez chwilę szli w milczeniu. Jazz nie wytrzymał jednak długo bez zadawania pytań.

— Gdzie u licha, wszyscy się podziali? Gdzie ptaki, zwierzęta? Gdzie stwory, które pojawiły się w Perchorsku? Nie widziałem...

— I nie zobaczyłbyś — przerwała mu. — Nie w Gwiezdnej Krainie i nie za dnia. Tutaj, w Słonecznej Krainie, ujrzysz wkrótce wiele zwierząt! Wierz mi. Jazz, nie chciałbyś zbyt często spotykać mieszkańców Gwiezdnej Krainy. — Wstrząsnął nią nieopanowany

dreszcz. Nagle potknęła się i upadła na jedno kolano.

— Och! — jęknęła.

Jazz pewnie chwycił ją za łokieć. Tym razem wilk nie zareagował na jego gest. Agent wolno poprowadził Zek w stronę dużego, płaskiego kamienia. Pozwolił jej usiąść i zdjął swój plecak. Wydobył z niego paczuszkę, dzienną porcję suchego prowiantu.

— Zasłabłaś z głodu! — stwierdził. Otworzył puszkę soku. Pociągnął łyk i poprosił, żeby wypiła całą resztę. Nie opierała się. Wilk stał przy nich, machając z ożywieniem ogonem. Jego pysk ociekał śliną. Jazz ułamał kostkę czekolady. Zwierzę pochwyciło ją w locie.

— To głównie przez moje stopy — powiedziała Zek. — Jazz spojrzał na nie. Nosiła ciężkie skórzane sandały. Palce miała poplamione krwią. Słońce było teraz trochę ostrzejsze i mógł dokładniej przyjrzeć się całej sylwetce kobiety. Jej kombinezon był dziurawy na łokciach i kolanach, ale starannie załatany od spodu. Jedyny jej bagaż stanowił mały rulon. Agent słusznie przypuszczał, że to śpiwór.

— To nie jest odpowiednie obuwie na taką wycieczkę. — Wskazał na sandały.

— Wiem o tym — odparła Zek. — Kiedyś miałam takie buty jak twoje. Nie wystarczyły na długo. Sam zobaczysz, niektóre z kamieni są ostre jak żyletki.

Dał jej czekoladę. Połknęła ją prawie w całości.

— Może odpoczniemy tutaj? — zaproponował.

— To zbyt niebezpieczne — odparła. — Lepiej jak najprędzej chodźmy do Słonecznej Krainy. Póki jest dzień.

— Masz na myśli niebezpieczeństwo z ich strony? — Jazz wyjął mały pojemnik z jednej z toreb. Znalazł w niej gazę, bandaże, maści i plastry. Delikatnie zsunął sandały ze stóp Zek i zajął się ranami.

— Tak, wampiry, jak się domyślasz. Ale nie tylko. Są gorsze rzeczy w Gwiezdnej Krainie. Widziałeś „zwierzątko" Agurskiego? — Jazz skinął głową. Zwilżył kawałek gazy wodą z plastykowej butelki i ostrożnie zmywał z jej palców zaschniętą krew. Westchnęła z ulgi, kiedy posmarował maścią liczne zadrapania i pokaźne pęcherze. — To, co widziałeś w akwarium powstało, bo jajo wampira przedostało się do tutejszej fauny — powiedziała obojętnym tonem, jak gdyby mówiła o czymś bardzo normalnym.

Jazz znieruchomiał. Podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy.

— Jajo wampira, tak? — zapytał cedząc słowa. — OK, cóż w tym dziwnego? — wzruszył ramionami. Zaczął zakładać na jej stopy opatrunki. — To znaczy, że wampiry są jajorodne, zgadza się?

— I tak, i nie — odpowiedziała Zek. — Wampir rodzi się, kiedy wampirze jajo dostanie się do ciała człowieka.

Jazz z powrotem nałożył jej sandały na nogi.

— Lepiej? — zapytał.

— O wiele lepiej — odrzekła. — Stokrotne dzięki. — Wstała i pomogła mu się zapakować. Ruszyli dalej na południe.

— Posłuchaj — odezwał się Jazz. — Dlaczego po prostu nie opowiesz mi wszystkiego, co wiesz o tym miejscu. Co widziałaś, przeżyłaś i czego się tu nauczyłaś. Na razie widoczność jest bardzo dobra i nie wydaje się, żeby coś mogło nam nieoczekiwanie zagrozić. Słońce jest jeszcze dosyć wysoko, a dochodzi do tego jasne światło księżyca.

— Czyżby? — wtrąciła Zek. Jazz obejrzał się. Księżyc przeciął przełęcz i już tylko jego skrawek widoczny był za wschodnim szczytem siodła.

— Obrót planety wokół Słońca jest tu dużo wolniejszy niż ten, do którego przywykliśmy, ale księżyc krąży wokół niej szybciej i po bliższej niż nasz orbicie. Przypadkowo też nazwali tę planetę — Ziemia. Zresztą, to chyba naturalne przy takim podobieństwie.

W każdym razie obrót ze wschodu na zachód trwa tu bardzo długo, a bieguny nie zostały wyznaczone w zależności od położenia planety względem słońca. Słońce jest tu widoczne w wędrówce z zachodu na wschód, bardzo powolnej i po niewielkim łuku. Nie jestem ani astronomem, ani badaczem kosmosu, nie pytaj więc skąd to wszystko wynika. Opowiem ci, jak to wszystko działa w praktyce.

Tu, w Słonecznej Krainie, „rano" trwa mniej więcej dwadzieścia pięć godzin, „dzień" — siedemdziesiąt pięć, „wieczór" — znów dwadzieścia pięć godzin, zaś „noc" — około czterdziestu. Oczywiście noc zapada, gdy słońce znika za horyzontem.

Jazz jeszcze raz spojrzał w górę. Księżyc był już ledwie widoczny za wysokimi górami.

— Ja też nie jestem astronomem — powiedział — ale tempo tego księżyca jest imponujące!

— Zgadza się — odparta Zek. — Na dodatek, w odróżnieniu od naszego, pokazuje się ze wszystkich stron.

— Bezwstydny, co? — zażartował Jazz.

— Czasem przypominasz mi pewnego Anglika, którego znałam dawno temu. Wydawało się, że jest tylko trochę naiwny, ale okazało się, że jest nieprawdopodobnie naiwny! — odezwała się po chwili.

— Tak? — zainteresował się Jazz. — Kto był tym szczęściarzem?

— Wcale nie był takim szczęściarzem — odparła cicho i lekko pochyliła głowę. Simmons patrzył na jej profil. Podobała mu się. I bardzo ją lubił.

— Był członkiem — a może nawet głową — waszego INTESP. Nazywał się Harry Keogh. Miał szczególny talent. Ja też mam talent... ale z nim było całkiem inaczej. Był nekroskopem.

Jazz zdecydował właśnie, że nie będzie na razie okazywał jej swojego sceptycyzmu.

— Kim? — zapytał tylko.

— Potrafił rozmawiać ze zmarłymi — powiedziała lodowato i odsunęła się wyraźnie

od mężczyzny. Poczuła się urażona, ogarnęła ją złość.

— Co ja takiego zrobiłem? — spytał Jazz zaskoczony.

— Coś sobie pomyślałeś — sapnęła z pasją. — Pomyślałeś: „Co za bzdury".

— Chryste Panie! — wyrwało się Jazzowi. Tak właśnie pomyślał.

— Posłuchaj — ciągnęła Zek. — Wiesz od ilu lat ukrywałam swoje zdolności? Nie mogłam pracować dla Wydziału E! Nie chciałam, bo zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później znów będę musiała stanąć twarzą w twarz przeciwko Harry'emu. Cierpiałam męki...

— OK! — powiedział Jazz, przerywając jej w pół słowa. — Nie zajdziemy daleko, jeśli nie będziemy sobie ufać. Ale nic też nie osiągniemy, okłamując i zwodząc się wzajemnie. Jeśli mi mówisz o swoich możliwościach, muszę ci wierzyć na słowo. A jednak... czy nie mogłabyś tego udowodnić? Musisz przyznać, że nietrudno było przed chwilą odgadnąć moje myśli, Zek. Nie powiesz mi chyba, że nigdy dotąd nie spotkałaś się ze sceptycyzmem!

— Chcesz mnie wypróbować? — Jej oczy płonęły gniewem. — Kusisz? Odejdź, szatanie!

— To talent otrzymany od Boga, tak? — Jazz ciągle nie dowierzał. — Jeśli jesteś tak dobra, dlaczego nie wiedziałaś, kto się zbliża do przełęczy?

— Naprawdę mnie złościsz! — powiedziała Zek. — Nic nie rozumiesz. Ja ci mówię, że jestem telepatką, a ty mi na to: „udowodnij". To tak, jakbyś mi kazał udowodnić, że jestem kobietą!

— Cholernie wysoko się cenisz. Bóg jeden wie, do jakiego rodzaju mężczyzn przywykłaś, ale... — Simmons pokiwał głową.

— W porządku! — sapnęła. — Patrz.

Spojrzała obojętnie na wilka, potem odwróciła się i zaczęła odchodzić. Stanęła w odległości stu metrów od niego.

— Nie zamierzam teraz nic mówić! — krzyknęła stamtąd. — Zaraz stanie się to, o czym pomyślisz!

Jazz nachmurzył się. „Co ona sobie..." — zaczął w myśli, i w następnej chwili wilk przejął jego rozumowanie. Zwierzę podeszło do niego, delikatnie chwyciło go za rękaw i zaczęło ciągnąć w kierunku swej pani. Jazz potknął się, starając się dotrzymać mu kroku. A im prędzej szedł, tym prędzej wilk biegł. W końcu obaj w szalonym tempie pędzili do miejsca, gdzie stała Zek. Kiedy do niej dotarli, wilk puścił rękaw kombinezonu agenta.

— I co? — zapytała kobieta.

— No cóż — zaczął Simmons, drapiąc się po nosie.

— Myślisz, że jestem treserem zwierząt — przerwała mu — Ale jeśli usłyszę to z twoich ust, nasze drogi się rozejdą. Przetrwałam bez ciebie do tej pory, więc i dalej sobie po-

radzę.

Wilk stanął blisko niej, jak gdyby razem czekali na jego odpowiedź.

— Dwoje na jednego — powiedział Jazz z przekąsem. — Zawsze byłem za demokracją, oczywiście, wierzę ci. Szczerze. Jesteś telepatką. Wciąż jednak nie rozumiem, dlaczego nie odróżniłaś mnie od Wiotskiego?

Szli teraz w pewnej odległości od siebie.

— Widziałeś ten zamek? W Gwiezdnej Krainie?

— Tak.

— To dlatego.

— On był pusty, wydawał się opuszczony. — Agent zamyślił się.

— Może tak, a może nie. Wampiry bardzo chcą mnie dostać w swoje ręce. Można o nich różnie mówić, ale nie to, że są mało inteligentne. Wiedzą, że przybyłam tu przez Bramę i na pewno zgadły, że prędzej czy później spróbuję wydostać się stąd tą samą drogą. Mogły bez problemu skryć się w ciemnych pokojach zamczyska.

— Do tej pory wszystko pojmuję, ale co to ma ze mną wspólnego?

— W tym świecie — odpowiedziała — muszę bardzo uważać na to, o czym myślę. Wampiry też mają różne talenty i zdolności. Zresztą mają go również, choć na niższym poziomie percepcji — prawie wszystkie zwierzęta. Tylko przeciętni ludzie go nie posiadają.

— Chcesz powiedzieć, że gdyby wampiry pozostawiły kogoś w zamku, to... kreatura ta mogłaby usłyszeć twoje myśli?

— Tak. Wilk też je rozumie — powiedziała po prostu.

— A, co ze mną? — zapytał agent. — Czy to, że ja ich nie odbieram, robi ze mnie w twoich oczach idiotę?

— Nie — uśmiechnęła się. — Jesteś tylko człowiekiem. Kiedy szłam w tamtą stronę, słyszałam twoje myśli, ale nie odważyłam się na nich skoncentrować. To mogłoby mnie zdradzić! Teraz, kiedy znaleźliśmy się już w świetle słońca, niebezpieczeństwo minęło. Ale gdy zbliżam się do Gwiezdnej Krainy, muszę bardzo uważać. Nie mogłam więc być pewna, że nie jesteś Karlem Wiotskim. Musiałam to sprawdzić. Powiedziałeś, że on prawdopodobnie by mnie zabił. Tylko, że zostałby tu wtedy zupełnie sam. Zaryzykowałam i zaczaiłam się...

Tym razem Jazz naprawdę zrozumiał wszystko, co powiedziała. Musiał od czegoś zacząć i wydawało mu się, że nareszcie podjęli właściwy wątek.

— Posłuchaj, powinnaś mi wyjaśnić parę spraw. Jednak najpierw chciałbym wiedzieć, czy muszę kontrolować własne myśli?

— Tutaj, w Krainie Słońca? Nie. W Gwiezdnej Krainie — zawsze. Ale miejmy nadzieję, że nie wrócimy już tam.

— Świetnie — powiedział Jazz. — Przejdźmy do najpilniejszych spraw. Gdzie jest ta

twoja jaskinia? Najwyższy czas na odpoczynek.

— Powiem ci coś. Już dawno nauczyłam się nie podsłuchiwać myśli innych ludzi. Przyjemnie, co prawda, kiedy cię lubią. Ale w przeciwnym wypadku... może być bardzo stresujące. Co innego wśród nas telepatów. Wtrącanie się nawzajem w wewnętrzne życie należało do normalnych zasad naszego współdziałania. Od długiego jednak czasu byłam tu samotna. Również psychicznie. Aż tu nagle — umysł z mojego świata! Kiedy coś mówisz, no cóż... słyszę nie tylko to, co wypowiadasz na głos. Dopiero, gdy się do ciebie przyzwyczaję, postaram się nie ingerować w twoją prywatność. Już teraz próbuję, ale... nie zawsze mi to wychodzi.

— A, co ja takiego w tej chwili pomyślałem? Stwierdziłem tylko, że powinniśmy odpocząć.

— Nie my, ale że ja powinnam odpocząć. Ja, Zek Föener. To bardzo miłe z twojej strony. Niepotrzebnie jednak tak się o mnie troszczysz. Sam pewnie też jesteś zmęczony. W każdym razie wolałabym przejść przełęcz jak najprędzej. Widzisz? Słońce jest już prawie przy wschodniej ścianie. Porusza się wolno, ale za jakieś półtorej godziny przełęcz pogrąży się w ciemności. Dzień po Słonecznej Strome potrwa jeszcze ponad dwadzieścia godzin, a wieczór drugie tyle, lecz przejście nie będzie już zbyt bezpiecznym miejscem. — Wzdrygnęła się odruchowo.

— Jesteś naprawdę odważna — powiedział szczerze Jazz. — Piekielnie odważna, jak na kobietę. — W następnej sekundzie zorientował się, że jego komplement nie zabrzmiał zbyt elegancko. Nigdy zresztą nie był w tym dobry.

— Nie, nie jestem — odparła z powagą. — Kiedyś może tak było. Teraz jednak straszny ze mnie tchórz. Przekonasz się o tym wkrótce.

— Przedtem jednak wytłumacz mi jeszcze kilka rzeczy. Mówiłaś coś o Wędrowcach? Że idą za tobą? I czego chcą od ciebie wampiry? O co tu chodzi?

— Wampiry! — szepnęła z przestrachem i badawczo rozejrzała się naokoło. Podniosła rękę i drżącymi palcami dotknęła czoła. Wilk skulił uszy i wydał z siebie niskie, odstraszające warknięcie.

Jazz odbezpieczył swój automat. Trzymał go teraz w pełnym pogotowiu. Upewnił się, czy pełny magazynek spoczywa w komorze.

— Zek? — odezwał się półgłosem.

— Arlek! — wyszeptała. — Oto, co wynika z powstrzymywania mojej telepatii dla twojego dobra! Jazz, ja...

Nie zdążyła dokończyć. Naraz oboje znaleźli się w samym gąszczu...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zamki — wędrowcy — projekt

Karl Wiotski zdołał naprawić motocykl. Jechał teraz na wschód w kierunku wysokich, fantastycznie rzeźbionych kamiennych słupów. W pierwszym odruchu, podobnie jak Jazz, wyruszył na południe, ku przełęczy, ale w połowie drogi słońce całkowicie skryło się za szczytami gór. Wiotski zdecydował, że lepiej poruszać się po otwartym, oświetlonym blaskiem księżyca terenie niż w głębokich ciemnościach. Nie mógł wiedzieć, iż po drugiej stronie gór dzień potrwa jeszcze tyle, ile w jego pojęciu trwają dwie pełne doby.

Czarny łańcuch skał rysował się na całej swej nieskończonej długości jak jednorodny masyw. Po chwili jednak, kiedy jego oczy przyzwyczaiły się do mroku, Wiotski zaczął zauważać zbocza i urwiska, przepaści i skalne półki. Dostrzegł również światła na niektórych wierzchołkach. Zastanawiał się, czy mieszkali tu ludzie i czy przyjęliby go przyjaźnie.

Wtedy ujrzał nietoperza. Ale nie te małe, nocne stworzenia, które można spotkać na Ziemi. Nadleciały trzy, każdy o rozpiętości skrzydeł przekraczającej długość jednego metra. Zaskoczony Rosjanin z trudem uniknął kraksy. Powietrze poruszyło się pod silnymi uderzeniami sześciu wielkich istot. Były tego samego gatunku, co Desmodus — Przybysz Czwarty. Wiotski zastanawiał się, co je do niego przyciągnęło. Prawdopodobnie — głośny szum silnika motoru. Hałaśliwy i obcy na tym cichym pustkowiu.

Nagle jeden ze stworów przeciął strumień światła przedniego reflektora pojazdu i wyraźnie zachwiał się, jakby stracił orientację. Wydał też z siebie przejmujący, piskliwy wrzask. Podobnym dźwiękiem odpowiedziały dwa pozostałe. Wiotski wiedział już, jak pozbyć się tego denerwującego towarzystwa. Prawdopodobnie było ono niegroźne, ale przeszkadzało mu w uważnej jeździe. Teren był nierówny i zdradliwy. Popękana sucha ziemia, poprzecinana głębokimi szczelinami. Wiotski z trudem omijał liczne pułapki. Potrzebował spokoju, żeby móc się skoncentrować na pokonywaniu przeszkód zamiast obserwować poczynania nietoperzy.

Zatrzymał motocykl. Z jednej z licznych toreb wyciągnął zapalniczkę o dużej sile płomienia. Czekał, aż stwory się zbliżą. Ten, którego wcześniej oślepił, trzymał się w pewnym oddaleniu na sporej wysokości. Lecz pozostałe dogoniły go wkrótce i zaczęły krążyć wokół niego. Kiedy były najbliżej, Wiotski skierował na nie wylot zapalniczki i skąpał je w ogniu. Zdezorientowane, zderzyły się. Opadły na ziemię. Jeden z nich zdołał wznieść się w górę i odlecieć. Drugi jednak nie miał szczęścia. Zanim zdążył uciec, Wiotski odbezpieczył swój karabin i puścił w jego stronę celną serię. Kule niemal przecięły ciało nietoperza na dwie części. Jego krew rozprysła się po kamieniach. Dwa oszalałe stwory znikły mu z oczu.

Od tej pory nic go nie niepokoiło. Zdawał sobie sprawę z tego, co kryją cienie poszarpanych skał, ale był zadowolony, że żaden z przyczajonych tam stworów nie ośmiela się go znowu prowokować. Postanowił bowiem, że nie będzie marnować więcej amunicji na zabijanie nietoperzy. Wiedział przecież o innych, znacznie groźniejszych mieszkańcach tego świata.

Nagle spostrzegł tajemnicze kamienne słupy. Najbliższy znajdował się już nie więcej niż pięć mil przed nim. Na jego tle widział wiele innych, które zmniejszały się stopniowo. Ich wierzchołki świeciły przytłumionym blaskiem. Podstawy były poszerzone i umocnione podporami. Słupy wznosiły się wysoko i same stanowiły podporę dla prawdziwych zamków. Tylko takie określenie oddawało charakter dźwiganych przez nie budowli. Światła pochodziły z ich okien. Były migotliwe i nierówne. Niebo nad zamkami zasnuwały smugi dymu.

Nie mógł się nadziwić jak je zbudowano. Przypuszczał, że to dzieło ludzkich rąk. Z tymi ludźmi Rosjanin miał nadzieję się porozumieć. Z podziwem spojrzał na groźne siedlisko. Po chwili opuścił wzrok i zahamował, gdyż na jego drodze wyrósł kamienny wał. Był dość niski — miał nie więcej niż pięć stóp wysokości, ale nie udałoby mu się przejechać niezbyt sprawnym motorem. Wał był bardzo regularny, a kamienie poukładane z rozmysłem, co stanowiło potwierdzenie, że jest to kolejny twór rąk ludzkich.

Wiotski poszukiwał jakiejkolwiek szczeliny w tej nieoczekiwanej przegrodzie. Bezskutecznie. Dojechał do samych podnóży skał, gdzie wał całkowicie tarasował mu drogę. Rosjanin stwierdził, że motocykl nie zdoła się wznieść po ostrych, osuwających się odłamkach. Zniechęcony, zawrócił. Znajdował się w miejscu, z którego dokładniej mógł się przyjrzeć pobliskiemu słupowi, a właściwie kolumnie.

Zafascynowany jej potęgą, oceniał w myśli jej rozmiary. U samej podstawy miała około stu metrów średnicy, rozszerzając się ku górze prawie dwukrotnie. Rosła do wysokości około półtora kilometra, a na jej szczycie spoczywała prawdziwie obronna twierdza. Przytłaczała wprost swoją wielkością. Wiotski uporczywie wpatrywał się w tę fantastyczną budowlę. Wydawało mu się, że zauważył jakieś poruszenie. Przymrużył oczy dla uzyskania ostrzejszego obrazu.

Nagle przypomniał sobie o jednym z najcenniejszych przedmiotów składających się na jego ekwipunek. Pośpiesznie wydobył lornetkę z dna dużej torby. Nie tracił nawet czasu na właściwe ustawienie okularów.

Coś oderwało się od ścian zamczyska. Czarny kształt spływał z nieba powoli i ostrożnie. Koszmarny smok — pół wilk, pół nietoperz.

Wiotskiego tylko na sekundę sparaliżował prawdziwy strach. nie miał teraz czasu na poddawanie się temu uczuciu. Wyłączył silnik i trzymając się ściany wału prowadził motocykl w dół do podnóża masywu. Zatrzymał się przy olbrzymim głazie i schował się wraz z maszyną w jego cieniu. Księżyc znajdował się właśnie w pełni. Kuląc się przed światłem, Wiotski włożył nowy magazynek do automatu. Przygotował też do natychmiastowego użycia podręczny miotacz ognia. „Chryste! Nie opuszczaj w potrzebie..." — pomyślał bogobojnie.

Potwór krążył nad nim, ale wydawało się, że wciąż go nie zauważa. Był na wysokości około tysiąca stóp. Nagle ostro skręcił i skierował się prosto na równinę, na której ukrywał się Rosjanin. Wiotski zrozumiał, iż nie powinien się dłużej oszukiwać. Ten rekonesans nie był ani przypadkowy, ani bezcelowy. Kreatura wiedziała, że człowiek jest tutaj.

Na płaskim, odsłoniętym terenie położył się olbrzymi, czarny cień. Wiotski odważył się przyjrzeć potworowi i ocenić jego wielkość. Do tej chwili wmawiał sobie, że nie jest może tak przerażający, jak jego morderczy brat z Perchorska. Stwór miał pięćdziesiąt stóp długości, rozpiętość skrzydeł była znacznie większa. Przypominał gigantyczną, morską mantę. Podobieństwo to zakłócały jednak monstrualne, wypukłe oczy. Poruszały się z niezwykłą łatwością we wszystkich możliwych kierunkach.

Kreatura najwyraźniej nie zamierzała zrezygnować ze swej ofiary. Obniżyła lot i w końcu wylądowała w chmurze pyłu, jaki podniósł się pod wpływem przyspieszonego ruchu silnych, mięsistych skrzydeł. Na moment jej sylwetka zatarła się w gęstym kurzu. Po chwili Wiotski przekonał się, że stanęła nie dalej niż trzydzieści, czterdzieści metrów od niego. Jej głowa poruszała się i wyciągała tu i tam, ale jakoś bezmyślnie, bez zbytniego zapału.

Na grzbiecie potwora, na specjalnej uprzęży, Rosjanin zauważył siodło zrobione z pięknie wytłaczanej skóry. Gdy powietrze nieznacznie się oczyściło, Karl zobaczył stojącą przy potworze postać, przypominającą człowieka. Tak wyglądał Przybysz Piąty, spalony w Perchorsku na popiół. Owa zjawa patrzyła teraz prosto w stronę kryjówki Wiotskiego.

Potem wampir wolno odwrócił się. Rosjanin zdążył tylko dostrzec błysk czerwonych jak krew oczu. Nie to przyciągnęło jednak wzrok Wiotskiego. Przede wszystkim zainteresowała go potężna bransoleta na prawej ręce obcego. Karl znał jej śmiercionośne działanie. „Tym razem to się nie powtórzy" — obiecał sobie w głębi duszy.

Stał w cieniu cicho jak mysz. Nie oddychał nawet i nie mrugał oczyma. Tymcza-

sem wampir uniósł głowę i spojrzał na zamek. Rozstawił szeroko nogi, oparł dłonie na biodrach i gwizdnął. Gwizd był tak przeraźliwy, że Karlowi zaparło dech w piersiach. Z nieba sfrunęły dwie, równie wielkie jak poprzednie, poczwary i wylądowały. Jeden ze stworów uderzyłby Rosjanina skrzydłem, gdyby ten nie uchylił się na czas. Lufa karabinu stuknęła przy tym o kamieniste podłoże, ostatecznie zdradzając jego zamiary. Wampir znów się zwrócił ku niemu i spokojniejszym gwizdem przywołał kompanów do siebie. Potem sam, dużymi krokami zbliżył się do skałki. Jego purpurowe oczy błyszczały. Twarz wykrzywił mu okrutny, sardoniczny grymas. Nosił się dumnie, z wysoko uniesioną głową i sztywno ściągniętymi do tyłu ramionami.

Wiotski pozwolił mu dojść na odległość około dwudziestu kroków od siebie. Potem wystąpił z ciemności na jasną, otwartą przestrzeń. Wycelował w obcego broń.

— Stój! Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś. Następny krok, to twój koniec — krzyknął drżącym głosem.

Wampir zignorował człowieka i pewnym krokiem szedł w jego stronę.

Wiotski nie chciał go zabić. Zdawał sobie sprawę, że nie wygra ze wszystkimi stworami. Oddał pojedynczy, ostrzegawczy strzał. Kula dotknęła czarnego warkocza włosów opadającego na ramię poczwary. Wampir zatrzymał się i powąchał powietrze.

— Słuchaj, porozmawiajmy! — znów odezwał się Wiotski. Wolną rękę uniósł do góry, a broń spuścił lufą do ziemi. Wykonał pokojowy gest, a jednak cały czas był przygotowany do ataku.

Obcy dotknął swych włosów. Potem ostrożnie powąchał palce, którymi trzymał warkocz. Jego oczy zrobiły się okrągłe i wielkie, a z gardła wydał półzrozumiały charkot.

— Co? Ośmielasz się nam grozić? — Podniósł prawe ramię w geście podobnym do ziemskiego pozdrowienia. Tutaj musiał on znaczyć coś zupełnie przeciwnego, bo przy tym ruchu z bransolety wysunęły się haki, ostrza i szpikulce. Karl widział już kiedyś podobne. Wampir przykucnął, jakby chciał skoczyć na swego przeciwnika. Ten jednak nie czekał na rozwój wypadków. Z odległości kilku kroków nie mógł chybić. Desperacko nacisnął spust. Miał zamiar serią z automatu przeciąć na skos ciało obcego. Karabin wystrzelił trzy lub cztery naboje i zamilkł. Żaden strzał nie doszedł do celu skutecznie. Tylko jedna kula drasnęła ramię obcego. Takie uderzenie powstrzymałoby może zwykłego człowieka, ale nie wampira. Ten, co prawda, przewrócił się, ale raczej zaskoczony bliskością ataku niż z bólu. Potem poderwał się błyskawicznie i znów przyczaił. Wiotski, głośno przeklinając, wyrzucił wadliwy magazynek i zajrzał w komorę nabojową. Niewypał ciągle tam tkwił. Potrząsnął automatem. Bez skutku. Przytroczył bezużyteczną broń do pasa i wyciągnął zza siebie miotacz ognia. Wampir wyraźnie się zirytował i odpowiedział wściekłym warknięciem. Zademonstrował przy tym swemu wrogowi całą gamę ostrych i niebezpiecznych ozdób.

— Jak tak, to tak! — wycharczał Wiotski. Pozwolił obcemu zbliżyć się na odle-

głość trzech, czterech kroków i mocno nacisnął spust miotacza. Mały, niebieski ognik w mgnieniu oka buchnął żółtym, syczącym płomieniem. Objął lewą stronę ciała obcego. Ten, paląc się, zaczął krzyczeć z bólu i przerażenia. Odskoczył i rzucił się na ziemię. Tarzał się po zakurzonym podłożu tak długo, aż zdusił tlący się na jego skórze ogień. Dymiąc podniósł się z trudem na nogi i zataczając się poszedł w stronę dziwnej czarnej góry. Ale Rosjanin nie chciał dopuścić do tego, żeby ocalał. Skoro już zaczął zabijać, postanowił bezwzględnie dokończyć.

Ponownie uniósł miotacz i... — przeraził się. Wampir wydawał górze, zdecydowane rozkazy w swym szorstkim, jakby znajomym języku. A „skała" posłuchała ich. Zadrżała i rozłożyła niewidoczne dotąd gigantyczne skrzydła. Zaczęły uderzać powietrze i tysiące ton skały uniosły się. Wiotski ujrzał pod jej spodem mięsistą szczelinę. Wiła się i falowała jak obrzydliwe, różowe robaki. Robaki te zwisały ku ziemi i „węszyły" na wszystkie strony. Na brzuchu potwora wykształciły się też wielkie oczy, przenikające wzrokiem jak bazyliszek. Momentalnie dostrzegły Rosjanina i góra ruszyła prosto na niego. Agent cofnął się. Latająca bestia zawisła tuż nad nim. Objął go czarny jak smoła, nie kończący się cień. Szczelina na spodzie smoka poruszyła się i rozsunęła jak olbrzymie, łakome usta. Wiotski upadł. Potwór zionął wstrętnym, cuchnącym oddechem. Dotknęły go kleiste, silne macki. Chwyciły go za pas i wciągnęły do przepastnego wnętrza żywej jaskini. Zapadły wokół niego nieprzeniknione ciemności. Ciągle trzymał palec na spuście miotacza, ale nie odważył się go użyć. Gdyby teraz to zrobił, w środku smoka, sam upiekłby się we własnym ogniu. Miał czym oddychać, ale powietrze było tu zgniłe, zatykające śmierdzące. Coraz bardziej wydawało mu się, że to tylko koszmarny sen. Ale w rzeczywistości dopiero miał w niego zapaść, bo zaduch podziałał na niego jak środek oszałamiający. Wiotski nawet nie zdawał sobie sprawy, że traci przytomność...

Jazz miał pięć sekund na podjęcie decyzji. To znaczy tyle potrzebowałby na to czasu, gdyby nie było przy nim Zek Föener. Teraz jednak zdecydował się już po dwóch sekundach. Kiedy liczne cienie zaczęły odrywać się od ciemnej ściany urwiska, nie zamierzał się dłużej ociągać. Głos Zek powstrzymał go w ostatniej chwili.

— Jazz, nie strzelaj!

— Co takiego? — Był zdezorientowany. Cienie należały do zwinnych męskich sylwetek, które szybko ich otoczyły. — Nie strzelać? Znasz tych ludzi?

— Wiem, że nic nam nie zrobią. — Wyglądała jednak na przestraszoną. — Jesteśmy dla nich bardziej cenni żywi niż umarli. Jeśli zaś oddasz jeden strzał, nie zdążysz usłyszeć jego echa! Dobrze wiedzą, jak obchodzić się z włóczniami i przeszyje cię co najmniej tuzin ich strzał i mnie prawdopodobnie również.

Jazz opuścił karabin wolno i niechętnie.

— Robię to tylko dlatego, że ci ufam — westchnął ciężko. Dopiero teraz przyjrzał

się otaczającej ich gromadzie. Jeden z mężczyzn wystąpił naprzód. Mówił jakimś chrapliwym dialektem. Jazz był przekonany, że powinien go zrozumieć. Zek odpowiedziała słowami, które rzeczywiście rozpoznał. Rozpoznał, ale nic poza tym. To był rumuński!

— Ho, Arlek Nunescu! — mówiła Zek. — Zetrzyj góry i pozwól słońcu stopić zamki wampirów! Co to ma znaczyć? Dlaczego nam stajesz na drodze i prześladujesz braci Wędrowców?

Teraz, kiedy Jazz wiedział, jaki to język, mógł skoncentrować się na znaczeniu niektórych słów. Nigdy się go nie uczył, ale pewne podstawy przekazał mu ojciec, miał też kilka lekcji w czasie studiów i wrodzoną zdolność do przyswajania języków obcych.

Wszyscy mężczyźni, którzy wyszli ze swych kryjówek i stali teraz w pobliżu, byli typowymi Cyganami. Wyglądali tak charakterystycznie, że nie można ich było pomylić z innym narodem. Nie różnili się fizycznie od swych braci z ziemskiego świata spoza Bramy. Mieli długie, czarne włosy, natłuszczone i lśniące. Byli szczupli i śniadzi. Nosili luźne ubrania z wdziękiem i swobodą. Brzęczeli kolczykami, sprzączkami i bransoletami. Harmonię ich malowniczości zakłócała jedynie broń, w którą zaopatrzeni byli niektórzy z nich. Simmons dostrzegł kilka łuków i ostro zakończonych włóczni.

— Zetrzyj góry! — Arlek również pozdrowił Zek. — Wiesz, co masz mówić Zekintho, bo kradniesz słowa z umysłów Wędrowców! Ale odkąd pamiętam, zawsze się w ten sposób witamy, a góry wciąż stoją nienaruszone i wampiry niczym nie zagrożone pozostają w swych zamkach. Musimy więc przez całe życie koczować, bo osiedlić się, znaczy skazać się na zagładę. Odczytałem przyszłość, Zekintho. Jeśli zaczniemy ciebie osłaniać, sprowadzisz nieszczęście na Lardisa i jego grupę. Jeśli jednak oddamy ciebie w ręce wampirów...

— Ach, tak! — przerwała pogardliwie. — Jesteś śmiały, bo Lardis Lidescu jest daleko stąd. Szuka na zachodzie bezpiecznego schronienia, gdzie wampiry nie będą was niepokoić. Jak mu się wytłumaczysz, kiedy wróci? Chcesz mnie oddać, żeby zjednać sobie te kreatury, ale w ten sposób tylko umocnisz ich siłę! Chyba nie jesteś tchórzem, Arlek?

Arlek krzyknął z oburzenia. Zrobił krok naprzód i uniósł rękę, jak gdyby chciał uderzyć dziewczynę. Jazz, nie zastanawiając się długo, oparł broń na jego ramieniu, celując mu prosto w ucho.

— Nie rób tego — ostrzegł go agent. — Po tym, co tu usłyszeliśmy, nie sądzę, żebyś był wiele wart i jeśli mnie zabijesz, sam zginiesz razem ze mną. — Miał nadzieję, że jego słowa były zrozumiałe.

Arlek cofnął się i przywołał dwóch swoich ludzi. Podeszli do Jazza. Ten wytrzeszczył w ich kierunku wszystkie zęby.

— Oddaj im broń, Simmons — powiedziała Zek.

— Właśnie zamierzałem — odpowiedział kątem ust.

— Wiesz, co mam na myśli — nie ustępowała. — Proszę, oddaj im cały ekwipunek.

— Czy telepatia pozwala ci też spacerować wśród stada głodnych wilków? — zapytał.

Pierwszy z Cyganów chwycił za lufę karabinu, a drugi ścisnął nadgarstek agenta. Jazz był świadom, że kilkanaście strzał jest wycelowanych prosto w niego, ale nie poddawał się.

— I co teraz? Wszystko zależy od ciebie, Zek.

— Nie możemy wrócić do Gwiezdnej Krainy — odparła szybko. — Wędrowcy strzegą wejścia do Krainy Słońca. Nawet jeśli wyrwiemy się teraz z ich rąk, i tak nas w końcu znajdą. Oddaj im automat. Przynajmniej na razie jesteśmy bezpieczni.

— Mam inne zdanie na ten temat — wymamrotał. — Ale chyba rzeczywiście nie ma innego wyjścia. — Wyjął magazynek i wsunął go do kieszeni. Rozbrojony karabin wręczył najbliższemu Cyganowi.

— To też. — Arlek uśmiechnął się pobłażliwie i wskazał na jego kieszeń. — I całą resztę twoich zapasów.

Kilka minut rozmowy Arleka z Zek wystarczyło, żeby Jazz potrafił teraz odezwać się w używanym przez nich języku.

— Wymagasz zbyt wiele, Nunescu — powiedział. — Jestem tak jak i ty wolnym człowiekiem. Nawet bardziej, bo nie mam nic wspólnego z wampirami i dlatego mogę tu żyć.

— Czy on też potrafi czytać w cudzych myślach? — Arlek żachnął się i zwrócił do Zek.

— Słucham tylko swojego umysłu — uprzedził ją Jazz — i mówię wyłącznie własnymi słowami. Poza tym rozmawiaj ze mną bezpośrednio.

— Dobrze, oddaj nam swoją broń i wszystko, co posiadasz. Nie będziesz mógł użyć ich potem przeciwko nam. Jesteś tu obcy, pochodzisz z tego samego świata co Zekintha. Niby dlaczego mielibyśmy ci ufać? — Arlek spojrzał mu prosto w twarz.

— A dlaczego, ktoś miałby ufać wam? — włączyła się Zek, kiedy zaczęto zabierać Jazzowi jego ekwipunek. — Zdradziliście swego przywódcę, kiedy ten wyruszył w podróż, by was ratować.

Kilku Wędrowców zaszurało niepewnie nogami i wyglądało na zakłopotanych. Arlek jednak nie dał się zbić z tropu.

— Zdrada? — powiedział gwałtownie. — Ty mówisz o zdradzie? Kiedy tylko zniknął za horyzontem, ty pierwsza uciekłaś! Dokąd, Zekintho? Do swojego świata? Sama mówiłaś, że nie ma do niego powrotu. A może sama udałaś się do wampirów, żeby zapanować nad tym światem? Oddałbym im ciebie w zamian za spokój dla Wędrowców — nigdy dla własnej chwały!

— Chwały? — parsknęła Zek. — Chyba niesławy!

— Ty, ty... — Zabrakło mu słów, żeby wyrazić swoją wściekłość.

Tymczasem z Simmonsa zdjęto wszystkie pakunki i całą broń. Nie odarto go jednak z jego dumy. Dziwne, ale w samym kombinezonie czuł się teraz bezpieczniej niż uzbrojony od stóp do głów. Nie bał się, że któryś z Wędrowców, z samego strachu przed nim, dźgnie go włócznią, tracąc panowanie. Nie rozumiał wszystkich słów Arleka, ale nie podobał mu się ton, jakim Cygan zwracał się do Zek.

— Lubisz krzyczeć na kobiety, co? — Wzburzony agent ścisnął mocno ramię Nunescu.

Arlek spojrzał na rękę Jazza na swym rękawie i szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

— Musisz się tu jeszcze wiele nauczyć, wolny człowieku — syknął i zaciśniętą pięścią zamachnął się w stronę Anglika. Jazz łatwo uchylił się przed ciosem i zaatakował. Nikt w świecie Arleka nie słyszał o judo, karate i tym podobnych sposobach walki wręcz. W jednej sekundzie Cygan leżał jak martwy na skalnym zboczu. Simmons nie zdążył jednak posmakować zwycięstwa, kiedy poczuł silne uderzenie w skroń. Inny Cygan uderzył go kolbą jego własnej broni.

Tracąc przytomność, jak przez mgłę słyszał krzyk Zek:

— Nie zabijaj go! I nie rań! To jest, być może, jedyny człowiek, który przeniesie nam spokój ze strony wampirów! — wołała.

Przez moment odbierał jeszcze chłodny dotyk jej szczupłych palców na swej rozpalonej twarzy, a potem zapadła ciemność...

Andriej Roborow i Nikołaj Rublow byli pionkami KGB. Pod bezpośrednie rozkazy majora Czyngiza Khuwa dostali się za karę. Projekt Perchorsk stawał się miejscem zsyłki dla nieposłusznych. Ci dwaj trafili tu za nadgorliwość w wykonywaniu swych obowiązków. Zachodni dziennikarze przyłapali ich na znęcaniu się nad „przestępcami" na moskiewskim rynku. Przestępcami owymi okazało się starsze małżeństwo sprzedające plony zebrane z podmiejskiej działki. Mówiąc krótko, Robow i Rublow byli sadystami.

Khuw polecił im „porozmawiać" z Kazimirem Kiriescu. Miało to być ostatnie przesłuchanie, po którym zamierzano zastosować u więźnia chemiczne środki ułatwiające wydobycie z niego prawdy. Byłoby lepiej, gdyby udało się uniknąć tej ostateczności, bo narkotyki źle działały na serce. Khuw spodziewał się usłyszeć od Kazimira wiele cennych informacji na temat powiązań rumuńskiego podziemia z Zachodem. Im starszy wiek, tym bardziej niebezpieczne było działanie uboczne narkotyków. Khuw nie chciał stracić Kiriescu zbyt szybko. Dawniej, gdy przesłuchiwany zmarł w czasie „badania", przywoływano Borysa Dragosaniego i ten wyciągał wszystkie informacje z wnętrzności nieboszczyka. Ale Dragosani zginął z rąk Harry'ego Keogha.

Major KGB zbliżał się właśnie do celi starca, gdy wyszło z niej dwóch mężczyzn. Obaj mieli obszerne fartuchy z grubej folii. Prawdziwe stroje katów. Kitel Rublowa był popla-

miony krwią. Podobnie wyglądały jego gumowe rękawiczki. Ściągał je z trzęsących się dłoni. Jego śmiertelnie blada twarz zastanowiła Khuwa. Spotkał się już z podobną reakcją u tego typu ludzi, którzy zbyt gorliwie wypełniali powierzone im zadania lub czerpali z nich zbyt wiele przyjemności. Istniała jeszcze trzecia możliwość: paraliżował ich strach przed konsekwencjami zbytniej brutalności.

Mężczyźni zjawili się w gabinecie swojego zwierzchnika. Khuw, widząc ich przerażenie i stan ochronnej odzieży Rublowa, długo milczał.

— Nikołaj! Co wyście... — powiedział w końcu przez zęby.

— Towarzyszu majorze. — Dolna warga drugiego oprawcy zaczęła dygotać. — Ja...

— Otwórzcie drzwi. Posłaliście po pomoc? — przerwał im. Roborow cofnął się o krok i zaprzeczył ruchem głowy.

— Za późno, towarzyszu majorze. — Odwrócił się jednak i otworzył drzwi celi. Khuw wszedł, ale po chwili znów pojawił się na korytarzu. Jego ciemne oczy płonęły wściekłością.

— Głupcy, głupcy! — Złapał ich za szyje i potrząsał jak pustymi workami. — Zrobiliście z tego miejsca rzeźnię!

Andriej Roborow był przeraźliwie chudy. Jego twarz nie mogła być bledsza niż w tej chwili, choć nigdy nie miał w sobie zbyt wiele życia. Kiedy Khuw ujrzał go po raz pierwszy, jego fizjonomia zrobiła na nim duże wrażenie. Za to Nikołaj Rublow charakteryzował się dużą nadwagą i „wrażliwością". Nawet łagodne upomnienie doprowadzało go niemal do łez. Zwykle były to łzy tłumionej pasji i poniżenia. Czasem dawał upust swej złości, a dłonie miał wielkie i twarde jak stal. Nigdy jednak nie zdarzyło się to w obecności wyższego oficera, zwłaszcza tak bezwzględnego jak major Khuw.

— Przynieście wózek i połóżcie ciało w kostnicy. Albo nie! Zabierzcie je do swojej kwatery. Tylko żeby nikt go po drodze nie zobaczył. Nie w tym stanie! Szczególnie chowajcie je przed Wiktorem Łuchowem! Zrozumiano?! — wrzeszczał na nich Czyngiz.

— Tak jest, towarzyszu majorze! — przytaknął Rublow. Wyglądał, jakby go zdjęto z haka.

— Potem przygotujcie zwykłe raporty o przypadkowej śmierci i doręczycie mi je osobiście. Tylko upewnijcie się, że są zgodne w każdym detalu! Na co czekacie — ruszcie się! — krzyknął.

Pośpieszyli w głąb korytarza. Na zakręcie znów dogonił ich głos Khuwa.

— Stać. Nikołaj, na miłość boską, pozbądź się tego fartucha! I niech się żaden nie odważy zbliżyć do dziewczyny, córki Kiriescu. Słyszycie? Osobiście zedrę skórę z tego, który ośmieli się choćby o niej pomyśleć! Teraz zejdźcie mi z oczu! — Zniknęli w jednej sekundzie.

Khuw stał jeszcze przez chwilę przy drzwiach celi. Nagle od strony laboratoriów przybiegł Wasyl Agurski. Najwyraźniej szukał oficera KGB, bo skierował się prosto w je-

go stronę.

— Powiedzieli mi, że cię tu spotkam — wysapał.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — spytał major z ukrywaną niechęcią.

— Rozmawiałem właśnie z Łuchowem. Przywrócił mi moje obowiązki. Idę teraz zobaczyć kreaturę — po raz pierwszy od tygodnia! Nie zechciałbyś mi towarzyszyć?

Khuw nie miał na to najmniejszej ochoty, ale zrobiłby wszystko, żeby odciągnąć stąd Agurskiego przed powrotem Poborowa i Rublowa.

— Będę zaszczycony — powiedział, patrząc przy tym na zegarek.

— Doskonale! Po drodze wyjaśnię ci, dlaczego tak ciebie potrzebuję. Wiedz, że możesz wnieść istotny wkład w poznanie prawdziwej istoty stwora spoza Bramy.

Czyngiz kątem oka zerknął na naukowca. Coś się odmieniło w tym małym człowieczku. Trudno było określić to konkretnie, ale zmiana była widoczna.

— Wnieść wkład? W związku z kreaturą? Nie pomyliłeś się, Wasylu? Czy mogę tak się do ciebie zwracać? Tylko w kwestii bezpieczeństwa tego miejsca mam coś do powiedzenia. Jeśli chodzi o inne dziedziny prac prowadzonych w Projekcie nie mam nad nimi żadnej kontroli. Dysponuję zaledwie kilkoma ludźmi, ale nie polecałbym ci ich usług. Doprawdy, trudno mi wyobrazić sobie, w czym mogę ci pomóc.

— Towarzyszu, przygotowuję bardzo ważny eksperyment. Zaplanowałem go już teoretycznie w najdrobniejszych szczegółach. Niestety brakuje mi do jego prowadzenia czegoś, co wykracza poza zwykłe wyposażenie. — Agurskiego nie zniechęciła mowa obronna majora KGB.

Khuw uważnie mu się przyjrzał. Patrzył z góry. Agurski wyglądał jak karzeł. Ze swą łysiną, otoczoną wianuszkiem siwych włosów, przypominał gnoma. Miał przebiegle, zaczerwienione oczy. Coś oszukańczego było w całej postaci małego naukowca. Czyngiz odsunął te rozważania na później. Nigdy nie interesował się tym człowiekiem, a dzisiaj szczególnie nie miał zamiaru się nim zajmować.

— Wasylu — powiedział. — Projekt ma swojego oficera zaopatrzeniowego. Wszystkim zależy na rozszyfrowaniu tajemnic twojego potwora. Jestem pewien, że dostarczą ci wszystko, co potrzebne do twojej pracy. Masz absolutne pierwszeństwo. Możesz z powodzeniem załatwić wszystko oficjalną drogą...

— No właśnie! — uciął Agurski. — To jest mój problem, towarzyszu majorze. Ta droga wydaje mi się zbyt oficjalna.

— Czy to, czego potrzebujesz, jest nielegalne? Dlaczego, u licha, nie porozmawiasz z samym Łuchowem? On na pewno pójdzie ci na rękę.

— Nie! — Agurski złapał Khuwa za łokieć i przytrzymał znacząco. — Nie pójdzie! To on właśnie, dokładnie mówiąc, jest moim problemem. Nigdy nie zaakceptowałby mojego zamówienia!

Na górnej wardze Agurskiego pojawiły się kropelki potu. Ani razu nie mrugnął ocza-

mi za swymi grubymi okularami. Jego dłonie drżały, kiedy pocierał nimi czoło. Khuw objął wzrokiem te wszystkie szczegóły i odgadł o co chodzi.

— Myślałem, że na dobre skończyłeś z piciem, Wasylu. Czyżby przerwa dla ciebie była zbyt krótka? Cofnięto ci twój specjalny przydział i poszukujesz nowego źródła alkoholu! Powinieneś wiedzieć, że najprędzej zaspokoisz swoje potrzeby w barakach wojskowych w Uchcie. A może tym razem, to szczególnie pilna sprawa, co? — Spojrzał zimno na naukowca.

— Majorze — odpowiedział dotknięty tym oskarżeniem Agurski. — Ostatnią rzeczą, o którą bym teraz prosił jest alkohol! Przypuszczam, że chciałeś zażartować, bo przecież ci powiedziałem, że to ma znaczenie dla mojej pracy. A właściwie... dla samej bestii. Powtarzam: Projekt nie jest w stanie dostarczyć mi tego, czego potrzebuję, a Łuchow nigdy by tego nie poparł. Ty, to co innego. Masz kontakt z tutejszą służbą bezpieczeństwa. Jesteś nawet jej zwierzchnikiem. Masz do czynienia z sadystami i kryminalistami. Innymi słowy, jesteś dla mnie idealnym partnerem.

— Co takiego zamierzasz — Wasylu? I powiedz mi w końcu, czego ci naprawdę potrzeba?

— To się da zrobić. — Agurski nerwowo zamrugał powiekami. — Jeśli chodzi o twoje pierwsze pytanie, to uznasz mnie za szaleńca, gdy ci na nie odpowiem. Zacznę więc od drugiej kwestii...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przymierze z diabłem

Jazz Simmons odzyskał przytomność. Miał związane ręce. Zek zwilżała mu mokrą gazą czoło i wargi. Bardzo się ucieszyła, widząc, że przychodzi do siebie.

Arlek siedział w pobliżu na płaskim kamieniu i obserwował jej poczynania. Wskazał palcem na guz pod swoim uchem i gwałtownie czerniejące, zapuchnięte prawe oko.

— Nigdy nie spotkałem kogoś, kto by walczył tak jak ty — powiedział sztywno. — Nawet nie zauważyłem twojego ciosu!

Jazz oparł się wygodnie o niską skałkę i uniósł nieco kolana.

— I o to chodziło — odparł. — Mogę ci pokazać dużo więcej takich sztuczek. Na przykład jak walczyć z wampirami. Temu ma służyć broń, którą mi zabraliście. Umożliwia życie w waszym świecie, w którym rządzą reguły ustalone przez wampiry. Dlaczego targujecie się z nimi, podlizujecie się im i unikacie ich, zamiast z nimi walczyć?

Arlek roześmiał się na cały głos. Inni Wędrowcy, słysząc to, podeszli zaciekawieni.

— Walczyć z wampirami, a to dopiero! — powiedział Nunescu. — Mamy szczęście, że tak dużo czasu zajmują im wewnętrzne potyczki! Sprzeciwić się im? Nie wiesz chyba, co mówisz. Oni nie walczą ze Słonecznymi — po prostu biorą nas w niewolę. Czy ty w ogóle widziałeś te kreatury podczas walki? Z pewnością nie, bo nie byłoby cię tutaj. Najlepsze, co można zrobić, to trzymać się od nich z daleka i schodzić im z drogi, a nie prowokować.

Odwrócił się na pięcie i zaczął odchodzić.

— Porozmawiaj z kobietą. Najwyższy czas, żebyś dowiedział się czegoś więcej o świecie, w którym przyszło ci żyć. Powinieneś choć częściowo zrozumieć, dlaczego oddaję was w ręce Szaitisa... — dodał na koniec.

Z cienia wyszedł wilk i liznął Jazza po twarzy. Agent krzywo na niego spojrzał.

— Gdzie byłeś przyjacielu, kiedy my tu walczyliśmy?

— Kiedy ty walczyłeś — poprawiła go Zek. — I nie mieszaj w to wilka. Nie zamierzam ryzykować jego życia na próżno. Sama go stąd odesłałam. Do jego przyjaciół, in-

nych wilków. Wędrowcy zajęli się wychowywaniem trzech czy czterech szczeniaków.

— No tak — powiedział Simmons po chwili. — A wydawało się, że jesteś nadzwyczaj bojowa.

— Czasami bywam — odparła. — Kiedy wierzę, że to ma jakiś sens. Ale wyglądałabym co najmniej idiotycznie, próbując pobić tuzin mężczyzn i ich wilki, nie sądzisz? Przede wszystkim miałam na uwadze twoje dobro.

— Masz rację, to ja się wygłupiłem. Nie wspominałaś jednak przypadkiem, że będziemy bezpieczni?

— Była taka szansa — powiedziała Zek. — Tylko, że kiedy leżałeś, przybył posłaniec od Lardisa. On jest już w drodze powrotnej z zachodu. Arlek jest przekonany, że Lardis nigdy nie przehandlowałby mnie z wampirami i dlatego sam chce to zrobić jak najprędzej. Będzie musiał za to zapłacić po powrocie Lardisa, ale ma za sobą grupę ludzi i nie boi się tego zbytnio. Lardis będzie zmuszony zgodzić się z jego decyzją albo skłócić szczep. W każdym razie my nie będziemy już tego widzieć.

— Możesz mnie dotknąć za uchem? Och! Co za ulga! — odezwał się Jazz.

— Jesteś potłuczony — odrzekła. — Boże, już myślałam, że nie żyjesz! — Przyłożyła mu w zranionym miejscu chłodny, mokry kompres. Agent spojrzał na słońce za jej plecami. Stało teraz trochę niżej na niebie i zbliżyło się nieco do wschodniej części grzbietu gór.

Strumień światła silnie rozjaśnił rysy jej twarzy. Jazz dostrzegł, że Zek jest wycieńczona, ale nawet warstwa brudu nie przysłoniła jej urody. Musiała niedawno skończyć trzydziestkę. Wysoka, szczupła blondynka z niebieskimi oczami. Jej włosy pod słońce mieniły się złotem. Przesypywały się za każdym ruchem na jej delikatnych ramionach. Kombinezon idealnie opinał jej ciało. Podkreślał kruchość budowy. Jazz przypuszczał, że w tej sytuacji każda kobieta byłaby dla niego pięknością, ale coś mu mówiło, że Zek jest naprawdę urocza. Pomyślał, że nie powinna znaleźć się w tym upiornym miejscu. To w ogóle nie było miejsce dla kobiet.

— Co dokładnie się wydarzyło? — zapytał po chwili.

— Arlek odszukał mnie przy pomocy talentu starego Josefa Karisa — wyjaśniła Zek. — To nie było zbyt trudne. Tak naprawdę mogłam zmierzać tylko w jednym kierunku: przez przełęcz w stronę kuli, żeby sprawdzić, czy nie znajdę w niej drogi powrotnej do mojego świata. Josef jest, tak jak ja, telepatą.

— Powiedziałaś wcześniej, że zwierzęta mają w pewnym stopniu nadzwyczajne możliwości — przypomniał jej Jazz — ale nie wspomniałaś o ludziach. Odniosłem wrażenie, że tylko wampiry posiadają szczególne zdolności.

— W zasadzie to prawda — odparła. — Dawno temu ojciec Josefa był przez jakiś czas więźniem wampirów. Zdołał jednak uciec i powrócił przez góry. Przysięgał, że nie został w żaden sposób zmieniony. Zbiegł, zanim Lord Belath zdołał uczynić z niego

niewolnika. Jego żona oczywiście go przyjęła i mieli razem syna, Josefa. Potem jednak wyszło na jaw, że kłamał. Był już odmieńcem, tylko że objawy tego ujawniły się długo po jego powrocie. Proces stał się nieodwracalny. Ojciec Josefa przestał nad sobą panować i w rzeczywistości stał się... pozbawionym ludzkich uczuć manekinem! Wędrowcy wiedzieli, co trzeba z nim zrobić. Wyprowadzili go poza obozowisko, pocięli na kawałki i spalili na popiół. Musieli później bacznie obserwować dziecko i jego matkę, ale oni byli w porządku. Telepatia jest jedyną cechą odmieńca, odziedziczoną przez Josefa po ojcu.

— Stop! — przerwał jej Jazz. — Skoncentrujmy się na rzeczach istotnych. Co jeszcze możesz mi powiedzieć o samej planecie? O jej geografii. Wyrysuj ją sobie w pamięci. Potem dopiero porozmawiamy o jej mieszkańcach.

— Dobrze — przytaknęła. — Najpierw jednak słowo o naszej sytuacji. Stary Josef poszedł z dwoma czy trzema ludźmi przez przełęcz, żeby poszukać tam strażnika wampirów. Kiedy go odnajdzie, prześle przez niego telepatycznie wiadomość do Lorda Szaitisa, Szaitis musi obiecać, że w zamian za nas nie będzie prześladował szczepu Lardisa. Przypuszczalnie się zgodzi i zostaniemy mu jakoś przekazani.

— Po tym, co Arlek mówił dziwię się, że w ogóle potrzebne są jakieś targi. Dlaczego tamci po prostu nas sobie nie wezmą? — zainteresował się Jazz.

— Musieliby nas najpierw znaleźć — odparła Zek. — W dodatku są dla nas groźni tylko nocą, kiedy słońce jest schowane za horyzontem. Żyje osiemnastu Lordów i jedna Lady. Każde z nich włada swoim terytorium. Bezustannie przeciwko sobie spiskują i przy najmniejszej okazji walczą na śmierć i życie. Taką mają naturę. Dla każdego z nich jesteśmy kartami atutowymi. Tylko nie dla Lady Karen. Wiem o tym, bo byłam w jej rękach i pozwoliła mi odejść.

— Dlaczego jesteśmy dla nich tacy ważni?

— Ponieważ jesteśmy magami. Dysponujemy bronią, siłą i umiejętnościami, których nie rozumieją.

— Co takiego? Jakimi magami? — Jazz szczerze się zdumiał.

— Ja jestem telepatką — wzruszyła ramionami. — To nadzwyczajna rzecz u zwykłych ludzi, zwłaszcza u kobiet. Poza tym pochodzimy z innego świata — tajemniczego, piekielnego lądu. A kiedy tu przybyłam, zaskoczyłam ich naszą bronią. Z tobą było to samo.

— Ale ja nie jestem utalentowany. Jaki mogą mieć ze mnie pożytek?

— Niewielki, niestety. To znaczy, że będziesz musiał udawać.

— Jak to sobie wyobrażasz? — wytrzeszczył oczy.

— Jeśli rzeczywiście pójdziemy do Szaitisa, powiesz mu, że... czytasz w przyszłości! Albo coś w tym rodzaju. Coś, co trudno zdemaskować.

— Świetnie! — powiedział Simmons sarkastycznie. — Widziałem, jak Arlek sobie

z tym poradził. On też niby czyta w przyszłości!

Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się ponuro.

— Arlek to szarlatan. Zwykły wróżbita — oszust, jak wielu Cyganów na Ziemi, nie pamiętasz? To zresztą główna przyczyna jego niechęci do mnie. Wie, że mój talent jest prawdziwy.

— W porządku — powiedział Jazz. — Co z tutejszą topografią?

— Jest tak prosta, że aż trudno w to uwierzyć. O ile się orientuję, ich ziemia jest zbliżona wielkością do naszej planety. To pasmo gór biegnie na południe. Dokładnie wyznacza wschód i zachód, rzecz jasna, według naszych, ziemskich kompasów. Wampiry nie znoszą słońca. Jest dla nich zabójcze. W Słonecznej Krainie żyją również Wędrowcy, istoty prawdziwie ludzkie, jak widzisz. Nie oddalają się od gór, bo one dają im wodę i zwierzynę, a także schronienie w lasach i grotach. Kryją się tam nocą. W dziennej porze zamieszkują prymitywne szałasy. W odległości większej niż dziesięć mil od pasma nie uświadczysz Wędrowca. Dalej jest już tylko pustynia. Na niej żyją z kolei rozproszone grupy aborygenów. Czasami, kiedy słonce stoi wysoko na niebie, przybywają tu i handlują z Wędrowcami. Spotkałam ich kiedyś. Są ludźmi, o kilka stopni rozwoju poniżej australijskich Buszmenów. Nie mam pojęcia, jak sobie radzą na takim pustkowiu. Ale nawet oni nie żyją dalej niż sto mil od gór. Tam nie ma już nic poza popękaną skorupą.

— Co ze wschodem i zachodem? — zapytał agent.

— Te góry biegną na przestrzeni około dwu i pół tysiąca mil. Przełęcz znajduje się w odległości mniej więcej sześciuset mil od ich zachodniego końca. Po obu stronach rozciągają się bagna. Nikt nie wie, jak wielką powierzchnię zajmują.

— Dlaczego, u licha, Wędrowcy nie zamieszkują w pobliżu moczarów? — spytał zdezorientowany Simmons. — Tam, gdzie nie ma gór, nie ma też cienia. To by znaczyło, że nie może tam być również wampirów.

— To prawda! — przytaknęła Zek. — Wampiry żyją tylko w swych zamkach w Gwiezdnej Krainie. Ale bagna są miejscem wychowu wampirów! Są źródłem wampiryzmu.

— Nie bardzo pojmuję — Jazz pokręcił głową. — Jak wytłumaczyć powstawanie wampirów?

— Wcześniej nie słuchałeś mnie w takim razie uważnie. Arlek miał rację, musisz się jeszcze wiele nauczyć. Na wszystko przyjdzie czas. Wampiry przychodzą na świat, jeśli wampirze jajo zagnieździ się w ciele człowieka. Tylko prawdziwe wampiry żyją na moczarach i tam się rozmnażają. Atakują głównie zwierzęta. Myślę, że gdyby żyli tam ludzie, oni byliby ich ofiarami. Tak było kiedyś, a teraz wampiry niepokoją i przekształcają innych. Choć też są ludźmi, odmienionymi przez ukryte w nich wampirze jaja. Zrozumiałeś? — Wzdrygnęła się pod wpływem własnych słów.

— Ufff! Wróćmy do topografii. — Simmons głęboko odetchnął.

— Nie ma wiele do dodania — odrzekła. — Na północ od zamków wampirów leży lodowiec. Zamieszkują go dwa lub trzy gatunki zwierząt polarnych. Nikt ich nawet nie widział. Znaleziono ponoć ich ślady. Aha! Na zboczach gór w Gwiezdnej Krainie, między zanikami a szczytami, żyją troglodyci — podludzie na usługach wampirów. Sami nazywają się Szganami lub trogami i czczą swych panów jak bogów. — Przerwała dla zaczerpnięcia oddechu. — To wszystko na ten temat To znaczy, została tylko jedna sprawa, tak mi się przynajmniej wydaje, o której ci dotąd nie mówiłam. Po prostu nie bardzo wiem jak, bo nie jestem jej pewna. Jedno jest jasne, powierzam ci wielką tajemnicę.

— Tajemnica? Wszystko, co tu usłyszałem, brzmi bardzo tajemniczo! Mów, bo potem będę miał do ciebie jeszcze kilka pytań.

— No cóż — zmarszczyła brwi — jest coś, o czym mówi się: Arbiteri Ingertos Westweich, co znaczy...

— On w jego zachodnim Ogrodzie? — wtrącił Jazz.

— Arlek mylił się, co do ciebie. Zresztą ja również. Szybko się uczysz. Dosłownie: Rezydent Ogrodu na Zachodzie.

— Niewielka różnica — stwierdził. — To brzmi bardzo majestatycznie.

— I może takie jest. Wampiry boją się tego wprost panicznie. Pamiętasz, co ci mówiłam o ich wewnętrznych niesnaskach? W tym jednym przypadku są całkowicie zgodni. Zrobiliby wszystko i dużo oddali za to, żeby pozbyć się Rezydenta. Krąży legenda, że jest to wielki czarodziej, żyjący w swym domu w zielonej dolinie, gdzieś między szczytami zachodniej części masywu. Legenda powstała nie dawniej niż dwanaście ziemskich lat temu. Wtedy zaczęły pojawiać się pierwsze o nim wieści. Stworzył ponoć swe własne terytorium, którego strzeże niezwykle zazdrośnie. Bezlitośnie obchodzi się z każdym intruzem nieświadomie czy też celowo przekraczającym niepisane granice jego królestwa.

— Nawet z wampirami?

— Zwłaszcza z nimi, jak się wydaje. O jego okrucieństwie opowiada się straszne rzeczy. Aż trudno w nie uwierzyć. A biorąc pod uwagę hardość wampirów, trzeba przyjąć, że mogą zawierać ziarno prawdy!

Kiedy Zek skończyła mówić, na północy przełęczy powstało jakieś poruszenie. Nunescu i jego ludzie zerwali się na nogi. Przywołali wilki i chwycili za broń. Niektórzy trzymali w rękach głównie posmarowane na końcu czarnym, lepkim smarem. Inni mieli w dłoniach kamienne zapalniczki.

— To może być Josef — powiedział chrapliwie Arlek — albo ktoś inny. Słońce prawie zaszło.

— Czy można polegać na tych zapalniczkach? Mam zapałki w górnej kieszeni. Przy

papierosach. Zostawili je, bo były zbyt miękkie. — Jazz mówił do Zek po rosyjsku i Arlek nie zrozumiał jego słów. Cygan zwrócił się teraz pytająco w stronę kobiety.

Wyszczerzyła do niego zęby i powiedziała coś, czego tym razem Jazz nie uchwycił. Potem odpięła kieszeń kombinezonu agenta i wyjęła zapałki. Pokazała je Arlekowi. Wyciągnęła jedną z pudełka i potarła o draskę. Momentalnie pokazał się w jej dłoni mały ogieniek. Arlek, przestraszony, wytrącił jej drewienko z ręki. Na jego twarzy, obok przerażenia, malował się wyraz niedowierzania.

Zek szybko coś do niego powiedziała. Simmons wyłowił z jej wypowiedzi słowo „tchórz" i pomyślał, że niebezpiecznie szafuje tym słowem w stosunku do Cygana.

— To do pochodni, ty głupku! — wyjaśniła wolno i wyraźnie, jakby miała do czynienia z tępym dzieckiem.

Arlek zamrugał nerwowo oczami, ale ostatecznie zrozumiał jej intencje.

Po drugiej chwili oczekiwania nadszedł Josef. Stary człowiek był zadowolony, że widzi jeszcze słońce. Skierował się prosto do Nunescu.

— Znalazłem obserwatora, Troga. Lord Szaitis dał mu siłę porozumiewania się na wielkie odległości. Strażnik dostrzegł mężczyznę, tego tu, Jazza i powiadomił o tym Szaitisa. Lord przybyłby osobiście natychmiast, ale słońce...

— Wiem, wiem. Mów dalej — szepnął zniecierpliwiony Arlek. Josef wzruszył swymi wątłymi ramionami. — Nie rozmawiałem z Trogiem twarzą w twarz, rozumiesz chyba. Stałem w słońcu i porozumiewaliśmy się przy pomocy naszych myśli, czyli sposobem wampirów.

— To oczywiste, nie o to mi chodzi! — Cygan prawie krzyknął.

— Przekazałem twoją wiadomość Trogowi, a ten przesłał ją do Lorda Szaitisa. Wkrótce nadeszła od niego odpowiedź, której nie pojmuję. Trog powiedział mi: „Zawiadom Arleka ze szczepu Wędrowców, że mój pan, Lord Szaitis porozmawia z nim osobiście". Co to może znaczyć?

— Stary głupiec! — wymamrotał Nunescu.

Odwrócił się od Josefa i w tej samej chwili coś zatrzeszczało. To było radio Zek, którego antena wystawała z jej kieszeni. Wyciągnęła je teraz i okazało się, że czerwone światełko migoce żywo na czarnym tle aparatu. Arlek zaniemówił, a jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki.

— Znowu wasza magia? — wskazał drżącym palcem na wydający odgłosy przedmiot. — Powinniśmy byli dawno temu wszystko zniszczyć, a nie pozwolić żeby Lardis oddał ci to.

— Dostałam to z powrotem, bo to nie jest śmiercionośne urządzenie i nie mogę wam przy jego pomocy zagrozić, a dla was jest bezużyteczne, poza tym, to wszystko było moje. W przeciwieństwie do ciebie, Lardis nie jest złodziejem! W dodatku już sto razy wam mówiłam, że to służy do komunikowania się na duże odległości. Nie działa-

ło dotąd, bo nie było nikogo, z kim mogłabym się skontaktować w ten sposób. Ale teraz jest ktoś taki i chce ze mną rozmawiać! — Ściszyła głos i zwróciła się do Jazza. — Chyba wiem, co to znaczy.

— Karty atutowe, mówiłaś? — szepnął agent.

— Hm. Zdaje się, że Lord Szaitis ma już jedną. Nie jest to as, ale nie można jej zlekceważyć. Ma Karla Wiotskiego. — Włączyła mikrofon. — Tu Zek Föener! Tu Zek Föener! Odebrałam twój sygnał, odbiór!

Radio znów zaświeciło i rozległ się znajomy głos. O dziwo, jego ton różnił się od tego, do jakiego przywykli. Był drżący, pośpieszny i jakby błagalny.

— Odrzuć tę zbędną procedurę, Zek. — Nadawał Karl Wiotski. — Czy jest przy tobie Arlek z rodu Wędrowców? — Było jasne, że nie orientuje się w ich położeniu. Pewnie bezwolnie powtarzał czyjeś słowa.

— A kto chce wiedzieć, towarzyszu? — zapytał Jazz, zbliżając twarz do radia.

— Słuchaj, Brytyjczyku. Jesteśmy wrogami, wiem o tym, ale jak teraz wpuścisz mnie w kanał, już po mnie. — Głos Wiotskiego był przymilny. — Moje radio ma humory. Raz odbiera, a raz nie. Nie mogę na nim polegać. Nie trać więc czasu na swoje gierki. Nie po to chyba darowałeś mi życie, żeby teraz je odebrać z zimną krwią. Jeśli Arlek jest z tobą, daj go, proszę. Szaitis, wampir, chce z nim mówić.

Arlek dwukrotnie dosłyszał swoje imię i kiedy teraz doszło do jego uszu również imię Szaitisa domyślił się, o czym mowa. Wyciągnął rękę po radio.

— Daj mi to! — rzekł stanowczo.

Gdyby to Jazz trzymał aparat, rzuciłby je na ziemię i rozdeptał. Zek nie była dość szybka, Arlek wyrwał jej radio z rąk.

— Tu jest Arlek — powiedział niezgrabnie Cygan.

Radio zachrobotało i wydało z siebie obcy męski głos.

— Arleku z rodu Wędrowców. Tu Szaitis, Lord. Jak to się stało, że to ty, a nie Lardis, masz teraz siłę? Czy zastąpiłeś go w roli przywódcy?

To był najbardziej ponury, przygnębiający głos, jaki Jazz kiedykolwiek słyszał. Wampir wypowiadał każde słowo w sposób perfekcyjny, mocny.

— Lardis wyruszył w drogę — Arlek bezzwłocznie odpowiedział. — Wróci albo i nie. Nawet jeśli tak, to ciągle będzie przy mnie grupa niezadowolonych z jego przywództwa. Przyszłość jest niewiadoma. Wszystko może się zmienić.

Szaitis przeszedł od razu do rzeczy.

— Mój obserwator doniósł mi, że macie kobietę, która kradła myśli dla Lady Karen. Kobietę tę zwą Zekintha. Macie też mężczyznę, który ma przy sobie wiele broni. Przybył z piekielnego lądu i jest ponoć magiem.

— Twój obserwator powiedział ci prawdę — odrzekł rozluźniony już Arlek.

— Czy to prawda, że chcesz zawrzeć ze mną zgodę, mając kobietę i mężczyznę do

swojej dyspozycji?

— To również jest prawdą. Daj mi słowo, że w przyszłości nie będziesz prześladował szczepu Lardisa, a ja w zamian oddam ci przybyszy z piekielnego lądu.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Szaitis rozważał propozycję.

— Razem z ich bronią? — zapytał w końcu.

— Tak, ze wszystkim, z czym przybyli — odpowiedział Arlek. — Za wyjątkiem toporka należącego do mężczyzny — dodał pośpiesznie. — Ten zatrzymam dla siebie. Cała reszta przyniesie ci wiele korzyści. Straszna broń pomoże ci w walkach, różne urządzenia, takie jak to do komunikowania się, powiększą twój autorytet. A istnieją jeszcze ich talenty, których użyjesz, jeśli będziesz chciał.

Wydawało się, że Szaitis się waha.

— Hmm! Wiesz, że panuje wielu Lordów. Mogę mówić wyłącznie we własnym imieniu.

— Ale jesteś najpotężniejszym z wampirów! — Arlek nabrał pewności siebie. — Nie proszę o ciągłą ochronę. Jesteśmy niewielką i mało ważną grupą. Wystarczy jedynie, żebyś, gdy nadarzy się okazja, przeszkadzał innym w gnębieniu nas. Albo przynajmniej im to utrudniał...

Głos Szaitisa brzmiał jeszcze bardziej przerażająco.

— Robię to. Mam wokół siebie samych wrogów.

— Spróbuj może być bardziej przekonywający — naciskał Arlek. — Powtarzam, że jesteśmy małym szczepem i ja też mówię w jego imieniu.

Zek szarpnęła się, pragnąc chwycić radio, ale Arlek odwrócił się do niej plecami. Dwóch Cyganów mocno przytrzymało ją za ramiona.

— Zdrajcy, tchórze!... — Brakowało jej obelżywych słów.

— Dobrze! — oznajmił Szaitis. — W jaki sposób przekażesz mi tych dwoje?

— Związę ich — odpowiedział Arlek — i pozostawię tu, gdzie jesteśmy. To znaczy wysoko na przełęczy po stronie słonecznej. Ich broń będzie leżała w pobliżu.

Arlek wyprostował się, jego nozdrza zadrżały. Mimo półmroku, widoczny był radosny błysk jego oczu. Wszystko szło zgodnie z ułożonym przez niego planem. Lardis Lidescu będzie musiał uznać skuteczność jego przedsięwzięcia.

— Zrób więc to zaraz, Arleku z rodu Wędrowców. Zwiąż ich, pozostaw i odejdź! Szaitis wkrótce tam przybędzie! Wolałbym tam ciebie już nie spotkać. Przełęcz należy do mnie... po zmroku.

Leżeli w ciemnościach, słysząc jedynie własne oddechy. Arlek i jego drużyna wyruszyli na południe. Okazało się, że wilk poszedł z nimi. Po chwili umilkło nawet echo ich kroków.

— Nie wydaje mi się, żeby ta twoja bestia była dobrym psem obronnym — odezwał

się Jazz.

— Cicho bądź — odparła. Nie usłyszał od niej nic więcej, ani słowa w obronie wilka. Nie ruszała się. Jazz obrócił głowę i spojrzał w górę, na północ. Zobaczył tam tylko błyski świecących po drugiej stronie gwiazd.

— Dlaczego mam być cicho? — wyszeptał wreszcie.

— Próbowałam dotrzeć do wilka. Chciał ich zaatakować i na pewno zabiliby go za to. Powstrzymałam go. Jest moim prawdziwym przyjacielem, ale to nie była pora na okazywanie jego lojalności. Teraz nadszedł na to czas!

— Czas na co?

— Widziałeś jego zęby? Są ostre jak skalpele! Przywołałam go do nas. Jeśli mnie usłyszał, wróci tutaj niedługo. Jesteśmy związani rzemieniami, ale to tylko kwestia czasu...

Jazz przetoczył się, żeby spojrzeć w jej twarz.

— Powinniśmy zdążyć. Zamki wampirów znajdują się o wiele mil stąd.

— Mylisz się. Jazz. — Potrząsnęła głową. — Nawet w tej chwili jest już prawie za późno. — Ledwie to powiedziała, kiedy nadbiegł wilk z wywieszonym językiem.

— Za późno? — powtórzył za nią agent. — Masz na myśli to, że jest już ciemno?

— Nie, niezupełnie. Zresztą to tylko złudzenie. O milę od tego miejsca przełęcz wznosi się nad skalnym występem. Potem opada gwałtownie i skręca odrobinę na wschód. Stamtąd prowadzi strome, twarde zbocze już prosto do Słonecznej Krainy. Tylko tutaj wydaje się, że słońce całkowicie zaszło. Tam pozostało jeszcze wiele godzin dnia. Nie chodzi o to. Po prostu Szaitis może tu przybyć w każdym momencie...

— Ma jakiś transport? — Simmons był zdumiony.

— Tak, właśnie — odrzekła Zek. — Jazz, nie mogę się obrócić twarzą do dołu. Zakleszczyłam się między kamieniami. Powiem wilkowi, żeby przegryzł twoje rzemienie.

— Myślę, że czasami przeceniasz jego inteligencję. — Jazz wyraził swój sceptycyzm.

— Jedna myśl jest równa tysiącom słów — powiedziała.

— Ach, tak! — Jazz uśmiechnął się, kiedy...

— Zanim to zrobisz — dobiegł go drżący głos Zek — czy możesz mnie pocałować?

— Słucham? — znieruchomiał.

— Tylko pod warunkiem, że sam tego chcesz, oczywiście. Bo... możliwe, że nie trafi ci się podobna okazja.

Wyciągnął się i pocałował ją najczulej, jak potrafił. Przerwali dopiero wtedy, kiedy oboje stracili oddech.

— Znów czytałaś w moich myślach?

— Nie.

— To dobrze! Nareszcie wiem, jak smakujesz. Im wcześniej wilk weźmie się do roboty, tym lepiej. — Przewrócił się z trudem na brzuch. Nogi związano mu w kolanach i kostkach. Nadgarstki miał spętane na plecach i połączone rzemieniem z więzami przy

stopach. Zwierzę zaczęło szarpać supły zębami.

— Nie tak! — krzyknął Jazz. — Nie ciągnij, żuj!

Wilk jakby zrozumiał jego słowa.

Simmons dostrzegł teraz pakunki z ich wyposażeniem. Leżały zaledwie kilka kroków od nich. Broń połyskiwała metalicznie.

— Arlek zabrał żywność — stwierdził głośno.

— Co takiego?

— Suchy prowiant. Wszystko, co miałem do jedzenia.

— Po prostu wiedział, że Szaitis nie będzie miał z niego żadnego pożytku! — odpowiedziała cicho.

Agent wykręcił głowę w jej stronę.

— Tak? Ale on chyba też musi jeść... — urwał, natknąwszy się na jej nieruchome, intensywne spojrzenie. — Lord Szaitis z rodu wampirów — dokończył po chwili. — Oczywiście! On też jest wampirem, zgadza się?

— Jazz — odparła — może powinnam powiedzieć ci, co się może z nami stać, kiedy zostaniemy złapani.

— Sądzę, że rzeczywiście powinnaś.

Coś małego, czarnego, żywego zaczęło zbliżać się do nich w szybkich podskokach. Potem drugie, trzecie i następne, aż w powietrzu zaroiło się od drobnych stworzonek. Jazz zesztywniał, wstrzymał oddech, ale Zek uspokoiła go.

— Nietoperze. Zwykłe nietoperze. Żadni krewni wampirów. One korzystają z usług gatunku Desmodus, autentycznych krwiopijców.

Simmons poruszył nadgarstkami. Rzemienie jeszcze trzymały. Wilk żuł twardą skórę bez wytchnienia.

— Zamierzałaś opowiedzieć mi o transporcie Szaitisa — przypomniał agent.

— Nie, już nie mogę. — Ton jej głosu powstrzymał go od zadawania pytań. Zresztą nie potrzebował żadnych odpowiedzi. Kiedy nareszcie miał wolne ręce, wyprostował zesztywniałe nogi, obrócił się na plecy i spojrzał w górę. Wielkie, czarne cienie przesłaniały gwiazdy powyżej najwyższego punktu przełęczy.

— Co, u diabła — wyszeptał.

— Już tu są! — wykrztusiła Zek. — Szybciej, Jazz! Pośpiesz się, na miłość boską!

Wilk skakał wokół nich jak szalony, podczas gdy Jazz mocował się z pętami na swoich nogach. Uwolnił się. Bezceremonialnie obrócił Zek twarzą do ziemi i zajął się jej więzami. Nerwowo spoglądał na pomoc.

Potężne kształty opadały jak jesienne liście, szybując lekko. Trzy z nich — olbrzymie, o drapieżnych konturach, zaopatrzone w monstrualne głowy i ogony, spływały w doskonałej ciszy.

Dłonie Zek były już prawie wolne. Jazz skoncentrował się na jej skrępowanych wciąż

nogach. Chciał jak najszybciej przerzucić ją sobie przez ramię i pobiec, ale oddalił zaraz tę pochopną myśl, uświadomiwszy sobie stan swoich stóp — były obolałe i poobcierane. A panowała już niemal kompletna ciemność. Przewróciłby się przy lada potknięciu.

Rozległy się trzy tępe uderzenia. Latające potwory wylądowały na kamiennym podłożu. Palce Jazza pracowicie rozplątywały ostatnie więzy. Zek, śmiertelnie blada, nie ukrywała przerażenia.

— Wszystko będzie dobrze. — Jazz nie przestawał uspokajająco szeptać. — Jeszcze tylko jeden. — W końcu puścił ten naprawdę ostatni. Zek stanęła na trzęsących się nogach. Wilk, wyczuwając jej strach, podkulił pod siebie ogon. Szczeknął krótko, niepewnie i zaczął się wycofywać na południe. Gigantyczne postaci stały nie więcej niż sto metrów od nich. Potworne głowy chwiały się na nieproporcjonalnie długich szyjach.

Zek szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w przybyszów. Od stóp do głowy przeszedł przez jej ciało nieopanowany dreszcz. Drżała jak mokry pies, otrząsający się po wyjściu z wody. Jazz podążył wzrokiem za jej spojrzeniem.

Dziesięć kroków od nich stało trzech mężczyzn. Widoczny był tylko zarys ich sylwetek, ale biła od nich wyraźnie aura potęgi. Byli bliscy doskonałości. Przewagę dawała im zdolność widzenia w nocy, nieporównywalna z ludzkimi mięśniami siła i straszliwa broń. A jeszcze nadzwyczajne zdolności ich mózgów, z czego Zek zdawała sobie sprawę o wiele bardziej niż Jazz — przynajmniej na razie.

— Unikaj ich wzroku — syknęła ostrzegawczo.

Jazz bezbłędnie rozpoznał ich postaci. Odtworzył w pamięci obraz Przybysza Piątego, walczącego z płomieniami na pomoście w kulistej grocie Projektu Perchorsk. Obraz ten w każdym szczególe nakładał się na stojące przed nim sylwetki. Tym razem panowały nad sytuacją.

Środkowy mężczyzna musiał być Szaitisem. Przewyższał prawie o głowę dwóch pozostałych. Na ramiona opadały mu długie włosy. Jazz dostrzegł w jego profilu wydłużoną czaszkę i szczękę oraz karykaturalnie zakrzywiony do góry nos. Jego uszy były wielkie i ruchliwe. Oblicze przypominało kombinację głów: wilka, nietoperza i człowieka.

Stojąca przy nim dwójka była prawie naga. Ich ciała jaśniały bladością w mdłym świetle księżyca. Umięśnione i lśniące, jakby ich skórę namaszczono olejkami. Nosili tylko przepaski na biodrach i... ciężkie bransolety na prawych rękach. Jazz znał z doświadczenia skuteczność tej, niepozornej na pierwszy rzut oka, broni. Ostre kolce i szpikulce były teraz pochowane w grubym, metalowym kręgu. Wampiry stały wyprostowane i bardzo pewne siebie. Patrzyły na Zek i Jazza jak na pełzające u ich stóp robaki.

— Nie związani! — powiedział Szaitis swym niskim, dudniącym głosem. — Albo Arlek jest takim głupcem, albo wy jesteście nadzwyczaj zręczni. Widzę jednak poprzerywane rzemienie. Jest to więc wasze osiągnięcie. To wasza magia. Od tej chwili — moja

magia!

Jazz i Zek cofnęli się potykając. Przybyła trójka podążyła za nimi bez pośpiechu, ale powoli zmniejszając dzielący ich dystans. Gwardia Szaitisa kroczyła długimi, mocnymi krokami, podczas gdy sam Lord wydawał się płynąć między nimi, jak gdyby niosła go siła woli, bez dotykania nogami twardej ziemi.

Trzeba było niezwykłego opanowania, żeby nie patrzeć w jego wielkie, żarzące się oczy. Jazz z trudnością opierał się temu wzrokowi. „To tak, jakby mówić ćmie, żeby nie leciała do płomienia!" — pomyślał. Zek silnie trąciła go łokciem.

— Nie wpatruj się w jego oczy! — upomniała go przytomnie. — Biegnij, jeśli możesz.

Nie wiadomo skąd pojawił się wilk. Warczał z wściekłości i strachu. Przyskoczył do jednego z przybocznych Szaitisa z wyszczerzonymi kłami. Mężczyzna błyskawicznie obrócił się i odtrącił go lewą ręką jak niesforną bestię. Potem wyciągnął przed siebie uzbrojoną dłoń i prowokował przyczajonego zwierza.

— Chodź, chodź, piesku! Gustan z przyjemnością cię pogłaszcze po twoim kudłatym szarym łbie!

— Odejdź, wilku! — krzyknęła Zek.

— Stójcie spokojnie! — rozkazał Szaitis, wskazując na nich palcem. — Nie zamierzam uganiać się za czymś, co do mnie należy! Zatrzymajcie się albo zostaniecie ukarani. Surowo ukarani!

Jazz poczuł pod piętą chłód metalu. Przyklęknął na jedno kolano i ujął karabin.

Zbliżająca się trójka zawahała się widząc, że jest uzbrojony.

— Co takiego? — Głos Szaitisa aż drżał z oburzenia. — Ośmielasz się grozić swemu panu?

Simmons nie spuszczał z nich oka. Na ślepo zaczął przeszukiwać pakunki. Znalazł zapasowe magazynki. Szybko wyciągnął jeden z nich i wsunął do pustej komory.

— Grożę? — Jazz odbezpieczył automat. — I nie tylko! Ale równocześnie mężczyzna z prawej strony Szaitisa zrobił zdecydowany krok. Stopą obutą w skórzany sandał dosięgnął dłoni Jazza i przycisnął ją do ziemi. Agent celowo rozciągnął się na podłożu, próbując kopnąć przy tym obcego. Ten jednak z łatwością cofnął się przed ciosem, nie zdejmując nogi z nadgarstka przeciwnika. Potem chwycił Jazza za włosy i bez wysiłku odciągnął jego głowę do tyłu. Przed oczy podsunął mu swoją bransoletkę. Wystawały z niej ostre haki i szpikulce. Mężczyzna uśmiechał się okrutnie i wyzywająco spoglądał na broń, której Jazz wciąż nie wypuszczał z dłoni. Agent nie odważył się jednak nacisnąć spustu.

Po chwili Jazz rozluźnił uścisk i pozwolił broni wysunąć się z ręki. Mężczyzna podniósł agenta do góry. Jazz nic nie mógł na to poradzić. Był przekonany, że gdyby tamten zechciał, obrałby jego czaszkę z włosów jak pomarańczę ze skórki.

Zek rzuciła się z pięściami na drugiego z towarzyszy Lorda, stojącego u jego prawego boku.

— Bydlaki! — krzyczała, bijąc w niego z całą swoją mizerną siłą. — Dranie! Wampiry!

Gustan objął ją jednym ramieniem i mocno przycisnął do siebie, wyszczerzył do niej zęby w zadowolonym uśmiechu. Druga jego ręka zaczęła błądzić po jej ciele.

— Powinieneś mi ją oddać na jakiś czas. Lordzie Szaitisie — zamruczał boleśnie. — Nauczyłbym ją dobrych manier i posłuszeństwa!

Szaitis gwałtownie zwrócił się w jego kierunku.

— Ona będzie wyłącznie do mojej dyspozycji. Licz się ze słowami, Gustanie! Brakuje mi wojennego przywódcy na jednym z naszych obszarów. Czyżby interesowało ciebie objęcie tego stanowiska?!

— Ja tylko... — Gustan zwolnił swój uścisk.

— Wystarczy! — uciął krótko Szaitis. Zbliżył się do Zek, powąchał ją i skinął głową. — Tak, w niej jest magia. Ale pamiętaj — uciekła od tej diablicy Karen. Pilnuj jej dobrze, Gustanie!

Przyszła kolej na Jazza. Lord przez dłuższy czas intensywnie ruszał swoimi nozdrzami nad głową agenta.

— Jeśli zaś chodzi o tego tutaj...

— On jest wielkim magiem! — krzyknęła Zek.

— Czyżby? — Szaitis zerknął na nią wątpiąco. — A niby na czym polega jego talent? Nie wyczuwam w nim nic szczególnego.

— Potrafię... potrafię czytać w przyszłości — wysapał Jazz przez ściśnięte ręką obcego gardło.

Szaitis uśmiechnął się ponuro.

— Tak? A ja właśnie odczytałem twoją. — Skinął na swą gwardię jednoznacznym gestem.

— Poczekaj! — powstrzymała go Zek. — To prawda, przysięgam ci! Jeśli go zabijesz, stracisz cennego sprzymierzeńca.

— Sprzymierzeńca? — Szaitis był rozbawiony. — Chyba sługę. — Potarł jednak swój podbródek w zamyśleniu. — Ale dobrze. Sprawdźmy jego umiejętności. Puść go.

Jazz mógł teraz dotknąć ziemi czubkami wyciągniętych stóp.

— W takim razie słucham, co mnie czeka w najbliższym czasie? — zapytał Lord.

Simmons wiedział, że jest już skończony, ale była jeszcze Zek. Nie miał nic do stracenia.

— Słuchaj więc! Zrań tę kobietę w jakikolwiek sposób, niech jej spadnie choć włos z głowy, a spalisz się w piekle. Słońce podniesie się i zaczniesz się w nim topić — Szaitisie z rodu wampirów!

— To nie żadna przepowiednia, tylko pobożne życzenia! — odrzekł Szaitis pogardliwie. — Chcesz rzucić na mnie przekleństwo? Nie mam prawa jej zranić? Nie ma spaść włos z jej głowy? Tej głowy? — Wyciągnął rękę i pochwycił w nią gęstą blond grzywę Zek. Pociągnął tak mocno, że krzyknęła z bólu.

Słońce natychmiast podniosło się i jasnymi promieniami oświetliło tę część przełęczy. Wampir trzymający Jazza odrzucił go z wrzaskiem przestrachu od siebie jak jadowitą żmiję. „I to właśnie jest prawdziwa magia" — pomyślał Anglik naprawdę zdumiony.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lardis Lidescu

W tej samej sekundzie Jazz znalazł się na ziemi i doczołgał się do swej broni. Nikt nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby go zatrzymać. Szaitis i jego świta zmuszeni byli schronić się przed zabójczymi dla nich promieniami. Niezgrabnie wycofali się do swych przedziwnych żywych pojazdów. Kuląc się, przeskakiwali od jednej do drugiej plamy cienia, rzucanego przez większe kamienie i skałki. A za każdym razem, gdy dotknęła któregoś z nich większa smuga światła, rozlegał się przeraźliwy krzyk, jakby kogoś obdzierano ze skóry.

Jeden z uciekających, Gustan, trzymał Zek. Bezskutecznie wiła się w jego objęciach jak wąż i biła drobnymi piąstkami w jego ogoloną głowę. Gustan miał być pierwszym celem Jazza.

Agent podniósł broń z twardego podłoża. Z lufy wyleciało kilka małych kamyków i trochę piasku. Przyklęknął na jedno kolano i odszukał przygarbioną sylwetkę Gustana. Wycelował i nacisnął spust. Wampir przewrócił się jak rażony gromem, wzniecając przy upadku tuman kurzu. Zek poderwała się i, utykając, pobiegła w kierunku Jazza.

Jazz nie mógł na razie strzelać, bał się, że kule dosięgną Zek.

— Trzymaj się jednej strony — polecił chrapliwie. — Odsłoń mi linię strzału.

Usłyszała go, wykonała rozkaz. Potwór wił się szaleńczo w bezlitosnych promieniach słońca. Simmons wystrzelił, nie czekając, aż światło ześlizgnie się z ruchliwej sylwetki. Rozległy się krzyki i przekleństwa. Jazz miał nadzieję, że tak klnie sam Szaitis, ale zwątpił, kiedy uświadomił sobie, że właściciel tego głosu nie miał charakterystycznej, masywnej budowy Lorda.

— To ja — krzyknęła Zek, kiedy błyskawicznie w nią wycelował. — Nie strzelaj!

Wilk dobiegł do niej w podskokach, okazując radość jak rozpieszczony szczeniak.

— Schowaj się za mnie — ostrzegł Jazz, machając ręką. — Wyjmij z moich bagaży nowy magazynek, szybko!

Silne promienie wciąż penetrowały przełęcz. Dobiegały z południa od strony urwi-

ska skierowanego odrobinę na wschód. Wyglądały jak światła reflektorów, odbijające się od gładkiej miejscami skały. „No tak" — domyślił się Jazz. „To słońce odbijane w lustrach. Niech Bóg błogosławi tego, kto je ustawia". Wtedy właśnie dwa strumienie skupiły się na sylwetce samego Szaitisa.

Na taką okazję czekał Jazz. Mógł wraz z Zek pobiec na wschód, ale trzymało go na miejscu pragnienie oddania strzału prosto w dumnego wodza wampirów. Ten bezładnie wymachiwał rękoma, walcząc z niewidzialnym przeciwnikiem. Agent widział go w świetle jak na dłoni. Szaitis zdołał wdrapać się na grzbiet potwora i usadowił się w ozdobnym siedzisku. Jazz wypuścił w jego stronę co najmniej tuzin kuł. Lord szarpnął się do tyłu, ale nie puścił uprzęży, za pomocą której kierował swym wierzchowcem. Jazz przeklął. Oddał kolejną serię strzałów. Kule musiały dojść do delikatnej, dolnej części latającego smoka.

Poderwał on głowę i wydał rozpaczliwy, bolesny krzyk. Rana nie osłabiła go jednak na tyle, by nie mógł wznieść się w powietrze. Z jego rozdartego brzuszyska wypełzły długie, mięsiste „robaki". Szaitis bezpiecznie skrył się za grubą skórę siodła.

Dwa pozostałe stwory również się wzniosły. Zdumiony Jazz zobaczył, że dosiadają ich jeźdźcy. „Czyżbym ani razu nie trafił?" — pomyślał. Przypomniał sobie potyczkę z Przybyszem Piątym. Tamtego zwykle draśnięcia też nie powstrzymywały i nie złamały jego potęgi.

Zek podeszła z tyłu i podała agentowi świeży magazynek. Załadował karabin i nie zrażony dotychczasową małą skutecznością swego działania odszukał swych wrogów. Spojrzał na niebo i zamarł — trzy potwory kierowały się wprost na niego.

— Jazz, wycofaj się! Boże, ustąp! — krzyczała Zek błagalnie. Wczołgała się w bezpieczną kryjówkę pod skalne występy.

Simmons przygotował się do ataku i kiedy stwory zbliżyły się na odległość około trzydziestu metrów, otworzył ogień. Ruchem wahadłowym przeszył serią dwukrotnie wszystkie trzy smoki. Z takiego dystansu nie mógł chybić. A jednak koszmarne cienie pojawiły się tuż nad jego głową.

Rzucił się w stronę pobliskiego głazu. Po chwili latające potwory zaczęły bryzgać ciemną krwią. Ich jeźdźcy chwiali się na skórzanych siedziskach, tracąc panowanie nad swoimi pojazdami. Ale te, jakby same wiedziały, co do nich należy.

Nad Jazzem rozwarła się wielka, mięsista szczelina. Powiało z niej dusznym, zatęchłym fetorem, który prawie oszołomił wycieńczonego agenta. Zrezygnowany, poddawał się biernie ogarniającej go słabości. I wtedy znów ujrzał nad sobą gwiazdy. Nieznani sprzymierzeńcy odnaleźli nareszcie swych wrogów i wysłali świetliste promienie. Smoki zaczęły zmykać jak oparzone. Za każdym razem, kiedy dotykał ich strumień światła, z ich skóry unosił się obłok pary, a w powietrzu roznosił się swąd spalenizny.

Wampiry na swych żywych pojazdach zostały zmuszone do odwrotu. Zatoczyły

wielki łuk w powietrzu, kierując się ku swym schronieniom na północy. Zapanowała głucha cisza.

— Zek? — zawołał Jazz, odetchnąwszy głęboko. — U ciebie wszystko w porządku?

Wyszła z ukrycia, nerwowo kuląc się w oślepiającym, ostrym blasku strumienia światła.

— Tak, nic mi się nie stało — odpowiedziała rozdygotanym głosem.

Jazz opuścił karabin i podszedł do niej. Nie opierała się, kiedy ją do siebie przytulił. Potrzebował jej bliskości. Walka z wampirem mocno nim wstrząsnęła.

Zek przylgnęła do niego na moment, ale szybko wysunęła się z jego objęć.

— Jesteśmy zbyt widoczni — powiedziała trzeźwo. Nie tracąc czasu, agent podszedł do swego ekwipunku i ponownie wymienił magazynek.

— Czy można przyjąć, że wybawili nas przyjaciele?

Jakby w odpowiedzi na jego pytanie, echo odbiło od skalnych ścian głośny, także niespokojny głos.

— Zekintho, czy to ty! Nic ci się nie stało? — rozległo się.

— Lardis Lidescu! — odkrzyknęła z radością. — Tak, jesteśmy uratowani — zwróciła się do Jazza. — Nie musimy się niczego obawiać, poza samym Lardisem! Jest mną trochę zainteresowany, ale to stosunkowo niewielki kłopot. Możesz być jednak pewien, że to z gruntu dobry człowiek.

Przyłożyła dłonie do ust.

— Nic mi nie jest, Lardisie! — zawołała.

— Idźcie dalej przez przełęcz — nadeszła odpowiedź. — Nie jesteście całkowicie bezpieczni.

— Nie musi mnie o tym przekonywać — wymamrotał Jazz ironicznym tonem. — Pomóż mi z tym bagażem — poprosił Zek, skończywszy pakowanie porozrzucanych drobiazgów.

Niezwłocznie wyruszyli na południe. Na zachodniej ścianie przejścia ujrzeli kilka błyszczących wciąż luster. Białe, oślepiające promienie nabierały złotego blasku zachodzącego słońca. Rozległy się odgłosy ludzkiej mowy. Nagle ze wszystkich stron zaczęły zbiegać ze zboczy w ich stronę tajemnicze postaci. Otoczyły Jazza, Zek i wilka, pełne ciekawości i podniecenia. Byli to inni Cyganie niż ci, z którymi mieli już do czynienia. Obcy dla Jazza, ale nie dla Zek.

— O, tak! Jesteśmy wśród przyjaciół — odetchnęła z wyraźną ulgą.

„Czyżby?" — przemknęło agentowi przez myśl.

— Ty, tak. Ale, co ze mną? Co ten twój Lardis sobie o mnie pomyśli? Ciekawe!

Z dużej odległości, od południa, dotarł do nich przenikliwy krzyk cierpienia. Urwał się nagle w swym najwyższym tonie, a tam skąd pochodził, wystrzeliły w górę żółte płomienie.

— Co o tym sądzisz? — Wskazał Jazz w tym kierunku głową.

— Według mnie Lardis załatwił swoje porachunki z Arlekiem — odparła cicho. „Arlek był bardzo ambitny. Nie rządziło nim zło, ale potrafił być okrutny. Był też tchórzem! Chciał układać się z wampirami kosztem innych" — pomyślała.

— Chcesz powiedzieć, że go zabił — raczej stwierdził, niż zapytał Jazz. — Sprawiedliwość jest tu bezwzględna!

— Cały tutejszy świat jest bezwzględny — odrzekła.

— Jak wyglądają tutejsze egzekucje? — zaciekawiło Simmonsa.

Zek odwróciła od niego swój wzrok.

— Kara stanowi zapłatę za popełnione przestępstwo — odezwała się w końcu. — Domyślam się, że Arlek zginął śmiercią wampira. Przebito mu serce, odcięto głowę i spalono całe ciało.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem — odrzekł agent.

— Żeby być absolutnie pewnym zgonu. Niełatwo jest zgładzić wampira, Jazz.

Potrząsnął głową. „Boże, ależ potrafisz być zimna" — pomyślał.

— Nie, to nie tak. — Zacisnęła mocno dłonie. — Jestem tu po prostu o wiele dłużej niż ty, nic więcej...

Jazz inaczej wyobrażał sobie Lardisa. Okazało się, że mężczyzna ten jest średniego wzrostu, ale mocnej budowy. Agent spodziewał się znaleźć w nim siłę i potęgę, a spotkał szczerość i dobroduszność. Był młody, trzy, cztery lata młodszy od Anglika. Długie czarne włosy okalały okrągłą, ciemną twarz. Miał gęste, grube brwi, płaski nos i szerokie, mięsiste wargi. W brązowych oczach ani śladu złośliwości. Wokół nich liczne zmarszczki, świadczące o jego skłonności do śmiechu. Emanowała z niego inteligencja. Jego przywództwo było naturalne. Pięciuset członków szczepu bez przymusu poddawało się jego woli i talentowi. Arlek stanowił wyjątek potwierdzający tę regułę, ale teraz zabrakło nawet takiego wyjątku.

Lardis przejął władzę pięć lat temu od swego ojca. Stary Lidescu stał się kaleką w wyniku postępującego artretyzmu. Jego syn skutecznie bronił wolności i bezpieczeństwa podległej mu grupy Wędrowców przed wszechobecną żądzą krwi ze strony wampirów. Ta skuteczność sprawiła, że z biegiem czasu niewielki początkowo szczep wchłonął na zasadzie dobrowolności wiele mniej licznych i słabszych rodów. Rozrósł się i powiększył obszar swych wędrówek. Nie był tak potężny, jak inne plemiona dalej na wschodzie, ale dawał gwarancję bezpieczeństwa. Faktycznie rzecz biorąc, w ciągu tych pięciu lat rządów Lardisa wampiry ani razu poważniej nie zagroziły jego grupie. Jeszcze żaden z jego podopiecznych nie dostał się w ich ręce. Zdarzyło się wiele sytuacji, w których wszystko zależało od jego zręczności i sprytu w podejmowaniu błyskawicznych decyzji.

Na powodzenie Lardisa składało się kilka podstawowych przyczyn. Jedna z nich po-

łożyła największy cień na stosunki między nim a Arlekiem. Lardis nie był bowiem przekonany, że wampiry są naturalnymi panami i władcami tego lądu. Nie zamierzał się im poddać ani nie dbał o ich przychylność. Inni Wędrowcy właśnie w zjednywaniu sobie względów wampirów usiłowali znaleźć dla siebie ratunek, ale rzadko kiedy wychodziło im to na dobre. Gorgan Lidescu, ojciec Lardisa, często przypominał dzieje dawnego szczepu, kiedy on sam był jeszcze zaledwie kilkuletnim chłopcem.

Działo się to w czasach, gdy panował pokój między wszystkimi wampirami. To pozwoliło Lordom zjednoczyć siły swych grup. Byli wtedy znacznie liczniejsi i skuteczniejsi w podporządkowywaniu sobie rozproszonych Słonecznych. Szczep Gorgana, wówczas stosunkowo duży, rządzony przez Radę Starszych, jako jeden z pierwszych zawarł z wampirami korzystny, jak się wydawało, dla obu stron układ. Przed każdym zachodem słońca najwaleczniejsi członkowie grupy mieli wyruszać z obozowiska w poszukiwaniu niewielkich, słabych rodzin Wędrowców, żeby wziąć je w niewolę. Jednorazowo łapali około stu osób. Przez całe długie noce schwytani nieszczęśnicy czekali w skalnych kryjówkach na śmierć. Gdy szczep Gorgana został wytropiony przez wampiry, wszyscy więźniowie stawali się żywym okupem w zamian za pozostawienie jego podwładnych w spokoju, aż do następnej nocy. Rozumowanie Rady Starszych było proste: wampiry nie będą przecież odgryzać rąk, które bez walki podają im świeże pożywienie. Gdy zabraknie tych rąk, zdobycie pożywienia zacznie wymagać znacznie większego wysiłku. Trudno ocenić, czy myślenie takie wynikało z tchórzostwa, czy z okrucieństwa, w każdym razie, wprowadzone w życie, przez jakiś czas odnosiło zamierzony efekt.

W ciągu kilku lat noc w noc powtarzał się ustalony scenariusz. Łapanie zakładników i ucieczka przed Lordami. Czasami szczep chował się w głębokiej jaskini i bywało, że wampiry nie potrafiły do niego dotrzeć. Bezpieczne miejsce jednej nocy, stawało się pułapką po następnym zachodzie słońca. Właśnie ten okrutny plan Rady Starszych zmuszał Wędrowców do trwającego setki lat koczownictwa. Spokojna noc dla szczepu oznaczała przedłużenie życia jego zakładników o kolejny dzień i niepewność losu po najbliższym zmierzchu.

Członkowie szczepu Gorgana tak przyzwyczaili się do okupionego cudzą krwią poczucia bezpieczeństwa, że stracili swą wrodzoną siłę, utrzymując tylko wysoką sprawność swej grupy wypadowej.

Obrośli tłuszczem i rozleniwili się. Nie chciało im się już wędrować kilometrami w poszukiwaniu nowych kryjówek. Zaczęli używać jedynie utartych, dobrze im znanych szlaków, na których mieli łatwy dostęp do wody i podróżowanie nie było zbyt męczące. Wbrew niepisanemu prawu nie robili też z tego żadnej tajemnicy. Krótko mówiąc, w końcu niemal przestali się w ogóle kryć. Dlatego też coraz mniej mieli spokojnych nocy, coraz więcej istnień ginęło za ich sprawą.

Wewnętrzne przymierze wampirów nie trwało wiecznie. Po jakiejś poważniejszej

kłótni Lordowie znów stanęli przeciwko sobie. Zaczęli tworzyć własne mocarstwa. Osiedlili się na powrót w swych dawnych kamiennych zamczyskach, odbudowali je i ufortyfikowali. Określili wyraźnie granice swych posiadłości i zazdrośnie ich strzegli. Powrócili do swej wojennej tradycji. Odtworzyli armię, potrzebowali silnego zaplecza, niewolników i zapasów. Znali tylko jedno źródło dla zaspokojenia tych potrzeb — Krainę Słońca. A dokładniej — żywych lub martwych Wędrowców.

To stało się jednej koszmarnej nocy. W ciągu wyjątkowo długich czterdziestu godzin. Między jednym zachodem i wschodem słońca szczep Gorgana został rozgromiony. Najpierw przybył do niego Szaitis, żeby otrzymać zwykły okup. Odszedł zadowolony. Ale zaraz po nim zjawił się z tym samym żądaniem Lesk Przerośnięty, a potem jeszcze Lascula Długie Zęby. Przyszli i następni: Belath, Volse i cała reszta, lecz okazało się, że złożona danina okazała się zbyt wątła. Kiedy zorientowali się, że nie mogą liczyć na normalny datek, bez wahania zabili Radę Starszych i wzięli w jasyr najsilniejszych członków grupy. Po trzech krwawych wizytach wampirów pozostało zaledwie około pięćdziesięciu starców i setka dzieci, którym udało się uciec. Rozproszyli się oni w poszukiwaniu lepszego schronienia, które pozwoliłoby im przetrwać ostatnie godziny ciemności. Odtąd szczep Gorgana przestał istnieć jako całość. On sam nauczył się nie wchodzić z wampirami w żadne układy i tego samego nauczył swojego syna. Lardis był konsekwentnie wierny tej nauce.

Inne szczepy Wędrowców nie oparły się jednak, mimo bolesnej nauczki, pokusie dbania w taki sposób o własne bezpieczeństwo. Okup przybierał różną postać. Niektóre z nich ciągle polowały na pojedynczych Wędrowców albo po prostu wykradały ich z konkurencyjnych szczepów. Inne poświęcały swych członków, słabszych i najstarszych, żeby ocalić życie pozostałych, bardziej wartościowych dla dobra całej grupy. Mogły sobie na to pozwolić przede wszystkim szczepy zajmujące wschodnią część podnóży gór. Nierzadko tworzyło je ponad tysiąc osób. Liczebność stanowiła ich główną siłę i pozwalała decydować o terytorium, które zamieszkiwali. Na wschodzie plemiona znalazły najdogodniejsze warunki i mogły zaspokoić swe ogromne potrzeby. Żyło się tam łatwiej niż na zachodzie: biły liczne źródła, rosło więcej lasów pełnych zwierzyny.

Lardis o tym wiedział i dlatego trzymał się zachodniej części grzbietu. Słusznie rozumował, że w nowej sytuacji jest ona dużo bezpieczniejsza. Po pierwsze, nie zamierzał walczyć ze swoimi braćmi. Wędrowcami, i wolał schodzić z drogi tym, którzy nie mieli takich skrupułów. Po drugie zaś, łatwo było zgadnąć, że wampiry nie będą zbyt często go nachodzić, mając po drugiej stronie przełęczy pożywienie i krew „ofiar".

W związku z powyższym, Lardis opanował dwie taktyki postępowania. Jeśli chodzi o stosunki z innymi grupami Wędrowców — unikał ich, ale nie bał się starć z nimi. W każdej chwili był gotów do odparcia ataku. Wszystkich mężczyzn, a nawet młode kobiety jego szczepu przygotowywano do walki. Reagowali błyskawicznie dzięki dosko-

nałej organizacji i skutecznie posługiwali się każdą, możliwą do zdobycia w tym świecie bronią. Wielokrotnie dawali ostrą nauczkę swym nieostrożnym wewnętrznym przeciwnikom. O Lardisie jako wodzu, zaczęły krążyć legendy. Chętnie przyjmował pod swą opiekę małe, niezależne grupy i rodziny. Nie chciał jednak, żeby jego szczep stał się zbyt wielki. Zwróciłoby to uwagę wampirów, zwiększyło śmiałość innych, łowczych grup i ograniczyło możliwość szybkiego przemieszczania się.

Natomiast, zanim zdecydował, jak postępować z wampirami, musiał poznać i przeanalizować ich słabe i mocne strony. Doskonale zdawał sobie sprawę z ich fizycznej przewagi: ogromnych rozmiarów, okrucieństwa i latających potworów na ich usługach. Również z tego, że tysiące mniejszych i większych nietoperzy szpiegowały dla nich w Słonecznej Krainie.

Ale potrafił wykorzystać ich słabe punkty. Po pierwsze, mogli działać przeciwko Wędrowcom tylko w nocy, i w dodatku jedynie w przerwach między walkami z innymi Lordami. Po wtóre zaś, nie mogli sobie pozwolić na zbyt długie wycieczki na drugą stronę gór. Każdy taki wypad wiązał się z groźbą zajęcia ich siedziby w Gwiezdnej Krainie przez wrogą grupę wampirów. Kolejną ich słabość stanowił fakt, że jeśli nawet było bardzo trudno ich zabić, to jednak byli śmiertelni. Lardis wiedział, w jaki sposób dobrać im się do skóry.

Nie zabił jeszcze żadnego Lorda, ale dwa razy poradził sobie z aspirantami tego najbardziej zaszczytnego stanowiska. To byli synowie i adiutanci Leska Przerośniętego. Lesk wymyślił sobie, że zaatakują Lardisa tuż przed wschodem słońca, kiedy jego szczep będzie się przygotowywał do opuszczenia kryjówek.

Lardis zaobserwował ich nadejście, wciągnął w walkę i pozwolił słońcu stopić ich hardość i nienaruszalność. Potem, zgodnie z odwiecznym przykazaniem, przebił ich serca kolcami z twardego drewna, odciął ich głowy i spalił ciała. Nic nie pomógł wampirom wielki wrzask, zdolny niemal poruszyć góry. Wampiry poznały jego imię i nauczyły się je szanować. Chociaż trudno im się było pogodzić z tym, że nie mogą bezkarnie grasować w Słonecznej Krainie.

Więcej okoliczności sprzyjało Lardisowi. Na przykład, wampiry śmiertelnie bały się srebra. Działało ono na ich organizm podobnie jak ołów na ludzki. Lardis odkrył u zachodnich podnóży niewielkie złoża tego rzadkiego metalu. Groty strzał łuczników kazał pokryć jego cienką warstwą. Poza tym, cała broń, którą mieli do dyspozycji posmarowana była sokiem z czosnku. Jego woń mogła na wiele godzin sparaliżować wampira. Powodowała nie kończące się torsje i rozstrój nerwowy, trwający nawet kilka dni.

Wszystko to nie stanowiło tajemnicy zastrzeżonej dla kręgu Lardisa. Tak naprawdę wszyscy Wędrowcy o tym wiedzieli, ale nikt poza nim nie ośmielił się wykorzystać tej wiedzy przeciwko wampirom. Lordowie stanowczo zabronili Wędrowcom używać luster z brązu, srebra i czosnku pod karą straszliwych tortur i śmierci. Lardis Lidescu nie

przeląkł się jednak tych gróźb.

Istniała jeszcze jedna rzecz, już poza kontrolą Lardisa, która sprzyjała mu. Gdzieś dalej, wśród najwyższych szczytów, mieszkał według legendy, tajemniczy Rezydent Ogrodu na Zachodzie. To właśnie ta legenda stała się główną przyczyną ostatniej wyprawy Lidescu. Tylko dla pozoru ogłosił, że wyrusza, aby znaleźć dla swego szczepu bezpieczniejszy teren i rzeczywiście trafił na kilka doskonałych kryjówek. Główny jego cel stanowiło jednak odszukanie Rezydenta i jego siedziby. Rozumował w sposób prosty: to, co jest złe dla wampirów, powinno być dobre dla niego. Poza tym, jak głosiły wieści, Rezydent dawał schronienie każdemu, kto ośmielił się go odszukać.

Dla Lardisa nie było to jednak najważniejsze. Sam potrafił zadbać o bezpieczeństwo swych podopiecznych. Pragnął jednak, żeby Rezydent udzielił mu rad dotyczących sposobów walki z wampirami. Powędrował więc w góry, aby go odszukać — i znalazł.

Powrócił teraz w samą porę, żeby uratować Zekinthę i jej nieznajomego towarzysza z piekielnego lądu. Arlek napomknął wcześniej coś o nadzwyczajnych umiejętnościach mężczyzny. Lardis pomyślał, że przybysz może stać się cennym sprzymierzeńcem.

Wódz wystąpił kilka kroków na ich spotkanie. Pochwycił Zekinthę w ramiona i cmoknął ją w prawe ucho.

— Zetrzyj góry! — pozdrowił ją zgodnie z panującym tu obyczajem. — Cieszę się, że jesteś cała i zdrowa, Zekintho!

— Tylko... — odpowiedziała, łapiąc oddech po silnym uścisku. — Tylko dzięki niemu. — Skinęła głową w kierunku Jazza.

Agenta ogarnęło śmiertelne znużenie. Ciężko zrzucił swój bagaż z obolałych pleców i rozejrzał się po spokojnej okolicy. Tu i tam kręcili się śniadoskórzy mężczyźni i kilka wilków. Pod zachodnią ścianą przełęczy wciąż płonęło wielkie ognisko. Z żółtych płomieni unosił się w niebo czarny, gęsty dym. Szczątki Arleka, jak przypuszczał.

Pod skalną ścianą stało może sześciu Wędrowców, trzymających w swych mocnych ramionach duże lustra. Bezustannie penetrowali odbitymi promieniami schodzącego coraz niżej słońca północne partie przejścia.

Lardis uważnie przyjrzał się agentowi przejmującym wzrokiem, w końcu jednak jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wyciągnął w stronę przybysza rękę, a kiedy Jazz próbował uścisnąć mu dłoń, trafił na nadstawiony nadgarstek. Lardis chwycił nadgarstek Jazza. To było przywitanie Wędrowców.

— Jak ciebie zwą, mieszkańcu piekielnego lądu? — zapytał wódz.

— Michael Simmons — odrzekł agent — Dla przyjaciół Jazz — dodał.

Lardis skinął głową.

— W takim razie będę do ciebie mówił Jazz. Przynajmniej na razie. Potrzebuję czasu, żeby dobrze cię poznać. Wiem, że niektórzy z was działają na naszą szkodę. Wampiry wysługują się nimi.

— Mogłeś się przekonać na własne oczy, że nie mam zamiaru przyłączyć się do nich. W każdym razie, nawet jeśli to prawda, co mówisz, nie sądzę, żeby byli po ich stronie z wyboru. Z pewnością zostali siłą zmuszeni do posłuszeństwa.

Lardis poprowadził Jazza na bok, gdzie grupa mężczyzn siedziała na płaskich kamieniach. Wokół nich stała uzbrojona straż. Wśród siedzących Jazz rozpoznał zwolenników Arleka. Kiedy Lardis z agentem zbliżyli się do tego ponurego kręgu, niedawni buntownicy opuścili głowy.

— Arlek chciał zaprzedać się Lordowi Szaitisowi. Dowiedziałem się tego od tych nędzników. Był wielkim tchórzem, na dodatek żądnym władzy! Widzisz to ognisko? — zapytał wódz.

— Zek powiedziała mi, co to znaczy — odrzekł Jazz.

— Zek? — Uśmiech Lardisa nie był szczery. — Znałeś ją przedtem, zanim tu przybyłeś? Chciałeś ją odnaleźć i zabrać z powrotem?

— Przybyłem tu, bo nie miałem innego wyboru — odparł Jazz. — Nie z powodu Zek. Słyszałem o niej, ale nigdy się nie widzieliśmy, aż do tej pory. Mamy po prostu tych samych nieprzyjaciół po drugiej stronie Bramy.

— Jesteście tutaj tak samo obcy. Odmieńcy w tym dziwnym dla was świecie. To musi was do siebie zbliżać. — Nie można było słowom Lardisa odmówić logiki.

— Przypuszczam, że tak jest. — Jazz spojrzał swemu rozmówcy prosto w oczy. — Zamierzasz się oświadczyć Zek?

Wyraz twarzy Lardisa nie zmienił się.

— Nie. Jest wolną kobietą. A ja nie mam czasu na tak drobne sprawy. Dbam przede wszystkim o dobro swego szczepu. Myślałem o tym, ale... zajmowałoby to zbyt dużo mojej uwagi. Zdecydowałem, że lepiej będzie, gdy pozostanie moim przyjacielem i doradcą niż żoną. Poza tym, pochodzi z innego świata. Nie należy się zbytnio angażować w coś, czego nie jest się w stanie zrozumieć.

— Miejsce, które nazywasz piekielnym lądem jest równie rozlegle, jak wasza kraina. Żyją w niej różne narody, panują różne kultury. Daleko jej jednak do „piekła".

— Zekintha mówi to samo. Często mi o tym opowiadała: o broni straszliwszej od mocy wszystkich wampirów razem wziętych, o kontynencie zamieszkiwanym przez ludzi o czarnej skórze, umierających tysiącami, o nieuleczalnych chorobach i głodzie, o wojnach toczących się w każdym zakątku waszego globu, o maszynach, które potrafią myśleć, poruszać się i słuchać rozkazów, latających metalowych potworach zionących ogniem i dymem. To musi być piekło!

— Rozumując w ten sposób, masz rację! — Jazz roześmiał się głośno.

Wciąż miał zawieszony na ramieniu swój automat. Lardis spojrzał na karabin.

— Twoja broń? Zekintha ma taką samą. Widziałem jak zabiła z niej niedźwiedzia. Był cały podziurawiony. Zekintha nie rozstaje się z nią, mimo, że automat nie jest sprawny.

— Można go naprawić — stwierdził Jazz. — Zrobię to, kiedy będę miał czas. Twoi ludzie znają przecież zalety metalu. Dziwię się, że nie próbowaliście ich wykorzystać.

— Tak, znają, ale i boją się — powiedział Lidescu. — I ja też! To są bardzo hałaśliwe przedmioty, ta wasza broń...

— Z tym, że to nie hałas zabija wampiry — powiedział Simmons.

Lardis uważnie słuchał jego słów. Nieoczekiwanie wyraźnie się ożywił.

— Słyszałem huk. Echo poniosło go aż do nas. Naprawdę strzelałeś do Szaitisa?

— I to z bliska. — Skrzywił się Jazz. — I co z tego? Podziurawiłem jak sito ich smoki, a i same wampiry dostały w prezencie po kilka kul. A jednak nie zdołałem ich powstrzymać.

— Lepsze to niż nic! — Lardis poklepał go po ramieniu. — Wyleczenie ran zajmie im trochę czasu. Będą musiały teraz zająć się sobą. — Potem zamyślił się. — A jeśli chodzi o nich. — Wskazał na siedzących mężczyzn. — Gdyby doprowadzili do końca plan Arleka, byłbyś w tej chwili pożywką dla jakiegoś wampira. Mógłbyś teraz odwdzięczyć się im przy pomocy twojej broni, łatwo byś sobie z tym poradził!

Zek podeszła właśnie do nich i usłyszała ostatnią wypowiedź Lardisa. Jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Lardis celowo mówił głośno i wyraźnie. Buntownicy wyprostowali się, a ich twarze pobladły z niepewności i strachu.

Agent podążył za jego wzrokiem. Przypomniał sobie, jak niektórzy z nich wyraźnie bali się sprzeciwiać projektom i zamierzeniom Arleka.

— Arlek zrobił z nich głupców — powiedział w końcu. — Po prostu głupców. Sam stwierdziłeś, że był tchórzem. Potrzebował innych, żeby w razie niebezpieczeństwa schować się za ich plecami. Naiwnie uwierzyli mu. Obiecywał złote góry za posłuszeństwo. Jestem pewien, że tego żałują. Karze się przestępców, a nie głupców.

Wódz spojrzał na Zek i wyszczerzył zęby.

— Jakbym słyszał samego siebie — oznajmił zadowolony. Odprężył się i głęboko odetchnął. — Z drugiej strony — podjął — jeden z nich podniósł na ciebie rękę. Nie czujesz do niego złości?

— Tak, trochę. Ale nie na tyle, żeby go zabić. Mógłbym za to dać mu pewną nauczkę.

Był ciekaw, jak Lardis zareaguje na taką propozycję. Słyszał, w jaki sposób Jazz poradził sobie z Arlekiem i może chciałby na własne oczy przekonać się o jego umiejętnościach. Agent potrafiłby z pewnością podzielić się nimi z najsprawniejszymi wojownikami szczepu.

— Nauczkę? — Lardis chwycił przynętę. Jazz był dobrym psychologiem. Wódz minął strażników i brutalnie zepchnął wszystkich więźniów z ich siedzisk.

— Który to zrobił? — zapytał kategorycznym tonem.

Wolno wstał młody muskularny mężczyzna o nerwowym spojrzeniu.

— Tam — warknął Lardis, wskazując palcem pobliski, płaski fragment przełęczy.

— Poczekaj! — powstrzymał go Jazz. — Zróbmy z tego rodzaj zawodów. W pojedynkę nie ma żadnych szans. Czy ma przyjaciela? Bliskiego przyjaciela?

Lardis uniósł brwi i wzruszył ramionami. Znów zerknął w stronę młodzieńca.

— No cóż, masz czy nie?

Podniósł się drugi młody człowiek, jeszcze mocniejszej budowy ciała i nie tak wystraszony jak reszta. Podszedł do swego kumpla. „Ty będziesz pierwszy, bratku" — pomyślał Jazz.

— Teraz to ma sens — powiedział na głos.

Zabezpieczył karabin i oddał go pod opiekę wodzowi. Podszedł do przeciwników.

— Zaczynajcie, jeśli tylko wasza wola! Kiedy poczujecie, że wnętrzności podchodzą wam do gardła, każdy ma uklęknąć i pocałować mój but!

Ta ostatnia zachcianka miała ich tylko sprowokować, zachęcić do przyśpieszonego ataku. Mieli stracić panowanie nad sobą. Spojrzeli na siebie. Napięli mięśnie i ruszyli jak wściekłe byki. I tak jak one — dziko i bezmyślnie.

Jazz zamierzał uczynić z tego zadedykowaną Lardisowi lekcję poglądową. Usunął się szybko przed pierwszym z nacierających mężczyzn, wyprowadzając przy tym lekki cios w szyję atakującego.

Drugi wojownik rzucił się w jego kierunku, usiłując swoją masą podciąć mu nogi. Agent podskoczył wysoko i przepuścił go pod sobą. Potem pozwolił mu się podnieść i wyprowadził uderzenie w twarz. Tamten usunął się przed nadchodzącym ciosem, odchylając do tyłu całą górną połowę ciała. Jego dolna część była w tej chwili zupełnie osłonięta. Wystarczyło, że Jazz mocno kopnął go pod kolanami, i drugi przeciwnik znalazł się szybko w parterze, tym razem wbrew własnej woli.

Tymczasem podniósł się pierwszy napastnik. Trzymał w ręku duży kamień. To przekonało Anglika, że to nie walka na gołe pięści i dostosował się do tego. Zrobił półobrót i w pewnym momencie odwrócił się plecami do Wędrowca. Ten, ośmielony, przyśpieszył swój atak i... nadział się na błyskawiczne uderzenie wyciągniętej nogi agenta. To go powstrzymało. Jazz wykonał pełny obrót i końcem dłoni zaledwie musnął kark zaskoczonego nieznaną taktyką przeciwnika.

Agent przykucnął potem w obronnej pozycji i przyjrzał się polu walki. Okazało się, że już po wszystkim. Obaj pokonani mężczyźni leżeli na ziemi. Jeden wił się, masując obolałe łydki, a drugi z trudem łapał powietrze, chwytając je ustami jak ryba.

Przez kilka sekund panowała, jeśli nie liczyć ich jęków, całkowita cisza. Później Lardis zaczął głośno klaskać w spontanicznym, szczerym aplauzie. Wielu mężczyzn podchwyciło tę reakcję, ale żaden z otoczonych strażnikami buntowników. Ci siedzieli cicho, spoglądając ponuro na boki, unikając wzroku Jazza. Anglik podszedł do nich.

— Proszę, czy ktoś jeszcze chciałby się ze mną zmierzyć? Przyjmę wyzwanie każdej

chętnej pary! — Nikt się nie poruszył.

— Sam zdecyduj jak ich ukarać! Jazz — krzyknął Lardis. — Co z nimi zrobić?

— Zostali wystarczająco zawstydzeni — odparł agent wspaniałomyślnie. — Arlek, jak wiem, otrzymał niejedno ostrzeżenie i zapomniał o tym. Musiał za to zapłacić. Niech to będzie nauczką dla jego ludzi. Mam nadzieję, że ją zapamiętają. Na tym zakończyłbym sprawę, jeśli rzeczywiście mój głos się tu liczy.

— Zgoda! — Lardis krótko wyraził swą akceptację. Natychmiast kilka osób podeszło do leżących, pobitych buntowników. Cygan ostrożnie położył lustro na ziemi i zbliżył się do mężczyzny z kontuzjowanym gardłem. Owalne zwierciadło leżało płasko tylną stroną do góry.

Jazz spojrzał na nie raz, potem drugi i... zdumiony wytrzeszczył oczy.

— Co takiego? — wysapał w końcu. — Co to wszystko...

Zek zaintrygowana podeszła do niego.

— Jazz, widzisz to co ja? — wykrzyknęła.

— Lardis! — zawołał agent, ignorując jej pytanie. — Lardis, skąd to masz? — Jego głos drżał ze zniecierpliwienia i niedowierzania.

Wódz zbliżył się bezzwłocznie.

— Moja najnowsza broń! — odpowiedział z nie skrywaną dumą. — Odszedłem, żeby poszukać Rezydenta i znalazłem go! Dostałem to od niego w dowód przyjaźni. Macie szczęście, że tak się stało...

Jazz podniósł szklane zwierciadło i nie spuszczał oczu z jego tylnej powierzchni.

— Masz rację, mamy szczęście! Może nawet większe, niż przypuszczasz! — Zwilżył suche wargi i popatrzył na Zek, żeby sprawdzić, że nie uległ halucynacjom.

Kobieta stała jak wmurowana ze wzrokiem wbitym w przedmiot trzęsący się w jego osłabłych nagle ramionach.

— Mój Boże! — wyszeptała.

Rzecz w tym, że lustro podbite było płytą pilśniową. Co więcej, widniała na niej firmowa pieczęć producenta z podstawowymi informacjami o miejscu powstania wyrobu:

MADE IN DDR.
KURT GEMMLER UND SOHN
GUMMER STR.
EAST BERLIN.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Taszeńka — U Möbiusa — Wędrówka

Taszeńka Tassi Kiriescu miała dziewiętnaście lat i jak na swój wiek była mała i szczupła. Jej ciemna cera, wielkie, błyszczące, lekko skośne oczy, owalna twarz i czarne, lśniące włosy nadawały jej egzotycznych rysów. Stary Kazimir, jej ojciec, lubił żartować z niej, pieszczotliwie nazywając wyrzutkiem rodziny. „W twoich żyłach musi płynąć mongolska krew — mawiał z wesołymi ognikami w oczach — krew wielkich Chanów, którzy przechodzili przez te ziemie przed wieloma laty". Czasami żartował: „Albo to prawda, albo... — nie znam dobrze twojej matki!" Wówczas Anna, jego żona, goniła go po chacie i rzucała w niego tym, co miała pod ręką. Bawili się przy tym doskonale.

Ale tak działo się kiedyś. Tassi nie widziała ojca od dnia, w którym zostali aresztowani.

Dziewczyna nie miała pojęcia o prawdziwym celu, dla którego Michaił Simonow przybył do Jelizinki. Była przekonana, że jest miejskim, niesfornym chłopakiem, wiecznie wplątującym się w jakieś awantury i kłopoty. Został zesłany na Ural za karę, gdzie chłód miał ostudzić jego zbyt gorącą głowę. Chłód panował tu rzeczywiście dostateczny, zwłaszcza w mroźne zimy. Tassi nie zauważyła w Michaile żadnych efektów oddziaływania surowego klimatu. Wiedziała, że pod jego maską opanowania, aż się gotuje od wewnętrznego ognia.

Wkrótce zostali kochankami. Dziwny był to romans. On często ją przestrzegał przed zaangażowaniem się w ten związek. Powtarzał, że nie będzie trwał wiecznie i że nie wolno jej się zakochać.

Co dziwniejsze, nie musiał jej o tym przekonywać. Intuicyjnie czuła, że mówi prawdę. Mylnie sobie jednak tłumaczyła, iż odsłuży wyznaczoną karę i wyjedzie, prawdopodobnie wróci do rodzinnego miasta. A ona znajdzie sobie męża wśród miejscowych chłopaków.

Najbardziej zastanawiała i pociągała Tassi jego samotność i wyraźne wyobcowanie. Kiedyś w chwili słabości powiedział jej, że jest ona dla niego jedynym prawdziwym zja-

wiskiem w tym fantastycznym świecie.

Dopiero teraz dowiedziała się o nim prawdy. Nie mogła uwierzyć, że jest szpiegiem. Ale to wszystko już przeszłość. Teraźniejszość to koszmar i niepewna przyszłość w Projekcie Perchorsk.

Zostali z ojcem uwięzieni w sąsiadujących z sobą celach. Wiedziała, że Kazimira wielokrotnie torturowano. Za każdym razem gdy go męczyli, słyszała jego przeraźliwe krzyki i głośne jęki. Zatykała uszy, kiedy słabym głosem błagał o litość i w odpowiedzi na te błagania rozlegały się kolejne uderzenia i świsty batów. Hałasy te stanowiły jednak dowód na to, że żyje. Jednak trzy dni temu, po wyjątkowo okrutnym „przesłuchaniu", zapadła cisza. Tassi modliła się wtedy o choćby jedno westchnienie zza ściany. Na próżno. Ratowała się nadzieją, że może jest w szpitalu, że dali mu w końcu spokój...

Niemal tak samo cierpiała przy każdej wizycie majora Khuwa w jej celi. Oficer KGB nigdy jej nie dotknął, ale wiedziała, że w każdej chwili może to zrobić. Najgorsze było to, że nie znała odpowiedzi na prawie żadne z pytań, które jej wciąż zadawał. Powiedziałaby wszystko, żeby go zadowolić, jeśli nie ze strachu o siebie, to z pewnością dla oszczędzenia męczarni jej maltretowanemu ojcu.

Pojawił się jeszcze Karl Wiotski. Nie wystarczy powiedzieć, że się go panicznie bała, żeby oddać przerażenie, jakie wzbudzał.

Czuła przy tym, że to właśnie jej bezgraniczny strach najbardziej bawi Wiotskiego. Fizycznie nie zrobił jej żadnej krzywdy, kiedy fotografował się przy niej, rozebranej do naga. Chciał ją tylko upokorzyć. Pokazać, że jest niczym, że mógłby z nią zrobić wszystko, na co miałby ochotę, a ona nie mogłaby ruszyć palcem dla ocalenia swej godności. Tak, te psychiczne tortury okazały się skuteczne. Wolała wtedy nie żyć, niż być zdana na jego łaskę i niełaskę. Oczywiście, ten odarty z ludzkich uczuć sadysta z wielką satysfakcją poinformował ją, czemu posłużą te kłamliwe zdjęcia. „Doprowadzą tego drania Simmonsa — Wiotski rechotał jej w twarz, zachwycony swym pomysłem — do szału. Myśli, że jest twardy, głupiec! Musiałby mieć serce z kamienia, żeby nie wybuchnąć po takiej niespodziance!"

Tassi uważała go za szaleńca. Przerażało ją, że wszystkiego się można spodziewać po tym chorym umysłowo człowieku. I choć nigdy jej potem nie odwiedził, drżała za każdym razem, słysząc w korytarzu zbliżające się kroki.

Drzwi do jej celi otworzyły się.

„Tylko major Khuw!" — pomyślała, gdy wszedł do jej miejsca odosobnienia. Przypiął ją kajdankami do przegubu swej dłoni.

— Taszeńko, moja droga. Chcę ci coś pokazać. Myślę, że powinnaś to zobaczyć, zanim znów będę zmuszony cię przesłuchać. Zaraz zrozumiesz, dlaczego.

Potykając się, próbując nadążyć za jego długimi krokami, nawet nie starała się odgadnąć, dokąd ją prowadzi. Dla niej, prostej, wiejskiej dziewczyny Projekt stanowił je-

den wielki labirynt ze stali i betonu. Cierpiała na klaustrofobię i to sprawiło, że po kilku krokach od wyjścia z celi zupełnie straciła orientację. Nie potrafiłaby nawet sama do niej wrócić.

— Tassi — powiedział cicho Khuw, kiedy szli pustym, słabo oświetlonym korytarzem — musisz poważnie się zastanowić. Proszę cię, pomyśl i przypomnij sobie cokolwiek na temat nielegalnej działalności twojego ojca, brata, kogokolwiek z mieszkańców Jelizinki. Co planowali przeciwko Rosji Radzieckiej? To będzie naprawdę twoja ostatnia szansa, żeby mi to wszystko powiedzieć, Tassi.

— Majorze — wyszeptała przez zaciśnięte gardło. — Proszę pana, ja nic nie wiem o tych sprawach. Gdyby mój ojciec był, jak pan mówi...

— O tak, był. — Khuw spojrzał na nią i skinął głową. — Możesz być pewna.

Jego głos brzmiał zimno, surowo, co przeraziło biedną dziewczynę. Otworzyła szeroko oczy i uniosła bezwiednie wolną rękę do ust.

— Co... co wyście z nim zrobili? — Jej pytanie ledwo dotarto do majora. Tymczasem stanęli przed drzwiami, których Tassi nigdy dotąd nie widziała. Były oznaczone jakimś ostrzeżeniem, dostrzegła słowo „opiekun", czy coś w tym rodzaju. Oficer KGB użył swej karty identyfikacyjnej i uruchomił mechanizm otwierający przegrodę.

Odwrócił się potem do dziewczyny.

— Zrobili z nim? Z twoim ojcem? My? My nic nie zrobiliśmy! Sam sobie zrobił, odmawiając współpracy z nami. Kazimir Kiriescu, bardzo uparty człowiek...

Drzwi rozsunęły się ze zgrzytem.

— Wszystko w porządku, Wasylu? — zawołał Khuw.

— O tak, towarzyszu majorze. — Nadeszła odpowiedź. — Jestem gotów.

Khuw uśmiechnął się do Tassi. Był to uśmiech rekina, który ma za chwilę pożreć swą ofiarę.

— Wejdź, moja droga. — Popchnął ją lekko do środka. — Zamierzam ci pokazać coś niezbyt przyjemnego, powiedzieć coś jeszcze bardziej nieprzyjemnego, a na koniec zasugerować coś najbardziej dla ciebie nieprzyjemnego. Potem dam ci czas na odpoczynek i do namysłu. Całą noc i jutrzejszy dzień. Ani godziny więcej.

W pokoju panował mrok, jedynie pod sufitem świeciły małe, czerwone żarówki. Tassi ujrzała przed sobą zarys niskiego, wątłego mężczyzny w białym fartuchu i dużego pudła albo naczynia owiniętego w biały papier. Przeświytywało przez nie białe światło. Na mlecznym tle papieru widoczna była jakaś sylwetka, płasko rozciągnięta na dnie prostopadłościanu,

— Podejdź bliżej. — Khuw pociągnął dziewczynę w stronę naczynia. — Nie bój się, to będzie zupełnie bezpieczny pokaz. Nie skrzywdzę cię... teraz.

Instynktownie schowała się za plecami majora KGB, kurczowo ściskając jego ramię. Bojaźliwie spoglądała na nierozpoznawalną na razie sylwetkę rozszerzonymi oczami.

— No cóż, Wasylu. Zobaczmy, co tu mamy. — Usłyszała głos Khuwa.

Wasyl Agurski pociągnął z jednej strony za papier i zsunął go wolno z naczynia. W akwarium siedziało jakieś dziwne stworzenie. Czując na sobie wzrok przybyłych, zerkało przez ramię. Tassi otworzyła usta z niedowierzaniem, drgnęła i przylgnęła do stojącego za nią mężczyzny. Gładził ją odruchowo po ramieniu gestem, który w innych okolicznościach wyglądałby na ojcowski.

— No i jak, Tassi? — zapytał niskim, ponurym głosem. — Co o tym sądzisz?

Nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Marzyła tylko, żeby szybko zapomnieć o tym, co tu widzi. Stworzenie miało kształty zbliżone do ludzkich, ale nawet w panującym półmroku było oczywiste, że nie ma nic wspólnego z gatunkiem homo sapiens.

Pożerało właśnie, rozszarpując swymi pazurami jakieś krwiste ochłapy. Tassi mogła obserwować z boku pracę jego silnych szczęk. Stwór co chwila rzucał na patrzących prawie ludzkie, choć dzikie spojrzenie.

Zaniepokojony obecnością obcych w pokoju podniósł się i zaczął wędrować po piaszczystym dnie. Przypominał trochę małpę, tylko że jego stopy miały zbyt wiele zakrzywionych, ostro zakończonych palców. Poza tym, ciągnął za sobą ogon. Tassi przyjrzała się temu wyrostkowi i ze zgrozą dostrzegła na nim nie osłonięte powieką, bezrzęse oko.

Dziewczyna gwałtownie odskoczyła od naczynia. Bestia podniosła z piachu jakiś większy kawałek swego „posiłku". W łapach trzymała ociekające krwią... ludzkie ramię. Tassi pomyślała, że to tylko koszmarny sen. Tymczasem potwór zatopił zęby w ludzkiej dłoni.

— Spokojnie, moja droga — powiedział cicho Khuw w odpowiedzi na jej głośny, błagalny jęk.

— Ale to... jest...

— Człowiek — dokończył za nią. — A raczej to, co z niego pozostało. Rzeczywiście, zadowala się każdym mięsem, ale okazało się, że gustuje w ludzkich szczątkach.

— Wasylu, masz dla Tassi coś więcej? — zwrócił się do Agurskiego.

Naukowiec podszedł do dziewczyny i wcisnął jej w rękę kilka przedmiotów: portfel, obrączkę, dowód osobisty. I chociaż od razu wydały jej się znajome, przez dłuższą chwilę broniła się przed rozpoznaniem otrzymanych drobiazgów. W końcu jednak musiała pogodzić się z tym, że doskonale wie, do kogo należą. Poczuła silny zawrót głowy. Musiała się oprzeć o szklaną ścianę pojemnika, żeby nie stracić równowagi. Jej wzrok błądził od stwora do otrzymanych przedmiotów i z powrotem. Domyśliła się, że chciano jej dać do zrozumienia, że ta bestia pożera w tej chwili jej ojca. Agurski oddalił się w drugi kąt pomieszczenia i zapalił światło. Stwór zaskoczony, odrzucił kawał mięsa i, groźnie szczerząc kły, odwrócił się twarzą do Khuwa i Tassi. Jednocześnie oboje odskoczyli od naczynia. Przerażoną dziewczynę opuściła reszta sił i upadłaby na podłogę,

gdyby major nie zdążył podtrzymać jej bezwładnego ciała. To, co ujrzała, przerosło jej najbardziej potworne wyobrażenia. Bo ta, wykrzywiona z wściekłości, odrażająca i pofałdowana twarz stwora, miała niewątpliwie rysy twarzy jej... ojca.

W mieszkaniu Jazza Simmonsa w Hampstead panował nieopisany bałagan. Kiedy Harry Keogh znalazł się w nim ponad dwadzieścia cztery godziny temu, było tam zimno i nie działał telefon.

Harry zdecydował, że to będzie jego baza i ostrzegł INTESP, żeby nikt nie zakłócał jego spokoju w tym miejscu.

W ten sposób chciał się wczuć w atmosferę, w jakiej zaginiony spędzał swój wolny czas. Pragnął poznać prawdziwego Simmonsa, zrozumieć, jak żył. Poznać jego gust, przyjemności i codzienny tok zajęć pozasłużbowych. Harry był święcie przekonany, że o prawdziwej naturze i istocie człowieka decydują jego myśli.

Nieporządek, jaki panował w kwaterze mógł wynikać z charakteru lub podejścia do życia. Prawdopodobnie jednak była to forma odreagowania dla mężczyzny szkolonego według ostrych reguł wywiadu.

Na podłodze leżało mnóstwo książek i czasopism. Szpiegowskie kryminały mieszały się ze stertami obcojęzycznych publikacji, głównie na temat najnowszych dziejów ZSRR. Przy łóżku Jazza walały się całe roczniki radzieckiej „Prawdy", urozmaicone najnowszym numerem „Playboya". Harry uśmiechnął się. „Co za perwersyjne spotkanie dwóch biegunowo różnych ideologii" — pomyślał.

W sypialni znalazł starannie odkurzone, oprawione fotografie rodziców Jazza. Na ścianie — naturalnej wielkości zdjęcia Marylin Monroe. Pod oknem — toaletkę, zastawioną pucharami, nagrodami za zwycięstwa w zawodach narciarskich. Przy ścianie stały jaskrawożółte narty i kijki, mające widocznie szczególne znaczenie dla ich właściciela. W wąskim korytarzu znajdował się kredens, wypełniony rekwizytami potrzebnymi do czynnego uprawiania zimowego sportu. Obok odtwarzacza video w pokoju dziennym leżało kilkadziesiąt kaset, dokumentujących wszystkie ważniejsze zawody narciarskie z ostatnich pięciu lat.

W szufladzie komódki natknął się na całkiem pokaźną paczuszkę ze zdjęciami dziewcząt i kobiet. Obok niej znalazł zdjęcia Jazza z czasów, kiedy pracował jeszcze w wojsku. Dostrzegł też starannie owinięty papierem album, w którym ukryte były pożółkłe listy od ojca Simmonsa, pisane do syna niezwykle serdecznym tonem.

Harry pozwolił zebranym informacjom głęboko wryć się w jego umysł. Spał w łóżku Jazza, używał jego przyborów w łazience, korzystał z jego kuchni, a nawet garderoby. Odkrył kilka numerów telefonów od dawnych przyjaciółek agenta i zadzwonił pod nie, pytając o Jazza. Zorientował się, że rozmawiał z kobietami o różniących się od siebie temperamentach, ale łączyła je jedna wspólna cecha — były bez wyjątku bardzo in-

teligentne. Jednoznacznie oceniły Jazza jako „czarującego mężczyznę". Harry również nabierał do niego coraz większej sympatii. O ile jednak do tej pory wniknął w otoczenie zaginionego, to teraz postanowił zająć się rozszyfrowaniem jego osobowości.

Nadeszła pora skorzystania z ponadnaturalnych właściwości przestrzeni. Harry czuł, że powinien zbliżyć się jakoś do Simmonsa. Nie mógł tego zrobić w sposób materialny, musiało jednak istnieć metafizyczne echo Jazza. Nie było możliwości odnalezienia go teraz, ale egzystował w niej w przeszłości.

W czasach, gdy Harry pozbawiony był cielesnej powłoki, potrafił podróżować w czasie i włączać się w tok ziemskiego życia w dowolnym jego punkcie. Zjawiał się jak duch — niewidzialny świadek biegu historii świata. Obecnie jednak, posiadał cielesną skorupę i nie było to już możliwe. Ingerując w przeszłość lub przyszłość swą materialną postacią, mógłby doprowadzić do naruszenia delikatnej struktury czasu.

Potrafił przemieszczać się w czasie, ale nie wolno mu było opuścić przestrzeni Möbiusa i przekroczyć progu realności w innym punkcie tego wymiaru.

W tym wypadku nie miał zresztą takiej potrzeby. Samo wkroczenie w wymiar czasu powinno mu wystarczyć. Wszedł więc w przestrzeń Möbiusa, wywołał drzwi przeszłości i cofnął się o około dwa lata. Zmienił w ten sposób swoje położenie w czasie, nie opuścił jednak miejsca, z którego wyruszył. Wciąż znajdował się w mieszkaniu Simmonsa.

Następnie zwrócił się ku przyszłości i teraz ponad wszelką wątpliwość mógł założyć, że napotkane tu niebieskie promienie życia należą właśnie do Jazza. Podążył ich biegiem, szukając jakiegokolwiek związku między zniknięciem agenta, a niewiadomym od pewnego momentu losem Harry'ego Juniora i Brendy.

Nie wędrował tym śladem zbyt długo, a dokładnie do chwili, w której, jak stwierdził Darcy Clarke, całkowicie urwał się z Jazzem jednostronny kontakt telepatyczny. Chociaż Harry był na to przygotowany, aż do ostatniej sekundy nie widział przed sobą nic nadzwyczajnego, tylko nie rzucającą się w oczy na migocącym tle kulę jasnego, niemal białego światła. Minął ją i dalej... podróżował sam. Zgubił „nić" życia Jazza Simmonsa.

Jedno było pewne: biegła gdzieś, dokąd Harry nie znał drogi. Przypuszczalnie tym samym, niedostępnym dla niego szlakiem odeszli Harry Junior i jego matka.

Keogh nie musiał powtarzać eksperymentu. Podróż miała tym razem to samo zakończenie, co dziesiątki prób tego samego rodzaju, które przeprowadził w poszukiwaniu swych bliskich. Różniły się one tylko tym, że o ile strumień Jazza znajdował ujście w pojedynczym błysku, to zniknięcie „nici" Brendy i jej syna towarzyszyły dwa świetlne wybuchy. Harry nie miał pojęcia, co one oznaczają. Wiedział jednak, że trójka przestała istnieć w penetrowanym przez niego wszechświecie.

W tym punkcie rozważań niezmiennie dochodził do tego samego problemu: kontinuum Möbiusa.

August Ferdynand Möbius (1790-1868), niemiecki astronom i matematyk, spoczywał w grobie na cmentarzu w Lipsku. Oczywiście w naszym pojęciu pozostały z niego tam tylko prochy, ale dla Harry'ego Keogha, nekroskopa, nie stanowiło to najmniejszej przeszkody. Nekroskop odwiedził naukowca przed kilku laty, żeby poznać sekrety przestrzeni nazwanej jego imieniem. Möbius odkrył ją za życia. Po śmierci bezustannie pracował nad sformułowaniem logicznej teorii, która byłaby zrozumiała dla mózgów pozbawionych daru geniuszu. Nie dotyczyło to, rzecz jasna, Harry'ego Keogha i jego syna. Oni byli w pewnym sensie geniuszami.

Ostatnim razem Harry podróżował do Lipska konwencjonalnymi środkami transportu: samolotem do Berlina Zachodniego, a stamtąd do Lipska wypożyczonym samochodem, jak zwykły turysta. Jego wyprawa okazała się owocna i wracał w zupełnie inny sposób — przez drzwi Möbiusa. Od tamtej pory stał się prawdziwym mistrzem w tej sztuce podróży, nie znalazł zresztą zbyt wielu konkurentów w tej dziedzinie, a z synem nie miał okazji jeszcze współzawodniczyć.

Dziewięć lat temu figurował na czarnej liście radzieckiego Wydziału E. W jego poszukiwania zaangażowano nawet Borysa Dragosaniego, członka tej organizacji, wzywanego do współpracy w wyjątkowych sytuacjach. Chcieli Keogha żywego lub martwego. W obu przypadkach Dragosani miał „wypruć" z niego wszystkie sekrety jego nieprzeciętnych zdolności i talentów. Potrzebne mu było do tego ciało — nieważne w jakim stanie, byle z mózgiem i wnętrznościami. Gdyby udało mu się dostać zwłoki Harry'ego — sam zostałby nekroskopem i potrafiłby rozmawiać z duchami zmarłych. Ich doczesne powłoki straciłyby dla Dragosaniego jakiekolwiek znaczenie.

Miał on do swojej dyspozycji policję Berlina Wschodniego i polecił jej zatrzymać Harry'ego pod dowolnym, nawet wyssanym z palca zarzutem. W obliczu realnego zagrożenia Harry zdołał rozwiązać ostatnie równanie metafizycznego czasoprzestrzennego wymiaru Möbiusa i w ostatniej chwili wywołał jedne z drzwi. Ukazały się one, tylko Keoghowi oczywiście, dosłownie na tle nagrobka wybitnego astronoma.

Nic nie mogło powstrzymać potem krwawego odwetu Harry'ego na radzieckim Wydziale E, a szczególnie na Borysie Dragosanim. W bezpardonowym starciu ciało Harry'ego uległo zniszczeniu i opuścił je na zawsze, kiedy po raz kolejny salwował się ucieczką w przestrzeń Möbiusa. Po pewnym czasie ziemskiego niebytu przyjął ostatecznie ciało Aleca Kyle'a. A raczej ciało Aleca przyjęło jego umysł, to ono właściwie zadecydowało o obecnym stanie rzeczy, wciągając w powstałą w nim próżnię bezpostaciowego ducha. Pozwoliło to Keoghowi żyć między ludźmi i wyrwać się z pozbawionego materii i czasu wymiaru.

Harry wspominał tę dawną historię, stojąc przy grobie Möbiusa, oczekując od pochowanego w nim naukowca kolejnego wsparcia. Panowała ciemna jesienna noc. Księżyc zawisł nisko nad miastem, a gwiazdy świeciły, ostro pobłyskując między szybko

przemieszczającymi się, pojedynczymi chmurami. Wiatr hulał wśród wysokich kamiennych płyt i poruszał suchymi, szeleszczącymi liśćmi. Harry czuł przenikające go na wskroś dreszcze. Tylko częściowo były one naturalną reakcją na listopadowy chłód. Przede wszystkim bowiem, miał nieprzyjemne wrażenie wyobcowania w tym cichym, niedostępnym nocą zakątku.

Szybko odnalazł Möbiusa. Ten, jak zwykle, zajęty był swymi skomplikowanymi kalkulacjami i zapiskami. Tablice z ruchami planet, ich masy i wymiary, ciężary gwiazd, siły grawitacyjne, formuły tak skomplikowane, że nawet Harry z trudnością za nimi nadążał... Wszystko to mógł postrzegać swym wewnętrznym wzrokiem. Zorientował się, że problem jest co prawda złożony, ale zostanie wkrótce rozwiązany w pewnym zamkniętym wycinku i nie przeszkadzał naukowcowi. Po chwili ciąg myśli został przerwany, a Möbius westchnął zmęczony.

— Proszę pana? — odezwał się nekroskop. — Czy może mi pan poświęcić trochę czasu?

— Słucham? — spytał Möbius, zanim rozpoznał „głos" myśli Keogha. — Czy to ty, Harry? — dodał przychylnie. — Tak myślałem, że ktoś tu jest. Ale pracowałem nad czymś bardzo istotnym...

— Wiem — przytaknął Harry. — Wiedziałem, i dlatego panu nie przerywałem. To wspaniałe odkrycia!

— Tak. — Möbius był najwyraźniej zaskoczony. — To znaczy, że zrozumiałeś moje rozważania? No dobrze! Co ja w takim razie odkryłem?

Harry zawahał się. Znalazł się w towarzystwie geniusza. Möbius przez całe swe życie zajmował się wyższą matematyką, a po śmierci jeszcze rozwinął się w tej dziedzinie, podczas gdy matematyczne zdolności Keogha polegały głównie na intuicji. Möbius musiał ciężką pracą dochodzić do swych wniosków i osiągnięć. Uczyć się na własnych błędach i potknięciach. Harry poczuł się niezręcznie, przybywszy tu bez zapowiedzi, podglądając gotowe efekty wysiłku naukowca.

— Nie masz racji — teraz Möbius odczytywał myśli gościa. — Ty i podglądanie? Żartujesz chyba. Przecież traktuję cię jak kolegę, Harry, jak równego sobie! Co prawda, nie potrafię zaprzeczyć, że nie mogłeś sobie wybrać bardziej nieodpowiedniej chwili na tę wizytę. No dalej! Powiedz, co robiłem? Co udowodniłem przy pomocy tych liczb?

— Jak sobie życzysz. Odkryłeś, że w Układzie Słonecznym istnieje jedenaście planet, a nie dziewięć, jak przypuszcza się na Ziemi do tej pory. Obie nowe planety są niewielkie. Jedna położona jest dokładnie za Jowiszem, ma ten sam okres obiegu, tak więc nigdy nie jest zauważalna. Druga zaś nie odbija promieni słonecznych i jest mniej więcej tak samo oddalona od słońca jak Pluton.

— Świetnie — pochwalił go Möbius. — A co z ich księżycami?

— Księżycami? — To pytanie jakby zaskoczyło Harry'ego. — Odczytałem tylko pro-

blem, który przed chwilą rozwiązałeś. Dostrzegłem tam, co prawda, jakieś dygresje, procentowe określenia dopuszczalnych błędów, ale... — urwał.

— Ale? Ale? — Harry potrafił niemal zobaczyć, jak brwi uczonego unoszą się w oczekiwaniu. — Wszystkie wskazówki zawarte zostały w równaniach, Harry. Dobrze. Sam opowiem ci wszystko — odezwał się Möbius. — Wewnętrzny obiekt nie posiada prawdziwego księżyca, lecz znalazłem coś, czego nie można zignorować. Sprawdziłem dokładnie i wszystko wskazuje na to, że w odległości trzech kilometrów od planety matki, krąży sferyczne ciało z niklu i żelaza. Oczywiście, mógłbym to udowodnić idąc, tam i oglądając na własne oczy...

Harry potrząsnął głową pokonany i kwaśno skrzywił się.

— Jesteś dla mnie zbyt dobry — powiedział. — Zawsze będziesz. Czy pozwolisz mi pomóc temu odkryciu wyjść na powierzchnię? To powinno być łatwe i wywróciłoby do góry nogami wiele z dotychczasowych teorii! Mogłoby to być dzieło amatora, którego anonimowość nie miałaby nigdy zostać rozszyfrowana pod warunkiem, że po przeprowadzeniu niezbędnych badań jedna z nowych planet zostanie nazwana moim imieniem!

— Naprawdę byłbyś w stanie to zrobić, Harry!? — ze wzruszeniem zapytał uczony.

— Z pewnością znajdę jakiś sposób.

— Chłopcze... Boże! — Möbius ucieszył się jak dziecko. — Harry, jakże chciałbym uścisnąć ci dłoń!

— Możesz inaczej mi się odwdzięczyć — odparł Keogh, poważniejąc w jednej sekundzie. — Tak jak ostatnio, tak i teraz mam do ciebie prośbę. A właściwie trudną zagadkę do rozwiązania.

— Trudną? To się okaże. Mów, chłopcze — zachęcił go Möbius.

Harry opowiedział od początku do końca całą historię.

— Jak więc widzisz, nie jest to już tylko moja rodzinna sprawa. Weszliśmy na grunt międzypaństwowy — dodał.

Möbius wydawał się być niepocieszony.

— I ja mam ci pomóc? Jakże miałbym to zrobić? Jeśli, jak mówisz, nie ma ich tutaj. Fizycznie i psychicznie przestali istnieć w tym wszechświecie. Dokąd mógłbym skierować ciebie? Kosmos to kosmos, Harry. Istnieje prosta definicja tego pojęcia. Kosmos to WSZYSTKO. Nie ma ich tutaj — to znaczy nie ma ich nigdzie.

— Z początku też tak myślałem — odrzekł Harry. — Sam przyznajesz, że twoja przestrzeń to tylko metafizyczna płaszczyzna kosmosu. Wstępując w nią, występujesz poza trzy podstawowe wymiary, a nawet poza czwarty. Ale nie przekształca ich ona, tylko biegnie równolegle do wszystkich razem! I co z tego!? Czy czarna dziura nie jest wyjściem z tego kontinuum? Zawsze sądzono, że stanowi wielkie ognisko grawitacji, gdzie czas i materia są pochłaniane bezpowrotnie. Dokąd pochłaniane? One też przestają ist-

nieć w kosmosie, dokąd więc przechodzą, do diabła?

— Na druga stronę wszechświata. To jedyne wyjaśnienie — odpowiedział Möbius. — Zważ, że nie zajmowałem się jeszcze czarnymi dziwami profesjonalnie. Nie zdążyłbym, choć mam takie plany.

— Nie rozumiesz tego, co powiedziałem, czy chcesz ominąć ten temat? — dopytywał się Harry. — Powtarzam więc: jeśli czarne dziury dokądś prowadzą, co z przestrzenią pomiędzy? Co się dzieje z materią po jej zniknięciu, a przed pojawieniem się w innym świecie? To musi być coś w rodzaju naszej przestrzeni Möbiusa.

— Idź dalej — naukowiec poprosił zafascynowany.

— No dobrze. Przyjrzyjmy się temu z boku. Po pierwsze, mamy — powiedzmy — świat ziemski. Przedstawmy to obrazowo w taki sposób. Harry wyrysował na metafizycznym „ekranie" Möbiusa następujący diagram.

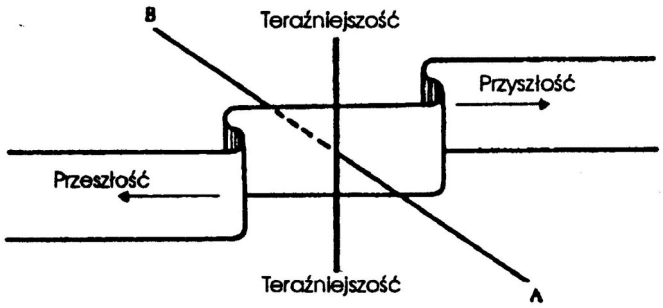

— Dlaczego wstęga? — zainteresował się natychmiast matematyk.

— To bardziej czytelne niż same linie — wzruszył ramionami Harry. — A zresztą, dlaczego by nie? To tylko przykład! To mogło być koło albo kwadrat, ale w tym ujęciu zmieścić można również przeszłość i przyszłość!

— No, zgoda!

— W tym diagramie wszechświata, z punktu A nie można przejść do punktu B bez przecinania jego krawędzi. Oczywiście należy pamiętać, że ta przykładowa wstążka jest nieskończenie szeroka i nie da się jej po prostu przeskoczyć. Jasne?

— Jak Słońce! — zawołał uczony.

— A oto jak wyobrażam sobie kontinuum Möbiusa.

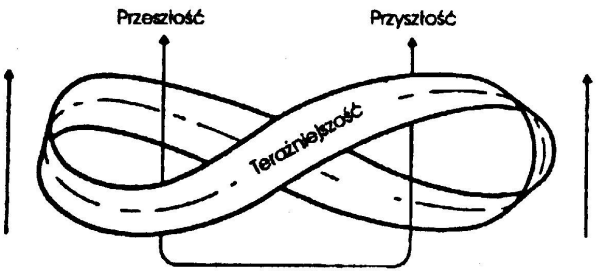

— To ta sama wstążka, tylko że poskręcana — kontynuował Harry. — Teraźniejszość została obrócona o dziewięćdziesiąt stopni i stała się wiecznością. Punkty A i B znajdują się teraz na tym samym planie i nie trzeba tu przecinać żadnych krawędzi, żeby się między nimi poruszać. Zmierzając od jednego do drugiego, wciąż będziemy to robić w teraźniejszości!

— Dalej, dalej — ponaglił go Möbius, coraz bardziej przejętym tonem.

— Dawniej myśleliśmy, że podróż w przestrzeni przypomina spacer w siedmiomilowych butach po naszym przeznaczeniu i że w czasie jednej sekundy pokonujemy „dystans" wielu godzin. Ale sprawdziłem wszystko i twierdzę, że to wygląda zupełnie inaczej. W rzeczywistości nie ma żadnego „w jednej sekundzie". Nie istnieje tam pojęcie „szybciej", ponieważ nie ma dla niego miejsca. Nie istnieje tam w ogóle przestrzeń.

Möbius odezwał się pierwszy po chwili milczenia, jaka zapadła po wywodzie Harry'ego.

— Myślę, że cię rozumiem. Oto, co chcesz wiedzieć: jeśli dla nas przestrzeń między A i B redukuje się do zera, jeśli ona faktycznie zanika...

— Dokładnie tak! — wykrzyknął Harry. — Gdzie ona się wtedy podziewa?

— Ale i to tylko wrażenie — odparł Möbius. — Ona wciąż tam jest. To my znikamy, w kontinuum Möbiusa, jak upierasz się je nazywać!

— A jednak dokądś wstępujemy — westchnął Harry zniecierpliwiony. — Tak przynajmniej to widzę — przechodzimy do pozbawionego życia i materii kręgu w samym środku próżni między światami. Światami — liczba mnoga! Wiemy, że znajdują się tam drzwi, którymi można przechodzić do przyszłości, przeszłości i w dowolny punkt o dowolnej porze. Zaczynam wierzyć, że wśród tysięcy tego rodzaju drzwi są też takie, których nie potrafimy jeszcze otworzyć! Nie znamy jeszcze rozwiązania otwierających je równań. Jedne z nich mogą...

— Prowadzić do twego syna i żony, i do Michaela J. Simmonsa?

— Tak!

Möbius pokiwał głową.

— Inne drzwi — mruknął zadumany. — Przyznaj, że znam lepiej swoją przestrzeń od ciebie. Miałem sto dwadzieścia lat na to, żeby dokładnie ja przebadać. Odkryłem ją i przy jej użyciu dotarłem do miejsc, na których odwiedzenie zabrakłoby twojego, najdłuższego nawet życia.

— Chwileczkę — chciał wtrącić się Harry.

— Chwileczkę? — Brwi Möbiusa nie mogły już pewnie podnieść się wyżej. — Chwileczkę?! A potrafisz wejść w głąb gwiazdy Betelgeuse, żeby zmierzyć jej temperaturę? Proszę, wyląduj na księżycu Jowisza. Albo na dnie najgłębszego podwodnego rowu na Ziemi, żeby określić w przybliżeniu masę wód całej naszej planety. Potrafisz? Nie, nic z tego! A ja tak, i dokonałem tego! Musisz więc przyznać, że wiem na temat kontinuum

więcej, niż ty kiedykolwiek zdołasz się dowiedzieć!

Harry nie chciał się z nim wcale spierać.

— Myślę, że zamierzasz powiedzieć mi coś, czego wolałbym nie usłyszeć.

— I masz rację! Nie ma drzwi w przestrzeni, których nie potrafiłbym otworzyć. Inne światy? Brzmi trochę nieprawdopodobnie, ale nie mam prawa cię przekonywać, że to niemożliwe. Zwróciłeś się do niewłaściwego człowieka. Operuję w swych badaniach jedynie ziemskimi trzema wymiarami, a te wykluczają zasugerowany przez ciebie ewentualność. Jednego wszak jestem pewien, droga do nich nie prowadzi przez moją przestrzeń i ponoszę pełną odpowiedzialność za te słowa...

Zapanowała między nimi cisza. Rozczarowanie Harry'ego stało się niemal materialne i zawisło nad grobem naukowca jak ciężki obłok.

— Dziękuję, że poświęciłeś mi tyle uwagi — odezwał się przygnębiony nekroskop. — I tak zmarnowałem już mnóstwo swojego czasu. A teraz zabrałem cały kawał twojego, też na próżno.

— Nic nie szkodzi — pocieszył go uczony. — Czas jest ważny tylko dla żywych. Ja zaś mam go pod dostatkiem! Naprawdę żałuję, że nie jestem w stanie ci pomóc!

— Już pomogłeś — odparł Harry. — Negatywna odpowiedź, to zawsze odpowiedź. Godzinami próbowałem przekonać samego siebie, że kontinuum Möbiusa rozwiąże ten problem. To była właśnie strata czasu. Teraz wiem, że muszę iść w innym kierunku. Bo widzisz, mój syn na pewno żyje. Nie mam co do tego wątpliwości. I potrafi posługiwać się przestrzenią lepiej niż ja sam. Jeśli więc nie poszedł twoją wstęgą nieskończoności, musi istnieć jakieś inne wyjście z tego świata. Mam już pewne wskazówki, co do dalszych poszukiwań, z tym, że… wiążą się one z większym ryzykiem, to wszystko. A teraz…

— Poczekaj — zawołał Möbius. — Zastanowiłem się nad twoimi diagramami. Możemy do nich wrócić?

— Jak najbardziej!

— Posłuchaj więc. Tu jest twoja wstęga naszego wszechświata, a dalej równoległa, o podobnej konstrukcji. Jak widzisz, połączyłem je za pomocą...

— Czarnej dziury! — spróbował odgadnąć Harry.

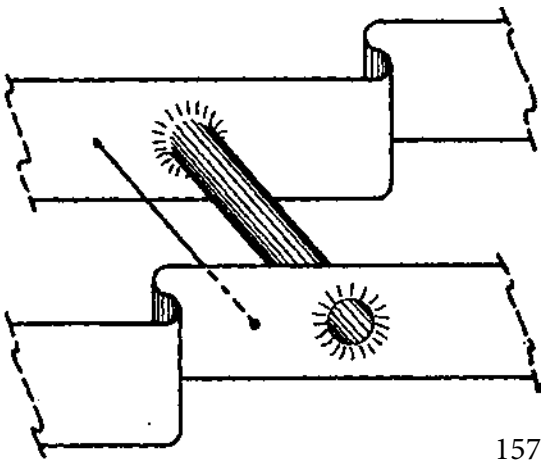

— Nie. Mówimy przecież o przetrwaniu tej podróży. Żadna materia nie wyszłaby cało z tej maszynki do mięsa, do której czarną dziurę można z powodzeniem przyrównać. Gaz, atomy, czysta energia — oto, co by z niej pozostało!

— To wyklucza też w takim razie białe dziury — domyślił się Harry.

— Ale nie szare — rzekł naukowiec.

— Szare dziury! — Harry usłyszał o nich po raz pierwszy.

— Tak... mogę to sobie wyobrazić — mruczał Möbius Jakby rozmawiał sam z sobą.. Szare dziury bez niszczącej grawitacji czarnych i destrukcyjnego promieniowania białych... To całkiem możliwe. Bezpieczne, proste wrota między światami. Musi ich być więcej niż jedne, bo jak raz przez nie przejdziesz, nie możesz się przez nie wycofać. Ale inną drogą? Kto wie...?

Harry nie przerywał mu. Wielowyrazowe równania znów zaczęty migotać na metafizycznym „monitorze" umysłu Möbiusa. Biegły coraz prędzej. Keogh nawet nie starał się pochwycić ich sensu. Zlewające się znaki były ledwo odczytywalne.

— To rzeczywiście prawdopodobne — odezwał się po chwili Möbius. — Mogły pojawić się one w naturalnym, fizycznym świecie. Jedno wydaje się tu ważne: człowiek nie potrafiłby spreparować ich celowo. To mógł być wyłącznie przypadek.

— Ale ty wykonałeś przecież jakieś obliczenia! Wystarczy, żebym przełożył je teraz na język mechaniki i inżynierii i sam byłbym w stanie je wyprodukować! — Harry, podekscytowany, deptał wyschnięta trawę wokół grobowca.

— Sam? Nie wierzę! Co innego zespół fizyków i chemików, mający do dyspozycji niewyczerpalne źródło energii i wyspecjalizowany sprzęt. Powtarzam jednak, po raz pierwszy spowodować to musiał przypadek.

Harry natychmiast pomyślał o eksperymencie Perchorskim.

— Czegoś takiego pragnąłem od ciebie się dowiedzieć! Teraz naprawdę muszę ruszać dalej! Dzięki stokrotne!

— Miło się z tobą gawędziło, Harry. Uważaj na siebie.

— Będę — obiecał Keogh. Szczelniej owinął się swym ciepłym płaszczem, wywołał metafizyczne drzwi i zniknął...

Jakieś trzy dni przed wizytą Harry'ego na cmentarzu w Lipsku.

Jazz Simmons wędrował na zachód wraz z Zek, Lardisem i jego grupą. Jego skóra nabierała złotego odcienia w żółtym blasku niemal nieruchomego słońca. Był szczęśliwy, że zdjęto z niego cały ciężar ekwipunku, nie rozstawał się tylko z bronią i dwoma zapasowymi magazynkami. Wiedział, że mimo śmiertelnego zmęczenia będzie teraz w stanie iść o własnych siłach tak długo, aż Wędrowcy zarządzą dłuższy postój.

Zek umyła się w pobliskim źródle. Wyglądała świeżo i naprawdę prześlicznie. Pokry-

te ranami stopy owinęła miękkimi, czystymi skrawkami materiału i starała się stąpać wyłącznie po uginającej się, bujnej trawie i pozbawionej ostrych kamieni pulchnej ziemi. Ona też czuła zmęczenie, a jednak szła lekko. Z jej twarzy zniknął wyraz przygnębienia i obawy.

Jazz, zachwycony, zdołał w końcu oderwać od niej swój wzrok. Przyjrzał się z kolei towarzyszącym im Wędrowcom.

Jego pierwsze domysły potwierdziły się: rzeczywiście byli krewniakami Cyganów, posługiwali się starym dialektem rumuńskim. Nie potrafił tylko wytłumaczyć sobie, skąd tyle podobieństw i cech łączących narody z dwóch światów. Chciał zapytać o to Zek. Był w głębi duszy zaskoczony, jak szybko zdobyła jego zaufanie. Zaczynał bezkrytycznie polegać na jej słowach i opiniach. Złościło go też, że jej osoba pochłania tak dużo jego uwagi, którą w całości powinien przeznaczyć na poznawanie całkowicie obcej rzeczywistości, w której się znalazł.

Większość mężczyzn nosiła w lewym uchu kolczyki. Wyglądały na złote i pasowały do obrączek, a także pierścieni, zdobiących ich ciemne dłonie. Widocznie nie brakowało tutaj tego kruszca. Barwił on na żółto ich drewniane nosze, z niego wykonane zostały zapinki ich skórzanych kurtek, zdobił szwy szerokich spodni, a nawet zelówki twardych sandałów. Bardziej ceniono tu najwidoczniej srebro. Używano go mniej rozrzutnie. Pobłyskiwało jedynie na grotach strzał i końcach włóczni, ale nie służyło celom dekoracyjnym. W tym świecie srebro miało znacznie większą wartość niż złoto.

Nie wszystko było dla Simmonsa oczywiste. Na przykład: wydawało się, że otaczający go świat jest niemal nienaruszalny w swej naturze, że nie dosięgła go cywilizacja, a jednak zamieszkujący go cygański naród nie należał do prymitywnych. Co prawda, nie widział tu jeszcze charakterystycznego cygańskiego wozu, ale wiedział, że prędzej czy później znajdzie go tutaj. Przyglądał się małemu, może pięcioletniemu chłopcu. Bawił się niezgrabną drewnianą zabawką. Przedstawiała parę jakby przyrośniętych, kudłatych owiec, zaprzężonych cienkimi rzemykami do małego wózka. Znali więc koło. I wykorzystywali pociągową siłę zwierząt. Potrafili wytapiać metale, a ich broń wcale nie wyglądała na barbarzyńską. W wielu nie rzucających się w oczy detalach Jazz odnajdował ślady znacznie wyższej niż pierwotna kultury. Był przy tym zdumiony, że w tak niesprzyjających normalnemu życiu warunkach i w tak nieprzyjaznym człowiekowi środowisku w ogóle natknął się na jakąś cywilizację.

Wędrowali w stosunkowo nielicznej grupie. Nie przekraczała ona sześćdziesięciu osób, wliczając w to dawną kompanię Arleka i kilka rodzin, które dołączyły do nich po drodze. Wszyscy szli pieszo, za wyjątkiem jednej starej kobiety i dwojga dzieci usadowionych na prostych noszach na stertach puszystych skór. Jazz zauważył, że mimo pozornego spokoju ktoś, co rusz, podejrzliwie spoglądał na pozostawione za ich plecami słońce. Zek powiedziała mu niedawno, że do prawdziwej nocy pozostało jeszcze do-

bre czterdzieści pięć godzin. Również i jego marzeniem było jak najdalej odejść przed zmrokiem od zdradliwej przełęczy.

— Gdzie jest reszta? — Jazz zwrócił się do Zek. — Nie powiesz mi chyba, że to cały szczep!

— Nie. — Energicznie potrząsnęła głową. — Szczepy Wędrowców nie przemieszczają się masowo. To jedna z podstawowych zasad Lardisa. Przed nami znajdują się dwa obozowiska, znacznie bardziej liczne od naszej grupy. Jeden w odległości około czterdziestu mil, a drugi jeszcze dwadzieścia pięć mil dalej, w pobliżu pierwszej kryjówki. Schronienie stanowi skomplikowany system jaskiń połączonych z sobą tunelami w głębi twardej skały. Wędrowcy rozpraszają się po zakamarkach i dosłownie znikają w ciemnościach panujących pod górami. W ten sposób spędzamy całe długie noce. Ciągną się one w tym bezruchu w nieskończoność.

— Sześćdziesiąt mil? — Spojrzał na nią przerażony. — Mamy je pokonać przed nocą? Żartujesz chyba! — Zerknął za siebie.

— Mamy na to dużo czasu — przypomniała mu po raz nie wiadomo który. — Możesz patrzeć w słońce tak długo, aż oślepniesz, a nie ruszy się ono z miejsca. To naprawdę powolny proces.

— No cóż, chyba wiesz, co mówisz — westchnął zrezygnowany.

— Lardis zamierza robić przerwy co piętnaście mil — tłumaczyła. — Sam jest bardzo znużony, może nawet bardziej od nas. Dlatego pierwszy postój z pewnością zarządzi już niedługo. Wszystkim przyda się trochę snu. Wilki pozostaną na straży. Odpoczynek nie potrwa jednak dłużej niż trzy godziny. Potem sześć godzin marszu i znowu czas na nabranie sił. To nie takie straszne, o ile zdołasz się podporządkować tym surowym regułom i włączyć w regularny rytm marszu.

Nagle rozległ się krzyk Lardisa, powstrzymujący pochód.

— Jeść, pić i spać! — zawołał głośno.

Wędrowcy posłuchali bez słowa sprzeciwu, a za nimi Zek i Jazz. Dziewczyna rozwinęła swój śpiwór.

— Zrób sobie legowisko ze skór. Możesz je wziąć z którychkolwiek noszy, zawsze mają ze sobą kilka na zapas. Ktoś przyniesie nam zaraz chleb, wodę i trochę mięsa.

Nie tracąc czasu, wsunęła się w śpiwór i do połowy zamknęła go na zamek. Jazz palił papierosa i poszedł po skóry. Po chwili położył się blisko Zek i jadł otrzymany od jakiegoś Wędrowca posiłek.

— Czuję się jak małe dziecko przed nocą wigilijną! — zdradził swe podniecenie. — Nie zasnę teraz, mowy nie ma! Tyle się wydarzyło, że muszę to wszystko przemyśleć.

— Zaśniesz — zapewniła go.

— A może opowiedziałabyś mi coś na dobranoc? — zaproponował, układając się

wygodnie. — Najlepiej twoją historię!

— Historię mojego życia? — Uśmiechnęła się niepewnie.

— Niekoniecznie. Wystarczy jej fragment, odkąd się tutaj znalazłaś. Wiem, że nie będzie zbyt romantyczny, ale im więcej dowiem się o tym miejscu, tym lepiej. Teraz, kiedy mamy dość zaskakujące informacje o Rezydencie, który przypuszczalnie robi sobie stąd wycieczki do Berlina, próba przetrwania ma niezaprzeczalny sens.

— Masz rację — zgodziła się dziewczyna. — Wiele razy chciałam się poddać. Cieszę się, że tego nie zrobiłam. Chcesz wiedzieć, jak to u mnie wyglądało? Proszę bardzo, słuchaj więc...

Zaczęła mówić niskim, zdecydowanym głosem. Przyjęła od Wędrowców dramatyczny, barwny styl wypowiedzi, nieobcy również wampirom. W jej umysł wrył się ich sposób myślenia i reagowania, bo będąc telepatką, odbierała go bezpośrednio, bez zewnętrznych, zniekształcających go gestów. Stał się on teraz jakby jej drugą naturą.

Jazz z przyjemnością wsłuchiwał się w śpiewną melodię jej opowieści.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Historia Zek

— Zanim przeszłam przez Bramę, wyposażono mnie w odpowiedni sprzęt. Jestem słabsza od ciebie i zabrałam tylko to, co wydawało mi się naprawdę niezbędne.

Panowała noc — nie miałam żadnych szans. Zresztą wtedy nie wiedziałam jeszcze, co mnie czeka. Gdybym była tego świadoma, pewnie popełniłabym samobójstwo. Opuściłam więc ognistą kulę i ostrożnie zeszłam z wysokiego obrzeża krateru. Och, możesz mi wierzyć, że zanim to uczyniłam, po raz ostatni spróbowałam przedrzeć się z powrotem. Oczywiście, chciałam przebić głową mur. Musiałam się poddać i zacząć poznawać to miejsce. Stanąć twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem.

Pierwszą rzeczą, którą ujrzałam, były wampiry i ich poddańcze potwory. I o ile ich widok mnie przeraził, moje nadejście też wywarło na nich pewne wrażenie. Zostali najwyraźniej zaskoczeni. Nie wiedzieli, jak mają zareagować na moje przybycie, ponieważ nikogo się nie spodziewali. Sami znaleźli się przy Bramie przypadkiem, o czym miałam się wkrótce przekonać. Wspominam to wszystko jak zły sen.

Widziałeś już latające bestie, dzięki którym wampiry mogą przemieszczać się z miejsca na miejsce. Nie miałeś jednak okazji poznać ich wojennych potworów, a jeśli nawet, to nie widziałeś ich z bliska. Nie myślę tu o porucznikach Szaitisa — Gustanie i tym drugim. To byli dawni Wędrowcy, zwampiryzowani przez Szaitisa. Otrzymali od niego odrobinę władzy i autorytetu. Nie noszą jednak w sobie, jak przypuszczam, jaj wampira i nie mogą nawet marzyć o czymś więcej niż służenie ich Lordowi. Oczywiście, w pewnym sensie również są wampirami, ale nie przestali przy tym być ludźmi... — przerwała na moment i westchnęła.

— To bardzo skomplikowane Jazz. Wampiry są... to znaczy cykl jest niezwykle złożony. Spróbuję przybliżyć ci jego mechanizm biologiczny.

Jak już wspomniałam, podstawowy wychów wampirów odbywa się na bagnach na obu krańcach pasma gór. Ich pochodzenie nie jest do końca pewne: prawdopodobnie wampirzy rodzice zakopani są głęboko w błotach moczarów i nigdy nie wychodzą na

światło dzienne. Pytałam Wędrowców i Lady Karen, ale nikt nie potrafił powiedzieć mi czegoś więcej na ten temat.

Gdy zostanie złożona ta swego rodzaju wampirza ikra, jej każde, najdrobniejsze nawet ziarenko musi znaleźć sobie „gospodarza". Prowadzi je bezbłędny instynkt, podobnie jak natura wskazuje kaczemu pisklęciu drogę do wody. To jest zresztą warunek ich przetrwania. Kiedy dłużej pozostają poza żywym ciałem, obumierają i giną. Są jak kukułcze... nie, to nie tak. Już wiem! Jak tasiemce. Typowymi pasożytami, ale niedokładnie na tej samej zasadzie.

Zamieszkują ciała krów, świń i owiec, rozmnażają się przez pączkowanie w ich wnętrzu i wydostają z odchodami na zewnątrz. Tam znajdują nowych gospodarzy — przez dotyk i najmniejszą rankę na skórze innych zwierząt albo ludzi!

A kiedy dostaną się do wątroby, żywiciel ginie. Organ ten ulega zanikowi i zwierzę pada. Zostaje ono, wraz ze swym lokatorem, zjedzone przez inne zwierzęta mięsożerne, a czasem nieostrożnych ludzi i tak dalej, i tak dalej...

Teraz wyjaśnię ci, na czym polega zasadnicza różnica między wampirzymi jajami a zwykłymi pasożytami. Te ostatnie krańcowo wykorzystują swych gospodarzy fizycznie i po ich śmierci same giną. Istota szkodliwości wampirów jest w zasadzie biegunowo różna — one rosną wraz z zamieszkiwanymi osobnikami, wzmacniają je nawet, ale zmieniają przy tym ich naturę. Najpierw uczą się od nich, a potem podporządkowują sobie ich umysł i charakter, niszczą ich indywidualność. Wciąż jednak dodają im siły fizycznej i osłaniają, uodparniając przed groźnymi chorobami. Genetycznie pozbawione płci, przyjmują płeć swej ofiary, jej zwyczaje i sposób zachowania się. Ludzie z natury są wojowniczym gatunkiem, a jako wampiry dosłownie uwielbiają kąpać się w krwi swych przeciwników!

Teraz kilka słów o psychicznym upośledzeniu człowieka opanowanego przez mieszkającego w nim wampira. Tu też ogromne znaczenie ma fizyczna strona zagadnienia. Wampirze podrzutki to protoplazma złożona z komórek o różnym pochodzeniu. To mieszanina skrawków ciał ludzkich, zwierzęcych i wszystkiego, co żyje. Latające potwory, które widziałeś, trudno nazwać zwierzętami. Rosnąc ze swym gospodarzem, nadają mu cechy różnych istot w nim zawartych. To pozwala wampirom być mistrzami metamorfozy!

Przypuśćmy, że niemowlę wampirów szczęśliwie dostało się do wilczego ciała. Przejęło jego przebiegłość, zręczność i pierwotne instynkty. Żeby przypodobać się ludziom, dla zdobycia pożywienia, wampiro-wilk może przybrać ludzkie kształty! Będzie chodził na dwóch nogach, będzie posiadał ludzkie rysy i budowę. Zwykle działa nocami. Atakuje w sposób brutalny.

Każde ugryzienie jest niezwykle niebezpieczne. Jest zaraźliwe! Ale nie zabija, jeśli wampir tego nie chce. Może za to wpuścić w ciało ofiary kawałek swej protoplazmy

i wówczas człowiek zostaje zwampiryzowany. Przypuśćmy, że atak jest tak brutalny, że wampir wypija całą krew z bezbronnego człowieka. Wysusza ciało do ostatniej kropli tego życiodajnego płynu. Umiera zaatakowany człowiek, ale nie jego ciało! W ciągu siedemdziesięciu godzin, czasem trochę szybciej, opuszczona powłoka ulega całkowitemu przeobrażeniu! Znów zaczyna bić w nim serce prawdziwego, nowego wampira. Jak zdążyłeś pewnie zauważyć, posiadają one niezliczone możliwości rozprzestrzeniania swych wpływów.

Zaczynam odbiegać od tematu. Chciałam ci wyjaśnić, czym naprawdę są wojenne bestie wampirów. Wyobraź sobie latające kilkutonowe potwory z dwunastoma głowami na długich, opancerzonych szyjach. Wszystkie łby wyposażone w wielkie szczęki wypełnione dwoma rzędami zębów o wielkości i ostrości mieczy. A jeszcze niezliczoną ilość chwytliwych ramion i macek, a wtedy ich obraz będzie prawie kompletny. W dodatku potwory wyszkolono wyłącznie na usługi wampirów. Te bezmyślne zwały mięsa z poczuciem niewiarygodnej lojalności w stosunku do ich panów, są najbardziej zaufanymi poddanymi tego Lorda, który je stworzył.

Widzę pytanie w twoich oczach, Jazz. Chciałbyś wiedzieć, z czego dokładnie powstają i w jaki sposób? Muszę cię rozczarować. Nie znam dokładnych odpowiedzi na wszystko. Jedno jest pewne. Nawet najstraszniejsze bestie wywodzą się z ludzkiego drzewa genealogicznego.

Wróćmy w końcu do moich przygód. Pierwszą rzeczą, którą ujrzałam były dwie wojenne bestie. Ich wielkość przerażała, a ich przeznaczenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Popatrz na wizerunki istot pierwotnych, a od razu zorientujesz się, które były waleczne, a które broniły się przed panowaniem innych. Wkrótce spostrzegłam też, że potwory są pilnowane i wykonują czyjeś polecenia. Okazało się, że monstra były niewolnikami wampirów.

Spróbuj to sobie wyobrazić: z tyłu masyw łańcucha górskiego, a przed nim dwie wieżyce wojennych bestii. Jeszcze bliżej — z pół tuzina latających potworów, a na ich grzbietach najważniejsi — wampiry. Przybyli do Bramy, żeby ukarać jednego z nich. Buntownika nie poddającego się rządom Lady Karen. Przez chwilę staliśmy, patrząc na siebie w zdumieniu połączonym ze swego rodzaju zainteresowaniem. Zamierzali właśnie za karę wrzucić kogoś w Bramę.

Ujrzałam Karen, jej czterech poruczników i nieszczęsnego skazańca — wyjątkowej brzydoty i rozmiarów. Spętany był żółtymi łańcuchami! Złoto, jak zapewne wiesz, jest metalem miękkim i niezwykle plastycznym. W tym łańcuchu było więcej złota, niż kiedykolwiek widziałam. Corlis — tak miał na imię ten buntownik — nosił go bez żadnego wysiłku. Był on olbrzymim mężczyzną. Nie posiadał broni na prawym ręku, co miało go upokorzyć i zawstydzić. Nagi i bezbronny, rzucał swymi purpurowymi oczami bły-

skawice wściekłości i niewypowiedzianych obelg.

Otaczający go wojownicy nosili na plecach skórzane peleryny, a w rękach trzymali długie, ostre miecze. Potem dowiedziałam się, że śmierć od miecza oznacza hańbę. Godna szacunku jest tu jedynie śmierć od groźnej bransolety. Co więcej, miecze te pokrywała warstwa srebra. Znasz już jego działanie. W każdym razie, wszystkie cztery ostrza skierowane były wprost w ciało Corlisa.

Za buntownikiem, oddzielona od niego dwoma pilnującymi go strażnikami, stała dumnie Lady Karen. Miała miedziane włosy, tak lśniące, że odbijały blask bijący od sfery. Promienie tworzyły wokół niej złotą aureolę. Jej błyszczące naramienniki z idealnie wypolerowanego metalu prawie mnie oślepiły. Na dłoniach nosiła rękawiczki z białej, cienkiej skórki, do których przymocowany był delikatny łańcuch, obiegający jej ramiona i kark. Na stopach miała skórzane, zdobione złotem sandały. Okrywał ją futrzany płaszcz, wykonany z doskonale wyprawionej skóry z wielkich skrzydeł nietoperza — giganta. Jak się domyślasz, i na nim nie brakowało żółtych ozdób i zapinek. Jej talię opinał gruby, skórzany pas z oryginalną klamrą — łbem martwego, szczerzącego zęby wilka. Miała też oczywiście na ręku tradycyjną broń wampirów — groźną bransoletę.

Uwierz mi, to była nieprzeciętnie piękna kobieta. A raczej byłaby w naszych ziemskich warunkach, gdyby nie jej czerwone oczy i odbiegający od naszego ideału urody nos. Odrobinę większy i zadarty, ze zbyt okrągłymi i przepastnymi nozdrzami. Sama twarz w kształcie serca, z perfekcyjnie wykrojonymi, purpurowymi ustami, wspaniałymi łukami gęstych brwi i lekko zapadniętymi policzkami. Ognisty wzrok nadawał jej demonicznego charakteru, a ciemna cera pozwalała domyślać się jej cygańskiego pochodzenia. Każdemu jej ruchowi towarzyszyło przyjemne dla ucha dzwonienie złotych ozdób i łańcuszków.

Mieszkanka piekielnego lądu odezwała się w języku, którego nie rozpoznałam, ale który pomógł mi zrozumieć mój talent. Dla telepatów nie istnieje pojęcie „język obcy". Możemy nie rozumieć wypowiadanych słów, ale potrafimy odczytać ich znaczenie wprost z umysłu mówiącego. Tak zrobiłam i tym razem, a Lady Karen momentalnie to wyczuła. Wyciągnęła w moim kierunku swoją dłoń oskarżającym gestem!

— Złodziejka myśli!! — zawyrokowała bez wahania.

Zmrużyła swe czerwone oczy i zwróciła się do mnie pełnym namysłu tonem.

— Kobieto z piekielnego lądu. Słyszałam o mężczyznach czarownikach, którzy przeszli na tę stronę przez świecący portal, ale nigdy o czarownicach. To na pewno jakiś omen. Będę mogła wykorzystać twoje zdolności na swój własny użytek. — Skinęła głową. — Poddaj się wraz ze wszystkimi sekretami, a ja będę ciebie ochraniać. Jeśli mi odmówisz... idź swoją drogą bez mojej protekcji!

Odruchowo spojrzałam na pożądliwie spoglądające na mnie zza jej pleców bestie. Musiałam szybko się zdecydować. Nie pójdę z nią, to dokąd się udam? Albo przez kogo

potem zostanę pochwycona? Wołałam tego nie sprawdzać!

— Jestem Zekintha — powiedziałam w końcu. — Przyjmuję twoją propozycję.

— W takim razie mów do mnie Lady Karen. — Dumnie podniosła głowę. — A teraz trzymaj się na uboczu przez chwilę. Mamy tu pewną sprawę do załatwienia.

— Puśćcie tego psa Corlisa. Niech się stąd zabiera! — zwróciła się do mężczyzn.

Porucznicy popchnęli jeńca w stronę świetlistej kuli. Nawet spętany mógł się z łatwością obrócić i oprzeć ich przemocy, ale posrebrzane ostrza mieczy, kłując go w nagie ciało, skutecznie powstrzymywały go przed spontaniczną reakcją. Strażnicy musieli jednak umożliwić mu samodzielne poruszanie się i swobodę ruchu, więc zaczęli ściągać z niego ciężkie łańcuchy. Corlis tylko na to czekał!

Kiedy ostatni z łańcuchów został rozerwany, więzień błyskawicznie owinął jeden z jego końców wokół swojego nadgarstka i, już uzbrojony, zamachnął się na pilnującą go czwórkę. Zanim porucznicy odzyskali orientację, łańcuch, bezwładnie rozciągnięty na całą długość, pofrunął w ich kierunku. W następnej sekundzie wszyscy czterej znaleźli się na ziemi. Buntownik roześmiał się okrutnym chichotem szaleńca. Nie czekając, aż się podniosą pochwycił Lady Karen i przycisnął ją do siebie.

— Może i będę ofiarą wrót do piekielnego lądu — krzyknął desperacko — ale ty podzielisz mój los!

Jak się zapewne domyślasz, tak jak ty sprowadziłeś tu siłą Karla Wiotskiego, Corlis był zdecydowany pociągnąć Lady Karen za sobą w przeciwnym kierunku.

Wciąż nie zwalniając uścisku wokół talii Karen, buntownik znalazł się tuż przy wysokich krawędziach krateru. Porucznicy zdążyli wstać i przyczajeni szli za nim krok w krok, lecz Corlis miał nad nimi przewagę. Nie mogli przecież ryzykować życia tak ważnej zakładniczki. Na mnie w ogóle nikt nie zwracał uwagi. Tylko o tym zresztą marzyłam. W końcu Corlis doszedł do „dziurawego" przedpola Bramy. Był teraz bardzo blisko miejsca, w którym przykucnęłam ze strachu. Karen kopała go i gryzła, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Lady jest co prawda wampirzycą, lecz nie przestała być kobietą. Corlis bez wysiłku dźwigał ja pod pachą. Kierował się prosto na schodki ułożone przypadkowo z dużych płaskich kamieni. Miał stamtąd nie więcej niż trzy, cztery kroki do sfery. Znalazł się w odległości jednego metra ode mnie. Wtedy podstawiłam mu nogę! Tak po prostu. Potknął się, a Karen wyleciała mu rąk. O mały włos nie wpadła przy tym do jednej z dziur.

Corlis musiał podeprzeć się jednym kolanem i zatrzymał się w tej pozycji. Całą swą nienawiść i rozczarowanie zwrócił przeciwko mnie. Byłam prawie w zasięgu jego rąk. Wyciągnął w moją stronę swe ramię, ale zdołałam się przed nim cofnąć. Z tym, że... Boże, Jazz, jego ramię wciąż za mną podążało. Wydłużało się jak guma! Słyszałam nawet trzask rozciąganych mięśni i ścięgien. Jego twarz zaczęła się zmieniać. Nie miał już ust, tylko szeroko rozwartą paszczę, w której ledwo mieściły się, rosnące na moich oczach

zębiska! Nie wiem, czym skończyłaby się ta metamorfoza. Nie miałam ochoty na to czekać i podniosłam wyżej swój automat.

Oczywiście przez cały czas go trzymałam. Nie jestem jednak żołnierzem i nigdy nie strzelałam do człowieka. Jednak łatwiej mi było się zdecydować, ponieważ to, co ujrzałam nie przypominało osobnika o ludzkiej naturze. Poza tym nie miałam wyboru. Nacisnęłam spust. Nie pytaj, skąd wzięłam na to siłę. Czułam, że kolana uginają mi się z osłabienia.

No cóż! Kule, niestety, nie wyrządziły mu krzywdy. Wiesz, że nigdy nie są dla nich śmiertelnym zagrożeniem. Poczęstowałam go przecież solidną porcją ołowiu. Miał kilkanaście ran w klatce piersiowej i na twarzy. Ciekła z nich krew. Siła uderzenia przewróciła go na plecy, ale nawet wówczas nie wstrzymałam ognia. W idealnej ciszy, jaka panuje zwykle w Gwiezdnej Krainie, musiało to brzmieć jak diabelski rechot w głębi piekieł! Kiedy broń zamilkła, jeszcze przez kilka długich sekund huk odbijał się echem od skalnych załamań. Nikt poza mną nawet nie drgnął z przerażenia.

Gdy w końcu i echo ucichło, na rozkaz Karen porucznicy rzucili się na oszołomionego Corlisa. Nie wierzyłam własnym oczom — buntownik zaczął wstawać! Otwory po postrzałach momentalnie się zasklepiły i jeniec zaczął odzyskiwać dawne siły. Dziko spojrzał na atakujących. Nie spuszczał wzroku z błyszczących ostrzy. Nie miał zamiaru się poddawać. Nagle przykucnął i poderwał swe ciało, żeby zanurkować w najbliższą dziurę. Jeden z nadbiegających mężczyzn zamachnął się swym mieczem i... głowa Corlisa odpadła od jego karku! Została odrąbana w locie. Korpus buntownika w jednej sekundzie zniknął w przepaści. Na martwej twarzy rysował się okrutny wyraz wściekłości i pogardy.

Karen krzyknęła z obrzydzeniem i kopnęła odciętą głowę do innego otworu skalnego. Nie miałam pojęcia, czym Corlis jej się naraził, ale musiało to być ciężkie przewinienie. Po olbrzymie zostały jedynie szkarłatne smugi jego krwi.

Lady popatrzyła z kolei na mnie i na moją broń. Jej oczy zrobiły się wielkie i przenikliwe. Jej wzrok błądził między automatem a miotaczem ognia, pakunkami i plecakiem, w końcu spoczął na plakietce naszytej na kieszeni mojego kombinezonu. I właśnie ten ostatni drobiazg wywarł na niej największe wrażenie. Podeszła bliżej i uważnie przyjrzała się naszywce. Widniał na niej sierp i młot, skrzyżowane dodatkowo ze srebrzystym bagnetem dla oznaczenia wojsk piechoty.

Najwyraźniej nie spodobał się jej ten symbol. Wskazała na moją kieszeń palcem, wyprostowała się i dosłownie rzuciła mi w twarz słowa z taką prędkością, że nie byłam w stanie ich odróżnić. Znów pomogła mi telepatia!

— Czy to twój amulet? Sierp, młot i miecz? Kpisz sobie ze mnie? Chcesz mnie ośmieszyć? — Odczytałam w jej umyśle.

— Nikogo nie zamierzam ośmieszyć. To po prostu...

— Cicho! Pamiętaj, jeżeli twoja broń się odezwie przeciwko mnie, staniesz się pożywieniem moich wojennych bestii!

Magazynek był już pusty, a nie miałam też czasu, żeby go ponownie naładować. W przypływie natchnienia wyciągnęłam ręce i podałam automat podejrzliwej władczyni. Ta odskoczyła zaskoczona, potem warknęła i odrzuciła broń na bok. Nagle podeszła jeszcze bliżej i ze złością zerwała plakietkę z mojej kieszeni.

— Tak lepiej! — powiedziała. — Dobrowolnie zrzekasz się swej niezależności i zdradzasz te znaki?

— Tak, pani — odparłam bez namysłu.

Skinęła głową i uspokoiła się.

— Bardzo dobrze. Masz szczęście, że jestem twoją dłużniczką. Później mi powiesz, po co nosiłaś ten... obelżywy znak.

Odwróciła się do mnie plecami i skinęła na swych poruczników. Ci natychmiast pospieszyli w stronę latających potworów i dosiedli ich.

Karen już miała odejść z nimi, ale dostrzegła moje niezdecydowanie. Nie bardzo wiedziałam, co z sobą zrobić.

— Chodźmy, czekają na nas — powiedziała. Poprowadziła mnie do jednej z dwóch pozbawionych jeźdźców bestii.

— Wejdź po jej szyi i mocno usiądź na siedzisku — poleciła mi Lady.

Ja jednak nie ruszyłam się z miejsca i zdecydowanie potrząsnęłam głową, odmawiając wypełnienia jej rozkazu. Najwyraźniej moja obawa sprawiła jej satysfakcję. Roześmiała się.

— Polecisz więc ze mną.

Podeszłyśmy do ostatniego wolnego potwora. Bezbłędnie można było rozpoznać, że podróżuje nim ktoś wyjątkowy. Pod uprzężą na grzbiecie leżał czerwony pled, wielki jak dywan. Do niego przymocowano obszerny, skórzany fotel. Uprząż wykonano z czarnej skóry bogato zdobionej złotymi aplikacjami. Potwór pochylił głowę i Karen zręcznie wspięła się po jego karku. Potem podała mi rękę i pomogła zająć miejsce za jej plecami. Starałam się, jak mogłam, nie dotykać bestii, ale okazało się to niemożliwe. Brr! Czułam wówczas większe obrzydzenie niż strach.

— Jeśli zakręci ci się w głowie, chwyć się mojego pasa! — poradziła mi Karen.

I poleciałyśmy. Nie potrafię ci nic powiedzieć o samej drodze. Prawie przez cały czas miałam zamknięte oczy i nie myślałam o niczym innym poza powrotem na ziemię. Oczywiście, ani na moment nie odważyłam się puścić Karen.

W końcu wylądowałyśmy w jej siedzibie... Jazz?

Zek przechyliła się i spojrzała na podejrzanie cichego mężczyznę. Z jego ust wystawał całkiem wypalony papieros. Właśnie spadł agentowi na pierś pokaźny słupek suchego popiołu. Jazz oddychał głęboko i regularnie. Obiecał Zek, że na pewno nie za-

śnie.

Ale tak się zdarzyło, że usnął dosłownie przed sekundami. Wysłuchał jednak dużej części historii Zek i jego zdanie o niej nie zmieniło się ani trochę. Uważał ją za piekielnie dzielną dziewczynę.

Kolejny odcinek marszu okazał się wyjątkowo trudny i wyczerpujący. Jak na liczbę wrażeń, których Jazz doznał od chwili przekroczenia Bramy, trzy godziny snu, a nawet trochę mniej, stanowiły śmiesznie krótki wypoczynek. Szlak prowadził teraz w górę po łagodnych, dolnych partiach zboczy. Zaczęło padać. Po kilku godzinach marszu dotarli do miejsca następnego postoju. Tym razem zatrzymali się w płytkich grotach pod stromymi urwiskami. Wędrowcy ukryli się w nich i nie tracąc czasu, znów ułożyli się na spoczynek. Jazz i Zek przez chwilę patrzyli na przejaśniające się niebo.

Kiedy zaświeciło słońce i wiatr rozdmuchał wilgotną mgłę, ciężko unoszącą się tuż nad ziemią, stało się dla Jazza jasne, dlaczego Lardis prowadził ich tak trudną drogą.

W dole u podnóża gór rósł gęsty, szeroki pas lasu. Dochodził aż do równiny Słonecznej Krainy. Prostopadle do biegu masywu, przecinały go szybko płynące wody górskich rzek. Tu, na dużej wysokości, były to strumyki, niegroźne i łatwe do przebycia. Ale tam, w gąszczu, łączyły się z sobą w szerokie, rwące potoki.

Wędrówka górą dawała możliwość kontrolowania rozległego obszaru. Ta okoliczność szczególnie odpowiadała Lardisowi.

— Tym razem — powiedział Jazz do Zek — wierzę, że nie będę miał problemów z zaśnięciem.

— Ostatnio też nie miałeś — przypomniała mu dziewczyna. — Zaczynasz słabnąć?

— Zaczynam? — Skrzywił się sarkastycznie. — Nie wiem, czy znalazłbym na swoim ciele miejsce, w którym nie jestem obolały! Wędrowcy mają na dokładkę do dźwigania te cholerne nosze, a od żadnego nie usłyszałem dotąd słowa skargi! Mam nadzieję, że będzie tak, jak mówiłaś: w końcu się przyzwyczaję. Zastanawiam się jednak, jak poradziłby sobie ktoś kontuzjowany albo bardzo stary.

— Hm! — Zamyśliła się. — Ja rzeczywiście miałam trochę więcej czasu od ciebie na przygotowanie się do tego trybu życia. To chyba szczęście w nieszczęściu, że najpierw dostałam się w ręce Lady Karen. Po pierwsze, dlatego że jest władczynią, a po drugie, ze względu na jej niepewny stan.

— Jej stan?

— Ona nosi w sobie jajo Dramala o Skażonym Ciele. Dramal był Lordem. Jego przydomek narodził się w dniu, kiedy odkryto, że zaraził się trądem.

Trąd jest częścią dziedzictwa Wędrowców. Nie znam się dokładnie na tej chorobie i nie mam pojęcia skąd się tutaj wzięła. W każdym razie, kiedy jej objawy ukazują się u któregoś z Wędrowców, zostaje on natychmiast wykluczony z grupy lub szczepu i nikt

nie odważy się przyjąć go pod opiekę. Tak było i będzie. To oznacza okrutny koniec dla niego lub dla niej. Płeć nie gra roli. Pięćset lat temu, Dramal porwał jedną z kobiet Wędrowców. Była chora na trąd, ale jego objawy wystąpiły u niej ze znacznym opóźnieniem. Lord bardzo ją sobie upodobał i przyjął do swego łoża. Po pewnym czasie jej choroba ujawniła się, za późno jednak, by mógł się jej ustrzec.

Jazz wydawał się zniecierpliwiony.

— Chcesz powiedzieć, że się od niej zaraził? Dziwię się, że te bestie w ogóle zdołały przetrwać przez tyle lat! Nie dość, że ciągle wybijają się nawzajem, piją krew Wędrowców, to jeszcze współżyją z ich kobietami.

— A jednak — odparła Zek — są wstrzemięźliwi na swój sposób. Przynajmniej w przypadku prawdziwych Lordów.

— Wstrzemięźliwi? — zapytał Jazz niedowierzająco. — Żartujesz chyba!

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Karaluchy w pewnym sensie są również wstrzemięźliwe. Ale wampiry naprawdę są... wybredne. Ich podwładni, niewolnicy — ogólnie rzecz biorąc Wędrowcy, którzy zostali przez nich odmienieni, ale nie noszący w sobie jaj wampirów — nie są tak samo kapryśni. Jeśli zaś chodzi o odporność na zarazy, różnią się od innych istot, na przykład ludzi. Kiedy człowiek zostaje zwampiryzowany, staje się odporny na większość chorób. Dlatego wampiry żyją tak długo. Pokonali oni nawet proces starzenia się.

— Czyli wszystko poza możliwością zarażenia się trądem?

— Prawdopodobnie. W każdym razie wybranka Dramala umarła. Niedługo potem objawy choroby wystąpiły i u samego Lorda. Oczywiście, wampirzy zarodek, który w sobie nosił, zdołał się obronić przed zarażeniem. To tylko on, ludzki Dramal, nie miał szans. Kiedy choroba zakorzeniła się w nim na dobre, cała jego energia skierowała się w nierównej walce przeciwko niej. Całą swoją wolą bronił się przed nią. Siedzibę Dramala starannie omijali inni Lordowie. Nagle przestał mieć przeciwników. Nikt go też nie odwiedzał po przyjacielsku. Został objęty całkowitą izolacją. Jego zamek miał, rzecz jasna, swą dawną obsadę, była ona jednak utrzymywana tam pod przymusem i w absolutnym terrorze. Pomimo to zaczęły plątać się wokół Lorda sieci intryg i plotek. Wszyscy śmiertelnie bali się zaraźliwej siły trądu.

Zagłada Dramala okazała się procesem powolnym, lecz nieuniknionym. Dopiero kilka lat temu jego stan pogorszył się na tyle, że musiał uwierzyć, iż czeka go — jednego z Wielkich Nieśmiertelnych — nieunikniona śmierć. Co gorsza, mogła to być śmierć hańbiąca. Jego poddani zaczęli się tak rozzuchwalać, że lada moment mogli zbuntować się przeciwko niemu, a on nie byłby w stanie się im oprzeć. Bez trudu odrąbaliby mu głowę i spalili na popiół jego ciało. Nie przetrwałoby nawet jego królestwo. Z pewnością zostałoby opuszczone jako przeklęte gniazdo zarazy. Postanowił dobrowolnie przekazać władzę. Nie miał przy tym zamiaru wchodzić w układy z którymkolwiek ze swych

potężnych sąsiadów. Wręcz przeciwnie. Chciał zemścić się za lata pogardy, która otaczała go ze wszystkich stron. W tym celu przygarnął właśnie Karen Sisculu z jednego ze wschodnich szczepów Wędrowców i uczynił z niej wampirzycę. Przed śmiercią przekazał jej wszystkie tajniki i metody swej władzy. Pozwalając zamieszkiwać w niej swemu nie skażonemu jaju, przekazał jej również swą siłę i lordowską moc. W dawnych, lepszych czasach, odbyłoby się to zapewne w czasie stosunku płciowego, teraz jednak nie miał już na to dość siły. Pocałował ją po prostu i to wystarczyło. Podczas tego koszmarnego pocałunku jajo przeniknęło do ciała kobiety.

— Boże, co to za świat! Ale nie wyjaśniłaś mi, na czym polega osobliwość jej stanu. Czy to znaczy, że i ona zarażona jest trądem?

— Nie, to zupełnie coś innego — odpowiedziała mu Zek. — Coś gorszego, przynajmniej dla niej. Choć nam trudno to sobie wytłumaczyć. Widzisz, wśród wampirów krąży legenda, że ich prawdziwa matka była kobietą, której wampirzy pierwiastek wyprodukował więcej niż jedno jajo. Prawdę mówiąc, były one produkowane w nieprawdopodobnych ilościach, aż do zupełnego wycieńczenia wampira i jego „gospodyni". Aż z obydwojga nie pozostało absolutnie nic. I stąd wzięła początek zemsta Dramala. Pragnął, żeby setki jaj zagnieździły się w mieszkańcach Gwiezdnej Krainy. Nawet latające potwory i wojenne kreatury stałyby się wampirami. To byłby koniec obecnie panującego porządku. Nie rozumiesz?

Jazz niepewnie pokiwał głową.

— Nie bardzo. Domyślam się, że w związku z tym Dramal chciał, żeby Karen została taką legendarną matką. Ale czy mógł być pewien, że tak się stanie?

— Nie mógł. — Zek wzruszyła ramionami. — Może po prostu miał taką nadzieję. W każdym razie wpoił w Karen takie przekonanie. A ta biedna, a jednak godna potępienia bardziej niż współczucia, straszna kobieta, bezkrytycznie w to wierzyła. Bez przerwy zachodzi w niej proces wampiryzowania, a ona wciąż czeka, aż nadejdzie ta ostatnia, najgorsza zmiana. To może trwać setki lat. A jeśli jest rzeczywiście matką, może spodziewać się tylko tragicznego losu...

Zek urwała, pod wpływem nieoczekiwanego impulsu pochyliła się w stronę Jazza i dotknęła dłonią jego twarzy. Zanim cofnęła rękę, mężczyzna delikatnie pocałował jej palce. Ona uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

— Wiem, o czym teraz myślisz — powiedziała. — Oczywiście nie potrzebuję zaglądać do twojego umysłu. Masz to wypisane na twarzy. Wstydziłbyś się od tak poważnego tematu jednym gestem przejść do flirtu? — Potem uśmiech zniknął z jej twarzy. — W jednym masz rację: to niesamowity świat. I zdaje się, że pobędziemy w nim jeszcze jakiś czas. Powinniśmy oszczędzać więc nasze siły.

— Zauważyłem — odparł Jazz — że trzymasz się zwykle blisko mnie.

Roześmiała się.

— Jest tu wielu nie związanych z żadną kobietą Wędrowców, Jazz. Odtąd będzie im się wydawać, że dokonałam wyboru — nieważne, czy to prawda, czy nie. Nie będę się już więcej musiała wysilać, żeby nie urazić ich dumy, odrzucając wyraźne zaloty.

Pod koniec kolejnego etapu wędrówki słońce przesunęło się wyraźnie na wschód, zmieniając zarazem swe położenie nad horyzontem. Maszerowali teraz u samych podnóży gór i choć nie brakowało im zapału i energii, przełęcz wciąż znajdowała się w zasięgu ich wzroku. Pokonali blisko dwadzieścia mil w czasie przeznaczonym na przebycie zaledwie połowy tego dystansu. Lardis był z tego bardzo zadowolony i przy okazji najbliższego postoju zapowiedział czterogodzinny odpoczynek. Przystanęli za zachodnim brzegu którejś z rzek, na skraju rozległego w tym miejscu lasu. Przywódca wysłał w teren kilku ludzi na polowanie. Sam zaś zasiadł nad wodą i pogrążył się w rozmyślaniach na temat planów na najbliższą przyszłość.

Tymczasem jego ludzie natknęli się na znaki pozostawione tu przez biegaczy (czterech lub pięciu mężczyzn pełniących w szczepie funkcje wywiadowcze). Odczytano, że pozostałe dwie grupy znajdują się w odległości około dwudziestu pięciu mil na zachód. To nie był przerażający dystans. W dodatku Lardis złapał na hak wielką rybę i to dopełniło jego szczęścia. Wszystko toczyło się zgodnie z planem.

Zek kąpała się w rzece, natomiast Jazz zajął się bronią. Rozłożył automat, naoliwił każdą jego część, usunął zanieczyszczenia. W razie następnej konfrontacji dysponowali odtąd podwojonym arsenałem. Jazz poprosił też o przyniesienie mu reszty ekwipunku. Chciał, żeby chociaż jeden z Cyganów, najlepiej sam Lardis, potrafił obchodzić się ze wszystkimi przyrządami, które tu przydźwigał. Kiedy dostarczono mu pakunki, stwierdził zdumiony, że nikt nawet nie próbował do nich zajrzeć. Wszystko leżało w nich dokładnie w takim porządku, w jakim pozostawił je przy ostatnim pakowaniu. Na samym dnie jednej z toreb znalazł sześć radzieckich granatów rozpryskowych. Przypominały swym wyglądem pokryte czekoladą jaja wielkanocne. Zapakowane były w wyłożonym trocinami drewnianym pudełku. Jazz przypuszczał, że gdyby ktoś się do nich dobrał, zdradziłby go przy tym szczególnego rodzaju hałas...

Lardis szedł właśnie w stronę obozowego ogniska. Jazz poprosił go o chwilę uwagi. Ryba, którą Cygan miał zarzuconą na ramię, spazmatycznie się rzucała, zostawiając mu na plecach mokre ślady.

— Pozwólcie mi tylko pozbyć się tego. Zaraz wrócę i pokażecie mi te wasze sztuczki — powiedział.

Agent i Zek obserwowali jego przygarbioną sylwetkę, aż zniknęła im z oczu za wysokim brzegiem rzeki. Potem powrócili do swych zajęć. Zek skończyła suszyć włosy. Jazz po raz ostatni kontrolował sprawność jej broni. Odbezpieczył automat i przy pustym magazynku nacisnął spust. Przy każdej z tych czynności zamek wydawał metalicz-

ny szczęk. Jazz uśmiechnął się z satysfakcją. Wsunął do komory pełny magazynek i wręczył karabin nie mogącej się doczekać tego momentu Zek.

— Trzymaj! Znów jesteś uzbrojoną potęgą tego świata. Mamy jeszcze sześć zapasowych magazynków i kilkaset sztuk amunicji. Nie gwarantuje to nam może siły armii, ale zawsze to więcej niż nic.

Podniósł jeden z granatów i zważył go w dłoni. W momencie eksplozji granat rozpryskiwał się na dwieście kawałeczków. Każdy z nich raził cel z prędkością i skutecznością kuli. Takiemu atakowi nie oparłby się najsilniejszy z Lordów.

— Chcesz, żebym opowiedziała ci o siedzibie Lady Karen? — zapytała Zek po chwili.

— Tak, pozwól jednak, że będę tego słuchał w kąpieli — odparł. — Moje ciało wchłonęło woń, którą — nie obraź się — poczułem u ciebie, kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy. Twój naturalny zapach neutralizował przykre wrażenie, ale u mnie może być ona tylko nieznośna.

Szybko rozebrał się i w samych slipach wskoczył do wody.

— Jestem bardzo ciekaw historii tych wampirzych zamczysk. Podejrzewam, że to, co masz mi na ten temat do powiedzenia, będzie raczej ponure. Wybierz więc to, co uważasz za niezbędne...

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Królestwo Karen — Harry w Perchorsku

— Po pierwsze, muszę cię uprzedzić, że żaden człowiek nie potrafiłby wiernie oddać atmosfery panującej za murami tych fortec. Nie znam języka, w którym znalazłyby się niezbędne do tego słowa. Dlatego też przedstawię ci jedną z wampirzych budowli, a raczej serię obrazów.

Siedziba Lady Karen jak już wiesz, należała przedtem do Lorda Dramala o Skażonym Ciele, i jako taka może śmiało reprezentować wszystkie inne budowle tego typu w Gwiezdnej Krainie. Pewnie zauważyłeś, że usytuowane są one na gigantycznych kolumnach. Od nich też zacznę...

O ile zdołałam się zorientować, ich pochodzenie jest jak najbardziej naturalne. W trwającym tysiące lat procesie, powstały w wyniku odsunięcia się skał od podstawowej masy górskiego grzbietu. Nie jestem geologiem, nie zamierzam więc tłumaczyć ci tego zjawiska. Moje dyletanckie teorie nie byłyby zbyt wiele warte. W każdym razie skalne słupy są niezwykle trwałe i stoją niezmiennie od niepamiętnych czasów. Nie wiadomo też, od jak dawna dźwigają kamienne zamczyska.

To znaczy, tak wyglądają z daleka. Kamień nie stanowi jednak tworzywa konstrukcyjnego twierdzy. A w ogóle właściwa budowla znajduje się wewnątrz tej skorupy. Kryje się w niej jak ślimak w muszli. To, co widać, wampiry w ciągu wieków nagromadziły wokół naturalnego rdzenia. Nasuwa się pytanie: z czego utworzona jest ta „przykrywka"?

No cóż. Zasadę jej powstawania najlepiej przyrównać do koralu obrastającego wrak. Żywy koral przylega do stalowych ścian, potem obumiera i staje się twardy. Skorupa wokół wierzchołków kolumn to... obumarłe ciała.

Kiedy forteca wymaga remontu lub rozbudowy, wampiry hodują pozbawione prawdziwych kości stworzenia, których jedyną funkcją jest wypełnianie elastyczną tkanką powstałych ubytków, formowanie nowych fragmentów murów, a nawet sklepień nad salami i korytarzami. Słowo „hodują" nie jest tu chyba najwłaściwsze. Wampiry nicze-

go w tym celu nie hodują, tylko przekształcają gotowy materiał. Stanowią go prawdopodobnie troglodyci, skazani za jakieś wykroczenie, wampiryzowani niewolnicy albo świeżo porwani po słonecznej stronie Wędrowcy. Każde ludzkie mięso jest w tym wypadku odpowiednie. Potrafią je wykorzystać dla wielu różnych celów. W tym wypadku lokują elastyczną tkankę w wymagających tego miejscach, a ta obumiera i kamienieje.

Chcę, żebyś wyobraził sobie, co można czuć, spacerując po zamku. Jesteś w nim otoczony zamienionymi w kamień ludzkimi kośćmi, stwardniałą skórą i wszystkim innym, co było niegdyś człowiekiem. A kiedy przyjrzysz się chropowatym ścianom, możesz rozpoznać znajome, zdeformowane kształty. Myślę, że wystarczy tych okropności...

Teraz coś z innej beczki. Wampiry doskonale znoszą wyjątkowo niskie temperatury. Nie można powiedzieć, żeby lubiły zimno, po prostu do niego przywykły. Jednak w razie potrzeby ogrzewają swe zimne pomieszczenia za pomocą skomplikowanego systemu centralnego ogrzewania. U podstaw wielkich słupów podpala się wtedy specjalnie do tego przeznaczony gaz i ciepłe powietrze doprowadzane jest kanałami do każdego poziomu budowli. Inna instalacja przewodzi gaz. Pochodzi on z dwóch źródeł.

Każda siedziba posiada potężny szyb na odpadki. „Odpadki" w pojęciu Lordów to wszystko, od ludzkich odchodów począwszy, na ludzkich, bezwartościowych ciałach skończywszy. Wiesz, czym się żywią te kreatury. Nie są jednak wyłącznie mięsożernymi istotami. Często urozmaicają swą dietę warzywami i owocami zbieranymi nocą w Słonecznej Krainie. Gromadzą je w olbrzymich magazynach, nie mówiąc o „żywych" spiżarniach, pełnych zniewolonych troglodytów i Wędrowców.

Jeśli jakaś ludzka istota zostaje „osuszona", a nie jest przewidziane jej wampiryzowanie, wtedy jej resztki wyrzucone są do śmieci razem z innymi odpadkami. Wyobraź sobie tysiące posplatanych z sobą pustych ludzkich skorup, a zrozumiesz koszmar zawartości tych szybów grozy. Część gazu pochodzi, jak się pewnie domyślasz, z ich fragmentów. Instalacje wampirów są bardzo często nieszczelne i gdyby większa ilość gazu wydostała się na zewnątrz przewodów, fetor w całej siedzibie byłby nie do zniesienia.

W niższych partiach zamczyska znajdują się pomieszczenia, w których hoduje się przedziwne bestie. Ich jedyną życiową funkcję stanowi produkcja gazu i są one drugim i ostatnim jego źródłem. Karmione są pospolitą trawą i odrobiną ziarna. Wydalany przez nie gaz jest zbliżony do metanu. Tu już chyba nic nie muszę dodawać.

Może się zdziwisz, ale wampiry bardzo dbają o higienę. Lady Karen kąpała się równie często, jak ja. Widziałam ją podczas kąpieli. Szorowała się dokładnie, jakby chciała zetrzeć z siebie skórę wraz ze swym przerażającym dziedzictwem.

W naszym świecie system wodociągów wykorzystuje pompy i wieże ciśnień. Tutaj też woda musi być dostarczona do najwyższych partii zamków. Znasz zasadę zjawiska kapilarnego.

Zaopatrzenie w wodę odbywa się tu w podobny sposób. Przewody, którymi przepły-

wa woda, są w istocie kapilarami — tego samego rodzaju naczynia łączą żyły i arterie w żywym organizmie. Tutejsze kapilary również są żywe. Stworzenia, do których należą te użyteczne organy, zamieszkują górne, sekretne cele budowli.

Przypadkowo trafiłam kiedyś w siedzibie Karen do jednego z tych tajnych pomieszczeń. Niewiele wyniosłam z tej wizyty. Pamiętam jedynie, że tam weszłam i że ktoś mnie odnalazł i wyprowadził stamtąd. Byłam nieprzytomna. Mój umysł nie zarejestrował wówczas żadnych wrażeń. To przypominało ostrzeżenie. Chciałam szybko o tej wizycie zapomnieć.

W niższych partiach zamku usytuowane są stajnie wojennych bestii. Trzyma się je o głodzie, jak lwy w rzymskich amfiteatrach. Tak naprawdę — nie jest to idealne porównanie. One bowiem, podobnie jak ich panowie, nie muszą jeść. A jeśli już jedzą, to wyłącznie mięso. Są stworzone, aby rozszarpywać, zabijać, kaleczyć i pochłaniać. Ich nagrodą za udział w bitwie jest możliwość napełnienia się świeżym, krwistym „pożywieniem". Kiedy potyczka kończy się szczególnym sukcesem, są zwykle tak obżarte, że nie mogą wzlecieć w powietrze. Dlatego mieszkają na parterze konstrukcji — żeby w takich przypadkach doczłapać do swych kwater. Poza walkami z innymi Lordami, wampiry wykorzystują je do terroryzowania i łapania Wędrowców w Słonecznej Krainie. Przy okazji wyjątkowo udanych łowów, od czasu do czasu, pozwala im się wybrać najsmakowitsze, żywe kąski.

Krótko mówiąc — dziękuj Bogu, że nie miałeś jeszcze z nimi bezpośrednio do czynienia.

Latające bestie trzymane są na różnych poziomach zamczyska.

Widziałeś je, tak że wiesz, jak wyglądają. Nie są z natury groźnymi stworzeniami. Na ziemi stają się ogłupiałe i niezgrabne. W powietrzu zaś potrafią szybować lekko, a nawet z gracją — oczywiście na swój sposób. Są silnie związane telepatycznie ze swoimi jeźdźcami. To najlepszy sposób na ich całkowite opanowanie i uzależnienie. A poza tym jedyny na kierowanie ich ruchem w czasie walki.

Jeszcze jedna zaskakująca kwestia — wampiry biją się między sobą według okrutnych, ale ściśle określonych reguł. Posiadają swoisty kodeks honorowy. Tylko, że każdy z nich ma prawo do jego indywidualnej interpretacji. W różnych sytuacjach naginają zasady na swoją korzyść. Jedno z praw obowiązuje jednak bez względu na okoliczność: w bezpośrednim pojedynku między wampirami pełniącymi w ich społeczności stosunkowo wysokie funkcje — od Lordów, poprzez ich poruczników, do bardziej uprzywilejowanych wojowników — można atakować i bronić się wyłącznie przy użyciu specjalnych bransolet-kastetów. Uzbrojenie to produkuje dla nich niewielki szczep Cyganów na dalekim wschodzie.

Mam nadzieję, że przekazałam ci wystarczająco dokładny obraz, pozwalający zrozumieć zasadę funkcjonowania siedzib wampirów. Jeśli do tej pory nie zanudziłam cię,

mogę przejść teraz do historii rządów Lady Karen...

Jazz skończył się kąpać i wdrapał się na wysoki, skalisty brzeg rzeki. Pozbył się nareszcie spowodowanego śmiertelnym znużeniem nieprzyjemnego napięcia mięśni. Dłońmi starł ze swego ciała zimną wodę. Było chłodno i przez chwilę wstrząsały nim silne dreszcze. Zaczął się ubierać i zanim Zek zdążyła podjąć swą opowieść, dostrzegli nadchodzącego skrajem nadrzecznego urwiska Lardisa.

Przed kąpielą Jazz zdemontował większą część swojego ekwipunku, gdyż całą amunicję i broń miał przymocowaną do kombinezonu. Teraz Zek pomagała mu na nowo „ubrać się" we wszystko.

Jazz wyjął papierosa i odwrócił się w stronę cygańskiego przywódcy... właśnie w momencie, kiedy ten wykręcił zawleczkę z pozostawionego dla celów pokazowych granatu.

Jazz jęknął, odepchnął Zek i rzucił się na Lardisa. Cygan, nieświadomie, ze zmarszczonymi brwiami, przyglądał się owalnemu kształtowi w jednej i metalowemu kółku w drugiej ręce. Jazz wyrwał mu granat i mocno się zamachnął. Jak na ćwiczeniach. „Raz, dwa, trzy..." — liczył w myślach. Granat potoczył się do wody.

Najpierw rozległo się ciche pluśnięcie, a zaraz potem następne, o wiele, wiele głośniejsze. Pogłosy detonacji jeszcze przez dłuższą chwilę brzmiały groźnie ponad górskimi dolinami. Większość ostrych jak brzytwa odłamków pozostała w rzece. Na szczęście nawet te, które pokonały opór wody, nie miały swej siły rażenia i nie dosięgnięty ukrytej wśród kamieni trójki. Dziesiątki oszołomionych, ogłuszonych ryb zaczęły wypływać na powierzchnię rzeki.

Lardis wstał, spojrzał z przestrachem na Jazza.

— Co to? — zapytał, ale nie bardzo wiedział, o czym chce najpierw usłyszeć.

— Całkiem dobry sposób na łowienie — Jazz warknął w jego stronę.

— Co mówisz? Ach, tak! Przypuszczam, że masz rację. — Zdezorientowany odwrócił się, wdrapał się po stromym brzegu i uspokoił nadbiegających Wędrowców.

— Rzeczywiście tak jest! — ponownie zgodził się z sugestią agenta. — Ja jednak pozostanę przy tradycyjnej formie połowów. — Znacząco spojrzał na inne porozkładane przedmioty. — Pokażesz mi wszystko dokładnie innym razem — dodał. — Teraz muszę załatwić kilka ważnych spraw.

Jazz i Zek patrzyli, jak oddala się zdecydowanym krokiem... Agent przygotował sobie legowisko i wygodnie się na nim ułożył. Zek mogła kontynuować swą historię.

— Miałam własny pokój w siedzibie Karen — zaczęła. — Dzieliłyśmy obie najwyższy poziom zamczyska — byłyśmy na nim jedynymi ludzkimi istotami. Miałyśmy do swej dyspozycji całe hektary przestrzeni! Pamiętaj, że Lordowie też mają w sobie pierwiastek ludzkiej osobowości, aczkolwiek opanowany przez mieszkające w ich ciałach wampiry. Karen też nosi w sobie wampirzy zarodek, nie osiągnął on jednak jeszcze w jej przypad-

ku ostatecznego stadium rozwoju. Poza nami przebywała tam zawsze wojenna bestia na wyłącznych usługach Karen. Była mniejsza niż większość pokrewnych jej stworów. Miała rozmiary zbliżone do... powiedzmy — wozu pancernego i podobną skuteczność. Pełniła nieustanną straż przy schodach prowadzących na niższe piętra budowli. To doskonały dowód na to, jak dalece Lady nie ufa swym, nawet najbardziej uprzywilejowanym pomocnikom. Nikt nie mógł wejść do jej kwatery bez wyraźnego rozkazu.

Stosunkowo często, według moich spostrzeżeń, co dwadzieścia cztery godziny, Karen zwoływała swą radę. Stanowiło ją siedmiu poruczników, zamieszkujących niższe poziomy. Zdawali wówczas relację z panującego na terenie siedziby porządku lub meldowali najdrobniejsze nieprawidłowości, rozliczali się z wykonania uprzednio otrzymanych rozkazów i pytali o szczegóły kolejnych poleceń. Muszę przyznać, że Karen doskonale radziła sobie z organizacją życia na podległym jej terytorium i z utrzymaniem jego niezawisłości. Aha! To były też jedyne chwile, w których widziałam wampiry bez ich śmiercionośnych bransolet.

Niech nie zmyli cię normalność postępowania Karen. To wszystko przybiera tylko pozory zwykłej kobiecej ostrożności. Ona naprawdę była niedostępna. Posiadała przede wszystkim cechy wampirzycy i jej porucznicy zdawali sobie z tego na ogół sprawę. Nawet jeśli wyglądała jak kobieta, a chwilami mogła nawet rozumieć „po babsku", była to jedynie nic nie znacząca maska. Dawała ona przecież schronienie wampirowi i jego siła stawała się stopniowo jej siłą. Kształtował się proces powolny, ale nieodwracalny. Chwilami kreowała siebie na istotę słabszą od swych podwładnych. Kontrolowała jednak swój wizerunek. Nie chciała, żeby przyszło im do głowy sprawdzać jej fizyczną moc. Ustępując w tej materialnej dziedzinie, pozwalała im zaspokoić męską próżność, pozostawiając sobie funkcje umysłowego przywódcy. Była stworzona do objęcia tego stanowiska. Nie lubiła karać za niesubordynację, do czego została zmuszona w przypadku Corlisa. Zresztą wiedziała, że jej możliwości nie są jeszcze ostateczne.

Pamiętam, że tuż przed moim odejściem z jej królestwa odważyłam się zapytać, co takiego zrobił Corlis, że musiała tak srogo się z nim obejść. Przypuszczalnie uważała mnie za jedyną osobę, z którą mogła rozmawiać bez obawy. Zdradziła mi więc i tę tajemnicę.

Corlis mienił się niegdyś najpotężniejszym z jej wojowników.

Posiadał też w związku z tym uprawnienia nadzwyczajne. Niestety, sprawiał przy tym mnóstwo kłopotów. Był typowym męskim szowinistą — w pełnym tego słowa znaczeniu! Jeszcze jako Wędrowiec, około czterdziestu lat temu, odznaczał się wyjątkową brutalnością. Został porwany przez Dramala o Skażonym Ciele i przez jakiś czas służył poprzedniemu władcy siedziby Karen. Ba! Wyrażenie „służył" nie jest tu z pewnością najszczęśliwsze. Bóg jeden wie, dlaczego Dramal znosił nieustanny opór Corlisa

przeciwko jakiejkolwiek zależności. Może początkowo w nim właśnie widział swojego następcę? To tylko spekulacje oczywiście. Nie mam na to żadnych dowodów.

Osobiście tłumaczę sobie wyjątkowość Corlisa w ten sposób: nigdy nie stał się wampirem-Lordem, ale jeśli jakiś człowiek miałby ku temu szczególne predyspozycje, on na pewno się nimi charakteryzował. I sam doskonale o tym wiedział.

Większość ludzi pragnęłaby zaprzeczyć podobnym sugestiom, ale nie Corlis. On pragnął otrzymać wampirzy zarodek — i moc, która się z tym aktem wiąże. Marzył, żeby zostać Lordem.

Widział siebie, dowodzącego eskadrą latających potworów, toczącego jeden zwycięski bój za drugim. Nie dawała mu spokoju świadomość, że chociaż nieśmiertelny, w zwykłym pojęciu jest tylko podwładnym — i to kobiety! Niezmiennie odbierał to jak obelgę.

W czasie jednej z narad zaproponował Lady Karen, żeby mianowała go wojennym Lordem. Odpowiedziała na to, że nie potrzebuje kogoś takiego, ponieważ aktualnie nie prowadzą żadnej wojny. Wtedy zażądał, żeby powierzyła mu funkcję bezpośredniego zwierzchnika pozostałych sześciu poruczników. Usłyszał, iż nie ma prawa stawiać się ponad innymi. Potem niedwuznacznie zaoferował jej intymne usługi, które wiązałyby się z obowiązkami ochrony osobistej. W tym momencie Karen straciła cierpliwość i odparowała, że wolałaby pójść do łóżka z bestią niż spać z jego niezdrowymi ambicjami. A co do ochrony osobistej, to powinien zadbać o własną skórę, jeśli ma zamiar prowadzić tę niebezpieczną, zaczynającą ją denerwować grę!

Corlis nie należał jednak do tych, których można lekceważąco odepchnąć. Usiłował jej wmówić, że inni Lordowie niedługo sprzysięgną się przeciwko niej i teraz, kiedy nie żyje Dramal, jego dziedzictwo stoi przed nimi otworem. Ona, słaba kobieta, nigdy nie zdoła obronić go przed zakusami jej wrogów. Powinna wybrać teraz prawdziwego wodza swych sił, a jedynym odpowiednim kandydatem na to stanowisko jest on sam — Corlis!

Rozwścieczona Karen rozkazała mu wynieść się z komnaty, razem z porucznikami. Czterech z nich chciało podporządkować się temu poleceniu, ale pozostali przeszkodzili im w tym.

Dwóch stanęło po stronie Corlisa. Zmusili resztę do pozostania, a sami, pod jego wyraźnym dowództwem, otoczyli Karen, siedzącą na wykonanym niegdyś dla Dramala tronie. Jeden z nich wyciągnął spod swej peleryny drewnianą maczugę — broń, którą zobaczyła po raz pierwszy w życiu. Nie korzystano z niej już tu od niepamiętnych czasów. Drugi zadzwonił metalowym łańcuchem — miała nim zostać związana.

Corlis kierował ich poczynaniami. Jego plan był prosty: najpierw pochwycić Karen i przebić jej serce drewnianym kołkiem. W tym celu maczugę zaostrzono z jednej strony. Ten atak miał unieszkodliwić Karen, oraz przestraszyć zajmującego jej ciało wam-

pira. Bowiem nawet niedojrzały zarodek w obliczu śmiertelnego zagrożenia produkuje jajo zabezpieczające wampirzą egzystencję wewnątrz innego gospodarza. Corlis zamierzał zgwałcić zniewoloną Lady i w ten sposób umożliwić jaju łatwe zagnieżdżenie się w sprzyjającym mu całą duszą środowisku!

Tymczasem Karen przewidziała podobną sytuację i telepatycznie przez cały czas uważnie obserwowała Corlisa. Bezbłędnie odczytała zakodowane w jego umyśle intencje i przywołała wojenną bestię, która zdawała się tylko na to czekać!

Sama Karen, chociaż nie uzbrojona, tuż przed przybyciem wojennej bestii podjęła nierówną walkę. Nie pozwoliła się związać. Ostrymi paznokciami podrapała jednego z napastników, drugiego zaś z całej siły kopnęła w jego czułe miejsce! Pozostali poruczniccy nie bardzo wiedzieli, jak mają zareagować na rozgrywającą się na ich oczach bitwę. Dopiero wkroczenie wojennej bestii do akcji pozwoliło im podjąć jedynie słuszną decyzję! Dwóch z nich pochwyciło buntownika machającego maczugą, a nadlatujący potwór z wściekłością wessał go w swe krwiożercze wnętrze. Dwaj następni mężczyźni walecznie rzucili się na Corlisa. Strach przed zemstą Karen dodał im sił i, co prawda z trudem, zdołali go jakoś powstrzymać. Karen nie miała kłopotów z pokonaniem ostatniego śmiałka. Był on dużo drobniejszy od potężnego Corlisa, a furia uaktywniła w Lady wampirzą część jej natury! Zrobiła z niego miazgę, którą wrzucono potem do szybu na odpadki.

Corlisa skazano na banicję, miał opuścić ten świat przez Bramę...

Zek spojrzała na leżącego w jej pobliżu Jazza. Miał otwarte oczy, ale z trudem powstrzymywał ogarniający go sen.

— Zmęczyłam się — powiedziała, nie chcąc wprawić go w zakłopotanie. — Prześpijmy się. Przy następnym postoju schowamy się w jaskiniach i spędzimy tam całą noc. Wtedy będzie dosyć czasu na dokończenie mojego opowiadania. Przed najbliższym wschodem słońca będziesz wiedział o tym miejscu dokładnie tyle, ile ją sama zdołałam się o nim dowiedzieć.

— Oddasz mi w ten sposób nieocenioną przysługę. Z góry dziękuję! — powiedział agent.

— Tak? — rzuciła mu spojrzenie, w którym mieszał się wzrok doświadczonej kobiety i podlotka zarazem.

— Jeśli, a raczej, kiedy to wszystko się skończy... myślę, że ty i ja...

Potrząsnęła głową, nie pozwalając mu skończyć.

— Tylko na siebie możemy tu liczyć — powiedziała. — W nocy w grocie, będziemy z sobą, jeśli tego naprawdę chcesz. Nie wyobrażaj sobie, że jestem po prostu wspaniałomyślna, ja też tego pragnę. O jedno cię proszę, niczego mi nie obiecuj. Powrót do domu, o ile szczęście się do nas uśmiechnie, będzie jak wyjście z długotrwałej ciemności na

światło dzienne. Spotkamy się wówczas na nowo, po raz pierwszy. Lepiej będzie, jeżeli doczekamy tego bez zbędnych zobowiązań.

Jazz uśmiechnął się i ziewnął z pewną ulgą. „Diabeł nie kobieta" — pomyślał.

— W porządku Zek! Zawsze byłem optymistą. Uda nam się, ja ci to mówię!

Położyła się wygodnie, zamknęła oczy.

— No cóż, za optymizm, za pozbycie się wszelkich kłopotów, za Rezydenta, i za... mniejsza z tym!

— Za przyszłość?

— Tak, za przyszłość! — dodała. — Wypijmy za to wszystko w marzeniach. Zresztą, Bóg świadkiem, nie powinno nas spotkać nic gorszego niż to, co przeżyliśmy do tej pory.

Z Lipska Harry Keogh powrócił prosto do siedziby INTESP w Londynie. Zmaterializował się w zbrojowni, pomieszczeniu niewiele większym od zwykłego pokoju. Wziął stamtąd browninga kaliber 9 mm i trzy pełne magazynki. Zanim włączył się alarm, zdążył jeszcze podpisać się w księdze rozliczeniowej, poświadczając pobranie sprzętu. Zniknął, nie czekając na przybycie strażników.

Potem wylądował w mieszkaniu Jazza Simmonsa, gdzie ubrał się w jego czarną trykotową koszulkę, sweter i luźne spodnie. W końcu przeniósł się do Bonnyrigg koło Edynburga, żeby odwiedzić matkę. Ta ostatnia podróż nie była konieczna. Harry bowiem, jeżeli raz nawiązał kontakt z kimś zmarłym, mógł się z nim komunikować na nieskończenie duże odległości. Uważał jednak, że szacunek wymaga pofatygowania się na rozmowę do miejsca jego wiecznego spoczynku. Spotkanie wówczas nabiera naprawdę osobistego i intymnego charakteru.

— Mamo — powiedział, gdy znalazł się nad brzegiem dobrze sobie znanej rzeki. — Mamo! To ja, Harry.

— Harry! — odpowiedziała natychmiast. — Tak się cieszę, że przyszedłeś. Jeszcze trochę, a zaczęłabym szukać ciebie.

— Czy coś się stało, mamo?

— Pytałeś mnie o ludzi ginących w rejonie Górnego Uralu.

— Czyżby Jazz Simmons? — Harry czuł, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Wiedział, że gdyby Simmons nie żył, gdyby zmarł tu, na tym świecie, cała teoria jego i Möbiusa stałaby się nic nie warta!

Znów utknąłby w martwym punkcie w poszukiwaniu Brendy i Harry'ego Juniora...

— Kto? — spytała matka zaskoczona. — Och, pamiętam! Nie, to nie on. Jego nie mogliśmy znaleźć! Trafiliśmy za to na kogoś, kto go znał.

— Kogoś, kto znał Jazza Simmonsa? W Perchorsku? — Harry'ego ogarnął entuzjazm. — O kim mówisz, mamo?

Nagle w jego umyśle odezwał się jakiś obcy mu głos.

— O mnie, Harry. Nazywam się, a może nazywałem Kazimir Kiriescu. Tak, znałem Jazza i ciągle jeszcze za to płacę. Och, o nic go nie winie! Nie jego. Ale jest kilku ludzi... No cóż, pomóż mi, jeśli możesz, synu, a ja odwdzięczę ci się, jak tylko będę potrafił.

— Pomóc tobie? — Harry rozmawiał w tej chwili z kimś, kto zmarł jakieś dwa i pół tysiąca mil od tego zakątka Szkocji. — Jak mam to zrobić, Kazimirze? Jesteś przecież już martwy.

— Tak! Chodzi mi jednak o sposób, w jaki umarłem i gdzie teraz jestem.

— Masz na myśli zemstę? Moimi rękami?

— Tak, ale przede wszystkim zaś... pragnę spokoju.

Harry zamyślił się. Zmarli często są bardziej tajemniczy niż żyjący.

— Czy nie byłoby lepiej, żebyśmy się spotkali? Czy tam, gdzie przebywasz, jest bezpiecznie?

— Tu nigdy nie jest bezpiecznie, Harry. Za to zawsze jest strasznie. Powiem ci tylko tyle: znajduję się w jednym z pomieszczeń samego Projektu Perchorsk. Chwilowo jestem tu sam. To znaczy, nie mam tu żadnych ludzi. Z tym, że... Jak z twoimi nerwami, Harry?

Keogh uśmiechnął się krótko.

— Och, są wystarczająco mocne, Kazimirze. Wierzę, że wiele wytrzymają. — Szybko jednak spoważniał. Coraz bardziej ciekawiło go położenie jego rozmówcy.

— W takim razie przyjdź tu — zdecydował starzec. — Ale pamiętaj, że ostrzegałem cię!

Harry stał się ostrożny. I tak miał zamiar odwiedzić Perchorsk.

Dlatego właśnie chciał spotkać się ze swoją matką: jej rozległe znajomości pozwoliły mu znaleźć kogoś, kto by go tam zaprowadził.

— Powiedz mi jedno, czy moje życie będzie zagrożone? — zapytał.

— Nie, nic z tych rzeczy. Wygląda na to, że teraz nikt nie powinien nam przeszkadzać — choć nie można wykluczyć takiej ewentualności. Będziesz przecież mógł odejść w każdej chwili. Chodzi o to, że jestem w towarzystwie czegoś, co nie wygląda zbyt apetycznie... — Głos starego człowieka zadrżał przy ostatnich słowach.

— W takim razie — zdecydował Harry — nie przestawaj do mnie mówić! To pomoże mi do ciebie dotrzeć.

Wyczarował drzwi Möbiusa i podążył biegiem myśli Kazimira wprost do ich źródła...

W Perchorsku minęła pierwsza po północy. Harry Keogh wstąpił do ciemnego pokoju, słabo oświetlonego małymi, czerwonymi żarówkami. Nekroskop poczuł niejasną awersję do tego miejsca. Pod stopami pulsowało przerażające serce Projektu. Pierwszą rzeczą, którą dojrzał w pokoju, było szklane naczynie. Zawierało ono coś, czego nie po-

trafił na razie rozpoznać.

— To ja! — odezwał się Kazimir Kiriescu. — Oto moje miejsce spoczynku. Tylko, nie mam ani chwili spokoju!

— Zobaczymy, co cię trapi! — powiedział Harry łagodnie. Dostrzegł na ścianie liczne przełączniki. Podszedł do nich i zapalił światło.

— O Boże! — szepnął wstrząśnięty. — Kazimir?!

— Zostałem przez to zjedzony! — odpowiedział starzec zrozpaczony. — I w tym zostałem. Pogodziłbym się jakoś ze swoją śmiercią. Ale nie potrafię tego uczynić w podobnym wcieleniu!

Harry niepewnie zbliżył się do akwarium. To co w nim leżało, przypominało trochę węża, trochę ślimaka, niestety — nie było ani jednym, ani drugim. Na końcu zbyt długiej szyi chwiała się głowa o twarzy starca. Patrzyły z niej jednak nieludzkie, czerwone jak krew oczy. Na całym ciele można było odnaleźć kilkanaście innych ślepi — martwych i pozbawionych powiek. Skóra stwora była ciemna, szorstka i pofałdowana. Miał on też kończyny — najwyraźniej bezkostne, tak nienaturalnie bezwładne i cienkie.

— Już nie mogę tego znieść! — zaszlochał Kazimir. — Żywy czy umarły, żaden człowiek nie byłby w stanie przywyknąć do takiego losu.

Potem na prośbę Harry'ego stary Kiriescu przekazał mu wszystko, co wiedział na temat Projektu Perchorsk.

Piętnaście minut później w innej części kompleksu. Major Czyngiz Khuw nagle się przebudził. Gwałtownie poderwał się, zlany potem i dziwnie rozgorączkowany. Przeraziły go senne koszmary, które przybrały zbyt realistyczne barwy. Rzeczywistość mogła być straszniejsza od koszmaru, szczególnie tu, w Perchorsku. Major Khuw należał do tych, którzy najbardziej zdawali sobie z tego sprawę. Miał już przez to zszarpane nerwy.

Khuw wstał, narzucił na siebie bluzę od dresu i podszedł do drzwi. Z korytarza dobiegały go dziwne odgłosy. Za drzwiami sapał Paweł Sawinkow.

— Co takiego, Paweł? — Khuw przetarł zaspane oczy.

— Nie jesteśmy całkiem pewni. Majorze. Ale... Nik Slepak i ja...

Khuw natychmiast oprzytomniał. Sawinkow i Slepak należeli do najbardziej wiarygodnych esperów radzieckiego Wydziału E. Potrafili odebrać i rozszyfrować obcy wywiad telepatyczny, byli wyczuleni na wszelkie zewnętrzne paranaturalne sygnały.

— Co się stało? — ponaglił zniecierpliwiony Khuw. — Znów nas szpiegują?

Sawinkow przełknął ślinę.

— Tym razem to coś gorszego — powiedział. — Obaj przypuszczamy... podejrzewamy, że dostał się tutaj intruz!

Khuw zaniemówił na chwilę.

— Myślicie, że to — mocno ścisnął ramię meldującego — ktoś spoza Bramy?

Sawinkow potrząsnął głową przecząco. Jego twarz pobladła z przejęcia.

— Nie, nie stamtąd. Przybysze zza Bramy pozostawiają szczególny ślad w naszych umysłach. Rzecz, którą tu teraz wyczuwamy nie jest obca w ten sam sposób. To może być nawet człowiek, tak to odbiera Nik Slepak. W każdym razie, to coś czy ten ktoś nie ma prawa się tutaj znajdować. Jednego jesteśmy pewni: dysponuje ogromną siłą!

— Gdzie może przebywać? — Khuw zsunął bluzę z lewego ramienia i pośpiesznie zapiął skórzany pas, do którego przytwierdzona była kabura jego krótkiego automatu.

— Gdzie?! — krzyknął, powtarzając pytanie. — Czyżbyś był tak samo głuchy, jak głupi? Slepak też tak oniemiał?

— Tego nie wiemy, majorze — wyszeptał grubas. — Leo Grenzel nad tym pracuje.

Kiedy tak się jąkał przestraszony, na zakręcie korytarza pojawili się Slepak i Grenzel. Wyraźnie się śpieszyli.

— No i co? — zwrócił się Khuw do Grenzla, wschodnioniemieckiego agenta.

— Przybysz Trzeci — wydyszał tamten. Jego oczy stały się w jednej chwili niewiarygodnie wielkie i nienaturalnie pociemniałe. Twarz blada jak u lunatyka.

— Stwór w szklanym naczyniu? Co z nim? — Khuw odwrócił się w stronę Sawinkowa. — Ty biegnij po Wasyla Agurskiego! — Sawinkow zniknął w głębi korytarza. — Spotkamy się w laboratorium — krzyknął za nim major KGB. — Tylko żebyście mieli przy sobie broń!

Harry cierpliwie wysłuchał ponurej opowieści Kazimira. Wiedział już, jaki los spotkał jego całą rodzinę, a zwłaszcza nieszczęsną Tassi. Poznał trochę Khuwa i metody jego działania. Ciągle jednak nie miał pojęcia o największej tajemnicy Projektu, kryjącej się w sercu kompleksu. Po prostu stary Kiriescu nie został do niej dopuszczony i nie mógł podzielić się z Keogh'em wiedzą na jej temat.

— Ten... potwór — powiedział Harry — domyślasz się, co to takiego?

— Nie, wiem tylko, że jest okropny!

— To wampir! Przynajmniej może nim być! Skąd się tu wziął? Został tutaj wyhodowany?

— Nie potrafię ci odpowiedzieć.

Harry skinął głową. Przygryzł wargi w zamyśleniu.

— A twoja córka? Gdzie ją trzymają? Wyobraź sobie plan przestrzenny tego miejsca, a ja spróbuję go odczytać.

Nareszcie Kazimir mógł mu konkretnie pomóc.

— Zajmowała celę obok miejsca mojej kaźni.

— Kazimirze, zabiorę ją stąd, jeśli tylko ją odnajdę. Masz na to moje słowo. Co więcej, jeśli uda mi się odszukać jej matkę, razem znajdą się w bezpiecznym miejscu.

Usłyszał głośne westchnienie ulgi.

— Nie pragnę niczego więcej. O mnie nie musisz się już martwić — wyszeptał starzec drżącym głosem.

— Ale się martwię. Nie mógłbym ciebie tak zostawić!

— Czuję się już jego częścią. A on pochłania mnie coraz bardziej i niedługo pewnie całkiem się z nim utożsamię.

Harry nie przestawał się zastanawiać. W jego głowie zarysował się plan.

— A gdybym go zabił? — zapytał na głos. — Nie możesz przecież umrzeć dwa razy, Kazimirze.

— Zniszcz go, a odzyskam wolność! — W głosie starca pojawiła się nuta nadziei. — Ale... jak to zrobić?

Harry wiedział jak: drewniany kołek, miecz i ogień. Z tym, że nie miał czasu na całą tę ceremonię. Postanowił pominąć dwa pierwsze akty i przejść od razu do trzeciego.

Z korytarza dobiegł przytłumiony odgłos kroków i brzęczyk alarmu.

— Dowiedzieli się, że tu jestem — powiedział Harry. — To musi być krótka robota.

Przyciągnął do naczynia wstrząsowe urządzenie Agurskiego. Stanowił je przenośny transformator z długim, giętkim kablem zakończonym zwykłą wtyczką. Znalazł na nim dwie metalowe klamry, które pośpiesznie zamocował w przeznaczonym do tego miejscu, na obramowaniu akwarium. Stwór, uważnie obserwując jego poczynania, ożywił się. Zmienił kolor i przeszedł kilka błyskawicznych przeobrażeń. Wiedział, co może go za chwilę spotkać.

Harry nie miał ani czasu, ani ochoty na podziwianie jego nerwowych popisów. Wcisnął wtyczkę do gniazdka i maksymalnie zwiększył napięcie. Na końcach klamer pojawiły się błękitne iskry, rozległy się charakterystyczne trzaski przebiegającego między nimi prądu, a w powietrzu uniósł się mdlący zapach ozonu. Potwór musiał odebrać śmiertelną dawkę, a jednak nie poddawał się natychmiast. Przypominał teraz, upiornie zniekształconą ludzką marionetkę z nadmiernie rozbudowanym prawym ramieniem. Pięścią, wielką jak głowa Harry'ego, zaczął z całej siły uderzać w szklaną ścianę pułapki.

Stopniowo zmniejszał się i... zanikał. Płyny wypełniające jego koszmarne ciało zaczęły intensywnie parować. Para wydostawała się z licznych, krwawiących otworów na jego chropowatej skórze, jak z gejzerów. Kreatura krzyczała, szeroko otwierając usta starej twarzy Kazimira, głosem nie mającym nic wspólnego z ludzkim wołaniem o pomoc.

Nagle szkło pękło pod naporem monstrualnej pięści i... Stwór utknął w morderczym uścisku ostrych krawędzi szklanej wyrwy i wyzionął ducha. Oklapł jak przekłuty balon.

Poczerniała, dymiąca kula, która niegdyś stanowiła głowę kreatury została jakby roz-

łupana niewidzialnym uderzeniem. W bulgocących zwojach parującego mózgu leniwie poruszał się... wąż. Taką więc postać przyjął terroryzujący duszę Kazimira wampir. On również skonał na oczach Harry'ego.

— Jestem wolny! — W umyśle nekroskopa zabrzmiał głos szczęśliwego starego człowieka — Wolny!!!

Harry usłyszał za plecami szczęk otwieranych drzwi. Nie oglądając się, wywołał wrota Möbiusa i szybko je przekroczył.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Intruz

Khuw, Agurski i esperzy przepychając się, weszli do laboratorium. W zamieszaniu nie dostrzegli, że w zadymionym pomieszczeniu unosi się tajemnicza poświata, blask jaśniejący na szarawym tle spalonego powietrza. W chwilę później wszelki ślad po Keogh'u zniknął. Zoolog pierwszy przyszedł do siebie po szoku spowodowanym oszałamiającym smrodem dochodzącym z rozbitego naczynia. Wyrwał wtyczkę z gniazdka.

— Kto to zrobił? — rzucił roztrzęsionym, szorstkim głosem. — Kto ponosi za to odpowiedzialność? — Nie czekając na odpowiedź, podszedł do akwarium. Powietrze zaczęło się oczyszczać i czarne, zwisające z nadtopionej dziury resztki jego podopiecznego stały się rozpoznawalne. Agurski dojrzał w nich coś, czego nie miał zamiaru ujawniać niepowołanym oczom. Ogarnęła go panika. Bez wahania zdarł z siebie fartuch i szybko okrył nim przerażające szczątki.

— Powiedziałeś, że intruza znajdziemy właśnie tutaj — major zwrócił się do Grenzla. — Tak, ktoś niewątpliwie tu był, ale jak to możliwe, u diabła. Drzwi są zamykane na klucz, a na zewnątrz stoi strażnik. Co prawda, zaspany głupiec, ale nie kompletny idiota! Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł się tu dostać nie dostrzeżony, nie mówiąc o wyjściu... — Khuw urwał i mocno chwycił Grenzla za ramię. — Leo? Co się dzieje?

Telepata znów dziwnie pobladł. Ciemnymi szarymi oczami patrzył gdzieś w głąb siebie. Lekko chwiał się na nogach.

— Wciąż blisko — wymamrotał półprzytomnie. — On ciągle tu jest!

Khuw obłędnie rozejrzał się po pokoju. Nie znalazł w nim nikogo obcego.

— Tutaj? Gdzie tutaj?

— Dziewczyna — wyjąkał telepata. — Więzień...

— Taszeńka Kiriescu?

— Tak, ona — słabo przytaknął Grenzel.

Khuw poczuł, że nie kontroluje sytuacji.

— Jakim cudem? — zapytał sam siebie. Maksymalnie wysilił swój umysł. Słyszał kie-

dyś, że zanim objął tę funkcję, Brytyjczycy dysponowali kimś, kto był zdolny do tego rodzaju sztuczek. Podejrzewano o to Harry'ego Keogha i Aleca Kyle'a. Harry Keogh zginął na pewno, ale jeśli chodzi o tego drugiego... nigdy nie znaleziono jego ciała. Przepadł najprawdopodobniej w czasie starć w Zamku Bronnicy.

— Jakim cudem? — Sawinkow jak echo powtórzył pytanie Khuwa.

— Szybko! — rozkazał oficer KGB. — Do cel. Chcę wiedzieć, co się tam dzieje!

Wybiegli z laboratorium, zostawiając chwiejącego się na nogach Grenzla i Agurskiego, owijającego martwą kreaturę i jej nieżywego pasożyta w poplamiony fartuch. Naukowiec chciał jak najszybciej znaleźć się w zaciszu swej prywatnej kwatery, gdzie nikt nie przeszkodziłby mu w jego badaniach nad czymś, z czym czuł się związany bardzo osobiście, a nawet fizycznie.

Strach nie pozwalał Tassi zmrużyć oka. Wątpiła, czy kiedykolwiek zaśnie spokojnie po tym, co pokazał jej major KGB. Prześladował ją odrażający obraz wykrzywionej, zniekształconej twarzy ojca, osadzonej w koszmarnym ciele nieziemskiego stwora.

Nie zgasiła światła i choć okryła się ciepłym kocem, drżała, leżąc na łóżku. Nie spuszczała wzroku z metalowych drzwi, w których w każdej chwili mógł pojawić się Khuw. Wiedziała, że ktoś taki jak on nie rzuca słów na wiatr, zwłaszcza gróźb.

Harry pojawił się w celi Tassi, ale nie dostrzegła jego przybycia, ponieważ drzwi Möbiusa otwierały się i zamykały bezszelestnie.

Nekroskop rozejrzał się, żeby upewnić się, czy są sami. Cicho podszedł do więziennej kozetki i ostrożnie, ale stanowczo objął swą dłonią drobną twarz dziewczyny, starannie przysłaniając jej usta.

— Cicho! Proszę cię, nie krzycz i nie rób głupstw. Mam zamiar zabrać cię stąd! — uspokoił ją po rosyjsku.

Nie zwolnił uścisku, pozwolił jej spojrzeć na siebie i pomógł dziewczynie usiąść.

— W porządku? — zapytał łagodnie.

Tassi skinęła głową, lecz nie przestawała drżeć. Harry wolno cofnął swą dłoń i poprosił, żeby wstała. Popatrzyła na drzwi swymi wielkimi oczami, potem przeniosła wzrok na Harry'ego.

— Kim pan...? Jak... Nic z tego...

— Później. — Harry położył palec na ustach.

— Nie słyszałam, żeby pan tu wchodził. Czyżbym spała? — Nagle odruchowo podniosła do ust swą szczupłą rękę. — Przysłał pana major Khuw, prawda? Ja niczego nie wiem, mówiłam mu to setki razy! Proszę, nie rób mi krzywdy, proszę!

— Nikt nie chce tego zrobić, Tassi — powiedział Harry. — Przysłał mnie twój ojciec!

Potrząsnęła głową i odsunęła się od niego. Jej oczy wypełniły się łzami.

— Mój ojciec nie żyje — zaszlochała. — Kłamiesz, on nie żyje! Nie mógł przysłać tu ciebie. Co chcesz ze mną zrobić?

— Już ci mówiłem. — W głosie Harry'ego zabrzmiała desperacja. — Chcę ciebie stąd zabrać. Uwierz mi! Słyszysz ten alarm?

Spojrzała w stronę drzwi. Rzeczywiście, dobiegał spoza nich natarczywy dźwięk dzwonków.

— To ja go wywołałem — mówił nekroskop. — Szukają mnie i wkrótce tu będą. Nie masz wyjścia, musisz mi zaufać.

Nie zrozumiała z tego ani słowa. Sądziła, że to albo kolejna intryga Khuwa, albo ten mężczyzna zwariował. Nikt nie potrafiłby wydostać się z tego miejsca. Wiedziała jednak, że wejście tutaj również było niemożliwe, a jednak czuła dotyk przybysza.

— Masz klucze? — zapytała onieśmielona.

— Klucze? Mam całe drzwi! Setki drzwi!

„Szalony! Ale zupełnie inny niż ci, którzy mnie dotychczas prześladowali" — pomyślała.

— Nie rozumiem — zrobiła następny krok do tyłu i potknęła się o łóżko. Znów na nim usiadła.

Odgłos kroków zaniepokoił Harry'ego.

— Już są — wyszeptał. — Wstawaj! — dodał zdecydowanie. Nie sprzeciwiała się więcej. Za drzwiami rozległ się chrapliwy głos Khuwa.

— Otwierać! Otwierać, głupcy! — krzyczał wściekle.

Nekroskop objął Tassi.

— Złap mnie za szyję — polecił. — Szybciej, dziewczyno. — Posłuchała. — Zamknij oczy i nie otwieraj.

Przycisnął ją do siebie i bez wysiłku podniósł do góry. Usłyszała trzask otwieranych drzwi celi, a potem zapanowała już tylko absolutna cisza. Chciała coś powiedzieć, zabrakło jej jednak odwagi. Nie wytrzymała i na moment otworzyła oczy. Na ułamek sekundy. Po chwili znów mocno zacisnęła powieki.

— Koniec podróży — odezwał się Harry i pozwolił jej dotknąć stopami twardego podłoża. — Teraz możesz się rozejrzeć.

Ostrożnie otworzyła oczy. Obraz, który ujrzała zaskoczył ją tak bardzo, że zaczęła tracić przytomność.

W ostatniej chwili Keogh złapał ją na ręce i położył na biurku oficera dyżurnego. Ten czytał właśnie gazetę i dopiero po chwili zorientował się, że nie jest w pokoju sam. Pod trzymaną przez niego płachtę papieru wślizgnęła się bezwładna kobieca ręka.

— Uaaa!!! — wrzasnął.

— Wszystko w porządku — powiedział Harry, przyzwyczajony do podobnych powitań. — To tylko ja i znajoma mojego przyjaciela — wyjaśnił krótko.

— Chryste Panie! O, słodki Jezusie! — Oficer dyżurny z trudem łapał powietrze. Był nim Darcy Clarke we własnej osobie. Harry, nie zwracając na niego uwagi, zaczął masować lodowate dłonie nieprzytomnej dziewczyny.

Harry Keogh pojawił się w centrali brytyjskiej INTESP około pierwszej piętnaście w nocy. Pozostawił szefowi wyraźne instrukcje dotyczące Tassi, zapewniające jej całkowite bezpieczeństwo. Przywołano odpowiedniego tłumacza. Dziewczyna musiała zostać przesłuchana, ale trzeba to było zrobić z niezwykłą delikatnością i serdecznością, z położeniem szczególnego nacisku na wszystko, co dotyczy Projektu Perchorsk. Jej obecność na Zachodzie chciano utrzymać w tajemnicy. Postanowiono zmienić dane personalne dziewczyny i użyć wszelkich metod, z ponadnaturalnymi włącznie, dla ustalenia pobytu jej matki na terenie ZSRR. Harry nie zapomniał o obietnicy złożonej Kazimirowi Kiriescu i pragnął wypełnić ją do końca.

— Czy pamiętasz Zek Föener? — zapytał Darcy Keogha.

— Zek? Co z nią? — Harry widział się z nią ostatnio osiem lat temu. Była telepatką w Zamku Bronnicy. Pracowała dla radzieckiego Wydziału E. Fakt ten automatycznie czynił ich wrogami, ale dla obojga nie było to oczywiste. Mógł ją zniszczyć, jednak wiedział, że pragnie wyzwolić się spod sowieckiego zwierzchnictwa. Jedyne o czym marzyła, to powrócić do Grecji.

— Ona może maczać w tym palce — powiedział Clarke.

— W czym? W Perchorsku?

Zastanawiał się, czy właśnie Zek zdradziła jego obecność w kompleksie. Sądził, że nie powinien zdecydowanie ją o to podejrzewać. Khuw posiadał bowiem ludzi, którzy równie dobrze potrafiliby wyczuć intruza.

— Tak, w Perchorsku. Prawdopodobnie jest jednym z jego trybików. Od historii z Bodescu nie spuszczaliśmy z niej oka. Przez jakiś czas przebywała na zesłaniu w obozie pracy. Nie pracowała zbyt ciężko, ale też nie przeżyła miłych chwil. Potem znalazła się w Projekcie. Nie mamy na to żadnych dowodów, możemy jednak założyć, że znów zatrudniono ją w Wydziale E! I w KGB...

— Uprzedzałem ją. Przy następnym naszym spotkaniu... — Niewypowiedziana groźba Harry'ego zawisła w powietrzu. Clarke spojrzał na niego twardo.

— Nie sądzisz, że to coś naprawdę poważnego? Pod koniec sprawy Bodescu, Zek współdziałała z Iwanem Gerenko...

— Tak. ale zrezygnowała z tego — poprawił go nekroskop. — Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Skup się!. Wiesz, co chcę powiedzieć! Gerenko upierał się przy szalonym pomyśle praktycznego wykorzystania wampirów. Pracując nad tym, razem z Zek odwiedził nawet wschodnią część Karpat, żeby sprawdzić, czy nie pozostały tam jakieś szczątki spa-

lonego przed wiekami Tibora Ferenczego. Zek zna tajemnice wampirów! Podążając tym tropem, staje się coraz bardziej prawdopodobne, że Rosjanie potrafią je wskrzesić i że właśnie zajmują się tym w Perchorsku!

— Chcesz mnie przekonać...

— Harry, pamiętasz, jak poradziłeś sobie z Zamkiem Bronnicy? — Keogh w zamyśleniu skinął głową. Ujrzał eksplozję, ogień i gruzy radzieckiego centrum.

— Pamiętam — powiedział w końcu. — Tylko, że...

— Słucham!

— Darcy, jeżeli rzeczywiście to, co sugerujesz jest prawdą, rzecz jasna. Projekt musi zostać potraktowany w ten sam sposób. Ale nie wcześniej, nim rozwikłamy wszelkie wątpliwości. Mam przeczucie, że moje problemy znajdą swe rozwiązanie w tym tajemniczym miejscu. Zdaję sobie sprawę z ryzyka. Wiem, co się stamtąd wydostało i jak jest groźne. Nie mogę jednak w tej chwili ostatecznie rozprawić się z Projektem, jeśli chcę kiedykolwiek ujrzeć jeszcze Brendę i Harry'ego Juniora.

Przez moment wydawało się, że Clarke go rozumie, że przyjmuje jego argumentację.

— Harry, to nie jest sprawa ryzyka — to śmierć na własne życzenie! Musisz to wiedzieć.

— Ty też musisz szerzej otworzyć oczy, Clarke. Na przykład, patrząc na tragedię rodziny Kiriescu. Stary Kazimir żyłby pewnie, gdybyście się tak nie śpieszyli z wysłaniem do Perchorska Jazza Simmonsa. A biedna Tassi? W jednej chwili straciła wszystkich krewnych. Jej matka musi szaleć z niepokoju o nią, jeśli w ogóle potrafi jeszcze normalnie myśleć, więziona gdzieś na Syberii. Nie masz prawa wszystkiego po prostu przekreślać. Musisz pamiętać o Brendzie i moim synu. Pozwól, że tym razem zagramy moimi kartami.

— Co proponujesz? — głośno przełknął ślinę. — Jaki będzie twój następny ruch, Harry?

— No cóż, ciągle nie znalazłem odpowiedzi na najistotniejsze pytania. Wygląda na to, że muszę pofatygować się w tym celu do samego źródła naszych problemów — odparł nekroskop.

— To znaczy?

— Do Projektu Perchorsk, naturalnie. Muszę przekonać się, czy w istocie jest to wylęgarnia wampirów.

— Wiem, kto ci może pomóc — ożywił się Clarke. — Khuw to wyłącznie autorytet w sprawie bezpieczeństwa Projektu, nic więcej. Powinieneś skontaktować się z Wiktorem Łuchowem.

Krótko przedstawił Keoghowi wszystko, co wiedział na temat przeszłości naukowca. Harry uważnie go wysłuchał.

— Tak, to człowiek, którego potrzebuję.

— Kiedy z nim porozmawiasz?

— Zaraz.

— Zaraz? — zdumiał się Clarke. — Ależ panuje tam w tej chwili stan najwyższej gotowości!

— Wiem. Postaram się stworzyć wokół siebie rodzaj zasłony dymnej.

— Co takiego?

— Chyba znasz słowo, dywersja? Pozwól poza tym, że sam zadbam o siebie. Ty masz za zadanie właściwie zająć się dziewczyną. Pamiętasz?

Clarke energicznie przytaknął i wyciągnął rękę.

— Powodzenia, Harry.

Nekroskop ujął dłoń zwierzchnika i mocno ją uścisnął. Clarke pozostał w pokoju sam.

— Byłem tam kiedyś! — westchnął ciężko na wspomnienie przestrzeni Möbiusa. „Oby się to nigdy nie powtórzyło..." — pomyślał.

Wiktor Łuchow właśnie powrócił do swej kwatery. Była urządzona bardziej komfortowo niż mieszkalne pomieszczenia szeregowych pracowników kompleksu.

Wciąż jeszcze drżał, pełen wściekłości. Przed chwilą posprzeczał się z Czyngizem Khuwem. Chciał od niego uzyskać wyczerpujące wyjaśnienia w sprawie niewiarygodnych plotek dotyczących trzymanych przez niego więźniów — Kazimira i Taszeńki Kiriescu. Naukowiec nie mógł uwierzyć, że za jego plecami szerzy się brutalność i że pod jego bokiem mogło nawet dojść do mordu.

Nie wybrał sobie najlepszego momentu na rozwianie dręczącej go niepewności. Aż świdrowało w uszach od przenikliwych, alarmowych dzwonków, to nie usprawiedliwiało jednak... arogancji, łagodnie rzecz ujmując, z jaką potraktował go oficer KGB.

— Niech pan posłucha, towarzyszu dyrektorze — wysyczał major. — Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł pokazać panu w tej chwili Tassi Kiriescu. Znajdujemy się dokładnie w jej celi. Przed drzwiami tego pokoju dwadzieścia cztery godziny na dobę stoi strażnik. Nie wypuścił jej stąd, a jednak nikogo tu nie było, kiedy weszliśmy! Sami musieliśmy otwierać drzwi kluczem, bo przez cały czas były zamknięte. Wiem, że nie szanuje pan zbytnio Wydziału E, nie mówiąc o KGB, ale nawet pan, ze swym jakże wrażliwym umysłem naukowca musi przyznać, że zaszło tu coś niejasnego, wprost metafizycznego! Moi ludzie starają się odkryć źródło tej tajemnicy. Ja sam nie posiadam specjalnych talentów i potrzebuję spokoju, żeby zrozumieć to, co do mnie mówią. Mam nadzieję, że dotarło do pana, iż nie powinien mi pan teraz przeszkadzać!

— Posuwa się pan za daleko, majorze! — krzyknął Łuchow.

— I posunę się jeszcze dalej — odparł Khuw jadowicie. — Jeśli w tej chwili nie zaj-

mie się pan swoimi sprawami, zostanie pan pod eskortą odprowadzony do swej kwatery!

— Jak pan śmie!

— Słuchaj, ty cholerny inteligencie! Jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo tego miejsca i mogę sobie pozwolić dosłownie na wszystko! Powtarzam ostatni raz: Przybysz Trzeci został zniszczony w niewyjaśnionych okolicznościach, córka Kiriescu zniknęła, a Kazimir Kiriescu... zginął w nieszczęśliwym wypadku. Otrzyma pan szczegółowy raport na ten temat. A na koniec, w Projekcie znalazł się ktoś obcy. Ktoś, kto zagraża jego bezpieczeństwu! To moja działka, nie pańska. Niech pan wraca do łóżka. Do swojej matematyki, fizyki i innych mądrości. Nie będę w tym panu przeszkadzał i niech mi się pan odwdzięczy w ten sam sposób. Po prostu, zostaw mnie pan w spokoju.

Znieważony dyrektor odwrócił się na pięcie i wypadł z celi. Teraz siedział za swoim biurkiem i trzęsącymi się rękami pisał, zaadresowany do Moskwy, raport, donoszący o podejrzanej działalności majora Khuwa na terenie Perchorska i o jego karygodnej niesubordynacji.

Harry zmaterializował się przed wielkimi wrotami, prowadzącymi do ukrytej w przełęczy budowli. Oddał w stronę stojącego tam wartownika pojedynczy strzał, żeby zwrócić na siebie uwagę. Zanim tamten zdołał odbezpieczyć swoją broń, zniknął za drzwiami Möbiusa.

Potem pojawił się w laboratorium. W każdej chwili był gotów na błyskawiczną ucieczkę w kontinuum Möbiusa. Ale pokój był pusty. Zadowolony, podszedł do zamkniętych na klucz drzwi i zaczął w nie głośno uderzać, wołając o pomoc. Oczywiście, zaalarmował tym stojącego na korytarzu strażnika.

Następnie odwiedził celę Tassi. Spostrzegł grupę miotających się mężczyzn. Wyprowadził dwa precyzyjne ciosy i zniknął. Leo Grenzel i Niki Slepak upadli natychmiast na podłogę, a reszta stała jak wryta z szeroko otwartymi oczami. Grenzel poczuł, że ma obluzowane dwa przednie zęby.

— To on! — zaseplenił, spluwając krwią. — To ten intruz!

Khuw postanowił pobiec po zbrojną pomoc i nie tracąc czasu wypadł na korytarz. W przejściu, między sąsiednimi sekcjami obiektu coś go przyhamowało, zderzył się z Harrym Keoghem. Rozpoznał tego mężczyznę, to znaczy, tak mu się wydawało. Khuw miał doskonalą pamięć wzrokową. Przypomniał sobie pewną fotografię. Widział pod nią podpis: „Alec Kyle, były zwierzchnik INTESP".

Harry przycisnął mu do szyi odbezpieczonego browninga.

— Domyślam się, że wiesz kim jestem. Masz w tym momencie nade mną przewagę, ale pozwól, że zgadnę. Major Czyngiz Khuw?

Khuw skinął głową i podniósł ręce do góry.

— Nie wybrał pan zbyt szlachetnego zawodu, majorze — powiedział Keogh. — Ra-

dzę ci, wycofaj się z tego bagna, póki masz ku temu okazję. I módl się, żebyśmy nie spotkali się nigdy więcej. — Harry zrobił krok do przodu i rozejrzał się w poszukiwaniu drzwi.

Khuw wykorzystał moment jego nieuwagi, wyszarpnął z kabury swój pistolet i nacisnął spust. Kula przeszyła jedynie srebrzystą poświatę. Nekroskop oddalił się na bezpieczną odległość.

Wylądował w pokoju służbowym w wojskowej części kompleksu, usytuowanej na jej obrzeżach. Wsunął lufę pistoletu w ucho siedzącego za biurkiem żołnierza i rozkazał, żeby ten wskazał mu drogę do kwatery dyrektora Łuchowa. Przerażony sierżant wyrysował mu ją na ściennym planie obiektu.

Keogh uznał, że zamieszanie, które wywołał jest wystarczające. Była dokładnie piąta dwadzieścia rano czasu lokalnego, kiedy ostatecznie wylądował w przytulnym pokoju prywatnego apartamentu Wiktora Łuchowa. Dyrektor rozmawiał właśnie przez telefon, domagając się wyjaśnień na temat przyczyn kolejnego alarmu. Stał odwrócony plecami do swego nieoczekiwanego gościa. Harry poczekał, aż skończy i odłoży słuchawkę.

— Dyrektor Łuchow? To o mnie w tym wszystkim chodzi — odezwał się po chwili i wycelował w pierś swojego gospodarza. — Proszę, niech pan siada — dodał.

Łuchow zatoczył się. Popatrzył na Harry'ego, potem na jego broń.

— Co? Kto? — wyjąkał.

— Nie ma znaczenia, kto — powiedział Keogh.

— Intruz Khuwa! — Łuchow nareszcie odzyskał głos. — Byłem pewien, że to jakaś część jego piekielnego planu.

— Siadaj — Harry machnął lufą w stronę krzesła.

Łuchow zrobił, co mu kazano. Żółtawe żyły pulsowały pod napiętą skórą wygolonego ciemienia. Harry przyjrzał im się zaciekawiony i zauważył, że musi to być całkiem świeże zniekształcenie.

— Wypadek? — zapytał.

Łuchow nie odpowiedział. Nagle obaj podskoczyli na sygnał dzwoniącego aparatu. Harry przygryzł wargę. „Pracują tu naprawdę utalentowani telepaci" — pomyślał. Wyglądało na to, że już go zlokalizowali.

— Wstawaj — doskoczył do siedzącego naukowca i sam poderwał go na nogi. Wywołał drzwi Möbiusa i przeciągnął przez nie, biernie mu się poddającego, dyrektora.

Po chwili znaleźli się w dole przełęczy. Harry podniósł głowę i poprzez gęsto padający śnieg spojrzał w stronę wysokich szczytów, ograniczających górskie przejście. Łuchow miał tylko czas na to, żeby stwierdzić, że żadna dziedzina nauki nie wytłumaczyłaby zjawiska, w którym przed chwilą uczestniczył. Chciał zaprotestować, lecz nawet nie wiedział przeciwko czemu. Harry znów pociągnął go za sobą w próżnię. Tym razem wylądowali na wąskiej półce skalnego urwiska, wysoko ponad ołowianym polem. Łu-

chow spojrzał w dół i prawie zemdlał. Wydał z siebie chrapliwy okrzyk i przywarł plecami do zimnego kamienia. Harry odezwał się kategorycznym tonem, który pomógł naukowcowi zachować równowagę.

— Siadaj, zanim tam spadniesz! — krzyknął.

Dyrektor ostrożnie usiadł i szczelnie owinął się tużurkiem, który miał na sobie w chwili, gdy Keogh zaskoczył go swą wizytą. Drżał z zimna i ze strachu przed tym, co jeszcze czeka go w towarzystwie tego szaleńca. Wszystko rozgrywało się tak szybko, że nie mógł nadążyć za wypadkami. Harry przyklęknął obok niego i odłożył broń.

— No tak — stwierdził. — Można założyć, że w tych strojach mamy obaj jakieś piętnaście minut zanim zamarzniemy na śmierć. Lepiej się więc pośpiesz z tym, co masz mi do powiedzenia. Interesuje mnie wszystko, co dotyczy Projektu Perchorsk. Wiem na pewno, że jesteś jedyną osobą, która potrafi rozwiązać wszystkie moje wątpliwości na ten temat. Zadam ci w związku z tym kilka pytań, a ty mi na nie odpowiesz, zgoda?

Łuchow próbował opanować swoje rozdygotane nerwy.

— Jeśli... jeśli mam przed sobą kwadrans życia, to ty też nie więcej. Obaj zginiemy na mrozie!

Harry skrzywił się ironicznie.

— Nie jesteś w najlepszej formie. Myślisz, że tu z tobą zostanę na wieki? W każdej chwili mogę ciebie tu zostawić.

Śnieg zawirował w miejscu, gdzie odcisnął się ślad stóp i kolan nekroskopa, który zniknął na chwilę, unosząc się w przestrzeń. Po chwili próżnia po nim znów się wypełniła.

— Zrozumiałeś już, że dla mnie to tylko zabawa? No to jak, mówisz, czy mam odejść? — zniecierpliwił się Harry.

— Jesteś wrogiem mojego kraju! — oburzył się Łuchow. Zimno stawało się coraz bardziej przejmujące.

— A co powiesz o tym? — Harry wskazał ruchem głowy dno przełęczy. — To miejsce wydaje się być wrogiem całego świata.

— Jeśli cokolwiek powiem ci o Projekcie, cokolwiek, będę zdrajcą — zaprotestował dyrektor Perchorska.

Harry zrozumiał, że dyskusja, w którą dał się wplątać prowadzi donikąd. Poza tym i jemu zrobiło się zimno.

— Posłuchaj. Poznałeś zaledwie ułamek moich możliwości. Jestem nekroskopem. To znaczy, że mogę rozmawiać ze zmarłymi. Jeśli więc teraz niczego się od ciebie nie dowiem, będę zmuszony zabić cię, a wtedy sam mnie będziesz prosił, żebym zamienił z tobą choć parę słów. Będę dla ciebie w ten sposób jedynym łącznikiem z żywym światem, Wiktorze.

— Rozmawiasz ze zmarłymi? — Łuchow nie ukrywał przerażenia. — Jesteś szalony!

Nie wiesz, co mówisz!

Harry wzruszył ramionami, wstał i spojrzał z góry na naukowca.

— Widzę, że potrzebujesz czasu do namysłu. Zostawiam cię na pięć minut, sam na sam z twoimi rozterkami. Pójdę się trochę ogrzać. Kiedy wrócę, chcę usłyszeć po prostu: tak lub nie. Możesz potem próbować wydostać się stąd o własnych siłach. Osobiście wątpię, by ci się to udało. Myślę, że spadniesz i porozmawiamy dopiero, jak znajdę w dole przełęczy twoje martwe ciało.

Dyrektor chwycił przynętę. W głębi duszy chciał wierzyć, że to tylko senny koszmar.

— Poczekaj, poczekaj! Co takiego... co chcesz właściwie wiedzieć?

— Uff, tak już lepiej — odetchnął Harry. Pomógł Łuchowowi wstać i przeniósł w odległy, ale o ileż przyjemniejszy, zakątek kuli ziemskiej: na pustą o tej porze australijską plażę. Wiktor czuł pod stopami ciepło rozgrzanego piasku i usłyszał szum łagodnych fal migocącego w świetle zachodzącego słońca oceanu. Czuł, że jest bliski nerwowego załamania.

Harry dostrzegł jego stan i postanowił mimo wszystko zostawić go na chwilę samego. Poszedł się wykąpać, a kiedy wrócił, Łuchow czekał gotów do rozmowy.

Zapadła ciemność, zanim Harry wyczerpał długą listę nurtujących go pytań.

— Do Perchorska wrócimy rano — powiedział Keogh. — Na pewno nie przestali cię szukać i krążą po całym Projekcie. Jeśli się tam pojawisz, ludzie Khuwa natychmiast zlokalizują cię. Swoją drogą, wszyscy zaangażowani w cały ten kram muszą już być nielicho zmęczeni. Jedno jest przynajmniej jasne: Khuw zdążył się już zorientować, z kim ma do czynienia. Teraz uważaj: bardzo mi pomogłeś i należy ci się z mojej strony uczciwe ostrzeżenie. Może się zdarzyć, że zostanę zmuszony do zniszczenia Perchorska. Dla dobra całej ludzkości, Perchorsk wcześniej czy później zostanie zmieciony z powierzchni ziemi. Amerykanie nie będą spokojnie czekać na następne potwory, które w każdej chwili mogą się stamtąd wydostać.

— To oczywiste — odpowiedział Łuchow. — Już dawno to przewidziałem. Kilka miesięcy temu, złożyłem na ten temat oficjalny raport w ministerstwie obrony. Został przyjęty i pozytywnie rozpatrzony. W przyszłym tygodniu, a może nawet jutro, pojutrze do Perchorska zaczną przybywać ciężarówki ze Swierdłowska. Przywiozą najnowsze urządzenia zabezpieczające. Jak widzisz, tu się zgadzamy w zupełności. Nic obcego nie powinno wylecieć w przyszłości z tego naszego lokalnego piekiełka.

— Zanim zabiorę cię z powrotem — powiedział — chciałbym, żebyś wyjaśnił mi jeszcze jedną rzecz. Mam na myśli Bramę w sercu kompleksu, łączącą różne światy. Tam, w Perchorsku, stworzyliście przecież... szarą dziurę, prawda?

Łuchow wstał i sztywno otrzepał się z piasku.

— To prawda — odparł — Sam brałem udział w jej stworzeniu. Właściwie przypadek sprawił, że przyczyniłem się do jej zaistnienia. Wykonałem większość obliczeń matematycznych. Brama jest fizycznym wytworem, rzeczywistością opartą na logicznych przesłankach. Jest materialna, a nie metafizyczna. Ty natomiast, jesteś po prostu człowiekiem! Nie rozumiem sił, którymi dysponujesz. Nie potrafiłbym ich na przykład zapisać!

Harry zastanawiał się nad jego słowami.

— W ten sposób na to patrząc, można przyjąć, że i ja jestem dziełem przypadku — odrzekł. — Produktem zderzenia się dwóch spośród miliardów wydarzeń, ich kombinacją i owocem. W każdym razie pamiętaj, że cię uprzedziłem. Ryzykujesz życiem, pozostając w Perchorsku.

— Myślisz, że o tym nie wiem? — Wzruszył ramionami Łuchow. — Nie mógłbym jednak porzucić pracy. Zbyt wiele ona dla mnie znaczy. A ty? Co teraz zrobisz?!

— Muszę dowiedzieć się, co znajduje się po drugiej stronie Bramy. Wierzę, że odkryję tam coś więcej niż potwory.

Naprawdę chciał w to wierzyć. Miał nadzieję, że spotka tam Brendę i syna. Nie chciał dopuścić do siebie myśli, że Harry Junior mógł zabrać matkę w jeszcze inny, bardziej odległy wymiar przestworzy...

Harry zostawił Łuchowa pod wielkimi wrotami, prowadzącymi do wnętrza kompleksu. Świtało, kiedy dyrektor potężną kołatką zaczął stukać w ścianę ołowiu, broniącą mu dostępu do jego własnych, poniekąd, włości. Nekroskop powędrował w tym czasie prosto do jego dyrektorskiego gabinetu. Kiedy był tu ostatnio, zauważył na wieszaku czysty biały fartuch. Ubrał go teraz i z jego przepastnych kieszeni wydobył ciemne okulary. Wyglądał w tej chwili jak jeden z tysiąca techników, pracujących na terenie obiektu.

Stamtąd skierował się już do swego ostatecznego celu. Materializował się na „pierścieniach Saturna" w grocie, w sercu kompleksu, w połowie drogi między sąsiednimi stanowiskami szybkostrzelnych dział. Przez moment stał w bezruchu, gotów w każdej sekundzie cofnąć się w bezpieczne kontinuum Möbiusa, ale wszystko wydawało się iść zgodnie z jego planem. Żołnierz, opierający się w pobliżu o ścianę, był może trochę zaskoczony jego widokiem, wyprostował się jednak bez dłuższego namysłu i zasalutował. Harry spojrzał na niego twardo, co tym bardziej zbiło wartownika z tropu, potem obrócił się do niego plecami i zaczął okrążać świetlistą kulę, nie spuszczając z niej wzroku.

Po „pierścieniach Saturna" krążyło kilkunastu prawdziwych techników. Wszyscy wyglądali na bardzo zmęczonych nocną służbą. Nawet żołnierze sennie kiwali się na swych polowych taboretach. Dwóch naukowców minęło Harry'ego i szło w kierunku ścieżki prowadzącej do błyszczącej sfery. Jeden z nich zwrócił się w stronę Keogha, uśmiechnął się i skinął mu zdawkowo głową. „Ciekawe, za kogo mnie bierze?" — pomyślał nekro-

skop. Zrewanżował się podobnym gestem i podążył ich śladem. Zdecydowanym krokiem kierował się w stronę Bramy.

Jakiś żołnierz poderwał się.

— Hej! znalazł się towarzysz na naszej linii strzału! Przepisy! — krzyknął.

Harry spojrzał krótko przez ramię, ale udał, że nie słyszy napomnienia. W ostatnim momencie minął furtkę w zelektryfikowanym ogrodzeniu, która zaczęła się przed nim automatycznie zamykać. Stanął na wypalonych deskach ostatniego odcinka pomostu. Zza jego pleców dobiegły rozdrażnione głosy goniących go mężczyzn. Harry był świadom niebezpieczeństwa grożącego mu ze strony wycelowanych teraz prosto w niego dział.

Nie kusząc losu, wywołał drzwi Möbiusa. Popełnił jednak błąd w którymś z równań. Drzwi ukazały się bardzo niewyraźnie. Ich kontury falowały jak fatamorgana. Ukazały się z boku, ale z niewiadomych przyczyn zaczęły ciążyć ku Bramie. Błyszcząca kula najwidoczniej je przyciągała. W końcu drzwi zatrzymały się wprost na jej powłoce i stopniowo rozmyły się w migocącym blasku. Harry'emu przydarzyło się coś takiego po raz pierwszy w życiu. Wywołał inne drzwi... z takim samym skutkiem. Brama je neutralizowała.

Nekroskop poczuł na swym ramieniu ciężar czyjejś ręki. Niemal równocześnie usłyszał głośne krzyki z rampy u dołu schodów wiodących metalowym cylindrem na wyższe poziomy Projektu.

— To on! To on! — ktoś wołał.

Sierżant złapał go, gwałtownie szarpnął i odwrócił twarzą do siebie. To pozwoliło Harry'emu zerknąć w stronę miejsca, z którego dochodził wściekły głos. „Boże! Czy ten drań nigdy nie śpi?" — pomyślał na widok Czyngiza Khuwa, nadchodzącego z góry w towarzystwie gorączkującego się człowieczka. Harry rozpoznał w tym drugim mężczyznę, którego uderzył w celi Tassi. To on właśnie piskliwie się wydzierał, wyciągając oskarżycielsko palec w stronę, oszołomionego kolejnymi niepowodzeniami, Keogha.

— Otworzyć ogień! — rozkazał major natychmiast. — Zastrzelić go! Zabić! To intruz!

Żołnierz ściskający ramię Harry'ego puścił je od razu, cofnął dwa kroki i sięgnął po broń. Keogh nie czekał, aż dobędzie automat, mocno kopnął przeciwnika i odepchnął silnie. Potem płasko przywarł do drewnianych bali. Leżąc na pomoście znalazł się poza zasięgiem artylerii. Ponownie wywołał drzwi Möbiusa, tym razem ponad poziomem ścieżki. Jednak ich zarys był ledwo widoczny i również zaczęły przesuwać się w stronę świetlistej kuli więc nie mógł nawet próbować się przez nie przedostać.

— Obniżyć działa, cel... — rozległa się komenda.

Harry nie miał wyboru: mimo że rozpływające się drzwi zatrzymały się już na Bramie — rzucił się ku nim, w stronę oślepiającego blasku. Zdążył.

Kiedy odzyskał przytomność, zorientował się, że dryfuje w przestrzeni Möbiusa w nieznanym kierunku. Szósty zmysł, który decydował o talencie Harry'ego, był przygłuszony i przytępiony. Nie bez wysiłku nekroskop sformułował równanie metafizycznych drzwi: otworzyły się na czarnym tle kosmosu i oślepiły go błyskiem niezliczonych gwiazd obcych konstelacji. Zamknął je czym prędzej i sięgnął w pamięci po inne wzory.

Odnalazł wrota czasu przyszłego. Za nimi nie dostrzegł żadnych strumieni życia, oprócz własnego, który ostro zakręcał tuż za metafizyczną futryną i znikał tuż przed nim. Przeszłość była równie niegościnna. A właściwie, nie dojrzał tam najmniejszych oznak ludzkiego istnienia. Harry zatrzasnął drzwi w odruchu paniki.

W następnej chwili zmusił się do opanowania nie kontrolowanych reakcji i zaczął na zimno analizować sytuację, w jakiej się znalazł. Zastanawiał się, w czym w zasadzie tkwił problem. Zgubił linię swojego życia i pragnął ją odszukać. Pamiętał jednak, że przestrzeń Möbiusa jest praktycznie nieograniczona.

— Harry? — wyszeptał w jego umyśle znajomy, choć odległy głos. — Tak właśnie myślałem! — Głos przybliżył się i nabrał siły. — Ale, co ty tu robisz? To nie twoje terytorium.

— Möbius! Dzięki Bogu!

— Bóg? Nie jestem znawca w tej dziedzinie. Harry — powiedział naukowiec. — Wolę zawdzięczać wszystko moim równaniom, jeśli nie sprawi ci to przykrości!

— Jak się tu dostałeś? — Harry uspokoił się.

— To konstelacja Oriona — odparł Möbius. — Mam do niej dostęp. Pozostaje otwartą kwestia: jak ty się tu dostałeś?

Harry opowiedział pokrótce to, co się wydarzyło.

— Hmm! — zamruczał Möbius. — No cóż. Najpierw wydostańmy się stąd. Potem pomyślimy nad rozwiązaniem tej zagadki, która sprowadziła tu ciebie. Idź za mną...

Nim się Harry obejrzał, już stał na cmentarzu w Lipsku przy grobie swojego wybawiciela. Zapadał zmierzch, co oznaczało, że Keogh spędził w przestrzeni Möbiusa cały dzień, a może nawet dwa. Był tak osłabiony, półprzytomny, że chwiał się na nogach. Usiadł ciężko na wielkim kamieniu sąsiedniego nagrobka.

— Coś mi się wydaje, że przydałby ci się porządny wypoczynek, chłopcze! — odezwał się Möbius.

— Masz rację. — Harry zgodził się z nim bez zbędnych sprzeciwów. — A jednak chciałbym się od razu dowiedzieć, czy potrafisz wytłumaczyć, co mi się przytrafiło.

— Sądzę, że tak — odparł matematyk. — Sam stwierdziłeś, że równolegle do siebie muszą istnieć różne Światy. Kontinuum Möbiusa jest bramą łączącą różne plany egzystencji. Kula w Perchorsku jest inną brama o podobnej funkcji. Obie oddziałują negatywnie na otaczającą je przestrzeń. Weź dwa magnesy i zbliż je do siebie minusowymi

biegunami. Co się wtedy stanie?

— Będą się odpychać — Harry wzruszył ramionami.

— Dokładnie tak. Identycznie reagują na siebie Brama w Perchorsku i drzwi, które wywołujesz w swych myślach. Z tym, że Brama posiada większą moc. Kiedy wyprowadziłeś w pamięci moje równania w pobliżu kuli, zostałeś odrzucony od niej jak piłka odbita od ściany! A ponieważ znalazłeś się w kontinuum, przetoczyłeś się przez nią bezwładnie. Twoje ciało zostało poddane działaniu ogromnych sił. Zginąłbyś w normalnych ziemskich warunkach na miejscu. Przestrzeń uratowała cię. Przyjmij to jak dobrą lekcję: nie wolno ci wykorzystywać twojego metafizycznego ja tuż przy Bramie. Przejdź przez nią jako zwykły człowiek, ale nigdy nie wykorzystuj kontinuum.

Harry wolno skinął głową na znak, że rozumie ostrzeżenie.

— Masz rację — powiedział zgaszonym głosem. — To była głupota, ale nie tak to sobie zaplanowałem. Tak po prostu wyszło. Zgubiła mnie zwykła ludzka ciekawość. Czułem, że muszę popatrzeć na Bramę własnymi oczami, zamiast domyślać się, jak wygląda. A teraz w całym Perchorsku każdy mnie rozpozna, jeśli znów się tam pojawię. Wszyscy mieli doskonałą okazję, żeby zobaczyć jak wyglądam! Wystarczy, żebym wetknął tam tylko swój nos, a z pewnością od razu mi go odstrzelą.

— Co zamierzasz zrobić?

Harry oparł się wygodnie o wystającą część nagrobka.

— Nie mam pojęcia — westchnął. — Jestem zbyt zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać.

— Idź do domu, wyśpij się, odpocznij. Sprawa wyda ci się potem o wiele mniej skomplikowana.

Harry podziękował serdecznie za troskliwość i zrobił tak, jak Möbius mu poradził. Ledwo przyłożył głowę do poduszki Jazza Simmonsa, zasnął jak kamień...

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dalszy ciąg historii Zek

Zapadł zmierzch. W wysokich trawach równiny u podnóża gór ptaki wyśpiewywały wieczorne trele. Szczep Lardisa maszerował na zachód niemal bezszelestnie. Wieczorną ciszę zakłócało tylko lekkie skrzypienie cygańskich drewnianych noszy. Gdyby nie ono, trudno by dostrzec, że tak liczna grupa przemieszcza się właśnie w cieniu drzew gęstego lasu. Szli jego skrajem, starając się nie wychodzić poza kryjącą strefę czarnego cienia.

Zrobiło się znacznie chłodniej niż za dnia. Wilki poddały się przyciągającemu działaniu bladego księżyca i całymi stadami wyły na powitanie.

Tylko Michael J. Simmons i Zekintha Föener rozmawiali z sobą, ciągle jeszcze odkrywając wokół siebie coś nowego. Mówili ściszonymi głosami, gdyż zdawali sobie sprawę, że hałas stanowiłby o tej porze rażące pogwałcenie obowiązującej w szczepie ostrożności. Nikt nie musiał im tego tłumaczyć.

W czasie ostatniego postoju. Jazz również sklecił coś w rodzaju noszy i przymocował do nich cały ekwipunek — swój i Zek. Oczywiście pozostawił sobie wyczyszczony karabin, który przerzucił przez plecy dla uzyskania maksymalnej swobody ruchów. Nie bez wysiłku ciągnął teraz drewniane drążki. Zek, jak tylko potrafiła najlepiej, starała mu się pomagać na najtrudniejszych odcinkach, ale przeważnie dawał sobie radę sam. Na szczęście zdążył przed przybyciem tutaj nabrać sił w Perchorsku i otrząsnąć się po kilkutygodniowym bezruchu. Kilka mil wcześniej dołączyła do nich główna grupa szczepu Lardisa i odtąd byli w komplecie. Grota, w której mieli spędzić najbliższą noc znajdowała się już niedaleko.

— Jazz — powiedział Lardis, zrównując się z nimi — kiedy szczep ulokuje się w jaskini, chciałbym, żebyśmy spotkali się przy głównym wejściu. Będę tam z trzema mężczyznami i wszyscy zapoznamy się z waszą piekielną bronią. Miotaczami ognia i całą resztą.

— Na przykład z granatami? — zapytał bez cienia kpiny agent, ocierając z czoła obfity pot.

— Ach, tak — skrzywił się przywódca. — Następnym razem zapolujemy z nimi na grubsze rybki, co? — Twarz mu błyskawicznie spoważniała. — Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli zbyt szybko sprawdzać naszej wiedzy na ten temat. Jeśli jednak zajdzie taka potrzeba, wówczas to, czym dysponujecie znacznie wzmocni siłę naszych posrebrzonych strzał i włóczni. Nie cofniemy się przecież przed walką.

— Skąd ten ponury ton, Lardisie? Co cię martwi? — Zek odezwała się lekko przestraszona. — Przed nami tylko jeden, ostatni zachód słońca zanim dotrzemy do Rezydenta. Obiecałeś to swoim ludziom i wszystko wydaje się iść zgodnie z planem.

— Jak na razie — tak, nie przeczę. Tylko że Lord Szaitis ma tym razem szczególny powód do wściekłości. Reguły zwykłej gry zostały dziś naruszone. Musiało to wywołać rozdrażnienie, a nawet prawdziwą furię! Poza tym... — Nie skończywszy zamknął usta i wzruszył ramionami.

— No dalej, powiedz całą prawdę, Lardisie — zachęcił go Jazz. — Co ciebie martwi?

— Nie wiem, może jestem przewrażliwiony. Ale jest kilka niepokojących drobiazgów. Za nami rozpościera się mgła, a tego wyjątkowo nie lubię na początku nocy! — Nunescu obrócił się i pokazał co ma na myśli.

Daleko na wschodzie z górskich szczytów zsuwała się ku podnóżom gęsta, szara zawiesina. Dochodziła do samego lasu i ginęła w jego mroku.

— Wampiry wiedzą dobrze, do czego ją wykorzystać. Nie tylko my, być może, zacieramy w tej chwili za sobą ślady...

— Przecież mamy jeszcze dzień! — zaprotestował agent.

— Ale nie potrwa długo! — odparł Lardis. — A wielka przełęcz już od dawna pogrążona jest w zupełnych ciemnościach. Spójrz, jakie ciemności panują nawet tutaj.

— Myślisz, że nadchodzi Szaitis? Ale ja niczego nie wyczuwam. — Zek podniosła odruchowo rękę do ust. — Bez przerwy kontroluję Słoneczną Krainę i nie odebrałam do tej pory żadnych obcych myśli.

— To rzeczywiście pocieszające. — Lardis głęboko odetchnął. — A nawet jeśli nadchodzi, to przynajmniej spotkamy się na naszym terenie. — Cygan spojrzał w stronę wysokich szczytów. — Jeszcze przed chwilą wyły wilki, a teraz nagle zamilkły. Nasze zwierzęta też są zaskakująco ciche. Popatrz tam na waszego wilka!

Przyjaciel Zek szedł w pewnym oddaleniu. Miał opuszczone uszy i podkulony ogon. Wolno zamiatał nim zakurzone podłoże. Raz po raz oglądał się i węszył w powietrzu.

Jazz i Zek zerknęli na siebie, a później zgodnie przenieśli wzrok na Lardisa.

— Może to nic nie znaczy — powiedział przywódca niepewnie, po czym oddalił się.

— Co o tym sądzisz? — zapytał Simmons.

— No cóż, lepiej przyjąć za dobrą monetę to, co powiedział na końcu. Im bliżej pełnego zachodu, tym bardziej wszyscy stają się nerwowi. Wędrowcy nie cierpią mgły

i wolą, kiedy ich zwierzęta są ożywione. Poza tym wierzą w złe znaki. Jak dla mnie — to po prostu niegroźny zbieg okoliczności. — Wbrew odważnym słowom kobieta zadygotała.

— Optymistka, jak zwykle? — Uśmiech Jazza nie był szczery.

— Już tak nieraz bywało, odkąd tu przybyłam — odparła pośpiesznie. — W dodatku jesteśmy już tak blisko celu!

— Obyś miała rację. — Agent chwycił za nosze i znów je pociągnął. — Ale, ale! Nie powiedziałaś mi jeszcze ani słowa o tym, jak to się stało, że Lady Karen pozwoliła ci odejść.

— Naprawdę chcesz wiedzieć? — Nieoczekiwanie poczuła, że rozmowa na ten temat pozwoli jej uspokoić napięte nerwy. — Myślałam, że w końcu cię znudziłam.

— Nic a nic — odrzekł Jazz. — Chciałbym jednak, żebyś najpierw wyjaśniła mi parę spraw, co do których mam pewne wątpliwości.

— Słucham.

— Znalazłem tu kilka sprzeczności. Weźmy na przykład samych Cyganów z ich wozami, obróbką metalu, doskonale rozwiniętym językiem — skąd się wzięli w tym dzikim, niemal dziewiczym świecie, z tak stosunkowo wysoko rozwiniętą techniką. A klimat? Po jednej stronie gór upały, a po drugiej — zabójczy chłód. Zaskakująco sztywny podział!

— Tak, też się nad tym zastanawiałam. Rozmawiałam z Wędrowcami na temat ich historii i doszłam do wniosku, że tu prawdopodobnie kryje się rozwiązanie tych zagadek.

— Teraz ty mów, a ja będę się oszczędzał — łatwiej mi pójdzie z naszym ekwipunkiem.

— Z legend Wędrowców wynika, że dawno, dawno temu ta planeta pod każdym względem bardzo przypominała Ziemię. Znajdowały się na niej oceany pełne wodnych żyjątek, biegunowe lodowce, żyzne ziemie i bujne dżungle. Była też bardzo zaludniona, bo warunki klimatyczne również zaliczyć można do sprzyjających dla życia w wielu regionach ówczesnego świata. Och, były też i bagna wampirów, ale nie odgrywały wtedy tak wielkiej roli, jak teraz. Ludzie wiedzieli o nich i starali się je omijać. Mieszkające w ich najbliższym otoczeniu szczepy, pełniły wokół nich ciągłą straż, ostrzegając nieostrożnych. Przypadki zarażenia się wampiryzmem zdarzały się niezmiernie rzadko i likwidowano je tak jak obecnie — kołek, miecz i tak dalej...

Można jednak powiedzieć, że ten problem znajdował się pod wystarczającą kontrolą ludzi i dzięki temu nie było jeszcze Lordów. Dominował osiadły tryb życia. Ludzie nie mieli się czego bać i przed czym uciekać, głównie zajmowali się handlem.

Wyobrażam sobie, że pod względem rozwoju byli w stosunku do nas cofnięci o jakieś trzysta, czterysta lat. Oczywiście, nie we wszystkim. Jednakże nie odkryli prochu,

a ich język, choć dobrze wykształcony, pozostał tylko słowem mówionym — nie zadawali sobie trudu, żeby spróbować go zapisać. Dlatego też cała ich przeszłość przetrwała do dzisiejszego dnia wyłącznie dzięki przekazywanym z ust do ust, z pokolenia na pokolenie, opowieściom. Naturalnie, powoduje to jej liczne zafałszowania. Drobiazgom nadaje się w nich często przesadne znaczenie, istotne zaś fakty przemijają bez echa. Na przykład: Wędrowcy-bohaterowie zawsze są gigantami, którzy żywią się wampirami i ich żołądek nigdy na tym nie cierpi! Ale nikt nie pamięta, kto dał początek rzemiosłu metalowemu, zbudował pierwszy wóz czy skonstruował łuk.

Wierzę, że mimo tych zasadniczych różnic nie byli za nami w tyle o więcej niż te czterysta lat. Rozwijali się po prostu mniej niebezpiecznie i bojowo, a z większym spokojem i rozwagą. Nie wiedzieli, co to wojna. Poza drobnymi sprzeczkami terytorialnymi żyli między sobą w zupełnej zgodzie. Każda z grup bez przeszkód mogła zajmować się tym, w czym się wyspecjalizowała: rolnictwem, łowiectwem albo rzemiosłem. Nie znane było niewolnictwo i pojęcie podboju.

Aha! Co się tyczy klimatu. I on był zbliżony do tego, który panuje za Bramą. Zmieniały się pory roku, dni i noce wydawały się krótsze i świat nie był jeszcze podzielony na dwie zasadnicze strefy.

— A potem wszystko się pozmieniało — zapytał zniecierpliwiony Jazz.

— Zgodnie z legendą Wędrowców, na niebie pojawiło się „białe słońce". Zbliżyło się do tej planety tak szybko, że wyglądało jak ognista kula spadająca z przestworzy. Minęło księżyc i toczyło się nad powierzchnią. Zanim się zatrzymało, przez jakiś czas dotykało twardego podłoża. Ostatecznie spoczęło w miejscu, gdzie znajduje się do tej pory.

Chociaż było stosunkowo niewielkie, dysponowało przedziwną mocą. Przyśpieszyło bieg księżyca, przesunęło oś planety, wywołało niezwykle silne ruchy geologiczne. Wtedy dopiero powstały wielkie góry, dzielące mroźną północ od pustynnego południa. Możesz sobie chyba wyobrazić, jakim piekłem stała się ta płynąca miodem i mlekiem kraina.

Klimat przestał zależeć od pór roku, a blisko ćwierćmilionowa ludność została zredukowana do kilku tysięcy niedobitków. Zmienił się kształt kontynentów; część górskich pasm przestała istnieć, inne przesunęły się na znaczne odległości. Nielicznych mieszkańców prześladowały wszelkie możliwe katastrofy: wichury i sztormy, susze, powodzie i wybuchy wulkanów. W końcu jednak ludzie nauczyli się żyć w nowych warunkach.

Minęły wieki. Nikt nie wie dokładnie — ile. Podział na Słoneczną i Gwiezdną Krainę ustalił się i zapanował nowy porządek. Ludzie osiedlili się u podnóża południowych zboczy masywu i zaczęli powracać do swych zapomnianych dawno zajęć. Był to powolny, ale wciąż postępujący proces. O wiele energiczniej zareagowały na nowe warunki wampiry.

— Nastąpiła prawdziwa plaga wampiryzmu? — dopytywał się agent.

— Bagna pękały w szwach od skażonych kreatur. Bandy zwampiryzowanych mężczyzn nękały Słoneczną Krainę w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Ludność została jeszcze bardziej przerzedzona. Przetrwali tylko najsilniejsi i najsprytniejsi. Ich cierpliwość jednak w końcu się wyczerpała. Rozproszone szczepy połączyły swe siły i przygotowały wielkie polowanie na wampiry. Zaczęto je zabijać, używając kołka, miecza... Ciąg dalszy już znasz.

Ludzie odzyskiwali, przynajmniej w pewnym stopniu, poczucie bezpieczeństwa. Plaga została przez nich opanowana, a zwampiryzowane ofiary, którym udało się umknąć śmierci, przeniosły się na północ, zasiedlając krwiożerczymi gromadami gwiezdną stronę. Były długowieczne i nienasycone w swej żądzy mordu. Bezlitośnie zabijały się nawzajem w poszukiwaniu świeżej krwi, dodającej im sił. Kiedy odkryły troglodytów, ci urozmaicili ich menu i posłużyli za niewolników. Potem mężczyźni zaczęli budować swe siedziby na skalnych kolumnach i nazywać siebie Lordami swych włości. Stali się prawdziwą potęgą ze swoją ludzką inteligencją oraz odpornością i zdolnościami mieszkających w nich wampirów. Nie trzeba było zbyt długo czekać, aż ośmielą się wziąć odwet na mieszkańcach Słonecznej Krainy za swe wcześniejsze poniżenie. A kiedy już spróbowali, nie ustali do dziś w swych atakach. Odtąd też Wędrowcy stali się wędrowcami. Oto i cała historia...

— Białe słońce — powiedział Jazz po chwili. — Czy w ten sposób określono Bramę — naszą świetlistą kulę?

— Tak przypuszczam. To wrota czasu i przestrzeni. Zwróć na to uwagę! Może łączyć nie tylko różne światy, ale i okresy. Bardzo możliwe, że to, co wydarzyło się tutaj przed tysiącami lat, mogło zostać wywołane w Perchorsku zaledwie kilka lat temu.

Jeszcze jedna ciekawostka! Do niedawna sfera, przez którą weszliśmy z Perchorska, była niemal zupełnie zakopana na dnie krateru. Widoczny zaledwie jej niewielki skrawek świecił w niebo jak strumień silnego reflektora.

— Ale dwa lata temu... — odezwał się Simmons.

— Wtedy wydarzył się „incydent perchorski"! Właśnie wtedy, podczas tutejszego dnia — czyli w czasie, gdy wampiry nie oddalają się zbytnio od swych zamczysk — kula niespodziewanie uniosła się i zajęła swoja obecną pozycję!

— Jakieś wyjaśnienie?

— Nie znam żadnego. Ale wampiry potraktowały to jako omen. Podobne znaczenie miało kiedyś w naszym świecie zaobserwowanie komety — rozumiesz? Wierzą w przepowiednię, że każda zmiana związana z kulą lub jej najbliższym otoczeniem jest wstępem do jakiegoś naprawdę poważnego wydarzenia.

— Co masz na myśli?

— No cóż. już od dłuższego czasu wspominają między sobą o połączeniu swych sił

i wypowiedzeniu regularnej wojny Rezydentowi. Pewnie by to już zrobili, gdyby potrafili załagodzić swe wewnętrzne waśnie. A poza tym, my sami nie pozostajemy bez wpływu na panującą obecnie sytuację. Odkąd Khuw zaczął wysyłać tu więźniów politycznych, a w końcu i nas zmusił do wejścia w Bramę, wampiry otrzymały dowód na to, że mityczny do tej pory, piekielny ląd — istnieje naprawdę! To nie poprawiło ich samopoczucia.

— Coś mi się tu nie zgadza — stwierdził Jazz po długiej chwili namysłu. — Jeśli ostatni „incydent perchorski", poza przemieszczeniem się ludzi, mógł wywołać również pojawienie się „białego słońca" przed kilkoma tysiącami lat — dlaczego i my nie wylądowaliśmy tutaj wcześniej? Kolejny paradoks tego czasoprzestrzennego fenomenu? To pozostaje dla mnie niejasne, ale zostawmy to na razie. Powiedz mi, odkąd wampiry używają Bramy do karania swych nieposłusznych podwładnych? Kiedy po raz pierwszy ktoś przeszedł przez nią z tej strony, żeby tu już nigdy nie wrócić?

— A dlaczego pytasz? — Zek spojrzała na niego podejrzliwie.

— Coś ważnego przyszło mi do głowy.

— O ile się orientuję, jest to zwyczaj tak stary, jak daleko w przeszłość sięga ich historia. Karzą w ten sposób od dobrych kilku wieków.

— Domyślasz się już, o co mi chodzi? — Jazz był wyraźnie podekscytowany swoim odkryciem. — Do chwili, gdy opuściłem Perchorsk, pojawiło się w nim zaledwie pięciu przybyszów z tego świata. A tylko jeden z nich był człowiekiem, a raczej miał coś wspólnego z Lordami.

— Nie tylko. To był prawdziwy Lord. Dziedzic Leska o Szczególnej Sławie, Klaus Desculu. Otrzymał od Leska wampirze jajo. Ale zamiast podziękować swemu opiekunowi za ten dar i zająć siłą jakąś sąsiednią siedzibę, podstępnie próbował zawładnąć zamczyskiem samego Leska. Nie wziął jednak pod uwagę, że ma do czynienia z wyjątkowo groźnym szaleńcem. Nawet inni Lordowie i Karen uznają go za niepoczytalnego.

— W każdym razie, Lesk o Szczególnej Sławie uwięził Klausa, jak tylko odkrył jego zamiary, a to nie było trudne, wziąwszy pod uwagę ich telepatyczne zdolności i przez dziesięć długich lat poddawał go najbardziej wyszukanym torturom, by w końcu wrzucić do wnętrza kuli. To właśnie Klaus Desculu zginął w płomieniach na pomoście tuż po wyjściu z niej po stronie Projektu. Rzecz jasna pojmuję, co ciebie tak podnieciło.. To nie jedyny przypadek tego typu, gdzie podziała się reszta podobnych skazańców? Nie w Perchorsku, bo nie był on wtedy tym, czym jest teraz. O to chodzi?

— Idąc tym śladem, można dojść do bardzo interesujących wniosków — mruknął Jazz, już znacznie uspokojony. — Przechodząc Bramę od tej strony, z Perchorska, ląduje się zawsze w tym samym miejscu. Ale co z przeciwnym kierunkiem? Czyżby istniało więcej niż jedno wyjście z kuli przy przekraczaniu Bramy w drugą stronę?

— Też się już nad tym zastanawiałam — odparła Zek. — Takie założenie wyjaśnia

kilka innych spraw, na które nie znalazłam dotąd jednoznacznej odpowiedzi.

— Na przykład?

— Weźmy język Wędrowców. Jak to możliwe, że jest tak zbliżony do rumuńskiego? A sami Słoneczni? Przecież to Cyganie z krwi i kości! Co wiesz o pochodzeniu ziemskich języków. Jazz? Mogę ciebie chyba uważać za eksperta w tej dziedzinie?

— Co o tym wiem? Tak się składa, że całkiem sporo, rzeczywiście. Co prawda wyspecjalizowałem się w języku rosyjskim, ale musiałem przy tym porządnie zgłębić rodzinę języków słowiańskich i romańskich. Tylko dlatego tak szybko zorientowałem się w tutejszym narzeczu. Dlaczego pytasz?

— Mam pewną teorię, choć moje językoznawstwo opiera się na całkiem innych podstawach. Łatwo jest poznać język, kiedy można czytać w umyśle jego bezpośrednie tłumaczenie, jak napisy na obcych kopiach filmowych. Niemniej nawet bez tego szybko odkryłam związki tutejszej mowy z naszym ziemskim — rumuńskim, wampiry komunikują się w tym samym języku...

Jazz zorientował się, do czego zmierza Zek i cicho gwizdnął przez zęby.

— Wygnańcy wampiry przenieśli swój język do naszego świata! Sugerujesz taką kolej rzeczy, prawda? To genialne! Ale...

— Tak?

— To by znaczyło, że języki łacińskie powstały właśnie w tym, a nie naszym świecie!

— Tak, to też należy do mojej teorii.

— Języki romańskie miałyby swój początek brać z terenów Rosji — zwątpił Jazz. — Nie mieści mi się to w głowie.

— Kto mówi o Rosji? — odpowiedziała natychmiast. — Jeśli z tej strony prowadzą z kuli co najmniej dwa wyjścia — dlaczego wszystkie mają znajdować się właśnie w tym kraju?

— Rumunia?

— To by się chyba zgadzało. Pomyśl: gdzie narodziły się u nas legendy o wampirach? Gdzie najczęściej rozgrywa się ich akcja?

— W Rumunii, oczywiście.

— A któremu narodowi udało się zachować swój język w postaci niemal nienaruszonej od stuleci — pomimo, że otaczają go nacje mówiące językami mającymi z ich własnym niewiele wspólnego?

— Rozumiem — skinął głową. — Podejrzewasz, że nowi banici od czasu do czasu go po prostu „odkurzają", zgadza się?

— To prawdopodobne.

Jazz zaczął się przekonywać do tego rewelacyjnego odkrycia.

— Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem skłonny przyznać ci rację — oznaj-

mił. Pierwszy Lord został przeniesiony do naszego świata nie setki, a tysiące lat temu. Dał w ten sposób początek całej fali tej osobliwej emigracji i co za tym idzie, narodowi cygańskiemu i jego językowi. Rozeszli się oni po całym świecie. Można ich do tej pory spotkać na obszarze całej Europy, ale miejscem, z którego wyruszyli jest Rumunia. Niewątpliwie dostali się pod silne wpływy kultury krajów, w których się osiedlili, zawsze jednak na pierwszy rzut oka wyróżniają się swoją, tą samą od wieków, odrębnością. A ciągle przybywają następni i dzięki nim nie zmienia się przede wszystkim ich język. No i te legendy! Rzeczywiście: co wampir — to Karpaty albo wprost Rumunia. Podsumowując — sugerujesz, że to właśnie w tych okolicach musi znajdować się inna srebrzysta kula, tak?

— Tak, nie ma sensu się z tego wycofywać. Musisz przyznać, że takie rozwiązanie ma swoje mocne punkty.

— W takim razie, dlaczego nikt nie wie o tej rumuńskiej Bramie? Czy to możliwe, żeby jej obecność przez tak długi czas nie została wykryta. W przypadku Perchorska nie trwało to długo...

— No dobrze, ale co z Rezydentem? To pewne jak amen w pacierzu, że ma w każdej chwili dostęp do naszego świata i że z niego wraca. Jeśli więc nie korzysta w tym celu z Bramy Perchorskiej, to...

— To jakiej Bramy do tego używa? — dokończył Simmons.

— Dokładnie tak.

— Wystarczy. Odwaliliśmy do tej pory kawał solidnej roboty. — Po chwili milczenia pierwszy odezwał się Jazz. — Zanim mózg mi całkiem wyparuje przejdźmy do czegoś mniej skomplikowanego.

— Na przykład do tego, jak to się stało, że Karen uwolniła mnie ze swojego więzienia?

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu. — Uśmiechnął się przymilnie.

— To świetny pomysł. — Zek skupiła się i po chwili zaczęła opowiadać: — Jak już wiesz, warunki mojego pobytu w siedzibie Karen trudno nazwać prawdziwym więzieniem. To znaczy — warunki fizyczne, bo z drugiej strony... Nie mam pojęcia, jak długo tam przebywałam. Poczucie ciągłego zagrożenia sprawiło, że czas stanął dla mnie w miejscu. Znaczną jego część pochłaniał mi męczący, wypełniony koszmarami sen. To była reakcja na stan mojej psychiki — wyczerpanej życiem w tak obcym miejscu! Kolejne przerażające odkrycia na temat zasad funkcjonowania szczepów Lordów i ciągłe poczucie klaustrofobii, które nie opuszczało mnie nawet w najbardziej przestronnym pomieszczeniu zamczyska sprawiły, że wolałam spać niż męczyć się z utrzymaniem swoich nerwów na wodzy. A poza tym, ten brak jakichkolwiek ludzkich odgłosów. Trwająca godzinami absolutna cisza, przeraźliwy chichot wampirów lub jęki i śmiertelne krzyki pożeranych żywcem ofiar — tylko takie dźwięki dochodziły do moich uszu. Sama nie

wiem, jak to możliwe, a jednak Lady Karen na swój własny sposób darzyła mnie przyjaźnią. Choć naprawdę trudno uwierzyć w prawdziwą ludzko-wampirzą przyjaźń, tylko tak potrafię nazwać jej stosunek do mnie. A z drugiej strony — dlaczego miało być inaczej? W głębi duszy pozostało w niej coś z prostej dziewczyny z ludu Wędrowców, jestem tego pewna. Pamiętała siebie z dawnych czasów, doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji, w której się znalazła. Oczywiście, potrafiła mieć serce z kamienia, ale tylko wtedy, gdy broniła interesów swego dziedzictwa i w bezpośrednim zagrożeniu swojej godności i nietykalności.

Była zawsze prawdziwą pięknością jeszcze wśród kobiet Wędrowców, a ja również nie muszę się wstydzić swojego wyglądu, więc być może widziała we mnie jakiś ślad siebie samej sprzed lat. A może chciała najdłużej, jak to tylko możliwe, postępować zgodnie z własną wolą, nawet wbrew woli wampira, którego w sobie nosiła? Wiedziała, że kiedy ten w pełni się w niej rozwinie — jej reakcje przestaną tak naprawdę być jej reakcjami.

Gdyby nie była kobietą — jeśli i w jej siedzibie mieszkałby któryś z Lordów — bez wątpienia moja historia byłaby o wiele krótsza. Nie wiem, czy potrafisz sobie wyobrazić, co to znaczy kochać się — fizycznie, jak się domyślasz — z wampirem! Nie istnieje w ich języku abstrakcyjne pojęcie „miłość". Służy ono do określania wyłącznie fizycznej strony. A co ono oznacza? Z tego, co mówiła Karen mogłam łatwo wywnioskować, że żadna zwykła kobieta nie przeżywa nigdy stosunku z Lordem! Chyba wówczas musiało powstać powiedzenie, że istnieje „los gorszy od śmierci" i jest to los takiej właśnie zwykłej kobiety, porwanej przez wampiry dla zaspokojenia ich zwykłej zwierzęcej żądzy.

Na szczęście Karen była też kobietą, a jej wampir jeszcze bardziej uaktywnił w niej żeńskie hormony. Nie pomyśl tylko, że była lesbijką! Nie, nic z tych rzeczy. W każdym razie — jeszcze nie. Kto wie, w jakim kierunku pójdą jej wampirze dewiacje? Póki co, nie wyczułam w jej stosunku do mnie podłoża seksualnego.

— Co innego jej porucznicy! — dodał Jazz.

— Oczywiście! Mieli pod dostatkiem uwięzionych kobiet i dziewcząt Wędrowców, z tym, że żadna z nich nie była blondynką. Byłam dla nich jak rodzynek w cieście, ze swoimi jasnymi włosami i bladą cerą. W dodatku pochodziłam z piekielnego lądu i nie potrafiłabym się przed nimi obronić! Co więcej, miałam talent, którym obdarzeni byli wyłącznie Lordowie i naprawdę nieliczne wampiry. Jednym słowem — przyniosłabym sławę każdemu, kto by mnie posiadł. Karen obawiała się, że kiedy stanie się Lady w pełnym tego słowa znaczeniu, zabraknie w niej tej odrobiny ludzkich uczuć, które do tej pory kazały jej bronić mnie przed tymi plugawymi zakusami.

Pewnego dnia zaczepiła mnie.

— Słuchaj uważnie, Zekintho — powiedziała. — Jest pewna sprawa, w której możesz mi pomóc. Jeśli to zrobisz dobrze, osobiście przeprowadzę cię do Słonecznej Kra-

iny i tam pozwolę ci poczekać na Wędrowców. Nie widzę powodu, dla którego miałabyś tu ze mną zostać i być świadkiem mojego zwycięstwa i klęski jednocześnie!

Zapytałam, czy proponuje mi wolność, ale ona zaczęła wyjaśniać na czym ma polegać moje zadanie.

— Wampiry zwołują nadzwyczajne zebranie. Wszyscy Lordowie mają się spotkać w jednym miejscu i omówić szereg ważnych problemów. Najważniejszy z nich dotyczy tego, czy są w stanie uzyskać jednomyślność w szczególnie istotnej sprawie. Narada ma się odbyć w mojej siedzibie.

Później Karen podzieliła się ze mną swoimi wątpliwościami. Wydało się jej niezwykle intrygujące to, że chcą przybyć właśnie do niej. Do miejsca, które do tej pory tak starannie omijali. Niemniej postanowiła użyczyć im swojej gościny. Zapytała mnie, co o tym sądzę.

— O Lordach wiem tylko tyle — odpowiedziałam — co sama mi o nich opowiadałaś. Ale to wystarczy, żebym się ich dostatecznie obawiała! Myślę, że jeżeli wpuścisz tu Lorda Szaitisa, Leska, Leskulę i innych — stracisz swój zamek. Ze wszystkich siedzib właśnie twoja zajmuje pozycję najkorzystniejszą ze względów strategicznych. Muszą ci tego zazdrościć. Poza tym masz mnie, a ja dysponuję magicznymi siłami. To jasne, że każdy z nich chciałby zostać moim panem. Na dodatek posiadasz najlepiej wyszkolone w boju wojenne kreatury. Ale nawet one nie są przez Lordów tak pożądane, Karen, jak ty sama. Znajdą wiele przyjemności w wykorzystaniu twojego ciała — tu podzielilibyśmy ten sam los. Tylko że ty jesteś Lady i nie umrzesz tak szybko jak ja! Twoje cierpienia potrwają znacznie, znacznie dłużej!

— Skończyłaś? — zapytała Karen.

— Jak na razie — tak!

— Gdybym była zwykłym człowiekiem, z pewnością zgodziłabym się z każdym twoim argumentem. Teraz jednak mój punkt widzenia różni się od twojego. Czy nie zbyt pochopnie oceniamy ich zamiary? Rzeczywiście powinni się spotkać na gruncie neutralnym — choćby tylko po to, żeby się przekonać, że nie są w stanie z sobą współpracować. Moja siedziba idealnie się do tego nadaje. Nigdy nie traktowali mnie jak równą sobie — po prostu wynajmują ode mnie salę konferencyjną i nic poza tym! Oczywiście, nie zamierzam do końca im zaufać. Dlatego właśnie muszę przygotować się na wypadek ewentualnego podstępu. Po pierwsze, mają przybywać pojedynczo i bez swoich poruczników. Po drugie, żadnych bransolet i kastetów — to bezwzględny warunek.

— Co takiego? — Byłam szczerze rozbawiona. — Ależ Lady! Naprawdę myślisz, że cię posłuchają i przyjdą bezbronni?

— Wytłumaczę im, że to dla ich własnego bezpieczeństwa. — Uśmiechnęła się półgębkiem. — Na wypadek, gdyby atmosfera ich dyskusji stała się zbyt gorąca, nie zrobią sobie przynajmniej krzywdy! Żadnej broni — albo żadnego spotkania u Karen! Och!

Nie bój się, wezmą to za dobrą monetę — za bardzo im zależy na akceptacji ich propozycji.

A zresztą postawię jeszcze jeden warunek. Narada odbędzie się dokładnie tu, gdzie teraz jesteśmy. Na najwyższym poziomie zamku. Z czterema moimi kreaturami wojennymi, po jednym w każdym rogu sali. Postanowione! Będą miały za zadanie atakować każdego, kto uczyni choćby jeden zbędny, gwałtowny gest. Pamiętaj, Zekintho, że pomimo swej siły i talentów — wampiry są też stworzeniami z krwi i kości. Na wiele zagrożeń uodpornione, a jednak w pewnych okolicznościach ich potężne ciała umierają. Działanie kwasów żołądkowych kreatur stanowi jedną z takich właśnie okoliczności. Lordowie będą jednak wiedzieli, że jeśli użyję swoich wojowników bez prowokacji z ich strony, oni będą mieli pełne prawo postąpić ze mną równie podstępnie. Co teraz powiesz?

— Ciągle uważam, że wiele ryzykujesz.

— Ja też, ale nie mogę się już wycofać! Poza tym mam zamiar wyciągnąć z tego wszystkiego pewne korzyści osobiste. Spójrz... Wskazała za okno. Za nim wznosiły się czarne sylwetki skalnych szczytów.

— Wkrótce zachód słońca — powiedziałam.

— Tak, niedługo. Kiedy poświata wokół gór stanie się różowa, zaczną tu przybywać na swych latających bestiach. Mają wylądować u stóp fortecy i dostać się na najwyższe piętro pieszo, i to wyłącznie drogą wewnątrz budowli. Przygotowuję na tę okazję specjalne dania: duszony wilk z pieprzem, serca wielkich nietoperzy w krwistym sosie, poczernione specjalnym wywarem z ziół, a na deser — lekkie grzyby pozbierane w grotach Trogów. Nic z mojego menu nie powinno wpłynąć pobudzająco na ich emocje.

— Co chcesz przez to osiągnąć. Lady? — zapytałam przestraszona, ale niezmiernie ciekawa. — Wiem, że wolałabyś nie mieć z Lordami nigdy do czynienia. Nawet ich nie lubisz. Nie mogłaś im po prostu odmówić?!

— Większość z nich — odparła Karen poważnie — nie postawiła dotąd nogi na terytorium Dramala — obecnie na moim terenie. Podejrzewam nawet, że nikt poza Szaitisem, który był tu raz czy dwa w czasach młodości Dramala. Zdaje się, że popierali się wówczas nawzajem, ale nie trwało to długo. Pamiętam, że tylko we dwójkę polowali na kobiety po słonecznej stronie, chyba bardziej na zasadzie rywalizacji niż przyjaźni. Dla całej reszty jest to doskonała sposobność, by przekonać się na własne oczy, czym właściwie władam i czy muszą się mnie obawiać. Przede wszystkim zaś, do jakiej obrony jestem zdolna, gdy przyjdzie moment, kiedy odważą się mnie zaatakować. W przypadku mojej odmowy łatwo znaleźliby wspólny język w zorganizowaniu połączonej wyprawy przeciwko mnie. Nie odważą się napaść mnie w pojedynkę.

— A jakie korzyści dla siebie możesz wyciągnąć z tego spotkania?

— Ach, tak! Do tego właśnie potrzebne mi są twoje zdolności. Wiesz, że my, wam-

piry też jesteśmy w nie wyposażone, jednak możemy im całkowicie zaufać tylko wtedy, gdy mieszkający w nas wampir osiągnie pełną dojrzałość. Dlatego nie zawsze, to co odczytuję w cudzych myślach, jest dla mnie wiarygodne — mój wampir ciągle się rozwija. Nawet nie staram się zagłębiać w odległe umysły — jestem na to wciąż za słaba. W dodatku — właśnie dlatego, że jestem Lady — Lordowie od razu zorientowaliby się, że ich podsłuchuję. Wolałabym, żeby nie zamykali się zbytnio w sobie ze względu na mnie. Z tobą jest inaczej, ty nie jesteś wampirem.

— Chcesz, żebym to ja podsłuchiwała ich myśli? A co będzie, jeśli to odkryją?

— Z pewnością spodziewają się, że ciebie na tym przyłapią! Nie sądzą chyba, że mając w rękach taki talent, nie wykorzystałabym tego. Musisz więc, wnikając w ich umysły, starać się, jak najbardziej przytłumić własne myśli. Byłoby to wskazane, ale nie decydujące o powodzeniu mojego planu. Jak już mówiłam, przypuszczają, że cię do tego wykorzystam. Najważniejsze, żeby nie odkryli twej fizycznej obecności na sali obrad. Znalazłam dla ciebie idealną kryjówkę tak blisko nas, że pewnie mogłabyś dotknąć któregoś z moich gości. Chcę dowiedzieć się, co dokładnie planują przeciwko mnie. Zajrzyj w umysł każdego z przybyłych. Albo nie każdego! Daruj sobie szalone pomysły Leska o Szczególnej Sławie. Szkoda na to czasu. On sam nie potrafi przecież nadążyć za swoimi zwariowanymi myślami. I tak nie wyłuskałabyś z nich nic wiarygodnego. Niestety sprawuje rządy na ogromnym obszarze i jest naprawdę silny — tylko dlatego pozostali Lordowie tolerują go w swoim towarzystwie.

— Zrobię, co mi karzesz — obiecałam Karen. — Zdradź mi jeszcze, co tak szczególnie ważnego sprowadza ich na to spotkanie?

— Tajemnicza postać zwana Rezydentem Ogrodu na Zachodzie — odparła. — Boją się Rezydenta, jego chemii, magii i wszystkiego, co pozwala mu ciągle zwyciężać. Nienawidzą go z całej duszy! Ośmielił się osiedlić w zachodniej części grzbietu, wśród samych szczytów, w połowie drogi między gwiezdną stroną a Krainą Słońca, nie pytając nikogo o zgodę i decydując o własnym losie! W dodatku buntuje Wędrowców i prowadzi ich coraz to nowymi szlakami, utrudniając w ten sposób polowanie na niewolników. Krążą legendy o tym, co robi z głupcami, którzy odważą się stanąć mu na drodze. Lordowie czują przed nim respekt.

— Co postanowiłaś. Lady Karen? Staniesz przeciwko niemu razem z innymi Lordami?

— Zobaczę, co z tego wyniknie — odparta w końcu. — Teraz idź się przespać. Twój umysł musi być wypoczęty. Przygotuj się psychicznie do tego, co masz zrobić. W odpowiednim czasie przyjdę po ciebie i pokażę twoją kryjówkę. Od ciebie samej zależy, czy będę mogła spełnić złożoną ci obietnicę.

— Nie zawiodę cię — powiedziałam krótko i poszłam do swojej sypialni.

Kiedy słońce zaszło, obudziły mnie szybkie kroki Karen, zmierzającej do mojego łóż-

ka.

— Chodźmy! — krzyknęła, chwytając mnie za rękę. Z niewiarygodną wprost siłą wyciągnęła mnie z posłania. — Ubieraj się — i to prędko! Zaraz będziemy miały pierwszego gościa.

Zwampiryzowani Wędrowcy — niewolnicy przygotowali na przyjęcie Lordów największą z górnych sal. Stół był nakryty, a u jego szczytu stał gigantyczny fotel — tron, na którym zasiadał niegdyś sam Dramal o Skażonym Ciele. Stał na niewysokim podeście i olbrzymia szczęka, z której wykonane zostało jego siedzisko, wydawała się szeroko ziewać wprost na imponujący, niezwykle długi stół.

— Idź tam! — wskazała Karen. — Twój schowek mieści się wewnątrz tronu.

— Ale ja nie mogę się na to zgodzić, Lady.

— Tak postanowiłam! Nikt nie zasiądzie na tronie Dramala. Uhonorują w ten sposób swojego pana i mistrza. Ha! Tego właśnie będą oczekiwać Lordowie. Popełniłabym niewybaczalny nietakt, postępując inaczej. Ja zajmę miejsce naprzeciwko, u drugiego szczytu ławy. Znajdą się między nami w prawdziwej pułapce! Będziemy znały ich myśli. Zajmij swoje miejsce albo wynoś się stąd natychmiast. Natychmiast! Jeśli nie jesteś ze mną — jesteś przeciwko mnie. Znajdź sobie innego opiekuna albo uciekaj jak najdalej stąd.

Wiedziałam, że nie mogę odmówić. Wampir w jej wnętrzu, wzmocniony podnieceniem Karen, zaczynał kierować jej reakcjami. Nie przekonałabym Lady, gdyż znajdowała się pod jego wpływem. Zrezygnowana, powlokłam się tam, gdzie mi kazała.

Przekonałam się, że wnętrze tronu było bardzo przestronne. Co prawda, najpierw musiałam się pod niego wczołgać, ale potem mogłam usiąść wygodnie na przygotowanych specjalnie dla mnie poduszkach. Przez szpary dokładnie widziałam ogromny stół. I bardzo dobrze, bo wiele łatwiej jest odczytywać czyjeś myśli, patrząc na jego twarz. Karen zawczasu przemyślała wszystko.

W chwilę później zaczęli pojawiać się pierwsi goście. Każdy z nich sam się przedstawiał Karen. Komunikowali się, zwyczajem wampirów, telepatycznie. Byli oszczędni w słowach, ale bardzo konkretni. Jako pierwszy wszedł Grigis — najmniej ważny wśród Lordów. Wbrew temu, co powiedział na powitanie, po prostu przecierał szlak.

— Nadszedł Grigis — przesłałam w kierunku Karen, kiedy tylko pojawił się u szczytu schodów.

— Jak widzisz. Lady, cieszę się wśród Lordów wielkim poważaniem — mówił Grigis. — To właśnie mi przypadł zaszczyt przestąpić progi twojego dziedzictwa przed innymi. Ale, ale! Wojenne kreatury tu, w tej sali? Tak nas witasz?

— To dla twojej ochrony, Grigisie — odparła nie speszona. — A także i mojej, nie przeczę. Od tego spotkania zależy bardzo dużo i nie chciałabym, żeby przerwało je jakieś nieporozumienie! Od tego momentu jednak przyjmijmy, że ich zachowanie zależy

tylko od naszego zachowania. Zajmij, proszę, miejsce. Uwierz mi, że nie grozi ci z mojej strony żadne niebezpieczeństwo.

Grigis zdecydowanym krokiem podszedł najpierw do okna, wychylił się przez nie i dał reszcie znak. Było ciemno, ale to nie przeszkadza wampirom widzieć. Następny latający potwór już krążył w pobliżu, a jego jeździec tylko czekał na sygnał Grigisa.

Wkrótce siedziba Karen wypełniła się przybyszami. Jedną z większych osobistości tego doborowego towarzystwa był Menor Kąsający. Rzekomo nie bał się srebra i przy podobnych okazjach nosił przy sobie proszek tego kruszcu jako przyprawę do podawanych mu potraw. Jego głowa i szczęki były nieproporcjonalnie ogromne.

Ale dopiero po nadejściu dwunastego gościa zaczęła pokazywać się prawdziwa arystokracja tej władczej kompanii. Należeli do niej: Fess Ferenc z pięściami jak szufle, nie potrzebował kastetu, żeby poradzić sobie z niejednym przeciwnikiem; Belath — patrzący zawsze przez zmrużone oczy i nigdy się nie uśmiechający; Volse Pinescu — z ciałem obsypanym wiecznie ropiejącymi, otwartymi ranami i wypryskami; Lesk o Szczególnej Sławie — który w swym szaleństwie rozkazał kiedyś walczyć z sobą jednej ze swych kreatur wojennych. Przy czym miał to być pojedynek na śmierć i życie! Wieść niesie, że Lesk wgryzł się w jej ciało, wyciągnął serce i nie dał żadnych szans potworowi. Ten jednak w przedśmiertnych konwulsjach uderzył Leska tak silnie, że stracił on jedno oko i połowę twarzy. O dziwo, rana ta nigdy mu się nie zagoiła, więc starał się ją przesłaniać dużą skórzaną łatą. Nie pogodził się jednak z utratą oka i wykształcił sobie inne, na lewym ramieniu. Lesk zajął miejsce po prawej stronie Karen, tuż w sąsiedztwie mojego schowka. Obok niego siedział Lascula Długie Zęby. Opanował on sztukę metamorfozy do perfekcji i dowolnie dysponował swoim ciałem. Tak, jak inni przygryzają wargę, on miał w zwyczaju wydłużać swoje zęby i owijać je wokół palców.

Najpotężniejszym ze wszystkich był Szaitis. Nikomu jeszcze nie udało się wtargnąć na teren jego włości bez zezwolenia. Miał umysł jak bryła lodu — zimny i twardy. Chociaż Lordowie nie darzyli zbytnim szacunkiem siebie nawzajem, uznawali jednak jego wyższość.

Nie wspomniałam dotąd słowem o szokującym wyglądzie Karen, a to odegrało na wstępie spotkania dużą rolę. Ja, na miejscu gospodyni przyjmującej niechętnych jej męskich gości, ukryłabym przed nimi swe powaby. Ale ona zdecydowała inaczej. Miała na sobie lekką, przejrzystą tunikę i kształtne biodra odkryła wyzywająco. Oczywiście, nie nosiła bielizny. Efekt był natychmiastowy. Kiedy przybyli Lordowie, zrozumiałam, jak rozsądnie postąpiła. Zamiast rozglądać się po sali, wszyscy wprost nie mogli oderwać oczu od doskonałych kształtów Karen. Przypomniałam sobie, że zanim stali się wampirami, byli tylko zwykłymi mężczyznami. Wampiry nie zdołały zapanować nad ich pierwotnymi instynktami, a przecież pożądanie należy do najsilniejszych z nich. Zawładnęło teraz ich umysłami, odsuwając na dalszy plan inne emocje. Nie mam zamiaru zdra-

dzać, co odczytałam wtedy w ich umysłach. Musiałabym użyć do tego niemal samych niecenzuralnych słów. A jeśli chodzi o Leska... nie, nie ma o czym mówić!

Kiedy już wszyscy usadowili się przy stole i skosztowali przygotowanych specjalnie dla nich przysmaków, rozpoczęły się właściwe obrady...

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Koniec opowieści Zek — Tragedia szczepu Lardisa — Wydarzenia w Perchorsku

Dotarli do miejsca, w którym mieli spędzić najbliższą noc. Stanęli naprzeciw czarnego otworu wielkiej skalnej groty. Tylko słabe światło na południu sugerowało, że słońce musiało zajść dopiero przed chwilą. Zapadał zmierzch.

— Nocowałaś tu już kiedyś? — zapytał Jazz, spoglądając na wysokie skały piętrzące się nad jaskinią.

— Nie, ale opowiadano mi o tej kryjówce — odparła. — Pod tą górą natura wydrążyła prawdziwy labirynt. Tunele, wnęki i szerokie korytarze zapewniają wystarczającą ilość miejsca nie tylko dla całego szczepu Lardisa; zmieściłoby się tu nawet dwa razy więcej Wędrowców!

Strumień dziesiątek cygańskich rodzin schodził w przepastne wnętrze groty. Wciągali tam za sobą swe nosze, toczyli drewniane wozy i zaganiali wilki. Na zewnątrz nie miało prawa nic po nich pozostać. Wkrótce wśród egipskich ciemności zabłysły pierwsze pomarańczowe światełka małych pochodni i ognisk. Szybko je jednak osłonięto, tak że stały się niewidoczne za zewnątrz jaskini.

Nadszedł Lardis. Odszukał Jazza i Zek.

— Dajmy im trochę czasu na znalezienie najlepszego miejsca na nocleg i niedługo spotkamy się, tak jak mówiłem — wskazał ręką — w środku, przy głównym wejściu. Teraz zażywajcie, póki to możliwe, świeżego powietrza, bo po kilkunastu godzinach oddychania ciężkim dymem ognisk będziecie skłonni oddać pół życia za choćby łyk tlenu. — Chwycił nosze z ekwipunkiem Jazza.

— Sam zaniosę je do jaskini. Postaram się jak najkorzystniej was tam ulokować.

— Poczekaj! — powstrzymał go agent. Sięgnął do jednej z toreb i wyciągnął z niej dwa pełne magazynki. — Na wszelki wypadek — powiedział. Lardis, nie tracąc czasu, skierował się już prosto do słabo oświetlonej kryjówki.

— Ma rację — odezwała się Zek. — Muszą się przygotować do noclegu. a także... do

ewentualnej napaści. Zejdźmy im z drogi. Z tamtej skały będziemy mogli zaobserwować wszystko, co się tu dzieje.

— Jesteś pewna, że chodzi ci tylko o to? Może chcesz tylko odsunąć coś w czasie? — odparł Jazz. — Nie oczekuję od ciebie żadnych obietnic, Zek. I sam nie zamierzam tobie niczego przyrzekać. Myślę, że to co mówiłaś o tym świecie, naszym wyobcowaniu i skazaniu na siebie, było bardzo prawdziwe.

Wzięła go za rękę.

— Tak naprawdę — potrząsnęła głową — podejrzewam, że w każdym świecie byłabym tobą zainteresowana. Tym razem jednak mam jakieś dziwne przeczucie i te... jaskinie... nie potrafię powiedzieć, co mnie od nich odpycha. Spójrz, nawet wilk woli pozostać z nami.

Rzeczywiście. Wilk nie odstępował ich ani na krok, kiedy wspinali się po stromym zboczu.

— Myślę, że nie powinniśmy się bardziej oddalać. Ta skała jest dużo większa niż wygląda to z dołu. Może po wschodzie słońca spróbujemy dotrzeć na jej szczyt — odezwał się Jazz.

Znaleźli kamienną półkę i usiedli na niej blisko siebie. Simmons objął Zek ramieniem. Dziewczyna swobodnie przyjęła ten gest.

— Dlaczego nazywają cię Jazz? Nie znam takiego imienia — zapytała zmęczona.

— To skrót od Jasona, tak brzmi moje drugie imię. Nie cierpię go! Te wszystkie bajki i przypowieści...

Wilk zawył krótko, patrząc na nich swymi wiernymi, niemal psimi oczami. Zek przytuliła się czule do mężczyzny.

— Dokończ swoją opowieść — poprosił.

— Słucham? Ach tak. Już prawie skończyłam. W którym miejscu właściwie przerwałam?

Jazz w kilku słowach przypomniał ostatnie fakty jej historii...

— Jak pewnie pamiętasz — zaczęła — Lordowie zebrali się u Karen, żeby omówić problem anonimowego Rezydenta. Lady jednak słusznie przewidziała, że przede wszystkim pragnęli zdobyć ją i jej siedzibę. Poza tym Szaitis chciał również mnie i mojej magii. Nie pochlebiało mi to zbytnio! Ostateczny zwycięzca mógłby z nami zrobić wszystko, na co tylko miałby ochotę, a potem... z pewnością zostałybyśmy spalone. Zwłaszcza Karen, która mogła okazać się nosicielką nieskończonej ilości wampirzych jaj. Musiała zostać zniszczona, zanim zdąży zapłodnić nimi wszystkich swoich poddanych. Stałaby się wówczas silna i zagroziłaby bezpieczeństwu najpotężniejszych nawet Lordów.

Jeśli chodzi o jej terytorium, to Fess Ferenc, Volse Pinescu i jeden z mniej ważnych Lordów zamierzali wkrótce przekazać swe zarodki jakimś wybrańcom i ci mieli stoczyć między sobą walkę o objęcie dziedzictwa Karen. Pokonani mieli pozostać pod rządami

swych „ojców" i czekać na następne tego typu okazje. Nawiasem mówiąc, ich sytuacja stałaby się nie do pozazdroszczenia. Lordowie uwielbiają wykorzystywać swe przybrane „dzieci" dla wyłącznej satysfakcji. Krew nieszczęśników noszących w sobie wyprodukowane przez nich jajo należy do wyjątkowo pożądanych przysmaków. Tylko fatalna kondycja Dramala o Skażonym Ciele uchroniła Karen przed takim koszmarem.

Wracając do sprawy, ich plan wyglądał następująco: Karen miała zostać wciągnięta do wspólnego wystąpienia przeciwko Rezydentowi, do wojny z nim na śmierć i życie, potem związek Lordów miał rozpaść się pod jakimś pozorem i zamierzali bić się o nią i jej posiadłość.

Gdyby odważyła się im odmówić udziału w tym przedsięwzięciu, uznaliby to za zdradę i usprawiedliwiony byłby atak na jej zamek jeszcze przed bitwą z Rezydentem. Uważali to jednak za gorszą z możliwości, gdyż w tym wypadku jej siedziba niechybnie uległaby pewnym zniszczeniom i znacznie straciła przez to na wartości. Woleli wkroczyć do niej przez otwarte bramy.

Wszystkie te informacje złożyłam z fragmentów myśli kolejnych Lordów. Bałam się zatrzymać dłużej przy którymkolwiek z nich, żeby nie zaczęli zbytnio się obawiać mojej ingerencji w ich umysły. Niepotrzebnie zresztą, ponieważ jak Karen przewidywała, byli zbyt zajęci maskowaniem swych myśli przed nią i pozostali otwarci na moją ingerencję. Poza tym, starannie ukrywali swe zamiary przed sobą nawzajem!

W każdym razie, kiedy obrady dobiegły końca, wstał Szaitis i zabrał głos.

— Lordowie, Lady — przemówił. — Z jednym wyjątkiem, mam na myśli naszą czarującą gospodynię, jesteśmy zgodni co do tego, że nadszedł najwyższy czas, żeby zdecydowanie przeciwstawić się bezczelnej śmiałości, panoszącego się na naszych ziemiach Rezydenta. Wierzę, że szanowna Lady Karen przyłączy się do nas jeszcze dzisiaj, zanim opuścimy jej przyjazną siedzibę. Obiecała nam przecież wszystko dokładnie rozważyć. Mam nadzieję, że fakty, które zaraz przypomnę, pomogą jej podjąć jedynie słuszną decyzję w tej sprawie.

Osiedlił się w samym środku gór, które od wieków należą tylko do nas. Czy ktoś ma na ten temat inne zdanie? Nie widzę. Jakim prawem dysponuje częścią naszej własności, nie pytając nas o zgodę? Co gorsza, niektórzy z nas doznali dotkliwych porażek, próbując go za to ukarać.

Około stu zachodów słońca temu, Lesk wysłał do niego swojego porucznika. Jeszcze z pokojową misją! Możemy w to wierzyć, bo przecież tak twierdzi sam Lesk, którego poważamy i podziwiamy od dawna. Porucznik dotąd nie powrócił do swego pana. Lesk więc wysłał w kierunku Ogrodu Rezydenta swą wojenną bestię. I ona przepadła. Jak wieść głosi, została pochwycona w pułapkę odbitych przez kilka luster promieni zachodzącego słońca i spalona na popiół.

Lesk nie zrezygnował. Ponieważ jego rozumowanie, hmm... czasem różni się od na-

szego, postanowił następnego wojownika skierować wprost do źródła, z którego jak się domyślamy, pochodzi Rezydent. Wszystko wskazuje na to, że przybył z piekielnej krainy. Droga do niej, jak wiemy, prowadzi przez ognistą kulę. Tam też podążyła druga wojenna kreatura Leska. Nie trzeba dodawać, że i jej powrotu się nie doczekał...

Volse Pinescu, dowiedziawszy się o niepowodzeniach Leska, postanowił dokładniej przygotować swoją inwazję, uważając, że porażka kolegi winna zostać niezwłocznie pomszczona. Doceniamy jego szlachetność. Uzbroił i wyszkolił w tym celu całą armię, stu Trogów. Odporni na niszczące dla nas działanie słońca, mieli spalić wszystko, co napotkają na terenie zajętym przez intruza, zabić służących mu mężczyzn, zgwałcić kobiety i zniewolić ich dzieci. Oni nie musieli obawiać się czarodziejskich zwierciadeł Rezydenta! Ale... i Volse stracił swych ludzi. Rezydent omamił ich bzdurnymi obietnicami i wziął pod swoją opiekę!

Dzielny Grigis kierował się nieco innymi pobudkami w swym zbrojnym ataku na Ogród. Doskonale rozumiemy, że pragnął wzmocnić swą pozycję. Chciał zająć nowe terytorium i opanować znajdujące się na nim dobra. Kto wie, może chciał nawet przejąć tajemne moce Rezydenta? Jego niepokonaną siłę i oddziały doskonałych wojowników. Chwała mu za odwagę i ambicję, ponieważ jak się zdaje, jego sytuacja nie jest w tej chwili zbyt korzystna! Oczywiście, byłoby niesprawiedliwie podejrzewać go o próbę wyniesienia się ponad innych Lordów. Z pewnością nie takie były jego intencje. I co się stało? Stracił trzy wojenne kreatury, stu pięćdziesięciu Trogów i dwóch poruczników. To poważnie osłabiło jego możliwości bojowe...

Powód, dla którego ja sam zdecydowałem się podjąć organizacji naszego przedsięwzięcia jest bardzo prosty: ciekawość!! Kim jest Rezydent? Wampirem? Być może. Ale skąd czerpie swą magiczną siłę, jakie są źródła jego piekielnej broni i magii? Dlaczego też, skoro jest jednym z nas, tak nami pogardza? Co gorsza — wyraźnie nas ignoruje!

Oto mój plan:

Już od dawna obserwujemy Rezydenta! Od naszych nietoperzy, zwampiryzowanych bestii, wiernych nam Trogów i latających potworów otrzymaliśmy wystarczająco dużo informacji na jego temat. Znamy wielkość obszaru, na którym urządził swój Ogród, liczbę ludzi wziętych przez niego pod opiekę, pozycje luster, rozmieszczenie stanowisk bojowych i wiele innych szczegółów, pozwalających starannie opracować założenia naszego ataku.

— Kiedy macie zamiar uderzyć? — zapytała Karen. Wszystkie oczy zwróciły się w jej kierunku.

Szaitis patrzył na nią szczególnie uporczywie.

— Chciałaś powiedzieć chyba — mamy zamiar. Lady? Czyżbyś zdecydowała ostatecznie, że nie będzie ciebie tam z nami?

Uśmiechnęła się do niego słodko.

— Nie obawiaj się. Lordzie Szaitisie. Możesz być pewien, że tam będę.

Rozległo się głośne, chóralne westchnienie ulgi. W takim razie osiągnięto w czasie spotkania dwa zasadnicze cele: nie tylko udało się Lordom porozumieć między sobą w kwestii wyprawy na siedzibę Rezydenta, lecz także złapać Lady Karen w sprytnie zastawioną sieć. Na to przynajmniej wyglądało.

W ten sposób obrady dobiegły końca. Lordowie opuszczali salę. Najpierw wyszli Szaitis i Lascula, potem Lesk, Volse, Belath, Fess, Menor i inni, a na końcu — Grigis.

Mogłam i ja wyczołgać się spod kryjącego mnie tronu.

— Nie wolno ci wyruszyć wraz z nimi na wojnę z Rezydentem, Lady! — powiedziałam do niej stanowczo i przekazałam jej wszystko, co odczytałam w myślach Lordów.

Uśmiechnęła się dziwnie, smutno i mądrze. — Nie słyszałaś, co im obiecałam? Tylko to, że się tam spotkamy — odrzekła.

— Ależ...

— Uspokój się, Zek! Zaczynam wierzyć, że rzeczywiście pragniesz mojego dobra. Ale i mnie zależy na twoim bezpieczeństwie. Przygotuj broń, którą chcesz zabrać z sobą. Teraz idę odpocząć! Kiedy się obudzę, z pewnością jeszcze przed zachodem słońca, wywiążę się z danego ci słowa.

I tak się stało. Odwiozła mnie do Słonecznej Krainy. Poleciałyśmy tam, każda na swojej latającej bestii. Gdy wylądowałyśmy na południu przełęczy, zaczynało świtać. Karen szczerze życzyła mi na przyszłość więcej szczęścia i szybko wróciła na północ, gdzie panowała wciąż bezpieczna dla niej noc. Wówczas widziałam ją po raz ostatni.

Po kilku godzinach marszu na zachód natknęłam się na Lardisa i jego Wędrowców. Resztę już znasz...

Przez chwilę milczeli. Jazza wciąż nurtowały nie wyjaśnione problemy.

— Przypomniałem sobie, że nasunęło mi się kilka pytań, na które sam nie potrafię odpowiedzieć. Po pierwsze, domyślam się, że to właśnie wojenna kreatura Leska poczyniła w Perchorsku to straszne zniszczenie, ale pojawili się i inni przybysze spoza Bramy. Wielki nietoperz i wilk, i stwór w szklanym naczyniu — skąd oni się tam wzięli? — zapytał. Zek wzruszyła ramionami.

— Prawdopodobnie nietoperz i wilk dostali się do wnętrza kuli przez przypadek i nie mogli się już z niej wydostać, nie mogli powrócić do świata, z którego wyszli. Nietoperz stracił orientację, wilk z powodu starości w ogóle nie dostrzegł ognistej kuli. A co do stwora w laboratorium... No cóż, to był wampir. Być może wszedł do Bramy w poszukiwaniu nowej ofiary? Nie wiem, co go do niej przyciągnęło.

Jazz przetarł zmęczone oczy.

— Przestaję kontaktować. Czuję, że powieki same mi opadają. Ty też nie wyglądasz na wypoczętą. A jednak jeszcze coś mnie zastanawia. Co się stało z dwoma mężczyznami, którzy zostali wysłani przed tobą?

— Dranie, nic mi o nich nie powiedzieli. Ten łobuz, Khuw — nawet o tym nie wspomniał! Dowiedziałam się o nich dopiero od Karen. Jeden został pochwycony przez Belatha i należy teraz do jego wojowników. Oczywiście po zwampiryzowaniu. Drugim był Kopeler. Znałam go kiedyś.

— Zgadza się, Emst Kopeler — potwierdził Jazz. — Szpieg, telepata.

— Potrafił czytać w przyszłości — powiedziała Zek. — Kiedy wyszedł z Bramy, zauważyły go nietoperze służące Szaitisowi. Szaitis przybył po niego błyskawicznie i zabrał do swojej siedziby. Zanim jednak zdołał w jakikolwiek sposób go wykorzystać, ten zastrzelił się. Przypuszczalnie zbyt wiele wiedział o tym, co go czeka w najbliższym czasie.

Simmons nie zadawał dalszych pytań.

— Powinniśmy już chyba wracać. Wciąż mamy przed sobą lekcję z ludźmi Lardisa. A potem... chcę być bardzo blisko ciebie, Zek. Rzecz jasna, nie daję głowy, że w tym stanie sprawdzę się jako mężczyzna. — Twarz na moment wykrzywił mu ironiczny grymas.

Wilk, który przez ostatnich kilka minut stał nieruchomo z płasko położonymi uszami, zaczął nagle warczeć ostrzegawczo.

— Co? — Zek zesztywniała. Dopiero wówczas dotarło do Jazza, jak głęboka cisza panowała dotąd wokół nich. Dziewczyna chwyciła go mocno za kombinezon. Jej oczy stały się nienaturalnie wielkie.

— O co chodzi, Zek — zapytał.

— Jazz — szepnęła. — Och Jazz! — teraz przymknęła powieki i swą szczupłą dłonią dotknęła czoła. — Słyszę myśli... — powiedziała.

— Czyje myśli? — Poczuł w kręgosłupie nieprzyjemne mrowienie.

— A jak ci się zdaje?

Powietrze rozdarł naraz... huk rozrywającego się granatu — jednego z tych, które Simmons dał Lardisowi na przechowanie. W dole zapanowało jakieś niesamowite zamieszanie, chaos na śmierć i życie. Ponad wszystkie odgłosy wybijały się chrapliwe, gardłowe rozkazy.

— Co u diabła? — Jazz pociągnął Zek i wyszedł z niszy dającej im dotychczas schronienie. Najwyraźniej miał zamiar pobiec w stronę groty, tam właśnie musiał rozgrywać się jakiś koszmar.

— Nie, Jazz! — krzyknęła, ale zaraz zasłoniła sobie usta dłonią. — Szaitis z poruczniками i jedną z wojennych kreatur ukryli się w najciemniejszych zakamarkach jaskini i podziemnych korytarzy. Grotę otoczyli jacyś wojownicy!

Coś wielkiego poderwało się ze skały powyżej ich kryjówki. Podniosła się przy tym gęsta chmura kurzu i pyłu. Rzecz ta wlokła pod sobą długie, mięsiste wyrostki, którymi szorowała po wierzchołkach drzew. Wydawała przy tym takie samo charczenie, ja-

kie dobiegało z progu jaskini.

Jazz chwycił karabin i szybko go odbezpieczył.

— Musimy im pomóc — powiedział. — A raczej, ja muszę im pomóc. Ty zostań tutaj.

— Nie rozumiesz? — zatrzymała go w ostatniej chwili. — To koniec! Nic na to nie poradzisz. To była wojenna bestia. Nikomu nie pomożesz, nawet gdybyś dysponował teraz czołgiem z pełną załoga.

Nagle rozległ się ostatni wybuch, a po nim, pochodzący z wielu gardeł, silniejszy niż dotąd, wrzask przerażenia i paniki. Ponad las wybił się pomarańczowy płomień eksplozji.

— Szukajcie ich! — Na tle wszystkich odgłosów stał się słyszalny ponury bas Szaitisa. — Chcę mieć Lardisa i przybłędy z piekielnego lądu! Z innymi zróbcie, co wam się żywnie podoba! Zostałem zraniony, a to nie może ujść płazem temu, kto to zrobił. Teraz kolej na jego cierpienia! Na co czekacie, odnajdźcie tych, o których mówiłem i przyprowadźcie ich do mnie!

— Zdaje się, że już po obronie Lardisa — wycharczał Jazz.

— Nie mieli szans — powiedziała cicho Zek. — Lepiej się stąd wynośmy. Jazz, proszę cię! — Zek pociągnęła go mocno za rękaw. — Musimy ocalić własne życie. I tak nie wiadomo, czy nam się to uda!

Dał się przekonać. Droga na południe była odcięta, zaczęli więc wspinać się wyżej.

Nagle spostrzegli, że nie są na tej skale sami. Gdzieś za nimi coś się hałaśliwie poruszało. Nie oglądając się, błyskawicznie ukryli się w cieniu. Ich twarze pobladły. Kiedy odważyli się spojrzeć w tę stronę, ujrzeli jakąś ludzką postać, przemykającą niezgrabnie między skalnymi odłamami.

— Wędrowiec? — wyszeptał Simmons.

Jej twarz wyrażała pełne skupienie. Ciężki oddech podchodzącego zamienił się w przestraszone sapanie. „To musi być Wędrowiec" — pomyślał Jazz. Pozwolił potykającemu się mężczyźnie zrównać się z nimi i chwycił go za ramię.

— Nie, Jazz! To Karl Wiotski! — zawołała Zek w tym samym momencie.

Obaj rozpoznali się w ułamku sekundy. W obu zagotowała się i tak wzburzona krew. Wiotski podnosił swą broń, lecz Jazz uderzył go w gardło kolbą swojego automatu i wyprowadził silny cios prosto w twarz. Głowa Wiotskiego zachwiała się na jego potężnym karku. Stracił równowagę i prawdopodobnie nieprzytomny, zsunął się w dół po stromym skalnym zboczu.

Jazz i Zek jeszcze przez chwilę nasłuchiwali, wstrzymując oddech. Rozlegały się wciąż odgłosy zaciętej bitwy. Nie tracąc czasu, podjęli tak niefortunnie rozpoczętą wspinaczkę. Dawali z siebie wszystko. Nie zatrzymując się, pozostawili z boku wierzchołek, na którym niedawno siedzieli i szli coraz wyżej. A raczej czołgali się, chwytając

na największych stromiznach za resztki roślinności, niezmiernie rzadkiej na tych wysokościach. Wciąż bali się swobodniej odetchnąć, choć i tak nie byli w stanie poruszać się po tym nierównym, kamienistym podłożu bezszelestnie. Na szczęście, oddalali się coraz bardziej od centrum walki.

— To ta piekielna mgła — wysapała Zek. — Specjalnie ją wywołali. Nie pytaj tylko w jaki sposób! Powinnam to była przewidzieć! Powinnam ich była wyczuć. Ale oni zabezpieczyli się jakoś przede mną. Myślę, że wilk wiedział... Och! Gdzie on jest?

Wierny jak pies, miękko szedł tuż za nimi.

— Oszczędzaj siły — odezwał się Jazz.

— Mimo wszystko, powinnam ich usłyszeć. Mogłam ostrzec...

— Twój umysł zajęty był innymi sprawami? Jesteś tylko kobietą, Zek. Nie obwiniaj siebie za to, co się stało. Jeśli już musisz — zrzuć to na mnie.

Jazz pociągnął ją za sobą, nie pozwalając jej dłużej się użalać. Dotarli do stosunkowo szerokiej półki. Jej powierzchnia, niestety, mocno przechylona w stronę przepaści, utrudniała szybki marsz. W dodatku prowadziła bardzo stromo pod górę. Kiedy na niej stanęli, Zek szarpnęła się gwałtownie i znów skoncentrowała myśli.

— Wiotski! Nadchodzi... — wyszeptała, ledwo żywa ze strachu. — Idzie za nami, a zaraz za nim — sam Szaitis!

— Uspokój się! — prosił Simmons. — Cicho!

Obejrzeli się nasłuchując. Kilkanaście metrów niżej, u podnóża stromizny, po której się wspinali, z wąskiego pasa drzew wynurzył się Karl Wiotski. Spojrzał w prawo, potem w lewo, ale nie w górę. Prawdopodobnie pomyślał, że obeszli bokiem najtrudniejszy odcinek trasy.

Jazz wycelował w kierunku postaci. Zrezygnował jednak ze strzału. Nie miał gwarancji, że trafi, a mógłby tylko narobić niepotrzebnego hałasu.

Naraz z mgły wyłoniła się druga postać. Bez trudu rozpoznali barczystą sylwetkę Szaitisa. Lord od razu uniósł głowę do góry i wyciągnął rękę w stronę skulonych uciekinierów.

— Są tam! — krzyknął. — Idź za nimi, Karl! I pamiętaj, nie zawiedź mnie, jeśli chcesz mi służyć w przyszłości — rozkazał Rosjaninowi, nie spuszczając wzroku ze skalnej ściany.

Wiotski chwilowo zniknął im z oczu w dole urwiska. Wkrótce jednak usłyszeli, jak ślizga się po kamieniach i klnie na czym świat stoi.

— Rusz się! — powiedział szorstko Jazz. — Nie będziemy tu na niego czekać! Módlmy się, żeby ta ścieżka dokądś prowadziła!

Przeszli kilka kroków i z przerażeniem stwierdzili, że półka gwałtownie zwęża się do szerokości jednej stopy.

— Chcę mieć ich żywych! Kobietę, bo może zrobić dużo dla mojej korzyści, a męż-

czyznę po to, by wymierzyć mu karę — pokrzykiwał Szaitis.

Agent i Zek, nie zatrzymując się, wolno zbliżali się do końca ścieżki. Ściana, na której się znajdowali, skręcała ostro. Za jej rogiem ziało czernią wejście do jakiejś groty.

— Dlaczego Szaitis pofatygował się tu osobiście, bez żadnych, doświadczonych w tego rodzaju historiach, pomocników? — Jazz zapytał dysząc.

— Podejrzewam, że po prostu ich tu nie potrzebuje — odrzekła Zek drżącym głosem. Nagle poślizgnęła się. Jej stopy i dolna część ciała zawisły nad przepaścią. Zatrzymała się na łokciach. Jazz przyklęknął na jedno kolano i podał jej swoją dłoń. Ich palce splotły się w kurczowym uścisku i Zek odważyła się oderwać jedno ramię od półki. Teraz prawie cała balansowała w powietrzu.

— Boże! — jęczała. — Pomóż mi! Błagam!

— Spróbuj przyciągnąć się w moją stronę — powiedział Jazz przez zaciśnięte zęby. — Nie poradzę sobie w ten sposób. Wysil się, musisz się trochę podciągnąć na łokciu, na miłość boską!

Wytężając wszystkie siły, uniosła swoje ciało. Złapał wolną ręką za jej pas. Bezceremonialnie szarpnął i wrzucił na ścieżkę.

— Idź na czworakach — komenderował. — Nie waż się stawać na nogi, bo to się znów tak skończy.

Usłyszeli nagle zgrzyt zamka. Kilka kroków za nimi stał Wiotski i właśnie odbezpieczył swój karabin. W okrutnym grymasie triumfu szczerzył zęby, z bezwzględnym uśmiechem wolno naciskając cyngiel.

— Żywych, Karl, nie pamiętasz? — ostrzegł go Szaitis. Oczy Wiotskiego rozszerzyły się ze strachu. Odruchowo zerknął do tyłu. Jazz nie przepuścił takiej okazji. Sięgnął po swój automat i wystrzelił na ślepo w kierunku Rosjanina. Nie trafił. Kule uderzyły w skałę tuż przy głowie Wiotskiego. Ten odchylił się błyskawicznie, rzucił się do przodu i swą wyciągniętą bronią zahaczył o automat Jazza. Simmons nie zdołał go utrzymać i karabin z metalicznym stukotem potoczył się po kamiennym zboczu. On sam, tylko cudem, w ostatniej chwili przywarł plecami do ściany. Zek klęcząc, wbiła się w niego paznokciami jednej dłoni.

— Zbliżcie się! — Usłyszeli chłodny, niski głos, dochodzący z mroków groty.

Dostrzegli też w ciemności wysoką sylwetkę szczupłego mężczyzny, owiniętego w luźną pelerynę. Jego twarz była ukryta za błyszczącą w ciemności złotą maską. Jazzowi przemknęło przez głowę, że tak mógłby wyglądać Duch w Operze.

— Kim...? — sapnął zaskoczony.

— Szybko! — przerwał mu nieznajomy. — Jeśli wam życie miłe, pośpieszcie się!

— Stać! — krzyknął Wiotski, kiedy zaczęli ostrożnie pełznąć w stronę przybysza. Mężczyzna wyszedł im na spotkanie. Wówczas i Wiotski zobaczył go. Długi płaszcz wprowadził go w pierwszej chwili w błąd i wziął on tajemniczą postać za jednego z po-

ruczników Szaitisa. Zawahał się.

W tej samej sekundzie nieznajomy przyciągnął Jazza i Zek do siebie i okrył peleryną. Mocno chwycił za ich dłonie...

To wszystko zaobserwował zdezorientowany Karl, ale w następnym momencie... szaleńczo zaczął przecierać oczy. Zniknęli. Wszyscy troje uciekli do jaskini.

Rosjanin poczuł na swym ramieniu ciężar potężnej ręki i zamarł.

— Gdzie oni są? Zastrzeliłeś ich!! Nawet nie chcę o tym słyszeć!!! — rozwścieczony syknął mu prosto w ucho.

Wiotski nie odwracał głowy. Stał, jak przed chwilą, gapiąc się w czarną próżnię.

— Ogłuchłeś? — Szaitis omal nie zgruchotał mu kości swymi stalowymi palcami.

— Nie, to nie ja strzelałem — wycharczał w końcu Karl. Potrząsnął z niedowierzaniem głową. — To mężczyzna w pelerynie i złotej masce. Przyszedł... i zabrał ich stąd!

— Zabrał? Co ty mi tu... — Naraz Szaitis przygryzł wargi. — Maska ze złota, mówisz? — syknął przez zęby.

Dopiero teraz Wiotski spojrzał na niego i od razu cofnął się, przestraszony wyrazem twarzy Lorda.

— No tak, tak było! Pojawił się, a potem — zniknęli! Wszyscy razem...

— Ach, to tak! — wykrzyczał Szaitis. — Rezydent!

Wiotski pomyślał, że Lord zaraz zrzuci go w przepaść ze złości.

— To... to nie moja wina! — wyjąkał. — Przecież ich odnalazłem i poszedłem za nimi, jak mi poleciłeś. Może się poślizgnęli i spadli w głąb jaskini?

Szaitis zaczął węszyć w powietrzu, jego nozdrza zadrżały.

— Nie — stwierdził. — Tam nic nie ma. Zawiodłeś mnie.

— Ależ.

Szaitis nie dał mu więcej dojść do słowa.

— Nie zabiję cię, Karl. Twój umysł nie ma dla mnie żadnej wartości, ale twoje ciało jest duże i silne. A siły nigdy nie za wiele na moim terenie. Chodź ze mną. I ostrzegam cię, nie próbuj ucieczki. Jeśli po raz drugi przyjdzie ci to do głowy, bardzo, ale to bardzo mnie zdenerwujesz. Oddam twoje ciało najbardziej wygłodniałej kreaturze! Powinieneś jej smakować.

Wiotski nie mógł znieść takiego poniżenia. Uporczywie wpatrywał się w plecy odchodzącego Szaitisa. Twarz wykrzywił mu grymas nienawiści. Wolno zaczął podnosić swój karabin.

Bez oglądania się, Szaitis ponownie go ostrzegł.

— Zrób to, a zobaczysz, który z nas jest bardziej odporny na ból — zawołał.

Rosjanin przygryzł wargi. Wiedział, że nikt nie mógł mierzyć się z Lordem Szaitisem z jego potężną ponadnaturalną siłą. Spuścił głowę i zabezpieczył broń. Zrezygnowany powlókł się za wielkim wampirem.

Wilk zawył żałośnie, przyczajony wśród drzew. Po raz pierwszy został w ten sposób opuszczony przez Zek. Podniósł łeb i zapłakał wilczym, przejmującym skowytem. Zaczął węszyć z nosem zwróconym w kierunku północnego zachodu. Nie ma żadnych wątpliwości, że powędrowała w tamtym kierunku. Postanowił odszukać swoją panią.

Szary jak otaczające go kamienie, podjął wyczerpującą wspinaczkę w poprzek stromizny. Po drodze minął idące w przeciwną stronę dwie czarne sylwetki. Zwierzę przypadło do ziemi, niczym nie zdradziło swej obecności na zboczu. Gdy mężczyźni zniknęli w cieniu lasu, wilk, prowadzony silnym, telepatycznym nawoływaniem swej pani, podążył w kierunku ostrych szczytów...

W Perchorsku właśnie zaczynał się dzień. Czyngiz Khuw z Łuchowem obserwowali pracę instalatorów, mocujących na ścianie korytarza Projektu średniej grubości czarne przewody. Wykonane z twardego plastyku miały około siedemdziesięciu milimetrów średnicy. Mogłyby służyć z powodzeniem jako kanały izolujące kable elektryczne, ale nie takie było ich przeznaczenie.

— System bezpieczeństwa? — zapytał Khuw. Wyglądał na poirytowanego. — Dlaczego nic o tym nie wiem? Czy potrafisz mi to wyjaśnić?

Łuchow spojrzał na niego wyzywająco, lekko mrużąc swe inteligentne oczy.

— Pracujesz tutaj — wzruszył ramionami — i nie widzę powodu, dla którego miałbym trzymać to przed tobą w tajemnicy. Już kilka miesięcy temu opracowałem zasadę jego działania. Jest niezwykle prosta. Co więcej, mechanizm jest naprawdę tani i nieskomplikowany w montażu. I szybki, jak widać. Idąc wzdłuż przewodów, doszedłbyś do pomieszczenia oznakowanego wyraźnym ostrzeżeniem. Za jego drzwiami znajduje się bowiem zbiornik zawierający piętnaście tysięcy litrów łatwopalnego płynu. Dokładnie taki ciężar można transportować przy pomocy jednego samochodu dostawczego. Plastykowe rury są na końcach wszystkich korytarzy Projektu.

— Widziałem przyjazd ciężarówek. Takimi dostarcza się łatwopalne paliwo do miotaczy ognia. Chcesz powiedzieć, że właśnie coś takiego płynie tymi kanałami? Ależ to jest substancja żrąca! Plastyk stopi się pod jej wpływem w przeciągu kilku minut, człowieku!

Łuchow ponownie wzruszył ramionami.

— To prawdopodobnie i tak nie będzie miało żadnego znaczenia — stwierdził spokojnie. — System ten jest przewidziany do jednokrotnego użycia, majorze, i założenie to należy do jego podstawowych zalet. Piętnaście tysięcy litrów wypełni wszystkie kanały w czasie krótszym niż trzy minuty! Co kilkanaście metrów zainstalowano wchodzące w skład systemu spryskiwacze, które pomogą pokryć paliwem ogromną powierzchnię. Opary są dosyć ciężkie, ale szybko się rozprzestrzeniają. Nie zdążą jednak nikogo zatruć. Projekt ma dziesiątki laboratoriów, magazynów różnego typu, mniej lub bar-

dziej odsłoniętych instalacji — krótko mówiąc — sam jest jednym wielkim ogniskiem zapalnym, w dosłownym tego słowa znaczeniu. Jestem przekonany, że domyślasz się, do czego zmierzam? Łatwopalna substancja stanie się w pewnym momencie katalizatorem zagłady.

Nadchodzący Wasyl Agurski zatrzymał się, żeby posłuchać, o czym rozmawiają. Na razie tylko Khuw go dostrzegł i teraz patrzył w jego stronę.

— Mam nadzieję, że czułość nie należy do kolejnych zalet twojego wynalazku! — powiedział do Łuchowa, nie spuszczając oczu z małego naukowca. — Bo jeśli tak, to możemy zacząć żegnać się z tym światem.

— Czułość? — Łuchow także zauważył Agurskiego. — Ależ oczywiście, że mój system jest bardzo czuły! Tylko, że każdy pracownik Projektu powinien, wręcz musi być tego świadom. Ma się o tym głośno mówić. Na każdym kroku o jego detalach będą informowały wyraźne instrukcje i znaki ostrzegawcze.

Agurski podszedł do nich.

— Jeśli ten system zostanie kiedykolwiek wykorzystany — odezwał się dziwnie beznamiętnym głosem — Projekt zostanie całkowicie zniszczony.

— Dokładnie tak, Wasylu — zwrócił się do niego Łuchow. — Takie jest zresztą jego przeznaczenie. Nie stanie się to jednak w innym przypadku niż po wydostaniu się z Bramy kolejnego potwora w rodzaju Przybysza Pierwszego!

Agurski skinął głową.

— To jasne, ogień je unicestwia. To jedyny sposób na to, żeby nigdy w przyszłości coś takiego nie zagroziło światu.

— Nawet więcej — dodał Łuchow. — To jedyny sposób, żeby się upewnić, że w tym miejscu nie rozpocznie się III wojna światowa!

— Co takiego? — parsknął Khuw.

— A jak myślisz? Wierzysz, że Amerykanie będą spokojnie czekać na następne koszmarne zjawisko mające swój początek w Perchorsku? Człowieku, obydwaj dobrze wiemy, że oni podejrzewają nas o ich produkcję!

Khuw głośno wciągnął powietrze i popatrzył uważnie na dyrektora.

— Z kim przedtem rozmawiałeś na ten temat, Wiktorze? Zupełnie jakbym słyszał brytyjskiego szpiega, Michaela J. Simmonsa. Mogę tylko mieć nadzieje, że nie przekroczyłeś swych kompetencji, ingerując w moje obowiązki. Uznaję konieczność wprowadzenia w życie twojego pomysłu, ale balansujesz z nim na granicy mojego „terytorium"!

— O co mnie konkretnie oskarżasz? — Łuchow starał się opanować narastającą w nim złość.

— Konkretnie? — Głos Khuwa był lodowaty. — Wciąż nie wytłumaczyłeś nam swojej trzygodzinnej nieobecności w Projekcie. Zniknąłeś w niewyjaśnionych okoliczno-

ściach, dziwnie zbiegających się z zamieszaniem wywołanym przez Aleca Kyle'a. Widziałeś się z nim? — zapytał ostro, jak na przesłuchaniu.

Łuchow skrzywił się kpiąco, ale żyły szybko pulsowały na jego odsłoniętej czaszce.

— Już ci mówiłem, że nie mam pojęcia, co się wtedy ze mną działo. Byłem nieprzytomny. Może ktoś chciał mnie porwać? A jeśli chodzi o tego Aleca Kyle'a — nigdy przedtem nie słyszałem tego nazwiska i na pewno go wtedy nie spotkałem! — powiedział stanowczo. I to była prawda, ponieważ człowiek, z którym przeżył najbardziej nieprawdopodobną przygodę swojego życia nazywał się Harry Keogh.

Tymczasem Agurski odwrócił się na pięcie. Khuw podążył za nim wzrokiem. „O co chodzi? Co go niepokoi od pewnego czasu za każdym razem, kiedy ma do czynienia z naukowcem? Agurski jest jakiś... inny" — pomyślał.

— Nie interesuje cię, w jaki sposób nastąpi uruchomienie instalacji? — zapytał Łuchow zniecierpliwiony.

— Słucham? Ach tak, nawet bardzo. Chciałbym też wiedzieć na czym polega zabezpieczenie twojego systemu. — Khuw ocknął się z roztargnienia. — Dzień i noc przebywa tu około stu osiemdziesięciu ludzi: naukowców, techników i żołnierzy. Kompleks wyposażono w sprzęt wartości milionów rubli. Gdyby coś się wydarzyło...

— Och, nie ma obawy, że coś się stanie tu przypadkiem! Aparatura może zostać włączona tylko świadomie, ponoszę za to pełną odpowiedzialność.

— Niedaleko mojej kwatery znajdować się będzie centrum kontroli całego przedsięwzięcia. Wstęp do tego pomieszczenia będzie przywilejem wyłącznie oficera dyżurnego, no i moim oczywiście. Och, przypuszczam, że w praktyce i twoim, bo będziesz się przy tym upierał! Dopilnuj jednak, żeby twoje nazwisko znalazło się na specjalnej liście porządkującej sprawę dyżurów. Ja też się na nią wpiszę.

— Centrum kontroli? — zapytał Khuw. — A jakie będzie jego wyposażenie?

— Po pierwsze, trzy monitory: jeden przekazujący obraz Bramy, pozostałe zaś — głównego wejścia do Projektu i schodów wiodących powypadkowym cylindrem. Poza tym, przyciski uruchamiające sygnalizację alarmu. Co prawda, muszę przyznać, że natychmiastowa ewakuacja będzie wymagała sporej sprawności fizycznej od naszych pracowników. Guzik numer jeden, umieszczony na tablicy rozdzielczej, włączy dzwonki alarmowe na górnych poziomach Projektu w przypadku, gdy oficer służbowy zauważy na ekranie, że cokolwiek zamierza wyjść z Bramy. Guzik numer dwa może zostać użyty tylko wtedy, gdy zjawisko spoza Bramy — mimo ataku artylerii i miotaczy ognia — zdoła przedrzeć się przez ogrodzenie wokół sfery. Przerywany dźwięk syren informować będzie, że sytuacja jest wyjątkowo groźna i automatyczne kanały wentylacyjne zostaną zamknięte grubymi, stalowymi przegrodami. A kiedy kreatura wydostanie się nawet z kulistej groty, obowiązkiem dyżurującego będzie użycie dużego przełącznika zamontowanego obok guzików. On właśnie odblokuje zawory zbiornika, z cieczą, która

błyskawicznie wypełni wszystkie przewody.

— No tak — parsknął Khuw złośliwie. — Nie możesz zaprzeczyć, że twoja kwatera i centrum systemu są wyjątkowo korzystnie usytuowane w stosunku do wyjścia z kompleksu.

— Nie dalej niż twoje prywatne pokoje — odparł atak wcale nie zmieszany Łuchow. — Będziemy więc mieli równe szanse.

— W porządku — ustąpił Khuw. — Ale jesteś pewien, że ta powszechna znajomość zasad działania systemu jest wskazana? Nie obawiasz się wybuchu przedwczesnej paniki?

— Owszem. Sądzę, że ludzie będą przewrażliwieni, nie widzę jednak idealnego rozwiązania tego problemu. Muszą być świadomi tego, co ich czeka w przypadku zbytniej opieszałości w momencie alarmu... A co do żołnierzy — niestety, oni nie będą mogli opuścić swych stanowisk. Zdaję sobie sprawę, że moje słowa zabrzmią teraz równie okrutnie jak te, które nieraz słyszałem z twoich ust — ale z góry została im przypisana rola bohaterów narodowych. Przyznaję, że potężnie obciąża to moje sumienie!

Khuw pogardliwie wydął wargi, nie powiedział przy tym jednak ani słowa.

— A teraz, kiedy ja zaspokoiłem twoją ciekawość — podjął dyrektor — może odwdzięczysz mi się w ten sam sposób i pochwalisz wynikami swoich... eksperymentów? Czy masz jakieś wieści od biedaków, których wepchnąłeś w Bramę? Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że już dawno wykreśliłeś ich w myśli z listy żyjących. No i to wydarzenie z intruzem. Wiesz już, jak się tu dostał? Co na jego temat odkryłeś?

Khuw warknął, odwrócił się na pięcie i zaczął się szybko oddalać.

— Na razie nie mam dla ciebie żadnych informacji, dyrektorze — krzyknął przez ramię. — Zapewniam cię, że kiedy poskładam w logiczną całość wszystko, co do tej pory zdobyłem, będziesz jednym z pierwszych wprowadzonych w szczegóły obu spraw. — Major przystanął i jeszcze raz spojrzał na Łuchowa. — Nie myśl jednak, że nie mam co robić. Nie tylko ty byłeś zajęty przez ostatnie dni sprawami naszego bezpieczeństwa. Ja poczyniłem w tym względzie własne starania. I zostały uwieńczone sukcesem. Przekonasz się o tym, kiedy przybędzie tu pluton żołnierzy o wyjątkowych umiejętnościach... Ale o tym później!

Zanim Łuchow zdążył o cokolwiek zapytać, Khuw zniknął za zakrętem korytarza.

Wasyl Agurski uważnie się sobie przyglądał, stojąc przed lustrem zawieszonym na ścianie łazienki. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Prawdą jest, że jak dotąd nikt poza nim samym nie dostrzegł zmian w jego wyglądzie, ale nikt też nigdy nie zwracał na niego zbytniej uwagi. Nie zmyliła jednak Agurskiego ta ciągła obojętność w stosunku do jego osoby. Wiedział, że przestaje być małym, niepozornym człowieczkiem...

Kiedy po raz pierwszy zauważył drobne zmiany w budowie swojego ciała, wmówił sobie, że mami go niedoskonałość jego słabego wzroku. Ale rzeczywistość okazała się

bardziej okrutna. Pragnął potłuc wszystkie zwierciadlana terenie całego Projektu. To one nie pozwalały mu choćby na moment zapomnieć o swojej sytuacji.

Agurski osobiście zawiesił kiedyś lustro w swojej toalecie na takiej wysokości, że, stojąc prosto, miał dokładnie przed oczyma odbicie swej twarzy. Teraz jednak, dla uzyskania tego samego efektu musiał uginać nogi w kolanach. Był wyższy o co najmniej dwa cale. W innych okolicznościach byłby tym zachwycony — nie cierpiał swej sylwetki karła — ale w jego położeniu... Prawdę powiedziawszy, Agurski czuł, że jego ciało rozrasta się.

Metamorfoza dotyczyła też jego włosów. Siwy wianuszek okalający błyszczącą łysinę zaczął ciemnieć, a pozbawiona owłosienia część ciemienia stopniowo się wypełniała. Poza tym, to nie ulegało wątpliwości, wyglądał o wiele młodziej. I tak się również czuł. Odmłodniał duchem i fizycznie o dobrych kilkanaście lat! Rozpierała go energia. Tym trudniej było mu wciąż ukrywać swą nową osobowość. Wiedział jednak, że nie ma wyboru — musi udawać, że wciąż jest tym samym skromnym, roztargnionym naukowcem, którego nie należy traktować zbyt poważnie. Prześladowało go ostrzegawcze widmo płonącego Przybysza Piątego.

Nagle Agurski poczuł, że opanowuje go przemożna chęć... warknięcia. Odruchowo wyszczerzył białe, mocne, prawie nieludzkie zęby. Nigdy dotąd jego uzębienie nie było w tak imponującym stanie. Z gardła wydarł mu się, przytłumiony siłą woli, dziki, zwierzęcy charkot. Zdławił go w sobie natychmiast, wiedział jednak, że dysponuje w tym momencie siłą, której nie pokonałby żaden inny człowiek. Władał potworną mocą. Nie miał pojęcia, jak długo uda mu się swój nowy wizerunek zachować w tajemnicy.

Na koniec tych oględzin Wasyl ściągnął z oczu swe grube okulary. Jakiś czas temu musiał usunąć z nich stare, lecznicze soczewki i zastąpić zwykłymi, własnoręcznie wyciętymi kawałkami szkła. Teraz widział doskonale, nawet w ciemności.

Z oczami też związana była najbardziej demaskująca go odmiana. Nie miał na razie pojęcia, jak sobie z tym poradzić. Myślał o szkłach kontaktowych albo ciemnych okularach. Był przerażony, ale i zafascynowany tym, co się z nim działo.

Szybkim ruchem wyłączył światło. W lustrze odbijały się teraz dwa inne światełka. Agurski nie potrafił powstrzymać okrutnego grymasu, wykrzywiającego na ten widok, jego na pół zniekształconą twarz. Na ciemnym tle zwierciadła jego dzikie oczy zabłysły jak czerwone diabelskie ogniki...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Harry i jego przyjaciele — Druga brama

Minęła doba od chwili, w której Harry przyłożył głowę do poduszki Michaela J. Simmonsa. W półśnie zabrzmiało w jego głowie natarczywe nawoływanie.

— Harry! Harry! Ty śpisz, ale umarli nie mogą czekać, aż się obudzisz! Poprosili mnie o przysługę — mnie, którego dotąd nie tolerowali w swoim towarzystwie! Zgodziłem się z tobą porozmawiać, a kiedy odnalazłem ciebie, natknąłem się tylko na śpiący umysł. Wyrwane z kontekstu wspomnienia, niezrozumiałe rozterki, nierealne marzenia — oto, co z niego odczytałem. To musiały być męczące sny. Uniemożliwiały konwersację. Więc się obudź! Faethor Ferenczy zgłasza swe usługi...

Harry westchnął ciężko. Gwałtownie usiadł na łóżku. Czoło miał zroszone potem i drżały mu dłonie. „Co za koszmar" — pomyślał. Śniło mu się, że słyszy głos Faethora Ferenczego. Wampir, nawet martwy, przerażał, paraliżował przecież umysł nekroskopa... Jego pojawienie się, mogło oznaczać tylko zły omen. A jednak...

— Koszmar? Pochlebiasz mi, Harry! — Zachichotał znajomy głos. Keogh odprężył się. Wiedział, że rozmowa ze zmarłym nie mogła mu w niczym zagrozić. Przebudzony, mógł zacząć kontrolować grę, w którą został wciągnięty. Spojrzał na budzik, minęła trzecia po południu.

— Faethor? — powiedział na głos. — Ostatnim razem rozmawialiśmy z sobą na twoim terenie, u stóp Alp Mołdawskich. Odniosłem wtedy wrażenie, że nie spotkamy się nigdy więcej. Co sprowadza cię do mnie? Pamiętam, że wciąż jestem ci coś winien, więc jeśli...

— Co takiego? — Ferenczy znów szyderczo zachichotał. — Chcesz zapytać, czy możesz coś dla mnie zrobić? Masz makabryczne poczucie humoru, Harry! Nie jesteś w stanie mi w niczym pomóc i ty sam powinieneś najlepiej o tym wiedzieć. Wręcz przeciwnie, to ja mogę się tobie do czegoś przydać! Nie słyszałeś, co mówiłem? Jakaś grupa zmarłych prosiła mnie o pomoc i ja zgodziłem się jej udzielić, zrozumiałeś w końcu?

— Hmm! Zmarli zwrócili się z czymś do ciebie? — Harry pokręcił zdumiony głową.

— Jaki mogli mieć powód?

— Zbudź się wreszcie! Wystąpili w twoim imieniu! Muszę przyznać, że wykazali w tym momencie więcej rozsądku, niż ty go posiadasz. Kto bowiem, mógłby wiedzieć na temat źródeł wampiryzmu i Lordów więcej niż były członek tego szczepu, jak myślisz?

Harry'ego olśniło. „Oczywiście! Źródło wampirów, miejsce skąd pochodzą — od tego trzeba zacząć!" — pomyślał.

— Naprawdę znasz sekrety waszych narodzin? — Harry nie ukrywał ogarniającego go podniecenia. — Czy ty też przybyłeś ze świata, do którego sięgają korzenie wampirów!

— Ja? Czy mieszkałem kiedyś w legendarnym świecie wampirów? Ach, nie Harry — ale mój dziadek, owszem!

— Wiesz, gdzie on teraz leży? Gdzie pochowano jego szczątki?

— Pochowano? Starego Belosa Pheropzisa? Niestety, Harry. Rzymianie ukrzyżowali go i spalili sto lat przed przyjściem Chrystusa. Jeśli chodzi o mojego ojca, to zginął gdzieś na Morzu Czarnym w 547 roku. Nie wiem dokładnie, co się z nim stało. To były świetne czasy dla wampirów! Byliśmy wtedy prawdziwą potęga. No cóż, to przeszłość...

— W jaki sposób możesz mi więc pomóc? — zniecierpliwił się Keogh. — O ile się nie mylę, dzieli nas jakieś tysiąc lat od ery potęgi twoich przodków.

— Żyją jednak ich legendy, Harry! Przechodzą z pokolenia na pokolenie i, uwierz mi, możesz im zaufać. Historię wampirów usłyszałem od swojego ojca i gdyby Tibor nie był takim wyrodnym odszczepieńcem, przekazałby mu ją, żeby nie umarła. Jak wiesz, nie zasłużył na takie wyróżnienie.

Postanowiłem podzielić się z tobą tym, co wiem o naszym dziedzictwie. Może znajdziesz w moich słowach jakieś wskazówki do twoich poszukiwań. Przyjdź do mnie i porozmawiamy jak kiedyś.

Głos Faethora wyraźnie osłabł. Nic dziwnego, gdyż nawiązanie kontaktu na tak dużą odległość wymagało ogromnego wysiłku. Popioły jego spoczywały bowiem na przedmieściach Ploesti w pobliżu Bukaresztu. Zginął w czasie bombardowania miasteczka podczas II wojny światowej. Harry obawiał się jednak wchodzić w układ z podstępną naturą wampira i zmniejszyć ten bezpieczny dla niego samego dystans. Nie dowierzał żadnemu wampirowi. Rzadko się zdarzało, żeby robili coś bezinteresownie. Co prawda, Faethor nigdy nie był ortodoksyjnym członkiem swego klanu. Harry nie był w stanie ani go polubić, ani mu zaufać, darzył go jednak pewnego rodzaju szacunkiem.

— Jakiś podstęp? — zapytał niepewnie.

— Podstęp? Chyba żartujesz, Harry. Pozostał po mnie tylko głos, nic więcej. Nawet on nie ma już swej dawnej siły. Nie, nic z tych rzeczy, choć rozumiem twoje wątpliwości. — Harry poczuł, że gdyby tamten mógł, wzruszyłby ramionami. — Zrobisz, jak ze-

chcesz. Ta propozycja, nie zapominaj o tym, nie wyszła ode mnie.

Rzeczywiście. Ta ostatnia uwaga przekonała Harry'ego.

— Przyjdę tam — powiedział. — Głód wiedzy nie potrafi jednak zabić głodu, jaki czuję w żołądku! Będę za godzinę, zgoda?

— Jak sobie życzysz — odparł Ferenczy. — Mam mnóstwo czasu. pamiętasz drogę? — jego głos był ledwo słyszalny.

— Och, i to doskonale! — zapewnił go Keogh.

— Będę na ciebie czekał. Potem, być może, Rada Starszych zostawi mnie wreszcie w spokoju...

Harry wykąpał się, ogolił, pożywił i skontaktował z INTESP. W kilku słowach zrelacjonował Darcy'emu Clarke'owi, co dotąd osiągnął i wprowadził go w swe zamiary. W odpowiedzi usłyszał zdawkowe: „powodzenia". Po czym wywołał drzwi Möbiusa i przeniósł się do Ploesti.

Znalazł się w takiej samej scenerii, jaką zachował w pamięci ze swej wizyty tutaj przed ośmioma laty. Dom Faethora przypominał ponure gruzowisko rozrzucone w opustoszałej wiejskiej okolicy. Harry przybył o godzinie osiemnastej trzydzieści czasu środkowoeuropejskiego. Mimo zapadającego już zmroku zdołał znaleźć niski murek, który posłużył mu za wygodne siedzisko. Przewidywał, że rozmowa nie będzie krótka.

Keogh zadrżał z zimna. W powietrzu czuło się mroźny powiew nadchodzącej zimy. Latem to miejsce musiało mieć swój urok, rosło wokoło sporo drzew i krzewów, a walące się mury porastał dziki bluszcz. Teraz jednak — pozbawione ożywiającej zielonej szaty — swymi szarymi szkieletami pogłębiały przygnębiające wrażenie smutku i osamotnienia pogrzebanych szczątków.

Rumuni pozostawili to miejsce w takim stanie dla upamiętnienia wydarzeń rozgrywających się tu w czasie wojny.

— Być może — zgodził się Ferenczy, odpowiadając na pytania nurtujące Harry'ego. — Ja jednak wolę wierzyć, że to wyłącznie z mojego powodu nie odważyli się niczego tu zmieniać. Nie chcę, żeby ktoś się tu kręcił. Odkąd Tibor zniszczył moje dawne miejsce, kilka razy się przenosiłem, ale tu osiadłem i nie ruszę się stąd. Kiedy więc przychodzą tu nieproszeni goście i hałasują mi pod nosem...

— No cóż, przejdźmy do rzeczy, Faethorze. Nie chcę cię zrazić, ale po raz pierwszy rozmawiam normalnym językiem jak równy z równym z jednym z was! To dla mnie cenne doświadczenie, ale... czas jest nieubłagany, a ja ostatnio nie mam go pod dostatkiem.

Widzisz, mam powody przypuszczać, iż kilkoro żyjących po tej stronie znalazło drogę do świata, z którego wziął początek twój ród. Na kilkorgu z nich mi zależy.

— Wiem to od zmarłych. Dobrze, wróćmy do sprawy... — odezwał się Ferenczy.

— Zaczekaj. — Harry coś sobie przypomniał. — Powiedz mi najpierw, co z tego bę-

dziesz miał? Nie wierzę, żeby do tego rodzaju współpracy skłoniła cię czysta dobroć twego serca.

Tym razem rechot wampira zabrzmiał wyjątkowo szczerze. Nie był to jednak przyjemny dla ucha odgłos.

— Znasz nas na wylot, Harry! No i bardzo dobrze. Posłuchaj zatem.

Mój dziadek, Belos, został usunięty ze swej siedziby, wyrzucony ze świata pozbawiony odwiecznego dziedzictwa przez inne wampiry. Stał się bowiem zbyt potężnym władcą. Sąsiedzi obawiali się o bezpieczeństwo swych granic i przy najbliższej okazji wciągnęli go w pułapkę, uwięzili, a potem bezlitośnie skazali na bezpowrotną banicję. Nie był pierwszym wygnańcem tego rodzaju i na pewno nie ostatnim. Przypuszczam, że nadal funkcjonuje wśród wampirów ta metoda rozprawiania się z przeciwnikami i wyimaginowanymi wrogami. Nigdy nie poznałem Belosa osobiście — Waldemar przekazał mi jego jajo dopiero po jego śmierci — szanuję jednak pamięć o nim. Gdyby nie potraktowano go w ten sposób, żyłby teraz, być może, jako władca najsilniejszej siedziby w swej legendarnej ojczyźnie! Wydalono go bowiem z zastrzeżeniem, że jego potomkowie nie mają żadnego prawa ubiegać się o spuściznę po nim. A to już dotyka mnie osobiście! Myślę, że to dobra okazja, żeby im się za to odwdzięczyć.

— Chcesz mi wskazać drogę do ich świata tylko dlatego, żeby zemścić się na nich moimi rękami? — oburzył się Keogh. — Obawiam się, że nie będę miał na to czasu. Podejrzewam, iż sam znajdę się w opałach, jeśli tylko tam wtargnę.

— Czyżby? A co ty wiesz o miejscu, którego poszukujesz? — zapytał rozbawiony Faethor. — Myślisz, że tam wejdziesz, załatwisz swoje sprawy i tak po prostu sobie stamtąd pójdziesz?

— No, coś w tym rodzaju — przytaknął Harry, ale nie był już tak pewny siebie jak zazwyczaj.

— Cóż... to możliwe, ale mało prawdopodobne. Zbyt dosłownie tłumaczysz sobie jednak słowo „zemsta".

Cokolwiek się zdarzy, nie jesteś zwykłym człowiekiem, Harry! Liczę na twoje talenty, to wszystko. Poradziłeś sobie z moim wyrodnym synem, Tiborem, równie skutecznie rozprawiłeś się z Borysem Dragosanim i Julianem Bodescu — lista twoich osiągnięć jest naprawdę imponująca! Mam przeczucie, że samo twoje pojawienie się w tamtym świecie stanie się swego rodzaju katalizatorem nieodwracalnych procesów, zmieniających panujące tam stosunki. To mi wystarczy! O jedno tylko proszę: gdyby ktokolwiek zapytał ciebie — „kim jesteś?" — odpowiesz, że przysłał cię Belos. Czy to zbyt wiele?

— Nie — odparł Harry. — To z pewnością mogę dla ciebie zrobić. Zacznijmy więc od Perchorska. Co o nim wiesz?

— Hę? — zdziwił się Faethor. — Nigdy o nim nie słyszałem.

Harry krótko wyjaśnił.

— To może być jedna z dróg prowadzących do lub ze świata wampirów — odparł Ferenczy. — Ale to nie jest nasz tradycyjny, stary szlak. Powiem ci, czego dowiedziałem się od mojego ojca na temat drogi, którą przybył Belos. Wampiry wepchnęły go do białej świetlistej kuli. Musiał to być duplikat sfery znajdującej się teraz w Perchorsku. Mówisz, że to Górny Ural. To z pewnością nie ta sama.

— A gdzie wyszedł Belos?

— Wyszedł? To nie jest właściwe słowo. Raczej wyleciał! Już wewnątrz kuli zaczął spadać. Znalazł się jakby w środku nieskończenie długiego, białego, błyszczącego cylindra. Jego lot nie był zbyt szybki — takie odnosił przynajmniej wrażenie. Musiał mówić prawdę, bo w przeciwnym razie roztrzaskałby się przy lądowaniu. Jak już wspomniałem, w końcu wyleciał z kuli i znalazł się w tym świecie.

— Ale gdzie to było? — zapytał podekscytowany Harry.

— Pod ziemią!

— Podobnie jak Perchorsku?

— Nie, zupełnie inaczej, jak sądzę. Kiedy Belos otrząsnął się po upadku, oczywiście rozejrzał się wokół siebie. Kula, z której wypadł, tkwiła w sklepieniu rozległej, podłużnej groty. Siedział na brzegu czarnej rzeki. Pierwsze, co zauważył, to liczne kanaliki biegnące gdzieś w głąb skały, których wyloty widoczne były na wszystkich ścianach jaskini. Coś podobnego musiałeś widzieć w Perchorsku. W miejscu, gdzie woda wydostawała się z groty, przestrzeń między jej powierzchnią a sklepieniem zmniejszała się o kilka cali. Człowiek mógł przejść brzegiem nie więcej niż dziesięć kroków w jedną i drugą stronę, a potem napotykał na twardą kamienną przegrodę. Wąska szczelina nad powierzchnią wody stanowiła jedyne połączenie ze światem.

Rzeka ciągnęła się milami, drążąc swe podziemne koryto. Wysoki poziom wody uniemożliwiał ucieczkę z tego koszmarnego miejsca.

Belos przekonał się że nie wszystkim dopisało szczęście. Odnalazł liczne szczątki tych, którzy zwątpili w swoje możliwości, a sporej odwagi wymagało zanurzenie się w nieprzyjaznej cieczy. Były to pozostałości ludzi, których nazywał Trogami, a nawet zmumifikowane wampiry w takich pozycjach, w jakich zasiedli nad brzegiem rzeki w oczekiwaniu na zbawczą śmierć...

Belos nigdy nie należał do mięczaków. Najpierw spróbował wcisnąć się do kuli, ale ta odrzuciła go. Nie zamierzał jednak od razu poddać się losowi. Dysponował przecież siłą, ponieważ jego wampirzy zarodek nie opuścił dotąd jego ciała.

No cóż, Harry. Na pewno słyszałeś, że wampiry czują wyjątkową awersje do płynącej wody?

— Jestem, zaraz po tobie — powiedział Harry — największym ekspertem wampiryzmu! Masz na myśli legendę o tym, że wampiry muszą pokonać wielką podziemną rzekę, żeby wydostać się na powierzchnię tego świata?

— Właśnie!

— Tibor miał własne wytłumaczenie tej waszej niechęci do moczenia się.

— Tibor nie miał pojęcia o tej legendzie, ponieważ nie było nikogo, kto by mu ją opowiedział. Niestety, nie chciał się ode mnie niczego nauczyć. No i wytłumaczył ją sobie po swojemu, to wszystko.

— Tak, wróćmy do sedna sprawy — napominał go Harry.

— Dobrze. To właśnie ta rzeka dała początek legendzie, o której wspomniałeś. Wampir jest tylko stworzeniem z krwi i kości, Harry. Zanurz go pod wodą na dłuższy czas, a utonie i zginie.

Belos wszedł więc do rzeki, pozwolił się jej porwać. Nie zawsze był w stanie trzymać głowę ponad jej powierzchnią. Chwilami szczelina miedzy sklepieniem podziemnych korytarzy a powierzchnią wody zwężała się znacznie i wtedy zmuszony był nurkować, przy czym nigdy nie miał pewności, że będzie mógł wypłynąć na czas, żeby złapać następny oddech. W końcu dojrzał przed sobą dzienne światło, a wartki prąd złagodniał i rzeka płynęła teraz wręcz leniwie. Wydostał się po jakimś czasie z podziemi. Zaczerpnął głęboko powietrza. Nareszcie dotarł do świata! A miejsce to znajduje się...

— Tak? — Harry nie mógł spokojnie usiedzieć.

— Sto siedemdziesiąt mil od miejsca, w którym rozmawiamy!

— Ale dokładniej gdzie? — Harry poderwał się.

— Koło Radujewicz, nad Dunareą — odrzekł Ferenczy. — Albo raczej nad Danube — przypuszczalnie ta nazwa jest ci znana. Tam znajdziesz źródło — dosłownie i w przenośni — legendy wampirów! Chcesz tam pójść od razu?

— Natychmiast? Nie. — Harry potrząsnął głową. — Dzisiaj w nocy opracuję plan mojej wyprawy. Jutro tam się udam.

Harry przez chwilę stał cicho w ciemnościach. Potem westchnął.

— Czy pomogłem ci, Harry?

— Może trochę. A może dołożyłeś kolejny ciężar na moje barki? To się dopiero okaże.

— Wypełniłem część naszej umowy — przypomniał Faethor.

— I ja dotrzymam słowa. A na razie, przyjmij wielkie dzięki.

— No, już dobrze. My tu gadu, gadu o legendach wampirów, a tymczasem twoja własna legenda rośnie z dnia na dzień. No cóż, powodzenia... tym bardziej; że twoje powodzenie będzie i dla mnie korzystne...

— Do usłyszenia, Faethorze — pożegnał się Harry i przestąpił próg przestrzeni Möbiusa.

Przygotowania Harry'ego i jego plan nie były skomplikowane. Najpierw powrócił do centrali INTESP i złożył tam pewne zamówienia. W oczekiwaniu na ich realizację zapoznał Darcy'ego Clarke'a z nowymi faktami, a te, które tamten już znał, uzupełnił co

istotniejszymi detalami.

— Najważniejsze jest to, co zamierzasz w najbliższej przyszłości — podsumował Darcy. — Jedziesz do Rumunii, nad rzekę Danube koło Radujewicz. Potem podążysz w górę jej biegiem, już pod ziemią, zgadza się!

— Tak, oczywiście.

— Gdzieś u źródła spodziewasz się odnaleźć świetlistą Bramę, taką samą jaką widziałeś w Perchorsku, tylko, że tym razem nikt nie powinien tam czekać na ciebie z odbezpieczoną bronią.

— Podejrzewam, że natknę się tam na ludzi — odrzekł Harry. — Ci jednak nie będą w stanie przeszkodzić mi w moich planach. Wręcz przeciwnie: mam nadzieję, że powitają mnie z radością. Liczę nawet na pewną pomoc z ich strony.

Clarke spojrzał na niego z obawą. „Dobry Boże! To człowiek, bez wątpienia, ale potrafi być naprawdę nieludzki!" — pomyślał.

— Zmarli, tak? — upewnił się.

— Nawet nie wiem, czy znajdę tam ich ciała. Być może pozostały po nich tylko wspomnienia? — powiedział Harry jakby do siebie.

Clarke zadrżał. Przed oczami stanęły mu obrazy wydarzeń związanych z likwidacją Bodescu, kiedy to był świadkiem władczej mocy nekroskopa nad mieszkańcami cmentarza, a raczej nad tym, co z nich pozostało w grobach. Co prawda, wówczas syn Harry'ego zwrócił się do nich o pomoc, ale Senior też byłby w stanie wywołać ich z cmentarnych legowisk.

— A kiedy już odnajdziesz Bramę, przejdziesz przez nią do... to znaczy... po prostu przejdziesz przez nią! — Darcy przez moment miał kłopoty ze skoncentrowaniem rozproszonych myśli. Szybko jednak je opanował. — Znajdziesz się najprawdopodobniej w świecie, do którego odszedł twój syn i jego matka. Tam też pewnie spotkasz Jazza Simmonsa.

— I Zek Föener, a może i kilku innych, jeśli jeszcze żyją — dodał nekroskop. — A wierzę, iż tak jest, i że spotkam tam paru przyjaciół. Nie zabraknie i wrogów. Znam jednego z nich — Karl Wiotski jest wrogiem całego świata, moim więc także.

— Przypuśćmy, że wszystko pójdzie gładko — mówił Darcy — w takim razie porozmawiasz z Brendą i synem, odszukasz Jazza Simmonsa, i zabierzesz stamtąd każdego, kto wyrazi na to ochotę. Coś jeszcze?

— Mniej więcej chciałbym, żeby tak to wyglądało. Z tym, że nie jestem pewien, czy w ogóle istnieje stamtąd droga powrotna. Pamiętaj, że nikomu się nie udało do tej pory wrócić z tamtego świata. Również i żadnemu przybyszowi spoza Bramy nie udało się opuścić naszego świata! Ja sam nic z tego nie rozumiem.

— Krótko mówiąc, świadomie ryzykujesz swym życiem — skonstatował Clarke.

— Trudno zaprzeczyć.

— Byłbym nieszczery, gdybym próbował odwieść cię od twoich zamiarów. Tak samo jak ty chcę doprowadzić tę sprawę do samego końca. Dla mnie nastąpi on dopiero wtedy, gdy Projekt Perchorsk zniknie z powierzchni naszej planety. Bez względu na to, czy produkuje się tam jakieś potwory, czy też nie — tam właśnie znajduje się ich źródło.

— Zgadzam się z tobą — powiedział Harry. — Ale Wiktor Łuchow dał mi słowo, że nic takiego więcej się stamtąd nie wydostanie — i to mi wystarczy.

Zapadło między nimi milczenie. Przerwał je Clarke.

— Zorganizowanie części wyposażenia, o które prosiłeś, zajmie trochę czasu — powiedział. — Jest już późno, a ja miałem dzisiaj ciężki dzień. Pozwól, że prześpię się teraz kilka godzin. Wrócę tu nad ranem, na pewno przed twoim odejściem. Czy jest coś, co mógłbym jeszcze dla ciebie zrobić? Co ty zamierzasz począć z sobą przez resztę nocy?

Harry wzruszył ramionami.

— Och, ja nie jestem zmęczony — odparł. — Mam za sobą długi wypoczynek. Wiem, że to niemądre i trudno to wyjaśnić, zdecydowanie wolę jednak wyruszyć w ciągu dnia; dlatego poczekam, aż zrobi się jasno.

— Niemądre? Co w tym głupiego?

— Przecież głęboko pod ziemią nie ma znaczenia, czy na zewnątrz panuje noc, czy nastał dzień. Będę się lepiej czuł wiedząc, że mogę w każdej chwili się wycofać i znów ujrzeć słońce. Przedtem jednak muszę porozmawiać na pożegnanie z Möbiusem i to wypełni mi godziny ciemności.

Clarke potrząsnął głową oszołomiony.

— Musisz wiedzieć — zwrócił się do nekroskopa — że choć znam cię od tylu lat, zawsze robi na mnie wrażenie to, że tak sobie mówisz o spotkaniach ze zmarłymi. Czasem mam wątpliwości, czy rzeczywiście zrodziliśmy się na tym samym świecie!

— I kto to mówi? Sam szef INTESP! Czyżbyś się minął z powołaniem, Darcy? — Harry uśmiechnął się szczerze.

Po chwili wywołał drzwi Möbiusa i zniknął zanim Clarke mógłby wytłumaczyć się z widocznego zakłopotania...

Cmentarz w Lipsku zamykano na noc, ale nie miało to oczywiście dla Harry'ego żadnego znaczenia. Matematyk, jak zwykle, ucieszył się z jego wizyty.

— Witaj, chłopcze — powiedział krótko. — Przyznam ci się, że rozmyślałem trochę na temat twoich domniemanych równoległych światów.

— Domniemanych? Z każdą naszą rozmową stają się one coraz bardziej realne — stwierdził Keogh. — Nie wyjaśniona pozostaje już tylko ich natura. — W kilku zdaniach zapoznał naukowca ze swoimi odkryciami.

— To fascynujące! — entuzjastycznie skomentował Möbius. — I dokładnie potwierdza słuszność moich teoretycznych rozważań na ten temat.

— Nie mogę się doczekać, kiedy się ze mną nimi podzielisz. Dla mnie nie wszystko

jest oczywiste. Co prawda, widzę światełko na końcu tunelu, ale... jeśli po tej stronie są aż dwie błyszczące kule, dlaczego po tamtej stronie znajduje się tylko jedna Brama?

— Jedna? Skąd wziąłeś takie przypuszczenie? — zapytał Möbius.

— Przede wszystkim opieram się na słowach Faethora. Wspominał tylko o jednej świetlistej sferze. Czy, gdyby istniały w ich świecie inne, podobne, stary Belos mógłby o nich nie widzieć?

— No cóż, wiedział o tym czy nie, ale zapewniam cię, że znajdują się tam przynajmniej dwie białe kule — powiedział matematyk zdecydowanie. — Wyjaśnię ci to bardzo skrótowo i bez zagłębiania się w matematyczne szczegóły istoty zagadnienia.

— Zamieniam się w słuch! — odrzekł nekroskop.

— Zgodziłeś się już, że istnieje kilka rodzajów wrót łączących różne obszary czasoprzestrzenne. Postępowi naukowcy uznają za prawdziwą teorię czarnych dziur, inni rozważają nawet prawdopodobieństwo odnalezienia ich przeciwieństw — białych dziur. Według ich teorii leżą one jakby u końców tych samych tuneli: czarne — wciągają pochłaniają materię, białe zaś — produkują ją. To ustaliliśmy, tak?

— Tak. — Harry skinął głową.

— No dobrze. A teraz posłuchaj: nawet jeśli to założenie jest błędne i nie mówimy tu o dwóch stronach tej samej monety — jest coś, co je łączy — stwierdził Möbius.

— Co to takiego?

— Obydwie działają jednostronnie! Kiedy raz wstąpisz do czarnej dziury, nie możesz się z niej wydostać tą samą drogą, przeciwnie, gdy zostaniesz wypchnięty przez białą dziurę, nie dostaniesz się już do jej środka. O tego samego rodzaju cechę podejrzewam twoje świetliste sfery, które utożsamiliśmy z pojęciem szarych dziur. Tę w Perchorsku i tę drugą, do której masz zamiar wkrótce dotrzeć.

— Systemy jednokierunkowe? — zapytał niepewnie Keogh.

— Każda z nich! Z wyraźnym akcentem na słowo: „każda". Nie rozumiesz! Wchodzisz jedną, a wychodzisz drugą! Czy to nie oczywiste?

Harry oniemiał. W końcu odzyskał głos.

— Ależ to genialne! — wykrzyknął. — Kiedy raz przekroczysz Bramę, zostajesz przez nią jakoś naznaczony i nie będziesz miał do niej wstępu nigdy więcej. Możesz jednak skorzystać z drugiej! Jedyne więc, co mnie czeka na miejscu, to odszukanie innej kuli niż ta, z której tam się wydostanę. Już wiem, kto mi w tym pomoże! Same wampiry — jeden z nich pojawił się przecież w Perchorsku, musiał w takim razie startować z innego miejsca niż Belos.

— Na to wygląda — powiedział Möbius.

— Istnieje jednak pewna trudność. — Entuzjazm Harry'ego zaczął powoli opadać. — Mój powrót nastąpi w Perchorsku, a tam nie przyjmą mnie z otartymi ramionami. Raczej otwartym ogniem — zażartował z wisielczym humorem.

— Ale to już wyłącznie moje zmartwienie — dodał szybko.

— Nie da się ukryć — odparł matematyk.

— Serdeczne dzięki — powiedział Harry. — Tak naprawdę, to i ja podejrzewałem, że tam muszą być dwie Bramy. Pierwszej używano przez tysiące lat, a dopiero od niedawna zaczęto wykorzystywać tę, której wylot znajduje się w Projekcie. Być może sami Rosjanie przypadkiem przyczynili się do jej powstania... I dlatego Belos nie mógł o niej wiedzieć, niestety. Wybacz, ale powinienem już wyruszyć w drogę. Chcę jeszcze odwiedzić swoją matkę. Nie darowałaby mi, gdybym w taką podróż wybrał się bez pożegnania. Wyobrażam sobie, że będzie chciała mnie powstrzymać, chociaż wie, że nigdy dotąd nie udało jej się odwieść mnie od raz podjętej decyzji... No cóż, taka już jest...

— Dokładnie jak wszystkie kochające matki, Harry. Życzę szczęścia — odrzekł Möbius poważnie. Obawiał się jednak w głębi duszy, że szczęście, to o wiele za mało, żeby wyprawa Harry'ego zakończyła się pełnym sukcesem...

Rankiem Harry i Clarke ponownie spotkali się w biurze INTESP w Londynie. Harry sprawdzał dostarczony mu ekwipunek, a w tym czasie Darcy przekazywał mu informacje, które mogły przydać się nekroskopowi już na samym początku ekspedycji.

— Jeśli chodzi o podziemną część Danube, Harry, to musisz wiedzieć, że to śmiertelna pułapka! Skontaktowałem się z naszymi ludźmi w Bukareszcie i mam na ten temat naprawdę wiarygodne dane. To znane miejsce, jak się okazało, i mam jego dokładne współrzędne geograficzne. Skąd ta sława? W 1966 roku para doświadczonych badaczy wybrała się na penetrację groty, z której wypływa Danube.

Działo się to latem i panowała susza. Jednakże w cztery godziny po tym, jak naukowcy zniknęli w głębi jaskini, z nieba lunęły potoki wody. Potem odkryto, że jedno ciało zostało „wypłukane" z podziemi przez rzekę, drugiego zaś nigdy nie odnaleziono. A obaj mężczyźni byli ekspertami w swej dziedzinie!

— Ale oni szli i płynęli — odparł Harry.

— Słucham!

— Ja też podążę biegiem rzeki, tylko że ja nie muszę tak dosłownie się jej trzymać.

— Znów kontinuum Möbiusa? — Clarke wiedział, że jego pytanie jest retoryczne. — W takim razie — po co ci pianka, akwalung i cała reszta do nurkowania?

— Na wszelki wypadek, po prostu.

Darcy milczał przez chwilę.

— Staram się pomóc, jak tylko potrafię najlepiej — powiedział w końcu.

— Nie myśl, że tego nie doceniam — odrzekł Harry. — No, na mnie już czas.

W dziesięć minut zapakował sprawdzony sprzęt w wodoszczelne sakwy i przeniósł się do Radujewicz. Tam wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do miejsca, które Clarke zaznaczył mu na turystycznej mapie. Ostatnie kilkadziesiąt metrów dzielące go od celu

pokonał na piechotę. Zawędrował do bezludnej, dzikiej okolicy. Zrzucił sakwy przewieszone dotąd przez ramię i przykrył je mchem i suchymi gałęziami. Rozejrzał się wokół siebie.

Stał pod stromym, porośniętym bluszczem urwiskiem. Na północnym wschodzie rozciągały się niedostępne, szare Karpaty, kontrastujące z łagodnym, zalesionym, wiejskim krajobrazem południa, który miał za plecami. Stał na brzegu wolno płynącego rozlewiska, którego ujście, a właściwie początek ginął w ciemnościach wyżłobienia rysującego się czarną plamą na tle jasnej kamiennej ściany. To tutaj Belos rozpoczął nowe życie w obcym świecie. Teraz Harry musiał jak najdokładniej wyobrazić sobie miejsce położenia Bramy, przez którą przeszedł przed tysiącem lat legendarny wampir.

Nekroskop upewnił się, że jest sam, że nikt nie będzie świadkiem jego zniknięcia. Przeniósł się w pobliże górskiego pasa, na północny wschód.

Wywołał drzwi Möbiusa bliżej szarych szczytów. Ich kontury nie były wyraźne. To przekonało Harry'ego, że wybrał właściwą drogę poszukiwań. Musiał znajdować się już niedaleko Bramy, na którą, w ten właśnie sposób reagowały wrota umożliwiające mu korzystanie ze wstęgi Möbiusa.

— Bardzo niedaleko. — Usłyszał niespodziewanie w swym umyśle. To był głos zmarłego, który zabrzmiał mu w uszach jak szept niewidzialnego ducha.

— Znam ciebie? — Harry zlustrował swym bystrym wzrokiem otaczający go krajobraz. W dole widział przypominające teraz makietę, malutkie domki okolicznych miasteczek: Radujewicz, Cujmir, Recea. Ponad nimi unosiły się gęste czapy czarnego dymu.

— Nie, ale ja ciebie znam. Twoja matka zwróciła się do nas w twojej sprawie.

— Chciała dobrze — rzekł. — Czy sprawiła dużo kłopotu?

— Nie, wcale! Jestem szczęśliwy, że mogę się na coś przydać. Masz zamiar powędrować wnętrzem tej góry, zgadza się? — Głos był pełen szczerego entuzjazmu.

— Musisz być jednym z grotołazów, którzy zginęli tu w 1966 — spróbował odgadnąć Keogh.

— Tak, to ja — odparł głos. — Najgorsza jest dla mnie świadomość, że nawet nie wiem, w imię czego straciłem życie. Nigdy nie udało mi się zakończyć tej nieszczęsnej wyprawy. Nazywam się Gari Nadiscu i marzyłem, że odkryję coś, co będzie można nazwać „Szlakiem Nadiscu". Może uda ci się dokończyć rozpoczęte przez nas zadanie?

— Poczekaj — powiedział Harry i włączył się w kontinuum Möbiusa. — Nie przestawaj do mnie mówić. Twój głos doprowadzi mnie do miejsca twojego spoczynku. — Wyszedł z przestrzeni u samych stóp Karpat. Drzwi Möbiusa stały się teraz jeszcze bardziej niewyraźne niż poprzednio, co wcale nie zmartwiło Harry'ego.

— Odwaliłeś kawał roboty — pocieszył zmarłego. — Zanim dorwała was to piekielna powódź, mieliście za sobą już blisko dziewięć mil drogi! Czy ciągle tam jesteś? — Ke-

ogh spojrzał pod nogi. — To znaczy... czy coś pozostało... wiesz, co mam na myśli? Co ciebie tam zatrzymało? Twój przyjaciel wypłynął na zewnątrz...

— Naprawdę interesuje to ciebie? No cóż, w jakiejś szerszej jaskini wyczołgałem się na brzeg rzeki. Tam zastała mnie powódź. Wspinałem się wyżej i wyżej, w miarę jak się podnosił poziom wody. W pewnym momencie zaklinowałem się w skalnej szczelinie. Nie mogłem się z niej wydostać! Oczywiście, miałem z sobą butlę. Przetrwałem tak długo, na ile pozwoliła mi jej zawartość.

— To musiało być straszne — ze współczuciem odezwał się Harry.

— Nie marnuj lepiej czasu. Masz ważniejsze sprawy. Powiedz, w czym mogę ci pomóc?

— Po pierwsze, opisz mi bieg rzeki do miejsca, w którym się teraz znajdujesz; a po drugie, czy orientujesz się mniej więcej, na jakiej głębokości spoczywasz?

Nadiscu wyczerpująco odpowiedział na oba pytania. Harry podziękował mu.

— Obiecuję ci, że tu wrócę, jak tylko rozwiążę swoje problemy. Zapoznam cię wtedy z przebiegiem korytarzy, do których nie byłeś w stanie dotrzeć.

— Będę naprawdę wdzięczny. Harry. Do usłyszenia wkrótce... — odrzekł głos.

Harry po raz kolejny użył przestrzeni Möbiusa, kierując się znów w stronę gór. Wylądował na zboczu najbliższego szczytu. Drgania konturów metafizycznych drzwi stały się tak silne, że Keogh mógł być pewien bliskiego sąsiedztwa poszukiwanej przez niego Bramy. Musiał ją mieć gdzieś pod sobą, ukrytą pod grubą warstwą twardej szarej skały.

Zakodował swą pozycję w pamięci i powrócił do wylotu groty, gdzie schował swój ekwipunek. Pół godziny później, ubrany w piankę i z butlą tlenową na plecach, a także z ostrym nożem za pasem i silną latarką w ręku, zanurzył się w ciemnej wodzie i wywołał drzwi Möbiusa. Pojawiły się wyraźne i nieruchome. Nie wykorzystał ich jednak. Wyruszył w górę rzeki. Pod stopami czuł szorstkie, kamieniste dno. Wkrótce ogarnęły go nieprzeniknione ciemności. Rozproszył je światłem latarki. Wartki prąd uniemożliwiał posuwanie się naprzód. Poddał się i skorzystał z kontinuum. Kilkoma metafizycznymi „skokami" dotarł do miejsca spoczynku Nadiscu, a raczej tego, co po nim zostało. Dostrzegł do połowy zakopaną w skalnym gruzie butlę i nagie kości sterczące na pewnej wysokości ze ściany.

Po następnych pięciu minutach, po serii coraz krótszych „skoków", drzwi Möbiusa zadrżały szczególnie niebezpiecznie i wydawały się pochylać w stronę przeciwną do kierunku, z którego Harry je wywołał. Nie odważył się ich wykorzystać. Znajdował się w korytarzu o niemal kołowym przekroju. Dryfował w głębokiej wodzie. Sklepienie korytarza pozostawiło w swym najwyższym punkcie kilkanaście cali wolnej przestrzeni powyżej lustra rzeki.

Keogh popłynął z dużym wysiłkiem pod prąd.

W końcu dostrzegł przed sobą słabe białe światełko. Było przytłumione blaskiem

jego latarki. Szybko wyłączył reflektorek. Światło stawało się coraz bardziej oślepiające. Harry dotarł do źródła blasku resztami sił. Wczołgał się na szerszy w tym miejscu brzeg. Nagle poderwał się z obrzydzenia. Dojrzał coś, co kiedyś było człowiekiem. Marząc tylko o chwili wytchnienia i nie zwracając uwagi na to, co może w grocie znaleźć, prawie zarył nosem w bezgłowy, rozkładający się tułów. Brakująca część ciała leżała w pewnej odległości od obrzydliwego korpusu. I jej nie ominął proces rozkładu, rysy twarzy stały się już nierozpoznawalne.

— Chryste Panie! — jęknął Harry bogobojnie. Zdążył już wyjąć z ust rurę doprowadzającą do jego płuc powietrze z butli, teraz jednak pośpiesznie znów ją ściskał zębami. Fetor zgnilizny rozchodzący się po całej jaskini był nie do zniesienia. Uspokoiwszy rozdygotane nerwy, Harry dokładniej przyjrzał się trupowi, nie dotykając go, oczywiście. Nie miał wątpliwości. Podwójny kręgosłup był wystarczającym dowodem, że to wampir. Harry wiedział, że odciętą głowę wypełnia kompozycja dwóch mózgów.

— Kim byłeś?!

— Nazywano mnie Corlis. Byłem jednym z poruczników Lady Karen — odparł zrozpaczony głos — Niestety, zgubiła mnie moja ambicja. Odejdź, zostaw mnie i moje nędzne ciało w spokoju.

— Zbyt ambitny? — zdziwił się nekroskop.

— Bywa, że to się tak kończy!

Spojrzał na sferę i natychmiast zmrużył powieki. Jej blask był nieznośny dla ludzkiego wzroku. Z wodoszczelnej kieszeni Harry wyciągnął ciemne okulary i dopiero wtedy rozejrzał się po pomieszczeniu. Niedaleko od świeżych zwłok leżało nowoczesne walkie-talkie. Trochę poobijane, z wyciągniętą anteną. Rozpoznał radziecką produkcję.

W zakrzywionych ścianach podłużnej groty znajdowały się liczne nisze. Część z nich była wypełniona i przyglądając się ich zawartości, Keogh przypominał sobie słowa Faethora o tradycyjnym systemie karania buntowników i wrogów wampirów.

Jeden z nich usadowił się niegdyś na pewnej wysokości nad poziomem wody. Uległ mumifikacji. Wydawało się, że za chwilę pomacha zawieszonymi poza skalne siedzisko nogami. Czaszka z pustymi oczodołami była lekko pochylona, jak gdyby oczy mieszkającego w niej ducha pilnowały każdego kroku intruza. Ten nie przejmował się zbytnio tą uporczywą obserwacją, ale doznał pewnego szoku, kiedy usłyszał dobiegające z tamtego kierunku oskarżenie.

— Zabójca wampirów! — Głos ten zabrzmiał „tylko" w jego myśli i świadomość tego uspokoiła Keogha. Wzruszył ramionami.

— Nie przeczę. Ale ty już nie musisz się mnie obawiać, jak sądzę.

Teraz inny głos poparł swego zmarłego przedmówcę.

— Bezczelna kreaturo! To prywatne miejsce wampirów — opuść je i nie wracaj tu nigdy w przyszłości! Kim jesteś, że ośmielasz się przerwać nasz odwieczny sen? — za-

brzmiał w ciszy.

— Wybaczcie. — Harry znów wzruszył ramionami.

Nie jestem odpowiednio ubrany na prowadzenie tak uprzejmej konwersacji. Musicie jednak wiedzieć, że słyszałem niejedno o waszym stosunku do zwykłych śmiertelników. Mogliście być sobie nie wiadomo jak wielkimi panami w swym koszmarnym wampirzym świecie, tu jednak nie jesteście niczym innym, jak śmierdzącymi martwymi resztkami! Właśnie tak, drodzy państwo. I jeszcze jedno sobie ustalmy, nie ma sensu wypominać sobie przeszłości. Ta licytacja zajęłaby nam zbyt dużo czasu...

— Jak śmiesz?! — padł chóralny głos oburzenia.

— Trochę tu zimno — Harry bezceremonialnie przerwał ich zgodny protest. — Mam zamiar opuścić to miejsce na jakiś czas. Muszę pójść po cieplejsze rzeczy. Mogę mieć chyba nadzieję, że zanim wrócę, zdecydujecie się przybrać choć pozory towarzyskiej ogłady. Jeśli nie — wzruszył ramionami — no cóż, nie jesteście warci poświęcania wam zbytniej uwagi!

Nie czekając na ich odpowiedź, włączył latarkę i wskoczył do lodowatej wody. Odpłynął na bezpieczną odległość i wywołał drzwi Möbiusa. Bezbłędnie trafił do swego punktu wyjścia przy rzecznym rozlewisku, u wylotu podziemnych korytarzy.

Pierwsze, co zrobił, to pociągnął solidny łyk brandy z płaskiej metalowej flaszki. Poczuł ciepło rozchodzące się po jego przemarzniętym do szpiku kości ciele. Wodoszczelną torbę, w której znajdowała się ciepła odzież, owinął mocną nylonową linką. Potem przeniósł się z powrotem do miejsca, poza którym nie powinien ryzykować korzystania z kontinuum Möbiusa i zaczął szaleńczo płynąć w stronę białego światła Bramy. Kiedy wyczołgał się na brzeg jaskiniowego koryta rzeki, przebrał się w suchą, wygodną odzież. Później wyciągnął z torby ciężki, krótki karabinek. Dokładnie sprawdził jego stan, wszystko wydawało się być w porządku.

Zdawał sobie sprawę z komentarzy, jakie wymieniają między sobą poirytowane jego poczynaniami wampiry.

— Pojawia się i znika jak duch! Jest magikiem! Posiada tajemną moc! — rozległy się metafizyczne szepty.

Harry uśmiechnął się.

— Och, zgoda, że mam pewne nadzwyczajne możliwości — powiedział głośno. — Ale jeśli chodzi o tego ducha... Posiadam najprawdziwsze ciało z krwi i kości, to raczej o was...

— Harry! — odezwał się jakiś przestraszony, chrapliwy, niemal zwierzęcy głos. — Bądź ostrożny, Harry. To bardzo niebezpieczne rozmawiać z wampirami w sposób, na jaki sobie pozwalasz!

Keogh z trudem odnalazł właściciela głosu. Zasuszona, zmumifikowana postać spoczywała skulona i skromnie schowana na uboczu, w najciemniejszym kącie groty. Ne-

kroskop miał wrażenie, że rozmawia z kamienną rzeźbą.

— Ty nie byłeś wampirem — częściowo stwierdził, a częściowo łagodnie zapytał przerażone stworzenie.

— On? — wtrąciły się znane mu głosy, na pół obrażone. — To Trog, głupcze!

— Trog? — powtórzył Harry niepewnie, ale zaraz sobie przypomniał. — Ach tak! Pamiętam, że mówiono mi o tym. A gdzie Wędrowcy?

— Tutaj, Harry! — zabrzmiał kolejny, tym razem bardzo ludzki głos. Dobiegał jednak jakby z oddali, słaby i przygaszony. — Niestety, nasze ciała okazały się dużo mniej trwałe od potężnych ciał Trogów i wampirów. Obawiam się, że niedługo nie pozostaną po nas nawet wspomnienia. Już teraz nie reprezentujemy sobą niczego więcej.

— Ale jesteście — powiedział Harry. — I dla mnie znaczycie tyle samo, co pozostali. Słucham więc, kto mi pomoże? — Cisza. — Co takiego? Tysiące, a przynajmniej setki lat po śmierci, wy — troglodyci — wciąż czujecie na sobie presję wampirów? Byłem pewien, że udzielicie mi kilku wskazówek na drogę. — Poprawił okulary i zacisnął skórzany pas, na którym zawiesił swa broń. Spojrzał w górę na przyciągające, białe światło. Gdyby wyciągnął rękę, z łatwością dosięgnąłby kuli.

— Pytaj, o co chcesz! — zaczęły przekrzykiwać się słabe głosy Wędrowców. — Kiedyś walczyliśmy z wampirami. Przebijaliśmy ich czarne serca ostrymi kołkami i paliliśmy ich znienawidzone ciała. Kiedy doszły do szczytu swej mocy, krwawo się na nas zemściły. Ale niczego nie żałujemy. Porozmawiaj z nami, Harry. Nigdy nie byliśmy tchórzami, w przeciwieństwie do tych prymitywnych Trogów — mówili z dumą. Nagle ich głosy zabrzmiały panicznie. Harry bowiem stanął na czubkach palców i zanurzył swą rękę w migocącą sferę.

— Nie rób tego, Harry!

Za późno, dłoń Keogha zniknęła w mlecznym wnętrzu Bramy. Próbował jeszcze ją stamtąd wyszarpnąć, ale jego ścięgna tylko niebezpiecznie zatrzeszczały, a dłoń nie cofnęła się ani o milimetr. Usłyszał złośliwy, denerwujący rechot wampirów i płaczliwe lamenty Trogów, mieszające się z żałosnymi okrzykami Wędrowców. Poczuł, że traci kontrolę nad własnym ciałem. Jakaś potężna siła oderwała jego stopy od podłoża i wessała w głąb świetlistej kuli. Stał się lekki jak piórko, i wbrew zasadom grawitacji, wolno unosił się w górę...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Rezydent — W Perchorsku — W ogrodzie

Pierwszą reakcją Harry'ego na zaistniałą sytuację była panika. Chciał instynktownie ratować się ucieczką w kontinuum Möbiusa, w ostatniej jednak chwili oprzytomniał i uniknął katastrofy. Bóg jeden wie, dokąd zaprowadziłyby go metafizyczne drzwi, gdyby użył ich teraz — w samym środku szarej dziury. Cierpliwie poddał się lotowi, i nagle... Koniec tej podróży był równie nieoczekiwany. Keogh przeniknął przez zewnętrzną powłokę kuli i bezwładnie ześlizgnął się po krzywiźnie. Upadł na twarde rumowisko wypełniające przestrzeń między sferą a stromymi ścianami krateru. Spostrzegł wkrótce, że istnieje również druga kula.

Brama, którą tu przed chwilą przybył musiała być kopią pierwszej powstałej prawdopodobnie w wyniku działań w Perchorsku.

Harry rozejrzał się. Wszędzie wokół napotykał wyloty niezliczonych, biegnących w głąb skały tuneli. Wyciągnął latarkę i oświetlił wnętrza paru najbliższych. Wybrał najbardziej poziomy i wczołgał się do środka. Po kilku metrach kanał skręcał ostro w prawo, a potem gwałtownie opadał. Keogh zrezygnował z tej drogi i spokojnie się stamtąd wycofał. Następne próby okazały się równie nieudane. Dopiero piąty tunel przez cały czas łagodnie prowadził ku górze. Harry zdołał się wyprostować w szerszym teraz cylindrze. Nad sobą ujrzał obce, skomplikowane gwiezdne konstelacje. Wyciągnął rękę — do wylotu z kanału brakowało mu około pół metra. Podkurczył kolana i próbował podskoczyć. Nie wyszło mu to zbyt zgrabnie. Miał ograniczoną swobodę ruchu, a poza tym ciążyła mu broń oraz — bagatelka — dwieście zapasowych naboi w kieszeniach.

Mężczyzna ściągnął karabinek i przykręcił do niego długi tłumik. Chwycił za jego koniec i wystającym magazynkiem zaczepił o kolistą krawędź. Mocno opierając się plecami o zakrzywioną, gładką ścianę tunelu, podciągnął swoje dobrze zbudowane ciało. Energicznie pomagał sobie łokciami i kolanami. W końcu mógł rozejrzeć się po okolicy. Wygramolił się na zewnątrz i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Nie przypuszczał, że i jego obserwowały czujne oczy. Po chwili ciemny kształt przemknął ponad głową Keogha,

wydając przy tym dźwięki, których ludzkie ucho nie było w stanie zarejestrować.

Okazał się nim wielki nietoperz, Desmodus, podążający prosto w kierunku jednego z kamiennych zamczysk. W przeciwną stronę, na zachód, biegł osobliwy łańcuch. Jego ogniwa stanowili rozstawieni w regularnych odstępach troglodyci. Z ust do ust podawali sobie głośny, umówiony sygnał.

Wiadomość o przybyciu intruza dotarła niemal równocześnie do siedziby Lorda wampirów i do Ogrodu Rezydenta. O ile jednak Szaitis musiał dopiero przygotować do drogi swą latającą bestię, Rezydent był uniezależniony od wszelkich środków lokomocji i mógł błyskawicznie pokonywać najdłuższe nawet dystanse. Teraz też wykorzystał swoje niezwykłe możliwości i skierował się na wschód. Bardzo szybko rozpoznał przybysza i zdziwił się, że po tych wszystkich latach, Harry Keogh zawitał do krainy wampirów, i to w takim momencie. Rezydent nie wiedział, czy cieszyć się z tej wizyty, czy też obawiać się niespodziewanego gościa. Ostatecznie mogło okazać się, że co dwie głowy, to niejedna. To pomyślawszy, Rezydent po prostu poszedł po Harry'ego, który ciągle stał przy świetlistej kuli i rozglądał się po całkowicie nie znanym mu świecie...

Jako pierwsze, przyciągnęły uwagę Keogha niebotycznie wysokie kamienne kolumny. Zaciekawiony, rozmyślał właśnie nad ich przeznaczeniem, gdy poczuł, że ktoś go obserwuje. Błyskawicznie przykucnął i odbezpieczył automat. Jakieś czterdzieści jardów na północ od Bramy stała szczupła, nieruchoma postać. Należała prawdopodobnie do mężczyzny, a jej twarz ukryta była za złotą, błyszczącą maską.

— Nie strzelaj! — Dobiegł stamtąd młody, męski głos, a jego właściciel podniósł rękę w pokojowym geście. — Nic ci nie grozi. Na razie! — Coś w tym głosie zastanowiło Harry'ego. Lekko się odprężył i wyczekująco przechylił głowę.

— Na razie? — powtórzył Keogh zdezorientowany.

— No, tak. — Usłyszał natychmiastową odpowiedź. — Spójrz tam! — Nieznajomy głową wskazał na wschód. Harry podążył wzrokiem za jego gestem.

Zbliżały się stamtąd wielkie czarne cienie. Dosłownie rosły w oczach. Zaczynały przybierać rozpoznawalne kształty, jeden mógł przypominać gigantyczną uskrzydloną mantę, natomiast drugi był tak potworny, że nie kojarzył się Harry'emu absolutnie z niczym.

— Przypuszczam, że to Szaitis na swym latającym potworze — powiedział Rezydent. — A obok, jedna z jego wojennych kreatur. Ale nie są sami, widzisz? Doganiają ich inne latające bestie, a na nich z pewnością porucznicy Lorda.

— Wampiry? — zapytał Harry.

— Och, tak! Lepiej choć do mnie i nie zadawaj zbędnych pytań.

Nekroskop rozpoznał swojego rozmówcę. Co prawda nie znał dotąd jego głosu, a jednak nie miał wątpliwości, że go poznaje. Pośpiesznie podążył w kierunku majestatycznej postaci.

Z góry rozległ się głuchy, ponury głos Szaitisa.

— Poddajcie się! Jesteście odtąd więźniami największego z Lordów, rozumiecie?

— Jesteś gotów, ojcze? — zapytał Rezydent i rozłożył ramiona. Szybko okrył Harry-'ego peleryną.

Nekroskop był już pewien, że ośmioletni chłopiec, którego poszukiwał i stojący przed nim, co najmniej dwudziestoletni mężczyzna, to ta sama osoba. Przyzwyczaił się do tego rodzaju niespodzianek. Jego własna historia była tak niewiarygodna, że nie przyszło mu do głowy, by się czemukolwiek dziwić.

— Oczywiście, że jestem gotów, synu. Ale... na pewno wiesz, że zdołamy się uratować?

— Możesz mi zaufać. Musimy tylko oddalić się od Bramy.

— To już wiem. Przekonałem się o tym na własnej skórze.

Tymczasem Lord wylądował na zachód od miejsca, w którym ciągle stali, zaś wojenna kreatura przyczaiła się po ich wschodniej stronie. Pozostałe bestie jak sępy krążyły ponad ich głowami.

— No cóż, Rezydencie — krzyknął triumfalnie potężny wampir. — Wygląda na to, że teraz mi się nie wymkniesz!

— Zabiorę cię do swojego Ogrodu — poinformował Harry Junior ojca.

Szaitis, zmierzający w ich stronę pewnym krokiem — stanął jak wryty. Wydawało się, że spieszył jedynie do kurzu, który zawirował w próżni pozostawionej przez tych dwóch przeklętych czarowników. Przez dłuższą chwilę nie ruszył się z miejsca. Jego nozdrza drżały, kiedy swym płaskim nosem wąchał przed sobą powietrze. W końcu odrzucił głowę do tyłu i ryknął. Z jego ust wydostały się potoki soczystych przekleństw i gróźb.

— Ty podstępny Rezydencie! Wcześniej czy później cię dopadnę. Ciebie, twoją magię i wszystko, co posiadasz. Będę miał twoją broń, niewidzialną pelerynę i wyrwę ci z gardła każdy sekret! Słyszysz mnie? A twoi przybysze z piekielnego lądu zostaną moimi niewolnikami i sługami. Wtedy zaś nie będzie żadnych przeszkód, żebym stał się jedynym prawdziwym Lordem tej krainy! To mówi Szaitis z rodu wampirów. Niech się stanie!

Dziesięć dni później w Perchorsku.

Czyngiz Khuw z wielkim zapałem musztrował, szkolił i ćwiczył swój nowy oddział. Komandosi Khuwa, jak sam zwykł był o nich mówić. Pluton najbardziej doborowych, nieustraszonych mężczyzn spośród słynnych moskiewskich ochotników. Trzydziestu uzbrojonych ludzi i ich wyposażenie. Potężne sylwetki w czarnych bojowych kombinezonach z białymi plakietkami na ramionach i tradycyjnym oznakowaniem rang i stop-

ni wojskowych.

Mieli do dyspozycji pięć lekkich, terenowych jeepów i trzy ciężkie motocykle. Wszystkie pomalowane na czarno, z białymi kołami na drzwiczkach symbolizujących bramę, stały teraz na platformie Projektu. Nie miały tablic rejestracyjnych ani dokumentów — tam, dokąd miały wyruszyć, nic nie było potrzebne.

Pluton został pobieżnie zapoznany z przebiegiem wydarzeń w Perchorsku. Pokazano im nawet filmy z przybyszami, które udało się zarejestrować na taśmie. W ich wyszkoleniu szczególny nacisk położono na perfekcję w posługiwaniu się ręcznymi miotaczami ognia, a także trzema większymi, przenoszonymi na wózkach. Ich zadanie wydawało się proste: przejść przez Bramę i zorganizować po jej drugiej stronie bazę. Krótko mówiąc, stanowili oddział zwiadowczy. Każdy z mężczyzn wchodzący w skład plutonu nie miał rodziny. Nie pozostawiali nawet kochanek, jedynie niewielu przyjaciół i tylko dalekich krewnych. Ich serca były równie twarde, jak ich ciała.

Z kabiny na szczycie drewnianych schodów Wiktor Łuchow obserwował pokrzykującego na swych komandosów Khuwa. Stali oni na „pierścieniach Saturna".

Łuchow zastanawiał się, czy świat, do którego wyruszą będzie dla nich równie gościnnym miejscem, jak Projekt, a także czym odpowie na ich karabiny i miotacze ognia.

Nareszcie zajęcia się skończyły i Khuw przekazał dowództwo najwyższemu stopniem. Mężczyźni otrzymali komendę „spocznij" i mieli opuścić grotę w idealnym porządku. Minęli stojącego na schodach Łuchowa i zniknęli wewnątrz walca. Czyngiz miał zamiar wyjść jako ostatni, ale zauważył dyrektora.

— No i jak? — zapytał major KGB, kiedy znalazł się obok Łuchowa. — Co o nich sądzisz?

— Słyszałem, co im mówiłeś — odparł Łuchow zimnym tonem. — Jakie to ma znaczenie, co o nich sądzę. Dla mnie są już martwymi ludźmi.

Oczy Khuwa błyszczały gorączką jak oczy szaleńca.

— Nie — potrząsnął głową energicznie — oni przetrwają. Mają mięśnie ze stali, a muszą walczyć z potworami o miękkich ciałach. Są samowystarczalni i doskonale zgrani... — Spojrzał na świetlistą kulę. — Oni nie tylko przetrwają. W tym prymitywnym i dzikim świecie okażą się prawdziwymi supermanami! Zwyciężą i otworzą nam drogę do nowych bogactw. Kto wie, co tam znajdziemy? Jakie źródła i złoża? Nie rozumiesz? Wszystko to przecież dla dobra i wielkości Związku Radzieckiego!

— To żołnierze, majorze, a nie pionierzy, osadnicy. Ich podstawowym zadaniem nigdy nie będzie tworzenie nowego ładu, ale zabijanie i burzenie starego porządku!

Entuzjazm Khuwa nie udzielił się opanowanemu naukowcowi.

— Nie, ich podstawowe zadanie to samoobrona i zabezpieczenie Bramy. Kiedy ją otworzą, nic nie ma prawa przejść przez nią. Jeśli w nią wejdziemy — Brama będzie miała charakter „jednostronny" w pełnym tego słowa znaczeniu.

— A co z nimi? — Głos Łuchowa stał się lodowaty. — Wiedzą, że nie będą mogli wrócić?

— Nie, nie wiedzą — Khuw odpowiedział błyskawicznie. — I nikt nie powinien im o tym powiedzieć. Lepiej przyjmij do wiadomości, że nikt nie ma prawa im tego uświadomić. Obowiązują ciebie w tym względzie specjalne instrukcje.

— Instrukcje? — Dyrektor nie ukrywał oburzenia. — Mnie?

— Zatwierdzone przez najwyższe władze. Najwyższe, Wiktorze. Jeśli chodzi o tych żołnierzy, tylko ja jestem ich zwierzchnikiem. Z nabożeństwem sięgnął do kieszeni i wręczył Łuchowowi kopertę oznakowaną pieczęcią Kremla. — A co do ich powrotu: jak na razie, to niemożliwe, niestety. Lecz kiedyś...

— Kiedyś? — Łuchow spojrzał na kopertę, ale jej nie otworzył. — Myślisz, że wystarczy na to ich życia, człowieku? Bramę mamy w zasięgu ręki od dwóch lat i czego się nauczyliśmy? Niczego! Poza tym, że prowadzi do krainy nieziemskich potworów! A to niezbyt zachęcający punkt wyjścia. Nie potrafimy nawet kontaktować się z drugą stroną...

— To będzie pierwsze przedsięwzięcie — wtrącił oficer KGB — Linia telefoniczna.

— Słucham?

— Wiadomo przynajmniej — wyjaśnił Khuw — że światło i dźwięk rozchodzą się wewnątrz sfery we wszystkich kierunkach. Ludzie mogą się tam komunikować bez przeszkód. Dźwięk, choć zniekształcony, wydostaje się na zewnątrz sfery. Jeśli zawiedzie linia telefoniczna, w regularnych odstępach rozstawione zostaną urządzenia odbiorczo-przekaźnikowe. Dzięki nim dowiemy się, jak tam wygląda.

— Wciąż uciekasz od sprawy ich powrotu.

— Zgoda! — Czyngiz stracił panowanie nad sobą. — Nie znam właściwej odpowiedzi. Ale, jeśli w ogóle śmieje możliwość rozwiązania tego problemu, poradzimy sobie z nim. Choćby wymagało to wybudowania nowego Perchorska!

— Drugiego Perchorska? — Łuchow cofnął się zdumiony. Poczuł, że zaschło mu w gardle. — Nigdy nie rozważałem...

— Nawet cię o to nie podejrzewałem, dyrektorze. — Khuw skrzywił się. — Zacznij więc o tym myśleć. Przestań się jednak tym wszystkim tak bardzo przejmować. Jeśli już musisz — zacznij się martwić o siebie i swoich ludzi. Znajdziesz w tej kopercie rozkazy na wasz temat. Niedługo po odejściu mojego plutonu podążycie ich śladem!

Łuchow musiał chwycić się poręczy, żeby zachować równowagę. To, co usłyszał, odebrało mu wszelkie siły. Khuw nie czekał, aż tamten dojdzie do siebie. Odwrócił się i zaczął wchodzić po schodach wewnątrz stalowego tunelu. Zanim jednak znikł na wyższym poziomie, Łuchow odzyskał głos.

— A jakim to sposobem tobie udało się uniknąć takiego losu, majorze! — krzyknął za odchodzącym.

Khuw zatrzymał się i wolno zwrócił na dyrektora beznamiętny wzrok.

— Mylisz się — potrząsnął głową. — Nie widziałem po prostu powodu, dla którego mógłbym cię zapoznawać z rozkazami dotyczącymi mojej osoby. Sądzę, iż ucieszy cię wiadomość, że za dziesięć dni rozstaniemy się... na jakiś czas, Wiktorze. Idę razem z moimi komandosami!

Całej tej rozmowie przysłuchiwał się ukryty za najbliższym załamaniem schodów Wasyl Agurski. Kiedy do jego uszu dobiegły odgłosy zbliżających się kroków Khuwa, mężczyzna odwrócił się na pięcie i pośpieszył ma wyższe poziomy. Zrobił to bezszelestnie w swych gumowych, laboratoryjnych pantoflach. Poza tym poruszał się teraz ze zręcznością kota. A raczej wilka. Był równie silny, podstępny i żarłoczny.

A jednak nie zdołał umknąć przed bystrymi oczami Khuwa. Major KGB dostrzegł tylko cień jego sylwetki, ale to wystarczyło, żeby poczuł się zaniepokojony. Coś dziwnego wiązało się z osobą Wasyla. Czyngiz nie potrafił wskazać źródła tego niepokoju.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, hałas dzwonków alarmowych wyrwał Khuwa z najgłębszego snu. W pierwszym momencie przeraził się. Odprężył się jednak, kiedy dotarło do jego świadomości, że rumor ten nie ma nic wspólnego z systemem Łuchowa.

Zaczął się pośpiesznie ubierać. Ktoś mocno zapukał do drzwi. Major otworzył i wpuścił do środka grubego Pawła Sawinkowa, który słaniał się na nogach, zlany potem.

— Och majorze! — wysapał. — Towarzyszu! O mój Boże! Boże!

— Uspokój się, człowieku — warknął Khuw. — Masz, siadaj. — Pchnął Sawinkowa na stojące w pobliżu krzesło.

Grubas opadł na nie bezwładnie i zaczął nieopanowanie drżeć.

— Proszę... proszę mi wybaczyć! To tylko...

Khuw lekko uderzył go otwartą dłonią w policzek. Potem jeszcze raz, i następny.

— Oprzytomniej człowieku i powiedz wreszcie, co się stało!

Na rumianej twarzy Sawinkowa palce Khuwa pozostawiły białe ślady. Z oczu espera zaczęła znikać gorączka i odzyskiwał poczucie rzeczywistości. Major zaczął się obawiać, że grubas zaleje się za chwilę łzami. Obiecał sobie, że tym razem przyłoży mu prosto w zęby.

— No, słucham! — zachęcił szorstko.

— Roborow i Rublow — jęknął przybysz — nie żyją!

— Co takiego? — Khuw nie wierzył własnym uszom. — Nie żyją? Jak to się, na miłość... Wypadek? — pytał oszołomiony.

— Wypadek? — Sawinkow skrzywił się. — Och, nie — chlipał — to nie był żaden wypadek. Kiedy to się działo, obudziły mnie ich myśli. Zupełny koszmar!

— Co z ich myślami? — zapytał major.

— Coś... coś ich zaszokowało. Byli w pokoju Poborowa. Sądzę, że grali w karty i Ro-

borow zdecydowanie przegrywał. W pewnym momencie wyszedł do toalety. Kiedy z niej wrócił... Rublow był już prawie martwy. Coś trzymało go za gardło! Roborow próbował to odciągnąć, a stwór odwrócił się w jego stronę! Boże, czułem jak on umiera! On... on...

— Dalej, człowieku!

— Kiedy tamto patrzyło na Poborowa, ten wrzeszczał: „To nie może być prawda! Mamo pomóż mi! Słodki Boże, wiesz, że zawsze cię kochałem! Nie pozwól, żebym zginął w ten sposób!" I to mnie zbudziło. Widziałem też jego śmierć!

— Co widziałeś? — Khuw nie wytrzymał i ścisnął twarz Sawinkowa w swoich dłoniach.

— Boże, nie wiem! Nie potrafię nawet powiedzieć, czy to był człowiek. Coś podobnego w swym kształcie... Przypominał stwora z laboratorium Agurskiego!

Khuw poczuł, że przenika go zimny dreszcz. Siłą postawił Sawinkowa na nogi.

— Zaprowadź mnie tam — powiedział kategorycznie. — Mówiłeś, pokój Roborowa? Wiem, gdzie to jest. Byłeś tam? Nie? W takim razie, czy tam w ogóle ktoś poszedł? Nie wiesz? Skończony głupiec! Chodźmy tam natychmiast!

Byli już na korytarzu, kiedy umilkły dzwonki alarmowe. Czyngiz deptał Sawinkowowi po piętach, nie pozwalając mu się ociągać.

— Dopiero teraz mogę usłyszeć własne myśli! Jesteś pewien, że nie pamiętasz komu o tym powiedziałeś? Przybiegłeś z tym prosto do mnie, wbrew wszelkim regulaminom? Jeśli to kawał... — mówił do nieprzytomnego ze strachu mężczyzny.

Pod drzwiami pokoju Poborowa stał zaspany, zdenerwowany żołnierz. Zasalutował, jak tylko Khuw i Sawinkow znaleźli się w zasięgu jego wzroku. Minęli szybko wartownika i weszli do środka. Tam natknęli się na dwóch innych telepatów oraz na oficera KGB, Gustawa Litwę. Cała trójka stała jak wmurowana, spoglądając z przerażeniem na podłogę. Khuw podążył za ich wzrokiem.

„Jakiż on podobny do Sawinkowa!" — pomyślał Khuw, krzywiąc się z obrzydzeniem. A raczej — był podobny, bo teraz zaznaczyły się wyraźne różnice między żyjącym telepatą, a leżącym u ich stóp Rublowem. Cokolwiek go zabiło, zdarło mu połowę twarzy. Nie miało to z pewnością nic wspólnego z dziełem chirurga operującego skalpelem. Brakujący fragment skóry został po prostu wyszarpnięty silną ręką. W dodatku zmarły miał rozdarte gardło. Wystawały z niego dziwnie suche, przerwane arterie. Major zastanawiał się, gdzie podziała się krew tego nieszczęśnika. Być może nawet wymamrotał coś na ten temat, bo naraz usłyszał u swego boku pytający głos.

— Słucham? — odezwał się Gustaw Litwa.

— Nic ważnego — powiedział wyraźnie major. — Przyprowadź tu Wasyla Agurskiego, Gustawie. Chcę wiedzieć, jakie zwierzę mogłoby pozostawić po sobie tego typu ślady. Tylko on zna się na tych sprawach.

— Drugi nie wygląda lepiej, majorze. — Litwa, zadowolony, że może opuścić to makabryczne miejsce, krzyknął już spoza drzwi.

— Drugi?

— Roborow.

— Był twoim przyjacielem, o ile się orientuje. — Nareszcie umysł Czyngiza zaczął sprawniej funkcjonować.

— Tak — odparł tamten — był.

Ukryty za blatem przewróconego stołu leżał drugi trup. Wokół ciała Andrieja Rublowa walało się kilkanaście pokrwawionych kart do gry. Khuw bezceremonialnie odsunął przyglądających się telepatów i sam się nad nim pochylił. Twarz Rublowa wyglądała jak maska. Zastygł na niej wyraz śmiertelnej grozy. Z jego ust wysunął się sztywny teraz, trupio siny język. Jego podłużna głowa była zmiażdżona jakby gigantycznymi, zwierzęcymi szczękami. Czaszka zapadnięta po bokach, a przez niewielkie otwory sączyły się z niej strużki krwi i płyny wypełniające mózg. Czyżby to były ślady zębów?

— Dobry Boże! — westchnął Khuw.

— Coś rozszarpało jego ciało! Niech pan spojrzy na jego ramiona, majorze!

Złamania były otwarte. Ktoś zrobił to najwidoczniej z łatwością, bo nie zauważyli właściwie żadnych śladów walki. Na korytarzu znajdował się aparat telefoniczny. Khuw wywołał oficera dyżurnego w Centrum Systemu Bezpieczeństwa Łuchowa. Kiedy tamten się zgłosił, zasypał go pytaniami.

— Kto ci pozwolił spać na posterunku?

— Kto mówi? — Zapytał opanowany, przytomny głos. Khuw poznał, że należy on do najbardziej szanowanych naukowców spośród ludzi Łuchowa.

— Tu major Khuw — odrzekł nieco uspokojony. — Wygląda na to, że mamy nieproszonego gościa. To morderca.

— Ma pan na myśli intruza? — Głos po drugiej stronie stwardniał. — Skąd pan dzwoni, majorze?

— Jestem na korytarzu w pobliżu kwater KGB. Dlaczego pan pyta?

— To ma być ktoś z zewnątrz czy spoza Bramy?

— Dzwonię — parsknął Khuw — żeby się dowiedzieć!

— W takim razie powinno być dla pana oczywiste — nadeszła jadowita odpowiedź — że mógł wtargnąć tylko z zewnątrz! W przeciwnym razie, wszyscy bylibyśmy już dawno żywymi pochodniami!

— Ja...

— Słuchaj pan. Nie odrywam oczu od ekranów, które mam tu przed nosem. Poza niepokojem wywołanym przez te cholerne dzwonki, tu, na dole, wszystko jest w absolutnym porządku. Czy to jasne?

Khuw z furią rzucił słuchawkę na widełki. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w czar-

ny aparat. Nie miał żadnego punktu zaczepienia.

Wrócił do pokoju Rotorowa i zwrócił się do przeszukujących pomieszczenie mężczyzn.

— Zostawcie to. Resztę załatwią fachowcy. Dajcie mi znak, jeśli zauważycie cokolwiek nienormalnego.

Osobne polecenie wydał kulącemu się w kącie Sawinkowowi.

— Idź na koniec korytarza i wyciągnij z łóżek tych leni, moich ludzi z KGB. Chcę ich tu widzieć za pięć minut, zrozumiałeś?

Khuw wyszedł razem ze swoimi podwładnymi i zamknął za sobą drzwi. Już na zewnątrz zderzył się z nadchodzącym Łuchowem.

— Nie wchodź tam — ostrzegł major, widząc że tamten ma zamiar nacisnąć klamkę. Dyrektor spojrzał na niego zaskoczony, ale wyraz twarzy Khuwa powstrzymał go od niepotrzebnych protestów.

— Co tam się stało?

— Morderstwo, jak sądzę.

— Jak sądzisz?

— Wiem tylko, że znaleziono dwa trupy. Można to nazwać zbrodnią, przy założeniu, że zabójcą jest człowiek.

— Czy to naprawdę wygląda aż tak źle? Skontaktowałeś się z Centrum? — Łuchow myślał intensywnie.

— To była moja pierwsza reakcja.

— No i...?

— No i nic — zniecierpliwił się oficer. — Jeśli to coś spoza Bramy, musi być niewidzialne.

Wkrótce nadszedł Agurski. Khuw wlepił w niego wzrok. Wydawał się jakby... większy. Oczywiście, Agurski garbił się jak zwykle, ale gdyby się wyprostował...

Naukowiec miał na sobie nocną odzież i nosił ciemne, nieprzejrzyste okulary.

— Kłopoty z oczami? — zapytał Czyngiz z zainteresowaniem.

— Słucham? — Agurski spojrzał na niego. — Ach, tak! To mi się zdarza, powraca od czasu do czasu. Fotofobia. Wszystko przez to ciągle przebywanie w pomieszczeniach pozbawionych naturalnego oświetlenia.

Khuw miał dosyć zmartwień, żeby przejmować się na dodatek zwykłymi dziwactwami.

— Tam, w środku — wskazał głową drzwi kwatery Poborowa — znajdziesz dwóch martwych ludzi.

Agurski nie był wstrząśnięty tą wiadomością. Otworzył drzwi. Oficer KGB w ostatniej chwili przytrzymał go, chwytając jedną ręką za ramię. Pod palcami poczuł napięcie twardych, silnych mięśni. Dziwne, w porównaniu z nieporadnymi ruchami i postu-

rą naukowca.

— Oczekuję, że powiesz mi, kto lub co mogłoby to zrobić. Chcę posłuchać twoich przypuszczeń. Gustawie, idź z Wasylem. Lepiej, żeby nie zostawał sam.

Khuw został na korytarzu i opowiedział Łuchowowi wszystko, co sam wiedział o całej sprawie. Zaraz potem Litwa i Agurski wyszli z pokoju. Gustaw był śmiertelnie blady, ale Wasyl nie okazywał śladu wzburzenia.

— Jakieś wnioski? — zapytał major.

— Jedno jest oczywiste: zabójca charakteryzuje się nadzwyczajną siłą. Prawdziwa bestia! — odparł Agurski.

— Bestia? — powtórzył Łuchow podejrzliwie.

— Proszę nie brać tego, co mówię dosłownie, dyrektorze. Ale, tak — to musiała być ludzka bestia. Bardzo dużych rozmiarów i bardzo silny... człowiek.

— A ślady zębów na czaszce Roborowa? — wtrącił Khuw.

— To złudzenie — stwierdził stanowczo Wasyl. — Jego czaszka została zmiażdżona jakimś twardym, ostrym narzędziem.

— Coś tu się jednak nie zgadza. Jeden z moich superpercepcjonistów twierdzi, że „widział" mordercę. A raczej zabójcę, bo miał on więcej cech potwora niż człowieka. Koszmarnego potwora! — Czyngiz coś sobie przypomniał.

Agurski już zbierał się do odejścia, ale naraz uważnie przyjrzał się majorowi, jakby chciał sprawdzić, czy tamten mówi poważnie.

— Powiedziałeś, że „widział" tego, co to zrobił?

— To telepata, Sawinkow. Zobaczył go w swoim umyśle, choć niezbyt wyraźnie.

— Ach, tak! — Naukowiec skinął głowa. — No cóż, moja dziedzina nauki uwzględnia wyłącznie fakty i tylko na nich się opiera. Metafizyka nie należy do moich silnych stron. Czy jestem wam jeszcze potrzebny? Wzywają mnie inne obowiązki...

— Ostatnia sprawa — przerwał mu Khuw. — Powiedz, co zrobiłeś z ciałem kreatury, którą się opiekowałeś?

— Co z nim zrobiłem? Obfotografowałem je, dokładnie przestudiowałem, a na koniec spaliłem.

— Spaliłeś?

— Oczywiście. To przecież też był intruz zza Bramy. A tak do tej pory postępowaliśmy ze wszystkimi przybyszami, więc... — Agurski wzruszył ramionami.

— Dobrze, już dobrze Wasylu. — Łuchow poklepał go po ramieniu. — Miałeś do tego pełne prawo. Dziękujemy ci na razie.

— Zawołamy cię, gdyby zaszła taka konieczność — krzyknął za nim Khuw. — Boże, ten człowiek przyprawia mnie o mdłości! — dodał w stronę Łuchowa.

— Całe to miejsce — odparł dyrektor — działa na mnie w ten sposób.

Sawinkow przyprowadził specjalistów. Khuw nie powitał ich zbyt przyjaźnie. Wygląd-

dali niechlujnie i byli nie ogoleni. Major krótko wprowadził ich w sprawę i powiedział, czego od nich oczekuje. W czasie, kiedy z nimi rozmawiał, Sawinkow gdzieś się ulotnił. Nie miał zamiaru czekać, aż Khuw obciąży go nowym zadaniem. Za chwilę jednak sam wrócił. Ale w opłakanym jakimś stanie.

Nogi pod nim drżały, z gardła wydobywał mu się bolesny charkot i było widać, że nie panuje nad swoimi reakcjami.

— Pomocy, majorze! Ja... ja... o Chryste!

— Co się stało tym razem, Paweł? — Khuw energicznie potrząsnął agentem.

— Leo... nie…

— Leo Grenzel? — Mówili o kolejnym telepacie. — Co z nim?

— Cały czas się zastanawiałem, dlaczego Leo nie odkrył obecności intruza — szlochał Sawinkow — i poszedłem do jego pokoju, żeby go obudzić. Drzwi były otwarte... wszedłem... a tam... — Khuw i Łuchow wymienili spojrzenia. Wyrażały one dokładnie to samo — niedowierzanie i przerażenie! Sawinkow rozumował jak najbardziej logicznie. Gdyby z Grenzlem było wszystko w porządku, już dawno by tu trafił. Obaj mężczyźni pozostawili opierającego się o ścianę telepatę samemu sobie i pobiegli w głąb korytarza.

W pokoju Grenzla powtórzyła się sceneria, jaką Khuw znał z kwatery Roborowa. Telepata miał skręcony kark, jego rysy nabrały nienaturalnej ostrości, a szeroko otwarte oczy były bardziej niż zwykle szare i głębokie.

Khuw wypadł z pokoju ze ściśniętym gardłem. Nie był w stanie słuchać dłużej odgłosów, jakie wydawał okupujący łazienkę Łuchow.

Ogród Rezydenta przypominał biblijny Raj. Położony na jednym ze szczytów zachodniej części górskiego masywu, zajmował wydrążoną w nim dolinkę. Miał nie więcej niż trzy akry powierzchni. Z trzech stron otaczały go naturalne wzniesienia, z jednej zaś kończył się stromym urwiskiem. Każdy metr kwadratowy Ogrodu był pieczołowicie zagospodarowany: klomby, warzywniki i tryskające źródełka otaczały urocze, małe oranżerie. Woda pozwalała rozwinąć się tu bujnej roślinności. Co dziwne, tylko niektóre okazy tutejszej flory nie miały odpowiednika w ziemskiej przyrodzie. Zdecydowana większość kwiatów, drzew i krzewów wyglądałaby równie naturalnie przy każdym angielskim domu. Ich najlepszą opiekunką była matka Harry'ego Juniora, ale ze względu na zdrowie nie zawsze mogła poświęcić im tyle czasu, ile by sobie życzyła.

Doskonale zastępowali ją w tym Wędrowcy. Z niegasnącym zapałem doglądali też wszystkich innych spraw związanych z właściwym funkcjonowaniem osiedla.

Dom Rezydenta stał w samym centrum dolinki. Zbudowany z białego kamienia, przykryty czerwonym dachem sprawiał wrażenie prostego i eleganckiego. Przed jego frontonem założono basen z ciepłą wodą — Harry Junior często z niego korzystał. Jego

Wędrowcy (ta nazwa odnosiła się do przeszłości, bo nie musieli już przenosić się z miejsca na miejsce) mieszkali w podobnych, choć mniejszych domkach. Wszystkie posiadały centralne ogrzewanie. W oknach błyszczały prawdziwe szyby, a i wyposażenie wnętrz było zaskakująco nowoczesne.

Rezydent pomógł im wznieść szklarnie, które dostarczały kilkunastu gatunków świeżych warzyw i owoców. Najbardziej doświadczony ogrodnik pozazdrościłby obfitości i jakości plonów. Rośliny, które nawet w najmniejszych dawkach nie znosiły sztucznego oświetlenia hodowano przy pomocy promieni ultrafioletowych. Oczywiście, znano tu i normalną elektryczność. Prąd wytwarzały małe, ale wyjątkowo wydajne generatory napędzane wodą bijącą z większych źródeł.

— To naprawdę imponujące dzieło! — powiedział Harry Keogh, kiedy syn oprowadzał go po swoim królestwie. — Zdumiewające, ile zdążyłeś tutaj zrobić przez ten czas.

Podobne słowa wypowiadał każdy, kto po raz pierwszy wstępował na teren ogrodu. To samo Rezydent usłyszał z ust Zek Föener i Jazza Simmonsa.

— To niezupełnie tak — zaprotestował teraz skromnie. — Nie byłbym w stanie dokonać tego sam. A poza tym wcale nie planowałem tego z takim rozmachem. Chciałem po prostu żyć z matką w spokoju. Musiałem jej jednak zapewnić odpowiednie do tego warunki. Dla mnie to wciąż tylko kawałek ziemi. O całą resztę zadbali sami Wędrowcy. Dlaczego nie miałem im pomóc? Ale to oni są prawdziwymi twórcami Ogrodu.

— A zabudowa? — zapytał Harry nie przekonany. — Tak, wiem, że to zwykłe bungalowy, ale ich urok jest niepowtarzalny! Chcesz powiedzieć, że i one wyszły spod rąk tych jaskiniowców?

— Troglodyci to też ludzie, ojcze. — Harry Junior uśmiechnął się wyrozumiale. — Wampiry nigdy nie dały im szansy normalnego rozwoju, to wszystko. To prawda, że są tak prymitywni jak australijscy Buszmeni, ale uczą się bardzo chętnie i szybko. A to pozwala nadrobić wiekowe zaległości w przyśpieszonym tempie. Poza tym, szanują mnie i są mi wdzięczni. Nie pozwalam im czuć się gorszymi. To dla nich nowość! A, co do architektury — no cóż, to rzeczywiście niecodzienna historia. Projekty pochodzą od pewnego berlińczyka, który zmarł w 1933 roku. Jego talent rozwinął się po jego śmierci. Jestem nekroskopem, tak jak ty, ojcze! Dzięki temu zabudowa mojego Ogrodu jest rzeczywiście niepowtarzalna. Zresztą, wszystkie udogodnienia, które w nim znajdziesz zostały zaprojektowane przez zmarłych. Często biją na głowę ziemskie osiągnięcia. Spójrz, jak daleko w tyle ty sam pozostałeś. Zastanów się, ile dobrego mogłeś zrobić ze swoimi możliwościami w ciągu ośmiu długich lat zamiast — wybacz ostre słowa — marnować ten czas na poszukiwanie mnie i mojej matki! Tej straty nie da się nawet ocenić.

— Widzisz — powiedział w końcu z rozpaczą w głosie Harry — to zupełnie inna sprawa. Nie sądzę, że masz prawo mnie oskarżać w ten sposób. Dla mnie, w moim umyśle, mój syn jest teraz ośmioletnim chłopcem. Często wyobrażałem sobie, jak wyglądasz

i przyzwyczaiłem się do tego wyimaginowanego wizerunku. Pomyśl rozsądnie! Uważasz, że łatwo mi jest pogodzić się z tym, co tu znalazłem? — potrząsnął głową przygnębiony.

— Starałem się już ci to wyjaśnić...

— Co? W jaki sposób mnie oszukałeś? — Harry nie ukrywał bolesnej ironii. — Jak to zabawiałeś się nie tylko z przestrzenią, ale i z czasem? Wszystko rozumiem: cofnąłeś się na długo przed swoje urodzenie i poza moment, w którym cię straciłem: praktycznie rzecz biorąc — dorastaliśmy równocześnie! Ja tam — na Ziemi, a ty — tutaj. Ile ty właściwie masz lat?

— Dwadzieścia cztery, Harry.

— Twoja matka jest w tej chwili piętnaście lat ode mnie starsza. My sami moglibyśmy być braćmi! Widzę, że dobrze się nią opiekujesz. Powinienem był jednak o tym wiedzieć! Jak mogłeś zostawić mnie w takiej niepewności, synu?!

— Czy, gdybym się odezwał, byłbyś w stanie o nas zapomnieć, Harry? Nie chciałem po prostu przedłużać agonii naszych więzów.

— Jeszcze niedawno mówiłeś do mnie „ojcze", ale mniejsza o to! Jesteś jak... obcy w złotej masce. Nie wiem nawet, jak wyglądasz. Tak, rozmawiamy różnymi językami! No cóż, widocznie tak miało być...

— Wiem, że cię zraniłem. Przez cały czas czułem twój ból i rozczarowanie — westchnął Harry Junior.

— Ale znosiłeś to jakoś.

— Mogłem wrócić, a jednak... w moim życiu wydarzyło się coś takiego, że... Pewnego dnia zrozumiesz, że nie mogłem postąpić inaczej.

Keogh wyczuł w jego głosie szczery smutek. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że aureola smutku właściwie nie opuszczała jego syna. Opadło z niego całe wzburzenie. Znów skinął głową, a jego własny głos złagodniał.

— W takim razie zdradź mi, w jaki sposób się tu dostałeś.

Harry Junior momentalnie zauważył zmianę, jaka zaszła w ojcu. On również się odprężył.

— Pytasz o podróż w czasie? Przecież ty też to robiłeś.

— Tak, ale tylko wtedy, gdy byłem pozbawiony ciała. Byłem duchem — ty zaś nie możesz przestać być materią. Möbius twierdzi, że to niemożliwe. Materialna ingerencja w tym wymiarze wywołałaby zbyt wiele paradoksów.

— I ma rację — zgodził się Rezydent. — W czysto fizycznym pojęciu, w całym fizycznym wszechświecie, byłoby to nie do zrobienia.

— Chcesz powiedzieć, że dotarłeś do innych wszechświatów?

— Sam znasz przynajmniej jeden z nich.

— Kontinuum Möbiusa? Jednakże...

— Coś ci powiem — wtrącił Harry Junior. — Ty zrobiłeś z przestrzenią to samo, co Möbius zrobił ze swoją wstążką — skręciłeś ją o pół obrotu. Ja też odkryłem ten sposób. Spójrzmy jednak prawdzie w oczy — moje talenty przerastają twoje. Tylko dzięki temu potrafię zachować fizyczną integralność po przekroczeniu granicy czasu. I wyjść z nią na zewnątrz. Musisz przy tym wiedzieć, że Ogród to jedyne miejsce...

Harry nie przerywał. Uważnie wsłuchiwał się w słowa Rezydenta. Zrozumiał, co przeżywał Darcy Clarke mówiąc, że w jego towarzystwie czuje się jak w towarzystwie przybysza z innej planety. Czyżby podobna przepaść leżała między nim a Harrym Juniorem?

— Poczekaj synu — powiedział oszołomiony. — Czy można cię w ogóle zranić?

— Zranić?

— No, fizycznie, oczywiście.

— O, tak! — Rezydent westchnął ciężko. — Jestem wciąż tylko ułomnym człowiekiem. Po najbliższym zachodzie słońca okaże się, na ile wytrzymałe i odporne na ciosy jest moje ciało.

— O czym ty mówisz? — Keogh zmarszczył brwi.

— Wampiry mają swoich szpiegów, a ja — swoich. Możemy się spodziewać, że następna noc nie będzie tak spokojna jak poprzednie. Od miesięcy to miejsce jest obserwowane z wielką skrupulatnością. Z wyżyn — oczami nietoperzy, z dołu — uległych Trogów. Sami Lordowie uparcie usiłują telepatycznie wniknąć w mój umysł, a jestem pewien, że już dawno im się to udało z moimi Wędrowcami. Zek Föener tylko potwierdziła moje podejrzenia, co do ich wyraźnie wzmożonej aktywności. Całe szczęście, że ten, kto podsłuchuje sam może zostać podsłuchany!

— Ach tak? — Nachmurzył się Keogh. — Wiem, że już nieraz tego próbowali. Zawsze bezskutecznie. Dlaczego tym razem wydaje ci się to takie groźne?

— Bo udało im się zjednoczyć. Ich połączone siły są niebagatelne. Razem dysponują prawdziwą armią! Trzy tuziny wojennych kreatur, niezliczone zastępy Trogów i uzbrojeni w kastety porucznicy — nie mogę sobie pozwolić na lekceważenie takiej potęgi. No i wszyscy Lordowie...

— Ależ — Harry nie widział żadnego problemu — możesz w każdej chwili po prostu stąd odejść. Do następnego zachodu wszyscy zdążymy się przenieść daleko, w bezpieczne miejsce...

— Nie — potrząsnął głową Rezydent. — Ty możesz. I Wędrowcy, i troglodyci, Zek, Jazz — wy macie do tego prawo. Ale nie ja. Tutaj jest moje miejsce!

— Będziesz się bronił? Nic z tego nie rozumiem.

— Zrozumiesz, ojcze. Już niedługo zrozumiesz...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sekret rezydenta — Karen w ogrodzie — Wojna!

Słońce zaczęło blednąć na niebie, a wysokie szczyty lśniły złotym blaskiem, kiedy Rezydent zwołał nadzwyczajne zebranie. Na placu przy domu mieli się stawić wszyscy, którzy mieszkali w Ogrodzie albo tylko korzystali z jego dóbr. On sam stał na balkonie swojego domostwa i każdego przybyłego, Troga czy Wędrowca, witał z równym szacunkiem. Przez krótki czas jego matka dzieliła z nim obowiązki gospodarza, ale zaraz zniknęła w głębi pokoju. Zawsze miła, słodka i szczęśliwa w błogiej nieświadomości, jak dobra wróżka. Harry Keogh unikał jej wzroku, choć i tak nie mogła go rozpoznać, bowiem duch jego władał ciałem Aleca Kyle'a.

— Przyjaciele, nadeszła chwila prawdy. — Rezydent rozpoczął swe przemówienie. — Najwyższy czas, żebyście podjęli kilka ważnych decyzji. Przesądzą one o waszym losie. Nie zrozumcie mnie źle — nie byliście przeze mnie dotąd oszukiwani, ale też nie wiecie wszystkiego. No cóż, pora uzupełnić luki. Najpierw jednak parę słów na temat zbliżającej się konfrontacji. Jestem pewien, że już o niej wiecie.

Niektórych z was ten konflikt w ogóle nie dotyczy, przybyliście tu wbrew własnej woli. W każdej chwili mogę was stąd zabrać. Zek, Jazz, Harry — do was mówię.

Wy, Wędrowcy — możecie kontynuować swą podróż. Znacie drogę. Zdążycie jeszcze znaleźć bezpieczne schronienie w Słonecznej Krainie. Przejdźmy do Trogów, wy również możecie wrócić do swoich jaskiń w Gwiezdnej Krainie. Wszyscy bowiem musicie zdawać sobie sprawę z jednej rzeczy: tym razem wampiry uderzą skuteczniej niż kiedykolwiek.

W dolinie rozległ się niski szum zdumionych szeptów.

Harry, Jazz i Zek spojrzeli po sobie rozczarowani. Nagle z tłumu wybił się ostry głos młodego Wędrowca.

— Ale dlaczego. Rezydencie? My też jesteśmy silni. Mamy broń. Potrafimy zabijać wampiry! Dlaczego nas od siebie odpychasz?

Harry Junior spojrzał w jego kierunku.

— Czy wampiry są waszymi wrogami?

— Tak! — padła chóralna odpowiedź. — Zawsze nimi byli! — krzyknął młodzieniec.

— I chcecie ich zabić?

— Tak!

Rezydent skinął głową.

— Co z wami, troglodyci? Były czasy, kiedy poddańczo służyliście swym Lordom. Czy teraz zdecydujecie się powstać przeciwko nim?

Po krótkiej, burzliwej dyskusji wystąpił ich przywódca.

— Dla ciebie. Rezydencie, zawsze! Potrafimy odróżnić dobro od zła, a ty jesteś dobrem.

— A ty, Harry — ojcze? Nie dawałeś wampirom chwili spokoju w twoim świecie. Czy zawsze tak samo ich nienawidzisz?

— Po krzywdach, jakie wyrządzili ludziom — odparł Keogh — nie przestanę ich nienawidzić do końca życia!

Na koniec Rezydent spojrzał w stronę Zek i Jazza.

— Mogę was stąd zabrać i przenieść tam, skąd przyszliście. Nawet więcej: mogę was zanieść w dowolny punkt kuli ziemskiej, czy to jasne? Zaczniecie nowy żywot tam, gdzie naprawdę chcecie. Wybór należy do was.

Popatrzyli na siebie, ale nie musieli zastanawiać się nad odpowiedzią.

— Nie spieszy się nam aż tak bardzo, żebyśmy nie mogli poczekać, aż rozprawisz się z wampirami. — Jazz odpowiedział w imieniu obojga. — Niedawno wybawiłeś nas z prawdziwych opresji, nie pamiętasz? Poza tym, mieliśmy już do czynienia z tymi łotrami. Jak mogłeś przypuszczać, że się nas pozbędziesz?

— Pozwólcie, że coś opowiem. Kiedy zaczynałem się tu urządzać i pomagało mi w tym tylko kilku Trogów — znalazłem wilka. Było mi go żal, ponieważ reszta stada odwróciła się od niego i mocno go pogryzła. Był ledwie żywy, wręcz umierający, jak mi się wtedy zdawało. Wciąż nie znałem do końca waszego świata i nie rozumiałem spraw, które teraz są dla mnie oczywiste. W każdym razie, zaopiekowałem się biednym zwierzęciem, odkarmiłem je i wyleczyłem z ran. Wydobrzał w zaskakująco krótkim czasie, a ja sądziłem, że ocaliłem mu życie. W rzeczywistości jednak nie pozwoliła mu umrzeć bestia, którą w sobie nosił!

Wokół panowała idealna cisza. Harry zorientował się nagle, że bezwiednie zbliżył się do balkonu o dobrych kilka kroków. W jego oczach pojawił się głęboki niepokój.

— Mówiłem ci, ojcze — ciągnął Rezydent — że miałem swoje powody, dla których nie mogłem do ciebie wrócić. Z tych samych powodów muszę tu teraz zostać i bronić swojego miejsca na tej ziemi. Wszyscy byliście zgodni, że trzeba walczyć z wampirami. Nienawidzicie ich wszystkich! W takim razie nie mam prawa prosić was o pomoc prze-

ciwko nim.

— Harry... — zaczął jego ojciec, ale Rezydent nie pozwolił mu skończyć.

— Oto w jaki sposób wilk odpłacił mi za moje serce — powiedział i jednym ruchem ściągnął swoją złotą maskę.

Zasłaniała ona twarz młodego Harry'ego Keogha. Harry Senior nie miał żadnych wątpliwości, że oto stoi przed swym rodzonym synem. Tylko, że oczy tamtego świeciły w blasku zachodzącego słońca — krwistą purpurą.

Z tłumu podniosło się przeciągłe, niskie westchnienie. Przez jakiś czas wszyscy stali i patrzyli na przywódcę. Potem zaczęli między sobą szeptać i w końcu rozeszli się małymi grupkami. Wkrótce na placu pozostali tylko Harry Senior, Zek i Jazz.

„Są tu, bo po prostu nie mają dokąd pójść" — pomyślał Rezydent.

— Zaraz was stąd zabiorę — powiedział głośno.

— No jasne, to piekielnie proste! — parsknął sarkastycznie jego ojciec. — Zejdź tu w tej chwili, mam dosyć tego zadzierania głowy! Możesz sobie być Rezydentem, ale przede wszystkim jesteś moim synem. Ty, wampirem? Nie poznałem dotąd wampira, którego kochałoby tylu ludzi. Czy możesz mi to wyjaśnić?

Harry Junior, nie zwlekając, zszedł do czekającej na niego trójki.

— No cóż, to wszystko prawda. Różnię się trochę od nich, ale jednak jestem wampirem. Rzecz polega na tym, że mój umysł i moja wola są zbyt silne, żebym poddał się ulokowanemu w moim ciele zarodkowi. To ja jestem jego panem, a nie na odwrót. Od czasu do czasu próbuje wyrwać się spod mojej kontroli, ale jeszcze nigdy ze mną nie wygrał. W ten sposób wampir „pracuje" wyłącznie dla mnie, nie mając żadnego wpływu na otoczenie. Daje mi swoją siłę i wytrzymałość. W zamian ma miejsce do życia — swojego gospodarza. Musiałem się pogodzić tylko z jedną rzeczą — jestem bezbronny wobec słońca. Jego promienie ranią mnie i odbierają mi moc. Dlatego właśnie moja siedziba znajduje się tak blisko Gwiezdnej Krainy. Zwróć uwagę — moja siedziba! I moje terytorium. Nie pozwolę, żeby ktoś inny się tu panoszył!

Powiódł wzrokiem po zasłuchanych twarzach i uśmiechnął się łagodnie.

— To chyba wszystko, co miałem wam do powiedzenia. Mam nadzieję, że jesteście gotowi.

— Ja nie. — Harry potrząsnął głową zdecydowanie. — Zostaję do końca. Nie po to szukałem syna przez osiem lat, żeby teraz zostawić cię w takiej sytuacji — dodał gderliwie.

— Naszą odpowiedź też już znasz — odezwał się Jazz.

Za ich plecami zaszurały niepewne kroki Trogów. Najbardziej śmiały wystąpił przed innych.

— Byliśmy poddanymi Leska i nie mamy zamiaru wrócić pod jego okrutne rządy.

Bardzo lubimy pracować dla ciebie. Bez twoich rad znów będziemy niczym. Chcemy walczyć po twojej stronie, Rezydencie.

Na twarzy Harry'ego Juniora pojawiła się rozpacz. Troglodyci byli niezawodni w warunkach pokojowych, ale w walce na śmierć i życie nie wystarczą dobre chęci. Nagle za Trogami coś się zakotłowało. Nadeszli Wędrowcy. Zek i Jazz próbowali ich policzyć, ale zrezygnowali. Wyglądało na to, że powrócili w komplecie — nie brakowało ani jednego mężczyzny, kobiety czy dziecka.

— No tak — powiedział Harry Senior, rozglądając się po poważnych twarzach. — Bierzmy się więc do roboty.

Godzinę później Jazz Simmons zaczął wydawać Wędrowcom sprzęt ze zbrojowni Rezydenta. Był to doskonale zaopatrzony magazyn i znajdowała się tam wystarczająca ilość broni dla każdego, kto potrafił się z nią obchodzić. Jazz znalazł w nim nawet pół tuzina miotaczy ognia i okazało się, że wielu Wędrowców zna zasadę ich działania. Stwierdził też, że ma prawdopodobnie do czynienia z najdroższą amunicją na świecie, ponieważ większość naboi wykonana była z czystego srebra. Mimo, że niemal cały skład pochodził ze zwyczajnych kradzieży (przy czym Harry Junior był przekonany, że nikt nie ucierpiał zbyt dotkliwie na tych rabunkach), tę część uzbrojenia Rezydent został zmuszony zamówić i opłacić. Oczywiście złotem Wędrowców, którego było pod dostatkiem i nie należało w oczach tubylców do szczególnie cennych kruszców. Zachwycało swym kolorem, blaskiem, ale było zbyt ciężkie do przenoszenia z miejsca na miejsce i zbyt miękkie na wykonanie z niego przedmiotów użytkowych. Posiadało więc z ich punktu widzenia więcej wad niż zalet i rozstawali się z nim bez żalu.

Większość broni została wyprodukowana w Niemczech, Jazz jednak wybrał dla siebie solidny, radziecki karabin dużego kalibru. Miał on potężną siłę uderzenia i wymagał sporych umiejętności od jego posiadacza. Jazz wypróbował go i poczuł, że może mu zaufać.

— Mimo wszystko — powiedział potem Rezydentowi — o ile zdążyłem poznać skuteczność wojennych kreatur — mam wrażenie, że nie wystraszymy ich naszymi zabawkami.

— Miotacze ognia to już nie zabawki — odrzekł młody Harry. — I zapewniam cię, że wampirom nie spodobają się srebrne kule! Oczywiście, wiem czego się obawiasz — prawie czterdzieści wojennych bestii to nie jedna, ale... Widziałeś tamte granaty?

Jazz wziął do ręki jeden i zważył go w dłoni. Był wielkości pomarańczy i bardzo ciężki. Simmons spojrzał pytająco.

— Nigdy się z takimi nie spotkałem — powiedział.

— Amerykańskie. Niezwykle groźne, możesz mi wierzyć. Rozpryskują się na setki kawałków metalicznego fosforu!

Tymczasem Harry Senior użył przestrzeni Möbiusa (po raz pierwszy w tym świecie) i przeniósł na najwyższy szczyt dwóch bardzo ważnych Wędrowców. Byli oni ekspertami w posługiwaniu się wielkimi lustrami, którymi „łapali" ostatnie promienie zachodzącego słońca i odbijali je w dowolny punkt z nadzwyczajną precyzją. Poza tym zostali wyposażeni w broń maszynową i szybkostrzelne działka średniego kalibru. Zamierzali osłabić przy ich pomocy pierwsze uderzenie atakujących. Byli niezwykle dumni ze swego zadania, choć zdawali sobie sprawę, iż mają niewielkie szanse na powrót ze swych odpowiedzialnych stanowisk.

Harry wylądował z nimi na tym przyczółku i niemal od razu zauważył zbliżający się do niego czarny kształt. Choć dzieląca ich odległość wynosiła co najmniej dwie mile, bystre oczy Keogha rozpoznały powiększającą się z sekundy na sekundę sylwetkę. Nie było wątpliwości, nadlatywał potwór wampirów. Wędrowcy też go dostrzegli.

— Czy mamy go spalić? — krzyknęli, podbiegając do zwierciadeł.

— Jest tylko jeden — powstrzymał ich Harry. Instynkt ostrzegał go przed pochopnym działaniem. — Poczekajcie, aż stanie się jasne, że ma zamiar zaatakować Ogród.

Harry zostawił ich i zaczął szukać Rezydenta. Zanim go jednak odnalazł, natknął się na Zek. Stała nieruchomo z zamkniętymi oczami i czołem zmarszczonym w najwyższym skupieniu. Naraz potarła skroń trzęsącą się dłonią.

— Coś nie tak. Zek? — zapytał Harry.

— Nie, Harry — odparła, nie otwierając oczu. — Wszystko w porządku! Lady Karen przybywa tu, żeby się do nas przyłączyć. Będzie walczyła po naszej stronie, rozumiesz? Ma cztery wojenne kreatury, które tylko czekają na jej rozkazy. Na razie chce wiedzieć, czy nie grozi jej tu niebezpieczeństwo.

— Możemy jej zaufać?

— Znam ją dobrze, Harry. Jest zupełnie inna niż Lordowie.

Karen zbliżała się. Widać było, że się waha, że na coś czeka. Już wszyscy w Ogrodzie ją zauważyli. Nadbiegł Jazz Simmons.

— Co się dzieje? — zapytał zaniepokojony.

W tym samym momencie pojawił się Rezydent. Zek powtórzyła obu mężczyznom to, co usłyszał Harry.

— Idź, proszę, do Wędrowców i uspokój ich. — Rezydent zwrócił się do swego ojca. — Nie zaszkodzi z nią porozmawiać. — Harry znikł w jednej sekundzie.

„Wyląduj między murem a urwiskiem. Nic ci nie grozi!" — Zek przesłała Karen wiadomość.

Karen zbliżyła się, a daleko za nią na niebie pojawiły się cztery wielkie cienie, jej wojenne kreatury.

— Już jest — szepnęła przejęta Zek.

Latający potwór opadł z zaskakującą przy jego masie i rozmiarach zręcznością i lek-

kością. Jego głowa chwiała się teraz na długiej szyi, a pozbawione wyrazu oczy błądziły po okolicy, nie wykazując żadnego zainteresowania ani Ogrodem, ani przerażonymi mieszkańcami.

Karen ześlizgnęła się z wdziękiem z jego rozległego grzbietu i podeszła do murku. Wywołała swym wyglądem i „skromnym" strojem sensację.

Zek w pierwszym odruchu chciała serdecznie się z nią przywitać, ale coś ją powstrzymało. Może wyraz twarzy Jazza, na której rysował się wyjątkowo cielęcy zachwyt.

Nawet Harry Senior wyglądał na porażonego urodą Karen.

Tylko Rezydent był niewzruszony.

— Podobno chcesz się do nas przyłączyć? — zapytał pozbawionym emocji głosem.

— Jestem gotowa umrzeć tu razem z wami.

— Czyżby? Uważasz, że to takie oczywiste?

— Oczywiste? — powtórzyła. — Jeśli wierzysz w cuda, módl się, żeby wydarzył się jeden z nich. Mnie nie musisz uwzględniać w swych modlitwach. Nie dbam o swoją skórę.

W kilku słowach przedstawiła im swoje położenie i rolę, jaką reszta wampirów przydzieliła jej w ich planach.

— W ten sposób — zakończyła — przynajmniej kilku z nich podzieli mój los!

— Co z twoimi Trogami i porucznikami? — Chciał wiedzieć Rezydent.

— Troglodytom zwróciłam wolność — odparła natychmiast. — A jeśli chodzi o resztę... To wściekłe psy! Wypędziłam ich ze swojej siedziby. Może wysługują się nimi teraz inni Lordowie? Nie wiem i nie interesuje mnie, co się z nimi stało.

— Twoje zamczysko pozostało puste?

— Tak, zupełnie.

— Wiele poświęciłaś...

— Nie — potrząsnęła głową — to ja zostałam poświęcona. A teraz lepiej kończcie swoje przygotowania. Jeszcze ich nie słyszycie, ale ja wiem, że są już w drodze.

— Mówi prawdę — poparła ją Zek. — Ja też ich już słyszę. Są żądni krwi i można teraz czytać w ich umysłach jak w otwartych książkach. Przestali się kryć ze swoimi zamiarami. I rzeczywiście — nadchodzą!

Rezydent przytaknął i wskazał głową nadlatujące bestie.

— Twoje wojenne kreatury, Karen. Czy można im zaufać?

— Nie mniej niż mnie samej, jeśli się na to zdecydujecie. A nie powinniście tracić na zastanawianie się więcej czasu.

— W takim razie — polecił Harry Junior — dwie z nich ustaw u stóp urwiska, a dwie pozostałe u przeciwległego końca Ogrodu. Będą dobrą obroną obu krótszych boków doliny. A ty, w jaki sposób zamierzasz walczyć? Dać ci jakąś broń? Jest jej dosyć dla każdego.

— Obejdzie się, ja już jestem uzbrojona. — Karen dumnie podniosła głowę i wysunęła spod peleryny swe smukłe, ale mocno zbudowane nagie ramię. Dziesiątki kolców, haczyków i ostrzy zalśniło na jej nadgarstku. Jazz pomyślał, że ktoś niewprawny mógłby się czymś takim poranić. Ten, kto stanie na jej drodze, nie umrze łatwą śmiercią.

— Spójrzcie! — powiedział Harry z naciskiem. — Już ich widać.

Było niemożliwością nie zauważyć ich nadejścia. Część nieba zaczerniła się od niezliczonej ilości punktów. Wyglądało to jak nalot szarańczy.

— Wszyscy na stanowiska! — krzyknął Rezydent. — Co z lampami?

Nie czekając na dalsze rozkazy. Wędrowcy włączyli rozmieszczone wzdłuż murów reflektory. Strumienie promieni ultrafioletowych przeszyły ciemniejące niebo. Ich ciepło i blask nie mogły zabić wampirów, ale boleśnie parzyły i przynajmniej na jakiś czas oślepiały.

Rezydent przytrzymał za łokieć przebiegającego Wędrowca.

— Co z waszymi kobietami i dziećmi? — zapytał prędko. — Gdzie jest moja matka?

— Odesłaliśmy je, panie. — Padła pospieszna odpowiedź. — Są w dole, w Krainie Słońca. Mają tam czekać tak długo, aż ktoś pozwoli im stamtąd wrócić.

Harry Junior zwrócił się teraz do ojca i całej reszty.

— W takim razie wszystko już gotowe.

— W samą porę — odparł Jazz Simmons — bo już się zaczęło. — Wzrok skierował na Gwiezdną Krainę. — Słyszycie?

Usłyszeli szorstkie krzyki Trogów i hałas bojowego zamieszania. Stamtąd też rozległy się pierwsze strzały z broni palnej. Niektórzy troglodyci posiedli pewną umiejętność posługiwania się najprostszymi karabinami.

— No cóż, należało się tego spodziewać. Już od dłuższego czasu Lordowie spędzali w pobliże Ogrodu całe szczepy najbardziej prymitywnych Trogów. To ich mięso armatnie — powiedział Harry Junior. — Ojcze, będę ciebie potrzebował. W pewnej sprawie jesteś lepszym ekspertem ode mnie.

— Proś, o co chcesz.

— Kiedy po raz ostatni wywoływałeś zmarłych?

Keogh cofnął się zaskoczony. Jego twarz wyrażała lekkie niezdecydowanie. Natychmiast się jednak przełamał.

— Zgadzam się na wszystko.

Przez przestrzeń Möbiusa przenieśli się w dół północnych zboczy gór i zmaterializowali się w panujących tam ciemnościach. Z tej odległości widzieli tylko kłęby kurzu wzbijającego się nad chaotycznym, zażartym bojem półdzikich ludzi. Jednym metafizycznym krokiem znaleźli się prawie na skraju kłębowiska. Stało się jasne, że oddziały Rezydenta zostały zdziesiątkowane i nie mają szans na utrzymanie wyznaczonych im do obrony pozycji. Przerazili się, że za kilka minut ta droga stanie otworem dla setek na-

cierających neandertalczyków. Ale nie tylko dlatego Harry Junior zdecydował się osobiście interweniować na tym przyczółku.

— Chciałbym ocalić przynajmniej kilku z moich ludzi. Zasłużyli na to swoim oddaniem i walecznością — powiedział ojcu.

Harry Keogh zamknął oczy i przemówił do zmarłych.

— Wy, mieszkańcy zimnych grobów i splątanych korzeni drzew, do was się zwracam z prośbą o pomoc. Potrzebujemy was w walce z wielką niesprawiedliwością. Czy możecie spokojnie patrzeć na to, co się tutaj dzieje?

Nie czekał długo na odzew. Usłyszał w umysłach głuche, spłoszone szepty.

— Kto? Co? Pomóc? W jaki sposób? O co chodzi?

— O Trogów! — Głos zabrał Rezydent. — Zamieszkiwali te ziemie, zanim dostali się pod panowanie okrutnych wampirów. Część z nich walczy właśnie w imię dawno utraconej wolności, ale przegrywają. Giną w obronie własnego dziedzictwa. To ich tereny!

— Co wy na to? — Harry zawsze rozmawiał ze zmarłymi jak równy z równymi. Był ich przyjacielem i bezbłędnie to wyczuwali. Mógł sobie dzięki temu pozwolić na absolutną swobodę za każdym razem, kiedy się do nich zwracał. — Jeśli się rozsypaliście, to trudno, nasza strata. Ale ci, którzy potrafią się jeszcze poruszać niech posłuchają uważnie. — I Harry wytłumaczył im, czego od nich oczekuje. Potem musiał odpowiedzieć na wiele pytań. A także cierpliwie wysłuchać skarg.

— Trogi? To przecież o nas mowa! Wampiry? Niektórzy z nas też im służyli. Dziesiątki, setki naszych braci zginęło w ich piekielnych wojnach. To fałszywi bogowie! Dzicy i bezwzględni! Ale walczyć z nimi? Jak? Znów nas pozabijają!

— Nie możecie umrzeć dwukrotnie — przekonywał ich Harry. — To wasi żywi potomkowie teraz umierają i cierpią!

— Potomkowie? Troglodyci, tak jak i my sami?

— Tak. I znów w służbie u wampirów. Znacie ich los z własnych doświadczeń. Jedni giną, bo nie chcą się poddać strasznym Lordom, a drudzy — bo wolą umrzeć niż pozostać pod ich rządami.

— To prawda! — odezwał się jeden z poległych przed chwilą wojowników. — Na nas możesz liczyć, panie. Z radością jeszcze raz powstaniemy!

— No, dalej! — krzyknął poirytowany jałowością przeciągającej się rozmowy Keogh. — Ruszcie się, póki nie jest za późno! Stańcie u boku swych synów i wnuków w walce przeciwko waszym oprawcom. Na co czekacie?

Nareszcie ziemia zafalowała i wydostały się z niej setki zmumifikowanych, zesztywniałych po wieloletnim bezruchu, niezupełnie kompletnych ciał. Tuż za plecami niepowstrzymanie prących do przodu Trogów usiedli ci, którzy dopiero przed chwilą zostali przez nich zadeptani. Po chwili zaczęli niezgrabnie, ale zdecydowanie podążać śladem swych zabójców. W powietrzu rozszedł się mdły odór zgnilizny. Kiedy oddziały Rezy-

denta zobaczyły, cóż to za upiorna siła stanęła do walki po ich stronie — ich linia ostatecznie się załamała, a oni sami — rozproszyli się przerażeni po znanej sobie okolicy. Tym razem mogli sobie na to pozwolić — milcząca, ponura armia zmarłych kontynuowała rozpoczęte przez nich dzieło. Nie mogli przegrać, ponieważ śmierć mieli już za sobą, a cóż innego mogło ich teraz pozbawić zwycięstwa?

Koszmarny widok walki stał się zbyt odrażający nawet dla Keogh'ów. Powrócili więc do Ogrodu.

— Synu — powiedział Harry Senior, chwytając go za ramię. — Patrz!

Niebo nad Ogrodem stało się aż czarne od krążących nad nim latających potworów i wojennych kreatur wampirów. Prawdziwa wojna miała się dopiero rozpocząć...

Kilka wojennych kreatur wylądowało w pobliżu muru od strony urwiska. Toczyły tam śmiertelny, pełen skrzekliwego wrzasku bój z wojennymi kreaturami Karen. Reszta bestii szaleńczo miotała się między parzącymi ich skórę promieniami ultrafioletowymi.

Wysoko w górze rozegrała się tragedia dwóch Wędrowców operujących podwójnym zwierciadłem. Zginęli zmiażdżeni potężnym ciałem latającego potwora Leska. Lesk, nie zważając na ich ostrzał, umyślnie spowodował katastrofę. Sam został przy tym ranny, nie mówiąc o jego latającej bestii, której ciało zostało podziurawione jak sito. To tylko rozdrażniło szalonego Lorda i poderwawszy swego ledwie żywego wierzchowca do ostatniego lotu, zanurkował samobójczo w sam środek Ogrodu.

Został jednak w porę dostrzeżony przez czujnych obrońców i powstrzymany ścianą ultrafioletu. Celnie rzucony granat eksplodował tuż przed i tak osłabionym latającym potworem, do reszty go oszołamiając. Straciwszy równowagę, spadł jak kamień i ciężko zderzył się z twardym podłożem. Siłą rozpędu rozorał przy tym pas ziemi, na którym znajdował się długi fragment muru wraz z wieloma broniącymi go Wędrowcami. Wszyscy zginęli, przyduszeni gigantycznym cielskiem bestii. Ona sama przekoziołkowała niezgrabnie, wyrzucając z siodła wściekłego Leska.

Inne potwory całymi grupami lądowały na obrzeżach siedziby Rezydenta. Niszczyły piękne domki i bezlitośnie zadeptywały wypielęgnowane tereny. Zeskakiwali z nich porucznicy Szaitisa, Belatha i Volse'a. Z obłędem w oczach rozglądali się po okolicy, żądni świeżej krwi. Jazz Simmons przywitał ich celnym ogniem swego karabinu. Rozbiegli się po zacienionych zakamarkach w poszukiwaniu łatwiejszego łupu.

Simmons spojrzał w stronę domu Rezydenta. Dwóch nekroskopów obserwowało stamtąd rozwój wypadków.

— Jak to wygląda? — krzyknął agent, napotykając ich wzrok.

Nie dosłyszeli. Jego głos utonął w hałasie śmiertelnych jęków Wędrowców, bolesnych wrzasków rażonych srebrnymi pociskami bestii i tępego stukotu broni automatycznej.

Zresztą, chyba nie potrafiliby odpowiedzieć na to pytanie.

— Powinniśmy do nich dołączyć — powiedział Harry Keogh do syna.

— Nie! — Potrząsnął głową Rezydent. — Na nas jeszcze przyjdzie czas!

Tymczasem Zek podbiegła do Jazza i mocno chwyciła go za ramię.

— Patrz! — zawołała.

Dokładnie ponad ich głowami przelatywały właśnie dwie kolejne wojenne bestie. Te jednak były obciążone jakimiś olbrzymimi, podłużnymi kształtami, które dźwigały pod sobą.

— Bestie produkujące gaz! — wyszeptała przerażona Zek.

— Co takiego? — Jazz pomyślał w pierwszej chwili, że się przesłyszał. Za moment ujrzeli, jak jeden z ładunków oderwał się od ciała kreatury i zaczął wolno opadać. Dryfował w powietrzu w stronę największego skupiska reflektorów. Te natychmiast skierowały swe strumienie na jego falujące ciało. Zaczęły wydobywać się z niego kłęby pary, co przyspieszyło lot ku ziemi. Jazz nagle zrozumiał tę nową strategię.

— Nie! — krzyknął ogarnięty paniką i rzucił się w bok, osłaniając ciałem Zek.

Potężny wybuch zmiótł w jednej sekundzie trzecią część wszystkich ludzi Rezydenta. Przez Ogród przetoczyła się fala gorącego, cuchnącego powietrza. Kiedy atmosfera oczyściła się. Jazz pomógł Zek podnieść się. Dom Rezydenta stracił wszystkie szyby i część dachu. Harry i jego syn zdążyli ukryć się w jego wnętrzu. Wciąż przybywały następne wojenne kreatury wampirów. Powstrzymywały je już tylko granaty, bezustannie rzucane w ich kierunku przez słabnących Wędrowców. Bestie należące do Karen już dawno zostały wyeliminowane z walki.

Ona sama zobaczyła w pewnym momencie, że coś gramoli się za murem, przy którym znajdowało się jej stanowisko bojowe. W końcu okazało się, że to Lord Lesk doszedł do siebie po niezbyt szczęśliwym lądowaniu jego latającego wierzchowca. Wyszedł z dotychczasowych wydarzeń bez szwanku i jego oczy zabłysły pożądliwie na widok urodziwej Lady. Karen wyrwała reflektor z rąk przerażonego Wędrowca i skierowała go prosto na jednooką twarz szaleńca, oślepiając go. Ten jednym kopnięciem wytrącił lampę z jej dłoni. Odwrócił się bokiem w kierunku Lady, by dodatkowym, wykształconym na ramieniu okiem skontrolować sytuację. Nie zdążył. Karen jednym zdecydowanym ruchem uzbrojonej ręki rozorała jego ciało.

Krzyknął, bardziej ze zdumienia niż z bólu. Wolną ręką dotknął rany, jakby chciał się upewnić, że stało się to naprawdę. Między odsłoniętymi żebrami pulsowało jego wielkie, żółte serce. Dopadła go gromada Wędrowców i próbowała powalić na ziemię. Ale on jednym szarpnięciem silnego ramienia ostudził ich przedwczesny zapał. Za to Karen po prostu wyciągnęła rękę i chwyciła życiodajny mięsień. Szarpnęła i z zimną krwią wyrwała go z potężnego ciała Leska. Z jego ust buchnęła ciemnoczerwona ciecz. Lord jeszcze przez moment chwiał się na sztywnych nogach, a potem upadł jak ścięta kłoda.

Wędrowcy dopiero wtedy odważyli się podejść do niego ponownie. Błyskawicznie polali jego ciało ropą i podpalili. Z satysfakcją przyglądali się ognisku.

Tymczasem druga z gazowych bestii dryfowała w kierunku domu Rezydenta. Harry wraz z synem musieli natychmiast opuścić to miejsce. Tym bardziej, że na balkon wdarło się dwóch poruczników Szaitisa. Wkrótce jednak pożałowali swej śmiałości. Obaj Keogh'owie wywołali metafizyczne drzwi, sprowokowali przeciwników do bezpośredniego ataku. Po czym, wraz z nacierającymi, wstąpili w przestrzeń Möbiusa i szybko z niej wyszli. Porucznicy zniknęli na zawsze.

Kolejny wybuch całkowicie zniszczył dom Rezydenta.

Jedna z wojennych kreatur rozbiła generatory głównej siłowni Ogrodu i wygasiła ostatnie reflektory, pogrążając dolinę w absolutnej ciemności. W ten sposób wampiry, którym mrok nie przeszkadzał w doskonałym widzeniu, uzyskały przewagę.

Harry chwycił syna za ramię.

— Myślę, że nadszedł czas, o którym wspominałeś niedawno. Cokolwiek miałeś wówczas na myśli, jestem pewien, że przyszła pora na decydujące posunięcie.

— Masz rację, ojcze — zgodził się Harry Junior. — Wiesz, że w kontinuum Möbiusa nawet myśli mają swój fizyczny ciężar. W ten sposób my dwaj możemy czuć się tam związani metafizycznym łańcuchem.

— Oczywiście. — Keogh skinął głową.

— Przeprowadzałem w kontinuum różne doświadczenia, rzeczy, o których ci się nawet nie śniło — zaczął Rezydent bez cienia wyższości. — Potrafię przesyłać nie tylko myśli, jeśli jest ktoś, kto potrafi odebrać moją przesyłkę. Tylko, że w tym przypadku byłaby ona wyjątkowo niebezpieczna. Nie dla ciebie — dla mnie.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz. — Harry poczuł, że ma wyschnięte wargi. Paraliżowała go świadomość nieuchronnej klęski.

— Posłuchaj! — Rezydent szybko wyłuszczył mu swoje zamiary.

— Rozumiem — powiedział Keogh. — Nie sądzisz jednak, że ucierpią na tym twoi Wędrowcy?

— Nie jestem pewien. Może trochę. Ale na pewno niezbyt poważnie. W przeciwieństwie do Lady Karen. Zabierz ją stąd, proszę!

Rezydent po chwili przeniósł się do swojej zrujnowanej siedziby i odnalazł w jej gruzach błyszczący, foliowy płaszcz. Wrócił do Harry'ego i szczelnie się owinął metaliczną peleryną.

— Idę do Karen — powiedział Harry Senior. — Gdzie się spotkamy?

— Tutaj. Poczekam tu na ciebie.

Keogh odszukał Karen w momencie, gdy niezmordowana, bezlitośnie rozprawiała się z kolejnym porucznikiem. Nie potrzebowała pomocy, żeby sobie z nim poradzić. Harry chwycił ją za ramię.

— Nie zadawaj żadnych pytań — krzyknął pospiesznie. — Chodź, prędko. — Objął ją i unosi w przestrzeń Möbiusa. Wylądowali w bezpiecznej odległości od Bramy. Wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

— Co to?

— Które zamczysko jest twoje? — przerwał jej bezceremonialnie. Pokazała bez słowa, a on znów ją objął...

Pozostawiwszy oszołomioną Lady w opustoszałej siedzibie, sam nie tracąc czasu, powrócił do Ogrodu.

— Na pewno wiesz, o co chodzi? — zapytał go po raz ostatni Rezydent.

— Tak. — Harry skinął niecierpliwie głową. — Zacznijmy działać!

Wstąpili w metafizyczną przestrzeń. Rezydent szybko podążył za nią na południe, przez góry przeszedł na słoneczną stronę, a potem dalej, w kierunku... słońca. Stanął przed wielką, oślepiającą kulą i otworzył świetliste drzwi.

— Teraz! — Harry usłyszał cichy rozkaz wydany przez syna.

Otworzył drzwi Möbiusa prowadzące wprost do Ogrodu. Czyste, złote promienie przecięły przestrzeń i zalały Ogród rzeką palącego światła.

Harry sterował złocistym strumieniem, omiatając nim wszystkie zakątki dolinki. Bezlitośnie topił czarne ciała wojennych kreatur, które rozpływały się pod nim jak polane kwasem. Pozostawały po nich tylko dymiące, cuchnące kałuże obrzydliwej mazi.

Nekroskop obawiał się o życie syna. Słońce, ratujące życie innym, sprawiało nieopisany ból młodemu Keoghowi. Nagle promienie znikły. Pozwoliło to odpocząć Harry'emu od wyczerpującej kontroli nad opornymi drzwiami Möbiusa. Przerwa ta zaniepokoiła go jednak.

— Synu, odezwij się. — Przesłał w przestrzeń trwożliwie. — Co z tobą?

— Nic... Wszystko w porządku. Daj mi jeszcze kilka sekund...

Harry czekając cierpliwie, otworzył metafizyczne wrota i wypatrywał przez nie kolejnych potencjalnych ofiar. Na pierwszy ogień wybrał Lordów: Belatha i Menora, którzy siali wśród rozbieganych w panice Wędrowców prawdziwe spustoszenie.

— Już!

Harry zablokował drzwi kontinuum Möbiusa i skierował promienie na wybrane ofiary, a zabójczy strumień padł dokładnie na ich muskularne ciała. W jednej chwili wampiry straciły swoją moc. Skóra zagotowała się na nich i odpadła, odsłaniając napięte mięśnie. Wkrótce i one spłynęły z kości jak stopiony wosk. Pozostało po nich tylko echo przedśmiertnego krzyku, które brzmiało w uszach poddanych Rezydenta jak najpiękniejsza melodia...

Teraz Harry przechylił drzwi i położył je prawie poziomo. W ten sposób mógł skierować przechwytywane promienie pionowo do góry. Wyglądało to tak, jakby słońce zaświeciło z głębi ziemi. Latające potwory i wojenne kreatury okupujące niebo, zaczęły się

skraplać i spadać na walczących w Ogrodzie gęstym, brunatnym deszczem.

— Ach! — Rozległo się w ciemnościach.

— Synu! — zawołał przestraszony nekroskop. — Przestali już! Zwyciężyłeś! Zaczynają się wycofywać. Skończmy z tym, zanim sam zginiesz!

— Nie! — padła cicha, ale stanowcza odpowiedź. — Musimy rozprawić się z nimi raz na zawsze. Zejdź teraz w dół masywu w pobliże ich zamczysk.

Keogh podporządkował się bez dalszych protestów.

— Teraz! — krzyknął Rezydent.

Żółta smuga padła na siedzibę Szaitisa i zaczęła błądzić po oknach i balkonach. W pewnym momencie Harry dostrzegł w jej świetle ruch gigantycznego stworzenia. Pojawiły się bestie wytwarzające gaz. Właśnie ich szukał. Wystarczyła sekunda i wybuch, który rozerwał nadmuchane ciało na tysiące kawałków, o sile rażenia tysięcy małych pocisków, nie pozostawił nic z misternej konstrukcji fortecy.

Przez następnych kilka minut sąsiednie budowle po kolei rozpadały się jak zamki z piasku. W końcu została tam tylko samotna siedziba Lady Karen.

— I to wszystko! — wyszeptał Rezydent.

Ojciec i syn, wypełniwszy w najdrobniejszych szczegółach zadanie, jakie sami przed sobą postawili, powrócili do Ogrodu. Wszystko wokół dymiło, a niedawni wojownicy kręcili się wśród zgliszczy, nie wierząc w cud, którego stali się świadkami. Oszołomieni, przecierali oczy.

Harry Junior chwiał się na nogach, nadtopiony płaszcz przylgnął do jego skóry. Młodzieniec w pewnej chwili chciał podejść do ojca, ale zrobił tylko krok w jego kierunku i bezwładnie osunął się prosto w jego wyciągnięte ramiona.

Minęły trzy dni.

Rezydent wrócił do zdrowia. Tylko mieszkający w nim wampir potrafił w tak krótkim czasie zaleczyć rany, którymi było pokryte całe jego ciało. Zresztą oparzenia, których doznał, już dawno spowodowałyby śmierć normalnego człowieka.

Harry Senior wiedział teraz na pewno, że jego syn nigdy nie powróci do Starego Świata. I potrafił się z tym pogodzić. Jego syn został wampirem i tu było jego miejsce. Musiał tu pozostać. Drogo zapłacił za utrzymanie swojej dotychczasowej pozycji i wciąż był tu potrzebny. Poza tym nie do końca wiedział, w jakim kierunku rozwinie się okupujący jego fizyczną powłokę zarodek. Zastanawiał się, czy zawsze będzie w stanie nad nim panować. W każdym razie sądził, że tutaj dużo łatwiej poradzi sobie z tym przeklętym dziedzictwem.

Lady Karen — też różniła się od reszty wampirów. Przynajmniej na razie. Harry'emu było obojętne, co się z nią stanie, natomiast cały czas miał na uwadze dobro swego syna. Wiedział, że pewnego dnia może stać się dla niego bardzo niebezpieczną sąsiadką. Nie

można do tego dopuścić...

Pozostawiwszy Rezydenta pod opieką Jazza i Zek, Keogh wybrał się w odwiedziny do pięknej Karen. Jego odejście zbiegło się z dwoma niezwykłymi wydarzeniami. Były to dwa wzruszające spotkania. Autorem pierwszej niespodzianki był dzielny wilk, który z poranionymi do krwi łapami dotarł po wielu trudach do swej ukochanej pani. Dziwnym, szczęśliwym trafem ustrzegł się dotąd zarażenia wszechobecnym wśród zwierząt wampiryzmem i jego serce pozostało wypełnione jedynie prawie ludzką miłością i bezinteresowną wiernością. Zek płakała, tuląc się do jego wychudzonych boków.

Drugie spotkanie było nie mniej radosne. Razem z wilkiem przyszedł do Ogrodu, wycieńczony długim marszem Lardis Lidescu wraz z garstką Wędrowców. Tylko oni ocaleli z pułapki przygotowanej przez Szaitisa i jego poruczników...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Ostatnia z wojennych bestii — Ciąg dalszy dramatu w Perchorsku

Widząc, że losy bitwy są przesądzone. Lord Szaitis zawrócił latającego potwora i skierował go w stronę swojej kamiennej siedziby. Jego wierzchowiec niósł go ostatkiem sił — miał rozpruty brzuch i wnętrzności wyciekały z niego wielkimi, krwawymi skrzepami. Szaitis również osłabiony, zdołał jednak w porę skryć się za oparciem swego siodła przed bezpośrednim uderzeniem promieni słonecznych i to uratowało mu życie.

Wszechmocny dotąd wampir ostatecznie mógł się przekonać, że nie jest jedynym władcą tego lądu. Tajemnicza broń Rezydenta była nie do pokonania, a jego moc leżała poza zasięgiem rozumienia nawet największego z Lordów. Inni władcy Gwiezdnej Krainy też doszli do tego wniosku i masowo opuszczali pole bitwy. Ich cała nienawiść skierowała się teraz przeciwko temu, kto popchnął ich do tego zgubnego ataku. Mieli wrócić silniejsi niż kiedykolwiek — wracali chyłkiem i odarci ze swej sławy. I tylko ci, którzy mieli tyle szczęścia, żeby przeżyć zawieruchę.

Szaitis spotkał po drodze Ferenca i Pinescu. Ich latające potwory przez krótki czas unosiły się nisko nad zboczami, by w końcu rozbić się o jakieś skalne występy. Stało się oczywiste, że dumni Lordowie, chyba po raz pierwszy w życiu, będą zmuszeni odbyć resztę drogi na piechotę. Nawet sam Szaitis nie znalazłby teraz w sobie dość siły na metamorfozę, która pozwoliłaby mu skorzystać z własnych skrzydeł dla szybszego i mniej poniżającego przemieszczenia się.

Lord Belath, Lesk o Szczególnej Sławie, Grigis i Lascula, i wielu innych nie miało nigdy powrócić do swych ponurych zamczysk... Jeśli chodzi o wojenne kreatury, Szaitis spotkał tylko jedną z nich. Opuszczona przez przewodnika leciała teraz zdezorientowana do miejsca, z którego pochodziła. Szaitis nie potrafił sobie przypomnieć, do kogo niegdyś należała.

Zniknęli wszyscy porucznicy. W ogóle, po całej armii wampirów pozostało może tuzin latających potworów, niosących na swych umęczonych grzbietach mniej lub bar-

dziej kontuzjowanych kilku ocalałych Lordów. Najwyraźniej oszczędzali siły, wolno wracając do swych domostw.

A raczej do tego, co mieli zastać na ich miejscu.

Kiedy Szaitis minął oślepiającą Bramę poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. „Czy to możliwe? Gdzie się podziało Królestwo Lordów? Ha! Coś z niego jednak ocalało. To siedziba tej podstępnej Karen!" — pomyślał z wściekłością.

Zaczęła go dławić niepohamowana furia. Szarpnął rzemiennymi cuglami i zdecydowanie skierował swego wierzchowca w stronę jedynej nienaruszonej budowli, świadectwa zdrady pięknej Lady. Przecenił jednak możliwości swego latającego potwora. Pozostała bowiem z niego już tylko bezsilna skorupa. Ostatkiem woli potwór poderwał długą szyję, ale nad skrzydłami przestawał już panować. Zaczęły się niebezpiecznie składać, grożąc rychłą katastrofą. Jeszcze raz potwór spróbował je rozłożyć, ale nie kontrolując sytuacji zahaczył jednym ramieniem o wystającą skałę, której nie dostrzegły jego zamglone wycieńczeniem oczy i runął w dół... Nic już nie mogło zapobiec kolizji. Lord Szaitis przy gwałtownym uderzeniu o ziemię został wyrzucony z siodła jak z katapulty i zarył twarzą w skaliste podłoże. Wściekły z poniżenia poczuł, że krwawi. Ze złością wypluł piach trzeszczący mu w ustach, potem wstał niezgrabnie i potrząsnął głową. Wyciągnął uzbrojoną rękę w stronę niedalekiego już zamczyska Karen i pogroził niewidocznej przeciwniczce. Podszedł kilka kroków i zatrzymał się niezdecydowany.

Mógł się tego spodziewać. Jedyna ocalała wojenna kreatura, którą widział przed chwilą, należała właśnie do Karen. Wiedział, że póki żyje jej władczyni, będzie posłuszna tylko jej rozkazom. Forteca Lady okazała się w tym momencie niedostępna dla bezbronnego Szaitisa, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

Krew się w nim zagotowała, ale musiał poddać się chłodnemu rozsądkowi. Podniósł głowę i zawył. Był to głos upokorzonego, żądnego zemsty wilka. Ta zwierzęca skarga pozwoliła mu nieco rozluźnić napięte mięśnie. Jego ramiona opadły, a on sam powlókł się ze zwieszoną głową w stronę gruzów, w których nikt nie dopatrzyłby się niedawnej wielkości upokorzonego Lorda...

Dotarł do nich z zapadniętymi policzkami, poparzoną twarzą i wieloma innymi ranami. U podstawy jego siedziby znajdowała się dotąd pracownia, przykryta wyjątkowo grubym stropem. Z satysfakcją stwierdził, że sklepienie wytrzymało i nie załamało się pod naporem setek ton zwalonych nań kamieni i całych fragmentów masywnych ścian budowli. Pomieszczenie to służyło do produkcji wojennych kreatur i latających potworów, formowania bestii, wytwarzających ciepłodajny gaz i żywych wodociągów. Jeden z najnowszych latających stworów wyszedł z niszczącej akcji Rezydenta bez szwanku i mógł teraz z powodzeniem służyć swemu Lordowi.

Szaitis znalazł w podziemiach i inne stworzenia, które przeżyły katastrofę: prze-

kształconych Wędrowców i Trogów, stanowiących niejako surowiec wykorzystywany w procesie powstawania wojennych kreatur i innych bestii. Lord nie zainteresował się jednak ich losem. Wiedział, że uwięzieni w klatkach i specjalnych zagrodach prawdopodobnie zginą z głodu i wycieńczenia.

Ponad głową Szaitisa ostatni z Lordów leciał na swym ponurym wierzchowcu ku ciemnej północy. Wszyscy zgodnie podążali w tym samym kierunku. Tam, gdzie słońce w ogóle nie wschodzi.

Szaitis pragnął do nich dołączyć. Zgodnie z panującą wśród wampirów legendą, gdy któryś z nich raz pokona Krainę Wiecznych Lodów, za nią znajdzie w nagrodę dziewiczy teren, nad którym będzie mógł objąć rządy. Żaden z żyjących dotąd jej nie sprawdził: nie było takiej potrzeby. Teraz jednak ich panowanie w kamiennych zamczyskach należało do przeszłości, a nie potrafili się obejść bez władzy, lecieli więc w poszukiwaniu nowych terytoriów, które mogliby podbić i które mogliby nazwać swoimi.

Szaitis już miał zacząć schodzić po roztrzaskanych stopniach schodów, kiedy dostrzegł wśród ruin jakiś ruch, a do jego uszu doleciały słabe jęki.

Zaskoczony zawrócił w kierunku, z którego dochodziły. Z gruzów wystawało muskularne ludzkie ramię. To stamtąd wydostawało się półprzytomne wołanie o pomoc. Szaitis uśmiechnął się złowieszczo, rozpoznając ten głos.

— Karl! — mruknął do siebie. — Przybysz z piekielnego lądu! Jeden z tych, z którymi muszę wyrównać pewne rachunki — dodał pod nosem.

Bez wysiłku odrzucił kilka wielkich głazów i z powstałej szpary jednym ruchem wyciągnął Wiotskiego. Nie obchodził się z Rosjaninem zbyt delikatnie.

— Nie, nie! — krzyknął tamten. — Och, Boże! Moje nogi! — Rzeczywiście, obie miał połamane poniżej kolan.

Szaitis bezlitośnie potrząsnął nim w powietrzu i zmusił do otwarcia oczu.

— Twoje nogi? — syknął zjadliwie. — Twoje nogi? Popatrz na mnie, głupcze! — Niedbale posadził swą ofiarę na dużym, płaskim kamieniu i uchylił poły swej obszernej peleryny. Pod nią nie było ani kawałka całej skóry. Liczne skaleczenia i zadrapania sprawiły wrażenie jednej, krwawej miazgi.

— I jak ci się podobam? — zapytał Szaitis drwiąco, widząc, że jego wygląd zrobił odpowiednie wrażenie na ledwo żywym z bólu agencie KGB.

Wiotski nie powiedział ani słowa. Jego uwagę pochłonęło teraz utrzymanie takiej pozycji, w której cierpiał najmniej. Opierał się na wyprostowanych ramionach, co pozwalało maksymalnie odciążyć jego zmasakrowane nogi.

— Wiesz, Karl — zaczął Szaitis protekcjonalnie — coś mi się zdaje, że aż nazbyt dobrze pamiętam naszą ostatnią poważną rozmowę. A ty?

Wiotski znów nie odpowiedział. Wolałby stracić teraz przytomność, ale z drugiej strony bał się, że Szaitis nie pozwoliłby mu ocknąć się z omdlenia. Ogarnęła go nowa

fala potwornego bólu. Przymknął oczy, ale wciąż był świadom tego, co się wokół dzieje.

— Nie pamiętasz? — zapytał Lord natarczywie. Udawał, że jest tym zaskoczony. Podniósł rękę i jakby od niechcenia zacisnął ozdobioną błyszczącą bransoletką dłoń. Z cichym, metalicznym trzaskiem z obręczy wyskoczyły śmiercionośne ostrza. Było ich aż nazbyt dużo. Jedno z nich wystarczyłoby z powodzeniem do pozbawienia życia bezbronnej ludzkiej istoty.

— No cóż — westchnął kpiąco Szaitis. — Przypomnę więc, co ci obiecałem w przypadku, gdy po raz kolejny spróbujesz wydostać się spod mojej opieki. Ostrzegałem, że oddam cię mojej najbardziej żarłocznej ze wszystkich wojennych kreatur. Co ty na to?

Pytanie było retoryczne. Cisza panowała wokół.

— Niestety — ciągnął Szaitis nie zrażony brakiem jakiegokolwiek odzewu i wydawał się rozkoszować własnymi słowami — brak wojennych kreatur zmusza mnie do pewnej niesłowności. Poza tym, twoja niesubordynacja nie może zostać do końca udowodniona, co pozwala mi wyjść z tej sytuacji z honorem. Co prawda, dałbym sobie uciąć głowę, że rozkazałem Gustanowi zabrać cię z sobą na naszą wyprawę do Ogrodu Rezydenta. Czyżby zawiniło tu jego roztargnienie? A może po prostu... nie mógł cię odnaleźć, bo gdzieś w ukryciu przeczekałeś, aż się oddalimy? Wielce tajemnicza historia...

— Ja... ja... — zaczął się jąkać Wiotski.

— Och, naprawdę? — Szaitis uśmiechnął się szatańsko. — Ja... ja... — powtórzył drwiąco. W jednej sekundzie grymas złośliwości spłynął z jego twarzy. Po raz kolejny sięgnął głęboko do szczeliny, z której przedtem wyciągnął Wiotskiego. Wydobył z niej automat i wypchane, skórzane sakwy Rosjanina.

Ten znów cicho jęknął. Na to Szaitis wybuchnął głośnym, przerażającym śmiechem. Zaczął się klepać z uciechy po udach, jak gdyby usłyszał przed chwilą doskonały dowcip. Jego radość urwała się jednak równie nieoczekiwanie, jak rozpoczęła. Pochylił się nad rannym Karlem i lekko musnął jego kolano długim ostrzem. Ruch jego ręki był minimalny, ale wystarczył, by tkanina rozdarła się niemal bezgłośnie i wypłynęła spod niej gęsta, ciemna krew. Wiotski tylko westchnął, zachwiał się nienaturalnie wyprostowany i w końcu zemdlał. Szaitis nie pozwolił mu upaść. Pochwycił jego lejące się ciało i przerzucił przez zdrowsze ramię. Tak obciążony zaczął schodzić do ocalałych podziemi.

Latający potwór wyciągnął w stronę Lorda swą długą szyję. Pozbawione wyrazu oczy popatrzyły na niego bez najmniejszego zainteresowania. Nie inteligencja miała być jego mocną stroną, a umiejętność latania i wytrzymałość. Po odbyciu próbnego lotu Szaitis postanowił wyruszyć na nim na północ.

Ale nie od razu. Miał tu jeszcze coś do zrobienia. Przed chwilą przyznał się Karlowi, że w wojnie stracił wszystkie swoje kreatury. Nie oznaczało to jednak, że nie będzie miał następnych do swej dyspozycji. Ich produkcja należała bowiem do najbardziej strzeżo-

nych tajemnic Wampirów. A Szaitis był prawdziwym specjalistą w tej dziedzinie. Nadszedł czas, żeby to wykorzystać.

W jednym z ostatnich eksperymentów spod jego rąk wyszła kreatura tak przebiegła i niebezpieczna, że zaskoczyło to nawet jej twórcę. Z umysłem Troga i ciałem będącym odrażającą kombinacją wilka i nietoperza, stwór wymykał się wszelkiej kontroli. Dwukrotnie uciekał swemu panu, aż ten, rozdrażniony, postanowił raz na zawsze rozprawić się z jego niesubordynacją, choć pociągało to za sobą także rezygnację z jego niewątpliwych zalet.

Pewnego razu Szaitis został sprowokowany i wyzwał na pojedynek jednego z mniej ważnych Lordów. W uczciwej walce zabił przeciwnika i zgodnie z panującym tu obyczajem miał prawo dysponować jego martwym ciałem. Zabrał je więc do swej pracowni i wyłuskał z niego wampirzy zarodek. Następnie wszczepił jajo w ciało swej buntowniczej kreatury i... wepchnął ją w Bramę.

To wszystko wydarzyło się, zanim jeszcze Szaitis zrozumiał, jakimi „piekielnymi" talentami obdarzeni są przybysze z piekielnego lądu. Przypuszczał, że być może nawet sam Rezydent stamtąd pochodził — źródło wszelkich nieszczęść, które dotknęły ostatnio cały ród wampirów. Teraz Szaitis z nawiązką pragnął im za nie odpłacić. Myślał o skonstruowaniu wojennej kreatury, jakiej nie było dotąd na tym świecie. Sądził, że — kiedy dowiedzą się o niej czarownicy spoza świetlistej kuli — dobrze się zastanowią, zanim przyślą tu swoich następnych niszczycieli wampirów.

Rozkoszując się podobnymi wizjami, Szaitis rzucił wciąż nieprzytomnego Wiotskiego na wielki stół i sięgnął po leżące opodal instrumenty...

Operacja trwała bardzo długo. Minął cały dzień i zbliżał się kolejny zachód słońca, kiedy Lord uznał swe dzieło za ukończone. Z ogromną satysfakcją przyglądał się jak stwór, już samodzielnie, wykształca na swym ciele niezliczone śmiercionośne wyrostki. Potem Lord zakodował w jego prymitywnym umyśle rozkazy, które miały być dla kreatury jedynym instynktem i motorem działania. Mógł teraz spokojnie pozostawić ją samą sobie. Miała w zasięgu ręki dość żywego pokarmu, by zaspokoić pierwszy głód. Mogło się nawet zdarzyć, że — najedzona — tak zwiększy swą objętość, iż jedyne przejście stanie się dla niej zbyt wąskie i nie zdoła opuścić pracowni. Szaitis nie miał jednak wątpliwości, że żądna świeżej krwi bez trudu je sobie poszerzy. Tego właśnie od niej oczekiwał.

Dosiadł swego latającego wierzchowca i postanowił po raz ostatni nacieszyć oczy pięknem zdradliwej Karen. Miał jej też co nieco do powiedzenia. Podleciał do jej siedziby i zaczął uparcie krążyć wokół najwyższych partii zamczyska. Wywoływał jej imię tak długo, aż dla świętego spokoju podeszła do jednego z okien.

— Jesteś nareszcie! — krzyknął Szaitis zawieszony w powietrzu. — Ostatnia ze starej, a może pierwsza z nowej generacji wampirów. Cóż to ma zresztą za znaczenie. Nic

nie zmieni faktu, że to przez ciebie straciliśmy wszystko! I sama nigdy nie zdołasz odbudować naszej potęgi!

— Szaitisie — odparła wzburzona — jesteś największym kłamcą i obłudnikiem jakiego znam! Okłamujesz nawet siebie. Oskarżasz mnie o spowodowanie waszej zguby, choć musisz doskonale zdawać sobie sprawę z tego, że to ty sam do niej doprowadziłeś! I nie oszukasz mnie — nie dbasz o los innych Lordów. Ciągle myślisz tylko o sobie, Wielkim Lordzie Szaitisie! Czy ośmielisz się zaprzeczyć tej oczywistej prawdzie?

— Jesteś okrutną, zimną kreaturą, Karen! — syknął rozwścieczony.

— Bynajmniej! Sądzisz, że udało wam się ukryć przede mną wasze podstępne plany? Ach, ta wasza pewność siebie. Nigdy nikogo nie doceniałeś, Szaitisie. Tym razem nie doceniłeś ani mnie, ani Rezydenta i to ciebie zgubiło.

Wydawało się, że ma zamiar ją zaatakować. Ale powstrzymała go przed pochopnym działaniem.

— Uważaj, Szaitisie! W ciągu sekundy możesz mieć do czynienia z moją wojenną kreaturą!

Cofnął się upokorzony.

— Niestety wiem, że nie kłamiesz. Przyjdzie jednak dzień kiedy będę mógł stanąć przeciwko niej bez obawy o własną skórę.

— Ośmielasz się grozić?

Zaskoczony ujrzał za jej plecami jakaś męską postać.

— Ach, widzę, że zadbałaś nawet o towarzystwo! — Szaitis chciał skrzywić się drwiąco, ale samcza zazdrość aż nadto przebijała poprzez nieudany grymas. — Odkąd to potrzebujesz kochanka, żeby rozgrzać swe ciało w chłodne noce? Czyżby twoja krew aż tak ostygła? Ale... nie poznaję, kto to taki. Czy już się kiedyś widzieliśmy?

— Przybyłem z piekielnego lądu. — Harry Keogh uprzedził Karen w odpowiedzi na ostatnie pytanie. — Jestem ojcem tego, którego nazywacie Rezydentem i nie mieliśmy dotąd przyjemności poznać się osobiście, choć wiele o tobie słyszałem.

W pierwszym odruchu Szaitis szarpnął się do tyłu. „Kto wie, jakimi mocami dysponuje ten czarownik, skoro ma tak potężnego syna?" — pomyślał. Potem jednak zwyciężyła w nim zwykła ciekawość.

— Powiedz mi jedną rzecz — zwrócił się do nekroskopa. — Co ciebie tu sprowadziło? Przybyłeś tu tylko po to, żeby zniszczyć wampiry?

Harry potrząsnął głową.

— To wyszło przy okazji — odparł szczerze. Nagle przypomniał sobie o obietnicy złożonej Faethorowi. — Powinieneś raczej zapytać, kto mnie tu przysłał.

— Kto taki?

— Zwano go Belos, nic ci to imię nie mówi?

Nie mówiło. Zapatrzony we własną doskonałość, Szaitis nigdy nie zajmował się prze-

szłością i legendami, z których niczego nie mógł wyciągnąć dla własnej korzyści. Teraz też momentalnie stracił zainteresowanie swym rozmówcą i, znudzony, zawrócił swego latającego potwora.

— Żegnajcie! — Z daleka doleciał jego silny głos.

W Perchorsku o drugiej nad ranem.

Czyngiz Khuw szedł właśnie w towarzystwie dwóch swoich ludzi w stronę Centrum Kontroli systemu Łuchowa. Za chwilę miał rozpocząć sześciogodzinną służbę przy monitorach. Nie obawiał się, że będzie mu się przy nich dłużyło. Wręcz przeciwnie — dla niego i jego plutonu czas biegł od kilku dni aż za szybko.

Jeden z idących obok niego mężczyzn ściskał w swych rękach karabin, drugi zaś uzbrojony był w mały miotacz ognia. Sam Khuw miał przy sobie automat i uważnie rozglądał się na boki.

Dziwne wydarzenia od tygodnia wstrząsały posadami Projektu. Jego korytarze zawsze budziły poczucie klaustrofobii, teraz jednak atmosfera strachu wypełniła je tak szczelnie, że trudno tu było wytrzymać. Obawa przed kolejnymi przybyszami spoza Bramy spowszedniała w konfrontacji z paniką, której podłożem stało się wielkie, przerażające niewiadome. Do Perchorska wdarł się nieuchwytny morderca. Atakował i znikał, nie pozostawiając po sobie żadnych śladów. Problemem nie było jego powstrzymanie, ale jego rozszyfrowanie. Na przykład: według jakiego klucza działał? Zabójca wydawał się być nienasycony w swej żądzy krwi. Od czasu potrójnego koszmaru przed ponad tygodniem lista jego ofiar znacznie się wydłużyła.

Po ludziach z KGB i telepacie przyszła kolej na technika. Zginął — jak zwykle nocą — przy sprzątaniu laboratorium, w którym pracował. Miał zmiażdżoną głowę.

Następnymi byli dwaj żołnierze, wracający ze swej służby przy Bramie. Ci próbowali się bronić, rozległy się nawet strzały, które oddali w kierunku napastnika. Zanim dotarła do nich jakaś pomoc, z obu pozostały już tylko ludzkie strzępy. Mieli rozszarpane gardła i połamane prawie wszystkie kości.

Przedostatniej nocy zginął bez wieści jeden z ludzi Khuwa i dotąd go nie odnaleziono.

Natomiast trzy godziny temu... odkryto ciało Klary Orłowej, fizyka teoretycznego, bliskiego współpracownika naukowców z ekipy Łuchowa. Wisiała do góry nogami w szybie wentylacyjnym, zaplątana w liczne przewody. I jej gardło było rozorane i — co łączyło wszystkie tragiczne przypadki — wokół niej znajdowało się zaskakująco mało krwi, mimo że i w żyłach znaleziono jej śladowe ilości.

Straszny los nie ominął także Pawła Sawinkowa. Metalowe drzwi prowadzące do jego kwatery zostały wyrwane z zawiasów, a on sam był wciśnięty w róg swojego poko-

ju. Oczywiście martwy. Khuw wracał właśnie z inspekcji tego ostatniego przypadku. Był on w pewnym sensie wyjątkowy, bo dowodził słuszności teorii Agurskiego, według której zabójca, choć dysponujący nieludzką siłą, miał być jednak człowiekiem. Tym razem wykazał się on bowiem wyraźnie ludzką inteligencją. Zanim wszedł — czy też wdarł się — do kwatery Pawła, już na korytarzu poprzerywał kable telefoniczne, nie dając w ten sposób ofierze żadnych szans na połączenie się z resztą Projektu. A co za tym idzie — na uzyskanie ewentualnej pomocy z zewnątrz.

Kiedy Khuw i jego ludzie stanęli przed drzwiami Centrum, usłyszeli za sobą pospieszne kroki. To gonił ich Gustaw Litwa, któremu Khuw przekazał swe obowiązki przy śledztwie związanym ze śmiercią Sawinkowa. Śmiertelnie blady machał teraz w stronę majora jakąś kartką.

— Towarzyszu — wysapał zdyszany — niech pan zaczeka! Proszę, oto, co znalazłem pod krzesłem Pawła.

Papier był trochę pomięty, ale pismo na nim czytelne. Khuw wygładził świstek na ścianie i odczytał znajdujący się na nim tekst. Był napisany ołówkiem i najwyraźniej drżącą ręką:

„Sprawdziłem całą załogę — jednego po drugim. Zrobiłbym to wcześniej, ale zwiodła mnie sugestia Andrieja Poborowa, że to co zobaczył nie było człowiekiem. Pomyślałem więc, że musiało pochodzić spoza Bramy i że w jakiś sposób przeoczyliśmy jego nadejście. Potem zacząłem się zastanawiać, jak to możliwe, że tak wielu telepatów nie potrafi zlokalizować tak silnej osobowości? Odpowiedź była tylko jedna — tarcza, którą to coś się osłania, jest odporna na fale wysyłane przez nasze umysły. Należy więc najpierw odszukać tę tarczę! Grenzel byłby ze mnie dumny: znalazłem ją! Był ode mnie dużo lepszy i dlatego musiał zginąć jako pierwszy. Dokąd zaprowadziły mnie moje poszukiwania? Do prosektorium. Tam natrafiłem na metafizyczną próżnię. Takie samo wrażenie odniosłem również w sekcji naukowej, co znacznie zawęziło pole mojego działania. I wtedy mnie olśniło. Co wiąże te części Projektu? Agurski! To on prowadzi swe badania na zwłokach. Kilka minut temu byłem w jego pokoju i udało mi się nawiązać kontakt z jego umysłem. Niestety obawiam się, że mnie rozszyfrował. Teraz jednak nie mam żadnych wątpliwości: to on jest tym czymś, co widział Roborow! Mój telefon nie działa. Wydaje mi się, że ktoś stoi na korytarzu tuż przy moich drzwiach. Gdybym posłuchał..."

W tym momencie tekst się urywał. Khuw szeroko otwartymi oczami ponownie go przejrzał, słowo po słowie. Czuł, że włosy jeżą mu się na głowie, a kark przeszyło nieprzyjemne, lodowate mrowienie. Stracił zwykłe opanowanie (ostatnio coraz częściej to mu się zdarzało) i zaczął szaleńczo walić w metalowe drzwi.

— Wiktorze, otwórz! Otwieraj, na miłość boską!

Łuchow, zgodnie z grafikiem, pełnił służbę bezpośrednio przed majorem KGB. Z za-

czerwienionymi ze zmęczenia oczami otworzył masywne drzwi i omal się nie przewrócił, popchnięty przez nacierającego na nie od strony korytarza Khuwa.

— Co to ma... — zaczął oburzony, ale jego protesty zostały bezpardonowo przerwane.

— Czytaj! — Khuw dramatycznym gestem wręczył mu zapisaną ołówkiem kartkę. — To coś w rodzaju przedśmiertnego posłania. Wszystko zaczyna się wyjaśniać! Sawinkow sugeruje, że istnieje jakiś związek pomiędzy Agurskim a stworem, którym się do niedawna opiekował. I to naprawdę ma sens! Posłuchaj, Wiktorze: nie wolno go spłoszyć jakimkolwiek alarmem. Chcę, żeby wszyscy go szukali, ale on nie ma prawa o tym wiedzieć! Boże, już od dłuższego czasu coś mi się w nim nie podobało...

Łuchow spojrzał na niego.

— Mnie też. Od czasu kiedy miał to swoje załamanie, pamiętasz? Biedny Wasyl, zawsze uważano go za takiego małego, nieszkodliwego dziwaka.

— No cóż, raz na zawsze przestał być nieszkodliwy! — parsknął Khuw. — Ja też wyruszam na poszukiwanie. Aha, jeszcze jedno! Uprzedź wszystkich o niebezpieczeństwie, jakie grozi z jego strony. Jeśli nie uda się go złapać — ma zostać zabity, co z pewnością nie będzie łatwe. I niech nikt nie ośmiela się chodzić teraz w pojedynkę. Chcę widzieć tylko trójki! Nawet para to dla niego żaden przeciwnik.

Kostnica i prosektorium usytuowane były w pewnym oddaleniu od głównej części Projektu. Kiedyś trzymano w nich ofiary „incydentu perchorskiego", potem przekształcono pomieszczenia w zwykłe chłodnie, ale ostatnio znów wykorzystywano je zgodnie z ich przeznaczeniem. Agurski był jedynym człowiekiem, który posiadał klucze do obu sal.

Zmierzając prosto w ich kierunku, Khuw i Litwa oddzielili się od pozostałych dwóch oficerów KGB. Obaj byli uzbrojeni: Litwa w potężny miotacz ognia, który zdjął po drodze ze ściany, a Khuw w szybkostrzelny automat zarekwirowany jednemu z żołnierzy.

Ciała wszystkich zamordowanych trzymano ciągle w wielkich lodówkach i Agurski spędzał teraz większość czasu w prosektorium, dokonując na nich szczegółowych sekcji. Istniało duże prawdopodobieństwo, że go tam znajdą.

Kiedy dotarli do tej części kompleksu, pierwsze drzwi zastali zamknięte. Wstęp nie był jednak zastrzeżony dla najwyższego stopniem oficera KGB tej placówki i major bez problemu otworzył je swoją plastykową kartą identyfikacyjną. Ostrożnie popchnęli szerokie skrzydło przegrody. Litwa pierwszy przestąpił próg i sięgnął do kontaktu. Przełącznik cicho trzasnął i... nic. Ani jedna żarówka nie rozjaśniła ciemności panującej w tej części korytarza. Jak stwierdzili — wszystkie zostały po prostu usunięte.

Drzwi do prosektorium były otwarte. Tam również panowały ciemności. Za jedyne oświetlenie służyła im dotąd wąska smuga dochodząca tu z głębi korytarza. To wystarczyło, by zobaczyć stojące przy przeciwległej do wejścia ścianie stoły i leżące na nich

długie skrzynie. Słychać było szum urządzenia chłodzącego powietrze w całym pomieszczeniu. Poza tym panowała zupełna cisza, nie dostrzegli też najmniejszego poruszenia.

— Chodźmy, majorze — powiedział Litwa nerwowym głosem. — Tutaj nie mógł schować się tak, żebyśmy go nie widzieli.

Zapalił lampkę kontrolną swojego miotacza, która rozświetliła odrobinę najciemniejsze kąty.

Khuw przycisnął łokcie do boków i zadrżał.

— No dobra, ale nie powinniśmy się spieszyć. — Zaczął wolno obracać się w stronę wyjścia. Nagle zatrzymał się i nadstawił uszu. — Słyszałeś coś? — zapytał głośnym szeptem.

Litwa nasłuchiwał przez chwilę.

— Nie, to tylko pompy — odrzekł.

Khuw podszedł do stołów.

— A może, jak już tu jesteśmy — powiedział — zobaczymy, czym właściwie Agurski się tu zajmował? Nie znasz go tak dobrze jak ja. — Zadrżał, ale tym razem nie z zimna. — Jeśli chodzi o zmarłych, miewa niesamowite pomysły!

Zajrzał do pierwszej skrzyni. Leżała w niej Klara Orłowa. Jej nagie ciało było mleczno białe. Ciemna pręga na jej szyi wyglądała jak czarna, welwetowa wstążka — śmiertelna, przerażająca rana.

Mężczyźni podeszli do następnego pudła. Leżący w nim młody żołnierz miał otwarte oczy, a na jego twarzy zastygł grymas strachu.

Kolejna skrzynia była pusta i kiedy Khuw ruszył do czwartej z rzędu, Litwa szybkim krokiem przeciął pokój i zbliżył się do metalowego stołu. Tymczasem major odnalazł drugiego żołnierza. Ruszył w kierunku przedostatniego pojemnika, gdy nagle...

— Eryk! — krzyknął zaszokowany Litwa z drugiego końca pomieszczenia.

— Co takiego? — Khuw długimi krokami podszedł do przerażonego Litwy. Rzeczywiście, w pudle leżał oficer KGB, Eryk Bildarew, którego zniknięcie stanowiło jedną z tajemnic Projektu. Był nagi i, oczywiście, martwy. W miejscu, gdzie powinno znajdować, się jego serce, widniała poszarpana, krwawa wyrwa. Khuw ścisnął Litwę za ramię.

— To dowód, którego potrzebowaliśmy. Sawinkow miał absolutną rację! — wycharczał.

Z rzędu stołów doleciało ich uszu długie, głuche westchnienie.

— Chryste Panie! — wrzasnął Litwa i błyskawicznie obrócił się w tamtą stronę. W dwóch ostatnich skrzyniach, których jeszcze nie sprawdzili, coś się poruszyło i sztucznie, jak w zwolnionym filmie, usiedli w nich Andriej Roborow i Nikołaj Rublow.

Nieprawdopodobne, bo nawet przy tak marnym świetle widać było liczne obrażenia

na ich zmasakrowanych ciałach. Przeciągle spojrzeli na intruzów i uśmiechnęli się szatańsko — ich górne kły były tak długie, że sięgały daleko poniżej dolnej wargi.

Pierwszy oprzytomniał Khuw.

— Spal ich! — krzyknął przeraźliwie. — Na co czekasz, człowieku?! Spal ich!

— Czyżby? — odezwał się od strony drzwi złośliwy, znajomy głos. — No to módl się, żeby to nie był jeden z miotaczy, które zdążyłem opróżnić.

Jak na komendę obrócili się w kierunku wyjścia. Agurski właśnie się cofnął na korytarz i zatrzasnął za sobą ciężkie drzwi. W zamku zachrobotał klucz.

— Zaczekaj, Wasyl! — jęknął Khuw.

— O nie, majorze! — Głos naukowca był przytłumiony grubą przegrodą. — Odkryliście moją tajemnicę i nie mam teraz chwili do stracenia. — Usłyszeli, że się oddala...

Roborow i Rublow zdołali już niezgrabnie wygrzebać się ze swoich legowisk. Khuw podbiegł do drzwi. Dziękował Bogu, że nogi posłuchały jego roztrzęsionego umysłu. Miał nadzieję, że ręce będą równie posłuszne osłabionej woli. Szybko wyciągnął z kieszeni gruby pęk kluczy. Zerknął jeszcze przez ramię. Trupy wlokły się w kierunku Litwy, który nie był w stanie wykonać najprostszego ruchu.

— Co ty wyprawiasz, idioto! — krzyknął major wściekle. — Spal ich, do cholery! Spal te potwory!

Litwa jakby otrząsnął się z transu. Podniósł rurę miotacza, wycelował i nacisnął spust. Coś syknęło i zgasła nawet lampka kontrolna.

— O Boże! — wrzasnął Litwa i rzucił się do ucieczki przed sięgającą jego gardła potworną ręką Roborowa.

Khuw wypróbował dotąd zaledwie połowę kluczy. W niemal całkowitych ciemnościach przestał się orientować, które już sprawdził i teraz każdy niewłaściwy po prostu rzucał na podłogę.

— Otwórz te drzwi! Na miłość boską. Otwieraj! — wydarł się histerycznie Litwa. Khuw, także nie panując nad sobą, rzucił w niego pozostałymi kluczami.

— Sam je sobie otwórz! — Chwycił automat i wycelował go w nadchodzące... wampiry (właśnie tak o nich pomyślał).

Uśmiech Roborowa stał się obrzydliwie słodki.

— Co za spotkanie, majorze? Chyba po raz pierwszy ktoś widzi, jak poci się pan z autentycznego strachu — przemówił grobowym głosem.

— Cofnij się! — warknął Khuw.

— Cofnąć się? — zarechotał tamten zjadliwie. — Przecież ja jeszcze do ciebie nie podszedłem!

A jednak obaj stali już niemal w zasięgu ręki Khuwa, a Litwa wciąż tylko trzaskał kluczami i przeklinał. Khuw nie czekał dłużej i nacisnął spust. Maszyna buchnęła ciągłym, niepowstrzymanym ogniem. Dopiero kiedy po kilku sekundach umilkł przeraź-

liwy stukot broni i powietrze, zasnute dymem, przeczyściło się, major mógł ocenić skuteczność (a raczej nieskuteczność) swojego działania. Co prawda, siła uderzenia serii kul odrzuciła trupy o dobrych parę metrów, ale... nic poza tym. Już po chwili wampiry podniosły się z podłogi.

Litwa desperacko manipulował w zamku jednym z ostatnich kluczy. Zasuwa puściła. Oficer westchnął z ulgą i popchnął szerokie skrzydło. Khuw deptał mu po piętach. Sięgnął jeszcze po zablokowany miotacz i obaj wytoczyli się na korytarz. Zamknęli za sobą drzwi i ciężko się o nie oparli.

Khuw zważył w rękach pojemnik miotacza. — Nie wydaje się, żeby był pusty — wymamrotał. — Co? — drżącym palcem wskazał dwie skale wyraźnie widoczne na obudowie. — Dałeś zbyt dużo powietrza, głupcze!

Odpowiednio zbalansował wskaźniki i wypróbował broń, celując w głąb korytarza. Bluznęła białobłękitnym płomieniem. Zgasił ogień.

— Otwieraj! — zwrócił się do głośno oddychającego Litwy.

Ten, nie ociągając się, szarpnął drzwi. W szerokim otworze dostrzegli za plecami Roborowa i Rublowa następne ruszające się sylwetki. Khuw nie czekał, aż się zbliżą. Ogniem z miotacza powstrzymał je i zamienił w dymiące, skwierczące ochłapy. Nie przyglądali się im dokładniej, szybko wycofali za zamkniętą przegrodę.

— Tam nie było Grenzla, majorze! — przypomniał sobie przerażony Litwa.

To otrzeźwiło Khuwa.

— Masz rację — wycedził. Nagle dotarło do niego prawdziwe znaczenie tego faktu i jego oczy rozszerzyły się w panice. — Chcesz powiedzieć, że teraz jest ich dwóch na wolności?!

— Dokąd idziemy? — zapytał opanowany już Litwa. Także mózg Khuwa zaczął pracować normalnie.

— Dokąd? — spojrzał bystro przed siebie. — A co ty byś robił na ich miejscu w takiej sytuacji? — Nie czekając na odpowiedź pobiegł korytarzem.

— Ech! — Litwa bez namysłu podążył jego śladem.

— Wiemy, kim są — wysapał Khuw — a oni zdają sobie sprawę z tego, jak postępujemy w takich przypadkach. Nie mogą pozwolić się spalić! Muszą nas zabić, zanim my ich zgładzimy. Znajdziemy ich w...

— Centrum Systemu Bezpieczeństwa! — dokończył za niego Litwa.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Koniec Perchorska — Harry i Karen

Czyngiz Khuw i Litwa próbowali umknąć przeznaczeniu. To był wyścig o życie. W każdej chwili spodziewali się usłyszeć jednoznaczny brzęk dzwonków alarmowych Łuchowa.

Khuw próbował połączyć się z Centrum telefonicznie, jednak kable przy aparatach były poprzerywane. Agurski okazał się zapobiegliwy. Litwa z całych sił walił we wszystkie napotkane drzwi.

— Uciekajcie, uciekajcie, uciekajcie! — krzyczał co kilkadziesiąt kroków. Khuw oddawał w powietrze ogłuszające serie. Huk strzałów miał postawić na nogi najbardziej opieszałych i niezdecydowanych. Nie działały bowiem żadne lokalne sygnały ostrzegawcze.

W końcu dotarli na najwyższy poziom Projektu. Na korytarzu kręciło się mnóstwo ludzi, ale byli oni niezorganizowani i oszołomieni. Kilkunastu żołnierzy gotowych do natychmiastowego ataku penetrowało pomieszczenia. Reszta nie bardzo wiedziała, co z sobą zrobić i bezładnie tłoczyła się w wąskich przejściach.

— Uciekać! Wynocha! Nie słyszycie, co mówię? — Khuw i Litwa przekrzykiwali się nawzajem w tym ogólnym bałaganie. Rozwścieczeni bezmyślnością ogłupiałej załogi, musieli łokciami, na siłę torować sobie drogę. Do przejścia pozostało im nie więcej niż trzydzieści metrów. Na ostatnim odcinku prowadzącym dwoma ostrymi zakrętami do samego Centrum zwolnili kroku. Z niewidocznej części korytarza doleciała ich uszu jakaś strzelanina. Za pierwszym zakrętem nie dostrzegli niczego niepokojącego. Dalej ujrzeli metalowe drzwi broniące dostępu do kluczowego w tej chwili pomieszczenia Projektu. Natychmiast się cofnęli, powstrzymani niebezpiecznie bliskimi uderzeniami kul. Błyskawicznie zorientowali się w sytuacji.

Przy pancernych wrotach stał Leo Grenzel. Rozbroił już dwie z potężnych zasuw zamykających przegrodę i energicznie manipulował przy trzeciej — ostatniej. Robił to lewą ręką, w prawej trzymał w pogotowiu duży karabin.

Po obu stronach korytarza w płytkich niszach kuliło się paru uzbrojonych żołnierzy. Co jakiś czas któryś z nich na oślep puszczał w kierunku drzwi długą serię, ale nie robiło to na stojącym przy nich mężczyźnie większego wrażenia. Co prawda, dosięgło go już wiele kul — o czym świadczyły liczne, najwyraźniej świeże rany, a jednak wciąż tak samo pewnie trzymał się na nogach. Co gorsze, mógł sobie pozwolić na większą doskonałość przy regularnych kontratakach i już dwóch żołnierzy przypłaciło życiem swój udział w tej nierównej potyczce.

— Kto tu dowodzi? — krzyknął Khuw zza rogu.

— Ja. — Z jednej z nisz na moment wychyliła się głowa sierżanta. Sylwetka telepaty była nienaturalnie powyginana. „Ma strzaskany kręgosłup" — pomyślał Khuw. W następnej sekundzie pochwycił miotacz ognia, który Litwa zabrał tu z sobą.

— Osłaniajcie mnie! To ma być ściana ołowiu, słyszeliście? Zróbcie to dobrze, a rozprawię się z tym drańskwem! Najpierw jednak zgaście tę piekielną lampę — chłopaki!

— Na pewno pan wie, co chce zrobić? — usłyszał w odpowiedzi. — Ta postać nie wydaje się być zwykłym człowiekiem, majorze! „Masz rację" — przytaknął mu w myśli Khuw.

— Nie pora na dyskusje. Po prostu wykonajcie rozkaz i po pierwsze wyłączcie światło, sierżancie!

Padł celny strzał i w korytarzu zapanowała niemal idealna ciemność.

— Teraz! — zawołał Khuw. Kiedy uznał, że strzelanina nie może już bardziej przybrać na sile, z biciem serca wyskoczył zza osłaniającego go załamania. Po przebiegnięciu kilku kroków przykucnął i nacisnął spust miotacza. Jaskrawe płomienie niemal natychmiast dosięgły zniekształconej postaci, ale Khuw nie wstrzymał buchającego przed nim ognia. Tym razem Grenzel znalazł się w prawdziwym potrzasku. Khuw zimnym wzrokiem przyglądał się jego agonii. W końcu paliwo wyczerpało się i... z wampira pozostała jedynie obrzydliwa brunatna kałuża. W powietrzu rozniósł się nieznośny odór spalonego ciała.

Major odwrócił bezwzględne oczy od cuchnących resztek.

— Odtąd odpowiadasz za bezpieczeństwo swych ludzi. Jak najszybciej wyprowadź ich na zewnątrz. Wykonać!

Odpowiedzią był tylko głośny stukot twardych wojskowych butów. Khuw i Litwa podeszli do grubych drzwi. Dobiegi zza nich przytłumiony, przerażony głos Łuchowa.

— Dlaczego tam jest tak cicho? Co się dzieje? Kto tam jest? — zawołał.

— Wiktor? — odezwał się Khuw. — To ja, znasz mnie przecież, otwórz!

— Nie! — Nadeszła szybka odpowiedź. — Nie wierzę ci. Nie oszukasz mnie, idź sobie!

Khuw i Litwa spojrzeli po sobie zdezorientowani. Ale teraz domyślili się, skąd taka reakcja dyrektora. Agurski musiał ich jednak uprzedzić, tylko że nie udało mu się po-

dejść ostrożnego Łuchowa.

— To naprawdę ja, Wiktorze! — powtórzył Khuw z rozpaczą.

— Dlaczego więc nie masz klucza?

Khuw odetchnął z ulgą. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślał. Klucz posiadali wszyscy, którzy pełnili w Centrum dyżury. Na moment serce mu stanęło, kiedy przypomniał sobie, że pozostawił je na podłodze w prosektorium. Na szczęście ten właściwy zaczepiony był wciąż na kółku. Major pośpiesznie wyłuskał go spośród nielicznych pozostałych kluczy i przekręcił w zamku. Popchnął metalowe skrzydło i przeraził się.

Stał na wprost Łuchowa, którego palec drgał histerycznie na spuście miotacza ognia.

— Boże! — jęknął dyrektor, opuszczając wylot rury w ostatnim momencie i rozluźniając napiętą dłoń. — To naprawdę ty! — Półprzytomny opadł na fotelik. Blady, z rozbieganymi oczami, kompletnie nad sobą nie panował. Khuw delikatnie wyjął mu z rąk śmiercionośne urządzenie.

— Co się stało, Wiktorze? — zapytał łagodnie.

Dyrektor uspokoił się na tyle, że mógł odpowiedzieć na jego pytanie.

— Kiedy mnie tu zostawiliście — zaczął drżącym głosem — próbowałem zadzwonić. Połowa linii była zerwana, ale udało mi się połączyć z głównym wejściem, jeszcze w przełęczy, i powiedziałem strażnikom o Agurskim. Tę samą wiadomość przekazałem jeszcze w kilka innych miejsc. Tu, w Projekcie, zarządziłem dodatkowo natychmiastową ewakuację. Prosiłem o spokój, ale nie jestem pewien, czy mnie posłuchano... Potem zrozumiałem, że to bez sensu! Agurski od razu zorientował się, o co tu chodzi. Nie ma szans na utrzymanie tego w tajemnicy wyłącznie przed nim... I rzeczywiście! Przyszedł tu jak na życzenie. Zawołał, że chce ze mną poważnie porozmawiać. Odparłem, że nie mogę go tu wpuścić. On na to, że wie, iż znam jego tajemnicę. Chciał to wyjaśnić. Powiedziałem, że mnie zabije. Wtedy się zdenerwował i zaczął krzyczeć, że i tak nie powstrzymam go od spalenia Projektu i od pozabijania nas wszystkich! W końcu się uciszył i odszedł. Pomyślałem sobie, że wystarczy przecież, że zabije któregokolwiek z oficerów służbowych i przywłaszczy sobie jego klucz...

Co prawda, miałem tu karabin, ale pamiętałem dobrze ten przypadek z dwoma żołnierzami. Poczekałem kilka minut, najszybciej jak potrafiłem otworzyłem drzwi i porwałem ze ściany najbliższy miotacz. A on tam ciągle był! Zdążyłem uciec i...

— Widziałeś go? — zapytał Khuw podekscytowany.

— Tak — westchnął tamten. — Wyglądał zupełnie inaczej! Zupełnie! Kształt głowy, nieludzkie ciało... Jak jakieś nieznane, potworne zwierzę. Jego oczy... były zupełnie czerwone, przysięgam! W każdym razie, zdołałem jakoś zatrzasnąć za sobą drzwi i zasunąć wszystkie zamki. Zachowywał się na zewnątrz jak szaleniec! Przeklinał, groził mi i wa-

lił pięściami. Nareszcie chyba się tym zmęczył i odszedł na dobre.

Khuw poczuł, że wstrząsają nim dreszcze.

— Co z Bramą? — zapytał.

— Tam nie zdołałem dotrzeć. — Cała trójka odruchowo spojrzała na monitory. Na twarzach żołnierzy wpatrzonych w świetlistą kulę rysowało się napięcie.

Potem zgodnie przenieśli wzrok na aparat telefoniczny, jak gdyby po raz pierwszy w życiu usłyszeli sygnał dzwoniącego telefonu. Najpierw oprzytomniał Khuw i szybko sięgnął po słuchawkę.

— Tak?

— Tu Grudow, z głównego wejścia — odezwał się zdenerwowany głos. — Mieliśmy tu przed chwilą Agurskiego.

— Co? — Major pochylił się z wrażenia nad aparatem. — Widzieliście go? A może już nie żyje?

— Strzelaliśmy i jestem pewien, że go trafiliśmy. Ale on nas po prostu zignorował! Użyliśmy miotaczy ognia i...

— Tak?

— Wycofał się do wnętrza Projektu. Myślę, że go trochę przypiekliśmy — poinformował Grudow.

— Myślisz?

— Wszystko działo się tak szybko!

— Są tam na zewnątrz jacyś ludzie? — zapytał major.

— Tak, i to wielu. I wciąż nadchodzą następni. Przywołałem ciężarówki. Zaraz ich stąd zabiorą.

— Dobry pomysł! A teraz słuchaj: wypuszczaj każdego oprócz Agurskiego. Nie może się stąd wydostać żywy. Masz prawo użyć przeciwko niemu wszelkiej broni, rozumiesz?

— Tak jest!

— Wykonać!

Khuw odłożył słuchawkę i odwrócił się do pozostałej dwójki.

— Domyślacie się, że ciągle tu jest — powiedział. — A poza nim już tylko my i kilku maruderów. No i ta garstka żołnierzy przy Bramie.

— Pierwszy z guzików uruchamia alarm oznaczający stan pogotowia, zgadza się? — odezwał się major.

Łuchow skinął głową.

— Jeśli wciąż działa — zauważył logicznie.

Khuw wyciągnął rękę. Zrobił to tak szybko, że Łuchow nie zdążył nawet zaprotestować. System działał. W całym Projekcie rozległ się monotonny, świdrujący w uszach i szarpiący nerwy dźwięk klaksonów.

— Co ty wyprawiasz? — Dyrektor był wyraźnie poirytowany faktem, że pominięto jego zdanie przy podejmowaniu tak ważnej decyzji.

— Wykurzam stamtąd naszych dzielnych żołnierzy — wskazał głową ekrany monitorów. Tam, na dole, niedawny spokój i porządek legł w gruzach. Wystarczyły sekundy, by nerwy znajdujących się tam młodych ludzi odmówiły im posłuszeństwa. Przewidziani jako ostatnia tarcza obrony, bez namysłu porzucili swe stanowiska i w panice popędzili do wąskiego gardła wylotu tunelu. Jakiś sierżant wyszarpnął z kabury pistolet i strzałem w powietrze próbował powstrzymać swych podkomendnych, ale jednomyślnie zignorowany, rzucił broń na deski pomostu i popędził za innymi.

— Agurski nie ma prawa stąd się teraz wydostać — powiedział. — Wiemy, że jest gdzieś w środku i weźmiemy go „w dwa ognie". Żołnierze idą do góry — my zaś będziemy schodzić w ich kierunku, jasne?

— Jak najbardziej — odparł Łuchow, wciąż nieco urażony. — Ale ja tu zostaję. Przynajmniej będzie pewne, że się tu nie dostanie poza waszymi plecami. No i nie mam zamiaru ryzykować spotkania z nim, sam na sam, na tym krótkim odcinku do głównego wyjścia!

— W porządku. — Khuw skinął głową gestem dowódcy. — Z tym, że będzie nam potrzebny twój miotacz. Trzymaj, lepsze to niż nic. — Wręczył dyrektorowi swój automat.

Łuchow odprowadził ich do drzwi.

— Powodzenia — powiedział krótko, już bez śladu niedawnej niechęci.

— Nawzajem — odparł Khuw i wyszedł z Litwą na korytarz. W połowie drogi do jądra Projektu natknęli się na wystraszonych żołnierzy. Ci bez rozkazu stanęli przed oficerami na baczność. Major znany był przecież z wyjątkowej surowości. Tym razem jednak jego reakcja na tę jawną niesubordynację okazała się zaskakująco łagodna.

— Wszystko w porządku — uspokoił ich Khuw wyrozumiale. — Nie macie się czego obawiać. Szukamy maniaka grasującego po korytarzach. To Wasyl Agurski, naukowiec. Czy ktoś go widział?

— Nie towarzyszu majorze — zasalutował przed nim sierżant, który uprzednio strzelał na postrach z pistoletu. — Przykro mi, że tak się daliśmy ponieść panice, ale jakiś czas temu straciliśmy z resztą kompleksu łączność telefoniczną i w każdej chwili spodziewaliśmy się poważnych problemów. I kiedy usłyszeliśmy dzwonki...

— Nie ma o czym mówić! — przerwał mu Khuw. — Zrobiliście dokładnie to, czego od was oczekiwałem. Macie się stąd po prostu jak najszybciej wydostać. Poza Projekt, zrozumiano?

— Nie sądzisz, że przydałaby się nam ich pomoc? — zapytał Litwa, chwytając majora za ramię. Ten potrząsnął głową przecząco.

— Po ich odejściu — wszystko, co się przed nami poruszy, będzie Agurskim. I cokol-

wiek to będzie — musi zginąć! Chodźmy.

Samotnie ruszyli dalej w głąb Projektu, sprawdzając wszystkie pokoje i laboratoria...

Kilka poziomów wyżej Wiktor Łuchow usłyszał w chwilę potem stukot licznych kroków żołnierzy, mijających w pośpiechu gabinet Centrum. Wygodnie usiadł w foteliku i powrócił do przerwanych rozmyślań, wpatrując się w monitor kontrolny. Nigdy dotąd nie zastanawiał się głębiej nad postawą Khuwa: uważał go za zwykłego brutala o zimnym sercu. A jednak teraz...

Łuchow zastanawiał się, czy czegoś nie przeoczył. Uważnie przyjrzał się środkowemu obrazowi. Przetarł oczy i ponownie wlepił wzrok w rozświetlony blaskiem kuli ekran. Niestety, nie było mowy o pomyłce.

Górna część sfery zmatowiała i jak za mgłą było w niej widać jakieś poruszenie. Dyrektor nie chciał uwierzyć w coś, na co przecież przez cały czas czekał. Jeszcze bardziej wytężył wzrok. Olbrzymia, nieznajomych kształtów sylwetka stawała się z minuty na minutę coraz wyraźniejsza. Przypominała Przybysza Pierwszego w wersji znacznie, znacznie większej. Istota zbliżała się szybciej niż którykolwiek z poprzednich gości. Jeszcze chwila, a Przybysz Szósty przybędzie...

— Boże! — Żyły na skroni Łuchowa pulsowały w niesamowitym tempie. — W takiej sytuacji...

Gdzieś w pobliżu Bramy znajdowali się Khuw i Litwa. Nie potrafił o nich zapomnieć. Chcieli złapać Agurskiego. A tymczasem źródło niebezpieczeństwa wytrysnęło w innym miejscu. Łuchow drżącym palcem nacisnął przycisk oznaczony dwójką. Pragnął przynajmniej ich ostrzec przed katastrofą... W głębi duszy wiedział, że jego nadzieje są płonne.

Khuw i Litwa starali się iść jak najbliżej siebie. Poruszali się wolno i ostrożnie. Dotarli do korytarzy pogrążonych w niemal absolutnej ciemności. Rozpraszali je skąpymi światełkami lampek kontrolnych miotacza ognia.

Nagle obok denerwujących, przytłumionych teraz dzwonków dobiegł ich uszu diaboliczny, złośliwy chichot.

— Słyszałeś? To za nami! — Khuw błyskawicznie spojrzał za siebie.

— Nie — wyszeptał Litwa dramatycznie i aż przykucnął z wrażenia. — Raczej przed nami!

— Trudno powiedzieć — zgodził się Khuw. — Zaczynam podejrzewać, że może być wszędzie!

Skręcili w prawo i zaczęli schodzić wąską, drewnianą trasą. Tak znajomą i tak obcą w tej chwili. Nieoczekiwanie hałas alarmu wzmógł się wielokrotnie.

— Co u diabła? — parsknął Litwa.

— To Łuchow — powiedział Khuw jednocześnie. — Daje nam do zrozumienia, że

coś jest nie w porządku. Zwariował chyba — przecież nie musi nam o tym przypominać!

Rozległ się chichot. Tym razem nie mieli wątpliwości, że dobiegł spoza ich pleców. Mogli też bezbłędnie rozpoznać głos Agurskiego.

— To on nas tropi, majorze! — zauważył Litwa rozsądnie.

— No to pociągniemy go jeszcze trochę. — Khuw energicznie ruszył przed siebie i stanął przed wylotem cylindra, którym biegły schody prowadzące do samego jądra Projektu. Zanim jednak zdołał zniknąć w tunelu, Litwa spazmatycznie chwycił go za łokieć.

— Niech pan patrzy, majorze! — wychrypiał.

Tam, skąd nadeszli coś się poruszyło. Nagle, splątane kable ułożone wzdłuż chropowatych ścian naprężyły się i przy końcu prostego odcinka korytarza zabłysło niebieskie, jarzące iskrami światło. Ktoś spowodował silne spięcie. Równocześnie doleciał stamtąd nieludzki krzyk bólu pomieszanego z... triumfem? Na rozjaśnionej ścianie widoczny był powiększony cień monstrum.

Nie wierzyli własnym oczom. Pojedynczy cień zafalował i zaczął się rozszczepiać. Obrazowi towarzyszył teraz trzask rozdzieranego płótna. Po chwili podział był dokonany. Monstrum zastąpione zostało przez dwa potwory: jednego o sylwetce zbliżonej do zniekształconego człowieka i jakieś zwierzę, do złudzenia przypominające wilka. Jeszcze ostatnia fontanna iskier i... wszystko znikło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tylko, że te czary były aż nadto prawdziwe.

Mężczyźni bez słowa weszli na schody.

— Jeśli zamierza on... to... Jeśli zamierzają też tutaj zejść, nie mogą nas minąć niepostrzeżenie — odezwał się Litwa.

Khuw miał tak wyschnięte gardło, że nie znalazł siły na wyduszenie odpowiedzi. „Ma rację" — pomyślał tylko.

Jakże się obaj mylili!

Nie byli znawcami wampirzej natury i ich możliwości. Podwojony Agurski, a raczej to, co z niego pozostało po licznych metamorfozach, wybrał inną drogę. Wyprzedził polujących na niego mężczyzn, przemykając pod nimi. A taka ewentualność nie przyszła im nawet do głowy.

Uderzył u samego wylotu z cylindra, na opoczniku przed prostopadłym skrętem schodów w lewo. Coś długiego, zwinnego wspięło się po otaczającej platformę balustradzie i owinęło wokół talii Litwy. Z przeraźliwym krzykiem oficer zniknął, pociągnięty w dół przez nieludzko silnego stwora. Jego miotacz bluznął pojedynczym płomieniem i razem z nim spadł w przepaść na dno groty. Khuw błyskawicznie przechylił się przez barierkę, ale było już za późno na wszelki ratunek.

Litwa został porwany przez stwora bliźniaczo podobnego do Przybysza Trzeciego

w jednej z jego najbardziej obrzydliwych postaci — gigantycznej pijawki. Przyssała się teraz do twarzy i górnej części ciała swej ofiary. Potem wypuściła odrażające, długie odnóża i oplotła nimi całą postać mężczyzny. Rozległ się trzask gruchotanych kości.

Khuw otrząsnął się z pierwszego przerażenia, wycelował w dół swój miotacz i histerycznie nacisnął spust. Ogień w mgnieniu oka pochłonął obie sylwetki. Khuw nie mógł powstrzymać krzyku, wypełnionego strachem i wstrętem. Nie był też w stanie zwolnić zesztywniałego palca z cyngla i opanował się dopiero wtedy, gdy płomień sam zamarł z cichym sykiem. Koniec paliwa. Doszedł go rechot Agurskiego. Tym razem Khuw go zobaczył. Nie kryjąc się dłużej, potwór zbliżał się do niego z łakomie wyciągniętymi ramionami.

Major porzucił broń i potykając się zbiegł po schodach, zatrzymując się na moment już na „pierścieniach Saturna". Zerknął przez ramię. Agurski niemal deptał mu po piętach. Khuw krzyknął na widok wielkiej paszczy, wypełnionej ledwo mieszczącymi się w niej zębiskami. Bez namysłu popędził w stronę najbliższego działa.

— Cholera! — zaklął z rozpaczą, kiedy dotarło do niego, że nie ma pojęcia, jak się nim posłużyć!

W ostatnim momencie zmienił zamiar i podążył prosto w kierunku ścieżki wiodącej już tylko do Bramy. Pokonanie kładki zajęło mu kilka sekund. Na szczęście bramka była otwarta i wydawało się, że już nic nie powstrzyma go przed ucieczką w białą sferę, gdy nagle...

Khuw stanął jak wryty. Zdążył to zrobić na moment przed zderzeniem z czymś, co nawet Agurskiego powstrzymało przed dalszym pościgiem.

Na górze, w Centrum Systemu Bezpieczeństwa, Wiktor Łuchow wiedział, że nie może czekać na rozwój wypadków. Jednym ruchem zwolnił blokadę i rzeka łatwopalnej cieczy popłynęła wyludnionymi korytarzami Projektu. Dyrektor nie mógł patrzeć na błagalny wzrok Khuwa i jego nieme nawoływanie.

— Na miłość boską, Wiktorze! Zrób to! Zlituj się nade mną! — krzyczał w panice.

Tam, w jądrze kompleksu, major nie zwracał już najmniejszej uwagi na krwiożercze zapędy Agurskiego. Na twarzy czuł już niemal ciepło cuchnącego oddechu czegoś stokroć bardziej, przerażającego i niewiarygodnego. Z Bramy pochylała się ku niemu gigantyczna bestia o twarzy... Karla Wiotskiego. Był on tak odmieniony, że nawet jednakowo bezwzględna dla każdego, jednokierunkowa Brama przepuściła go z powrotem tą samą drogą. Potwór do połowy wysunął się z kuli i... pochłonął obie mikroskopijne przy nim figurki. To był jednak pierwszy i ostatni jego wyczyn na Ziemi. W następnym momencie sam został pochłonięty przez wszechobecny ogień, który wybuchł w końcu w sercu Perchorska. Jeszcze sekunda — i potężna eksplozja wstrząsnęła posadami Projektu.

Wiktor Łuchow ocalał. Wiedział, że po uruchomieniu pomp ma do wybuchu dwie,

trzy minuty. To wystarczyło na dobiegnięcie do głównego wyjścia, wskoczenie do ostatniego z samochodów ewakuujących załogę kompleksu i oddalenie się od niego na bezpieczny dystans.

Nie ujechali daleko, gdy poczuli na plecach falę gorącego powietrza. Za nimi wystrzeliło w niebo gigantyczne ognisko, ostatecznie zamykające historię Perchorska...

Od czasu, gdy Harry ukończył ósmy rok życia, regularnie niepokoił go ten sam senny koszmar. Teraz jednak straszne obrazy natrętnie pojawiały się nawet na jawie.

Nie potrafił powiedzieć — skąd brały swój początek. Może z jakiejś dawno zapomnianej, starej książki medycznej może przeniknęły do jego umysłu za sprawą jakiegoś zmarłego a może po prostu były to prorocze przebłyski przeznaczenia. W każdym razie wryły się w pamięć z wielką dokładnością.

I teraz znów Harry ujrzał przed oczami swej wyobraźni wnętrze długiego korytarza o ceglanych ścianach. Wzdłuż jednej z nich ustawiono sześć potężnych drewnianych stołów — jeden przy drugim. Na ostatnim z blatów leżał na plecach wychudzony mężczyzna. Najwyraźniej był głodzony — wyglądał jak szkielet obciągnięty bladą, niemal przezroczystą skórą. Głowę miał uwięzioną między dwoma dużymi drewnianymi klockami, a czoło przewiązane mocnym rzemieniem. Także ramiona i nogi przywiązano do stołu skórzanymi paskami.

U jego stóp stało kilku mężczyzn i kobieta, wszyscy w długich, białych fartuchach. Zaciskali wargi i tylko od czasu do czasu kręcili głowami. Nagle kobieta oddaliła się od reszty milczącego towarzystwa i znikła w głębi łukowego przejścia do niewidocznej części holu. Po chwili wróciła. W rękach trzymała tacę, na której leżał cuchnący kawał gnijącej ryby. Chwyciła ochłap w dwa palce i zbliżyła go do otwartych ust skrępowanego nieszczęśnika.

Potem cofnęła rękę i wolno przeszła wzdłuż stołu, ciągnąc rybę po ich drewnianej powierzchni. Zostawiła mięso razem z tacą na pierwszym blacie i wyszła. Stanęła za parawanem i zimnym wzrokiem obserwowała rozwój wypadków przez wycięty w nim otwór.

Nie czekała długo na efekt swego działania. Z ust mężczyzny wypełzł wkrótce czarny, oślizły stwór. Żarłocznie węszył w powietrzu w poszukiwaniu pożywienia i w końcu napotkał ślad jego odoru. Jak po sznurku podążał teraz wyznaczoną trasą. Na stoły wydostały się kolejne segmenty jego wstrętnego, robaczego ciała. Był ślepy, ale głód bezbłędnie prowadził go w kierunku paskudnego jadła. I naraz wszystko stało się jasne: mężczyzna był wychudzony, ponieważ pasożyt wysysał z niego ostatnie życiodajne soki. Doktorzy głodzili więc nie człowieka, lecz żywiącego się jego kosztem pasożyta.

Potwór wydawał się nie mieć końca. Przebył już pierwszy, drugi, i jeszcze jeden stół. Nareszcie, gdy węszący przód znalazł się na czwartym blacie, jego długie ciało rozczepi-

ło się na drugim końcu — to był jego ogon. Pełzł dalej, pozostawiając za sobą obrzydliwą, krwistą smugę. Na to jeden z „doktorów" ostrożnie zbliżył się do charczącego mężczyzny.

Pasożyt dotarł do tacy... Szybki ruch sprawnej ręki kobiety, uzbrojonej teraz w ostry, rzeźnicki toporek, i łeb bestii oddzielił się od reszty ciała. Z jego wnętrza zaczęły wylewać się odrażające, lepkie wnętrzności.

W tym czasie mężczyzna w fartuchu podszedł do głowy leżącego i błyskawicznie zatkał mu usta ręką. W ten sposób odciął potworowi odwrót...

Niezmiennie w tym samym punkcie koszmaru, Harry, jęcząc przez sen z obrzydzenia, budził się zlany potem.

Teraz przywrócił go do rzeczywistości głos Karen. Siedzieli przy stole w jej jadalni. Keogh miał nadzieję, że nie udało jej się wniknąć w jego umysł w ciągu ostatnich kilku minut. O coś pytała, ale Harry nie usłyszał.

— Wybacz — powiedział przepraszająco. — Nie uważałem przez moment.

— Mówiłam — powtórzyła z uśmiechem — że już od trzech wschodów i zachodów słońca jesteś moim gościem, a ja wciąż nie wiem czemu tak naprawdę zawdzięczam tę wizytę. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś przebywał w mojej siedzibie z własnej, nieprzymuszonej woli i czysto bezinteresownie.

„I pewnie się nie zdarzy. Robię to dla mojego syna" — pomyślał.

— To dlatego, że stanęłaś po stronie Rezydenta, kiedy ciebie potrzebował — skłamał Harry, zatrzymując w myśli szczere odpowiedzi na jej wątpliwości. — No i byłem bardzo ciekaw, jak mieszka Lady. „I chciałem się dowiedzieć, czy można wyleczyć ciebie i mojego syna" — Harry zapytał w myślach.

Wzruszyła ramionami, najwyraźniej nie przekonana.

— Już na wylot znasz mój zamek, Harry. Co jeszcze tu ciebie zatrzymuje? Nie żywisz się nawet tutaj. Nie pijesz mojej wody. Czyżby pociągało cię... ryzyko?

— Masz na myśli twojego wampira? — uniósł brwi. — To znaczy pasożyta, który zawładnął twoim sercem, ciałem i umysłem?

— Oczywiście. Z jedną poprawką — to nie jest mój wampir. Stanowimy jedno ciało i jesteśmy jednością. — Roześmiała się nieszczerze. — No cóż, kiedyś, kiedy z nim walczyłam, nie traktowałam go w ten sposób. Ale przegrałam tę wewnętrzną walkę. Po wojnie w Ogrodzie ostatecznie pogodziłam się ze swoim wcieleniem. To właśnie w czasie potyczki, nakarmieni krwią i potęgą, mój wampir i ja dojrzeliśmy i staliśmy się prawdziwymi wampirami.

— To ostrzeżenie?

Odwróciła wzrok i niecierpliwie potrząsnęła głową.

— Rzeczywiście sądzę, że już najwyższy czas, żebyś stąd odszedł. To nie miejsce dla takich jak ty, zwykłych ludzi.

— Ja, zwykły człowiek? Kiedy przebudziłem się ostatnio w swojej komnacie i spojrzałem przez okno na ostre szczyty, wydawało mi się, że stałaś przy mnie przed chwilą.

— Byłam tam, Harry — westchnęła. — Wiesz, że nie jesteś mi obojętny.

— Ja? Czy raczej moja krew? Jak to możliwe?

— Zwyczajnie. Nigdy nie przestanę być przecież kobietą. Niestety, rządzą mną potrzeby wampira i uczucia nie mają dla mnie decydującego znaczenia...

— Nie musisz pić krwi...

— Mylisz się. Krew to życie!

— A jednak nie widziałem, żebyś coś jadła odkąd tu jestem.

Sam jadał w Ogrodzie. Podróżował oczywiście wstęgą Möbiusa. Były to raczej przekąski niż prawdziwe posiłki, bo nie chciał zostawiać jej samej na dłużej niż kilka minut. I kiedy wracał, zawsze była tam, gdzie ją zostawił. Jej głos stał się zimny, kiedy znów się do niego odezwała.

— No cóż, nie mogę ciebie stąd przepędzić. Ale przemyśl tę rozmowę. — Nie czekała na jego odpowiedź. Szybko wstała i wyszła z jadalni. Nigdy jej dotąd nie śledził, ale teraz zdecydował, że czas na konkretne działanie.

— Dokąd ona schodzi? — zapytał zmumifikowane stwory ozdabiające kolumny podpierające ciężki strop.

— Do swojej spiżarni, Harry — odparł w jego umyśle zalękniony głos.

— Spiżarni?

— Tak. W dole zamczyska już od czasów Dramala trzymana jest zawsze garstka oszołomionych Trogów. To taki zapas na czarną godzinę.

— Powiedziała mi, że uwolniła wszystkich troglodytów.

— Tych na pewno nie. Bez nich umarłaby z głodu.

Harry podążył jej śladem na niższe piętra. Tam natknął się na nią w jednym z tajnych pomieszczeń. Obserwował z ukrycia, jak z ciemnego kąta wyprowadza pogrążonego w hipnotycznym śnie Troga, kładzie go na stole, odchyla jego głowę do tyłu i przywiera ustami do jego naprężonej szyi.

— Karen! — krzyknął wstrząśnięty nekroskop.

Wściekła, oderwała się od swej ofiary. Syknęła w jego kierunku jak żmija i bez słowa minęła go w przejściu, wracając do swego pokoju.

Teraz Harry już na pewno wiedział, co powinien zrobić. Na krótko przeniósł się do Ogrodu...

Po najbliższym zachodzie słońca uwięził ją w jej pozbawionej okien sypialni. Drzwi do pokoju przewiązał srebrnymi łańcuchami, pozostawiając w nich szparę o szerokości nie przekraczającej kilku cali. Przy niej położył roślinę, której smród musiał każdego przyprawić o mdłości. Jej odór obudził Karen.

— Co robisz, Harry? — zawołała.

— Nie denerwuj się — odparł przez drzwi. — I tak nic już na to nie poradzisz.

— Czyżby? — syknęła z wściekłością i zaczęła przywoływać swoją wojenną kreaturę. Bez skutku.

— Spaliłem ją — oznajmił Harry beznamiętnie. — Wypuściłem też wszystkich Trogów. Otrułem bestie produkujące gaz i te biedne stworzenia, które służyły ci za żywe rurociągi. Pozostaliśmy tu jedynymi żywymi istotami.

— Co chcesz ze mną zrobić? Dlaczego i mnie nie spaliłeś?

Harry odszedł bez słowa...

Co trzy godziny wracał, żeby podlać roślinę i sprawdzić, czy nie naderwała łańcuchów. Nigdy jednak nie pozwolił jej się zobaczyć. Czasem spała, mamrocząc coś niezrozumiale przez sen. Kiedy była przytomna, wyzywała go i przeklinała jego imię. Tylko raz zasnął w jej siedzibie i... obudził się tuż pod drzwiami jej sypialni przywołany przez nią telepatycznie. Odtąd był bardziej ostrożny i sypiał w Ogrodzie.

Innym razem przysięgała, że go kocha i potrzebuje. Nie dał się skusić jej wdziękom i obietnicom.

Po pięciu dniach zapadła w stan odrętwienia. A niedługo potem w śpiączkę. Nie mógł jej już dobudzić. I to była chwila, na którą czekał.

Usunął cuchnącą roślinę spod jej drzwi i kawałkiem surowego mięsa wyrysował na korytarzu krwistą smugę. U jej końca porzucił ochłap. Nie usunął jednak łańcucha, pozostawiając drzwi lekko uchylone, jak poprzednio.

Potem skrył się w cieniu niszy i czekał. Tym razem on pełnił rolę zimnej kobiety ze swego snu, tylko że nie topór trzymał w swych opanowanych rękach.

W końcu wampir opuścił ciało Karen (Harry nigdy nie starał się dowiedzieć jaką drogą) i bezbłędnie trafił do krwistego śladu. Był jak ten we śnie — długi, wilgotny i obrzydliwy. Poczuł mięso i przyspieszył swą pełzaną wędrówkę. Ale nagle wyczuł też Harry'ego i rozpoczął błyskawiczny odwrót. Jednak Harry miał nad nim przewagę — użył przestrzeni Möbiusa i już czekał na niego przy drzwiach sypialni. Bez namysłu nacisnął spust miotacza. Pasożyt w ostatnim momencie plunął w jego kierunku niezliczoną liczbą małych, perłowych kuleczek — wampirzych jaj. Harry z zimną krwią spalił je, co do jednego. A potem usłyszał przeraźliwy krzyk bólu. Krzyk Karen...

Nareszcie mógł odpocząć. Wykończony, ale spokojny, zasnął w jednej z komnat zamczyska. Nie był to jednak sen sprawiedliwego. Nie odniósł zwycięstwa w tej batalii o dalsze losy Karen i swego syna. Jeśli chodzi o byłą Lady — zniszczył ją bezpowrotnie. Dawniej wampir, teraz zaś pusta skorupa. Wiedział, że kiedy raz pozna się smak władzy, wolności i poczuje w sobie potęgę nie można pogodzić się z ich stratą. Trudno wypełnić w życiu powstałą po tym wszystkim próżnię.

Powiedziała mu, że rozumie, dlaczego to zrobił, ale żeby nie czuł się zwycięzcą. A potem się z nim pożegnała.

Kiedy się obudził, nie mógł jej znaleźć. Zajrzał do wszystkich pomieszczeń, przemierzył setki korytarzy — na próżno. Po raz nie wiadomo który wszedł do jednego z górnych pokoi, stanął za balkonie, z którego lubiła z dumą patrzeć na swoje tereny. Spojrzał w dół. Tam na kamieniach leżała Karen. Jej piękną, białą szatę znaczyły liczne, czerwone plamy. Harry długo wpatrywał się w martwe ciało. To on był sprawcą jej śmierci...

EPILOG

Tymczasem w Ogrodzie nie ustawały prace porządkowe. Dolina w zaskakującym tempie powracała do stanu swej świetności. To, co Wędrowcy rozpoczynali w ciągu dnia, troglodyci kontynuowali nocami. I na odwrót.

Radosna wieść o końcu rodu wampirów lotem błyskawicy rozniosła się po obu stronach wysokich gór. Całe szczepy Trogów i Wędrowców przybywały teraz do Ogrodu, żeby świętować to wydarzenie. Jazz, Zek i wilk odeszli do świata, z którego pochodzili.

Rezydent nie ukrywał zadowolenia z dzieła, którego dokonał. Pracował właśnie przy odbudowie zniszczonego fragmentu muru, gdy spostrzegł się, że ktoś go obserwuje. Co więcej — ktoś zaglądał również w jego myśli. Harry Junior rozejrzał się po okolicy ukrytymi za złotą maską, przenikliwymi oczami. Zauważył męską sylwetkę stojącą w pewnej odległości od Ogrodu. Rezydent uśmiechnął się w jej stronę uspokojony.

Pomachał swemu ojcu i powrócił do przerwanego zajęcia...

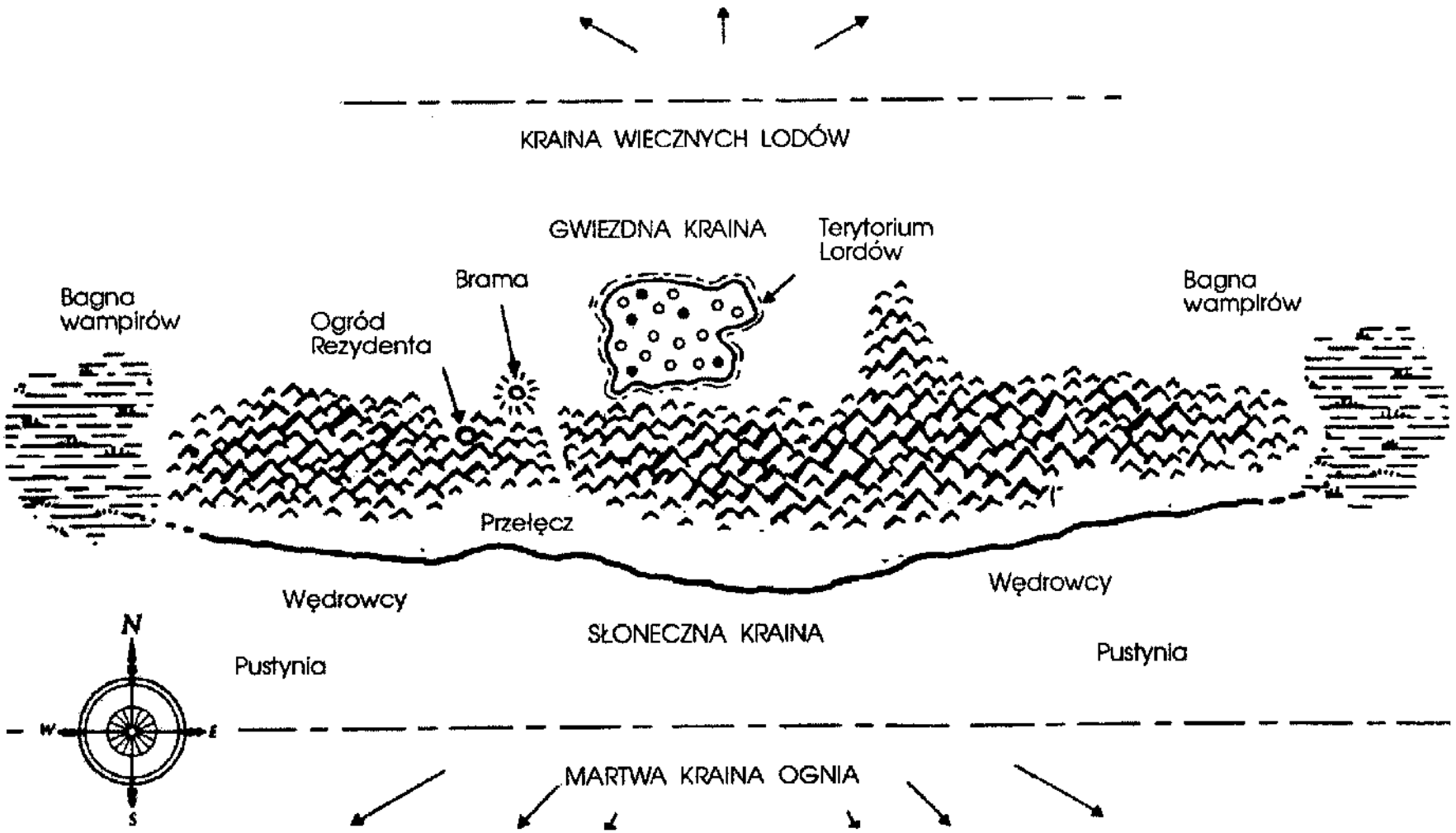
KRAINA WIECZNYCH LODÓW
GWIEZDNA KRAINA
Terytorium Lordów
Brama
Bagna wampirów
Ogród Rezydenta
Bagna wampirów
Przełęcz
Wędrowcy
Wędrowcy
SŁONECZNA KRAINA
Pustynia
Pustynia
N
W
E
S
MARTWA KRAINA OGNIA

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Simonow 3

ROZDZIAŁ DRUGI

Przesłuchanie 15

ROZDZIAŁ TRZECI

Projekt Perchorsk 27

ROZDZIAŁ CZWARTY

Brama do... 38

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wampiry 49

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Harry Keogh: nekroskop 59

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W przestrzeni Möbiusa 69

ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez bramę 79

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Za bramą 91

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Zek 100

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zamki — wędrowcy — projekt 109

ROZDZIAŁ DWUNASTY
Przymierze z diabłem 120
ROZDZIAŁ TRZYNASTY
Lardis Lidescu 134
ROZDZIAŁ CZTERNASTY
Taszeńka — U Möbiusa — Wędrówka 146
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY
Historia Zek 162
ROZDZIAŁ SZESNASTY
Królestwo Karen — Harry w Perchorsku 174
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY
Intruz 187
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY
Dalszy ciąg historii Zek 201
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY
Koniec opowieści Zek — Tragedia szczepu Lardisa — Wydarzenia w Perchorsku 216
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY
Harry i jego przyjaciele — Druga brama 231
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY
Rezydent — W Perchorsku — W ogrodzie 246
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI
Sekret rezydenta — Karen w ogrodzie — Wojna! 260
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI
Ostatnia z wojennych bestii — Ciąg dalszy dramatu w Perchorsku 274
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY
Koniec Perchorska — Harry i Karen 286
EPILOG